

HORYZONTY



ZDARZEŃ

PAWEŁ

MAJKA

AUTOR „DZIELNICY OBIECANEJ”



**NIEBIANSKIE
PASTWISKA**



REBIS

HORYZONTY ZDARZEN

PAWEŁ
MAJKA

**NIEBIANSKIE
PASTWISKA**



DOM WYDAWNICZY REBIS

Prolog

1999 rok obowiązywania Traktatu Innergetycznego

1

Dirka zabijała czas, stawiając pasjansa, kiedy Ludwik zawiadomił wszystkich, że nareszcie coś znaleźli.

Zamarła tylko na moment, a potem przetasowała karty. Ludwik średnio raz na tydzień wyskakiwał z kolejnymi rewelacjami. Tylko on z całej pięcioosobowej załogi nie stracił jeszcze entuzjazmu i wiary w powodzenie ich przedsięwzięcia.

Trzeci z udziałowców, Derwan, wyznał niedawno Dirce, iż nie zaproponował powrotu do domu tylko dlatego, że nie bardzo ma dokąd wracać. Sprzedał wszystko, co miał, żeby wziąć udział w ekspedycji Ludwika.

Także Fiolka, ich nawigator, miała już wszystkiego dość. Prawie nie opuszczała legowiska. Popijała tak, by pozostawać na permanentnym rauszu, a nigdy nie doświadczać kaca. Na wezwania Ludwika nie reagowała od miesięcy. Odbębniała swoje dyżury, czasem zaciągała Derwana do łóżka i starała się nie spotykać z dowódcą ekspedycji.

Ponieważ Dirka związała się ze Svenem, Ludwik skazany był na celibat. Chyba mu to nie przeszkadzało – wizja zastępowała mu nawet seks. Tak to już bywa z naukowcami. Główny udziałowiec *Merlina*, jak uparł się nazwać ich łajbę, jako jedyny miał tytuł naukowy i to w dodatku z tematów poświęconych innergetyce. Niestety zajmował się nią wyłącznie teoretycznie.

– Hej, serio! – odezwał się ponownie. – Tym razem to coś wielkiego! Słowo!

Dirka westchnęła – ciężko, demonstracyjnie, by odczuł jej brak wiary. Ale odłożyła karty i niechętnie ruszyła ku sterówce. Nie pamiętała już, jak dała się w to wszystko wplątać. Przecież interes z wykupieniem jałowych sond od Wspólnych Przestrzeni od początku wydawał jej się, delikatnie mówiąc, ryzykowny.

Wspólne Przestrzenie od wieków rozsyłały sondy zwiadowcze na wszystkie strony wszechświata w poszukiwaniu interesujących złóż i dogodnych planet. Choć innergia, zdaniem Dirki, zapewne pozwoliłaby terraformować nawet gwiazdy, Wspólne Przestrzenie kierujące się instynktem kutwy wołały zasiedlać globy wymagające mniejszych nakładów innergii, a do tego mające do zaoferowania jakieś bogate złoża w sąsiedztwie oraz przypominające z grubsza Ziemię pod względem masy i odległości od centralnej gwiazdy. Masa wynikała z religijnego bełkotu, od którego puchły Wspólne Przestrzenie, reszta była kwestią wyłącznie lenistwa.

Lenistwo Dirka przy najmniej rozumiała.

Sondy wędrowały niestrudzenie od systemu do systemu, a jeśli znalazły coś, co twórcy ich programów uznali za interesujące, odpalały innergetyczne silniki i wysyłały do domu radosne wieści. Blisko siedemdziesiąt procent z nich nie wracało. Część przepadała w wyniku awarii albo kolizji. Inne nie znajdowały nic interesującego. Co pewien czas prawa do dysponowania tymi starszymi Cesarstwo Wspólnych Przestrzeni przekazywało prywatnym spółkom, a te sprzedawały je na wolnym rynku.

Tylko najwięksi desperaci i kompletni wariaci chwyтали się takich okazji. Jedyne najbardziej szaleni nie poprzestawali na dodaniu sond do aktywów, w nadziei, że jakiś cud może przynieść zyskich potomkom, ale wyruszali śladami sond.

Ludwik zaproponował wykupienie czterdziestu sond i prześledzenie tropów. Przekonywał, że to, co nie zainteresowało Cesarstwa, może się okazać kopalnią złota dla Rozproszonych. Dirka zapomniała, jak ich przekonał. Z pewnością dysponował odpowiednią charyzmą, a ona była właśnie w dołku po rozwodzie i przyszło jej do głowy, że wyprawa może stanowić rodzaj romantycznej przygody. W ostateczności pozwoliłaby na jakiś czas odciąć się od współczującej rodziny, polkpiwających ciepło kumpli z zakładu, zatroskanych przyjaciółek i całego tego syfu, w jaki zmieniło się jej życie.

„Na jakiś czas” – prychnęła.

Wędrowali już trzy lata.

Z rzadka tylko używali silników innergetycznych, na które przeznaczili większość zapasów gotówki. Najwięcej kasy wyłożył Ludwik, który podobno brał udział w dwóch rajdach pirackich i zdobył na nich trochę zasobów. Liznął też nieco innergetyki, a przede wszystkim przejął *Merlina* – stateczek, którym przemieszczali się od sondy do sondy, sprawdzając nagromadzone w nich przez stulecia zapisy.

Rzeczywiście, po sprawdzeniu tras trzydziestu sond weszli w posiadanie kilku niezłych złóż. Sprzedaż praw do nich powinna pokryć koszty ekspedycji. Jednak wyprawa nie przyniosła żadnego sensacyjnego odkrycia, a przede wszystkim okazała się koszmarnym pasmem nudy przerywanym tylko atakami entuzjazmu Ludwika. Derwan miał rację – wróciliby do domu, gdyby mieli dołąd wracać.

Niestety Sven popierał Ludwika, Fiolka się wahała i *Merlin* stał się ich światem, a bezsensowna pogoń za sondami jedynym celem. Powrót oznaczałby ostateczne przyznanie się do klęski i skazaną zapewne na porażkę próbę odnalezienia się w „normalności”.

Tutaj, choć żadne nie przyznałoby się do tego Ludwikowi, wciąż mogli wierzyć w cud.

A w każdym razie udawać, że wierzą.

Oszczędzali na wszystkim, dlatego drzwi do sterówki nie rozstały się przed Dirką, musiała użyć wszystkich sił, by je rozsunąć. Cholerne ciężkie wrota, które powinny uprzedzać jej kroki i otwierać się gościnnie, ledwie zaczęły się do nich zbliżać. Nie wiedzieli jednak, jak długo jeszcze przyjdzie im przemierzać przestrzeń. Dlatego ogrzewali tylko kabiny mieszkalne, sterówkę i od czasu do czasu jadadnię, nie używali łączności wideo, nie przesadzali ze światłem.

Merlin zmienił się w zimne, ciemne i ponure miejsce. Prawie grobowiec.

Dirka zarzuciła na jeden z foteli pilotów kozuch, w którym wędrowała przez korytarze statku. Wewnątrz sterówki pozwalali sobie na pewną rozrzutność energetyczną, ciepła bluza powinna wystarczyć Dirce na tych kilka minut rozczarowania kolejnym fałszywym alarmem.

Przyszła pierwsza. A może jedyna?

– Co masz tym razem? – rzuciła.

– Tam. – Wskazał jasny punkt na jednym z ekranów. – To statek Milczy. Nie ma na nim żadnych śladów życia.

– Wrak?

Nawet takie byle co potrafiło wywołać nieco ożywienia. Na trasach sond nie napotykali dotąd żadnych statków, choćby i wraków. Może dałoby się zrabować ze znaleziska nieco energii? Może sam wrak byłby cenny dla jakichś arystokratów szukających śladów przodków poległych w którejś z dawnych wojen? We Wspólnych Przestrzeniach miewano świra także na punkcie genealogii.

– Wygląda na nieuszkodzony. Komputer nie rozpoznaje jego konstrukcji. Ale to akurat nic dziwnego. Tyle tego natłuki w Rozproszeniu...

Dirka mogła tylko przytaknąć. Nikt nie panował nad produkcją statków w okresie Wielkiego Rozproszenia, gdy Kompanie Eksploracyjne rywalizowały ze sobą na wszelkie sposoby. Przez trzy wieki setki kompanii rozwijały się niezależnie od siebie, a gdy wreszcie udało się od biedy wszystko uporządkować, wiele rejestrów ich flot przypadło.

Jeśli statek był tak stary, mógł okazać się cenny dla jakiegoś szalonego kolekcjonera. A gdyby jeszcze udało im się w pamięci jego komputerów znaleźć coś interesującego...

– Może zawołam tamtych – zaproponowała, by odegnąć złudną nadzieję. – Bo ciebie chyba zignorowali.

– Jak chcesz. Za dwie godziny podlecimy bliżej. Wtedy będziemy wiedzieć coś więcej.

– Innergetyk! – zawołał Sven. – Niech cię, szefie! W końcu trafiłeś! Prawdziwy cholerny innergetyk!

Pięć bąbli silników innergetycznych, od których rozchodziły się po całym kadłubie pajęczyny przekładników, robiło wrażenie. Konstrukcja była bez wątpienia stara, może nawet starożytna. Nowoczesne silniki innergetyczne nie musiały otaczać całych kadłubów. Takie rozwiązanie świadczyło o tym, że budowniczy dysponowali bardzo prymitywną technologią innergetyczną.

Bąble, choć każdy z nich przerastał prawie dwukrotnie *Merlina*, stanowiły ledwie trzecią część zabytкового statku. Należał do największych, jakie Dirka kiedykolwiek spotkała. Cesarski nosiciel, którego widziała kiedyś na paradzie, wyglądał przy nim jak zabawka.

– Kolos. – Fiolka przybyła do sterówki ostatnia, dopiero gdy Dirka i Derwan wspólnie zdołali ją przekonać, że tym razem naprawdę trafiło im się coś ciekawszego od kawałka żelaznego kosmicznego śmiecia.

Musieli otworzyć przed nią drzwi, boby sobie z nimi nie poradziła. Drobną brunetką o nieco skośnych brązowych oczach, zawsze wzbogaconych o przesadny, zdaniem Dirki, makijaż i nieco zamglonym spojrzeniu, zatoczyła się, ledwie przekroczyła próg. Od razu opadła na najbliższy fotel. Już się z niego nie podniosła. Wygłaszała stamtąd nieco bełkotliwe uwagi, śmieszące tylko ją.

– Ale brzydactwo! – zachichotała.

– Nieprawda – zaprotestowała Dirka. – Jest piękny. Jak dzieło sztuki.

Ktokolwiek projektował statek, musiał mieć raczej duszę artysty, nie inżyniera. Funkcjonalność poświęcił, jak zdawało się Dirce, dla urody. Konstrukcję skomponował w formę płataniny

przy pominającej winorośl pnącą się po murach otaczających domy na rodzinnej planecie Dirki. Matowoczarne włókna otaczające rdzeń statku tworzyły przedziwny gąszcz o niemal hipnotycznym oddziaływaniu. Dirka nie potrafiła oderwać od nich oczu.

– To po prostu przekaźniki innergetyczne. – Wzruszył ramionami Derwan, gdy podzieliła się swoim zachwytem. – Fikuśnie ułożone, to wszystko. Pytanie, jak się dostać przez ten labirynt do środka.

– *Merlin* spokojnie zmieści się między „pędami winorośli” – ocenił Ludwik – Przycumujemy w dowolnym miejscu. Gorzej, że z tego, co widzę, właściwy kadłub też jest nieco dziwny, przypomina świder. Nie chcę go uszkodzić, więc stracimy trochę czasu na znalezienie wejścia.

– Po prostu zaznaczmy jego położenie i wracajmy do domu – zaproponowała Fiolka. – Ze złożami i z tym dziwadłem chyba mielibyśmy już sensowny zarobek

Ktoś to wreszcie powiedział. Powrót do domu.

– Jesteś pijana! – warknął rozeźlony Ludwik – Dom! Zostało nam jeszcze dziewięć sond!

Fiolka spróbowała wstać z fotela, ale zabrakło jej sił.

– Pijana, ale szczerza! – krzyknęła piskliwie. – Ludwik, ty tępy bucu, każdy oprócz ciebie chce wracać! Dziewięć sond? Kolejny rok siedzenia w chłodzie, ciasnocie i ciemności? Kolejny zmarnowany rok życia? Nienawidzę cię, skurwielu! Wracamy do domu! Już, kurwa! Tak? Kto jest ze mną?

– Ten kolos może mieć jeszcze niezłe zapasy inergii – pierwszy odezwał się Sven. Nie patrzył ani na Ludwika, ani na Fiolkę. – Jeśli je pozyskamy, będziemy mogli sprzedać je osobno. Albo skakać od sondy do sondy i załatwić całą misję w tydzień. Dirka?

– Mogą w nim być ciekawe dane – poparła go. – I więcej dostaniemy za wrak, który znamy, niż po prostu za wrak. Im więcej o nim napiszemy w ofercie, tym lepiej.

– Sprawdzenie go może się nam opłacić – zgodził się Derwan.

– Wszyscy jesteście pojebane świry – jęknęła Fiolka. – Lećcie, gdzie chcecie. Ja wracam do kabiny.

Znów spróbowała się podnieść i znów przegrała.

– Poczekam, aż zaczniecie oszczędzać na sztucznej grawitacji – zdecydowała. – Nigdzie się stąd nie ruszam. Buće.

Wnętrze statku było jeszcze dziwniejsze. Dirka nie miała pojęcia, jakimi kryteriami kierowali się projektanci zawitych, ciasnych korytarzy krzyżujących się co jakiś czas z ogromnymi, zakręcającymi wyłącznie pod kątem prostym tunelami o stalowoszarych ścianach, nieprzystojnie wysokich, zaprojektowanych przez kogoś kompletnie nie liczącego się z kosztami.

Szli wszyscy razem, mimo że początkowo Derwan zaproponował, by podzielić się na grupy, z których jedna ruszyłaby ku maszynowni, a druga spróbowała odnaleźć sterówkę. Choć Ludwik i Sven śmiali się z Dirki, gdy gwałtownie, niemal histerycznie zaprotestowała, ostatecznie ją poparli.

– Ale to nie dlatego, że naoglądaliśmy się horrorów – uprzedził Sven. – Po prostu wolę cię mieć na oku.

– Zapłacisz za to – uprzedziła go. – Później.

Jakimikolwiek zasadami kierowali się konstruktorzy statku, nadal pozostawały niezrozumiałe dla Dirki. Rozmiary korytarzy zmieniały się głupio, gwałtownie, jakby za ich układami nie stał żaden logiczny zamysł.

Były takie miejsca, w których musieli się przeciskać między ścianami. Dirka się bała, że Sven może utknąć. Nie miała pojęcia, jak mogliby go wtedy ratować. Po tym, jak przez kwadrans czólgali się przez coś, co jej zdaniem równie dobrze mogło być kanałem ściekowym, widok wielkiego korytarza powitała z ulgą. Nawet jeśli uznała, że starożytni musieli być strasznymi głęzami, skoro najwyraźniej wszystko robili albo za duże, albo za małe. Nic w sam raz.

– Jakby zbudowali je dla różnych celów – strzebiła. – Jednymi chodziły słonie, a drugimi karły.

– Możesz mieć rację. – Hełm Ludwika przechylił się lekko, gdy mężczyzna skinął głową. – Te wielkie służyły zapewne do transportu ładunku. Kręte były dla ludzi.

– Dla jakichś świrów – prychnęła.

– I kurdupli – jęknął Sven. Najwyższy z ekipy musiał cały czas iść z pochyloną głową. – Od teraz posuwamy się tymi wielkimi korytarzami.

– Nie wiemy, czy ludzie przedinnergetyczni nie byli od nas niżsi. A może to statek któregoś z krajów azjatyckich? – snuł rozważania Ludwik.

Znów nikt go nie słuchał. Ruszyli wygodnym, szerokim korytarzem w stronę silników, gdzie mieli nadzieję znaleźć zbiorniki inergii.

– Żadnych nadsymbów – zwrócił uwagę Derwan. – Ściany są zupełnie gołe. Nie stosowali żadnych oznaczeń w tych Kompaniach?

– Na początku używali cyfr i liter – pospieszył z chwaleniem się wiedzą Ludwik. Zorientował się, że go nie zrozumieli, więc wyjaśnił: – To oznaczenia wcześniejsze od nadsymboli. Trochę prymitywne, korzystanie z nich wymaga skupienia i czasu. Ale bywają używane jeszcze dziś.

– Chyba na zadupkach – rzucił Derwan.

Dirka i Sven zachichotali.

– Na uniwersytetach – odparł urażonym tonem Ludwik – Ale liter też tu nie ma. Pewnie polegali na elektronicznie. Mogli mieć wszczępy skonfigurowane z mózgiem statku...

– Innergetycy? – Nawet przez komunikatory było słycać pogardę w głosie Dirki. – Nie ma mowy.

– To było dawno – przypomniał jej Sven. – W starożytności nikt się nie czepiał elektroniki.

– Choćby i tysiąc lat temu – upierała się. – To wszystko świrny, fanatycy. Żyłam wśród nich, pamiętasz? Przez głupie wspomagacze wzroku patrzyli na mnie jak na zarażoną. Nie używali elektroniki, baliby się, że ich nie wpuszczą do raju. Nie, musiał być inny sposób. Może uczyli się rozkładu na pamięć?

Blisko godzinę wędrowali przez statek, nim dotarli do maszyny. Poszłoby im może szybciej, gdyby Ludwik nie upierał się zatrzymać co chwile, gdy coś zwróciło jego uwagę.

Raz nawet zniecierpliwiona Dirka przyznała, że było warto.

Światła latarek wyłoniły w jednej ze ścian wielkie wrota. Jedno z czworga skrzydeł wyrwane zostało na zewnątrz, pozostałe, wysuwające się ze ściany bądź próbujące się w niej ukryć, zamarły w połowie drogi.

Można by uznać, że doszło do awarii, gdyby nie to urwane skrzydło, pogięte, o poszarpanych krawędziach.

– Zaszło tu coś mało fajnego. – W głos Svena wkraśl się niepokój.

– Wchodzę do środka – zdecydował Derwan, jak to on, nie pytając nikogo o zgodę.

– Mam nadzieję, że coś cię tam zeżre! – rzuciła za nim Dirka, rozgniewana i przestraszona.

Nic go nie zeżarło.

– To jakaś graciarnia – zameldował z wewnątrz. – Jeden wielki śmietnik. Masa porozpieprzanego czegoś.

– Czegoś? – zdumiał się Ludwik – A konkretniej?

– Konkretniej: gówno – wyjaśnił Derwan, wyłaniając się z pomieszczenia. – Nie wiem. Sam wejdź i sprawdź. Może rozpoznasz coś profesorskim okiem. Dla mnie to łupa gratów. Wielkich gratów.

Ludwik także musiał się poddać. Nie rozpoznał żadnego przedmiotu. Zastanawiał się na głos, czy pomieszczenie nie służyło jako magazyn uszkodzonych części. Nie przejmował się, że nikt się nie przyłączył do jego spekulacji.

Mijali kolejne wrota, tym razem szczelnie zamknięte. Ich widok nieco uspokajał Dirkę, która już zaczęła się bać, że na statku, który znaleźli, doszło do czegoś strasznego. Może rzeczywiście zbyt wiele czasu poświęcała klasycznym horrorom?

Wreszcie dotarli do maszyny. Jej wrota nie były otwarte.

– Trochę tu zabawimy – mruknął Sven, uruchamiając palnik – Odsuńcie się.

3

Trzy godziny później, stojąc na środku hangaru, w którym nie znaleźli zbiorników z innergią, lecz innergetyczny mechanizm nieznanego im konstrukcji, zagrali w marynarza – jedną ze starożytnych gier, które przetrwały przemiany, jakie przyniósł Ziemi podbój kosmosu.

– Kurwa. – Dirka wpatrywała się w wycelowany w nią palec Svena. – Czyli ja? Cholera, dlaczego nie bierzemy pod uwagę Fiolki?

– Chcesz się wycofać? – zapytał z nadzieją Ludwik

– Coś nie tak profesorku? – ofuknął go Derwan.

Zmierzyli się wzrokiem. Ponieważ wyglądali, jakby byli gotowi skoczyć sobie do gardeł, Dirka weszła pomiędzy nich.

– Nie chcę się wycofać – powiedziała twardo. – Zresztą dajecie mi dwa lata, nie? Dwa lata od powrotu do domu! Ale Fiolka...

– Nie ma mowy – warknął Sven. – Fiolka odpada. Nie można jej ufać.

– Czyli ja – powtórzyła Dirka. – Niech będzie.

Wrócili na pokład. Sven i Ludwik zabrali z magazynu wszystkie materiały wybuchowe, jakie miały im służyć do rozluźniania skał w razie potrzeby. Dirka postanowiła razem z nimi rozmieszczać je na starożytnym statku. Nie chciała spotkać Fiolki.

Do zaskakująco trzeźwej nawigatorki poszedł tylko Derwan.

– I jak kacie, znaleźliście coś ciekawego? – spytała.

– W sumie tak – bąknął.

Objął ją, a potem szybko, nim zdążyła zareagować czy choćby się zdziwić, skrzył jej kark.

Później tulił ją i płakał. Pierwszy raz kogoś zabił.

Gdy dwa lata od powrotu z wyprawy odwiedził we Wspólnych Przestrzeniach Dirkę i zgodnie z umową strzelił jej w głowę, nie czuł już żadnych emocji.

Część pierwsza

2023 rok obowiązywania Traktatu Innergetycznego

Rozdział 1

1

Zalegli na szczycie wzgórza, pod poranionym drzewem szeroko rozkładającym ramiona z grubego pnia pełnego blizn po kulach i odłamkach. W hełmowych słuchawkach szumiały im napomnienia, pszczełkiwały komendy. Z dołu dochodziły przytłumione odgłosy toczącej się bitwy, którą na kilka chwil postanowili zostawić za sobą.

Pancerze stygły, systemy autonaprawcze przeczesały je, oceniając uszkodzenia. Kombinezony wstrzeliwały w żyły wyczerpanych żołnierzy medy stymulujące organizm do przyspieszonego gojenia ran, wyszukujące i likwidujące toksyny, a równocześnie szprycujące krew dopalaczami. Czasem te armijne wspomagacze napotykały coś, czym żołnierze usprawiali się nieregularnie, i słały alarmujące pytania do nosicieli. Zwykle nadaremnie. Żołnierze piątej dziesiątki czwartej setni piechoty urmińskiej byli tak zmęczeni, że ignorowali nawet popiskiwanie mających czuwać nad ich zdrowiem systemów.

Dziesiątnik, z lekka siwiejący Pniak, chłop wielki i przy pozornej ociężałości umysłu rozumny, ani myślał podrywać swoich do walki. Opierał się o gruby korzeń wijący się w cieniu drzewa, patrzył w niebo i kombinował, czy nie lepiej byłoby uciąć sobie kawał nogi i wreszcie mieć to wszystko z głowy. Przynajmniej na parę miesięcy, nim cudotwórcy ze służb medycznych zrekonstruują mu kończynę. Gdyby się odpowiednio zakręcił na tyłach, może zostałby tam na zawsze? Tym razem udało mu się przeżyć. Ale jak długo może dopisywać mu szczęście? Myśli o tak długo oszukiwanej śmierci stawały się tym bardziej natrętne, im bliżej było końca wojny.

A wojna miała się skończyć naprawdę wkrótce.

W dole, niewiele ponad kilometr od nich, niechętnie dogasała bitwa. Armia Wspólnych Przestrzeni odpierała resztki rozpaczliwego wypadu Irliańczyków, którym ni stąd, ni zowąd zdruzgotało się siedzieć pokornie w oblężeniu w oczekiwaniu na nieuchronną klęskę. Pobudzeni do czynu wieściami o rychłym przybyciu posiłków obrońcy ruszyli na udających zdumienie najeźdźców.

Piechota urmińska, dowodzona przez samego księcia Oruzona, zajęła się niosącymi fałszywą nadzieję posiłkami. Uczyniła to wystarczająco skutecznie, by na pomoc Irliańczykom nie przedarł się nikt.

Żaden żołnierz z dziesiątki Pniaka nie zginął, co nie udało się na przykład piątce artylerzystów wraz z obstawą, których wyobraźnia strategów pchnęła na wzgórze opisane związkami spółgłosek i numerem. SD 7-2 miało swoje miejsce na sztabowych mapach, ale nikomu nie wydało się szczególnie istotne. Wywiad donosił, że Irliańczycy nie brali go pod uwagę, planując natarcie z zupełnie innej strony. Także z punktu widzenia szukających zasadzkę Cesarских wzgórze nie miało wielkiego znaczenia. Istniały lepsze, mniej wyeksponowane miejsca do ukrycia artylerii. Sprawdzono sumiennie, czy nie można by poprowadzić z niego sensownego ostrzału, uznano, że nie, obsadzono je dla świętego spokoju dziesiątką zdruzgotanych piechociarzy i o nim zapomniano.

A potem trzy czołgi wspierane przez tyleż dziesiątek piechoty zmieniły obraz sytuacji.

Irliańczykom udało się oszukać wszystkich, może nawet samych siebie. Rachuba wyraził później przekonanie, że te nieszczęsne sukłsyny zgubiły się po prostu i dlatego wyjechały ni stąd, ni zowąd w miejscu, w którym nikt się ich nie spodziewał i które nie mogło im przynieść większej korzyści. Pniak się z nim nie zgadzał. Tym bardziej że widział, jak natarcie Irliańczyków niespodziewanie zmieniło kierunek, jakby pierwotne uderzenie było jedynie zmyłką, manewrem maskującym rzeczywiste plany. Trzy czołgi na SD 7-2 mogły więc narobić Cesarским kłopotu.

Oficerowie, nie połowe szaraki nieróżniące się prawie od zwykłych żołnierzy, ale prawdziwa sztabowa arystokracja, rozumowali jak on. Dlatego setnik Szczurzy Zad dopadł Pniaka i nie kryjąc satysfakcji, kazał mu zbierać ludzi i zasuwać na wzgórze dla wsparcia niewielkiej, lecz diabło skutecznej mangusty – szybkiego samobieżnego działa wyspecjalizowanego w walce z czołgami. Wyciągnięto ją ze sprytnie zamaskowanej kryjówki, wyłuskano z byczących się odwodów i wysłano na SD 7-2. Ktoś w sztabie potrafił szybko myśleć i reagować.

Ale zabrakło mu wyobraźni, albo nazbyt popadł w pychę, bo sądził, że działa z obstawą dziesiątki legionistów to aż nadto, by powstrzymać natarcie żołnierzy armii skazanej na klęskę.

Z pierwotnej załogi działa nie ocalał nikt. Ostatni konał w tle rozmowy setnika z dziesiątnikiem stojącym na czele nowej dziesiątki piechociarzy. Nie przejmował się śmiercią, za to domagał się natychmiastowego zwrotu urwanych nóg. Zachowując resztki przytomności, zdawał sobie

sprawę, że umiera, i upierał się, że chce pójść na tamten świat kompletny. Pniak widział już takich jak on – szukających magii, która pozwoliłaby im żyć nieco dłużej, zakładających się ze wszechświatem albo rzucających mu wyzwanie, jakby był żywą, złośliwą istotą.

Poranieni, ale żywi artylerzyści wciąż ostrzeliwali się wściekle, trzymając czołgi w szachu, trudno im było jednak odpowiadać ogniem coraz zuchwalszej piechocie irliańskiej.

Pniakowi chłopcy się przydali, musiały to przyznać nawet Szczurzy Zad. Podzieleni na dwójki rozłożyli się na wzgórzu i utrudnili Irliańczykom wspinaczkę. Trzy z dwójek zostały wyposażone w buldogi – wyrzutnie pocisków przeciwpancernych zdolne poważnie zaszkodzić czołgowi, jeśli któryś znalazłby się wystarczająco blisko.

Początkowo dobrze im szło. Drobina i Kukiełka gasili zapal irliańskiej piechoty długimi, ciężkimi seriami z opartych na trójnogach tasmanów. Pies tracił czas na udawanie snajpera, a Rachuba wygrywał szalone improwizacje na swojej ulubionej iguanie – lekkim, diabelnie celnym karabinie. „Zabawa nie wojna!” – zawołał do Pniaka, roześmiany od ucha do ucha, i wtedy właśnie złośliwi bogowie, którzy nie lubią arogantów, odwrócili kartę.

Pocisk nadleciał niespodziewanie z południa, jak na ironię, jak ocenili później analitycy, od strony armii cesarskiej. Oczywiście wtedy już szalała tam bitwa. Legiony Cesarskie starały się zniżyć Irliańczyków, ci zaś próbowali się przebić przez lojalistyczną zaporę szalonymi rajdami. Jedni i drudzy byli zaskoczeni – Cesarscy nagłą zmianą irliańskiej strategii, a Irliańczycy tym, że przeciwnik okazał się przygotowany na większość ich szczegółowo zaplanowanych niespodzianek. Linie się wymieszały, pozycje zmieniały się z dynamiką wymykającą się refleksowi sztabowców.

W tym chaosie mogło się zdarzyć wszystko.

Żołnierze na wzgórzu nie usłyszeli nadlatującego „siewcy”. Mangusta ryczała przy każdym strzale, a i tasmany nie należały do cichej broni. Obrońców ogłuszały eksplozje pocisków, jakimi obrzucały wzgórze usiłujące się wstrzelać irliańskie czołgi, no i oczywiście, jak zwykle, wrzeszczeeli wszyscy: na siebie nawzajem, na Irliańczyków, na bogów, którzy może ich słyszeli, i na Szczurzego Zada, który słyszeć ich nie mógł i nie chciał. Do tego w słuchawkach co i rusz rozbrzmiewały fałszywki Irliańczyków, którym udało się przerwać cesarskie blokady.

Milczały za to, co zaskakujące, systemy łączności dziesiętnika, wspomagane wścibską docieklivością satelitów, danymi od szpiegów i przekazami ze sztabu znacznie lepiej poinformowanego co do ogólnego przebiegu toczącej się bitwy.

To nie powinno się zdarzyć, bo właśnie po to, by zabezpieczyć ich przed przykrymi niespodziankami, wyposażano dziesiętników w bogaty, w założeniu niezawodny system łączności. Dziesiętnicy kłuli na nafaszerowane elektroniką hełmy przysysające się krótkimi kablami do podoficerskich naszczepów wspomagających pracę mózgu. W przeciwieństwie do

zaawansowanych systemów wywiadu naszczepę piechoty tylko czasowo szpecili ciała żołnierzy i nie wpływały nijak na ich dusze. Były jednak znacznie bardziej zawodne, zwłaszcza że korzystający z nich tylko okazyjnie i zwykle niechętnie żołnierze nie mieli czasu, by perfekcyjnie opanować posługiwanie się tym rodzajem wspomagania.

Obróńców wzgórze ostrzegł reporter, który przybiegł tu za nimi. Klął przy tym jak żołnierze i jak oni ugiął się pod ciężarem sprzętu. Choć jego strój mógł na pierwszy rzut oka przypominać mundur, głównie dlatego, że cały pokryty był pyłem, błotem i krwią, wyróżniały go dwie wielkie błękitne gwiazdy naszyte na piersi i plecach, a przede wszystkim ogromne czarne gogle zasłaniające pół twarzy. Łączyły się one z kilkunastoma kamerami uwijającymi się wokół wzgórze, tak pośród Cesarskich, jak i buntowników. To właśnie jedna z reporterskich kamer dostrzegła nadlatujący pocisk. Wysłała informację o nim i sterowana prostym programem pognąła na spotkanie niespodziewanego intruza, by nakręcić jego lot, a może i ładne ujęcie masakry, jaką zwiastował.

– Siewca! – wrzasnął reporter. Spostrzegłszy, że nikt go nie słyszy, podbiegł do Pniaka, szarpnął go za ramię i cały czas wrzeszcząc, wskazał ręką na niebo.

Dziesiątnik zrozumiał natychmiast.

– Siewca! – ryknął. – Kryć się!

W przeciwieństwie do reportera pozostawał w łączności ze swoimi na wewnętrznej. Mikrofon zadrżał od jego ostrzeżenia, a słuchawki przekażały je odpowiednio mocno podkomendnym.

– Zewnętrzna zamknięta! – zawołał Pniak, padając jednocześnie do naprędce przygotowanej tranzei odziedziczonej po pechowych poprzednikach. Komunikator posłusznie przełączył go na szersze pasmo uzgodnione wcześniej z artylerzystami. – Siewca! – krzyknął ponownie. – Siewca!

W tej właśnie chwili pocisk eksplodował nad nimi.

Reporterska kamera, której program znał zwyczajnie wszelkich broni, sekundy wcześniej uniosła się metr wyżej. Dziennikarz przełączył gogle w sześćdziesięciu procentach na widok z tej właśnie kamery. W zaskakującym przypiływie czegoś, co sam uznał za wyjątkową perwersję, obserwował, jak siewca eksploduje, wystrzelując z siebie setki miniaturowych „ziaren” – od biedy inteligentnych mikropocisków, których skuteczność i możliwości uśmiercania żołnierzy przerażająco nie współgrały z niewinną nazwą i wyglądem.

Widział, jak mknęły ku skulonym na ziemi ludziom Pniaka, wokół których rozkwitły już parasole tarcz. Czuł, jak utwardza się jego pancerz, i wiedział, że to samo dzieje się z pancerzami żołnierzy. Widział też, jak artylerzyści uruchamiali wzmocnienia tarczy mangusty i jak krzyczeli przerażeni, gdy działo nie odpowiadało na ich polecenia. Oszczędność i przemyślność projektantów broni, a także przyzwyczajenia samych żołnierzy, obróciły się przeciwko nim. Przywykli do ochrony, jaką dawała im mangusta, zbyt późno włączyli własne tarcze i przełączyli

pancerze na tryb defensywny. Reporter kłął, krzyczał, ale nie potrafił oderwać wzroku od zabójczego widowiska, gdy „ziarna” przebijają się przez formujące się dopiero tarcze, uderzały w nie do końca utwardzone pancerze, pokonywały je, by osłabione i spowolnione, ale wciąż śmiertelnie wryzać się w ciała artylerzystów i rozrywać ich na strzępy uwalnianymi wreszcie eksplozjami. Pancerz mangusty nie zdał się na wiele, ziarna przystosowano do przebijania tak prymitywnych osłon.

Kilka ich przeniknęło i przez reporterską tarczę. Czuł uderzenia o pancerz. Modlił się do swego patrona, Usulla, by ten pomógł mu przetrwać kilka sekund zabójczego deszczu.

Gogle przekazywały mu informacje z pozostałych kamer. Irlandczycy wykorzystali okazję i pognali w górę zbocza. Pancerne potwory zapały drugi oddech. Cesarska mangusta milczała. Unieruchomiła wcześniej tylko jeden czołg. Dwa pozostałe rwały teraz pod górę ile sił w silnikach, strzelając cały czas z obsługiwanych przez komputery pokładowe karabinów i starając się dobić milczące, zamarte działo.

– Stan? – Ryk Pniaka przebiłby się przez kanonadę i dotarł do dziesiątki nawet bez wsparcia sprzętu.

Zameldowali się wszyscy. Rachuba kłął i narzekał, a Drobina był lekko ranny w lewe udo. Tarcze i pancerze wytrzymały. Pies, jak to on, zameldował się półsłowem, raczej warknięciem niż meldunkiem.

– Przygniećcie skurwieli! – wrzasnął więc na nich Pniak

– Mangusta – uświadomił go reporter. – Artylerzyści...

– Pies, Mu! – zawołał natychmiast Pniak – Do mangusty, już!

Brakowało im artyleryjskiego doświadczenia, chybili więc w pierwszych trzech strzałach. Czołgi to wykorzystały i nie tracąc czasu na manewry, zaczęły celować dokładniej. Elektronika doprowadziła do patu – systemy oszukiwały się i blokowały nawzajem, żołnierzom pozostało niemal wyłącznie ręczne celowanie. Rozwścieczony Drobina, ignorując porykiwania Pniaka, porwał buldoga i wybiegł niebezpiecznie daleko naprzeciw nacierającym. Grzmotnął z jękiem o ziemię, wbił nóżki buldoga w podłoże i opierając wyrzutnię na ramieniu, wycelował uważnie. Zwlekał, ignorując wściekły ostrzał, jakim natychmiast uraczyli go irlandzcy piechociarze. Pancerz Drobiny utwardzał się do stopnia niemal niemożliwiającego żołnierzowi poruszanie się. Drobina był z wściekłości i strachu, ale czekał.

Rachuba przygniótł ogniem z tasmara czterech odważniejszych Irlandczyków próbujących podejść bliżej Drobiny.

– Pies! Drobina weźmie tego bliższego, zajmijcie się drugim! – rozkazał Pniak

Drobina strzelił trzy razy, nim zniechęcił swój czołg. Ostatecznie musiał pomóc mu Kukiełka. Wzywając Drobinę od ostatnich i wyrzucając mu, że niechybnie zginie przez jego durną

zuchwałość, podbiegł do kumpla, by pomóc mu przeładować wyrzutnię.

Mangusta ryknęła ogłuszająco i szczęśliwym strzałem odesłała ostatni czółg do nieba tankietek

– Nie celowałem! – oznajmił uśmiechnięty głupio Pies. – Zamknąłem oczy i niech się dzieje wola nieba!

Nawet słuchawki nie pomogły Pniakowi go usłyszeć. Uśmiechnął się więc tylko, uniósł kiuk i kręcąc głową, pognał ku Rachubie. Po drodze minął Kukielkę i reportera odciągających uwięzionego w przegrzanym pancerzu Drobinę.

– Bezstronność mediów, ha! – krzyczał Kukielka.

– Już dawno nic z tego nie zostało – odparł reporter. – Jestem cesarski. Nie przekazuję wieści, tylko tworzę spektakł. Kiedy wyleciał na was ten siewca, wskoczyliście na bezpośrednią relację. Przez piętnaście sekund oglądali was wydawcy księcia. Może coś z tego będzie w ostatecznym przedstawieniu?

– Sława! – Pokiwał głową Kukielka. – Może dadzą nam urlop?

– Jeśli ukążę was jako bohaterów, kto wie? Przy okazji, Kaler jestem.

Pozbawieni czółgów Irliańczycy uznali, że nie mają już nic do roboty na wzgórze, i czmychnęli. Rozszalały Rachuba ostrzeliwał ich zawzięcie, aż iguana zakrzuszyła się nagle i zacięła.

Przez kilka minut po prostu wszyscy trwali na stanowiskach, czekając, aż przestanie im świszczeć w uszach. Wtedy dotarły do nich wrzaski Drobinę domagającego się, żeby ktoś wreszcie do cholery uwolnił go z pancerza, który najwyraźniej zaciął się pod wpływem przeciążenia i ani myślał powrócić do pierwotnej formy. Kukielka tylko się uśmiechnął wrednie i odszedł, pogwizdując głośno i fałszywie. Dopiero Pies pomógł złorzeczącemu Drobinie.

Pniak uznał, że wykonali zadanie. Nie widział nic złego w zakosztowaniu odpoczynku. Wojna dobiegała końca tak czy owak. Dostał zadanie obrony wzgórza i zamierzał się tego trzymać. Nawet jeśli ich najgroźniejszym przeciwnikiem były obecnie podmuchy wiatru.

Nie był pewien, czy setnik się z nim zgodzi.

– Książę pognał na Irliańczyków, co? – odezwał się Worejło, jakby posiadał niemiłą umiejętność czytania w dziesiętnikowych myślach. – Biedne sukiny ny.

– A Szczurzy nie będzie miał nam za złe, żeśmy nie ruszyli z nimi? – zainteresował się Rachuba, najmniejszy kurdupel w całej setni, zawsze pewny, że łąda chwila spotka go wszystko, co najgorsze. Starając się przygotować na taką ewentualność, zamęczał kompanów pytaniami o wszelkie możliwe kierunki rozwoju wypadków.

– Nam? – Wzruszył obolały mi ramionami Drobiną, przejawiający tak skłonność, jak i chęć do otyłości, na drodze do której wiecznie stawali mu rozmiłowani w musztrze oficerowie. – Jesteśmy najlepsi! Nas to się stawia za wzór, nie opieprza!

– Szłoda, że Szczurzy o tym nie wie – westchnął Rachuba. – Przejechał się po nas wczoraj jak nigdy.

Zerknął na siedzącego w pobliżu reportera i wykrzywił się do jednej z unoszących się nad nimi kamer. Kaler odpowiedział mu wystawieniem języka. Powinien porzucić spokojne już wzgórze i pognać w wir bitwy. Uznał jednak, że posiedzi jeszcze z żołnierzami, którym, jak wierzył, uratował życie. Wyglądali na barwną grupę i przyszło mu do głowy, że mogłby zrobić z ich udziałem indywidualny reportaż; coś, czego z pewnością nie chciałoby się oglądać księciu czy sztabowcom, ale co mogłoby się spodobać na rodzinnej planecie legionistów. A może i zdobyłoby kilka nagród na festiwalach? Krytycy nie przepadali ostatnio za wojennymi spektaklami, jednak reportaże przyjmowali znacznie ciepiej.

Szczurzy Zad, stary, ponury setnik, weteran wielu kampanii, istotnie za nic miał chwalebny opinię własnego oddziału. Wszystkich swoich ludzi traktował jak bandę niedorajdów i potencjalnych dezertarów. Szczególnie upatrzył sobie dziesiątkę Pniaka. Pniak zawsze znajdował sposób, by wykonać zadanie po swojemu, unikając marszrut przewidzianych przez oficerów niewystawiających nosa zza map. Stosujący podobną metodę setnik szanował go za to, jednak im bardziej zbliżał się koniec wojny, tym Pniak robił się ostrożniejszy. Setnik zżył się na przesadnie szanujących własny żywot cwaniaków.

Teraz, w samym sercu bitwy, niepojętym sposobem wypatrzył tamtych – wylegujących się bez troski na bezpiecznym już wzgórzu. Zgrzytnął ze złości zębami, zdjął jedną krótką serią jakiegoś nieszczęsnego Irliańczyka próbującego rozpaczliwie czmychnąć z pola walki i złożył w myślach straszliwą obietnicę dotyczącą przyszłości Pniaka i jego kompanii.

Zapisał ją sobie w poukładanej wzorowo pamięci, ruszył zabijać dalej ku chwale Wspólnych Przestrzeni.

– Jakbyśmy się nie dość nabiegali – jęknął Rachuba. – Pewnie by dla nas przyuważy i pogoni do najgorszej roboty.

– Do zakopywania trupów? – zastrzygł uszami Drobina.

Przy grzebaniu poległych można było trafić na to i owo i zarobić na dzban piwa.

Pniak tylko prychnął, za to Kukielka, chudy jak szczapa, blisko czterdziestoletni mężczyzna o twarzy jakby rodem z koszmarów sennych, roztoczył przed Drobina wizję nadprogramowych prac po stokroć gorszych od roboty grabarskiej.

Pogrążeni w swojskim przekomarzaniu nawet nie spostrzegli, że w drzewie nad nimi rozsiadł się bóg.

Nie był to znaczny bóg, jeden z honorowych gości Uczty. Należał do grupy ścierwojadów wędrujących śladami armii i krążących w okolicach pól bitewnych w poszukiwaniu kęsa strawy. Zdarzało się przecie, że w chwili agonii liczący na cud śmiertelnik gotów był choćby i sprzedać

duszę dla kilku sekund życia lub obietnicy lepszej pozycji w istnieniu po śmierci. Na takich nieszczęśników czyhali mało znaczący a żarłoczni bogowie. Obdarowywali neofitów cudownym ocaleniem bądź obietnicami pośmiertnych zaszczytów.

Bóg, który przysiadł na gałęzi rozkołysanej kilka metrów nad głową Drobiny, trawiony był zbyt wielkimi ambicjami, by zadowolić się byle padliną. W czasach, gdy kształtowano zasady Ucztu, przegapił swoją szansę. Teraz, po wielkich niełaski, zamierzał nadrobić zaległości. Jego możliwości pozostawały boleśnie ograniczone, jednak zawarł kilka korzystnych sojuszy, dzięki którym mógł przynajmniej się wyrwać ze swojego bezładnego królestwa i zacząć podróżować. Wcierał się w pełne ograniczeń, dlatego ignorowane przez potężniejszych bogów rośliny czy kamienie i na razie unikał ludzi.

Nadal musiał uważać, ta planeta nie należała do niego. Jej patron z pewnością nie byłby zadowolony, odnajdując go w swoim dominium. Na szczęście miał teraz inne sprawy na głowie.

Przyczajonemu bogu nie spodobało się to, co zobaczył po przebudzeniu; pamiętał inny świat. W jego pragnieniach wszystko powinno wyglądać tak jak kiedyś, dawno temu, gdy wszechświat miał sens i rozsądne reguły. Wojna ofiarowywała szansę przywrócenia właściwych porządków. Obserwował dziesiątkę Pniaka już od jakiegoś czasu, pilnie bacząc na jakiegokolwiek oznaki, iż tych dziesięciu mężczyzn może się znajdować pod specjalną opieką jakiegoś boga. Wprawdzie durni młodzi bogowie przestrzegali idiotycznych zasad, ale wojna zmieniła wiele z nich. Nic jednak nie wskazywało na to, by jakiegokolwiek patron interesował się szczególnie tą grupą żołnierzy. Najwyraźniej należeli oni do nielicznych ludzi, których dziwaczne zawirowania sił wszechświata chroniły same z siebie. Ewentualnie wykazywali się po prostu wyjątkową zdolnością przetrwania.

Istniał też jeszcze inny trop. I to on przyprawiał boga o niepokój.

– Jakoś chłodniej się zrobiło – zauważył w końcu Pies, otwierając jedno oko. W przeciwieństwie do pozostałych nie przejmował się gniewem setnika. Szczurzy Zad był człowiekiem pełnym złości, skorym do obsztorcowywania podwładnych, czy dali mu ku temu pretekst czy nie. Z czasem można się było do niego przyzwyczaić.

– Wieczór idzie – mruknął Kukiełka.

– Nie, to Szczurzy Zad przypominał sobie o nas. – Rachuba, nie zwlekając, podzielił się z kompanami optymizmem.

Jego odpowiedź widać spodobała się Psu. Zarechotał.

U stóp wzgórza bitwa się już dopalała. Niedobitki Irliańczyków uciekały ku swemu miastu, osłaniane przez nielicznych zachowujących jeszcze dyscyplinę żołnierzy w szmaragdowych pancerzach.

– Kundle. – W głosie Pniaka dał się słyszeć niechętny podziw. – Cholerne kundle Szmaragdowej Maski.

Ktoś zniecierpliwiał się wreszcie ich uporem. Zagrały działa i dwie celne salwy zmieniły dzielnych gwardzistów czołowego irliańskiego maga w krwawą miazgę. Ostrzał zmiotł też przy okazji kilkunastu urmiańskich szturmowców.

– Możemy tylko mieć nadzieję, że Szczurzy Zad był między nimi – mruknął Drobiną bez przekonania.

– Pomarż sobie. Jeśli spojrzysz w dół, dostrzeżesz ciemną plamkę zasuwającą po zboczu. Dam głowę, że to Dziara, przydupas naszego szefa. Albo on sam we własnej osobie. – Pniak wskazał palcem postać przebierającą rażno nogami. – Spiesz się. Rachuba, przyszło mi do głowy, że jednak mogłeś mieć rację, będziemy się babrać w trupach. Odwalimy robotę sieroty. Cieszysz się?

Odpowiedziano mu plugawym przekleństwem.

– Ano, tak myślałem, że się ucieszysz. Szczurzy musi być nielecho zirytowany tą ostatnią salwą.

– I z pewnością kombinuje, na ile była niecelna – podpowiedział cicho Pies. Na powrót otworzył oczy, by spojrzeć w gałęzie drzewa. Wydawało mu się, że coś jest z nimi nie tak, nie potrafił tylko zdecydować co.

– To też. – Dziesiątnik splunął. Wiatr zmienił się niespodziewanie i przyniósł na wzgórze zapach rzezi. – To też.

Nad nimi bóg upajał się rozkoszną wonią brutalnej śmierci. Tyle zagubionych, przerażonych dusz czekało na zbiory.

2

Robota sieroty, w przeciwieństwie do zwyczajnego zbierania trupów, nie przynosiła wielkich zysków. Zwykle nie było nawet czego kraść ze strzępów ciał.

Podczas gdy inni odpoczywali po walce, Pniakowi podkomendni taplali się w krwawym błoku, w jakie zmieniło się pole bitwy. Dziesiątnik badał każdy strzęp ciała detektorem. Gdy przyrząd rozpoznawał DNA, szczątki trafiały z odpowiednią adnotacją na wóz, jeśli nie – wrzucano je do wspólnego irliańskiego grobu. Uwijający się w pobliżu kapłani dysponowali sprzętem pozwalającym rozpoznawać charakterystyki innergetyczne określające, do czyjego Domu należeli zmarli. Nawet w świecie, w którym życie po śmierci gwarantowały kontrakty, dbano

o doczesne szczątki. Ludzkość wciąż ceniła sobie pogrzeby, choć teraz śmierć oznaczała tylko chwilową rozłąkę. Przywiązanie do ciała, jak powtarzali do znudzenia kapłani, stanowiło atawizm, niepotrzebny spadek po mrocznych czasach, gdy ludzkość nie dysponowała jeszcze boskimi umowami. Ich nauczanie okazywało się daremne – większość ludzi, czy lubili swoje ciała, czy na nie narzekali, ceniła cielesność.

– Stefan Pikiniuk, dwadzieścia siedem lat, trzykrotnie odznaczony Gwiazdą Imperium oraz Krzyżem Cesarskim z mieczami. – Pniak zabawiał swoich chłopców krótkimi życiorysami poległych. – Trafiliśmy na nogi bohatera! Odłóżcie je na razie na bok, może znajdzie się reszta? Pochowaliby go z honorami na... gdzie on się urodził? Na Khaanie! Kukielka, to twój krajan!

– Krajan nie krajan, robota do dupy – warknął rozeźlony rodak bohatera. Opędzał się przed złośliwymi owadami, których miliony wizytowały pobojuwisko. – Powiedz mi, wodzu mój i szefie, dlaczego na każdej pieprzonej planecie są muchy. I pieprzone komary?

– Bo podobna do ciebie łajza poroznosiła je po całym wszechświecie. Muchy, wszy, pchły i syfilis.

Zapadł już zmrok, więc setnik podesłał im potężne reflektory, niewiele mniej niż światła emitujące ciepło. Toteż pocili się wszyscy obficie. Pomędzy nimi krzątała się trójka kapłanów odmawiających ciche modlitwy. Jeden z nich był Irliańczykiem; miasto przysłało swojego kapłana, tak jak później przysłać miało swoich grabarzy. Tradycyjnie ogłoszono zawieszenie broni, by obie strony mogły odnaleźć własnych zmarłych.

– Bhoigul Murłatt – recytował beznamiętnie Pniak – Dziesiątnik! Z szacunkiem, panowie, znalazłem chłopca. A co to jest?

Rachuba wyciągał ku niemu coś, co wyglądało na kawałek palca.

– Żołnierz. Nie widać?

– Rachuba, synu lichwiarza! Dałbyś spokój!

– Sprawdź to, Pniak, mam co do tego przecucie.

Dziesiątnik westchnął demonstracyjnie i skierował na człowiecze strzępki czujnik

– Miron Strawi. Nasz.

– Wiedziałem! – zawołał Rachuba. – Drań był mi winien trzy dziesiątki!

– Z tego nie wyciśniesz ani grosika – ocenił Pniak – Wrzuc na wóz.

– Akurat! Może znajdę więcej kawałków tego puzzla? Będzie mi się należało coś od jego rodziny, nie?

Odszedł, mamrocząc pod nosem coś niezły cziwego światu.

– Pniak! – Szczurzy Zad, kiedy nie wrzeszczał, to warczał. Nawet do starszych stopniem. Prawdopodobnie całe lata poświęcił dopracowywaniu głosu tak, by samo jego brzmienie przypominało wszystkim, że nie trafili do armii dla rozrywki.

– Tak jest – odmruknął Pniak z lekką sugestią resztek szacunku wobec regulaminu. – Dziesiątnik Pniak melduje...

Setnik wysłuchał obowiązkowej litanii, nim zapytał, ilu Urmirńczyków znaleźli.

– Póki co, szesnastu. Kundli padło znacznie więcej.

– Szlag! Naszych nie powinno tu być wcale! Widziałeś coś, kiedy się opieprzaliście na wzgórzu?

– Setniku Alerbon, melduję, że...

– Nie pieprz mi tu, Pniak! Ile się już znamy?

Żołnierze, którzy po przybyciu setnika demonstracyjnie okazywali brak zapału do pracy, głośno komentując fanaberie dowództwa, teraz przycichli i zaczęli powoli, niby przypadkowo zbliżać się do wozu. Jednak tego wieczoru Szczurzy Zad miał ochotę na odrobinę prywatności.

– Ty, gruby! Drobina! – warknął. – Zastąpisz dziesiątnika! Pniak, przejdziemy się.

– Będzie osiem lat – podliczył wreszcie dziesiątnik Miał wrażenie, że setnik kieruje się ku wzgórzu, którego bronili kilka godzin wcześniej. – Od Alerpii.

– Pieprzona Alerpia! Straciłem tam Gostulę. Ciebie przysłali mi na jego miejsce.

– Tak jest.

Stanęli u stóp wzgórza.

– Będziemy się tam wspinać, setniku?

– Tak. Chcę ci coś pokazać.

Droga zajęła im blisko dwadzieścia minut. Obaj odczuwali już zmęczenie po ostatnich trzech dniach ganiaania tam i z powrotem po okolicy Methulu.

– Osiem lat, Pniak – Setnik odezwał się, dopiero gdy dotarli na szczyt. – A wcześniej twoich dziewięć w Legionie Pil i pięć na jakimś zadupiu... Jak to się nazywało?

– Urlok Siedemnasty Legion Patrołu.

– Kupa czasu, co?

Coraz bardziej zdumiony przebiegiem rozmowy Pniak przytaknął. Z setnika od czasu do czasu wyłaził człowiek i powszechnie było wiadomo, że dba o swoich – o ile jego zdaniem na to zasługują. Ale pierwszy raz wyglądało na to, że zebrało mu się na wspominki.

– Dziwisz się, co? Myślisz, że starego wzięło wzruszenie?

– Żołnierze się nie dziwią.

– Żadnym fanaberiom przełożonych, nie? Pniak, czemu, po dwudziestu dwóch latach służby, ciągle jesteś dziesiątnikiem?

– Jedni urodzili się po to, żeby być generałami, inni, żeby...

– Weź mi, proszę cię, nie pieprz. Ile razy cię degradowali?

– Dwa. Wszystko jest w moich aktach.

– Rzeczywiście. Nawet je przeczytałem, choć cholernie nie lubię się grzebać w czyichś smrodach.

– Setniku, może niech mi pan przywali bez tej całej gadki, co? Pójdzie szybciej i będziemy to mieli z głowy.

Spодziewał się kilku cierpkich uwag na temat swojej postawy, jednak setnik zadziwił go po raz kolejny.

– Gina moi ludzie.

Dziesiątnik nie odpowiedział, że trwa wojna, a żołnierze żyją po to, by walczyć. I że czasem przychodzi im przy tym zginąć. Przypuszczał, że po takiej odpowiedzi Szczurczemu Zadowi nie starczyłoby cierpliwości. Wiedział też, że chodzi o coś więcej niż zwykłą śmierć w walce.

– Jak dżisz? Jak ci od Murlatta?

– Murlatta i Gozy. Goza przeżył, tylko urwało mu obie nogi. Tak, tak jak ci. Popatrz, Pniak, popatrz na pole bitwy. Tam pośrodku tkwi ten przekłety Methul, ostatnie miasto irliańskie, nad którym jeszcze nie powiewa cesarska flaga. Tydzień temu omal nie rozpieprzyliśmy obrony na wschodzie, ale wtedy czarownik wysłał tam swoje kundle, niech ich szlag! Zaczęło być z nim źle, więc Wielki Kapłan Bortoo przysłał posiłki. Wywiad zachodzi w głowę, skąd wziął tych świrów. Pogoniliśmy ich, ale tak czy owak urwał nam z tydzień oblężenia. No, cztery dni. Za Methulem są już tylko góry, potem pustynia, czyli tak jakby nic nie było. To nie jest dżungla, żadne tam bagna czy inne labirynty. Moglibyśmy zbombardować miasto z orbity, a potem tylko oczyścić ruiny i byłoby dobrze. Ale się nie da. Wiesz czemu? Pomijając pieprzoną barierę.

Dziwne pole otaczało najstarszą dzielnicę buntowniczego miasta. Trudno było się przez nie przebić jakąkolwiek bronią. Wkraczający w nie żołnierze szybko opadali z sił. Szeptano, że osłonę stworzyli bogowie, choć aż takie zaangażowanie w wojny śmiertelników stanowiło pogwałcenie wszelkich zasad. Już sam fakt, że część bogów zdecydowała się na złamanie cesarskiego monopolu i dostarczanie innergii śmiertelnikom, świadczyło o tym, że także w niebiosach musiało być gorąco. Ale dawanie ludziom broni, niechby i nawet obronnych technologii, było igraniem z ogniem. Nawet największe teologiczne autorytety nabierały wody w usta, obawiając się choćby wspominać o wojnie w niebiosach.

– Nie da się, bo to kwestia prestiżowa – kontynuował setnik, skoro Pniak nie odpowiedział. – Miasto ma paść pod imperatorskim butem, opuścić pole i plasnąć na pysk, żeby wylizać podeszwę. A nasi generałowie mają przyjąć kapitulację w pełnej chwale, na głównej ulicy, a nie w zgłiszczach. Rozumiesz, Pniak, to ma być taki sygnał. Dla wszystkich. Czy ja się skarżę? Nie. Taka jest żołnierska robota, żeby się bić, a śmierć to ryzyko wliczone w wypłatę. Ale żeby własna artyleria...! Widziałeś to, Pniak, Widziałeś, jak te skurwysyny wymierzyły precyzyjnie salwę z sąsiedniego wzgórza. Byłeś najbliżej z nas wszystkich. Czy mogli chybić?

Nie rozmawiali o tym w Pniakowej dziesiątce, ale myśleli jak najbardziej. Wszyscy. I niezależnie od siebie doszli do jednakowego wniosku, którym z nikim się jeszcze nie podzielili.

– Nie, setniku. Żeby byli ślepi, i takby trafili. Może ich zhakowali?

– Chuja tam zhakowali! – Szczurzy Zad aż się zachłysnął ze złości, po czym zamilkł.

Milczeli, patrząc w dół, gdzie reflektory białym trójkątem światła wycinały z ciemności krwawy fragment pobojowiska.

– Wywalili pełną salwę w moich ludzi. – Setnik mówił pozornie spokojniej. – A to nie pierwszy taki przyrządek podczas tej kampanii. Chociaż pierwszy tak kurewsko bezczelny. Poszły prawie trzy dziesiątki z mojej setni! Byłem na ciebie wściekły, Pniak, jak zobaczyłem, że się wylegujecie na tym wzgórzu, kiedy my wypruwamy sobie flaki na dole. Ale już nie jestem. Teraz jestem ci wdzięczny, bo uratowałeś mi dziesiątkę tym swoim pieprzonym olewactwem. Wiesz, że jesteście ostatnią dziesiątką w pełnym składzie?

– Teraz wiem.

– Ktoś nas zabija, Pniak. Nie tylko moją setnię. To samo dzieje się w innych. Ktoś wykańcza Legion Urmiński, komuś nie w smak fioletowa chorągiew. A ja nie wiem kto ani dlaczego. Nikt tego głośno nie mówi, ale po tym, co się dzisiaj stało, będą musieli wszcząć śledztwo.

Pniak nie poczuł się szczególnie wstrząśnięty. Żołnierze różne rzeczy szeptali przy ogniskach. A to dziesiątka Frykasa nie wróciła z patrolu, a to kilku chłopaków pojechało wykorzystać tydzień urlopu i nadziało się na złodziejskie noże. Dziwne przypadki prześladowały ostatnimi czasy Urmińczyków. I podobno nie tylko ich. Legiony Obywatelskie wrzały od plotek

– Służyłeś wcześniej pod księciem Oruzonem, Pniak. W Legionie Pił.

Potwierdził ostrożnie. Nie był pewien, czego się spodziewać. Oskarżają go o coś? Ale o co? Czyżby ta uwaga o jedynej nietkniętej dziesiątce kryła w sobie dodatkowe znaczenie?

– Opowiedz mi o nim.

– Nie ma o czym opowiadać. – Wzruszył ramionami. – Trochę wariat, jak cała arystokracja. Jak każdy utytułowany bez ziemi marzy o stołku gubernatora, ale od lat nie może się go doczekać. Podobno to już jego siedemnaste ciało, podobno kiedyś spłodził syna, a potem go przejął, podobno na początku był kobietą, karłem, obcym... Plotki, jak o każdym. A tak naprawdę nie wiadomo o nim nic.

– Oprócz tego, że kocha się bić – podsunął setnik – I spiskować.

– Oni wszyscy kochają spiskować, setniku. Jeśli wzięliście Księcia Strzępów na celownik, to może jesteście na właściwym tropie, a może nie. Nie wiem, cholera. Przede wszystkim nie wiem, co miałyby do nas. Nic dla niego nie znaczymy.

– I tak i nie. Regularne oddziały są solą w oku arystokracji. Ci z gorących są gorsi od cichych. Aniśmy ich, ani cesarscy, po prostu zawodowa armia obywatelska. A po prawdzie zbieranina.

– Niby racja, ale tak rozumując, to nas nie lubi nikt. Łącznie z Senatem. Albo coś pan wie, setniku, a wtedy niech mnie pan oświeci, a jak nie, to możemy sobie siedzieć do rana i kombinować. Albo popowiadajmy sobie bajki, na jedno wyjdzie.

Przez długą chwilę setnik nie odpowiadał. Gdyby miał do czynienia ze zwyczajnym żołnierzem i zwyczajnym rozkazem, nie miałby z tym najmniejszych problemów. Kłopot polegał na tym, że sam nie do końca był przekonany o słuszności planu ukutego przez najwyższych dowódców Legionów Obywatelskich. Owego dziwnego tworu, co do którego nikt nie miał pewności, komu służy. Gwardziści i Legiony Przestrzeni przysięgali wierność cesarzowi, on opłacał ich z własnej szkatuły, szkolił w elitarnych cesarskich szkołach i wymagał bezwzględного posłuszeństwa. Przeciwwagą dla nich miały być Legiony Straży, utrzymywane ze środków wykrojonych z budżetu Cesarstwa. Zarządzał nimi Senat, skłócony wprawdzie i podzielony między partie, jednak nieodmiennie zgodny w kwestii ograniczeń cesarskiej wszechwładzy. Istniały jeszcze pozarejestrowe oddziały wielkich rodów, lokalne milicje oraz Legion Patrolu, którego źródła utrzymania objęte były tajemnicą. No i istniały Legiony Obywatelskie, sól w oku wszystkich możliwych tego świata.

Na dobrą sprawę zbyt wiele było rodzajów armii, jak na tak uporządkowany wszechświat. Gdyby setnikowi chciało się dumać nad polityką, mógłby się zastanawiać, czemu władający większością zamieszkanego kosmosu cesarz pozwala na tyle lokalnych wojenek. Że jednak właśnie one pozwalały mu zarabiać na życie, setnik nie pytał i się nie zastanawiał. I miał nadzieję, że nikt go nigdy nie zmusi do stawiania pytań. Tym bardziej gniewała go nowa misja.

Żołnierze Legionów Obywatelskich składali przysięgę na wierność Cesarstwu, co mogło oznaczać cokolwiek i zwykle zależało od poglądów politycznych generałów. Przed wielkimi zdarzało się, że poszczególne Legiony Obywatelskie stawały przeciwko sobie w wojnach domowych, z czasem jednak generalicja odkryła, iż mogą stanowić realną siłę, wyłącznie jeśli będą działać wspólnie. Powołano więc Sztab Generalny kierujący odtąd działaniami Legionów. Z jego decyzjami liczyli się wszyscy, ale nie lubił go nikt.

Senat i cesarz chętnie zawarliby chwilowe porozumienie, by wprowadzić reformę pozwalającą przekształcić Legiony Obywatelskie w coś, nad czym znacznie łatwiej byłoby przejąć pełną kontrolę. Jednak potencjalni sojusznicy nie ufali sobie nawzajem, a dodatkową przeszkodę stanowiła sama specyfika Legionów Obywatelskich. Na ich utrzymanie łożyli obywatele poszczególnych planet. Rolę nie do przecenienia odgrywał lokalny patriotyzm. Każda z planet uważnie przyglądała się losom „swojej” jednostki, czciła jej zwycięstwa i rozpamiętywała klęski. Duma stanowiła jedno z irracjonalnych spoiw Wspólnych Przestrzeni. Żołnierze Legionów Obywatelskich traktowani byli na swoich macierzystych planetach jak bohaterowie pracujący na chwałę ojczyzny. Nikomu nie przeszkadzało, że do Legionów trafiają

ludzie z poboru, pochodzący z najdalszych regionów zamieszkanego wszechświata. W Legionie Urmińskim służyło może ze dwustu Urmińczyków, mimo to każdy chłopiec z tej planety znał na pamięć nazwiska wszystkich jego wyższych oficerów i bohaterów opiewanych w epopiejach.

– Wygląda na to, że znaleźli na nas sposób – odezwał się wreszcie setnik – Ponieważ nie dość szybko ginęliśmy, zaczęli nas wyrzynać – skrzywił się – nieco mniej konwencjonalnymi metodami. Generalicja ma dowody, że uzupełnienia, które nam przysyłają, nie są czyste. Polityka! – Splunął. – Agenci rozsiądą się u nas, awansują, a potem rozsądzą wszystko od środka. I będzie po nas. Dowództwo postanowiło wreszcie coś z tym zrobić. Za dwa dni przeprowadzimy kolejny szturm, wspomogą nas cesarscy czarownicy, pierwsza liga. Magowie planują własną akcję, która powinna załatwić generatory tego ich pola. I miasto padnie.

– A ich bogowie?

Po ataku na pierwszą planetę Cesarstwa w panteonie zapanował zamęt. Gdy pierwszy z bogów w szoku liżał rany, pozostali odkryli z bolesnym zdumieniem, że nie są już tak zjednoczeni jak przed wiekami. Wyrosła cała partia młodych, żądnych wpływów bóstw, którym nie odpowiadały stare układy.

W ten sposób wybuchła wojna, w której część bóstw sprzyjała wrogom Cesarstwa. Czworonajstarszych bogów, przebudzonych jeszcze przez pierwszą boginię – Gaję, dochowało wierność cesarzowi. Nie angażowało się jednak w wojnę tak bardzo, jak życzyłyby sobie tego armia. Bogowie pozostawali niewzruszeni – wierność Cesarstwu oznaczała też trzymanie się starych zasad, a zatem ograniczonej ingerencji w ludzki wszechświat. Bogowie buntowników mniej przejmowali się zasadami, czego dowodziła innergetyczna bariera osłaniająca centrum zbuntowanego miasta.

– Wygląda na to, że Czwórka zdecydowała się wreszcie zabrać głos. Bogowie buntowników ustąpią lub wyłecą z Uczty.

– Czyli po nich. Dziękuję za wieści, setniku. Teraz, jeśli pan pozwoli...

– Nie kpij, Pniak! Słuchaj! Nie pójdziecie w pierwszym rzucie. Czekał.

Wyjął z kieszeni kartkę, na której naszkicował umowny plan miasta. Pochylił się nad nim tak, by zasłaniać go przed podglądem z nieba.

– Nigdy nie wiesz, kiedy cię szpiegują, jak używasz elektroniki – wyjaśnił, widząc zdziwioną minę dziesiątnika. Nikt już prawie nie korzystał z tak starożytnych metod; mało kto potrafił choćby czytać, posługując się archaicznym alfabetem. We Wspólnych Przestrzeniach, ale także wśród ludzi żyjących poza nimi, powszechnie używano znacznie efektywniejszych nadsymboli pobudzających bezpośrednio odpowiednie skojarzenia i hasła w mózgu. Potrafiły one przekazywać całe opowieści za pomocą kilku znaków oddziałujących na konkretne emocje. – No, masz. Uderzamy od południowego wschodu, mniej więcej tutaj. Wyślę twoją dziesiątkę w szpicy,

w pewnym momencie ruszycie na głębszy zwiad, rozsiądziecie się na skrzyżowaniu, na którym nic nie powinno się dziać, ale to się zmieni. Zginiesz tam ty i dwóch twoich ludzi. Pies i Rachuba.

Pniak z zasady nie dziwił się w wojsku niczemu. Jednak Szczurzemu Zadowi tym razem udało się go zaskoczyć.

– Setniki?

– Słuchaj! To nie moja decyzja, tylko sztabu! Części sztabu – poprawił się. – Kończą już hodować wasze szczątki, które podrzucił się na miejscu. Twoi ludzie muszą być przekonani, że nie żyjesz, na wypadek przesłuchiwania przez śledczych. Nie martw się, na miejscu będą... – zawahał się – ...sojusznicy, którzy zadbają o pozory.

– Sojusznicy?

– To istota całej sprawy, Pniak Szkarłatna Maską przechodzi na naszą stronę. Porzuca rebelię i ucieka z miasta.

Pniak gwizdnał. To była wiadomość! Czemu jednak trzymano ją w tajemnicy?

– Czegoś nie rozumiem, setniku.

– Coś się dzieje, Pniak. Wiem, że masz sztab za bandę tępych dupków, ale nawet oni widzą, że coś jest nie tak. Maską nie przechodzi na stronę cesarza, jeszcze nie. On przechodzi na stronę sztabu, czyli Legionów Obywatelskich.

– To cuchnie buntem.

– Nie buntem. Cokolwiek by się działo, Legiony pozostają wierne Cesarstwu. Ale ktoś nas wykańcza. Gina nie tylko żołnierze, ale i oficerowie. W tej kampanii zginęło więcej generałów niż przez ostatnich trzydzieści lat!

– A to zabolalo, nie?

Generałowie rzadko ginęli w zaplanowanych przez siebie bitwach.

– Oduść. Jeśli oni zginą, jeśli do władzy wróci szlachta, to kim ty będziesz? Masz może szlachetne pochodzenie? Za dawnych czasów mógłbyś nie dojść nawet do rangi dziesiątnika. Legiony może szlag trafić, nim skończy się ta wojna!

– I potrzebujemy asa w rękawie?

– Nie twoja rzecz, kto czego potrzebuje. Wchodzimy do miasta, ty nawiązujesz kontakt z ludźmi Maski. Zadbają o pozór walki. Ty, Pies i Rachuba opuścicie miasto od północy. Za tym wzgórzem będzie na was czekać barka. Dostaniesz tam niezbędne dokumenty i ruszysz z Maską i kilkunastoma jego ludźmi ku flocie. Oficjalnie będziesz eskortował jeńców z miasta. Szara Straż.

– Wszystko to wściekle poplątane, setniku. Czemu ja?

– Bo wszyscy wyżsi oficerowie są pod dokładną obserwacją. Zniknięcie kogoś z nas doprowadziłoby do śledztwa. A ty, nie obraż się, jesteś nikim. Ja zaś znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie polecisz do pierwszego śledczego, żeby donieść mu o całej sprawie. Legiony to

twoje życie.

– Lubię to swoje życie. Ale w porządku, oficer powiedział, żołnierz wykona.

– Cokolwiek by sobie pomyślał?

– Ku chwale jego cesarskiej mości. – Pniak zasalutował ironicznie. – Co dalej? Dostarczę Maskę do floty i co?

– Oficjalnie będziecie ludźmi księcia Oruzona. Znasz tam jeszcze paru oficerów, łatwo się dogadasz, jakby co, powołasz się na nich. Przyjmie was ich ścigacz, barka będzie odpowiednio oznakowana, dostaniecie też kody. Jeńcy księcia są zwożeni na jeden z jego transportowców.

Wybuchnie na nim bunt...

– Co?

– Nikt nie chce być niewolnikiem na księżęcym zadupiu. Takie bunty bywały kiedyś częste.

– Dlatego zabezpieczenia są teraz cholernie dokładne.

– Uda się. Flota załatwi sprawę jak zwykle – anihilują transportowiec, a księciu wypłaci się odszkodowanie.

– Właśnie miałem o tym wspomnieć.

– Was nie będzie już na pokładzie. Maską o to zadba.

– Do tej pory tylko cholernie mi się to nie podobało. Teraz mam ochotę odstrzelić sobie nogę, żebyście mnie mogli wszyscy pocałować z tymi waszymi spiskami.

– Czarownik musi jakoś zamaskować swoje działanie. Zniszczenie sporego okrętu pomoże ukryć ślady. Gdyby prysnął z miasta, po prostu korzystając ze swojej mocy, nasi magowie by to wykryli. Gdyby po prostu się poddał, moglibyśmy zapomnieć o zaskoczeniu.

– Bez żartów, setniku! W mieście będzie trwała bitwa! Co lepiej zamaskuje jego poczynania?

– On potrzebuje śmierci tych jeńców, do cholery! Pniak, mam ci tłumaczyć, jak działa magia?

– Przydałoby się.

– To zapytaj jego! Plan opracował nasz sztabowy mag, więc chyba wie, co mówi! Niespodziewana śmierć tysięcy ludzi, kiedy wszyscy emisariusze zainteresowanych bogów będą się uwijać w zgłiszczach miasta, wyzwoli dziką innergię. Maską będzie mógł bezkarnie skorzystać z tego do ukrycia ucieczki. Tyle wiem. Po resztę zgłoś się do fachowca.

Nie należało naciskać setnika, kiedy był wściekły. Jednak wyjątkowość sytuacji dodała Pniakowi odwagi.

– Ale po co w tym wszystkim my? Sam mógłby dotrzeć do podstawionej barki i udawać jeńca, nie?

– Potrzebujemy przy nim kogoś zaufanego.

– Niech pan nie żartuje, do cholery! To pieprzony czarownik! Mam mu wbić nóż, kiedy intuicja mi podpowie, że nas kiwa?

– Przestań myśleć za dowódcę, Pniak! Potrzebujemy kogoś zaufanego jako łącznika i szpiega. O maga się nie martw. Dostaniesz własnego. Nie ty jeden zginiesz podczas tego szturm. Nasz mag ostrzeże cię przed czarami Maski, a ty będziesz strzegł jego pleców przed zwykłym lajdactwem. Zresztą to ma być taki gest – że Maski jest cały czas pod kontrolą Legionów. Zostałeś, kurwa, symbolem. Zadowolony?

– Nadal mam ochotę odstrzelić sobie stopę.

– Od razu odstrzel sobie ten pusty łeb. Cała sprawa jest zbyt zaawansowana, żebyś mógł się wycofać.

– Tak? A gdyby te czołgi przejechały się po mnie i moich ludziach? Kogo byście wysłali? Generała Spasoffa? Nie w mówi mi pan, że nie macie żadnej rezerwy!

– Ty jesteś rezerwą, Pniak. To Murlatt miał iść z Maską.

– Trzymaliście go na tyłach przez ostatni tydzień – przy pomniał sobie dziesiętnik

– Aż przyszli ci pieprzeni Rycerze Bortoo i wpięprzyli się prosto w nasze tyły. A potem Murlatt znalazł się pod ogniem.

– I została z niego tylko noga. On wiedział?

– Weź mnie nie wkurzaj!

– Setniku! Wiedział?

– Wiedział. Siedział w tym wszystkim od dawna. Dłużej niż ja.

Jeśli to mają być przeprosiny, to wielkie dzięki – pomyślał Pniak.

Nie odzy wali się przez chwilę, aż jakieś zamieszanie w dolinie przy ciągnęło uwagę dziesiętnika.

– Czy to już wszystko, setniku? – zapytał niespodziewanie pogodnym tonem. – Bo mam wrażenie, że będę potrzebny na dole.

– Pniak?

– Coś mi się zdaje, że moi ludzie rozpętują tam kolejną bitwę.

3

Pierwszy zauważył ich Pies.

Oparł się o łopatę, zapalił papierosa i wsłuchiwał się w potok siarczastych przekleństw Rachuby. Mały żołnierz po swoim komentował wojnę, pomysły dowódców i głupotę buntowników, a także wieszczył, że zidiocenie generałów sprowadzi śmierć na tych wszystkich,

kórzy okazali się zbyt durni, żeby prysnąć z armii.

– Przecież nie umrzesz do końca – przerwał mu wreszcie Pies. – Idziesz prosto do raj. A za wojnę dostaniesz świetny kredyt.

– W dupie mam raj – prychnął Rachuba. – W dupie mam życie wieczne. Tu żyję, teraz, dzisiaj! Tu mam kumpli, dziewczynę! To wszystko mam teraz, a nie w pieprzonym niebie! Raj mi nie ucieknie, nie? Tobie się do niego spieszy?

– Nie – przyznał Pies, bo też nie spieszyło mu się nigdzie.

Zgasił papierosa. Wygrzebał się z kombinacji lejów po ostrzale artyleryjskim i wtedy dostrzegł szereg ciemnych sylwetek stojących na granicy światła. Ruszył ku wozowi na trupy, a kogo miał po drodze, tego ostrzegał szeptem.

Kto wie, może i do niczego by nie doszło, gdyby nie napad złości Rachuby.

– Drobin! – zawołał. – Daj więcej światła po bokach! Niech nam goście nie stoją w ciemnościach!

Zdalnie sterowane łby reflektorów uniosły się nieco. Kilku żołnierzy w zielonych mundurach cesarskiej kawalerii cofnęło się, osłaniając oczy. Wywołali tym głośną radość Rachuby.

– No i zwirował – ocenił wysoki, ciemnowłosy kawalerzysta. – Chyba że po prostu gówniana piechota lubi grzebać w trupach.

– Ścierwojady – prychnął jeden z jego towarzyszy. – Okradanie trupów to robota w sam raz dla nich.

– Piekło i Rumianek! – zawołał z pozorną wesołością Rachuba. – To wy potraficie chodzić bez waszych sukienek?

– Nekrofile! – krzyknął któryś z tamtych. – Nie staje im przy żywych!

Śmiech kawalerzystów zabrzmiał głucho i nieprzyjemnie. Nie przyszli tu dla zabawy.

Pies wiedział, o co im chodziło. Przez pierwsze dni oblężenia żołnierze piechoty coraz częściej i głośniej narzekali na beczynność kawalerii. Powtarzano, że trzyma się ją tylko na defiladę, podczas gdy prawdziwi żołnierze wykrywają się w miejskich zwarcich. Doszło do kilku nieprzyjemnych wymian zdań, potem bójek. Wszystko to napsuło krwi między piechotą obywatelską a cesarską kawalerią. Przypadkiem lub nie podczas ostatniej bitwy części oddziału kawalerii nie ostrzeżono o spodziewanej wycieczce obrońców miasta. Wielu zginęło, nieprzygotowanych, ponieśli straty uzasadnione wyłącznie z punktu widzenia bezpiecznych za swymi biurkami oficerów wywiadu. Na nich jednak kawalerzyści nie mogli wyładować gniewu.

Co innego dziesiątka piechociarzy ukarana robotą sieroty.

Tym bardziej że Rachuba należał do najchętniej przygadujących kawalerzystom żołnierzy. Nie zapomnieli mu tego.

– Przynajmniej nie potrzebujemy wspomagania – pyskował mały żołnierz. – Wiecie, tych

wszystkich rureki przykładni. Nam zbroje nie zastępują fujar... Ty, Kukiełka, wiesz, że oni nadają im imiona? Piekło jeździ na przykład w „Kąsaczu”. Masz pojęcie?

– To jeszcze nic! – nie zwlekał z odpowiedzią Kukiełka, duchowy brat i najlepszy przyjaciel małego żołnierza. – Rumianek dosiada „Pięknej Lu”. Wyobraź to sobie!

Chwycił w dłonie wyimaginowanego kutasa i zaczął przemawiać do niego z przesadną czułością:

– Moja piękna Lu, stań dziś na wysokości zadania, bo wpada z wizytą mój dzielny Piekło na swoim rączym Kąsaczu...

– Prawie mi was żal, tępe buce. – Piekło pokręcił głową. – Ale że łby jeszcze mniejsze od jaj, to i...

Nie dokończył. Potracił go Rumianek, który rycząc wściekle, rzucił się z pięściami na Kukiełkę. Ten cisnął w niego kulą krwawego błota. Kawalerzysta nie zdążył się uchylić. Poślizgnął się za to, upadł i wylądował na pozbawionym kończyn korpusie, którego taszczenie na wóz porzucił szylkający się do awantury Muł.

– Trafił swój na swego – jęczał Rachuba. – Bo to były chyba resztki jednego z waszych.

Jakkolwiek wyglądałaby prawda, urażeni kawalerzyści ruszyli już z zapalem na pomoc swemu towarzyszowi.

Pełną uroku żołnierską bijatykę w świetle reflektorów, wśród krwi, błota i strzepów ciał, przerwało przybycie oficerów. Szczęśliwie dla Rachuby jego zwierzchnicy wyprzedzili nieznacznie trzech oburzonych podoficerów kawalerii.

– Wystrzel w powietrze, Pniak – warknął Szczurzy Zad, widząc, że jego wrzaski nie przynoszą efektu, co samo w sobie było rzadkością. – A jak to nie pomoże, nafaszeruj któremuś ołowiem dupę.

– A mogę zacząć od kawalerii?

Dziesiątnik musiał strzelić w niebo trzy razy, nim oprzytomnieli. Potem mógł już, oparty o wóz, z lubością wysłuchać kwiecistego opierdolu, z którego słyszał jego przełożony. Oberwało się i piechocie, i kawalerii. Żołnierze stali z pokornie pospuszczanymi głowami, czasem tylko rzucając sobie nawzajem pełne wściekłości spojrzenia. Podoficerowie kawalerii, którzy spóźnili się z odsieczą, rozsądnie trzymali się na uboczu. Zatargi pomiędzy różnymi formacjami armii trafiały się często, a ich intensywność narastała wraz ze zbliżającym się końcem wojny. Etykieta mówiła, że opieprz należy do oficera, który przybył na miejsce pierwszy. Chyba że trafiłby się ktoś z naprawdę wysokim stopniem. Tacy zwykle nie mieli zrozumienia dla zwyczajów i zasad niższych szarż.

– Gdzieś, kiedyś... – wyszczał Piekło, mijając Rachubę, ledwie Szczurzy Zad skończył i zaczął się zabierać kawalerzystom do wszystkich diabłów.

– Oj, nie przerażaj mnie, mocarny kutasoręki – parsknął chudy żołnierz. – Wiesz, co grozi za próbę gwałtu na koleżde z wojska?

– Piekło, Rachuba! – ryknął na nich Szczurzy Zad. – Stulić pyski! Mało wam jednej kary? To może spodoba się wam zakaz opuszczania obozu przez tydzień?

Pniak odchrząknął. Cicho, lecz znacząco. Setnik nawet na niego nie spojrział.

– Kawaleria, wynocha! – warknął. – I zameldować oficerowi dyżurnemu, co zaszło. Z zaleceniem ode mnie, że macie mu przekazać, że to wy zaczęliście. Niech wasz człowiek wymierzy wam karę. Swoimi zajmę się sam. A teraz won! Co do was, bando flej i opierdalaczy, możecie być pewni, że nie zapomnę wam, że wolicie bić się z własnymi ludźmi zamiast z wrogiem! Coś nie byliście tacy bojowi dzisiaj na wzgórzu!

– No, zaraz... – nie zniósł niesprawiedliwości Rachuba.

– Stul pysk łajzo! Co, chcesz się pochwalić tym jednym czołgiem, który dobiliście po ostrzale artylerii? Siedzieliście jak dupy na tym wzgórzu. Ale do lania się po mordach to jesteście pierwsi! Możecie być pewni, że przy najbliższym ataku będę o was pamięta! A teraz wracać do roboty, bogowie czekają!

Kilku spojrzęło wyczekująco na dziesiątnika, licząc, że weźmie ich w obronę. Rozczarowali się jednak. Pospuszczali głowy, tyleż upokorzeni, ile wściekli, i rozeszli się posłusznie w poszukiwaniu szczątków.

– Wcale nie było lekko na tym wzgórzu – wypomniał Pniak – I czołgi zdjęliśmy dwa.

– Nigdzie nie ma lekko. I nie chrząkał mi, kiedy opierdalałam własnych ludzi. Bo oni nie są tylko twoi, Pniak. Może nie pamiętasz?

– Nikt nie słyszał. A jeśli mamy zginąć... Rachuba ma dziewczynę w Perełce. Niechby się chociaż pożegnał.

– Czyś ty opiciał? Zostałeś mamusią tej bandy? Pokaż, sprawdzę, czy ci cycki nie wyrosły. Ilu chłopaków dzisiaj zginęło? Ilu zginie za parę dni? Zdaje ci się, że mieli czas na pożegnania? Myśl o tym, co cię czeka, dziesiątniku, i nie zrób nic, co mogłoby nas zdradzić. Bo możemy wpaść tak, że jeszcze w następnym życiu zakopią nas w gównie na tysiąclecia. Nie wiem, jaki masz kredyt u swojego boga, ale po tym wszystkim albo ugrzęźniesz w długi, albo wystrzelisz na pierwszozigowego klienta. Wracaj do swoich. I nie myśl za wiele. Tuż przed atakiem zgłosił się czarownik, on cię poprowadzi. Spróbuj przeżyć jeszcze ten jeden raz.

Nie myśleć tyle, powtórzył w duchu Pniak, obserwując odchodzącego setnika. Dobre sobie! W Perełce, miasteczku kantyn i burdeli przycupniętym kilkanaście bezpiecznych kilometrów za linią frontu, Rachuba znalazł, pierwszy raz, odłąd Pniak pamiętał, stałą dziewczynę. Drobna, wielkooka brunetka naśmiewała się z małego żołnierza. Zarabiała na dom na jakiejś rolniczej planecie i czasem chlpała Rachubie w ramię, a czasem śmiała się i bagatelizowała wszystko. No

i zakochał się chłopak Zakochał do tego stopnia, że planował nawet skończyć z wojskiem po kampanii, zostać rolnikiem i splodzić tyle małych Rachubiątek, ile tylko się da. Wyśmiewali go wszyscy, ale też każdy, wyjąwszy Pniaka i może Psa, mu zazdrościł.

Pies, dla odmiany, rzadko odwiedzał Perełkę. Wyglądało na to, że był idealnym kandydatem, by „zginąć”. Ale Rachuba...

– Rachuba! – wrzasnął Pniak, starając się nie myśleć, co robi mu setnik, gdy się dowie. – Rusz tu swoją leniwą dupę!

– Szukam słodkiego Mirona, szefie! Jestem pewien, że jeszcze gdzieś tu trochę go leży!

– Rachuba, nie wkurwaj mnie! Biegiem do mnie! Już! No. Słuchaj, należy nam się coś za to wzgórze, za tę kopaninę i za opierdol od Szczurzego Zada. Bierz marudę i leć do Perełki kupić nam prawdziwego piwa. Niech... – uśmiechnął się – ...dopiszą to do rachunku setni. Weź tak z pięć skrzyneki zwijaj się.

– Szefie? Poważnie? A mogę...

– Zwijaj się, Rachuba! – krzyknął na niego. – Czego tu jeszcze sterczysz?

Grzebiący w błocie zaprotestowali niemrawo przeciw takiemu faworyzowaniu Rachuby. Odkąd chłopak się zakochał, Pniak najczęściej wyznaczał jego do „zakupów”.

– Zamknąć się! Chcecie tu przyciągnąć setnika swoimi wrzaskami? Do roboty! Im szybciej skończycie, tym szybciej dorwiecie się do piwa!

– Jasne – mruknął Worejło. – Zanim Rachuba skończy posuwać swoją anielicę, dogrzebiemy się kości dinozaurów. Przecież ten dupek nie wróci do rana.

Rozdział 2

1

Berak, potężnie zbudowany oficer Służby, obserwował przybycie Księcia Strzępów na *Nelsona*, okręt wchodzący w skład VII Floty, do której księżę dołożył dwa własne nosiciele, jeden krążownik oraz kilka ścigaczy klasy A i od tej pory nieoficjalnie i bez powodzenia konkurował z admirałem Kurelssenem o dowodzenie flotą. Nie starając się nawet ukrywać wściekłości, arystokrata odepchnął lokaja, minął bez słowa gromadkę drżących z przejęcia dworaków i zamknął się w windzie mającej zawieźć go do prywatnych apartamentów. Berak nasycił swoje poczucie humoru, przyglądając się zamieszaniu wywołanemu księżęcą arogancją, po czym wezwał drugą windę i ruszył poprzekadzać rozszlaczonemu arystokracie. Księżę nie mniej od wojny kochał spiski i szybko znalazł się na celowniku Służby. Jego nieposkromiona ambicja pozwalała nim manipulować niemal bez wysiłku.

Beraka bawiły ambicje księcia, jego pycha i brawura, a najbardziej bawił go księżęcy gust. Wnętrze *Nelsona* urządzone zostało na wzór pałacu, co mogło wynikać z faktu, iż księżę prawdziwie godnej planetarnej rezydencji nie posiadał. Nie odważył się zbudować nic znaczącego w zarządzanym przez siebie sztucznym mieście orbitującym wokół planety Eleubia, by nie prowokować zwady z posiadającym większe wpływy na dworze byłym żołnierzem, który otrzymał tytuł planetarnego gubernatora. Zżymając się więc i knując intrygi mające odwrócić ten stan rzeczy, urządził prywatną część okrętu najpyszniej, jak mógł. Przepych wypełniał tu każdy kąt, w każdym razie głównych korytarzy, którymi poruszali się goście księcia.

Berak odwiedzał już podobne okręty, należące do potomków wielkich rodów, pionierów Wspólnych Przestrzeni. Ich przodkowie prowadzili pierwsze ekspedycje zwiadowcze, przewodzili Kompaniom Eksploracyjnym, bywali nawet boskimi treserami. Pozostawili po sobie potomków przekonanych, że władza i przywileje należą im się z racji pochodzenia. Oburzało ich, gdy kolejni cesarze tytuły i włości przyznawali plebejuszom z armii albo wyróżniającym się sprawnością urzędnikom. Być może odzywały się w nich geny kupców i konkwistadorów przestrzeni. Owych lajdackich, nienazartych rozbójników rywalizujących między sobą o każdy kawałek nadającej się do skolonizowania skały. Wyciskając ostatnie poty z bogów, tacy ludzie zagarniali kolejne fragmenty przestrzeni, terraformowali globy na wyścigi i składali z kontenerów i resztek statków prymitywne stacje orbitalne. Bogowie wiedzą, ile wojen stoczyli między sobą, nim pierwszy cesarz zakończył wreszcie wiek chaosu i wspólnie z bogami wytyczył nową przyszłość ludzkości.

Potomkami wszystkich tych zuchwałych lajdaków oficer Służby gardził. Należeli do wielkiego cyrku, jak w Służbie nazywano ustrój Cesarstwa ze wszystkimi jego pozorami pozycji i działań. Izby parlamentu użerały się ze sobą nawzajem i z cesarzem, gubernatorzy wojskowi darli koty z arystokracją, a wszystko to nie znaczyło w istocie nic. Prawdziwymi figurami grała jedynie wierna cesarzowi Służba i może kilkudziesięciu poważnych graczy, obecnie należących przeważnie do buntowników, a zatem skazanych na zagładę. Książę Oruzon był tylko jeszcze jednym pyszałkiem, któremu się zdawało, że coś znaczy. W oczach Beraka jego ambicje były pochodną kompleksów tak wyraźnie podkreślanych idiotycznym wystrojem wnętrza.

Znaczna część owego wystroju, podobnie jak przynajmniej połowa niewielkiej floty księcia, pochodziła ze zdobyczy wojennych. Powiadano, że kochający wojaczkę i przepych arystokrata przed wojną zajmował się piractwem. Berak wiedział, że było tak w istocie. Zdawał sobie jednak również sprawę, iż postęпки księcia pozostawały pod ścisłą kontrolą cesarską. Co bardziej bojowym arystokratom należało czasem poluzować smycz. Gdy zagrały w nich wojownicze geny, należało pozwolić im na nieco szaleństwa na obrzeżach Wspólnych Przestrzeni. Zwłaszcza że najczęściej to służba podpowiadała im cele ataków.

Czy sprawili to bogowie, wyhamowując ewolucję ludzkości – tak naturalną, jak i sterowaną przez starożytnych bioinżynierów – czy też natura ludzka pozostawała niezmienna bez względu na zmiany w genotypie, ludzie kochali wojny. Jeśli władza przeszkadzała im w ich prowadzeniu, zwracali się przeciwko niej. Cesarze Wspólnych Przestrzeni zdawali sobie z tego sprawę. Dlatego pozwalali ambitniejszym arystokratom na wojownicze wybryki, póki pozostawały one pod dyskretną kontrolą Służby.

Zresztą skłóconymi, uwikłanymi w zajazdy i procesy arystokratami rządziło się i sterowało łatwiej. Czasem aż nazbyt prosto.

Berak przeszedł przesadnie zdobionymi korytarzami o biało-żółtych ścianach i łukowych

sklepieniach rzeźbionych w gwiazdy i mgławice. Zgromadzono w nich zgoła przypadkową kolekcję dzieł sztuki, których jedyną cechą wspólną stanowiła absurdalnie wysoka cena, jaką musieliby zapłacić za nie kolekcjonerzy. Starożytne obrazy, niektóre pochodzące jeszcze z ery klasy cznych energii, sąsiadowały tu z pyszniący mi się przesadnymi zdobieniami beżużytecznymi bibelotami z czasów pierwszych cesarzy. Postneoklasyczna rzeźba przedstawiająca zadumaną kobietę, najpewniej jakąś arystokratkę, przysiadła pod gobelinem utkany m z innergetycznych włókien. To dzieło w pełni mógł docenić jedynie bóg lub umarły. Nawet magowie nie potrafiliby urzeć go całego. Innergetyczne gobeliny osiągały zdumiewające ceny, bo też niewiele ich istniało w świecie żywych. W korytarzu *Nelsona* Berak wypatrzył trzy. Prawdopodobnie można by za nie kupić i wyposażyć okręt.

Książę Strzępów dokładał starań, by odbudować potęgę rodu należącego niegdyś do najbardziej wpływowych w Cesarstwie. Choć osiągał niebagatelne sukcesy, wszystkie okazywały się zbyt mizerne dla jego apetytów.

Berak dostrzegął w korytarzach więcej, niż starał się ukazać książę. Wykrywał śledzące każdy jego krok systemy ochronne, w tym nowoczesny sprzęt niemal zdolny przeskanować agenta Służby i obejść większość osłon kogoś przygotowanego słabiej od Beraka. Ostentacyjne przywiązanie Oruzona do przepychu i jego słynna brawura mogły zmylić i skłaniać do lekceważenia go. Berak przejrzał wszystkie raporty Służby na jego temat, mimo to nie potrafił ostatecznie go ocenić. Książę mógł być zarówno zblazowanym, skłonnym do ryzyka arystokratą, którego ambicje napędza przekonanie, że został stworzony do wielkości. Mógł też należeć do tych przebiegłych graczy, którym zależało na prawdziwej władzy, a nie tylko jej pozorach.

Gdyby nie szef jego wywiadu, odpowiedź byłaby prostsza. Niestety, Jewgienij z byle durnia potrafiłby zrobić znakomitość.

Twórcy raportów zgadzali się co do jednego – w Karolu Oruzonie tkwił potencjał. Czy był zdolnym człowiekiem, czy tylko powodowaną wybujałymi aspiracjami miernotą, w wojennym zamieszaniu mógłby się stać niebezpieczny, tak z własnej woli, jak i jako figura w rękach zręcznego gracza. Pytanie, czy komuś udało się go zbudzić z typowego snu arystokratów – przekonania o wyższości nad resztą ludzkości – i skłonić do trudu rozwoju.

Korytarze zostały opisane prostymi nadsymbolami zdolnymi poprowadzić nawet ograniczonego umysłowo analfabetę. Berak, jak na agenta Służby przystało, potrafił czytać, kierował się więc fikuśnymi tabliczkami zawierającymi kunsztownie wypisane informacje.

Cały ten zbytek zarazem bawił i drażnił agenta. Wystarczyłoby zamontować system kierujący ludźmi poprzez plusmysły i naszczepy bądź przynajmniej ulokować w korytarzu zwyczajne wyświetlacze nadsymboli. Ale nie, choć ściany naszpikowano sprzętem przypuszczającym szturm za szturmem na plusmysł agenta, żaden arystokrata nie przyznałby się oficjalnie, że wie

o istnieniu systemów wspomagających umysł i ciało. A wyświetlacze, choćby najbardziej wyszukane, były, zdaniem tych płytkich durniów, po prostu w złym guście. Nawet naszczepy uznane zostały przez snobów za coś nieskończenie wulgarnego. Podczas gdy reszta ludzkości radziła sobie jak mogła, a najwierniejsi słudzy cesarza ryzykowali dla niego skazanie nieśmiertelnych dusz, arystokraci już teraz starali się żyć wedle pośmiertnych reguł. Snobowali się na przesadną czystość, unikając jakiegokolwiek technologicznego wspomaganie. Niektórzy woleli używać wiecznych piór, by podkreślić swoją niechęć do technologii. Nosili okulary, byle tylko nie poddać się jakiegokolwiek korekcie ciała. Berak słyszał o głupcach rezygnujących z nowoczesnej opieki medycznej i odmawiających w swoim fanatyzmie podróży innergetycznych. Nie potrafił zrozumieć takich ludzi, choć umiał ich wykorzystywać. Słabości innych należały do najpotężniejszych broni Służby.

Minął niestrzeżone pomieszczenia, by zatrzymać się przed drzwiami chronionymi przez czterech wyprężonych na baczność gwardzistów w seledynowo-złoty zbrojach. Powinni go już znać, jednak nie ustąpili, dopóki nie pokazał swojej przepustki. Uśmiechnął się nieszczercze na znak aprobaty i wkroczył do Burszty nowego Salonu księcia Oruzona.

Pan na okręcie siedział w pysznym, głębokim fotelu uzbrojonym w oparcie, które samo prawdopodobnie zdołałoby wytrzymać atak sporej części nieprzyjacielskiej floty. Wpatrzony w widok wyświetlony na zajmującym trzecią część ściany ekranie gładził dłoń powabnej blondyneczki z wysokiego rodu. Ktoś, kto mógł być ojcem dziewczyny, marszczył dumnie brwi stosownie dwa metry dalej. Gustowny, modny od niedawna wśród części szlachty monokł błyszczał w jego oku, gdy zerkał posępnie na przybysza. Berak odnalazł ich profile w bazie danych plusmysłu. Kolejni dumni, choć biedni arystokraci szukający wsparcia kogoś potężniejszego. Ta mała została nieźle przeszkolona na dworze hrabiny Tielegin, Służba interesowała się nią przez chwilę, dziewczyna nie spełniała jednak jej dość wygórowanych standardów.

Poza nimi w salonie nie było nikogo.

Berak przywitał się, przyciągając uwagę księcia i jego nowej oblubienicy. Przystrojona w podejrzanie prostą karmazynową suknię panna dygnęła bez przesadnej unizoności i uśmiechnęła się tyleż niewinnie, ile uwodzicielsko. Gdyby Berak był zdolny do pociągu seksualnego, mógłby rzec, że dziewczyna stanowi ucztę dla oczu i nieprzepartą podniecie dla męskiej wyobraźni. Ponieważ jednak tego rodzaju rozkosze pozostawały mu obojętne, ocenił tylko estetykę oraz potencjalną użyteczność nowej faworyty. Gościom księcia zaoferował ułkon zarezerwowany dla elity i tym samym rozpoczął festiwal udawania.

Księżę udawał, że komplementy wychwalającego jego odwagę przybysza sprawiają mu przyjemność, dziewczyna, że cała sprawa zupełnie jej nie interesuje, starszy jegomość zaś, że

wręcz przeciwnie. Wszyscy bacznie, choć zachowując pozory, przyglądali się sobie nawzajem i tylko w spojrzeniu księcia pojawiało się prawdziwe zainteresowanie, gdy zerkał w wyeksponowany dekolt dziewczęcia. Wreszcie bohaterski dowódca odsapnął i poprosił pannę z jej opiekunem o odrobinę cierpliwości poza salonem. Pożegnanie trwało dokładnie tyle, ile przewidywała etykieta, czyli, zdaniem Beraka, stanowczo zbyt długo.

– I jakże? – zapytał wreszcie księżę rozparty na tle bitwy zarejestrowanej przez wynajętych przezeń reporterów Stacji. Nie zdążono jeszcze zmontować materiału i ekran epatował zalewem mialkiej, powszedniej masakry. Za dzień lub dwa księżęcy specjaliści mieli przemienić ten surowy materiał w porywającą epopeję. Na razie sceny jedynie nudziły monotonią zabijania.

– Rzecz dojrzewa, wasza wysokość. – Ukłonił się Berak – Lada moment pękną. Zabicie dziś wybranych przez nich ludzi wpędziło ich w desperację. Zapewne już wskazali zastępców. Nie odważą się odstąpić od planu.

– Szkoła. Sądziłem, że uda mi się ocalić moich ludzi.

Bufon nawet teraz grał dobrego ojca, opiekuna swoich żołnierzy. Możliwe też, że zwyczajnie negocjuje – uświadomił sobie rozbawiony Berak Daremnie, wysokość nagrody została już dawno uzgodniona.

– Niestety, wasza miłość. Lecz to poświęcenie kilku przyczyni się do chwały wielu. To zresztą nie do końca są ludzie waszej miłości.

– Dowodziłem nimi, mój przyjacielu. Łączą nas więzy przelanej wspólnie krwi.

Berak ukłonił się, jak tego oczekiwano.

Tak pijawko – pomyślał – dostaniesz swoją planetę i swojego boga do pomocy. Skończysz ze spijaniem resztek i posiłkowaniem się lachmaniarzami. Może nawet cisi ukłęką przed tobą i zdobędziesz wymarzoną władzę, kierując dwoma stronnictwami? Na świętych obcowanie nie masz jednak co liczyć. Nie w najbliższej przyszłości.

Nigdy, jeśli miałyby o tym decydować Berak Kontakty z umarłymi należały do zastrzeżonych przywilejów cesarza i stanowiły jeden z aktów najwyższej łaski, jakiej mógł udzielić śmiertelnikom. Były wielkim i świętym symbolem cesarskiej władzy, a przede wszystkim źródłem niebagatelnej wiedzy. Kapituła Służby, sama korzystająca jedynie z ograniczonych własnych zasobów umarłych, cierpiała, ilekroć któryś z faworytów dworu uzyskiwał dostęp do kontaktów z rajem. Fakt, że jeszcze bardziej cierpieli skąpiący wiernym dokładniejszej wiedzy o tamtym świecie kapłani, nie pocieszał agentów.

Księżę skłinał głową, udając zastanowienie. W istocie odgrywał jedynie swoją rolę i z trudem tłumił zniecierpliwienie. W gąszcz spisków rzucał się równie chętnie, jak w serce bitwy, jednak wolał być tym, który pociąga za sznurki. Musiał wszakże przyznać, że tym razem opłacało się schować dumę do kieszeni i pozostawać na rozkazy byle agenta. Pojawiła się okazja na

restaurację potęgi arystokracji i to on, z Oruzonów i Czaharów, miał stanąć na czele nowego, potężnego stronnictwa!

Wojna domowa okazała się zarazem wielką katastrofą i cudowną okazją do odmiany losu oraz zmiany stosunku sił we Wspólnych Przestrzeniach. Wierni cesarzowi wygrywali, ród Oruzonów zdobył znaczenie i pozycję, a sam książę obrósł w szczyty i szykował się do rozgrywki o odzyskanie chwały rodu i arystokracji. A przy tym wszystkim miał, jak się zdawało, pełne poparcie cesarza. Oczywiście opieka cesarska, z jednej strony cenna, potrafiła też okazać się zabójcza.

– Prawda! – zawołał Oruzon, przydając głosowi stanowczości. – Prawda! Powiadasz więc, pułkowniku, że wszystko jest gotowe i każdy pomysł tych nędznych spiskowców został już przewidziany przez Służbę?

– Kapitanie – przypomniał Berak

– Fraszka! Gdy nasza operacja zakończy się sukcesem, awansujesz pan z pewnością! Sam się za panem wstawię!

– Wasza miłość jest jak zwykle łaskawy. Czy każdy ich pomysł przewidzieliśmy? To niepodobna. Jednak każdy ich krok winien wieść ku naszemu triumfowi, bo też znajdują się oni, choć o tym nie wiedzą, w klatce, którą dla nich zbudowaliśmy. Gdziekolwiek by się udali, pozostaną w granicach naszych planów i na szlaku ku naszemu sukcesowi. Jak wasza wysokość wie, plan ten nadzorowany był osobiście przez cesarza od czasu zniszczenia stolicy.

– Podła i zatrważająca zdrada! – zawołał z uniesieniem książę. – Tak właśnie! Czy to pewne, że stali za nią generałowie?

Pytał o to przy każdej możliwej okazji, jakby chcąc bez końca potwierdzać, że sam nie miał z owym zamachem nic wspólnego. Berak mu się nie dziwił. Omal nie upadło wówczas, od jednego ciosu, całe imperium. Winni nie mogli liczyć na łaskę.

– Wiadomo z całą pewnością, że byli w to zaangażowani – odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że książę wygłasza oświadczenia jedynie dla skrupulatnie zapamiętujących każde jego słowo szpiegowskich instrumentów, czy to cesarskich, czy własnych.

– Na mój ród! – westchnął książę. – Co też się wyprawia! Rywalizacja pomiędzy arystokracją a generalicją nie była tak zajadła chyba nawet w czasach nierozsądnego cesarza Rajmunda! A wydawałoby się, że właśnie teraz, kiedy gnębi nas wojna, winniśmy się zjednoczyć!

Przez chwilę milczeli w cieniu tego banału. Książę zamarł, wpatrując się znów w kalejdoskop rzezi na ekranie, może szukając tam natchnienia dla kolejnych napuszonych mów. Berak, choć rozumiał znaczenie etykiety i ceremoniałów, żywił dla nich przede wszystkim pogardę. Wszystko, co ubierano w ten zbędny karnawał słów i gestów, dałoby się przecież wyrazić prościej i jaśniej. Ilekroć przychodziło mu stawać przed arystokratami i przedzierać się przez ich dziwaczne rytuały,

tęsknił za surową samotnością wszystkich tych chwil, gdy przestawał jedynie sam ze sobą. Gdy akurat nie zapoznawał się z meldunkami, nie planował następnych posunięć lub nie analizował tych już wykonanych, stan, w jakim się znajdował, najlepiej oddawałoby słowo „pustka”. Bardziej potencjał niż człowiek, przyznawał. Agenci Służby nie dysponowali prywatnością, nie zakładali rodzin i nie odchodzili na emeryturę. Ci, którzy przeżyli wykonywane misje, zużywali się i na starość szkolili młodych, cierpieli w służbie biurokracji bądź awansowali aż ku Kapitule. Berak wiedział, że nawet po śmierci nie wygaśnie obowiązek, który przyjął. Jak wszyscy w Służbie oddał się bogu cesarza, podpisał też aneks Kapituły, toteż służbę w następnym życiu uważał za oczywistą i naturalną. Czym zresztą byłoby życie bez służby?

Książę ocknął się. Klasnął w dłonie, a na ten sygnał wbiegł do gabinetu niewysoki i szczupły, poruszający się z niewyszukaną gracją mężczyzna w seledynowym uniformie załogi *Nelsona*. Berak nie ufał mu ani trochę, żywił jednak dla niego niechętny szacunek. Przybysz był mu też bliższy od napuszonego arystokraty.

– Jewgieniju! Ogłoś już oficjalnie, że jutrzejszego wieczoru na okręcie flagowym mojej floty wydadę bal z okazji odniesionego triumfu! – zawołał Oruzon. – Czynie tak ku czci cesarza, chwale Wspólnych Przestrzeni i jej żołnierzy, a także w intencji jak najrychlejszego ostatecznego zwycięstwa! Jak przygotowania?

– Zgodnie z dyspozycją waszej miłości wynajęliśmy już orkiestrę mistrza Belzetzerra. Udało nam się wykraść ją spod nosa adiutantowi admirała Kurelssena.

– Brawo, Jewgieniju! Oto, drogi kapitanie Berak, co znaczy dobra służba! Co ja mówię „dobra”! Doskonała! Zapewniam cię, panie oficerze, że co najmniej połowę moich sukcesów zawdzięczam Jewgienijowi!

Berak, który nie jeden raz zmuszony był użerać się z ludźmi księżęcego majordomusa, skinał tylko głową.

– Czy coś jeszcze udało nam się porwać admirałowi? – wypytywał książę, uśmiechając się zachęcająco.

– Grupę tancerzy Papy Wosłowa – meldował zadowolony z siebie Jewgienij. – A także harfistkę Baerłę, balet Ishika i poetę Adcewicza.

– Wspaniale! Doprawdy, Jewgieniju, jestem z ciebie dumny! Tym samym zapewniliśmy sobie obecność na naszym balu wszystkich najcielewszych artystów! Już widzę szła admirała! Jak dobrze pójdzie, będzie musiał odwołać swój bal!

– Jeśli wasza ekscelencja zezwoli, pokuszę się o sugestię, że admirał może wcale nie ogłaszać balu.

– Jewgieniju?

– Jego główny kucharz, słynny Buchazerek, jest ciężko chory. Jak wieść niesie, zatrut się przy

kosztowaniu potraw.

Książę wybuchnął śmiechem. Uspokoił się jednak szybko i pogroził swemu słudze palcem. Ponieważ mrużył przy tym filuternie oko, Jewgienij się nie stropił, a nawet uśmiechnął lobuzersko.

– Jewgieniju, ja cię usynowię! – oznajmił książę. – Zostań, proszę, jeszcze przez moment.

Panie Berak, raczy pan powiedzieć, co zajdzie dalej?

– Czy pozwoli pan, kapitanie, że ja to powiem? – zapytał prędko Jewgienij, posyłając oficerowi Służby spojrzanie nieco zbyt zuchwałe.

– Ależ proszę bardzo!

– A zatem podczas szturmego dojdzie do porozumienia pomiędzy częścią ludzi generalicji a kundlami Szkarłatnej Maski. Uciekną z planety na książęcej barce, wtargną na pokład okrętu więziennego i doprowadzą do jego zniszczenia, by zamaskować użycie innergii. Czy tak?

– Jestem pod wrażeniem – przyznał Berak – Doprawdy, książę, zastanawiam się, do czego jestem potrzebny waszej miłości.

– Ależ proszę bez fałszywej skromności, kapitanie! Czy ma pan coś do dodania?

Miałby. Ale nie czuł ochoty, by dzielić się wiedzą z Jewgienijem. O czym książę mógł nie wiedzieć, jego sługa ukończył studia w Akademii Służby, lecz wzgardził jej ofertą, wybierając karierę samodzielnego agenta. Jako odstępcza nie cieszył się sympatią niedysydejszych kolegów.

– Jewgienij przekazał wszystko, co najistotniejsze, wasza wysokość.

– Znakomicie! Zatem pozostaje nam czekać na rozwój wypadków! Teraz proszę, panowie, byście mi wybaczyli, ale muszę rozpocząć przygotowania do balu. Może mi pan wierzyć, przyszedł pułkownik, że pełnienie obowiązków gospodarza takiej imprezy bywa wysiłkiem porównywalnym z grywaniem bitew.

2

Beraki Jewgienij razem opuścili komnaty księcia.

– Ta baronówna – zagadnął agent, trochę by zagaić rozmowę, trochę by udać niewiedzę – kim jest?

– Szamira Talaj Iszubromme. – Jewgienij szybko porzucił napuszony arystokratyczny styl. – Jej ojciec to jeszcze jeden nikt o wielkim nazwisku i tytule. Tak naprawdę służy wraz z córką

blekitnej frakcji cichych. Senatorowie żywią płonną nadzieję, że dziewczynie uda się omotać księcia.

– Nie wiem, czy taką płonną. – Nie powstrzymał się od drobnej złośliwości Berak – Z pewnością przeszła szkolenie.

– Jaki książę.

– Dobrze wiedzieć, że ktoś taki jak pan nad nim czuwa.

– Nie musi pan udawać. Nie cierpi mnie pan.

– Nie lubię pańskiej biografii. Nie porzuca się Służby.

Jewgienij skinął spokojnie głową.

– Odszedłem przed przysięgą, kapitanie. Tak czy inaczej, obaj pracujemy dla cesarza.

– Poniekąd tak – odpowiedział Berak, krzywiąc się na pokaz, by kamery zarejestrowały jego niesmak – Jednak ja mam honor służyć bezpośrednio jemu.

– Czy ostatecznie nie liczy się cel? – zapytał Jewgienij. W jego głosie zabrzmiał zdumiewający nowy ton, który kazał agentowi raz jeszcze zastanowić się nad całą rozmową. Czy odszczepieniec stara się nawiązać porozumienie? Przypodobać agentowi? Jeśli tak, to wybrał ryzykowną drogę. Niemniej niewątpliwie przyciągnął uwagę.

– Ostatecznie liczy się cel – powtórzył Berak – Tak ostatecznie tak.

Teraz Jewgienij pozwolił sobie na lekki, prawie nieśmiały uśmiech. W odpowiedzi Berak, po krótkim zastanowieniu, zaprosił go na lampkę wina do kantyny oficerskiej.

– Mam, pan wybaczy, lepszy pomysł! – zawołał majordomus, tym razem uśmiechając się szerzej i niemal serdecznie. – Proszę pozwolić zaprosić się do mojej kwatery na coś – przymrużył prawe oko – specjalnego!

Z dala od książęcych komnat korytarz zdecydowanie tracił na przepychu, choć gospodarz zadbał o to, by cały okręt wyszykowano na jego miarę. Agenci wciąż przechodzili w cieniu rzeźb i obrazów, mniej już jednak drogocennych i zdobiących mniej bogato skomponowane ściany. Jewgienij, choć powinien stawiać się na każde zawołanie swego pryncypała, zajmował kwatery na obrzeżu jego prywatnych terytoriów. Żył skromnie, w jednym pokoju uzupełnionym łazienką i czymś na kształt małej kuchni składającej się z niewielkiej lodówki, mikrokuchenki i stoliczka przeznaczonego wyłącznie dla jednej osoby. Jewgienij najwyraźniej nie uważał za stosowne przyozdabiać ścian, co było zwyczajem częstym wśród wychowanków Akademii Służby. Niemniej jedną z nich zajmowała dumnie, choć samotnie szabla w pięknej pochwie.

– Podarunek od księcia – wyjaśnił Jewgienij. – Bardzo cenny, bo osobiście tu przyszedł i zawiesił ją na tej ścianie.

– Piękna – ocenił Berak – Naprawdę piękna. Wygląda na starą.

– Bo jest stara. Wręcz starożytna. Nie liczyłbym jednak na to, że pochodzi z zasobów któregoś

z przodków księcia. Raczej z rabunku. Ale to wciąż ładny gest. Proszę, już gotowe.

Gospodarz podsunął gościowi jedyne krzesło, sam zaś usiadł na nie wiadomo skąd wyczarowanym taborecie. „Czyś specjalnym” okazała się prawie litrowa butelka wypełniona nieco mętym, zielonkawym płynem. Wspólnie z dwiema szklankami opatrzonymi książęcym herbem zajmowała niemal sto procent powierzchni blatu.

– Robią to tutejsi chłopcy – rozpoczęła opowieść Jewgienij, otwierając butelkę. – Uprawiają po cichu kawałek ziemi w jednym z magazynów. Niespecjalnie to legalne, tym bardziej że muszą kraść trochę energii, żeby to wszystko naświetlać i ogrzewać. Zbudowali fałszywą ścianę, żeby to ukryć, ale i tak muszą liczyć na to, że bosmani albo tacy jak ja, ciekawscy, przyklną na wszystko oko. Nie za darmo oczywiście. – Mrugnął.

Napełnił szklanki niemal do samych krawędzi. Berak podniósł swoją, powąchał.

– Bogowie! – westchnął.

– Pachnie jak ambrozja, co?

– Jak ambrozja. O ile w piekle pędzą ambrozię.

– Najlepszą tylko tam. Do dna!

Berak sprostął wyzwaniu. Tym łatwiej że bimber okazał się nadspodziewanie dobry, choć wściekle mocny.

– Pierwszy łyk przepala gardło – oznajmił Jewgienij, natychmiast napełniając szklanki ponownie. – Dopiero od drugiego człowiek naprawdę docenia smak. No to na drugą nogę!

Wypili i na drugą. Rzeczywiście, ponowny łyk smakował jeszcze lepiej. Berak przyłapał się nawet na tęsknocie za następnym.

– Jest w tym coś, prawda? – Uśmiechnął się Jewgienij. – Podobno chłopcy wciągnęli w interes jakiegoś kapłana i teraz to, co pan przed chwilą wypił, pochodzi z owoców, które wyrosły z niewielką pomocą inngii.

– Innergetyczny bimber. – Berak pokijał głową z uznaniem. – Brzmi jak niezła reklama.

– Jest niezłą reklamą. To cudo rozchodzi się w całej flocie. Chłopaki nie nadążają z zamówieniami. W rezultacie jest niemal nie do dostania.

– Doceniam gest. A co za nim stoi?

– A musi coś stać, kolego po fachu?

– Zawsze, kolego po fachu.

– Paranoja – westchnął Jewgienij, gdy już wypili. – Cecha zawodowa? Sądzi pan, że teraz wszystko się uspokoi?

– Teraz?

– Gdy padnie ostatnia twierdza rebelii. To już właściwie żywy trup. Dawno byłoby po nich, gdyby cesarz nie chciał zamknąć wojny heroiczną bitwą, którą potem będzie można pokazać

w poruszającej serca epopei.

– Czyżbym niesłusznie doszukiwał się sarkazmu w pańskich słowach?

– Pan i ja mamy podobne zdanie o cesarskim sztabie, kolego. To banda mumii, dla których regulaminy stanowią serce armii, a musztra kwintesencję wojskowości. Nie stać ich na nic poza przesadzonymi gestami. Ponosimy straty mające sens tylko w epopejach.

– Śmierć to dopiero początek

– Niechże pan nie udaje! Nie jest pan durniem! Umarli nie walczą. A wyszkolenie dobrych żołnierzy trwa.

– A jednak wygrywamy.

– Wygrywamy, bo szlachta jeszcze nie zapomniała, jak walczyć, a ludzie tacy jak księżę przepełnieni są pasją. I ponieważ wystarczająco wiele Legionów Obywatelskich pozostało nam wiernych, byśmy byli w stanie powstrzymać buntowników. No i odszczepieńcy trzymali się rozsądnie na uboczu. Ale początkowo, o czym doskonale pan wie, Cesarscy zbierali baty. Bo umieli pięknie maszerować i salutować, ale strzelać... – Machnął ręką.

– Dlatego wołał pan służyć księciu niż cesarzowi? Tu ma pan więcej swobody?

– Służę cesarzowi! – warknął niespodziewanie rozdrażniony Jewgienij. – Służę mu, służąc księciu! Przecież musi pan sobie zdawać sprawę, drogi kolego, że w całej tej gmatwaninie zależności i podstępów księżę jest całkowicie oddany cesarzowi!

– Skoro już tak siedzimy i rozmawiamy sobie po koleżeńsku, szczerze – odpowiedział Berak, obracając szklaneczkę w dłoni – powiedzmy sobie i to, że księżę jest całkowicie oddany sprawie cesarza tak, jak ją sobie wyobraża, i Cesarstwu takiemu, jakie sobie wyobraża.

– Wszechświat jest taki, jakim go sobie wyobrażamy i opisujemy. – Majordomus wyszczerzył się w uśmiechu i znów mrugnął. Kiedy się odezwał, w jego głosie pojawiło się zaskakująco wiele emocji: – Taktwierdzą kapłani. A czy wizja księcia jest zła? Czy sam cesarz nie był już zmęczony stanem, w jaki popadło imperium? Wielowładztwo, wojny podjazdowe, frakcje, które... Czego mogliśmy być pewni przed wybuchem wojny? Chyba tylko tego, że wybuchnie!

– I arystokracja ma być odpowiedzią?

– Nowy typ arystokracji. Gotów wyjść poza umowności ceremoniałów i biurokrację, które opanowały Cesarstwo i niemal zadusiły. Wojna obnażyła słabości takiego systemu. Czas na arystokratów, których wiązać będzie z cesarzem lojalność wynikająca z tradycji i pokrewieństwa ducha. Nie z pieczętami i etykiety.

– Ten sojusz już trwa.

– Ten sojusz musi przetrwać wojnę.

A więc o to chodziło! Wiadomość dla Służby! „Stańcie po naszej stronie”. Cóż, na dobrą sprawę i tak nie mieliby wyboru, skoro cesarz już zdecydował. Ale może Jewgienij bał się

cesarskiego niezdecydowania? Stulecia gier na wszystkie strony nauczyły rodzinę cesarską ostrożności i unikania faworyzowania którejkolwiek z frakcji. Może więc za pośrednictwem Beraka majordomus chciał przekazać wyższym kręgom Służby, że powinny pomóc cesarzowi w podjęciu decyzji?

Berak nigdy nie spotkał cesarza osobiście, ale wśród oficerów Służby krążyły różne wieści. Podczas wojny wzrosli przy tronie nowi, niebezpieczni ludzie. Szeptano o możliwości wyniesienia nowego boskiego patrona. Panowało przekonanie, że władca Wspólnych Przestrzeni postanowił wykorzystać okazję i nie tylko pozbyć się przeciwników, ale też przebudować i uporządkować imperium.

Co, zdaniem Beraka, było nawet zabawne, bo właśnie coś takiego postulowali, przynajmniej oficjalnie, buntownicy.

– Wie pan... kolego, czym tak naprawdę się różnimy, pan i ja? – Tym razem to on sięgnął po butelkę. Opróżnili ją już prawie do połowy. Ponieważ pozbawiono ich radości upojenia alkoholowego, a wobec siebie nie musieli udawać, że jest inaczej, pili jedynie dla smaku bimbrowa oraz klimatu porozumienia budowanego gestem wznoszenia kieliszków. I jeszcze tego ulotnego i fałszywego, a przecież pożądanego uczucia normalności, jakie ofiarowywał taki rytuał. – Pan zadaje sobie pytania, ja nie muszę, ponieważ znam już jedyną ostateczną odpowiedź.

– Cesarz. – Uśmiechnął się Jewgienij. – Jedyna i ostateczna odpowiedź Służby. Jesteście niewolnikami kanonu.

– To niewola, która daje siłę. Obawiam się, że pan tego nie rozumie.

– Przeciwnie! Może mi pan wierzyć, że doskonale to rozumiem. Nie zazdroszczę, ale rozumiem. Proszę mnie posłuchać, kolego po fachu. Wojna domowa dobiega końca. Rebelia została zmiążdżona, zbuntowani, przepraszam – zagubieni bogowie uspokojeni, a Cesarstwo odniosło triumf. Pytanie jednak, czym teraz jest. Nawet generałowie wiedzą już, co się szykuje i że nie ma powrotu do czasów sprzed wojny.

– To prawda, reformy są nieodzowne – przyznał Berak – Ale ciche, spokojne i rozłożone na dziesięciolecia. Chce pan zmian? Jakich? Część arystokracji rozbudziła w sobie ambicje? Tak działo się już wielokrotnie. I zawsze kończyło się tak samo. Rozsądni otrzymywali nadania i awanse, zadufani znikali. Sądzi pan, że książę uzna się za pokrzywdzonego, kiedy cesarz nada mu tytuł i odda jakiś osierocony po buntowniku układ planetarny, oferując na dokładkę preferencje przy terraformowaniu dzikich planet? To są realne zyski z wojny i realna władza. Wojna się skończyła, nastał czas odbudowy. Tylko musimy jeszcze trochę posprzątać. O ile to możliwe razem.

Nie odrywał wzroku od oczu Jewgienija podczas tej przemowy. Czekał na jakiegokolwiek potwierdzenie, że sługa księcia zrozumiał sygnał. Ten odczekał chwilę, uśmiechnął się i spuścił

głowę.

– „Razem” – powtórzył tylko to jedno słowo. – „Razem”. Tak, to dobre hasło i dobry pomysł. Cieszę się, że przyjął pan moje zaproszenie, sojuszniku.

– I ja się cieszę – odparł Berak, wznosząc kolejny toast. – Dobrze, że wyjaśniliśmy sobie wszystko.

Opróżnił szklanekę jednym haustem. Zastanawiał się, jak jego zwierzchnicy przyjmą ofertę Jewgienija. Wiedział, że podobnie jak on, oczekują następnej wojny, nim jeszcze skończy się pierwsza.

Rozdział 3

1

Kaler Bahnian wystukiwał na blacie stolika rytm improwizowanego marsza. Robił to opuszkami palców, niemal bezgłośnie, by nie rozpraszać Piotra Tikle, jednego z wydawców Stacji, przydzielonego do bezpośredniego nadzoru nad reporterami. Pochylali się obaj nad połowym monitorem. Na ekranie myśkujące za źródłami ciepła pociski siewcy masakrowały nieprzygotowanych artylerzystów.

– Patrz! – zawołał Kaler, poddając się ostatecznie rozgorączkowaniu. – Tutaj zrobiłem taki odjazd od tego rozwalonego trupa poprzez wrzeszczącego dziesiętnika na panoramę pola bitwy u stóp wzgórza. Genialne! No powiedz, że tak!

– Nieźle – przyznał wydawca. – Naprawdę nieźle, Kal. Ale nie mam pojęcia, jak to wpleść. No chyba że wezmę to na otwarcie. Miałem inny pomysł, ale to... Tak, wezmę to! Pójdzie tak – Zapalił papierosa, zaciągnął się, przymykając oczy, i dał porwać wizji. – Wejdziemy ujęciem z satelity. Ludzie jak mrówki, ale najpierw mostek Krzątający się oficerowie, ale spokój sztabu. Sekundowe zawieszenie na tym tam, Aubercie od cesarza. Cisza przed burzą. Potem ścięcie z góry, salwa rebeliantów, przejście na twójego siewcę, te trupy, twój dziesiętnik i schodzimy twoim ujęciem na pole bitwy. I wiesz co, zamkniemy całość powrotem na wzgórze, przez osmalone działo i wraki czołgów i ze wzgórza w kosmos do sztabu. Taka kłamra. Zajeboskie! Dałeś mi zajeboską kłamrę, Kal. Tak trzymać! Będziesz miał nazwisko w filmie, brachu! Na wysokim miejscu. To oznacza kasiore, chłopie. I okazje. Nie skop ich, to utrzymasz się w firmie. Czaisz?

– Czaję – bąknął reporter. Olśniewający sukces ujęcia i zajęcie znaczącego miejsca w naprędce montowanej epopei nie ucieszyły go aż tak, jak powinny. Liczył, że uda mu się upchnąć w epopei więcej materiału ze wzgórze. Sprzedać je jako metaforę całej bitwy. Spróbował przedstawić ten punkt widzenia wydawcy, ale ten potrząsnął głową. Szybko, pewnie, bez naigrywania się czy złośliwości. Ale stanowczo.

– To dobre na jakieś festiwale, Kal, ale nie na epopeję. Chcesz zostać artystą? Proszę cię bardzo. Ale wiesz, że to nie da ci ani kasy, ani dostępu. Wojna się kończy, chłopie. Okazje się kończą. Ten materiał to twoja przepustka do świata mediów, wielkiego świata mediów. Ale artystowską ambicją tylko to spieprzysz. Posłuchaj mnie, starego.

– Masz ledwie trzy lata więcej...

– Mam dziesięć lat pracy dla firmy więcej, Kal. Wiem, co pieprzą po sieciach. Że Stacja to, Stacja tamto, pomoc dla dzieci, dla głodujących, ambitne produkcje o nieszczęściach i kłusłach oraz ludzkiej dobroci rzewnej aż do wyrzycania. Nie słuchaj tego, Kal. To robi rzewna komórka, główniana redakcja kręcąca materiały na zadupkach. Nawet nie pojawiają się na bankietach, bo wiedzą, że wierchuszka pozatykałaby nosy. Trzymaj się mnie, Kal, mnie się trzymaj! Jesteś dobry, masz oko, masz nosa, masz jaja. Jak już będziesz spał na kasie i dymał młode dokumentalistki, wtedy będziesz mógł kręcić swoje reportaże. Ale do tego czasu kręć mięcho, bo mięcho jest antenowe. Czaisz?

– Czaję.

– Zajebosko! Bierzemy twój materiał, robimy naszą kłamrę i pniemy się, Kal, pniemy się we dwóch. Sprzedam nasz materiał pięknie i wysoko. Teraz wybac, ale musimy to jeszcze jakoś pospinać.

– Jedna prośba, Ig.

– Wał, wał! – Wydawca zamachał rękami, słuchając go już tylko częściowo. Znow gapił się w monitor, układając w myślach kolejne przejścia i szykując błyskotliwe komentarze.

– Wezmę mały zestaw i skoczę nakręcić coś jeszcze o tej dziesiątce, co?

– Powaliło cię, Kal? Kompletnie cię powaliło? – Spojrzenie wydawcy ponownie spoczęło na reporterze. – Co ja ci mówiłem przed chwilą? Co kogo obchodzi jakaś dziesiątka? Ty jednak chcesz być artychą, co? W dupie masz nasze plany, możliwości?

Reporter westchnął w duchu. Ta robota wymaga cierpliwości, powtórzył sobie. Znikoma część sukcesu to talent czy szczęście. Wszystko, prawie wszystko, to cierpliwość przy użeraniu się z wydawcami, producentami i gwiazdami.

– Nic nie mam w dupie, Ig. Słowo. Jak chcesz, to będę kręcił samo mięcho.

Wydawca pokiwał entuzjastycznie głową. Lubił to słowo. „Mięcho”. Coś, co ludzi rusza, coś, co dotrze prosto do ich bebeczków i je powykręca. To oznaczało premie i karierę w firmie. O ile

starczyło człowiekowi cierpliwości.

– Nie mam w dupie, Ig – powtórzył Kaler. – Ale w tych gościach coś jest. Wiesz, że to jedna z nielicznych nienaruszonych dziesiątek? Od początku kampanii. Wszystkie inne są jak sita.

To każało wydawcy się zastanowić.

– Dobra, Kal. Może masz nosa. Może coś znajdziesz. Ale niech to będzie dobry nos. Rozumiesz? Robimy z tych gości kłamrę. Naszą kłamrę. Nie spieprz mi tego, robiąc z nich jakichś dekonników, czaisz? To są bohaterowie, Kal, albo nie robimy kłamry.

– Bohaterowie, Ig. Rozumiem. Też nie chcę tego skopać.

– Dobrze czaisz, stary. Dobra, bierz zestaw i zrób swój reportaż. Zdobądź sobie jakąś nagrodę i nie mówmy już o tym.

„Bohaterowie”, powtarzał Kaler, taszcząc z magazynu wcale nie taką lekką skrzynię z „małym zestawem”. Zawierał on cztery mikrokamery i podwieszaną na specjalnych szelkach centralkę zaopatrzoną w programy dostosowujące pracę kamer do preferencji użytkownika, umożliwiającą jednak także sterowanie ręczne za pomocą niewielkiego, mieszczącego się w dłoni pada. Całość nie zdałaby się na wiele na polu bitwy, ale do nakręcenia kameralnego reportażu była w sam raz. I można było podczepiać naszczepy i wyłączyć pseudoplusmysł, z którego Kaler korzystał rzadko i niechętnie, by nie zapaskudzić sobie duszy. Wolał już naszczepy i podczepiane do układu nerwowego gogle sterujące kamerami, choć po ich zdjęciu miał ciężkiego kaca. O ile nie zapominał ich zdjąć.

Jak wielu innych uzależniał się czasem od sprzętu. Biegał potem do kapłanów i spowiadał się przed nimi z utechnicznienia ciała, błagając o oczyszczenie duszy. Mógł się później z tego śmiać przy wódce, wykiwając z innymi podobną dewocję. Wiedział jednak, że nie tylko on tak robi. Nikt nie spieszył się do psucia kredytu. Jakkolwiek miałoby wyglądać życie po śmierci. A jak wyglądało, tak naprawdę, po tylu stuleciach, nie wiedział nikt. Kapłani nie pozwalali na reportaż z nieba.

Bohaterowie! Czy ja jestem bohaterem? Czy oni nimi są? Czy bohaterstwem jest robienie tego, co do człowieka należy? Do czego został powołany? Lub do czego po prostu ma smykałkę?

Postanowił, że tak rozpocznie. Oprócz tej smykałki, która dotyczyła raczej jego samego niż dziesiątki broniącej wzgórze. Wciąż układał w myślach scenariusz, gdy podchodził do myszki – niewielkiego, jednoosobowego dwukołowca, którym przemieszczał się zwykle wtedy, gdy nie spodziewał się, że ktoś spróbuje go ustrzelić. Myszka, choć wszędobylska, szybka i całkiem wygodna, nie została zaopatrzona w generatory osłon.

Już prawie wskakiwał na siodełko, kiedy nagle zmienił zdanie i postanowił, że zamiast zamęczać

być może śpiących już wojaków, pójdzie do jakiejś kantyny i nakręci kilka przebitek ze zwyczajnego żołnierskiego wieczoru.

Mógłby wprawdzie pojechać do tamtych ze wzgórze i ściągnąć ich do Perełki obietnicą kilku darmowych drinków. Nakręcić, jak piją, śmieją się, a czasem być może poważnieją niespodziewanie nad szklaneczkami, jakby na wspomnienie nagłych śmierci. Kusilo go to, jednak w tej chwili czuł się wciąż prawie jak ich towarzysz broni. Nie otrząsnął się jeszcze z napięcia tamtego momentu, gdy wraz z nimi kulił się pod zabójczym ziarnem siewcy.

Przyszło mu do głowy, że stał się weteranem nie mniej od żołnierzy. Ganiał po froncie od blisko pięciu lat i niejedno już widział. Wydało mu się w pewien sposób zabawne, że na całej swojej frontowej drodze dopiero teraz, w samego końca wojny, zbliżył się do sukcesu. To była głupia myśl, bo nie powinien identyfikować się z animkami, jak nazywali w Stacji bohaterów epopei. I nie powinno mu się wydawać, że coś osiągnął, dopóki nie będzie spał na pieniądzech.

Zdjął kurtkę, która kiedyś – pamiętała to jak przez mgłę – miała kolor jasnooliwkowy. Czasem narzucał ją nawet na reporterski pancerz. Nosila ślady po tych zuchwałościach. Niechronioną poszarpały odłamki i pociski. Nanowłókna zasklepiały rany kurtki, pozostawały jednak po nich brzydkie, lecz przydające klasy blizny. Nie zmienił jej przez wszystkie te lata. Z jednej strony łatwo przyzwyczajał się do przedmiotów, z drugiej traktował kurtkę trochę jak talizman, który miał zapewnić mu przeżycie, gdy zawiodą wszelkie inne, racjonalne sposoby.

Zastanawiał się, czy nie zdjąć też zabarwionej pyłem koszuli, kiedyś, zdaje się, brązowej. Miał pod nią jeszcze firmowy T-shirt, komicznie błękitny z złotym logo Stacji.

Ostatecznie naciągnął szelki na koszulę, umocował centralkę pod lewym ramieniem, przeciągnął kabel z padem wzdłuż rękawa i ponownie narzucił kurtkę.

Wcisnął wyzwalacz i cztery kamerki uniosły się, pobzykując cicho. Jedna przycupnęła mu na ramieniu. Wpiła się pazurkami w materiał, zamruczała i zgasła. Pozostałe krążyły niewiele ponad pół metra nad jego głową w promieniu około metra.

Na razie śledziły tylko licznych, snujących się po koślawych ulicach Perełki żołnierzy. Jeszcze nie zbierał materiału. Zważył w dłoni reporterskie gogle, nie włożył ich jednak. Gdyby wszedł w nich do kantyny, mógłby taką ostentacją narazić się na gniew żołnierzy, pragnących, by choć tam zostawiono ich w spokoju. Bez oporów z nim pili i rozmawiali, nie zważając na fakt, że nie dzieli z żadnym z nich barw. Opowiadali mu o swoich powodach do dumy i lękach, o dziewczynach, szefach-dupkach i – czasem – o cudach czekających na nich w domach. Niechętnie rozmawialiby jednak z człowiekiem, któremu nie mogliby patrzeć w oczy. Wsunął więc gogle do kieszeni kurtki. Mógł zdać się na programy kamer, w końcu chciał tylko nakręcić kilka przebitek, żadnego poważnego materiału. I tak nikomu by go nie sprzedał. Istniał osobny kanał transmitujący przez całą dobę opowieści z kantyn. I na takie show także znajdowali się

widzowie. Problem w tym, że chłopaki z Kanału T zdobyli wyłączność na te tematy. Gdyby spróbował wejść na ich teren, Kanał T pozwałby jego redakcję przed trybunał Stacji. A przedtem koleżdy po fachu poprzetręcaliby mu kulasy.

Ale za nakręcenie paru minut materiału nikt mu nic nie robi. Maksymalnie pięciu po montażu. Pięć minut było do wzięcia. Armia zapewniała to reporterom, a Kanał T zezwalał na tak nieznaczne wkroczenie na jego terytoria.

Przez chwilę zastanawiał się, dokąd pójść. Knajpy Perełki, choć prowizoryczne, zaopatrzyły się w barwne neony. Kusił miękłkami literami Różowy Flaming walczący o uwagę klientów z Błękitną Wdówką. Za nimi przebłyskiwała żółć neonu Złotej Dziewczyny. Parsknął na myśl o tym, jak bardzo to wszystko pozostawało niezgodne z regułami wojny.

Knajpy i burdele nie były niczym nadzwyczajnym, ale czy nie powinno obowiązywać zaciemnienie? Kilka dobrze wycelowanych pocisków mogłoby załatwić sporą część wojskowej elity cesarza. O ile znalazłby się wśród rebeliantów odpowiednio zdesperowany artylerzysta, któremu starczyłoby odwagi, żeby zadrzeć z tuzami własnego miasta. Dla nikogo nie było tajemnicą, że przy całej tej krwi i zabijaniu funkcjonowała cała masa nielegalnych układów pomiędzy pasożytami i symbiotami przyssanymi do armii cesarskiej a ich odpowiednikami wśród rebeliantów. Ktokolwiek odniesie zwycięstwo w wojnie, oni – jedni i drudzy – z pewnością i tak będą górą.

Kaler wielokrotnie obserwował z nieukrywaniem podziwem wszystkich tych szabrowników, oszustów i zwyczajnych złodziei, robiących swoje małe i większe interesy w cieniu działalności wielkich rodów. Najpoważniejsi gracze Wspólnych Przestrzeni toczyli gry o stawki niewyobrażalne dla zwykłych śmiertelników. Jednak to właśnie ci mali wydawali się reporterowi najbardziej interesujący, choć czasem ich sprytnie pomysły wzbudzały w nim obrzydzenie. Potrafili handlować ciałami i duszami, próbując okiwać nawet bogów. Bywało, że nimi gardził, bywało jednak i tak, że pragnął poświęcić im osobny epos.

Mignął mu Kurdupel Jo, członek jednego z dziesiątków pasożytujących na armii gangów. Jo bywał źródłem cennej informacji, teraz jednak nie zdalby się Kalerowi na nic.

Przebrany za sanitariusza pchał wózek wypchany medykamentami. Zaciskał zęby z wysiłku, ale gnał, że mało mu się nogi nie poplątały. Najpewniej ukradł właśnie cenne lekarstwa ze szpitala lub transportu. Było to poważne przestępstwo, niemal zbrodnia; w pobliżu frontu wiecznie brakowało medykamentów. Nikt jednak nie zastąpił drogi Jo, choć wielu mijających go przechodniów zdawało sobie sprawę, kim jest i czego właśnie dokonuje.

Kaler podrażnił sumienie wizją doniesienia na Kurdupła Jo, po czym odwrócił się plecami do tego zuchwałego aktu łajdactwa i ruszył ku możliwie oddalonej knajpie. Donoszenie na ludzi nie leżało w reporterskich zwyczajach. Na pograniczu zgliszczy etyki zawodowej i polityki firmy

wszystkie bitwy wygrywał zdrowy rozsądek Najgorsza szuja mogła się czasem człowiekowi przydać.

To wszystko wina bogów, czyż nie? Gdyby chcieli, mogliby martwych stawiać na nogi. Zresztą życie to tylko próg raj.

Pozwolił się prowadzić instyktowi, a ten przywiódł go pod Tylko Szeptem. Był to bardziej burdel niż knajpa, jednak i tu można było po prostu napić się i potaćzyć. A najlepiej, gdy człowiekowi towarzyszyła jedna z dziewczynek.

Prawdę mówiąc, Kaler nie miał ochoty na kobietę. Wolałby pograć w karty, popić z chłopakami, słuchając, jak kłną, być może nakręcić kilka ujęć z jakiejś burdy. Skłął swój głupi instykt i już miał zawracać, gdy nagle w drzwiach mignęła mu znajoma sylwetka.

Wnętrze Tylko Szeptem urządzone w miarę możliwości gustownie, co w tym przypadku oznaczało znaczną prostotę, przyćmione łagodnie bezbarwne światło, zwyczajny bar i niemal całkowity brak ozdób. Pod ścianą, przed którą rozciągała się niewielka przestrzeń przeznaczona dla par spragnionych przytulania się do rytmu, ustawiono szafę grającą. Kaler odnosił wrażenie, że jej pamięć zawiera same powolne i klimatyczne kawałki.

Facet, za którym tu przyszedł, opierał się już o bar. Potężny gość pochylał się nad znacznie mniejszą, filigranową wręcz barmanką, by ściszym głosem przekazać zamówienie. Kaler usiadł obok niego. Uśmiechnął się do barmanki, odczekał, aż wielkolud poczęstuje się piwem z dodatkiem orzechówki, i odchrząknął. Każdego innego znajomego szturchnąłby na powitanie albo wałnął serdecznie w plecy. Z tym konkretnym facetem nie należało jednak tak postępować. Goryl miał nerwy zszarpane wojną, a nigdy nie pozwolił sobie zrobić lobotomii.

Wszyscy, którzy zaplątali się w wojnę, widzieli rzeczy, od których cywile, a może nawet i wygodniccy sztabowcy, by osiwieli. Niektórzy zacinali się i zmieniali od tego w bestie, inni radzili sobie za pomocą cynizmu, wzmoczonej religijności, zabawnych na pierwszy rzut oka rytuałów lub przedefiniowania świata, w którym nie było już nic ważnego oprócz kumpi z oddziału czy drużyny. Palili, pili na potęgę, wyżywali się na dziewczkach.

Część przesadzała z odlotem lub furią – dwoma akceptowanymi przez armię narkotykami o przeciwstawnym działaniu; odlot miał żołnierzy relaksować po walce, furia zaś zmieniać w maszynki do zabijania. Nie zachęcano specjalnie do używania któregoś z nich, ale też nie robiono nikomu wyrzutów, jeśli skorzystał z chemicznych dobrodziejstw. Zwykle gdy ktoś uzależnił się od furii, automatycznie uzależniał się i od odlotu. Odwrotna zależność nie zachodziła.

Wszystkie te sposoby zawodziły. Prędzej czy później znajdował się ktoś, kto nie wytrzymał napięcia albo uczestniczył w o jednej masakrze za dużo. Zaczynał mamrotać mantry

o urwanych kończynach, krzyczał albo zamykał się w sobie tak, że nawet ryki dziesiętników nie były w stanie pobudzić go do działania. Takich ludzi oddawano kapłanom z dyplomami z psychiatrii, a oni dobierali się do popsutych od grozy mózgow i korzystając z wiedzy i inngii, zamazywali złe wspomnienia. Wymazać całkowicie się ich nie dało bez poważnego uszkodzenia mózgu; galaretowaty organ za wszelką cenę chciał gromadzić informacje i pamiętać nawet najbardziej przerażające rzeczy, choć przetwarzał je po swojemu.

Można było jednak wytłumić emocje związane z krwawymi wspomnieniami, osłabić osąd wskazujący, co dobre, a co złe, relatywizować makabry i okrucieństwa. Żołnierze nazywali te zabiegi „lobotomią”, bo poddawani im żołnierze wracali odmienieni, jakby nieobecni. Zwykle zmieniali się w milczków zdystansowanych wobec wydarzeń i kolegów. Ożywiali się dopiero podczas walki, jakby adrenalina budziła ich i na powrót przemieniała... może nie w ludzi, ale na pewno w żołnierzy, jakimi byli niegdyś. Prawie nikt nie zgłaszał się na „lobotomię” na ochotnika, ale Kaler słyszał o takich przypadkach.

Czasami, gdy odwiedzał tańsze burdele, wydawało mu się, że w oczach tamtejszych dziwek widzi ten sam polobotomiczny spokój. Rozmawiał z dziewczynkami, ciekawy, co pchnęło je w takie miejsca. Odpowiedzi okazywały się zwykle nużąco banalne i podobne. W końcu przestał pytać, uznał, że nie robi z tego ani mocnego, ani interesującego materiału. To, że wojna zrujnowała część planet, orbitalnych miast czy baz, zmuszając ich obywateli do migracji, a w konsekwencji imania się rozpaczliwych sposobów na przetrwanie, nie stanowiło już żadnej nowości i nie przyciągnęłoby widzów.

Goryl, który teraz spojrzął na Kalera i uśmiechnął się, rozpoznawszy znajomą twarz, nie pozwolił zrobić sobie „lobotomii”, choć kapłani zalecali mu ten zabieg. Wydawałoby się wielki i silny, był jednym kłębkim nerwów.

Pojechał na wojnę szukać sławy, bo znudziła go już praca przy talk-show, kręcenie programów z życia celebrytów i całe to wystawne życie gwiazdy Stacji. Pożądał czegoś więcej – prawdziwego życia. Pragnął krwi, potu i łez.

Przed wojną nakręcił film o dzieciakach kradnących węgiel w nielegalnie drążonych szybach w okolicach kopalni na jednej z bardziej zacofanych planet. Ich życie było ciężkie i krótkie, ale zarabiały na siebie i rodziny. Nakręcił reportaż o polawiaczach malen – pięknych, ale śmiertelnie groźnych meduz, produkujących dla swoich parzydełek substancję uważaną przez wielu za afrodyzjak. Zdobył za te produkcje szereg nagród na festiwalach, ale firma nie zgodziła się ich puścić nawet na najbardziej ambitnym z kanałów. Machnął więc na to ręką i osiadł w serialu policyjnym, w którym reporterzy ganiłi z prawdziwymi gliniarzami, kręcąc strzelaniny i dochodzenia. Robił odcinek za odcinkiem, wybierał najbardziej szalone sprawy i ziewał z nudów.

Wybuch wojny przywitał jak wybawienie. Zebrał zespół, wyduził od Stacji sprzęt i pojechał

na pierwszą kampanię, gdy rebelianci zaatakowali bazy wokół planety Cortese i przypuścili trzy równoczesne desanty na orbitujące miasta.

Natychmiast odkrył, że to nie dla niego. Najbrutalniejsza bitwa miejska była niczym zabawa w porównaniu z wojną. Owszem, wojownicy gangów w miastach-slumsach potrafili być okrutni, okrutniejsi od zdyscyplinowanych żołnierzy. Jednak wojna niosła ze sobą coś, czego do tej pory nigdy nie doświadczył. Wdzierała się do krwi, opanowywała duszę. Przedefiniowywała rzeczywistość, sprawiając, że „normalne życie” stawało się czymś śmiesznym i nierealnym. Była wszechobecna, nie dało się od niej uciec. Nie stanowiła sposobu na życie, raczej zamiennik tlenu. Walki gangów często kończyły się krwawo, ginęło i kilkanaście osób, nad niektórymi się zęciano. Na Cortese 3 Goryl po raz pierwszy zobaczył zwały zmasakrowanych trupów, ludzi, których nie zabito, by coś pokazać czy udowodnić, ale ot tak, przypadkiem, bo pocisk wyrwał się nagle z kajdan programu i zamiast w stanowisko artylerii uderzył w szpital. Widział skutki tego, jak deszcz siewców przetoczył się przez linię obrony, zmieniając ludzi w poszatkwane mięso rozciągające się na przestrzeni kilkudziesięciu metrów.

Już wtedy, na samym początku wojny, Goryl nie wytrzymał. Coś przeskoczyło w jego mózgu, a może i w duszy. Zaczęły mu się trząść ręce, bywało, że się jąkał. Sypiał sam, bo każdej nocy budził się z krzykiem z koszmarów wypełnionych krwią i śmiercią. Zmuszał się do jedzenia i przestał choćby patrzeć na kobiety, w których zamiast piękna i okazji do rozkoszy widział tylko owoce potencjalnie brutalnej śmierci. A przy tym wszystkim nie potrafił oprzeć się wojnie, opuścić jej i wrócić do świata sławy i spokoju.

Mówiono, że nie wyobrażał sobie życia poza wojną, że zawładnęła nim, zmieniła w jedno ze swoich dzieci, że oczy i duszę wypełnione miał przemocą i śmiercią. I że modlił się każdego ranka i wieczora, by wojna nigdy się nie skończyła.

– Nie widziałem cię tu d-dotąd – przywitał Kalera. Zaciskał prawą dłoń wokół szklanki, dzięki czemu drżała trochę mniej. Lewą trzymał w kieszeni. Nie ćpał, nie upijał się i nigdy nie pozwolił zrobić sobie „lobotomii”, tłumacząc, że reporter nie może osłabiać swojej wrażliwości.

Firma pozwalała mu na wszystko. Był geniuszem. Jego materiały sprzedawały się najlepiej i reklamodawcy zabijali się o prawo upchnięcia reklam swoich produktów w okolicach produkcji Goryla. Najwięksi arystokraci zabiegali o niego, gdy szukali reżysera epopei. Dzięki nim Goryl stał się niebagatelnie bogaty. W każdej chwili mógł rzucić pracę. Gdyby umiał.

– I ja cię tu nie widziałem. – Uśmiechnął się zaczepnie Kaler.

Zamawiając piwo, poświęcił chwilę uwagi barmance. Na pierwszy rzut oka nie wydawała się zbyt atrakcyjna, kiedy jednak się uśmiechnęła, dostrzegł w jej ciemnych oczach coś, co wydało mu się figlarną zadziornością. Uderzyło go to. Czyżby znalazł kogoś żywego w tym mieście emocjonalnych trupów? Takie cud nie zdarzał się często.

– A to d-dziwne, bo to moja ulubiona k-knajpa.

– Knajpa? Tylko knajpa? – zadrwił Kaler. – Bo ja widzę, że tu każdy ma kogoś do pary. Nie znałem cię od tej strony, Goryl.

Na moment w szarych oczach Goryla rozbłysnął ogień.

– Nie interesują mnie k-kobiety, Kal. Może kiedyś, k-kiedy to wszystk-ko minie? Ale na razie nie. To moja ulubiona knajpa, bo nikt c-ci się t-tu nie narzuca. Nie ma tu głośnej mmmuzyki, b-burd, hazardu. Kocham to miejsce, czaisz? P-przychodzę tu przy k-k-każdej okazji. A ciebie widzę t-tu pierwszy raz.

– Nogi mnie same przyniosły – poddał się Kaler. – Jakoś tak Pewnie bym nawet nie wszedł, gdybym cię nie zobaczył.

– Aha. Wiesz, to d-dobrze, że mnie zobaczyłeś. To dobre m-m-mmiejsce. I najlepsze dziewczyny w P-perełce, jak słyszałem. Korzystaj, p-póki możesz. A! – Pogroził mu drżącym palcem. – Tylko nie ruszaj M-mai!

– Mai?

– B-barmanka. Zakochała się. Nie ruszaj jej.

– Każdego tak od niej odganasz?

– Tylko ciebie. Wiem, żeś k-kochliwy i t-tylko narobiłbyś sobie kłopotu. P-prawda, Maju?

– Prawda, olbrzymie. – Barmanka pogłaskała dłoń Goryla, a Kaler ze zdziwieniem zauważył, że mężczyzna nie cofnął się pod jej dotykiem. Uśmiechnął się nawet, jakby ten jeden raz zobaczył kobietę, a nie wizję tego, co mogą z nią zrobić dobrze nakierowane pociski.

– Ach... – westchnął domyślnie Karel. – W tobie się zakochała!

– A skąd! – parsknęli oboje, Goryl i Maja, ale to barmanka odpowiedziała:

– Twój kumpel ma już dziewczynę i to taką, która nienawidzi konkurencji. A ja mam innego chłopaka, którego jej wydrę. Najgłupszego dzieciaka w całej armii. Jest durny, jest słodki i jest mój!

Mrugnęła do nich i uciekała, żeby przyjąć kolejne zamówienie od kawalerzysty, który dla Kalera wyglądał jak dziecko. Możliwe zresztą, że właśnie nim był. Hodowani do swych częściowo żywych, symbiotycznych zbroi kawalerzyści wcześniej zaczęli wojaczkę.

– Widziałem twój materiał. – Goryl odmienił bieg jego myśli. Gdy mówił o sprawach zawodowych, natychmiast przestawał się jąkać. – Świetna rzecz. Zamierzasz coś z tym zrobić?

Pochwała w ustach artysty pokroju Goryla mile polechtała Kalera. Na moment zapomniał o reszcie świata.

– Wejście do epopei – pochwalili się. – Jako kłamra! Otwarcie i zamknięcie.

– Pięknie, stary! To twoje drzwi do nieba. Wy pijmy za to! Co zrobisz z tym dalej?

– Dalej?

– Musisz mieć plan. Jeśli kłamra chwyci, zwrócą na ciebie uwagę, zaczniesz kręcić naprawdę gorące rzeczy. Ale musisz mieć plan. Wiedzieć, jak i co sprzedać. A przede wszystkim musisz mieć pomysł, co z sobą zrobić, gdy wojna się skończy. A powiadają, że skończy się lada chwila.

– Wierysz w to? – zaryzykował Kaler.

– Dla mnie nie. – Goryl potrząsnął wielką, kudłatą głową. – Wiesz, pewnie nigdy. Ale ta, ta jedna konkretna wojna dobiega końca. Wiesz co? – Nachylił się nad reporterem i ściszył głos do szeptu. – Możesz dołączyć do mojej grupy, jeśli chcesz. Potrzebuję ludzi, rozbudowuję zespół, zresztą kilku jest już zmęczonych i chce zrezygnować. A ja, ja MAM PLAN!

– Do ciebie? – zdumiał się Kaler.

Goryl skompletował swój zespół na początku wojny i bardzo niechętnie wprowadzał w nim jakiegokolwiek zmiany. Właściwie tylko śmierć kogoś z jego reporterów mogła je na nim wymusić. Praca dla Goryla byłaby nie tylko wspaniałą szkołą, stanowiłaby też okazję, jakiej nie wolno odrzucić.

– Jesteś dobry, Kal. Masz instynkt. Na przykład przyszedłeś tu dziś za mną, nie? Wchodzisz w to czy nie? W ciemno. Tak albo nie. Teraz.

– Jasne, że wchodzę, Goryl! Człowieku! Czy ktoś mógłby ci odmówić?

– Dobra, Kal. – Goryl podsunął mu firmowy komunikator. – Kliknij tu. To preumowa. Jak ją złamiesz, firma cię zmiażdży. Dobra, już jesteś mój. To teraz powiem ci, w czym rzecz, a ty zachowasz to dla siebie. Rozumiesz?

Rozumiał. Goryl mógł być miłym facetem, ale gdyby Kaler go zawiódł, posiadający kontakty w całej Stacji producent sprawiłby, że reporter nie dostałby nawet pracy sprzątacza.

– Dobra. Słuchaj, wojna się kończy i epopeje się kończą. Media będą musiały przerzucić się na inne produkcje. Tak od razu to się nie stanie. Nie da się przyzwyczaić ludzi do produkcji wojennych, a potem kazać im w mgnieniu oka przestawić się na jakieś pokojowe bzdety. Będą powtarzali stare epopeje, coś tam przemontują i sprzedadzą jako „wersję reżyserką”. Przygotują tysiące show z weteranami, wiesz, całe to gównno. Władcy firmy dogadali się już z rządem i wspólnie przygotowują program odbudowy. Firma wypromuje nowy rodzaj bohaterów, bohaterów Odnowy, odbudowy Przestrzeni. Piękne wizje, piękni ludzie, piękny świat. Opery mydlane też przerobią pod tym kątem. Wiesz, weterani wracający do domów i przystosowujący się do nowego życia. Przebudują świadomość widzów i takie tam. Nuda.

– Nuda – zgodził się Kaler, nigdy nieprzejmujący się specjalnie inżynierią dusz. Owszem, zdawał sobie sprawę, że stanowi część czegoś większego, a firma raczej kształtuje społeczeństwo, niż poddaje się jego dyktaturze wyrażanej słupkami oglądalności. Guzik go to jednak obchodziło. Wykonywał pracę, którą kochał, a budowę i tworzenie wzorców rzeczywistości pozostawiał większym od siebie.

– Nuda – powtórzył Goryl. – I firma zdaje sobie sprawę, że tak od razu tego nie przeskoczy. Jasne, część ludzi jest już znużona wojną. Ale jest całkiem sporo takich, którzy na wojnie się wychowali, nie znają nic poza nią. Ci też są pieniędzmi, Kal, ich uwagę przelicza się na całkiem spore cesarskie. Dla nich wojna nie może się skończyć tak od razu, a jednocześnie Stacja chce ich włączyć w program Odnowy. Oni są dla nas. Dla mnie. Wiesz, przygotowuję nową serię, wojenną serię. Będziemy jeździć wszędzie tam, gdzie rebelianci nie przyjmą kłeski do wiadomości. Tam, gdzie zdzielili lokalni dowódcy będą się starali wykroić własne królestwa, gdzie jacyś szaleńcy, którzy mają już tylko wojnę w duszy, będą chcieli ją przedłużyć, ile tylko się da. Wszędzie tam, gdzie będą pożary, będziemy i my. Firma już to kupiła i wpisała w strategię. Mam to, Kal. Mam ten program!

– Szaleńcy z wojną w żyłach? – nie powstrzymał się Kaler. – Dla ciebie w sam raz, nie?

– Wiesz, nie obejmujesz całości, Kal – pozornie nie dał się sprowokować Goryl. – Może nie jesteś tak bystry, jak sądziłem? No, ale – uśmiechnął się złośliwie – przecież nie musisz być. Wystarczy, że masz bystrego producenta.

– Odsuść, Goryl. Dobra, przepraszam, poniosło mnie. Odsuść.

– Odsuścić? W tym zawodzie się nie odpuszcza, Kal. – Mrugnął jednak do niego porozumiewawczo i Kaler, przestraszony już, że nadepnął przysięgi na odcisk, odprężył się. – Spoko, nie mam żalu. Wiem, co o mnie mówią, i wiem, że to prawda. Prawie prawda. Nie rozumiesz idei programu, Kal, a to ważne, żebyś ją rozumiał. Wiesz, to duży format i ważny w strategii firmy. Sam go wymyśliłem, a oni aż piali z zachwytu. Znowu wstrzeliłem się idealnie.

– Instytnk. – Kaler dla odmiany spróbował pochlebstwa, widząc, że Goryl aż pęka z ochoty, by się przed kimś pochwalić.

– Instytnk, szczęście... Jedno i drugie? Do rzeczy, Kal. Ważne, żebyś wiedział, o co chodzi, bo będziesz musiał czasem działać samodzielnie. Nie tylko jako reporter. Myślę, żeby zrobić z ciebie wydawcę. Słuchaj, nie będziemy pokazywać wojny tak jak teraz, to nie będą epepeje. Wiesz, to będzie nowa jakość.

„Nowa jakość”, magiczne słowa. Kaler by się uśmiechnął, gdyby nie padły z ust Goryla. Prawie każdy producent zachwalał w ten sposób swoje programy. „Nowe jakości” okazywały się zwykle odgrzewanymi kotletami bądź niewypalami. Goryl jednak był geniuszem i on rzeczywiście mógł wymyślić coś nowego. I sprzedawalnego.

– Nowa jakość? – powtórzył więc tylko. – Jak chcesz zrobić z wojny nową jakość, Goryl?

– Najprościej na świecie – odpowiedział producent, uśmiechając się szeroko, z dumą. – Jak do tej pory pokazywaliśmy wojnę, Kal?

– Jak? No...

– Zapytam inaczej. – Goryl wyraźnie się niecierpliwił, chciał jak najszybciej ołsnąć

rozmówcę swoim geniuszem. – Po co ją pokazywaliśmy?

– Po co? – bezwiednie powtórzył Kaler. – Dla chwały Cesarstwa, nie? Wszystko to jednak wielka propaganda. Bohaterstwo naszych, kłęski tamtych, trud, krew, pot i łzy dla cesarza...

– Właśnie! Chwała! Pokazywaliśmy wojnę pięknie, Kal. Jasne, krwawo, aż flaki latały. Ale pięknie. Z patosem, aż serca drżały. Z zacięciem i dumą, aż tłumy nastolatków ustawiały się w kilometrowych kolejkach w punktach rekrutacyjnych. Po pierwszym sezonie *Jeźdźców chwały* odsetek rodziców oddających swoje nienarodzone dzieci do hodowli kawalerii wzrósł o 130 procent! To nasza robota, Kal! Miałeś swój udział w tym serialu, nie?

– Miałem. – Przez chwilę poczuł się nieswojo na myśl o tym, że stał za napędzaniem maszyny do produkcji mięsa armatniego.

– No! Nie martw się, ci akurat jeszcze nie trafili na front. To dopiero dzieciaki, wiesz.

– Poprzetwarzane dzieciaki.

– Wszyscy jesteśmy poprzetwarzani, Kal. Wiesz, jednym poprzetwarzano ciała, innym umysły. Patrzysz kamerami, myślisz montażem i sądzisz, że jesteś normalny? Nie daj się omamić kapłanom, chłopie. Nieważne! Słuchaj, z tym patetycznym gównem koniec. Teraz pokazujemy drugie oblicze wojny. Nareszcie dokopujemy suce! Od jutra pokazujemy destrukcję, rozumiesz? Wiesz, koniec z zapotrzebowaniem na bohaterów. Nigdy więcej powiewających sztandarów. Pokazujemy, jak ta dziwka niszczy ludzi, jakie są koszty zwycięstwa. Pokazujemy żołnierzy zmienionych w bestie, pokazujemy, jak muszą ćpać. Wszystko to, co do tej pory musieliśmy omijać, teraz wychodzi na pierwszy plan. Mamy zamęczyć widownię wojną, zniechęcić ją do niej. Przygotować grunt pod odbudowę. Pokazać, że warto inwestować w Odnowę, w budowanie, nie rujnowanie. Rozumiesz mnie, Kal? Rozumiesz, co to znaczy?

Zrozumiał. Pociągnął kolejny łyk piwa, ze zdziwieniem odkrywając, że słuchając Goryla, opróżnił całą szklankę.

– To znaczy – powiedział powoli, dając znak barmance, że chętnie napiłby się jeszcze – że nareszcie będziemy robili porządne programy, a firma na dodatek nam za to zapłaci i puści je w porze największej oglądalności.

– Widzę, że doskonale mnie rozumiesz. – Wyszczrzył się Goryl. – Zarobimy na tej suce i na dodatek wyjdziemy na odnowicieli gatunku. Powiem ci, stary, jak dobrze pójdzie, nakręcimy na koniec antyepopeję i wykroimy dla siebie z rynku taki kawałek tortu, że wyskoczmy w firmie o kilka pięter w górę.

– To jest coś. – Pokiwał głową Kaler, rozumiejąc teraz intencje Goryla. Kasa kasą, będzie mógł się w niej tarzać, ale ambicja to naprawdę potężna siła. Z takim przebicciem Goryl mógł zacząć marzyć o miejscu w Radzie Stacji.

Uśmiechnął się do Mai i podsunął jej pustą szklankę. Odpowiedziała mu uśmiechem, który

nagle rozrósł się zaskakująco i rozświetlił całą jej twarz. Zanim reporter zdążył się ucieszyć, dotarło do niego, że dziewczyna patrzy w jakiś punkt za jego plecami.

– Kotek! – zawołała. – Pyszości!

– Słodzinka! – odpowiedział jej zachrypnięty głos zza pleców reportera.

Zaciekawiony odwrócił się, by sprawdzić, kto wywołał taki entuzjazm dziewczyny. Zmrużył oczy, by przyjrzeć się przybyszowi. Wydawało mu się, że dostrzega w nim coś znajomego.

– A oto i nasz k-kochaś – zdradził mu Goryl. – Szczęściarz, wiesz.

„Szczęściarz” był zaskakująco niewysoki, prawie mały, ledwie wyższy od barmanki. Miał na sobie cokolwiek podniszczony i z lekka pomięty, ale czysty mundur piechoty z fioletowym godłem Urmińczyków na lewym ramieniu. Gdy mijał Kalera, reporter poczuł zapach wcale nie najtańszej wody kolońskiej, spod której wciąż jednak przebijał się ciężki smród bitwy, jakim przeniknęli oni wszyscy.

– Hej, bracie! – zawołał Kaler, rozpoznając mężczyznę.

– Hej, panie cesarski reporterze! – odkrzyknął Rachuba, klepnął go serdecznie w ramię i jednym susem przesadził bar, by dopaść Mai, objąć ją i wycałować.

– Spieniłam przez ciebie piwo! – zawołała z udanym oburzeniem.

– Nie szkodzi. Lubię takie – pospieszył z odsieczą Kaler.

Mrugnęli do siebie z Rachubą, a Maja roześmiała się serdecznie.

2

– Wpadłem tylko na moment! – oznajmił niewesoło Rachuba, gdy już się wyściskali i wycalowali, a Maja wyrzuciła go na właściwą stronę baru. Nalała mu darmowego piwa i właśnie wybierała się zameldować Damie w Czerni, że zamierza udać się do pokoju na piętrze ze swoim ulubionym klientem, gdy ten odezwał się tak niecie.

– Nawet nie waż się tak mówić, Igo Telsa! – zawołała. – Nie waż się choćby zasugerować, że wpadłeś tu po piwo dla swoich kumpli, a nie po to, żeby w pierwszym rządzie spotkać się ze mną i oddać mi wszystkie swoje cenne minuty!

Wyglądała na prawdziwie zagniewaną. Rachuba aż skurczył się pod jej spojrzeniem.

– Kiedy bym tak nie powiedział – bąknął stropiony. – Ale widzisz, słońce, chłopaki odwalają robotę sieroty, a ja urwałem się po piwo dla nich. I jaknie chcę być ostatnim...

– Ostatni to może być twój raz tutaj, jeśli natychmiast nie zaczniesz się zachowywać jak człowiek – ostrzegła go. – Idę na górę, Igo. I jeśli tam do mnie nie dołączysz, to zapewniam cię, że ten lokal jest pełen mężczyzn, którzy oddadzą wszystkie swoje pieniądze za to, na co ty otrzymujesz zniżkę!

Mrugnęła do Goryla, zamieniła kilka słów z Damą w Czerni, korpulentną eksdwiłką, która osiągnąwszy lat sześćdziesiąt, uznała za stosowne otworzyć własny lokal, miast pracować w cudzych.

– Wiesz, że cię lubię, chłopcze – odezwała się wystudiowane niskim i zachrypniętym głosem do Rachuby. – Oszczędzam nawet Maję dla ciebie, choć bogowie mi świadkami, nie jest to korzystne dla moich interesów. Wiem, że macie plany. Ale jeśli będziesz traktował ją w ten sposób, stracę dla ciebie całą sympatię. To wspaniała dziewczyna i należy jej się wszystko, co najlepsze. I wiesz co? – Wycelowała w niego stosownie czarny, koronkowy wachlarz. – Nie powinnam ci o tym przypominać.

– Niech to cholera i jeszcze raz jasna cholera! – zaklął Rachuba. – Chłopaki mnie zabiją!

– Może nie – odezwał się Kaler, któremu przyszło do głowy, że mógłby wykorzystać sytuację. – Jeśli chodzi im tylko o alkohol, to mogę im go zawieźć.

– Ty? – Spojrzenie Rachuby stało się czujne. – Niby czemu?

– Siedzieliśmy razem na tym wzgórzu. – Uznawszy, że ta odpowiedź może nie wystarczyć nieufnemu żołnierzowi, Kaler spróbował czegoś w rodzaju szczerości. – I mam w tym swój interes. Chcę z wami pogadać i może nawet to nakreślić.

– Reportaż, co?

– Mam zamówienie.

– Na nas, he?

– Daliście dziś czadu.

– No, nie? – Rozchmurzył się Rachuba. Cały czas zerkał na schody, jakby spodziewał się zobaczyć na nich schodzącą zagniewaną Maję albo przemykającego chyłkiem na górę konkurenta. – Dobra, panie redaktor, trzymacie mnie z Mają za jaja. Pięć skrzynek srebrnego niedźwiedzia dla chłopaków. Na rachunek setni. Mój maruda stoi na zewnątrz. Taki poharatany.

Rzucił reporterowi kluczyki. Ten w zamian dał mu kartę uruchamiającą myszkę. Żołnierz złapał ją w biegu.

– Co t-to było? – Goryl uniósł brwi, zdumiewając się dobroci kolegi. – B-braterstwo jakieś?

– To ci ze wzgórza. Wiesz, z kłamry.

– Chcesz zrobić dokrętkę?

– Chcę zrobić o nich materiał.

– Aha. Dobra. Tylko p-pamiętaj, jak wojna oficjalnie się skończy, pracujesz dla mnie.

Załatwię, co trzeba w firmie. A wtedy rzucasz wszystko, wiesz?

– Rzucam wszystko! – przytaknął Kaler, dopijając piwo. Nagle coś przyszło mu do głowy. – Goryl, a może wyskoczysz ze mną? Poznasz tę ekipę. Są... – zawahał się.

– Są jak wszyscy żołnierze – wpadł mu w słowo Goryl. – Trochę zadziorni, t-trochę twardzi, trochę p-przytłoczeni tym wszystkim. I pewnie cholernie nie chcą umrzeć p-przed końcem wojny. Ale – westchnął nieco na pokaz – w sumie co innego m-mam dziś do roboty?

Uruchomili porzuconego marudę i podjechali nim pod sklep, który polecił Goryl. Tam wzięli piwo na rachunek producenta. Uznali, że przyda się wkuścić w łaski żołnierzy.

Maruda podskakiwał na byle jak ubitej drodze. Nie jechali trasą dla generałów, ale czymś, co tylko na w pół oficjalnie było drogą. Wytyczył ją raczej front niż inżynierowie armii. Było już ciemno, a wypite piwo lekko szumiało Kalerowi w głowie, dlatego chętnie oddał miejsce kierowcy Gorylowi. Podczas drogi przeklinał się za to, bo tamten prowadził jak wariat, wyciskając z wojskowego rzęcha ostatnie poty. Dotarli wreszcie do obozu, gdzie strażnicy długo studiowali ich legitymacje, nim przepuścili ich dalej. Wyraźnie mieli ochotę potargować się o kilka butelek piwa, nie mogli jednak nijak przyczepić się do dokumentów.

– Widać, że wszystko się k-kończy! – ocenił ponuro Goryl, gdy ku uldze Kalera znacznie wolniej przejeżdżali przez obóz w poszukiwaniu stanowiska dziesiątki Pniaka. – Są już rozluźnieni. Więcej piją, mniej się p-przykładają. Założę się, że tam, w mieście, jest p-podobnie, wiesz. M-może jeszcze gorzej, bo tamci dodatkowo wiedzą, że są skończeni. Sam już nie rozumiem, czemu się nie po-poddają.

– Może wiedzą coś, czego my nie wiemy? – podsunął Kaler.

– Nie denerwuj mnie, K-ka! Nikt nie ma prawa wiedzieć czegoś, czego ja n-nie wiem! No, chyba jesteśmy! Wszystko naokoło w fioletowych p-proporcach.

Zatrzymał marudę i zapytał przechodzącego żołnierza o dziesiątkę Pniaka.

Znaleźli ich zmęczonych, złych i zniecierpliwionych.

– Piwo dla wszystkich! – zawołał, wyskakując z marudy Kaler. – Z pozdrowieniami od Rachuby.

Tylko jeden z tamtych zarechotał. Pozostali jedynie się wykrzywili. A facet prawie równie duży jak Goryl podbiegł do nich, wyraźnie daleki od radości.

– Gdzie Rachuba? – zapytał.

– Postanowił zostać chwilę dłużej. Pomyślał, że jeśli dostaniecie piwo, nie będzie pan miał nic przeciwko, dziesiątniku.

– Mam wiele przeciwko – warknął Pniak – Mam cholernie wiele... Zaraz. Pan jest tym dziennikarzem?

– Kaler Bahnian. A to Gor... Samael Bosh, producent, jeden z największych ch.

– Jesteśmy panu coś dłużni, panie Bahnian. Mimo to muszę zapytać, co pan tu robi. Z naszym piwem? W naszym marudzie?

Wyjaśnił im. Tym razem uśmiechnęło się jeszcze paru i zaprosili go do ogniska. Wsunął rękę pod kurtkę i przełączył dwie kamery tak, by szukały ujęć twarzy, tylko jednej pozostawiając plany ogólne. Obudził też kamerę na swoim ramieniu. Gdy kończył, Goryl już się chwalił, że piwo on postawił. Przyjęli to pomrukiem zadowolenia, ale ich zaufanie nie wzrosło. Zwłaszcza dziesiętnik wydał się Kalerowi podejrzliwy. Zapamiętał go inaczej ze wzgórza. Ale też sytuacja była wtedy inna.

– Czyli przyjechał pan z nami porozmawiać? – dopytywał się chyba najbardziej zainteresowany przybyciem dziennikarzy Drobina. – Posłuchać o naszych czynach? Nagrać nasze bohaterskie opowieści? Możemy kogoś pozdrowić?

Pies parsknął cicho. Widząc, że przyciągnął tym uwagę Goryla, opuścił głowę, udając zainteresowanie etykietką butelki.

– Wasze bohaterstwo już mam. Nagranie ze wzgórza poszło do epepei. Właściwie najprawdopodobniej będzie ją otwierać.

Drobina zapiał z zachwytu. Za to Pniak jakby się skrzywił. Widać nie pociągała go sława.

– Wiecie, że wojna się kończy? – przyłączył się do rozmowy Goryl. – Co p-planujecie robić potem?

– O takich rzeczach się nie mówi! – warknął Pniak, nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć.

Jego ludzie szybko pokiwali głowami.

– A przed wojną? – nie ustępował Goryl. – Co robiliście przed wojną?

– Ja służyłem w wojsku, Rachuba był, zdaje się, rolnikiem.

– Raczej złodziejaszkiem! – podrzucił szefowi Kukielka.

– W każdym razie pochodzi z jakiejś rolniczej okolicy – dokończył Pniak, gdy ucichł śmiech. – Ale to prawda, że ma pewien talent do... organizowania różnych rzeczy. Kukielka, ten dowcipniś, to serce oddziału, pełen życzliwości, zawsze skłonny, żeby powiedzieć coś dobrego o kumplach. Pochodzi z Khaanu, orbitującego miasta, o którym wiele nie mówi. A jeśli już, to kłnie. Drobina urodził się w kuchni i marzy, aby umrzeć z przejedzenia. To normalni ludzie, jak wszyscy. Nie różnimy się nic a nic od dowolnego oddziału.

– Zdamę sobie sprawę – powiedział szybko Kaler, zanim Goryl wpadł na pomysł, by trochę bardziej podrażnić. – Zdamę sobie z tego sprawę. Ale tak się złożyło, że to was nakręciłem dziś na wzgórzu. Wy staniecie się otwarciem epepei. Dlatego powiedzcie mi coś o tym, kim i jacy jesteście, skoro nie chcecie opowiadać o planach na przyszłość.

– Wojna zaraz się skończy, za chwileczkę – mrucał Rachuba. Leżał w łóżku Mai, opierając głowę na jej brzuchu, miękkim, ciepłym, dającym poczucie błogości i bezpieczeństwa. Palili skręta z mieszaniny tytoniu i jakiegoś lokalnego zioła. Podobno ubarwiało wspomnienia i seks wydawał się po nim lepszy, niż był. „W naszym przypadku – jak podkreślał Rachuba – jeszcze lepszy. Choć to prawie niemożliwe”. – I będziemy wolni.

– Nie mów tak – poprosiła cicho, gładząc go po krótko ostrzyżonej głowie. – Nie mów, co będzie jutro.

– Odłożyłem niezłą sumkę – ciągnął niezrażony. – Trochę z żołdu, trochę z innych rzeczy. – Mrugnął do niej.

– Ja też odłożyłam trochę – powiedziała niechętnie. Nie chciała rozmawiać o przyszłości, ryzykować przekleństwa jakiejś duszy niechętej ludzkiej radości. Kapłani twierdzili, że duchy nie mszczą się na żyjących, nie na tym świecie. Że utrzymywane w ryzach przez bogów, czekają po drugiej stronie, zbierając siły i gromadząc sojuszników. Że lepiej zasłużyć się bogu, jeśli podpadło się człowiekowi, ale bać się jest czego dopiero po śmierci. Nie słuchała ich. Wyniosła z domu opowieści o mściwych duszach wędrujących po świecie i rzucających cienie na szczęście innych, jeśli ktoś za bardzo się nim chwalił.

Jednocześnie jednak nie chciała oddawać całej inicjatywy Rachubie. Zależało jej, by zrozumiał, że i ona ma coś do powiedzenia, że nie jest tylko jeszcze jedną laleczką czekającą na zbawienie. Perełka była pełna takich dziewczyn. Krzątały się wokół żołnierzy, wybierały spośród nich tych, którzy byli dobrzy pod jakimś względem, i przywiązywały ich do siebie. Marzyły, że kiedy staną się żonami i matkami, nikt nie zapyta ich o przeszłość.

Maja miała własne marzenia. Znalazła w nich miejsce dla mężczyzny, ale odkładała poznanie właściwego faceta na później, gdy już sama ułoży sobie życie. Rachuba pojawił się w jej świecie niespodziewanie i wywrócił wszystko do góry nogami.

Teraz, zamiast martwić się tylko o siebie, musiała myśleć jeszcze o nim. Zaradnym i upartym, ale zarazem tak bardzo słabym w tym swoim dziecinnym przekonaniu o czekającym ich w przyszłości szczęściu. Musiała go strzec, bo go kochała i nie chciała, by dostrzegł go złośliwy los.

– Ja też odłożyłam trochę – powtórzyła. – Nawet niezłą sumkę.

– Po tym setniku, wiem – odezwał się niepotrzebnie.

– Nie tylko! – odpowiedziała ostrzej, niż zamierzała, zła, że wypomniał jej setnika, głupiego, zakochanego faceta przekonanego, że może kupić ją drogimi prezentami. Sprzedała wszystkie te jego pierścienie, bransolety, suknie i drogie perfumy, jak tylko się dowiedziała, że podmuch eksplozji urwał mu głowę. Głupią, zakochaną głowę. – Oszczędzałam. Wiesz, durniu, kobiety potrafią oszczędzać!

Szurchnęła go w kochany pusty łeb.

– Ej, no! – zaprotestował. – Przecież żartowałem!

– Czasem potrafisz wyjątkowo głupio żartować. Wiesz co, idź już może? Ochłoń?

– Wolałbym jeszcze poleżeć.

– Jasne, leniu. Ale ja muszę pracować. Mogę się z tobą włóczyć choćby i do rana, ale będziemy musieli za to zapłacić Damie w Czerni.

– Myślałem, że mnie lubi!

– Dlatego masz zniżkę, a ja częściej stoję za barem, niż robię co innego.

– Zapłacę jeszcze za godzinę leżenia i słuchania, jak się złościsz.

– Jesteś bałwan!

– Może jestem. Ale nie wyrzucisz mnie z łóżka.

– Jak zapłacisz, to nie.

Pokazał jej język, więc pochyliła się, żeby złapać go zębami. Spóźniła się, dlatego ugryzła go w wargę, mocno, aż syknął z bólu. Poderwał się, rozrzucił jej ramiona, usiadł na niej okrakiem i pocałował. Poczula smak krwi.

– Pozwól mi choć zgasić papierosa – zachichotała. – Ty nieogolony barbarzyńco! Pozwól mi zgasić papierosa, nim puścimy wszystko z dymem!

Później płakała, ilekroć przypomniła sobie tamtą noc. Płakała, ilekroć wspomniała, że potrafiła się na niego złościć, że liczyła mu minuty niczym zwyczajnemu klientowi, że wzięła od niego pieniądze, że nie zostali do rana, że w ogóle go wypuściła. Szlochała nad pamiętkami po nim i przeklinała samą siebie i nawet trochę jego też (ale to później), że dała mu się wciągnąć w to planowanie przyszłości. Nigdy więcej tego nie robiła. Nie kusiła losu, zastanawiając się, czym się zajmie, gdy skończy się wojna, gdy skończy się ewakuacja, gdy skończy się jej praca u Damy w Czerni. Jeśli nawet przejmowała się przyszłością, nie myślała o niej.

I może dobrze. Przyszłość przecież sama się dla niej zaplanowała. Wiele przyszłych wydarzeń miało swoje źródła wcześniej, ale dla Mai najważniejsze węzły losów splotły się właśnie tamtego wieczoru, w tych kilku momentach pomiędzy nią, Rachubą, Karelem i Gorylem.

Rozdział 4

1

Odkąd flota Cesarstwa zapanowała niepodzielnie nad przestrzenią wokół Irlium, planetą, na której tak uparcie broniły się resztki buntowników, ruch na orbicie znacznie się zagęścił. Oprócz okrętów i barek wojskowych roilo się teraz od prywatnych jachtów należących do spragnionych spektaklu wojny bogaczy, statków Stacji, prywatnych artystów, a nawet pojazdów wynajmowanych przez rodziny walczących na powierzchni planety oficerów. Pomiędzy nimi można było trafić na majestatyczne świątynnokręty kapłanów wszelakich bóstw, latające bazy rozrywki i na przedstawicielstwa Rozproszonych oraz Związku Niezależnych Światów.

Wszyscy oni zawiśli nad dogorywającym ogniskiem oporu, spokojni i bezpieczni – buntownicy nie dysponowali już środkami mogącymi stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla statków unoszących się w przestrzeni.

Nic więc dziwnego, że tam właśnie, na orbicie, zebrali się dowódcy i oficerowie na ostatniej naradzie przed szturmem na miasto.

Naradzie, w obecności księcia Oruzona oraz pana Filipa Auberta, szambelana cesarskiego, przewodził dowodzący całą operacją przywrócenia Irlium Wspólnym Przestrzeniom marszałek Franciszek Grouchon. Dobiegał osiemdziesiątki. Choć od lat nie zapuszczał się na front, rozpoczynał karierę jako oficer liniowy. Zyskał tym szacunek generalicji i żołnierzy, mimo że poprzez małżeństwo zaliczał się raczej do stronnictwa arystokracji. Powiązania i znajomości, nad którymi pracował przez całe życie, uczyniły go najdoskonalszym kandydatem na dowódcę armii

Wspólnych Przestrzeni w czasie wojny, która nie tylko przyniosła Cesarstwu chaos, ale i rozbudziła stare nieufności.

Cesarz, jak wydawało się wielu osobom, zagubiony w nagłym, niespodziewanym kryzysie, z radością skorzystał ze wsparcia zasłużonego oficera. Odkurzone zapomnianą buławę i tytuł, którego nie używano od setek lat. W ten sposób generał Czarnej Gwardii, niegdyś elitarnej, z czasem głównie reprezentacyjnej jednostki odcinającej kupon od dawnej chwały, został marszałkiem i stanął na czele pięciu armii i ośmiu flot Wspólnych Przestrzeni. I potraktował swoje zadanie poważnie – musiał przyznać to każdy.

Gdy obejmował dowództwo, armie cesarza znajdowały się w rozsypce, a siły buntowników zyskiwały coraz więcej sojuszników. Tradycyjnie związane z Cesarstwem Niezależne Światy coraz zuchwalej przypominały o swej dotąd wyłącznie tytularnej neutralności, Rozproszeńcy zaś grupowali floty i wysyłali je na bezczelne patrole coraz bliżej granic Wspólnych Przestrzeni.

Nowy marszałek położył temu kres. Okręty VII Floty zniszczyły kilka szczególnie zuchwałych jednostek Rozproszeńców, a następnie „wybrały się na patrol” w rejon przestrzeni kilku planet należących do ZNS. To wystarczyło, by zlikwidować potencjalne zewnętrzne zagrożenia. Resztą zajęli się agenci Służby, rozogniając na powrót kilka starych konfliktów wśród Rozproszeńców i „niezależnych”.

Marszałkowi udało się opanować panujące w armii rozprężenie. W ciągu pierwszych lat wojny poświęcił kilka systemów, oddając je rebelii, skupiając za to nadające się do walki oddziały na obronie tych, które uznał za najważniejsze. W dwa lata wzmocnił własną armię, a po kolejnych trzech, gdy wśród buntowników zaczęły pojawiać się pierwsze zaszczerpione przez Służbę niesnaski, przystąpił wreszcie do kontrataku. Odtąd odnosił niemal wyłącznie sukcesy. Pięć armii ruszyło w trzech potężnych kontrofensywach, stopniowo wypierając buntowników z zajętych przez nich systemów, a z czasem kierując się ku ich systemom rodzimym.

A teraz wszystko miało się skończyć.

Marszałek przybył, by osobiście czuwać nad ostatecznym ciosem zadawanym rebelii. Wydawał się spokojny, choć ten sukces stanowił zwieńczenie jego niezwyklej kariery. Przez dwanaście lat wojny dysponował władzą równą nieomal cesarskiej. Triumf prowadził do odsunięcia starzejącego się dowódcy w cień cesarza.

Marszałkowi zdawało się to nie przesładzać. Ci, którzy znali go dobrze, utrzymywali, że jego plany i ambicje polityczne nie sięgały poza wojnę. Urodził się, by służyć lepszym od siebie, mówiono. Chyba zgadzał się z taką dewizą.

Wszyscy zgromadzeni w sali narad patrzyli tylko na niego. Każdy z własnego powodu. Torian Ugrel na przykład, jeden z wysokich oficerów Służby oddelegowany do najwyższego sztabu, zastanawiał się, na ile marszałek pozostaje szczerzy w swoich deklaracjach. Jednocześnie rozważał

konsekwencje kilku rozkwitających spisków w marszałkowskim kontekście, oceniał plan uwiedzenia jego młodej żony i rozgrywał w pamięci niekończącą się partię szachów, jaką toczył od lat z kimś, kogo mógłby określić mianem swojego najlepszego wroga. Zdawał sobie sprawę, że bez względu na plany marszałka już teraz wielu ludzi pracuje nad przyciągnięciem go do własnego stronnictwa. Na Grouchona nie czekała spokojna starość, jak sobie marzył.

Podobne myśli nie zaprzętały Igora Tie, najbliższego spośród adiutantów marszałka. Ów młody, ale niezwykle utalentowany człowiek szczerze, jak uważano, podziwiał swego zwierzchnika i cieszył się każdą chwilą, w której mógł mu towarzyszyć. Właśnie jego profil uchwycił Mistrz Ro, jeden z najpotężniejszych ludzi w Stacji. Choć obecnie zajmował się przede wszystkim planowaniem i rozgrywaniem medialnych kampanii, pochlebiał sobie wspomnieniami reporterskiej młodości i wciąż jeszcze potrafił odbierać młodym dziennikarzom najlepsze kąski. Uwijał się pomiędzy generałami i ich pomocnikami, przygotowując materiał, który zaplanował jako wstęp do jednej z największych epopoi medialnych w historii.

Oczywista wyobraźnia widział już przebitki z generalskich twarzy na ujęcia z pola walki. Nowa polityka Stacji odnośnie do reportaży wojennych nie była mu obca, w istocie należał do jej twórców. Dlatego zamierzał ukazać, jak plany zamyślonych sztabowców zmieniają się w krwawą rzeczywistość, poprzez takie właśnie ujęcia – od przyciemnionych wnętrz, pozornie spokojnych, lecz w istocie pełnych napięcia, do eksplozji krwi i przemocy. Wszystko to miało być pokazywane na przemian i splecione w warłócz zamierzeń i realizacji, który ukazywałby widzom zarówno chwałę, jak i gorycz zwycięstwa.

Obraz miasta unosił się przed nimi. Mogli niemal dotknąć spustoszonych przedmieść, zrujnowanych dzielnic otaczających chronione polem wyzywająco nietknięte centrum.

– Atak, który poprowadzili, był gestem rozpaczony – przerwał milczenie marszałek, znajdując wreszcie słowa godne rozpoczęcia tej narady. – Bo nie zostało im już nic ponad gesty. Nawet ta odsiecz spiesząca im na pomoc nie była niczym więcej. Odparliśmy ich z naszych terytoriów, zdobywaliśmy ich planety i placówki jedną po drugiej, aż wreszcie zostało im już tylko to miejsce, gdzie wszystko się zaczęło, rodzinna planeta buntu. I ją także zajęliśmy. Bitwa za bitwą, desant za desantem, szturm za szturmem. Uspokojenie Wspólnych Przestrzeni zajęło nam dwanaście długich lat, panowie. Dwanaście lat nieustających kampanii. A potem potrzebowaliśmy kolejnych dwóch dla tej upartej, krnąbrnej planety. Ale dotarliśmy tu. Dotarliśmy do serca buntu, otoczyliśmy resztki rebeliantów. I wkrótce ich zniszczymy. Przybyliśmy tu, aby to zakończyć.

Nagrodzono go okłaskami. Uśmiechnął się. Mistrz Ro uznał to za ujawnioną próżność, zanotował prędko zdanie: „Ten jeden człowiek nie musi się jednak wstydzić próżności i dumy. Zasłużył na nie, ratując imperium”.

Jakby biorąc przykład z marszałka, tym razem uśmiechnął się reporter.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, jak ważne były wypowiedziane tu słowa. Narady, nawet najdrobniejsze, zawsze rejestrowano, tym razem zapisywali się jednak nie w wojskowych archiwach, a w wieczności. Zamykali opowieść, która rozpoczęła się dawno temu od słów samego cesarza: *Generale Grouchon... marszałku Grouchon, musi pan ocalić naszą przyszłość. Musi pan wytrwać i zwyciężyć tam, gdzie nie radzą sobie nawet nasi bogowie.*

Wszystko to były tylko słowa. Ale słowa – jak wiedział Mistrz Ro – nadają rytm historii i ją kształtują.

A że uważał się za mistrza słów, uznał to za fakt wielce mu sprzyjający.

Choć kamery rejestrowały twarze wszystkich oficerów, Mistrza Ro interesował w tym momencie wyłącznie marszałek. Cóż mu tam oficerowie, cóż milczący jak zwykle szambelan cesarski, przybyły tu, by odegrać swą rolę symbolicznej cesarskiej obecności. Oto Grouchon przechodzi do historii!

– Większość panów zna założenia planu, sami uczestniczyliście w ich przygotowywaniu. Powtórzę jednak podstawowe punkty dla tych, którzy nie byli dotąd wtajemniczeni. Szczegóły znajdują się w materiałach, które otrzymacie po zakończeniu narady. Jak wiecie, bogom buntowników zostało przedstawione ultimatum. Jeżeli się wycofają, ich winy zostaną zapomniane. Przyjęli je wszyscy z wyjątkiem jednego. Pan Ton, duch Irlianu, nie chce opuścić swoich ludzi. To poniekąd zrozumiałe. Byłoby nam łatwiej, gdyby okazał się rozsądniejszy, niemniej został sam. Możemy założyć, że tym razem, nawet jeśli planeta będzie starała się walczyć, spotka się z więcej niż godną odpowiedzią. Przejdźmy więc do następnego zagrożenia – bariera.

Bariera – pole ochronne, które tak długo pomagało miastu się bronić, nieznanym przedtem melanz ludzkiej techniki i innergetyki – słabła stopniowo w ciągu oblężenia. Dzięki temu żołnierzom Wspólnych Przestrzeni udawało się zdobywać przedmieścia, a potem kolejne części miasta, z którego ustępowała ochrona buntowników. Przez upór boga Irlian nie było to proste – każde drzewo, każdy skrawek ziemi występowały przeciwko nim. Wierni cesarzowi bogowie starali się neutralizować te zagrożenia, jednak nawet najpotężniejsi z nich nie byli tu u siebie. A zrozpaczony Pan Ton korzystał z najbardziej szalonych środków, by chronić swych wiernych. Cesarscy szykowali się nawet na atak uwolnionych dusz, lękając się, że mógłby oszaleć do tego stopnia, by ich użyć. Tak jak przewidywali kapłani, bóg nie sięgnął po taką broń, korzystał jednak z każdej innej. Dlatego sukcesy cesarskiej armii okupione zostały zagładą miasta. Bombardowano każdy dom. Artyleria oblegających nie milkła, póki nie zrównano z ziemią całych dzielnic. Dopiero wtedy wkraczali do nich pierwsi zwiadowcy. Podobno cesarz płakał, gdy oglądał zdjęcia zniszczonej metropolii, jednego z najstarszych i najpiękniejszych ludzkich miast.

– Bariera – powtórzył marszałek – Nasze szczęście, że nie opracowali wcześniej tej techniki.

Gdyby każde miasto chroniło to... obrzydliwość, wojna mogłaby trwać jeszcze dziesięciolecia. Spójrzcie, ile czasu tu nam zabrała! Ale mamy już na nią sposób. Pole jest dziełem ich głównego maga, przekłętą Szkarłatną Maską. Jednak nawet on nie byłby w stanie zapewnić odpowiednich ilości innergii dla stałego podtrzymywania pola. Zajmowali się tym bogowie. Którzy teraz są po naszej stronie. Maską i Pan Ton zostali sami. Oczywiście Pan Ton byłby w stanie sam podtrzymać barierę w nieskończoność, ale nie wtedy, gdy rzuca się na nią niemal wszyscy nasi bogowie. Otrzymaliśmy gwarancję, że w dziesięć do piętnastu godzin po rozpoczęciu ataku pole zniknie.

Znów rozległy się okłaski. Kilku młodszych oficerów zdecydowało się nawet na wiwaty. To rzeczywiście był przełom!

„Zdrada bogów!” – notował Mistrz Ro. „Nienawidzimy wojny i wszystkiego, co się z nią wiąże. Nienawidzimy bólu i przemocy, krwi i cierpienia. Nienawidzimy nawet tych wszystkich wzniosłych chwil, wspaniałych dokonań, aktów bohaterstwa, bo to ona, przekłeta wojna, nas do nich zmusiła i już nigdy nie będziemy po niej tacy sami. Ale jedno musimy jej przyznać. Odmieniła nas. Wyraźnie ukazała nam, jak zmieniły się nasze związki z bogami i jak teraz wyglądają nasze relacje. Odmieniła nas, ale odmieniła też ich, zmusiła do zajęcia stanowiska, do przebudowania strategii. I do spojrzenia sobie w twarz”.

Pomyślał, że może teraz dobrze by było wpleść w epopeję krótką historię kontaktów ludzi z bogami. Ukazać czasy, kiedy bogowie jeszcze nimi nie byli. Kiedy nikt nie zdawał sobie nawet sprawy z faktu, że ludzki wszechświat jest podzielony, że istnieje jego ukryta warstwa, wy czuwalna jedynie przez najwrażliwszych, niemających jednak pojęcia, czym jest.

Być może da się wydobyć z archiwów jakieś starożytne zapisy wywiadów z Krajewskim, tym inżynierem, który po raz pierwszy dokonał pomiaru innergii? Jeżeli nie, to nakręci się odpowiedni materiał. Tak – uznał – to powinno być niezłe, kilkunastosekundowy, może nawet półminutowy film o Krajewskim, ekscentrycznym naukowcu wyśmiewanym przez wszystkich kolegów. Pokażemy go, jak siedzi w jakimś nawiedzonym domu, w którym ludzie od lat popadali w szaleństwo. Jak czeka na skrzypienie drewnianych schodów, zawodzenie duchów, ektoplazmę – jakikolwiek znak nawiedzenia. A z nim na wpuł obłąkani jasnowidze i telepaci. Poupychamy w scenografię starożytne instrumenty pomiarowe, żeby wyglądało to prawie jak tani horror. Niech widzowie uśmiechną się z politowaniem. A wtedy lektor uświadomi im, że tak właśnie odkryto innergię.

„Śmieszne, żalodne? To prawda. Tak prymitywne były początki innergetyki. Tak zaczęliśmy długą podróż, która zawiodła nas do Gai i innergetycznego wszechświata!”

Nie – uświadomił sobie – odpada, nic z tego. Nie może wspomnieć o Gai. Zepsułby tym całą epopeję. Trudno, trzeba będzie obejść się bez wtrętu o historię innergetyki. Zresztą może to

i lepiej? Nie ma co mnożyć byków, przeciętny widzi tylko niepotrzebnie by się rozpraszał.

Najlepiej jak najmniej mówić o bogach. Wielcy tego świata mogą traktować ich niemal z pobłażaniem, ale małuczcy wolą nie wnikać w boskie sprawy, dbając, by zachować swój kredyt u boskiego patrona w jaknajlepszym stanie.

Przez chwilę Mistrz Ro pomyślał i o swoim kredycie. Rzadko zaprzętał tym sobie głowę, żył przede wszystkim chwilą. Ufał, że prowadzi na tyle wartościowe życie doczesne, by jego kredyt sam rósł. Oczywiście odbębniał dyktowane przez kapłanów rytuały, ale nie musiał oddawać się bóstwu, powiedziano mu, że i tak doceni jego smak, gdy przyjdzie co do czego.

Wiedział, że wielu myślących o karierze dziennikarskiej młodych ludzi oddawało się w opiekę Panu Sah, bogu, do którego Domu należał Mistrz Ro. Już samo to powinno zapewnić mu niezłą pozycję po śmierci. Był zresztą nie tylko znakomitym dziennikarzem, ale i sprawnym organizatorem, tacy przydają się wszędzie.

Niemniej o boski kredyt należało dbać. Tym bardziej nie powinien wspominać o Gai.

Porzucił jałowe rozważania i z powrotem skupił uwagę na marszałku.

– ...czwarta setnia II Legionu Urmińskiego wyruszy w szpicy aleją Śpiewu. – Głównodowodzący przeszedł już do szczegółów planu. – Jej celem będzie uchwycenie i zabezpieczenie przyczółku na skrzyżowaniu alei Śpiewu i ulicy Seamna. To miejsce trzeciorzędne dopóty, dopóki buntownicy nie wpadną na głupi pomysł oskrzydlenia ośmiu setni I Legionu Urmińskiego i trzech setni gwardyjskich zmierzających ku placowi Rozrywki. Gdyby coś takiego zaświtało im w głowie, czwartą setnią czeka tam kilka gorących chwil. Generale Spaszoff, proszę uświadomić to swojemu setnikowi. Alerbon, tak się nazywa?

– Tak jest! – Dowódca Urmińczyków, niewysoki i niegroźnie wyglądający mężczyzna, przyominający raczej zmęczonego urzędnika niż generała, skinął głową. – Znakomity oficer.

– Słyszałem. – Marszałek uśmiechnął się niespodziewanie. – To ten właśnie setnik panowie, wyjaśnił mi kiedyś przez radio, co mogę zrobić ze swoją marszałkowską dupą. Nie wiedział, rzecz jasna, że rozmawia ze mną.

– Marszałku! – Spaszoff udał wstrząśniętego. Historię znała cała armia. I co najmniej połowa powątpiewała w nieświadomość setnika.

– Właściwie miał wtedy sporo racji – ciągnął pogodnie marszałek – Kiedy pan go spotka, proszę go zapewnić, że nigdy nie blokowałem z tego powodu jego awansu. Właściwie czemu nie awansował?

– To jeden z tych wiecznych setników – wyjaśnił Spaszoff, marząc, by marszałek zmienił temat, z łaski swojej. Ostatnie, czego im było trzeba, to zainteresowanie sztabu wplątany w niebezpieczną intrygę setnikiem.

– Ach tak. Jak go nazywają? Szczurzą Dupą?

– Szczurzym Zadem, dowódco. Kiedyś dopadł rekrutów z całkiem zielonym dziesiętnikiem na czele, jak przy warli do ziemi pod ciężkim ostrzałem. Biegał między nimi i wrzeszczał, że powinni się zachowywać jak żołnierze cesarza, a nie jak pieprzone szczury. I że będzie kopał ich szczurze zadki, aż zrozumieją, że jest gorszy od wroga, i ruszą z miejsca. Uratował im wtedy życie, ale zanim to do nich dotarło, nadali mu to przyzwisko. A te wredne przyklejają się do człowieka szybko i na dobre.

– Rzeczywiście właściwy człowiek na właściwym miejscu. – Uśmiechnął się marszałek, lubiący takie anegdotki i chętnie przywołujący je podczas narad. – Ufam, że spełni swoje zadanie.

– Tak jest!

Ku uldze Spaszoffa Grouchon porzucił temat oficerów o niewyparzonych gębach. Nic nie zakłócało dalszego referowania planu, aż wędrujący przez mapę miasta wskaźnik dotarł do samego centrum, gdzie ukrywał się buntowniczy sztab broniony przez elitarne oddziały.

– Kundle! – szepnął ktoś.

– Może i kundle – zadumał się marszałek, nie podnosząc wzroku znad planu miasta. – Może? Pochlebiam sobie jednak, że przez wszystkie te lata zdążyłem już poznać Szkarłatną Maskę. I powiem wam, panowie, że on nienawidzi beczynności, nienawidzi oczekiwania i defensywy. Sądzę, że drań szykuje już coś na nas i jego kundle raczej nie okopią się w twierdzy. Nie, jeśli mamy się obawiać kontrataku, to właśnie z ich strony. Nie martwcie się jednak, w Twierdzy Sztuk nie zabraknie innych elitarnych jednostek. Właściwie już chyba tylko takie im zostały.

– Unra! – Tym razem głos nie był anonimowy. To księżę Oruzon wreszcie się odezwał, najwyraźniej zniecierpliwiony własnym milczeniem. Przez szacunek dla marszałka zgodził się grać drugie skrzydce podczas narady, choć wyraźnie było mu to nie w smak. Długo pozwolono mu sądzić, że nie tylko poprowadzi ostateczny szturm, ale też przygotuje jego plan. Jednak starszek się uparł, że za strategię odpowiada on.

Księżę przełknął to upokorzenie. Zdawał sobie sprawę, że to labędzi śpiew odchodzącego marszałka. A kiedy Grouchon zniknie, w świetle reflektorów pozostanie on, Księżę Strzępów, który poprowadził główne natarcie. Zamierzał zresztą wprowadzić własne poprawki do planu starucha, kiedy ten nie będzie już mógł im zapobiec.

– Unra i jej komandosi – zgodził się marszałek – Napsują nam krwi. Podobno jest wściekła po śmierci Sargassa. Przy okazji, czy znaleziono w końcu jego ciało? Chciałbym oddać mu hołd, to wspinały żołnierz. Nie? Trudno. Panowie! Powinniśmy Twierdzę Sztuk zbombardować, wiem, że wielu z was na to nalegało. Niestety, muszę was rozczarować. Cesarz wysoce sobie ceni mithuriańską starówkę. Poleciał zachować ją w jak najlepszym stanie. Do dziś stoi budynek Pierwszej Kompanii, która założyła tu bazę. Nie zaryzykujemy zniszczenia tego ani innych

zabytków bardziej, niż będzie to konieczne. Nasi ludzie będą musieli zająć część naziemną, neutralizując w miarę możliwości wszystkich magów i kapłanów. Resztą zajmą się nasi specjaliści. Najpewniej czekać nas będą ciężkie walki w podziemnych schronach, nim dotrzemy do ich sztabu. To zadanie dla generała Bentona. Generale, tuszę, że pańscy ludzie są gotowi?

Łysy dowódca jednostek specjalnych skinął tylko głową na potwierdzenie. Jego brązowy mundur pozbawiony był niemal wszelkich odznak i dystynkcji, nawet twarz generała wydawała się nijaka i trudna do opisania. Trwał w bezruchu od rozpoczęcia narady. Specjalne sondy odganiały od niego kamery Mistrza Ro i zakłócały ich nadajniki, generała Bentona nie można było sfilmować.

Niechętnie się odzywał, a kiedy się nie ruszał, wyglądał prawie jak trup. Jedynie jego oczy były pełne życia.

– Znakomicie. Jestem pewien, że sobie poradzą. Jak zwykle.

2

– Wrze niczym w ulu. – Niewysoki, skromnie ubrany mężczyzna stał na tle ekranu ukazującego zbuntowaną planetę i roje statków i okrętów wokół niej. Przestrzeń aż iskrzyła od wyładowań innergetycznych, gdy przybywały wciąż nowe okręty, błyszcząca ognikami konwencjonalnych silników statków manewrujących na orbicie, lśniła kadłubami, latarniami, wachlarzami baterii. Między większymi jednostkami uwijały się barki, promy i ścigacze.

Filip Aubert, szambelan cesarski i jeden z najbliższych doradców władcy Wspólnych Przestrzeni, z trudem oderwał wzrok od tej dziwnie pięknej mozaiki. Nigdy nie cenił podróży kosmicznych, nie potrafił też dostrzec urody przestrzeni, której ulegali starzy kapitanowie okrętów. A jednak tym razem obraz na monitorze pociągał go i fascynował. Może dlatego, że Aubert dostrzegał poprzez niego sieć wzorów kryjących pod sobą jeszcze jeden wzór, ostateczny, wzór wszystkich wzorów? Myśl, że jest być może jedynym człowiekiem zdolnym do takiego postrzegania, sprawiała mu przyjemność.

– Znakomicie. – Przełamał czar, odchylając się w fotelu i przymykając oczy. – Tego chcieliśmy. Przewiduje pan jakiś opór? Niespodziewane wydarzenia?

– Naturalnie – odpowiedział Derwan, mężczyzna, którego wezwał do siebie po naradzie, jeden z najlepszych agentów, jakich udało mu się zwerbować. – Ale to nie kłopot.

Aubert odnalazł tego człowieka, jak wielu innych zaufanych ludzi, na wysypisku śmieci – w jednym z przytułków pełnych tych, którzy nie chcieli pogodzić się ze światem opanowanym przez obce istoty zwane we Wspólnych Przestrzeniach „bogami”. Udręczeni przez wszczepiane zaraz po urodzeniu stygmaty uciekali od społeczności w prymitywne sekty bądź gangi.

Szczęśliwcom udawało się zwrócić na siebie uwagę Rozproszonych albo odłożyć nieco gotówki i uciec z krainy wiecznego życia. Inni albo okazywali się za mało zaradni – ci nie robili kariery także w służbie Auberta – albo zbyt obawiali się śmierci, by wyrzec się duszy. Takich szambelan łowił na obietnice zmiany relacji bogów i ludzi po wojnie. Fingował ich śmierć, zapewniał ochronę i dodatkowo szkolił, upewniając się przy okazji, że podzielają jego wizję. Gdy był pewny, że tak jak on nienawidzą bogów i innergetyki, która miał być narzędziem w rękach człowieka, stała się smyczą, na której trzymali ludzkość jej niegdysiejsi słudzy, czynił z nich swoich zaufanych.

Przychodziło mu czasem do głowy, że jest jak Maska, ten szalony buntownik, samym swoim istnieniem rzucający wyzwanie bogom. Tamten też stworzył sobie elitarnych wojowników, ale wypaczył ich, ukradł im człowieczeństwo i nieśmiertelność. Żaden z bogów, nawet buntowniczych, nie przygarznąłby kundli. Może to właśnie śmiertelność czyniła ich tak groźnymi wrogami?

Szambelan korzystał z mocy i wsparcia bogów, nie było innego wyjścia w świecie innergii. Ale on i jego ludzie pozostali tak bardzo niezależni, jak było to możliwe. Pozwalał im ulepszać się starą, dobrą, klasyczną elektroniką, zachęcał ich do korzystania ze starożytnych technik bioinżynierii, których rozwój niemal porzucono po zawarciu paktu z bogami.

Rzucał w ten sposób wyzwanie bogom. Nadchodził czas, gdy mieli wskazać innergetycznym istotom należne im miejsce.

– Niech pan nie szafuje śmiercią, Derwanie – polecił. – Niech żyją, jak długo się da. Chcę zobaczyć, dołąd dotrą.

– Wiemy, dołąd zmierzają.

Zabrzmiało to jak wymówka i wzbudziło irytację Auberta. Derwan czasami bywał bezczelny. Choć Aubert mu to wybaczał, ze względu na skuteczność jako agenta, to nawet jego cierpliwość miała swoje granice.

– Cenię pewność siebie, o ile nie zaślepia – warknął. – To, dołąd zmierzają, a dołąd dotrą, to dwie różne sprawy! Ma pan mi jeszcze coś do powiedzenia?

– Ta dziewczyna, pupilka cesarza, co z nią?

Faworyta władcy stanowiła niewiadomą. Aubert nie lubił tajemnic, za którymi sam nie stał. Nie podobało mu się też, że cesarz okazał się skłonny ukrywać coś przed swoim najbardziej zaufanym sługą. Koniec wojny musiał rozbudzić chytrą władcy.

Najchętniej kazałby zlikwidować dziewczynę. To jednak mogłoby wzbudzić niepokój cesarza i skłonić go do intensywniejszego działania. Zresztą, uznał, nawet niewiadome można wykorzystać we własnym celu.

– Wzmocnijcie kontrolę nad nią. Może podeślijcie jej naszego człowieka do pomocy? Mamy wiedzieć o każdym jej oddechu. Jest w niej coś niepokojącego. Ma żyć. Jeszcze przez jakiś czas.

Wszystko miało nareszcie dobiec końca. Buntownicy zostaną pokonani. Pychę arystokracji nakarmi się paroma więzankami nadań i tytułów. Legiony Obywatelskie, już potężnie wykrawawione, stracą nareszcie na znaczeniu, gdy wyjdzie na jaw ich zdrada.

Pozostanie tylko cesarz stojący naprzeciw osłabionego, skróconego Senatu, a w cieniu władzy Wspólnych Przestrzeni – on, Filip Aubert, jedyny człowiek we wszechświecie, który naprawdę myślał o dobru ludzkości – będzie mógł przeprowadzać swoją cichą rewolucję.

Czasem dopadał go strach przed cesarzem. Nie przed tym nieszczęsnym człowiekiem noszącym zbyt ciężką dla niego koronę, ale przed całymi pokoleniami władców, z których duchami obecnie panujący cesarz jednoczył się w świętych obcowaniu, gdy prosił swoich poprzedników o radę. Wśród nieumarłych starców budujących zapewne nowe imperia po drugiej stronie śmierci musieli być i tacy obdarzeni naprawdę przenikliwymi umysłami. Czy żaden z nich nie dostrzegł okazji, jaką dawał koniec wojny?

Aubertowi nie wydawało się to możliwe. Ci ludzie tworzyli od podstaw imperium. Musieli dostrzec sposobność, którą i on zobaczył. A skoro tak, to nie przeszkadzali mu tylko z jednego powodu.

Zgadzał się z nim, że czas przekłętej dyktatury bogów musi minąć.

Rozdział 5

1

Barła zawiozła generała Spaszoffa wraz z innymi oficerami z powrotem na powierzchnię planety. Póki pozostawali w kosmosie, ochraniały ich dwa ścigacze, gdy przekroczyli granicę atmosfery, zadanie to przejęły przeznaczone do działania w takich warunkach myśliwce. Także i tu dominacja Cesarskich była całkowita, lotnictwo buntowników praktycznie nie istniało. Dlatego myśliwce stanowiły raczej eskortę honorową, marszałek nie chciał jednak ryzykować nawet w najmniejszym stopniu.

„Podczas tego szturmego zginie wielu naszych ludzi” – powiedział na zakończenie narady. „Starajmy się ograniczać straty jak to tylko możliwe. Tak, wiem” – powstrzymał jednego z uczestniczących w naradzie kapłanów. „Życie po śmierci jest słodkie dla tych, którzy zginęli, służąc cesarzowi, mamy to zagwarantowane w kontraktach. Z własnego doświadczenia wiem jednak, że człowiek to stworzenie bardzo przywiązane do cielesności”.

Spaszoff uznał, że ten tekst marszałek specjalnie opracował na sam koniec. Najpewniej napisał mu go ktoś z biura prasowego. Świetnie zabrzmiało w epopei przygotowywanej przez tego wścibskiego kurdupla, który sam kazał nazywać się mistrzem, a potem w podręcznikach historii. Tak, marszałek zdecydowanie przygotowywał swoje odejście.

Generał poczuł smutek na myśl o tym, że ostatecznie może się okazać, iż przyczynił się do zrobienia głupca ze staruszka. Kiedy Grouchon dopinał na ostatni guzik zakończenia wojny i wprowadzał w życie strategię zapewnienia sobie miejsca w „tej lepszej nieśmiertelności”, jak

mawiał, Spaszoﬀ z częścią generalicji, a także, nie miał co do tego żadnych wątpliwości, cesarz, Służba i arystokracja na czele z tym draniem Księciem Strzępów, toczyli już nową, cichą wojnę. Marszałek się w niej nie liczył, nikt nawet nie brał go pod uwagę. Znakomity dowódca okazywał się ślepcem, jeśli chodziło o intrygi. Był zbyt uczciwy. Tacy mogą się przydawać podczas wojny, ale nie po niej, gdy chodzi o budowę nowego świata. Musiał zniknąć bądź zadowolić się rolą pomniejszego narzędzia.

Ostre szarpnięcie towarzyszące lądowaniu odwróciło tok generalskich myśli. Marszałek był ostatnią osobą, o jaką powinien się martwić. Odczekał, aż barka, rżąc i pojęlując, osiadzie na ziemi. Odpiął pasy, pożegnał się z pozostałymi i pospiesznie ruszył ku własnemu bunkrowi. Na powracających z narady oficerów czekały już marudy z kierowcami. Spaszoﬀ zrezygnował z tej wygody. Kiedy tylko było to możliwe, lubił chodzić pieszo. Spacerowały schładzały myśli, pozwalały mu się skupić i ochłonać.

Gdy dotarł do bunkra, prawie pół godziny po lądowaniu, jego oficerowie już na niego czekałi. Przekazał im krótkie sprawozdanie z narady, a także kopie otrzymanych dokumentów, które uzupełnił własnymi instrukcjami. Zarządził ponowną naradę, kiedy już zapoznają się dokładnie z planami, i pożegnał wszystkich z wyjątkiem swego, jak się okazało, najsłynniejszego setnika.

– Alerbon! – zawołał, przywołując na twarz uśmiech – Zaczekaj jeszcze trochę! Sam marszałek cię pytał, chętnie ci o tym opowiem!

Roześmiali się prawie wszyscy. Kilku chciało nawet zostać, ale generał ich wygonił. Pozostali w bunkrze we trzech – generał i jego zaufany adiutant oraz najsłynniejszy z setników Legionu Urmińskiego.

– Faktycznie o mnie mówił? – zapytał setnik – Czy to tylko...?

– Pretelst, owszem. Ale rzeczywiście o tobie wspomniał.

– Cholera, pamięta mi tamto?

– Raczej cię za to lubi. Nasz staruszek to człowiek obdarzony humorem. I wprost przepada za takimi historiami. Na każdej naradzie musimy poznać przynajmniej jedną. Kazał mi cię zapewnić, że nigdy nie stanął na drodze twojego awansu.

– Jakiego awansu? – Setnik uniósł brwi w udawanym zdumieniu. – To ktoś kiedyś o jakiś dla mnie występował?

– To musiałbym pewnie być ja, a ja za bardzo się boję konkurencji. Siadaj. Jak przygotowania?

– Poinformowałem o sprawie Pniaka... to jest dziesiętnika Stuchonia. Jak może pan sobie wyobrazić, generale, natychmiast zapalał szczerym entuzjazmem i zapewnił mnie o...

– Daruj sobie te kłyny, Teryn. I to generałowanie też. Znamy się od... ile to już lat?

– Dwadzieścia pięć, Oleg. Będzie pewnie jakaś rocznica w tym roku – odparł z westchnieniem

setnik Odwył już od tego, by zwracano się do niego po imieniu. Spaszoff był chyba ostatnim z ludzi, którzy zwracali się do niego w ten sposób. A i to nieczęsto.

– Tak, pamiętam tego zadziornego kretyna, który powiedział mi, nieopierzonemu setnikowi świeżo po Akademii, co mogę zrobić ze swoją wyedukowaną dupą. Coś mi mówi, że wiele się nie zmieniło.

– Posiwałem i teraz wołę się wydzierać na młodszych stopniem. Myślisz, że marszałek też ruszyłby się ze mną bić, jakty wtedy?

– No, raportu na ciebie nie złożył, nie? Rocznica, powiadasz? Piotrze! – zwrócił się do adiutanta.
– Przyńś mi tę butelczynę koniaku! Wiesz którą.

– Burszty nowy, generale?

– Burszty nowy. Jest okazja.

Adiutant uwinął się szybko. Z braku odpowiedniego eleganckiego szkła napełnili po prostu zwyczajne plastikowe kubki i wnieśli szybko toast. Pierwszy we dwóch, następne już w towarzystwie adiutanta.

– Więc ten Pniak... – wrócił do tematu generał.

– Dobry żołnierz. Opierdalacz, kombinator, trochę wariat.

– Trzeba być wariatem, żeby pod tobą służyć, Terynie.

– I kto to mówi! To nie mnie trzeba było siłą trzymać przy sztabie podczas ataku na Bivonet.

Pamiętasz tamte czasy?

– Nie przypominaj mi! Durny setnik rozplaszczył się wtedy w pierwszym dole, jaki znalazł, i modlił się, żeby go stamtąd zabrać, a jego ludzie ginęli. Ktoś musiał to uporządkować, bo ta fujara nadawała się tylko do podawania kawy.

– Ta fujara jest teraz figurą w sztabie. Zdaje się, że dostał awans za znakomitą służbę frontową, nie?

– A przede wszystkim za tatusia generałcia. Wiesz, on się w tym sztabie nawet nieźle spisuje i chyba mu wstyd za tamto. Ale na front się nie nadawał. Dobrze, że tam wtedy byłś.

– Bo cię powstrzymałem?

– Bo się na mnie wydarłeś jak na uczniaka, a potem sam tam poleciałeś i posprzątałeś.

Wypili jeszcze w imię wspomnień.

– Więc ten Pniak...

– Dobry żołnierz. Zrobi, co do niego należy. Nawet jeśli zachwycony nie jest. Ale widzi, co się dzieje. Wszyscy widzą. Robią się nerwowi. Tylko w tym tygodniu wartownicy postrzelili trzech kumpli, bo im się wydawało, że ktoś się do nich podkrada. I nie myśleli wtedy o buntownikach.

– Cholerny koniec wojny! Ci tam na górze mają nas za idiotów, wiesz? No, może nie nas, generalicję, ale zwykłych żołnierzy. Patrzą na nich jak na jakąś masę, która pójdzie tam, gdzie ją

pchną, i która nawet się nie zastanawia nad posunięciami swoich wielkich przywódców. Myślę, że stary czasem próbuje nam uświadomić, że takie myślenie to błąd, stąd te wszystkie anegdotki o zwykłych żołnierzach. Tylko że myli, cholera, adresy. My to wiemy. To ci wielcy nie mają o niczym pojęcia.

– Gorycz przez ciebie przemawia.

– Bo ja wiem, może i gorycz. Ale przede wszystkim złość. Muszę patrzeć na te aroganckie mordy, oszukiwać własnego dowódcę, którego, cholera, szanuję! Muszę udawać, że wcale nie widzę, jacy są durni w tej swojej prymitywnej przebiegłości! I wiesz co, Teryn, czasem myślę, że jesteśmy tacy sami jak oni. Że też knujemy te swoje spiski przekonani, że wymyśliłiśmy je nie wiadomo jak mądrze, a pewnie widać po nas wszystko jak na dłoni. Właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać.

– Żebyś znowu cię powstrzymał przed jakąś głupotą?

– Na to już za późno. Wszystko, co głupie, już się toczy. Teraz możemy tylko starać się przeżyć. Chciałem cię ostrzec. Wydarzenia nas zaskoczą, Terynie, mówię ci to jak przyjaciel przyjacielowi. Czuję to każdą komórką, każdą innergetyczną nicią, jaką jestem związany ze swoim bogiem. Wszystko pójdzie inaczej, niż się spodziewaliśmy, i inaczej niż oni się spodziewali, inaczej niż ktokolwiek się spodziewał i planował. Tego jestem pewien jak życia po śmierci. Uważaj na siebie, przyjacielu.

Nie mówili już o tym więcej. Żartując i wspominając, skończyli butelkę drogiego koniaku i pożegnali się.

Setnik Teryn Alerbon, częściej zwany Szczurzym Zadem, myślał jednak o słowach generała cały czas. Niby nic nowego nie usłyszał; na wojnie wydarzenia często toczyły się inaczej, niż planowano. A to wywiad czegoś nie dopatrzył, a to bogowie zaspali i pogoda zrobiła się nie taka. Albo ktoś zwyczajnie się załamał. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że Spasozoff mógł przekroczyć ową cienką granicę, za którą z żołnierza zostaje już tylko wrak.

Nie była to dobra myśl i modlił się, by okazała się fałszywa. Potrzebował teraz sprawnego, silnego dowódcy, wszyscy go potrzebowali.

Zatopiony w myślach zbyt późno zauważył trzy cienie wyłaniające się spośród drzew przy drodze. Zareagował instynktownie, ale za wolno. Uchylił się jeszcze przed pierwszym ciosem. Drugiego nawet nie poczuł. Zimna, ostra stal przeszła ciało szybko i właściwie bezboleśnie. Jeszcze się obracał, by wyprowadzić cios, kiedy zdał sobie sprawę, że ogarnia go niespodziewana słabość. Zaraz potem poczuł krew spływającą po ciele. Już wiedział, że go dostali, ale jeszcze uderzył. Jego słaby cios nie wyrządził nikomu krzywdy, za to trzeci napastnik, znajdujący się za jego plecami, uderzył go czymś twardym i ciężkim w tył głowy.

Zanim stracił przytomność, zdążył pomyśleć: No proszę! Już jest inaczej.

Sarenim Korowiew, poseł Rady Wspólnych Przestrzeni reprezentujący Gajusa VI, dopadł Auberta, ledwie ten opuścił barkę. Jego owalna tusta twarz aż spąsowiała od biegu. Dyszał ciężko, widać zdążył w ostatniej chwili.

Aubert i tak był pod wrażeniem tego człowieka – w jakiś sposób udało mu się przecieżyć namierzyć trasę lotu szambelańskiej barki, przewidzieć jego plany. Takie myśli wzbudzały niepokój, w przeciwieństwie jednak do wielu znanych mu lekkoduchów Aubert dodał je do długiej listy umartwień. Uważał, że nic tak nie buduje charakteru człowieka, jak kolekcjonowanie własnych słabości i stopniowe ich eliminowanie.

– Szambelanie! – zawołał Korowiew. – Czekam tu na pana już trzeci dzień!

Natychmiast stracił szacunek Auberta. A zatem zakładana przemyślność i sprawność senatora okazała się zaledwie cierpliwością i uporem głupca.

– Niepotrzebnie się pan trudził, posle – odparł szorstko, przyspieszając kroku, by zmęczyć i być może zgubić prześladowcę. – Nie mam panu nic do przekazania.

– Szambelanie! – wydyszał z oburzeniem Korowiew, niezdarnie starając się utrzymać narzucone przez Auberta tempo. – Wojna dobiega końca! Czy niczego się nie dowiemy?

Gdy wybuchła rebelia, cesarz specjalnym edyktem wprowadził stan wyjątkowy, zawieszając większość praw Rady. Odtąd Rada, skupiająca przedstawicieli władz planet i sztucznych nieruchomości o randze światów, pełnić miała funkcje wyłącznie zarządzające i pozostawać pod stałą kontrolą armii. Posłom, przyzwyczajonym do pławienia się w przywilejach, taka sytuacja wydawała się szczególnie nieznośna. Już wcześniej ich władza była czysto iluzoryczna – pogrążeni w niekończących się swarach nie stanowili liczącej się przeciwwagi dla Senatu czy cesarza. Skupiali się więc na załatwianiu koncesji i przywilejów dla swoich światów, a przede wszystkim na nieustannym puszeniu się w mediach i kreowaniu własnych wizerunków. Bywali przydatni, choć Aubert gardził nimi niemal otwarcie. Tym bardziej go bolało, że oni jedni przypominali jeszcze, czym były Wspólne Przestrzenie u swego zarania – wspólnotą interesów.

– Nie mogę zdradzać panu zamiarów cesarza – oświadczył. – Po części dlatego, że sam ich do końca nie znam, po części dlatego, że wbrew temu, co pan twierdzi, wojna nie dobiegła jeszcze końca.

– Powiedziałem, że dobiega, nie że dobiegła! – zaprotestował odruchowo przyzwyczajony do prowadzenia jałowych sporów Korowiew. I zaraz zatrzymał się gwałtownie, gdy uświadomił sobie, że szambelan, być może w pośpiechu lub zdenerwowaniu, zdradził mu swą słabość. Nie znał wszystkich planów cesarza! Czyżby popadł w niełaskę? Czy koniec wojny miał przynieść upadek szambelana?

To należało przemyśleć. Aubert budził w Radzie niechęć swoją arogancją, bywał jednak cennym sojusznikiem przeciwko arystokracji coraz uparciej szturmującej także i ławy poselskie. Cała ta upadła szlachta, dla której zabrakło miejsc w Senacie, a która pragnęła władzy i sławy, stawiała się tak nieznośna! Aubert wywodzący się ze starej, ale niezbyt znanej i bogatej rodziny był dla nich solą w oku i stanowił naturalnego sojusznika dla ludzi takich jak Korowiew – robiących karierę u boku wywodzących się z armii bądź grona urzędników.

A jednak być świadkiem jego upadku stanowiłoby nie lada gratkę.

Poseł zdobył się na wysiłek i ostatek sił dobiegł do szambelana, który wykorzystał jego chwilowe zmieszanie, by oddalić się pospiesznie.

– Liczę, że da mi pan znać, szambelanie, gdy sytuacja ulegnie zmianie!

– Naturalnie – skłamał Aubert i jeszcze przyspieszył.

– Znakomicie! – młasnął Korowiew. – W takim razie pozwoli pan, że go opuszczę.

Uklonił się niezgrabnie i czmychnął czym prędzej, by zanieść nową plotkę swoim stronnikom.

Aubert odprowadził go wzrokiem. Plotka, którą właśnie stworzył, może narobić trochę zamieszania. Jego przeciwnicy podniosą głowy. Na razie nieśmiało, ale gdy otrzymają jeszcze kilka poszlak chętnie uwierzą, że szambelan popadł w niełaskę. Niezdecydowani będą musieli opowiedzieć się wreszcie po czyjejs stronie, a Aubert będzie mógł ich wydusić, jednego po drugim.

Albo przeciągnąć na swoją stronę przy minimalnym wysiłku.

Schronił się w bezpiecznej kabinie inkomu, by nawiązać łączność z cesarzem. Był bodaj jedynym człowiekiem dysponującym taką możliwością. Pochlebiało mu to. Choć zdawał sobie sprawę, że takie uczucie to także słabość, akurat jej eliminację umieścił na końcu swojej listy. Czasem nawet on mógł choć trochę nacieszyć się życiem.

– Aubert! – powitał go Ludwik III, cesarz Wspólnych Przestrzeni. Wyglądał na zmęczonego. Miał na sobie prosty mundur polowy floty, co zapewne oznaczało, że spotkał się z rodzinami poległych albo udzielał wywiadu kóremuś z kanałów Stacji zajmujących się problemami społecznymi. – Czekał na ciebie!

– Proszę mi wybaczyć, wasza wysokość. Wiele się teraz dzieje, nie chciałem stanąć przed waszą wysokością, nie mogąc zdać pełnego raportu.

– Przyglądaliśmy się naradzie – przypomniawszy cesarz. Od czasu zamachu na stolicę Wspólnych

Przestrzeni stał się szaleńczo podejrzliwy i ostrożny aż do przesady. Fakt, że jego najbliższy sługa wręcz lubował się w spiskowaniu, mu nie pomógł.

– Naturalnie, wasza wysokość. Jakie jest wasze zdanie, panie?

– Franciszek nas nie zawiedzie.

– Oczywiście, wasza wysokość, marszałek Grouchon to oddany sługa Cesarstwa. I – proszę pozwolić mi na tę drobną uwagę – człowiek rozkosznie prostoduszny.

– Wybraliśmy go także ze względu na jego wierność, Aubert.

Swego czasu Aubert zastanawiał się, czy drażniąca go maniera cesarza mówienia o sobie w liczbie mnogiej może mieć drugie dno. Czy na przykład człowiek ten nie korzystał z permanentnego świętych obcowania i czy w jego przypadku pluralis maiestatis nie oddawał rzeczy wistoci.

Może pozornie rozmawiając z jednym człowiekiem, rozmawiał w istocie z całym pokoleniami cesarzy, z całą dynastią?

Była to przerażająca myśl. Przeprowadził więc kilka prób, które niemal wykluczyły taką możliwość. Niestety nie do końca. Cesarz dysponujący wyłącznością w świętych obcowaniu mógł sobie pozwolić na nieustanną łączność z pokoleniami swych przodków, choć zdaniem Auberta na taki czyn mógłby porwać się tylko człowiek szalony. Zwielokrotnienie swojej osobowości musiałyby się skończyć czymś w rodzaju śmierci, wymazaniem bądź co najmniej rozproszeniem osobowości jednostkowej. Aubert wprawdzie chętnie zamieniłby panującego cesarza na jednego z jego przodków, najlepiej na jednego z pierwszych władców Wspólnych Przestrzeni. Nie chciał jednak na tronie szaleńca.

Ucieszył cesarza informacją o śmierci Sargassa – jednego z ostatnich wielkich przywódców rebelii, niegdyjszego generała gwardii cesarskiej. Sargass nie tylko należał do pierwszych przywódców buntowników, ale też do końca dysponował autorytetem pozwalającym panować nad całą tą bandą cwaniaków szukających okazji do spełnienia wygórowanych ambicji.

– To wielka strata dla buntowników przed ostateczną bitwą! – zawołał cesarz. – Wszystko układa się po naszej myśli! Dziękujemy ci, Aubert. Wierzymy, że przy Franciszku i przy tobie wszystko przebiegnie wedle naszych pragnień.

Zakończył rozmowę, nawet nie pytając o spisek generałów. Czy miało to znaczyć, że sam bada sprawę i że Aubert przestaje mu być potrzebny?

Za późno.

Szambelan nie podzielał radości ze śmierci Sargassa. Miał tego człowieka za jednego z najrozsądniejszych buntowników, za kogoś, z kim mógłby nawet jakoś się porozumieć i przeciągnąć na swoją stronę. Odnosił wrażenie, że mieli podobne cele. Sargass, tak jak i on, dostrzegł powolny upadek imperium i starał się mu zapobiec. Błądził, ale może dałoby się go

nawrócić?

Aubert nie wierzył też w przypadkową śmierć znaczących ludzi. Dlatego był przekonany, że zgon Sargassa komuś posłużył.

Ugreł, ten przepełniony ambicją pułkownik Służby, którego łatwo udało mu się zwerbować, utrzymywał, że nie miał ze śmiercią generała nic wspólnego. Więc kto? Benton? Ten trop wydał się Aubertowi zbyt prosty, zbyt oczywisty. Ale czy naprawdę niemżliwe byłoby wykształcenie się politycznych ambicji u tego urodzonego żołnierza niedostrzegającego dotąd świata poza własną wypieszczoną jednostką? Należało wziąć to pod uwagę. W sytuacji takiej jak ta wszyscy mogli ulegać zmianom. Coraz wyraźniejszy upadek imperium mógł wywoływać fale, które dostrzegali nawet najbardziej tępi.

Chyba że to Kapituła Służby zorientowała się, że jej pułkownik nadto się usamodzielniał, i podjęła własne działania. Aubert zdrżał. Wtedy nawet on nie mógłby czuć się bezpieczny. Członkowie Kapituły nie byli już w ogóle ludźmi. Zdecydowali się na krok podobny do tego, jakiego szambelan obawiał się ze strony cesarza – zrezygnowali z ciał i zmienili się w płataninę umysłów utrzymywaną w całości najprawdopodobniej dzięki innergetyce. Szaleńcy!

Aubert oparł czoło na dłoniach. Czasem czuł się taki zmęczony! Bywało, że chciał, by cesarz wygrał swoją prymitywną grę, czynił go zbędnym i odsunął od urzędu. I niech diabli biorą imperium, którego wtedy już nic nie uratowałyby przed upadkiem. W takich chwilach rozważał możliwość, że upadek być może jest niezbędny ludzkości do odrodzenia.

Zawsze jednak przy pominał sobie, że najprawdopodobniej byłyby to niewłaściwe odrodzenie. Doprowadziłyby do powstania jakiejś słabej, pozbawionej szans na rozwój republiki na wzór Związku Niezależnych Światów albo wręcz luźnej federacji przypominającej mizerotę Rozproszonych. A słaba ludzkość stałaby się żerowiskiem dla bogów. Bez potęgi Cesarstwa nie powstrzymałyby ich żaden traktat.

Aubert, wychowany wedle starej tradycji, nie mógł do tego dopuścić.

Gdy był dzieckiem, zaczytywał się w historiach o przedinnergetycznych herosach. Wspominał opowieść o siedmiu menedżerach, którzy rzucili wyzwanie swojej korporacji, gdy ta zdradziła własny kodeks etyczny. Czuł wzruszenie, czytając ich ostatni list do rady nadzorczej, w którym wyliczyli wszystkie odstępstwa od ideałów, a potem rzucili się na własne miecze wedle jakiegoś starożytnego rytuału. Szokowana rada nadzorcza oczyściła się i przetrwała, a wiele lat później znalazła się wśród założycieli Pierwszej Kompanii. To byli ludzie, z jakimi chciałby pracować, wśród jakich chciałby żyć!

Takie ideały przyświecały powstawaniu Wspólnych Przestrzeni. Nie istniała wtedy arystokracja, pasożytniczy politycy, skłóceni gubernatorzy, nie dominowali bogowie. Nie dochodziło do takiego rozproszenia lojalności jak obecnie. Odkrywcy i budowniczości światów,

wierni korporacyjnym kodeksom etycznym, wznosili podstawy jasnego, czystego imperium o prostych i wyrazistych zasadach.

Obecnie Wspólne Przestrzenie stanowiły już tylko karykaturę samych siebie. Rada Nadzorcza zmieniła się w skłócony Senat, którego członkowie zapomnieli, że istotą Wspólnych Przestrzeni były biznes i prawo. Kto jeszcze o tym pamiętał? Restaurowano śmieszne etosy wojowników i żołnierzy, biurokracja związała i stłamsiła przedsiębiorczość. Nomenklatura stała się ważniejsza od czynów, a słowa kształtowały martwą biurokratyczną rzeczywistość.

Nowa arystokracja, choć wywodziła się od wielkich prezesów korporacji, zmieniła się w gromadę wojowników i urzędników i ich zwyczajom pozostawała wierna. Nawet cesarz, choć dostrzegał nieuchronny upadek imperium, nie potrafił się wyzwolić z pęt tego nowego postrzegania świata. Uwięzieni w etykietce zbiurokratyzowanej teokracji ludzie mogli już tylko biernie poddawać się nieuchronnej degeneracji, przyjmując rolę paszy dla bogów.

Jeśli Wspólne Przestrzenie miały przetrwać, on, Filip Aubert, nie rycerz, nie urzędnik, ale wierny sługa starych kodeksów, musi stawić czoło własnym słabościom. I uratować wszechświat, nawet wbrew woli ludzi i bóstw.

3

– Wasza wysokość?

Robert Ressewitz, pierwszy z cesarskich sług, osobisty lokaj, jak zwykle poruszał się bezszelestnie. Nawet kroki dopasował do swojej cichej, nieprzyciągającej uwagi osobowości. Jeśli można by wskazać człowieka, który dążenie do bycia na pozór nieistotnym doprowadził niemal do perfekcji, byłby to właśnie on.

A jednak dla cesarza Wspólnych Przestrzeni Ressewitz wydawał się jednym z najważniejszych ludzi we wszechświecie. Jego cichy, pozornie nieśmiały i unizony głos przyciągał cesarską uwagę nawet pośród zgłębionych narad, gdy przedstawiciele dziesiątków frakcji przekrzykiwali się nawzajem. Wojna przydała się choćby do tego, by uciszyć większość z nich. A teraz dobiegała końca i wszystko mogło się zacząć od początku.

Nie wolno było do tego dopuścić. Nie po to przelali tyle krwi, podjęli to szalone ryzyko, żeby świat powrócił do chaosu, z którego z takim trudem go wyciągali.

– Wszystko tak naprawdę dopiero się zaczyna, mój drogi Robercie. Wojna stanowiła tylko

przy grywkę. Wszystko się zaczyna, a my już czujemy się tacy zmęczeni.

Jedną z zalet wiernego służki stanowiła umiejętność zachowania milczenia w takich chwilach. Pozwolić cesarzowi mówić do siebie to przywilej. Odpowiadanie mu zaś stanowiłoby zdaniem Ressewita zbrodnię.

Ludzie tacy jak on byli władcy Wspólnych Przestrzeni niezbędni, tak jak niezbędny był Aubert. Energia szambelana napędzała przemiany imperium, niewzruszony spokój i wierność Ressewita pomagały utrzymać je na właściwym kursie.

– Tacy jak ty tworzą prawdziwe imperium, Ressewitz. Wierni i pewni naszej lojalności. Czemu inni nie biorą z ciebie przykładu? Czemu knują nasi generałowie, nasza arystokracja, nawet służdy, których ambicja przerodziła się w zaczyn ideologii? Nienawidzimy idei, mój drogi Robercie, wiesz o tym. A one zawsze się budzą, by burzyć spokój Wspólnych Przestrzeni!

Oddany sługa tylko skłonił się w milczeniu. Cesarz przyjrzał mu się dokładniej. Cóż za idealny nikt! Jakkolwiek Ressewitz dysponował niebagatelnym umysłem, a w razie potrzeby potrafiłby niezgorzej poradzić sobie w walce, na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie człowieka pozbawionego jakichkolwiek – wyjąwszy wymuszoną elegancję uniformu – właściwości. Jego oddanie sięgało przy tym tak daleko, że planował wraz z cesarzem nawrócić się na nowego boga, z którego pomocy władca korzystał coraz częściej i chętniej. Bo też bóg ten, szukając dla siebie ważnego miejsca na Uczcie, gotów był zaferować cesarzowi więcej niż jego bracia i siostry.

– Wasza wysokość, przybył nosiciel woli Kapituły.

Kapituła! Choć zależeli całkowicie od niego, zachowywali się, jakby wyświadcza mu łaskę, kontaktując się ze swym cesarzem na jego wezwanie. Byłaby to drażniąca buta, gdyby Ludwik III nie cenił tak Kapituły i spotkań z jej sługami.

Zwykle nikt nie mógł liczyć na szybką audiencję u władcy Wspólnych Przestrzeni, Arcykapłana Wszystkich Świątyń, Jedyne Prawdziwego Powiernika Bogów, Ostatniego Prawdziwego Akcjonariusza Kompanii Eksploracyjnych itd. Służdy, tacy jak Ressewitz, dbali o przestrzeganie skomplikowanych rytuałów i ceremoniału wymagającego między innymi długiego oczekiwania na spotkanie z Żywym Gwarantem Porozumienia z Bogami. Wojna jednak zadała cios także ceremoniałowi. Ressewitz, nawet jeśli nad tym ubolewał, jak to on, nie wyraził zastrzeżeń.

– Przyrowadź go do nas. Ressewitz, czy to dziecko?

– Tak jest, wasza wysokość.

Z jakichś powodów Kapituła lubiała korzystać z dzieci. Cesarz zastanawiał się kiedyś, co dzieje się z nimi później. Nakazał Kapitułę przekazywać wszelkie informacje dotyczące nosicieli woli do swojej kancelarii, by ta zadbała o ich kredyt pośmiertny. Sam nigdy nie sprawdzał tych posłusznie wysyłanych raportów. Tak naprawdę nie chciał wiedzieć. Wystarczała mu

świadomość, że dba o ich pośmiertne życie.

Przynajmniej miał pewność, że Kapituła nie wchłania nosicieli. W tę dziwną bezinnergetyczną nieśmiertelność stanowiącą nie tylko ułudę prawdziwej wieczności, ale też przechowującą ledwie dane człowieka, nie zaś jego nieśmiertelną duszę. Choć sama myśl o tym budziła w cesarzu niepokój, doceniał, że ma na usługach siłę nieufającą nawet bogom i im niepodlegającą.

Ressewitz wprowadził chłopca, na oko dziesięcioletniego. Zmiany wprowadzone w nim przez Kapitułę rzucały się w oczy. Był zbyt skupiony i pewny siebie jak na dziecko. Nie rozglądał się z ciekawością, jaką powinni okazywać chłopcy w jego wieku, nie był onieśmielony audiencją, zdawał się całkowicie pozbawiony uczuć.

Gdyby jego zachowanie nie zainteresowało niewprawnego obserwatora, modyfikacje fizyczne, jakim poddano chłopca, nie mogłyby umknąć jego uwagi. Czoło nosiciela woli było nienaturalnie wysokie, jego kark oplatały wrosnięte węń kable prowadzące do ulokowanych wzdłuż kręgosłupa baterii i akumulatorów innergetycznych. Zarówno jego ręce, jak i nogi wznaczało wspomaganie zewnętrzne skonstruowane na kształt metalowego szkieletu. Głowę chłopca szpeciły przypominające guzy wszczepy i naszczepy Kapituły, pulsujące czerwonym światłem przy aktywizacji.

To wszystko nie było potrzebne. Istniały techniki umożliwiające przenoszenie w chłopcu świadomości Kapituły bez tak głębokiej ingerencji w jego ciało. Mógł wyglądać jak zwykajne dziecko i nie przyciągać uwagi. Kapitułe zależało jednak na demonstrowaniu odrębności. Jej niechęć wobec praw boskich była ostentacyjna. Ludzie drżeli ze zgrozy, gdy nosiciel woli przechodził obok nich. Nikt nie podniósłby ręki na chłopca. A gdyby ktoś spróbował, szybko by się przekonał, że jego systemy bojowe zdolne są poradzić sobie nawet z grupą wyszkolonych i uzbrojonych przeciwników. Zapewne w jakiś równie ostentacyjny, widowiskowy sposób.

– Wzywaliście nas, panie. – Głos pozostawiono chłopcu dziecięcy i czysty, co jeszcze potęgowało wrażenie obcości.

Kapituła mogła przemieszczać się sama, jednak ze względów bezpieczeństwa unikała tego. Najczęściej nie było takiej konieczności; ci, których chciała spotkać bezpośrednio, zwykle przybywali do niej. Ale cesarz odbył jedną obowiązkową pielgrzymkę do Kapituły, gdy obejmował tron, i nie zamierzał tego powtarzać. Nawet on czuł się nieswojo wobec tego przedziwnego, obcego bogom i ludziom bytu powołanego do życia edyktem jednego z jego poprzedników. Bogów samo jej istnienie napawało wstrętem. Tak przeciwni modyfikowaniu ludzi, musieli się zgodzić na powstanie czegoś, co stanowiło żywe przeciwieństwo wszystkich ich zasad. Agenci Służby przeznaczeni do Kapituły byli poddawani modyfikacjom tak na poziomie fizycznym, jak i innergetycznym do tego stopnia, że żaden bóg nie godził się przyjmować ich do swego Domu. Kapituła odpłacała im za to pogardą dla ich praw. Tym łatwiejszą, że zapewniła

sobie własny rodzaj nieśmiertelności. Wstrętnej i przerażającej dla większości ludzi i wszy skłch bogów, ale zadowalającej Kapitułę – obecnie wspólnotę umysłów najlepszych agentów Służby. Awans do niej oznaczał straszliwą chwałę.

Paradoksalnie to właśnie Kapituła uważała się za prawdziwego dziedzica ludzkości.

Nie istniał wierniejszy sługa cesarzy. Jedyne oni mogli zapewnić Kapitułę osłonę przed bogami i ich kapłanami zagniewanymi samym istnieniem Kapituły, a często radykalniejszymi od swych panów.

Cesarzowi wydawało się czasem, że Kapituła powinna sympatyzować z Maską – zbuntowany mag podązał przecież podobną drogą. A jednak darzyła go szczerą, bezlitosną nienawiścią.

– Istotnie. Doszły nas wieści o zdradzie w łonie Służby.

Guzy na głowie chłopca poruszyły się i rozbłyły.

– Zdrada agenta jest niemożliwa, panie! Mówicie o Ugrelu i jego spisku?

– Ugrel spiskuje na wasz rozkaz?

– Nie, panie. Wydaje mu się jednak, że działa dla chwały Cesarstwa. Napędza go ambicja, ale to ambicja wiernego psa.

– Wydaje nam się, że działa dla własnej chwały!

– Panie, tolerujemy pychę Ugrela. Dobrze jest kontrolować słabości własnych składowych. Wiecie o tym, panie, doskonale, tolerując Auberta.

– Wiemy o tym doskonale, tolerując waszą butę. Mamy dosyć spisków. Spiskuje arystokracja, generałowie, szlachta. A teraz jeszcze wy. Musimy działać wspólnie.

– To mądre słowa. Czy opowiecie nam, panie, o dziewczynie?

O to im chodziło. Ciekawość musiała ich zżerać. Pomogli cesarzowi zmodyfikować dziewczynę, lecz nie byli przy tym w stanie przebić się przez bariery założone w niej przez cesarskich kapłanów. Wiedzieli więc o stworzeniu tej istoty, ale nie znali pełni jej możliwości ani zadań. Musieli być bardzo rozdrażnieni. Świadomość tego bawiła cesarza.

– Cokolwiek robimy, robimy dla dobra Wspólnych Przestrzeni i ich obywateli – odpowiedział cierpko. – Pozostawcie dziewczynę nam. Jaki los planujecie dla Ugrela?

Na twarzy chłopca nie malowały się żadne uczucia, gdy odpowiadał:

– Na razie jest użyteczny. Prawdopodobnie Aubert sądzi, że go kontroluje. A wy, panie, i my kontrolujemy poprzez niego także Auberta.

Chciałby dzielić z nimi tę pewność. Nie sądził jednak, by Auberta dawało się w pełni kontrolować. Między innymi dzięki temu okazał się taki pożyteczny. Rodzące spektakularne wizje szaleństwo szambelana pomogło cesarzowi się obudzić. Ujrzeć wszechświat na nowo i siebie samego w nim – stojącego na pograniczu dwóch uniwersów, którym służył. Całe jego wcześniejsze życie okazało się czymś w rodzaju snu, zaledwie preludium do śmierci przenoszącej

go w świat bogów i przodków cesarzy. Urodził się i żył dla tego. A Aubert pokazał mu, że można żyć także dla siebie.

Nie zamierzał zmarnować tej nowej wiedzy. Bał się tylko, że nie zdoła objąć płataniny wszystkich tych krzyżujących się intryg, rozpracować dziesiątek strategii i zapanować nie tylko nad wrogami, ale i nad sługami i sojusznikami.

Nie powinno tak być. Cesarz, unoszący się w nieustannym świętych obcowaniu, stale połączony z wyrastającymi z jego duszy korzeniami innergetycznymi ciągnącymi się przez pokolenia przodków aż do pierwszego z cesarzy, powinien być wolny od lęku przed nieznanym. Jedyne ze śmiertelników, który w każdej chwili mógł spoglądać w wieczność, nie powinien obawiać się śmierci.

Biedny Aubert! Od pierwszej chwili, gdy zdawało mu się, że porwał cesarza swymi planami, a został w istocie przezeń uwiedziony, kroczył niebezpieczną ścieżką, najpewniej ku zgubie. Ludwik III potrafił wywołać w sobie współczucie dla niego. Czerpał radość z tego uczucia, jak z każdego, które należało, jak sądził, wyłącznie do niego. Echa uczuć innych ludzi nie przynosiły mu takiej radości.

Podobała mu się też wyjątkowość wiedzy, którą posiadał. Żaden z żyjących nie zdawał sobie sprawy, jak potężnym bankiem danych dysponował. Całe pokolenia cesarzy, wraz ze swymi wspomnieniami i doświadczeniem, pozostawały do jego dyspozycji.

Poprzez świętych obcowanie sięgał do nich, wciąż żyjących w innoświecie, korzystał z ich umysłów jak z własnego. Jedyne cesarze i ich zmarli nauczyciele znali szczegóły tej innergetycznej technologii. Maluczkim się wydawało, że cesarze łączą się z rajem i przyzywają zmarłych, by korzystać z ich wiedzy. Och, bywało i tak. Ale prawdziwą władzę dawała stała kontakt z przodkami – z ogromnym rojem umysłów, intelektów. I woli. Woli przytłumionej przez wspólnotę sprawiającą, że zatopione w niej indywidualności trwały jakby we śnie, z którego czasem się budziły, gdy Ludwik III dotykał ich jednostkowych doświadczeń.

Niekiedy wspominał zabawnego, pełnego energii ojca Józefa, który uczył go, jak zachowywać indywidualność w oceanie innergii i strumieniu potężnych osobowości. Pamiętał, jak udzielał mu się buntowniczy duch tamtego, ale pamiętał też, że ów nauczyciel patrzył na niego bez cienia nadziei, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że na wpół materialny, na wpół innergetyczny już za życia chłopiec zmieni się z czasem w kolejnego członka rodu żywych mumii. Że ciężar doświadczenia milleniów musi zniżyć każdy bunt, a cesarze nie rodzą się, by żyć, lecz by władać.

Po Józefie uczyli go inni, stopniowo chłodzący jego umysł i serce. Uczyli go operowania innergetycznymi strumieniami, zanurzania się w umysłach przodków i kontaktowania się z innymi umarłymi. Uczyli go, czym jest innergia i jak rozmawiać z bogami. Uczyli poruszania się pośród

mrowia danych i trenowali jego umysł, by potrafił stawić czoło całym galaktykom informacji, z których większość spoczywała w żywych w pewien sposób i świadomych nośnikach.

I pomimo wszystkich treningów, wszystkich zabezpieczeń, jakie mu zaimplantowano i jakie sam zbudował, zdawał sobie sprawę, że ilekroć sięga do swojego banku danych, ów także patrzy na niego. Że dziesiątki przebudzonych cesarzy szkolonych za życia tak jak on, ale dysponujących doświadczeniem innoświata, sięga chciwie poprzez niego do świata, który opuścili, do doświadczenia prawdziwego ciała, do umysłu i wspomnień potomka. Pławili się w jego cielesności albo przyglądali jego poczynaniom.

Potrafił powstrzymać ich rady, gdy ich nie chciał, jednak wy czuwał ich uczucia, wiedział, jak go oceniają. Nauczył się nie załamywać pod ich spojrz eniami, zachowywać się umożliwiającą mu utrzymanie władzy nad sobą i wszechświatem. Do tego został wy szkolony.

Niewiele jednak przygotowało go na kontakt z przodkami odrzucającymi związki ze śmiertelnością, oddającymi się kontemplowaniu innergetycznego wszechświata, czasem wręcz marzącymi o roztopieniu się w nim. Tylko dyscyplina i lojalność wpojone za życia zmuszały ich do utrzymywania się przy świadomości. Byli cesarzami, służyli zachowaniu imperium.

Oni, nieświadomie, sprawiali, że Ludwik III obawiał się śmierci. Lękał się, że mógłby stać się podobny do nich – pusty, znużony wspomnieniami śmiertelności, stęskniony innej, obcej formy istnienia. Nie podobała mu się wizja pośmiertnego przeistoczenia w kolejną komórkę wielkiego banku danych, dołączenia do tłumu pijawek starających się wyrwać dla siebie jak najwięcej z każdej chwili kontaktu z żywym potomkiem.

Nieśmiertelność nabierała dlań coraz bardziej ponurych barw.

Dlatego wojna stanowiła okazję do wytchnienia. Gdy zadano cios bogu ich wszystkich, gdy wszechświat i niebiosa zachwiały się w posadach, martwi cesarze rzucili się ratować Dom swego Pana. Osłabiony, pozostający w stanie szoku bóg stracił inicjatywę, niezdolny do podjęcia jakichkolwiek działań, popadł w depresję. Inne bóstwa pospieszyły mu na ratunek. Choć potrafiły ograniczać straty, nie dopuścić do rozproszenia się innergii zgromadzonych w jego Domu dusz, nie wiedziały, jak zapobiec powolnej degeneracji swego brata i dotychczasowego przywódcy.

Martwi cesarze dostrzegli swoją szansę i z niej skorzystali. I ci, którzy uciekali w innergię, i ci, którzy ze wszystkich sił czepiali się życia. Stali się na tyle bliscy boskości, na ile było to możliwe dla człowieka. Stali się prawdziwymi gospodarzami Domu Pana.

A Ludwik III zyskał nieco wolności. I sojusznika, o jakim inni mogli tylko marzyć. Młodego boga, gotowego oddać się cesarzowi na usługi i zdradzić tajemnice, które bogowie woleli zachować dla siebie. Zabawne i przynębiające zarazem, że nawet przed nim cesarz musiał ukrywać własne sekrety i nawet wobec niego prowadzić kolejną grę.

Pozwalał Aubertowi na toczenie świętej wojenki, choć bawił go zapał tamtego. Przy

wszystkich swoich zdolnościach i zaletach Aubert należał do idealistów – ludzi zaślepionych w służbie „prawdzie”.

Doświadczenie pokoleń nauczyło Ludwika III, że idee to wirusy, pasożytnicze twory żerujące na ludzkości. Utrudniały jej rozwój, pchając w jedną krwawą rebelię za drugą. Zmuszały do wiary w mrzonki, czy to w przebraniu irracjonalnych religii, czy szaleńczych utopii. Przez całe tysiąclecia uniemożliwiały ludziom trzeźwe spojrzenie, skupianie się na kształtowaniu własnego życia, obiecując raje, gdy tylko spełnione zostaną ich założenia. Dopiero bogowie z ofertą innergetycznej wieczności i cesarze potrafiący nad nią zapanować to zmienili.

I choć Ludwik III ze wstrętem myślał o setkach podczepionych do niego przodków, zgadzał się z nimi co do jednego – nie wolno pozwolić na odrodzenie się idei, na wyrośnięcie ich pośród ludzi i ponowne zniewolenie ludzkości przez krwawe ułudy. Jeżeli umożliwiającym to narzędziem miała być wojna – niech tak będzie.

Przymknął oczy i spojrzał w niepokój innoświata. Innergetyczne prądy niosły fale innergii, bujały się wokół jaśniejących boskich istnień. Miliardy dusz lśniły swoiście pośród wszechobecnego światła – w postrzeganym przez cesarza innoświecie nie istniała ciemność. Prawie, bo przecież on był jedynym jej cieniem.

Wojnę przyjął jak oczyszczenie. Stał naprzeciw lęku przed śmiercią i życiem po niej, przeszedł przezeń i odnalazł szansę dla siebie.

Choć wciąż, kiedy rozmawiał ze śmiertelnikami, przemawiał w liczbie mnogiej, myślał już tylko i wyłącznie jako czyste, wolne, zdolne do samodzielnego wyniesienia „ja”.

Rozdział 6

1

Każdego ranka po przebudzeniu Rachuba pozwalał sobie po prostu poleżeć i nacieszyć się kończącą się nocą i tą chwilą, kiedy dnia jeszcze nie było. Wyobrażał sobie, że panuje cisza, że jest sam i że wszystko, co mogło ze sporym prawdopodobieństwem wydarzyć się tego dnia, w istocie się nie zdarzy.

Jeśli budził się przy Mai, rzecz stawała się prosta. Cieszył się jej ciepłem, równym oddechem (zawsze spała dłużej niż on), przyносяcym ulgę kształtem i obietnicą innego, bezpiecznego życia, jakie niosła jej obecność.

Gdy zamiast Mai spał obok niego Pies czy Kukielka, musiał włożyć wiele wysiłku w wyobrazenie sobie porannej błogości. Nie pomagała mu świadomość, że lada chwila Pniak poderwie ich tym swoim rykiem dziesiątnika.

Kiedy już tak się działo, Rachuba przechodził w rytm wystudiowanego pośpiechu. Nie wykonywał choćby najmniejszego zbędnego gestu. Ubierał się nie szybciej i nie wolniej od innych, korzy stał z przy pisanego sobie czasu na higienę i zgodnie z rytuałem rzucał się zachłannie na śniadanie.

Znosił kpinę poruszającego się z wyuczoną powolnością Psa, udającego, że nic a nic nie obchodzi go całe to zamieszanie. Kopał w przelocie Drobinę, nieodmiennie usiłującego zaspać. Próbował urwać się z obowiązkowej gimnastyki, która zdaniem jakiegoś sztabowego mędrca podnosiła sprawność i morale żołnierzy. Robił przegląd broni, odbębniał, co było do odbębnienia,

oszukiwał, udając uwagę na szkoleniach i pogadankach, i nieustannie kombinował, jakby tu urwać się do Perełki.

Biegając po obozie, nie przegapił okazji, by kopnąć Wielkiego Joe, trzymetrową figurę przedstawiającą „wzorowego żołnierza”, w rzeczywistości reklamę firmy produkującej dla Legionów panczerze i usprawnienia do nich. Wielki Joe, idealny dryblas o tępym, acz zaciętym spojrzeniu, pozostawał obiektem kpin i nienawiści wszystkich żołnierzy. Tajemniczy sprawcy nie tylko domalowali mu już brodę, wąsy i małeńkie przyrodzenie, ale używali go jako tarczy, w którą ciskali błotem i kamieniami – a w skrajnych przypadkach czymś znacznie intensywniej pachnącym. Kopanie go należało do powszechnie praktykowanego rytuału.

Czasami jednak dni zapowiadały się inne niż zazwyczaj. Wtedy i poranki wyglądały inaczej.

Dni, które szykowały dla nich walkę, zaczynały się od modlitwy. Żołnierze leżeli pozawijani w jedynej możliwej w tych warunkach intymności, jaką zapewniało zakrycie twarzy kapturami śpiworów, i modlili się. Niektórzy starali się przekonać bogów własnymi słowami, by oszczędzili ich podczas bitwy. Większość pokładała zaufanie w litaniach i rymowanych modlitwach, jakich nauczyli się jako dzieci.

Rachuba modlił się zupełnie inaczej, bo nie zwracał się do bogów. Nie, żeby ich nie szanował i nie ciułał własnego kredytu na życie pośmiertne. Nie potrafił jednak uwierzyć, że jego patron miałby czas i ochotę poświęcać konkretnie jemu choćby strzęp uwagi.

Wiedział wystarczająco dużo o bogach. Podobno nie różnili się wiele od niego, tyle że byli nieśmiertelnymi mieszkańcami innoświata i mogli podzielić się nieśmiertelnością z ludźmi. Nie byli istotami wszechmocnymi, tak jak wyobrażał to sobie, będąc dzieckiem. Nie posiadali ani wszechwiedzy, ani nieskończonej cierpliwości dla maluczkich. Istnieli obok ludzi i zawierali umowy, którym opłacało się dotrzymać wierności.

Dlatego nawet nie starał się zawracać głowy bogu. Zamiast tego modlił się do życia, będącego dla niego czymś niewymownie bardziej konkretnym, namacalnym, a przede wszystkim powszednim.

A ponieważ życie personifikował pod postacią Mai, modlił się tak naprawdę do niej.

Jego modlitwa układała się w litanie zachwyków, obietnic i życzeń. Odtwarzał w myślach możliwie szczegółowy obraz dziewczyny, a potem nanosił go na plan ich wspólnej przyszłości, która mogłaby się zdarzyć, jeśli nie zdarzy się nic innego. Umacniał go więc, by obronić przed zakusami losu. Budował własne pejzaże wspólnego życia, zaludniał je dziećmi i wnukami. Zaczarowywał rzeczywistość, obiecując życiu, że spełni je znacznie lepiej właśnie tak, jak sobie wymarzył, niż jako porzucony na obcej planecie strzęp mięsa.

Wstawał, dopiero kiedy nie można już było ignorować wrzasków Pniaka. Spoglądał na kompanów, odgadując, że może modlili się inaczej, ale z pewnością o to samo.

Przywdziewali pancerze, pobierali broń i po raz ostatni wysłuchiwali wytycznych. Tych akurat słuchali uważnie, choć zdawali sobie sprawę, że gdy zacznie się walka, część założeń i tak weźmie w łeb.

A potem gnali.

Najpierw przy akompaniamencie krzyków biegli do czekających już na nich nieopodal Wielkiego Joe transporterów – solidnych i ciasnych „nosorożców”. Upchnięci w nich dziesiątkami jeszcze trochę się modlili, jeszcze żartowali nerwowo, jeszcze coś tam kombinowali, wymieniając listy i pamiętki.

Aż w pewnym momencie Pchła zapytał o setnika. Rozmowy się urwały, a żartownisie spoważniali.

– Poprowadzi nas Dziara – uspokoił ich Pniak – Trochę przydupas, ale dobry dowódca. Towarzyszy Szczurczemu Zadowi od początku, zęby zjadł na tym gównie.

– A Szczurzy? – zapytał Kukiełka. – Wiadomo, co z nim?

Podczas odprawy przekazano dziesiątnikom wieści o ich setniku. Przewieziony do szpitala szybko dochodził do siebie. Żadna z sześciu ran nie okazała się śmiertelna. Ktoś musiał przepłoszyć napastników, uciekli, nie kończąc roboty. Na wieść o zamachu generał wpadł w szal. Choć zagwarantowano mu, że Służba przeprowadzi specjalne dochodzenie, powołał własną niezależną grupę. W sztabie nie przyjęto tego najlepiej, generał jednak się uparł i postawił na swoim.

Pniak nie mógł nie pomyśleć o swojej ostatniej rozmowie z setnikiem. Czy atak miał coś wspólnego z nią, czy też został zaplanowany znacznie wcześniej? Oficjalna wersja mówiła oczywiście o dywersji przeciwnika, starającego się osłabić morale przed ostatecznym starciem.

Czy nowy setnik został wprowadzony w spisek generałów, Pniak nie wiedział, a zapytać nie miał jak. Założył więc, że nie na samym Szczurzym Zadzie trzymał się spisek, i postanowił działać według planu.

Nie powiedział nic swoim ludziom. Uznał, że Pies pogodzi się z losem. Był dobrym żołnierzem, nie jeden raz jednak sprawił na dziesiątniku wrażenie człowieka, któremu właściwie jest wszystko jedno i który nie widzi dla siebie przyszłości. Jeśli pozostawał komuś oddany, to chyba wyłącznie kolegom z dziesiątki, o nic innego zdawał się nie troszczyć. Żył też po trosze we własnym świecie. Kiedyś Pniak przyłapał go na czytaniu! Pies ściągał książki ze starych bibliotek i poświęcał czas na ich lekturę! W ten sposób setnik dowiedział się nie tylko, że jego podwładny umie czytać – i to niezłe – ale też że zdolny jest oddawać się zupełnie bezproduktywnemu zajęciu, co musiało świadczyć, że ma nierówno pod sufitem.

Pniakowi bardziej żal było Rachuby, jemu jednak też nic nie powiedział, z obawy, żeby gaduła nie wysypał się przed dziewczyną albo i nie zdezerterował. Spojrzała na podkomendnego. Trudno,

wojna to wojna, a żołnierz to żołnierz.

Rachuba pochwycił spojrzenie dziesiętnika, ale go nie zrozumiał, bo uśmiechnął się zadziornie i zaszalował kpiąco, uderzając wskazującym palcem o hełm. Chciał wrócić do banalnej kłótni z Mułem, z którym sprzeczki zawsze go cieszyły, bo spokojny ponad miarę olbrzym odpowiadał powoli i bez gniewu i nieodmiennie słowne starcia przegrywał. Za co też nie gniewał się wcale, przyjmując kłęski z pokorą. Tym lepszym wydawał się Rachubie towarzyszem. Niewysoki żołnierz długo nie dawałby spokoju wielkoludowi, gdyby „nosorożec” nie zatrzymał się gwałtownie, ledwie Rachuba otworzył usta.

Wypadli z pojazdu tuż przed samą granicą zgłiszczy, za którą zaczynało się prawdziwe wojenne zamieszanie. Działa były w resztki ruin, zasypując gruzem i tak już trudne do przebycia ulice. Potężna kanonada ucichła, zaledwie dziesiątka Pniaka przybyła na miejsce. Dziara podbiegł do nich, coś tam powiedział Pniakowi, który zaprotestował żywołowo. Setnik pokręcił głową, skrzywił się i wznosił oczy ku niebu. Cała ta pantomima przyciągnęła oczywiście uwagę żołnierzy, nim jednak zdążyli podbiec, by coś usłyszeć, nowy setnik czmychnął, zostawiając ich samych z kłnącym na czym świat stoi dziesiętnikiem.

– W co nas wkopali tym razem? – Rachuba jak zwykle odezwał się pierwszy. – Sami mamy zdobyć to miasto?

– A skąd! – Wykrzywił się w parodii uśmiechu Pniak – Jeszcze nam posiłki dołożyli. Oprócz maga dostaniemy dodatkowego pomocnika.

– Znaczy się? – pospieszył z pytaniem Drobina.

– Znaczy się tego mendziarza, cośmy z nim byli ostatnim razem na wzgórzu. Reportaż chce o nas robić.

– Przydał się wtedy – przypominał Muł.

– Ano przydał – zgodził się niechętnie dziesiętnik – Lecimy na miejsce spotkania, to trzy przecznice stąd. Będą tam na nas czekać czołgi i kapłan z magiem. I mendziarz. Dalej!

Pierwszego wypuścił jak zwykle Psa, obdarowanego zmysłem do wynajdowania pułapek i snajperów. Nikt nie wiedział, skąd się wziął talent milkiwego żołnierza, a on wiele o nim nie mówił, najpewniej sam nie wiedział. W odkrywaniu zasadzek nie miał sobie równych. Wypuszczano go w związku z tym na szpicy praktycznie za każdym razem. A on albo się przyzwyczaił, albo to polubił, albo też uznał, że i tak nie ma innego wyjścia.

Włączali wprawdzie na teren dawno już przez wojska cesarskie zajęty, sprawdzany dziesiątki razy, jednak żołnierze woleli ufać sobie niż zapewnieniom sztabowców. Poruszali się więc ostrożnie, korzystając z każdej dostępnej osłony.

Pies wyprzedzał ich wszystkich, a za nim zasuwali Worejło z Kukiełką. Droga pokonywana w ten sposób zajęła im więcej czasu, niż gdyby przeszli ją beztroskim spacerkiem, jednak

nauczyli się nie ufać nikomu i niczemu poza przeczuciami własnymi i Psa. On też wskazał im po drodze dwa miejsca, w których jego zdaniem mogły być miny. Ominęli je bez gadania, choć nadkładali przez to drogi i musieli potem gnać, żeby nie spóźnić się na spotkanie. Nikt przeczuć Psa nie sprawdzał, każdy miał pewność, że ich przewodnik nie może się mylić. Oznaczyli zaminowane miejsca i już o nich nie myśleli.

Gdy zbliżali się do punktu spotkania, tknięty przeczuciem żołnierz zatrzymał się nagle i spojrzął na najwyższy w okolicy zachowany budynek. Cokolwiek go w nim zaniepokoiło, pozostawało skryte przed jego oczami. Uniósł dłoń i jego towarzysze natychmiast przypadli do ziemi, chowając się w zaimprovizowanych kryjówkach. Pies odczekał chwilę, a gdy nikt nie zaczął do nich strzelać, rozluźnił się nieznacznie i ruszył przed siebie. Jeszcze kilkakrotnie zerkał na budynek, ale nic nie zauważył, więc wkrótce o nim zapomniał.

2

– Są – zameldował Piekło. Przy czajeni na resztkach drugiego piętra czegoś, co wedle zapewnień map było kiedyś galerią handlową, kawalerzyści wtopili się w tło dzięki systemom maskującym zbroi. – Przez chwilę myślałem, że ten koleś nas widział.

– Lepszy cwaniaczek – syknął Rumianek, nadal nie potrafiąc zapomnieć Pniakowej dziesiątce kpin. Odkład się dowiedział, że dołączono ich jako wsparcie właśnie do Pniaka, żywił przekonanie, że padli ofiarą spisku, a przydział stanowił jeszcze jeden rodzaj kary.

Trzeci z kawalerzystów, przycupnięty na wspomnieniu po oknie, nie odzywał się. Pozostawiał gadanie, myślenie, a nawet i emocje dowódcy, którego funkcję pełnił w tej chwili Piekło.

W oddziale szeptano o wielkim kawalerzyście, że przesadził w żywaniu się z symbiotycznym kombinezonem i coraz bardziej zatracił człowieczeństwo. Oczywiście, gdyby coś takiego odważył się powiedzieć jakiś durny piechociarz, kawalerzyści roznieśliby go na pięściach.

Kostek nie przejmował się tym, co o nim mówiono. Dorastał, jak pozostali, w ośrodku wychowawczym kawalerii. Już wtedy instruktor zwrócił na niego uwagę, dostrzegając, że trzyma się z boku. Był wyjątkowo milczącym i zdawać by się mogło – ponurym dzieckiem.

Instruktor uznał, że warto małemu Kostkowi poświęcić nieco więcej uwagi niż innym chłopcom, wciąż jeszcze czerpiącym z ćwiczeń beztroską, szczenięcą radość dzieciaków przekonanych, że stworzono je dla wyższych celów.

Wy tłumaczył Kostkowi, że w przyszłości stanie się członkiem drużyny kawaleryjskiej, w której kontakt z kolegami jest niezbędny. Ale także że kombinezon nie zrozumie go w pełni, jeśli chłopiec nie przyłoży się do nawiązania z nim kontaktu i budowania prawdziwego porozumienia. Wprawdzie w ćwiczeniach należał do najlepszych, ale kombinezon kawalerzysty potrzebował czegoś więcej niż zwykłych ćwiczeń.

– Nie jesteście tacy jak inni, wiesz o tym, ładecie. Pracowano nad waszymi genami, poddawano was specjalnej kuracji, jeszcze kiedy byliście w łonie matki. A razem z tobą, na podstawie twojego DNA, przygotowywał się do przyjścia na świat twój kombinezon. On nie jest tylko czymś, co musisz nosić i z czym musisz ćwiczyć, żebyście się ze sobą zgrywali. To w pewnym stopniu żywa istota. Musisz nie tylko być z nią podczas ćwiczeń. Musisz też nauczyć się jak najwięcej o komunikacji i współdziałaniu, żeby on też to potem potrafił.

– Czyli to jakby mój brat? – odpowiedział sześciolatek Kostek.

– Można tak powiedzieć. – Uśmiechnął się nauczyciel. – Choć twoją rodziną są bracia kawalerzyści, jedynie kombinezon dzieli z tobą DNA. Jest z tobą w pewien sposób spokrewniony.

– Wiem, co to DNA! – Sześciolatek popatrzył mu zadziornie w oczy.

– Oczywiście, że wiesz.

– Skoro to mój brat, to będę z nim rozmawiał! – podjął decyzję chłopiec.

– To dobry pomysł, ale to za mało. Widzisz, jesteś mądrzejszy od swojego kombinezonu. Szybko się uczysz, a on nie. Potrzebuje twojej pomocy. Gdybyś miał dbać tylko o siebie, dałbyś sobie radę, tak jak teraz to robisz. Ale musisz dbać o młodszego brata, który bez twojej pomocy się zmarnuje. Wiesz, że zmiany, które was dotknęły, czynią was nieprzydatnymi dla społeczeństwa. Pewnie, ty dasz sobie radę, choć ciężko ci będzie żyć bez kombinezonu...

– Mógłbym go zabrać ze sobą! – przerwał mu chłopiec. – I dbać o niego!

– Nie uda ci się – tłumaczył cierpliwie wychowawca. – On nie będzie umiał tak żyć. Powiedz, czy czujesz się niepełny, ilekroć musisz go ściągnąć? Jakby ci czegoś brakowało?

Małec pokiwał żywiłowo głową.

– Widzisz, gdy dorośniesz, on będzie się czuł podobnie bez pancerza. A pancerz dostaniecie tylko tu.

– Pancerz? To będzie taki trzeci brat? – zaniepokoił się Kostek. Widywał czasem starszych chłopców trenujących w ćwiczebnych pancerzach, dopasowanych do ich wzrostu. Wydawało się, że bardzo niechętnie je ściągali. Pomyślał, że jego kombinezon mógłby bardziej polubić owego brata niż jego.

– Niezupełnie. Pancerz to jakby ubranie dla kombinezonu. I dla ciebie oczywiście. Pancerz to wspaniała zbroja, cudowna broń i osłona jednocześnie. Ale zwyczajne ludzkie ciało nie dałoby mu rady, nie wytrzymałoby jego możliwości i umarło przy próbie współdziałania. A to wszystko

nawet wtedy, gdyby udałooby mu się nawiązać z nim kontakt. Twoje ciało zostało przystosowane do wymagań pancerza. Ale sam nie rozumiałbyś jego języka. Kombinezon rozumie i jego język i twój. Będzie pośredniczył między wami.

– Może mógłbym nauczyć się tamtego języka i rozmawiać z kombinezonem i pancerzem? – zapytał w ostatnim przyływie nadziei Kostek – Zamiast z tamtymi? – Wskazał ruchem głowy grających w piłkę kolegów.

– Niestety, ludzki mózg nie jest przystosowany do takich rozmów. Nawet twój. Uwierz mi, próbowaliśmy go przystosować, ale nawet my nie możemy pozwolić sobie na zbyt wiele. Bogowie i tak zrobili dla nas mnóstwo wyjątków. Musi być was trzech – pancerz, który was chroni, kombinezon, który pośredniczy, i ty, który nimi kierujesz. Nie da się inaczej. Ale jeśli nie chcesz, żeby to wszystko się zepsuło, musisz się nauczyć żyć i współdziałać z ludźmi. Nie martw się, ładecie, jeszcze to polubisz. Chodź, wprowadzę cię do którejś z drużyn.

– Nie. Jeśli mam nauczyć się być z nimi, muszę sam to zrobić. Sam się wprowadzę! – oświadczył stanowczo Kostek i uciekł, nim instruktor zdążył go powstrzymać.

Przyłożył się do zadania jak zawsze. Nauczył się rozmawiać z ludźmi, rozumieć ich i współdziałać z nimi. A wraz z nim nauczył się tego kombinezon, owa niezwykła biomechaniczna istota, po części będąca nim samym.

W jednym tylko instruktor się pomylił. Kostek nigdy nie polubił towarzystwa innych ludzi. Natomiast swój kombinezon wciąż kochał.

W przeciwieństwie do pozostałych kawalerzystów nie nadał imienia pancerzowi. Zdawał sobie sprawę, że pancerz to tylko rzecz – cud techniki, ale martwy przedmiot, który można stracić i zastąpić nowym. Z kombinezonem sprawa miała się inaczej. Kombinezon był jego bratem, a nawet czymś więcej, częścią jego samego. Dlatego bardziej od kontaktów z ludźmi wolał rozmowy z kombinezonem, którego język różnił się od ludzkiego. Był o tyleż doskonalszy! Wystarczyła tylko myśl Kostka i towarzyszący jej impuls elektryczny, by kombinezon natychmiast ją wychwycił i zrozumiał. Ubogie i ograniczone słowa okazywały się niepotrzebne. Kombinezon nauczył się odróżniać polecenia od żartów, wyczuwał nastroje Kostka. Sam mówić nie potrafił, starał się jednak dopasować do nastroju nosiciela temperaturą lub rozłożeniem napięcia materiału. Ich rozmowy toczyły się na poziomie niedostępnym tak śmiertelnikom, jak i – Kostek święcie w to wierzył – bogom. Nawet jeśli inicjatywa kombinezonu sprowadzała się do stałej gotowości wobec oczekiwania nosiciela, Kostek wolał taki kontakt od rozmów z ludźmi, wiecznie przeinaczającymi jego słowa i intencje.

Teraz kombinezon starał się być neutralny. W sytuacji bojowej nie mógł rozpraszać nosiciela rozmową. Kostek, wraz z pozostałymi kawalerzystami, śledził ruchy piechociarzy, a kiedy ci dotarli do czołgów, odbili się od ściany zrujnowanego domu i skoczyli ku ziemi.

Systemy zbroi uniosły ich na kilka metrów w powietrze. Gdy opadali, włączyły się systemy hamujące i na ziemi wylądowali niemal bezszelestnie, wciąż prawie niewidzialni dzięki błyskawicznie dostosowującemu się inteligentnemu kamuflażowi. Pancernik obliczał tor lotu i badając miejsce lądowania, dostosowywał do niego maskowanie. Ich wzmocniony układ kostny wytrzymał przeciążenia zdolne zgruchotać kości zwykłych ludzi. Ledwie dotknęli ziemi, już się od niej oderwali i kolejnym susem dogonili dziesiątkę piechoty. Pielko nawiązał kontakt z Pniakiem i uprzedził ich o swoim przybyciu, żeby nie doszło do niepotrzebnej strzelaniny, gdyby żołnierze odkryli nagłą obecność kawalerzystów.

Pielko i Pniak ustalili taktykę, po czym kawaleria odłączyła się od piechoty. Od tej pory trójka Pielka czuwała nad tamtymi z odległości kilkudziesięciu metrów. Czołgi ruszyły osobną, szeroką, oczyszczoną z gruzu ulicą.

3

Ponury dziesiątnik okopany na skrzyżowaniu, którego środek zajmowała zmasakrowana ciężarówka, zatrzymał ich i ani myślał przepuścić.

– Tam – wskazał kupę gruzu na wschód od wraku – usadzili mehadziałko. Popierdziela po nas, aż skały pękają. – Na dowód pokazał roztrzaskany pociskiem spory kamień pochodzący z prowizorycznego murku, za którym się chronił. – A tam – tym razem pokazał na zachód, gdzie osamotniony pion czegoś, co kiedyś było trzypiętrowym budynkiem, pochylał się nad skrzyżowaniem na kształt samotnej wieży – siedzi co najmniej trzech gości. W tym snajper. Szybcy są.

Jak szybcy, dowodziły ciała czterech żołnierzy rozrzucone wokół ciężarówki. Dwóch innych, rannych, właśnie opatrywał Pchła.

– Za kwadrans musimy być trzy skrzyżowania stąd – warknął rozszonony Pniak – Kukielka, wychyl się i poczęstuj tamten gruz rakietą. Wcześniej Pies i Worejło! Granaty dymne i zagłuszacze!

– Czekać! – Obcy dziesiątnik chwycił go za rękę. – To nic nie da! To nie są ludzie!

– Że co?

– To kundle! Kundle Szkarłatnej Maski!

Kundle! Pniak się zawahał. Czyżby to miało być miejsce spotkania? Nie... jeszcze nie mieli ze

sobą obiecanego maga, który wołał się przemieszczać pod pancierzem czołgu. Wokół panował względny spokój...

– Ja załatwię kundle, wy zajmijcie się działkami – odezwał się Piekło i nie czekając na aprobatę Pniaka, wydał swoim rozkaz natarcia.

– Kukiełka! – zawołał zirytowany Pniak – Wal rakiętą na mój znak! Szykuj...

Kawalerzyści dopadli „wieży” w trzech susach. Spadli na zaskoczonych buntowników zza pleców i zmiażdżyli samymi uderzeniami pięści panczerzy, nawet nie sięgając po inną broń.

– ...teraz!

– Zwykli ludzie, żadne tam kundle! – zameldował pogardliwie Piekło. – Strachliwy ten twój koleżka. Wszędzie widzi kundle i demony.

– Stracił czterech ludzi!

– Fujara, jakto w piechocie. No, ale na szczęście macie nas. Ruszajcie, mięso armatnie.

Pniak zaklął, ale nie wdał się w kłótnię. Gdy mijał dziesiątnika, poklepał go po ramieniu. Facet odpowiedział mu pustym spojrzeniem.

– Czterech moich! – stęknął. – A wy ot, tak..

Dotarli na miejsce kontaktu o czasie. Pniak przywitał się z kapłanem, magiem i dowódcą czołgów. Dziennikarza napomniął tylko, żeby nie płatał się pod nogami.

Ledwie kilometr przed nimi rozpościerała się bariera. Stąd była słabo widoczna; istnienie prawie zupełnie przezroczystego pola zdradzała jedynie pomarańczowa poświata sprawiająca wrażenie, jakby w tym jednym miejscu skupiły się odbłaski zachodzącego słońca. Nastrojonemu romantycznie Rachubie wydała się piękna, pozostałym spodobała się znacznie mniej.

– Takie nic! – Drobina potrząsnął głową. – Takie nic, a trzyma nas tu tyle czasu!

Miasto za nią wydawało się nierzeczywiste na tle otaczającego je okręgu ruin. Domy pod barierą pozostawały nietknięte, jakby zagłada cofnęła się o krok przed zadaniem ostatecznego ciosu.

W centrum miasta zachowała się jego najstarsza część, na której tak zależało cesarzowi. Nad pogorzelskiem, w pomarańczowej aureoli wznosiły się dumnie wzniosłe wieże ze szkła i stali, sąsiadujące z przysadzistymi, przypominającymi raczej bunkry, surowymi, ale stylowymi domami pierwszych kolonistów. Później, ku chwale przodków, zachowano je, otaczając parkami i muzeami budowanymi na wzór starych ziemskich budowli. Choć style architektoniczne wielu epok mieszały się tam, tworzyły nowy, intrygujący wzór. W miarę jak miasto rosło, obrzeża najstarszej dzielnicy zasiedlały kolejne świątynie. Pomiędzy nimi wznoszono przede wszystkim pomniki i domy pamięci. Miasto zmieniano w jeden wielki pomnik chwały innergetycznego imperium.

Teraz wszystko to stanowiło ostatnią twierdzę buntowników. Nierealnie wspaniałą, piękną

i skazaną na kłeskę.

– Szybciej! – Ochryply głos Pniaka przełamał czar. – Musimy być na miejscu, nim padnie bariera!

Jeszcze trzy razy musieli stawiać czoło pułapkom buntowników. Nie spotkali już ludzi, lecz automaty i sprytnie rozmieszczone nici nanowłókien, zdolne do przecięcia pancerza czołgu.

Na miejscu czekała ich niespodzianka – porzucona przez buntowników barykada. Musieli tylko zmodyfikować ją nieco do własnych celów.

– Przedsiębiorca piekła – mruknął Rachuba. – Wystawili nas tu do rozpierdzenia.

Część żołnierzy uśmiechnęła się na te słowa. Tylko czekali, aż ich kurdupel zacznie narzekać. Jedynie Drobina, który czasami odczuwał przesyt Rachubowego czarownictwa, zachnął się na niego.

– Przecież nie przysłali nas tu w nagrodę – spokojnie odpowiedział mu Rachuba, czerpiąc ponurą satysfakcję z klarowności swoich wywodów. – Przydzielili nam do pomocy tych kawalerzystów, z którymi żeśmy się bili. Za karę. No i tak samo my jesteśmy tu za karę. Mówię wam, to najgorszy posterunek Tutaj...

– Tutaj nic się nie stanie – warknął rozeźlony Pchła. Zwykle okazywał cierpliwość i obojętność na wydarzenia, lecz dziś Rachuba niespodziewanie zdenerwował i jego. – Pieprzeni buntownicy są otoczeni i zamknięci. Mysz się nie prześlizgnie. Po cholere mieli by się tu pchać? Co tu takiego jest? Do jakiego ratunku prowadzi ta droga? Bredzisz, Rachuba, z tą karą.

– Trochę bredzi, trochę nie – postanowił ich rozsądzić Pniak – Faktycznie jesteśmy tu za karę, jak tamci z kawalerii. Bo nagrodę odbierają ci wszyscy szurmujący. Nikt się tam nie spodziewa oporu. Idą jak na defiladę. Zdobędą ostatni bastion buntowników, rozumiecie?

– Chwała – prychnął Pies.

– Chwała – potwierdził Pniak – Kiedy my tu będziemy się nudzić, oni trafią do historii. To jest nasza kara.

– Cesarskie myślenie – zdenerwował się mały żołnierz. – Pieprzenie! Powinienem był się domyślić. Jak zwykle!

Zawsze tak było, od początku wojny. Legiony Obywatelskie biły się i ponosiły najcięższe straty, a oddziały cesarskie wkraczały do wyzwolonych miast urządzać defilady. Zdaniem Obywatelskich, do niczego innego się zresztą nie nadawały.

Pniak wysłuchiwał meldunków o walkach w innych częściach miasta, sam jednak cieszył się względny spokojem. Wyglądało na to, że wbrew obawom sztabu zadanie, jakie im przydzielono, miało się okazać jedną wielką sielanką. Mogło to oznaczać pewien kłopot dla planów spiskowców, ale tym Pniak przejmował się akurat najmniej. Niech inni się martwią.

Przydzieleni im kapłan i mag oczyścili okolicę z wszystkich sprytnych innergetycznych

wrogich pułapek, Worejło zaś wspólnie z Psem i Kukiellą odnaleźli ukryte stanowiska irlandzkich obserwatorów. Sieć zautomatyzowanych kamer, sprytnie poupychana wśród ruin, miała zapewnić przeciwnikowi cały pakiet danych na temat postępów Urmińczyków.

Dla Psa, który już gdy trafił do wojska dysponował sporym, nie wiadomo jak nabytym doświadczeniem w radzeniu sobie z elektroniką, irlandzki system nie stanowił godnego przeciwnika. Pniak podszedł przyjrzeć się jego pracy, ale jak zwykle nic nie rozumiał, gdy obserwował palce Psa śmigające po wirtualnej klawiaturze – dziwaczną pantomimę dłoni przeradającą się w coś na kształt baletu, gdy żołnierz musiał używać całych rąk, a nawet przechylał ciało, manewrując większymi ideogramami wyjątkowo ciężkich ładunków danych. Jak zwykle zamknięty w sobie Pies nawet teraz zachowywał kamienny wyraz twarzy, nie zwracał też uwagi na przełożonego. Zameldował tylko, gdy skończył. Gdyby to Rachuba rozbroił wroga programy, najpewniej odtanńczyłby triumfalny taniec i ogłosił swój sukces każdemu w zasięgu wzroku. Pies nie okazał nawet najmniejszej emocji, gratulacje dziesiątnika przyjął spokojnie, ograniczył się do skinięcia głową w podziękowaniu. Pniakowi pozostawało się cieszyć, że ma w dziesiątkę takiego żołnierza i że ten nie zapragnął uciec do którejś z wygodnych służb oferujących spokój na drugiej linii frontu.

Kiedyś się bał, że za niewzruszonym spokojem Psa ukrywa się szaleniec, potwór przyczajony w kryjówce i czekający na okazję do polowania. Przekonał się jednak, że i Psu nieobce są uczucia, gdy kiedyś skierowano ich do zabezpieczenia szpitala dla psychicznie chorych, przez który przetoczył się szturm kawalerii. Trzech ludzi musiało odciągać Psa od setnika, który rozkazał dobiec rannych. Tamtemu się wydawało, że postępuje humanitarnie, Pies miał na ten temat zgoła odmienne zdanie. Wtedy poznali jego słabość – zimny, cichy drań nie lubił, gdy krzywdzono bezbronych. Gdyby nie interwencja samego Spasozffa mogliby wówczas wszyscy źle skończyć. Humanitarny setnik okazał się siostrzeńcem stanowczo zbyt wpływowego sztabowca.

Podczas gdy Pies szukał dla siebie najlepszego stanowiska, Rachuba pozwolił sobie na coś w rodzaju odprężenia. Ignorując narzekania i napomnienia Drobiny, przeczesywał okolicę w poszukiwaniu łupów. Klął na czym świat stoi, kiedy odkrył, że ruiny zostały już dokładnie przeszukane i dla niego nie pozostało nic poza niewiele wartymi śmieciami.

Przetraszał właśnie, pod czujnym spojrzeniem reporterskiej kamery, resztki jakiegos zmasakrowanego biurka, kiedy kapłan, stojący zaledwie kilka metrów od niego, stęknął nagle, skulił się, a potem dziwnie powoli osunął na kolana i upadł.

Rachuba porzucił mizerne łupy, które i tak zabrał raczej dla zasady niż w nadziei, że zdoła je komuś sprzedać, i krzykiem podniósł alarm. Patrząc przy tym zdziwiony na stojącego obok ciała kapłana maga. Przysłany im na pomoc wojskowy innergetyk nie wydawał się poruszony

śmiercią boskiego sługi. Pochylił się nad zwłokami, przeszukał kieszenie kurtki zabitego, wyjął z nich coś i spokojnie ruszył w kierunku umocnień.

Zaledwie chwilę później Irliańczycy, którzy pojawili się, jak uznał Rachuba, znikąd, otworzyli do nich ogień.

Niewysoki żołnierz odruchowo poszukał najbliższej kryjówki. Schował się za pozostałościami biurka, które dopiero co przeszukiwał. Krzykiem zaczął się domagać osłony ogniowej.

– Nie wrzeszcz tak – ostudził go spokojny głos Pniaka. – Rozsadzisz mi słuchawki, panikarzu.

Szitar już ich trochę przycisnął. Leć do nas. I nie drzyj się.

– Skąd oni się wzięli? – wydyszał Rachuba, gdy udało mu się wreszcie dotrzeć za barykadę. Z ulgą dopadł iguany i posłał kilka serii w stronę zbliżających się Irliańczyków, raczej dla uspokojenia niż w nadziei trafienia kogoś. Znajomy złowieszczy rechot karabinu przyniósł mu ulgę. – Gdzie zwiad, do cholery? Gdzie wywiad? Nikt nic nam nie powiedział!

– Uspokój się – warknął Pies przykucnięty obok – I celuj, żeby zabić coś więcej niż kilka kamieni. Celuj dobrze, bracie, bo z tego, co widzę, idą ku nam komandosi małej dziwki.

Sam starał się trafiac i strzelał mniej więcej przy co czwartym słowie. Ta staranność i niemal pedantyczna dokładność kolegi wciąż śmieszyła, a i trochę drażniła Rachubę. Pies, który zawsze pozostawał cokolwiek mrukiwym abnegatem, obnoszącym się ze swoją pogardą dla zasad, zmieniał się, gdy tylko dotykał swojego karabinu snajperskiego.

„Jeżeli ten facet kocha czy choćby lubi cokolwiek na świecie, z pewnością jest to ta jego flinta” – śmiewał się z niego czasem Rachuba. „Dam głowę, że strzelanie z niej zastępuje mu seks!”

– Przynajmniej mam ją przy sobie każdej nocy i z nikim jej nie dzielę – odparował mu kiedyś Pies i od tej pory Rachuba przestał się z niego nabijać. Na jakiś czas.

Komandosi Unry – najlepsi, jak powiadano, po kundlach żołnierze rebelii. Zacięci, bezlitośni i – co najgorsze – naprawdę dobrze wyszkoleni. Wystarczająco twardzi, żeby zrobić wrażenie na Rachubie.

– Czemu te cholerne czołgi nie strzelają celniej? – zawołał. – Sam mam odwalić całą robotę?

– Piechota jak zwykle pierwsza do narzekania. – Usłyszał wesoly głos jakiegoś czołgisty, najwyraźniej wszyscy podpięli się pod wspólny kanał. – Pukaj, pukaj, robaczku, ze swojej zabaweczki. A zaraz zobaczysz, jak działa prawdziwa broń.

Nie tyle zobaczył, ile usłyszał. Huk trzech równoczesnych salw omal nie urwał mu głowy. Od biedy inteligentny hełm wytłumił hałas o ułamek sekundy za późno. Przez chwilę Rachuba był niemal głuchy. Podskoczył, gdy Pies szarpnął go za ramię. Spojrzał na niego i przekonał się, że sąsiad wrzeszczy coś niezrozumiałego. Potrząsnął głową. Usta Psa ułożyły się w przekleństwo, po czym snajper wychylił się zza barykady i strzelił trzykrotnie w stanowisko przeciwnika, które Rachuba powinien „uspokajać” ostrzałem.

– Rachuba, zsynchronizowałem ci broję z pancernymi! – opieprzył go Pniak, gdy żołnierzowi powrócił słuch. – Ale zrób to, lajzo, następnym razem przed walką! A teraz chroń czołgi przed draniem i z buldogami! Pies wszy stkich za ciebie nie zdejmie!

Rachubę kusilo, żeby odpyskować, ale ugryzł się w język. Nie ma co drażnić dziesiątnika podczas walki. Pokpi z niego po wszy stkim.

Pies liczył strzały i trupy. Ku frustracji Rachuby z jednej strony, a zadowoleniu z drugiej, oba wyniki prawie się pokrywały. Skupił się na swojej walce.

– Zsynchronizował mi broję – narzekał, strzelając. – Taki jego syn! O, nie wychylaj mi się, wszawy synu dziwki! Taaa... no i dostałeś za swoje! Buldog raz, buldog dwa, buldog trzy... Jasne, Pniak, weź mnie przejmij i w ogóle zdalnie steruj Rachubą. Lepiej ci od tego będzie? Gdzieeeee leziesz? No, Pies, zobaczymy, kto będzie miał więcej buldogów po walce... „Zsynchronizowałem za ciebie”, powiedziała!

Dzięki panowaniu na orbicie i w powietrzu Pniak dysponował obrazem z satelity. I za jego pośrednictwem wy patrzył kolejne zagrożenie.

– Pieńko! Jakies cwaniaki próbują nas zejść od wschodu. Dwie dziesiątki. Poradzisz sobie?

– Patrz i podziwaj – odpowiedział kpiąco kawalerzysta.

Długimi susami kawalerzyści wyskoczyli w powietrze, ufając swoim kamuflażom. Opadli pośród zaskoczonych Irliańczyków i w kilkanaście sekund zmasakrowali pierwszą dziesiątkę. Wtedy druga otworzyła do nich ogień.

– Odskok! – rozkazał Pieńko.

Wycofali się w cień zdumiewająco mało uszkodzonej kamienicy, by znów zniknąć z oczu przeciwnikom. Choć maskowanie zbroi spisywało się na medal, kawalerzystom trudno było ukryć swoją obecność w trakcie starcia wręcz. Irliańczycy, widząc padających kolegów, otworzyli ogień niemal „na ślepo” w miejsca, gdzie, jak oceniali, powinien znajdować się przeciwnik.

– Zbyt nia brawura – stwierdził Pniak – Mogliście ich zejść na odległość.

– Wal się, piechociarzu – odparł bez złości Pieńko. – Nie wiesz, co to zabawa.

Jak zwykle przyszło do niego upojenie walką. To ciało i umysł reagowały na to, jak kombinezon tłumaczył język zbroi. Elektroniczne kody przepływały do organizmu nosiciela w postaci na wół zrozumiałych impulsów, wzbogacone o nadbagaż, z którym mózg musiał jakoś sobie poradzić. Specjaliści armii uznali, że pobudzenie ośrodków euforii stanowić będzie właściwe ujęcie. W rezultacie walka była dla kawalerzystów niemal równoznaczna z radością, a same starcia traktowali jak upojny taniec. Niechętnie z niego rezy gnowali. Tym razem jednak Pieńko posłuchał formalnie dowodzącego tu Pniaka. Uzbrojeni w podczepione do zbroi zmodyfikowane tasmany, kawalerzyści otworzyli ogień do pozostałej przy życiu dziesiątki Irliańczyków. Zabijali bez przyjemności. Korzystanie z broni palnej nie sprawiało już takiej frajdy jak bezpośrednie starcie.

– Pilnujcie się! – Na razie wszystko szło nieźle, odpierali ataki bez wielkiego wysiłku. Pniak zdawał sobie jednak sprawę, że Maską szykuje im coś znacznie poważniejszego od tego niemrawego natarcia. Mag potrzebował czegoś dużo bardziej widowiskowego, by ukryć ucieczkę.

– Wydają się uparci. Nie zrezygnują łatwo.

– Hej, piechociarzu! – odezwał się dowodzący trójką czołgów, o ile Pniak pamiętał, miał on na imię Mirkot. – Myślisz, że naprawdę próbują się przebić i uciec?

– Nie wydaje mi się. Ci przed nami to komandosi małej dziwki. Oni nie uciekają, szykują nam coś. Od flanki posłali byle piechotę na żer. Teraz już wiedzą, czego się spodziewać. Z drugą falą nie pójdzie tak prosto.

– Wielkie dzięki, piechociarzu! – parsknął Mirkot. – Wszyscy u was tacy radośni i pełni optymizmu?

– Pełni czego? Użyłeś jakiegoś dziwnego słowa, puszek. To jakiś wasz slang?

Dalszą wymianę żarcików przerwał im niezawodny Rachuba.

– Poderwali się! – zawołał, zmieniając bęben w tasmanie. – Ruszyli, pieprzeni samobójcy!

Początkowo wyglądało na to, że druga fala zostanie odparta równie łatwo jak pierwsza. Choć ruiny dawały częściową osłonę nacierającym, okazała się ona zbyt słaba wobec ognia czołgów. Z kolei wszystkich ryzykantów z buldogami ścinał bezlitośnie ostrzał piechoty. Trójka żołnierzy Pniaka na prawej flance praktycznie nie miała nic do roboty, trzymani w odwodzie kawalerzyści także zaczęli się wygłupiać, narzekając na nudę. Niepokój Pniaka rósł.

Trzy silne grupy buntowników pojawiły się nagle przed nimi. Dziesiątnik zaklął. Zdaniem satelity wciąż nikogo tam nie było.

– Piekło, idą ku tobie przynajmniej trzy dziesiątki. Nie szarżuj tym razem. Drobiną! Bierz Sebę i biegiem na prawą flankę wesprzeć Muła z Kukiełką. Uważajcie, ukryli się przed satelitą, diabli wiedzą, co jeszcze szykują!

Na początek okazało się, że tym razem widzieli kawalerzystów. Kiedy ci, pewni wynikającej z maskowania przewagi, wychylili się beztrząsco zza osłony, zostali natychmiast ostrzelani. Kule, na szczęście z broni małego kalibru, zagrzechotały o ich pancerze. Zaskoczony Rumianek cofnął się, zawadził o coś stopą i upadł. Kostek natychmiast pomógł mu wstać. Rozeźlony Piekło ostrzelał Irlińczyków, pewny bezpieczeństwa w pancerzu. I wtedy niespodziewanie potężny cios z prawej strony powalił go na ziemię.

Dostałem! – pomyślał. Nie czuję bólu, nic... Z czego mnie tak...?

Zbroja nie meldowała o uszkodzeniach, jeśli więc został trafiony pociskiem, musiało to być coś śmiesznie nieskutecznego. Chyba że...

– Rumianek! Kostek! – zawołał, podnosząc się. – Coś tu jest nie tak! Coś...

Kolejne trafienie nie było już tak łaskawe. Skafander wytłumił ból, jednak napływające od

zbroi wiadomości o uszkodzeniach na chwilę aż oszołomiły mózg. Rumianek podbiegł do przełożonego i zaczął go odciążać pod względnie bezpieczną osłonę kamienicy. Przykucnięty za kupą gruzu Kostek starał się zapewnić im osłonę ogniową.

– Trafiony! Trafiony! – meldował Piekło, gdy doszedł do siebie. – Pniak! Wałą do nas z ciężkiego sprzętu! Niech czołgi ich przygniotą!

– Przyjąłem. Schowajcie się. Wzywam naszych dzielnych lotników.

– Pniak! Jest jeszcze coś. Pewności nie mam, ale wydaje mi się, że przeszli koło nas goście w kamuflażu. Lepszym, kurwa, od naszego. Nie widziałem ich! Rozumiesz? Systemy zbroi go nie wykryły!

– Przyjąłem. Opanuj się, Piekło. Schowajcie się, zaraz zrobi się koło was gorąco.

– Pniak, ty durny sukinyńcu! Właśnie ci mówię, że mogły przejść obok nas pieprzone kundle!

– Przyjąłem, Piekło. Przy-kurwa-jąłem! A teraz się schowaj!

Nadał ustalonym kodem wezwanie o pomoc. Nie otrzymał potwierdzenia. Zaklął i powtórzył. Bez powodzenia.

– Jesteśmy odcięci. – Odwrócił się do maga. – Użyj swojego hołus-pokus i przebij się przez zagłuszanie albo sam skontaktuj się ze sztabem i zamelduj, że potrzebujemy wsparcia. Mamy na karku i synów dziwki, i pieprzone kundle.

Innergetyk nachylił się ku niemu, by odpowiedzieć bezpośrednio, poza kanałami łączności.

– Ale tak miało być, prawda?

– Jak miało być? Czekaj! Ty odciąłeś łączność?

– Uspokój się, dziesiętniku, rób swoje.

– To znaczy co, sukinyńcu? Mam może pomóc w rozwalaniu moich ludzi? Wezwij wsparcie albo rozwałę, ale ciebie!

Wycelował broń w maga.

– Nie takie masz rozkazy!

– To zależy od kogo, maga. Zdaje się, że generał kazał mi walczyć z buntownikami, nie? No to wzywaj wsparcie albo...

Jeden z czołgów eksplodował. Podmuch powalił na ziemię i dziesiętnika, i maga. Żołnierz poderwał się pierwszy. Kopnął próbującego wstać innergetyka, a potem leżącego uderzył w głowę kolbą karabinu.

– Piechociarzu! – krzyczał do niego dowódca czołgistów. – Dziesiętniku! Ktoś zabija moich...

– Kundle! – wpadł mu w słowo Pniak – Kundle tu są. Wycofaj się! Wycofaj, wycofaj!

Eksplodował drugi czołg.

– Worejło! Pies! – wrzasnął Pniak – Kundle za nami! Do mnie!

Ostrzeżał na oślep okolice ostatniego czołgu. W tej chwili nie myślał wcale o spisku. Obudził się

w nim tłumiony od rozmowy z setnikiem żołnierz, prosty i szkolony do walki, nie do politycznych przepychanek. Ludzie pod jego komendą byli atakowani i zabijani. I tylko to go obchodziło.

– Gdzie to wsparcie, Pniak? – odezwał się Pielko. – Nieźle nas tu cisną.

– Łączność siadła. Próbuje skontaktować się na własną rękę. I trzymaj się tam, Pielko. My tu mamy problem.

Wydało mu się, że dostrzegł ruch, jakby zawirowanie powietrza w pobliżu czołgu, na którego pancerzu ktoś namalował czerwonymi literami imię „Alwa”. Rachuba miałby używanie, pomyślał i strzelił długą, upartą serią. Trafiał. Kamuflaż kundla zaiskrzył i przez moment dziesiątnik widział potężną postać w szkarłatnej zbroi. Strzelił jeszcze raz aż do opróżnienia magazynka. Zaklął i przeładował, widząc, że reagując na jego upór, kundel stracił zainteresowanie czołgiem i przeniósł je na niego.

– Mirkot, odgoniłem ci kundla z ogona! – zawołał. – Spieprzaj, zanim inny podczepli ci ładunek!

– Sam spieprzaj! – Głos czołgisty drżał od wściekłości. – Sam spieprzaj! Będę strzelał do tych skurwieli, aż wszyscy, kurwa, pozabijam. Będę...

– Zmień pozycję, Mirkot! – upomniął go Pniak – Po prostu bądź w ruchu!

Wciąż strzelał do zbliżającego się do niego kundla, ale nie osiągał wiele. Dopiero strzał Psa powalił żołnierza Maski. Pniak odetchnął z ulgą i rozejrzał się za nowym celem. Wtedy potężny cios rzucił go na ziemię. Zamroczyło go. Jęknął głucho, gdy kolejny cios spadł na jego klatkę piersiową.

– Ty jesteś Pniak? Ten dziesiątnik? – wyszczał mu głos koło ucha. – Facet, którego mamy ratować? Czemu strzelasz do naszych? Miałeś wiedzieć.

Chciał odpowiedzieć, że w dupie ma politykę, Maskę i ich, ale brakowało mu tchu.

– I magowi przywaliłeś – deliberował syczący głos. – Ja tam nic nie wiem, ale na sojusznika to ty mi, koleś, nie wyglądasz. No, ale mam swoje rozkazy i ja, wyobraź sobie, się ich trzymam. Idziesz ze mną.

Niewidzialne dłonie chwyciły go i uniosły w górę.

A po chwili dziesiątnik znów leżał na ziemi. Tym razem to Worejło, widząc unoszącego się w powietrze Pniaka, zrozumiał, co się dzieje, i skoczył na niewidzialnego kundla, przewracając go. Zaczął zaraz uderzać na ślepo, starając się zadać jak najpoważniejsze rany.

Dla Psa wszystko to wyglądało prawie śmiesznie. Koledzy z jego dziesiątki poruszali się jak w sennym koszmarze. Strzelali na oślep, starając się trafić przeciwników. Worejło siedział okrakiem na jednym z kundli, uderzając pięściami na przemian w jego ramię, głowę albo w ziemię obok leżącego. Ciosy opancerzonej pięści zdolnej zgruchotać nieosłoniętą czaszkę nie mogły wyrządzić większej krzywdy kundlowi. Niemniej Worejło go zaskoczył i chyba oszołomił.

Pniak podnosił się z trudem, a nad nim pochyłał się już kolejny z kundli.

Pies widział ich wszystkich. Niewyraźnie, zamglonych, półprzezroczystych, ale widział. Wycelował w kundla pochylającego się nad dziesiętnikiem i strzelił. Pocisk nie przebił zbroi, jednak zwrócił uwagę kundla.

– Co jest? – zawołał Pies. – Naprawdę ich nie widzicie?

Strzelił ponownie.

Uwolniony Pniak opamiętał się na tyle, by wyszarpnąć zza pasa latarnię, granat ze swoistym defensywnym wspomaganie innergetycznym, zrobiony na bazie cywilnej technologii, do jakiej bogowie nie mieli zastrzeżeń. Wyrwał zawleczkę, policzył do trzech i rzucił latarnię w powietrze.

W innergetycznym rozbłysku wydawało się, jakby cały świat zamarł na moment w bezruchu. Źródło innergii pulsowało na wysokości dwóch metrów, zalewając okolicę w promieniu dwudziestu metrów zielonkawym migoczącym światłem. Bolały od niego oczy, ale wyraźnie było w nim widać napastników. Latarnia niwelowała działanie najdoskonalszych nawet kamuflaży. W jej świetle Pniak dostrzegł kolejnego kundla podkładającego ładunek pod wycofujący się czołg.

– Trzydzieści sekund! – przypomniał żołnierzom o czasie działania latarni i strzelił do kundla. Tragicznie chybił. Po uderzeniu pocisku ładunek wybuchł w rękach żołnierza, roznosząc go na strzępy.

– Sukinsynu! – wrzasnął kundel, który wcześniej starał się podnieść Pniaka. – Teraz cię zabiję!

Nie było mu jednak łatwo pozbyć się Worejły, który już dokładnie widział, gdzie ma uderzać.

– Hej, chłopaki! – przypomniał o sobie Rachuba, skupiony cały czas na ostrzale pola przed nimi, zmieniający kolejny magazynek w iguanie. – Pamiętacie o mnie? Bo sam tu zostałem! Nie, żeby m narzekał, radzę sobie, ale wiecie, smutno mi samemu!

– Zamknij się – warknął Pies, a ton jego głosu sprawił, że niewysoki żołnierz aż się odwrócił.

Ze wszystkich stron otaczały ich kundle. Nie widział, ilu ich jest. Ale w obręb działania latarni wkraczali jeden za drugim, zdawało się, bez końca. Zrozumiał, że zwykli żołnierze, piechociarze jak on, atakujący ich od frontu mieli tylko odwrócić uwagę.

– Och, Maju! – sapnął.

– I po mięsie armatnim – ocenił Rumianek, gdy latarnia zgasła i znów widzieli tylko ludzi Pniaka.

Ostrzeliwali się zaledwie trzydzieści metrów dalej, w forticy, w którą zamienili kamienicę tak szczęśliwie dotąd unikającą zagłady. Irliańczycy, wiedząc już, że mają do czynienia z kawalerią, atakowali każdym rodzajem cięższej broni, jaki tylko zdołali tu ze sobą przytaszczyć. Jednak kawalerzyści walczyli przy najmniej ze zwykłymi ludźmi.

– Druga latarnia – zameldował Kostek – Wy kończą ich.

– Niech wykańczają – prychnął Rumianek – Pieprzę ich. Nie są już teraz tacy ważni jak przy swoim setniku, nie?

Wychylił się i zdjął dwóch buntowników próbujących obejść ich od lewej.

– Sami też możemy tu zdechnąć, jeśli to cholerne wsparcie się nie pojawi.

– Nie pojawi się – stęknął oparty o ścianę Piekło. Jego zbroja uruchomiła systemy samonaprawcze, a kombinezon starał się uleczyć rany nosiciela. – Zagłuszają nas skutecznie, cholera.

– No to zdechniemy – ocenił Rumianek głosem pozbawionym emocji. O ile słyhać było gniew, gdy mówił o piechociarzach, którym wciąż nie wybaczył drwin i bójki, wizja własnej śmierci wydawała się go nie wzruszać. – Bo raczej się nie wycofamy, nie?

– Kawaleria się nie cofa. – Piekło uśmiechnął się i spróbował wstać. Stęknął. – Nasze zbroje nie mają tego w programie.

– Taki feler. – Rumianek skinął głową. Ostrzelał kolejną dziesiątkę buntowników, zmuszając ich, by przypadli do ziemi. – Trzeba to kiedyś w końcu naprawić, nie?

– Przy pierwszej możliwej okazji, Rumianek Przy pierwszej. – Piekło, utykając, zbliżył się do okna i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Wyglądało na to, że buntownicy wysłali na nich znacznie więcej żołnierzy, niż ktokolwiek przewidywał. Skąd oni ich jeszcze tylu mieli? – Napiszę o tym w raporcie, jak wrócimy.

– No, całe szczęście. Uspokoileś mnie tym. Uspokoileś. Kostek, do diabła, rusz dupę! Sam mam ich pozabijać? Zgarnę wszystkie odznaczenia dla siebie, jaktakdalej pójdzie!

– Trzecia latarnia – poinformował ich Kostek, nie zwracając zupełnie uwagi na narzekania Rumianka. – Nie mają szans. To musiałyby zrobić ktoś z nas. Pogadać z kundlami jak równy z równym.

Spojrzeni na niego zaskoczeni.

– Myślisz o tamtych? – zawołał ze złością Rumianek – O tych pieprzonych piechociarzach? Kurwa, Kostek, ty zawsze...

– Niech idzie – przerwał mu Piekło. – Idź, Kostek, skop im dupy.

– Niech idzie? – powtórzył zdumiony Rumianek – Oszalałeś? Dla tych sukinsynów? Nie pamiętasz, co nam zrobili?

– Zamknij się – osadził go Piekło. – Tamto nie ma znaczenia, nie tu. No, leć, Kostek, dokop im! My tu mamy radę we dwóch. Zobaczmy się po wszystkim.

Obserwowali, jak oddala się dwoma susami i wpada pomiędzy kundle, roztrzając ich na boki. Zaczął od ostrzelania jeszcze z powietrza. Zaskoczeni jego atakiem przez kilka pierwszych sekund poddawali mu się łatwo. Potem się ocknęli i ruszyli na niego.

Wtedy jednak Piekło i Rumianek już nie patrzyli.

– Chyba tylko ja zostałem tu normalny – ocenił już spokojnie ten drugi. Schował się za murem, widząc, że trzech zuchwałych Irliańczyków wytaszczyło tasmana na resztki pierwszego piętra budynku ledwie piętnaście metrów od nich. Dostali się tam chyba tylko dlatego, że kawalerzyści odprowadzali wzrokiem kolegę, zamiast skupić się na swojej walce. Kule poszarpały mur wokół okna, przy którym usadowił się Rumianek Zakłą. Były tu i inne okna, ale to dawało najlepsze pole ostrzału. A Irliańczycy się rozochocili i nie przerywali kanonady. – Zdejmij ich, co?

– Zawsze był trochę dziwny, inny. Samotnik Niech... – Piekło się zająknął. Przełknął słowo, którego omal nie wypowiedział. Uruchoił podczepiony pod tasmana granatnik i odesłał Irliańczyków do ich bogów. Zauważył, że pozostali, korzystając z gapiostwa kawalerzystów, podeszli bliżej. – Niech załatwi to po swoim u. Zresztą, do diabła, Rumianek! Dał nam przykład.

– Przykład?

– Jesteśmy kawalerią, nie? A gnieźdзим się tu jak lązzy z piechoty!

– Chcesz wyjść?

– Lada moment obrzucą nas granatami. Zresztą są już tak blisko, że wystarczy jeden skok

– Twój kamuflaż...

– Jeden skok, Rumianek. Nawet nie zauważą, kiedy będziemy między nimi.

– Jeden skok – powtórzył Rumianek. Kątem oka wyłowił kolejny zielony rozbłysk. Nie wiedział, czwarty to czy piąty? – No dobra, ty tu rządzisz. Jeden skok. Mogę ci coś przedtem powiedzieć?

– Nie.

– Sukinsyn.

– To na trzy!

– Jebani piechociarze!

– Raz...

– W dupę jebani piechociarze! W dupę jebani...

– Dwa...

– ...buntownicy! W dupę jebane wszystko!

– Trzy!

Kiedy już wszystko się posypało, kiedy kundle rozwścieczone oporem Pniakowych ludzi zaczęły się zachowywać, jakby zapomniały o układzie i rozkazach, kiedy strzały od strony kawalerzystów ucichły, a z prawej flanki dobiegły ich rozpaczliwe krzyki Drobiny i nie mniej głośnie przekleństwa Muła, kiedy wreszcie Pniak poczuł się wolny od spisków i prawie szczęśliwy w ostatnich – jak był przekonany – minutach życia, wtedy niespodziewanie wszystko się zmieniło.

Nie dostrzegł tego od razu. Stojąc w samym środku chaosu, pozbawiony wsparcia oślepionych satelitów, nie mógł widzieć, że trzy kundle dopadły Rachubę i odciągnęły go gdzieś, a cztery kolejne zajęły się Psem. Zauważył jednak subtelny zmianę w zachowaniu tych, którzy atakowali jego. Już nie chcieli go zabić. Powiedział sobie, że tylko mu się tak wydaje, i prawie to sobie wmówił, ale wtedy, ignorując zagrożenie jego wściekłego, nieco chaotycznego, bo kierowanego szaleństwem ostrzału, wpadli za jego zaimprovizowaną osłonę między pierwszym z trafionych, płonącym czołgiem a starym już wrakiem samochodu.

Pierwszy z kundli przyjął całą serię na pierś. Odrzuciło go do tyłu, ale dwóch następnych dopadło dziesiętnika. Szarpnął się, gdy go chwycili, ale nie był w stanie przeciwstawić się ich wspomaganej zbrojami sile. Powlekli go ku dziurze w ziemi, która, jak wiedział z planów, była kiedyś jedną ze stacji metra. Dziwne, pamiętał, że wszystkie wejścia zostały zabezpieczone i wysadzone. Zobaczył jeszcze, jak w miejsce, gdzie się ukrywał, podrzucają jego sklonowane ciało. Nie wyglądało najlepiej – brudne i w podniszczonym pancerzu. A oni dodatkowo zmasakrowali je uderzeniami i dwiema seriami ze swoich ciężkich karabinów. Makabra widoku własnej śmierci, tak zimnej, wyrachowanej i okrutnej, na chwilę wprawiła go w otępienie. Tym łatwiej przyszło im wepchnąć go pod ziemię, gdzie Rachuba i Pies już leżeli, chyba nieprzytomni. Nie ruszali się, nie powiedzieli ani słowa, gdy ciśnięto go obok nich. Było tam jeszcze jedno ciało. Z pewnością nieprzytomny innergetyk, zdrajca, który odciął im łączność, a pewnie i przesłał fałszywy obraz do satelitów, tak że nikt nie widział, co naprawdę się dzieje na stanowisku Pniaka. A może nie on? Może zrobiono to dużo wyżej? Jakkolwiek było, Pniak poczuł satysfakcję na myśl o tym, że to on przyłożył draniowi tak skutecznie.

Ktoś podszedł do niego, ciemna postać na tle podziemnej ciemności.

– Niech się pan napije, dziesiętniku. To doda panu sił. Choć nie jestem pewien, czy powinniśmy panu pomagać. Zachowywał się pan jak szaleńiec.

Przyjął kubek gęstej, gorącej cieczy i wypił pospiesznie.

– Ty jesteś dowódcą kundli? – zapytał. – Każ im przestać masakrować moich ludzi!

– To już nie ma znaczenia – odpowiedział mężczyzna. – Naprawdę. Za chwilę wasi ludzie... Właściwie powinienem powiedzieć: wasi bogowie, uderzą ostatecznie na barierę i ją zmiażdżą. I wtedy to wszystko nie będzie miało znaczenia.

– Moi ludzie! – przy pomniął warknięciem Pniak

– Nakazałem już odwrót. Gdy was tu bezpiecznie ściągnęliśmy, walka przestała być konieczna. Ma pan siłę iść? Musimy skryć się głębiej, zanim Unra wykona swój szaleńczy plan.

– Moi ludzie! – powtórzył Pniak, trzymając się tych słów jak hasła pozwalającego mu zachować choć część poczucia normalności w otaczającym go szaleństwie. Mają zejść głębiej pod ziemię? Po co? Dlaczego? Plan był chyba inny? A może nie? Zaraz... co to jest „szaleńczy

plan Unry”? Zapytał.

– Jeśli jest pan w stanie iść, wyjaśnię po drodze. Pójdzie pan czy będzie trzeba pana nieść?

– Pójdę – warknął Pniak. Spojrzał raz jeszcze ku górze, w wyjście na zewnątrz. Rzeczywiście nie dobiegały stamtąd żadne strzały. Może to oznaczało, że wszyscy już nie żyją? Mógł tylko mieć nadzieję, że systemy pierwszej pomocy panczerzy wyciągną ich z ran, które nie były śmiertelne. Przy stanął, gdy uświadomił sobie, że to on rozwścieczył kundle, to on doprowadził do masakry na górze, to on...

Idący za nim kundel szturchnął go brutalnie. No tak, raczej go nie polubili.

Moi ludzie! Słumił chęć ucieczki. I tak nie dałby rady. Dopadliby go, nawet nie zabili, ale słudki do nieprzytomności. Straciłby tę resztkę kontroli, jaką dawała mu świadomość wydarzeń.

Przyspieszył, by zrównać krok z mężczyzną, który podał mu kubek.

– Pan jest...? – zapytał.

– Rzeczywiście, nie przedstawiłem się. – W głosie tamtego słychać było rozbawienie. – Sądziłem jednak, że to oczywiste. Ludwik Czarnecki, profesor, ale może pan sobie darować tytuł. W tych okolicznościach brzmiałby dość groteskowo, przyzna pan, dziesiętniku.

– Profesor? – zdziwił się Pniak – Ja...

– Prawda, jest pan wciąż oszołomiony. Niektórzy nazywają mnie Szkarłatną Maską. To przez zbroję, moi ludzie namalowali na niej taki dość okropny pysk. To rodzaj hołdu, rozumie pan, wyraz uznania. Prawdę mówiąc, pochlebia mi.

Szkarłatna Maska! Gdyby nie otaczająca ich ciemność, mógłby zobaczyć ten słynny pysk bestii namalowany na zakrywającym twarz hełmie! Niestety, w mroku z ledwością dostrzegał sylwetki otaczających go ludzi.

– Szalony plan Unry! – przypomniał sobie.

Zanim mag zdążył mu odpowiedzieć, niespodziewanie kundle otoczyły ich, osłaniając murem zbroi. Spozza niego Pniak usłyszał strzały. Dźwięk, choć zniekształcony echem tuneli metra, wskazywał, że to sahib HG, lekki pistolet maszynowy, zabawka w porównaniu z arsenałem kundli. Tylko jeden z jego ludzi bawił się takim sprzętem – Worejło! On uwielbiał gadzety, różne fikuśne noże i pistolety. Obwieszał się nimi przed każdą akcją, ignorując oficjalne zalecenia i zakazy. A że był z niego kawał chłopca, radził sobie jakoś z ciężarem złomu, który taszał.

– Już po kłopotcie – oznajmił mu Maska. – Ktoś szedł za nami. Nie, nie, żaden z pańskich ludzi. Dwóch gości. Ten kawalerzysta, który na nas wyskoczył, i jeszcze ktoś.

Kundle cisnęły mu do stóp jakiegoś człowieka.

– Nic nie widzę – poskarżył się Pniak.

Na polecenie Maski ktoś włączył latarkę. W jej świetle Pniak dostrzegł sponiewieranego i przestraszonego reportera. Jak on miał na imię? Kaler?

Reporter, oślepiiony światłem latarki, nie rozpoznał go. Mamrotał coś o prawie prasowym, o powszechnie uznawanej dostępności do informacji i o potędze Stacji, która zawarła odpowiednie umowy ze wszystkimi stronami konfliktu.

– Za dużo widzieli – zignorował całą tę litanię Maski. – Rozwalcie ich. Jeśli chodzi o prawo prasowe, sam pan postawił się poza nim, panie reporterze, biorąc do ręki broń.

Ku własnemu zdziwieniu Pniak zaprotestował. Prawie odruchowo. Czy sprawił to fakt, że reporter uratował im życie kilka dni wcześniej, czy też uznał tamtych za jeszcze jeden łącznik ze światem, od którego się oddalali? A może czuł się za nich odpowiedzialny podczas tej akcji? Sam nie był pewien. Jedni z moich? – zapytał siebie. Wszystko jedno! Zaprotestował.

– Pan nie rozumie, dziesiętniku. To, co robimy...

– Odcięliście ich pewnie tak jak nas, nie? – przerwał jednemu z najpotężniejszych przywódców buntu. – Nic nie nadali! Pójdą z nami albo mnie też rozwalcie! Teraz, od razu! Potem możecie wyczyścić im mózgi, czy co tam robicie tymi swoimi czarami!

Maska powstrzymał swoich. Zastanowił się chwilę.

– To nieco zaskakujące. W ogóle jest pan zaskakujący, dziesiętniku. Gdybym pana nie potrzebował, nie wiem, czy nie posłuchałbym pańskiego wezwania. Niemniej myślę, że możemy pozwolić sobie na pewien nadbagaż, jeśli dzięki temu poczuje się pan bardziej komfortowo. Będzie pan odpowiedzialny za tych ludzi. Nie zwlekajmy już!

Ruszyli. Kundle szły pomiędzy Pniakiem a reporterem, nie mógł z nim porozmawiać. Kawalerzystę musieli nieść, po kolejnym starciu z kundlami nie odzyskał przytomności. Fakt, że uratował życie choć dwóm ludziom, prawie swojakom, w tych okolicznościach sprawił Pniakowi ulgę. Nieznaczną. Przypomniał sobie o Unrze. Ponowił pytanie.

– Nie teraz, zmarnowaliśmy dość czasu! – Głos maga wydał mu się zniecierpliwiony. Może nawet było w nim sły chać zdenerwowanie? – Za kilka minut będziemy na miejscu.

Latarkę już wyłączono. Marsz w kompletnych ciemnościach dłużył się Pniakowi nieznośnie. Mógł tak iść kwadrans, mógł i godzinę. Próbował liczyć kroki, ale pogubił się kompletnie. Znowu pomyślał o tych, którzy zostali na górze. Przeżyli? Skąd dziennikarz wziął broń Worejły? Będzie go musiał o to zapytać, jeśli znajdzie okazję.

Z przodu dobiegł go okrutny dla uszu dźwięk odsuwanych ciężkich żelaznych zasuw. Rozzgrzytał się jakiś hydrauliczny mechanizm i kilka metrów przed dziesiętnikiem pojawiła się wąska pionowa linia żółtego światła. Rosła z każdą sekundą i gdy przybrała kształt jaśniejącej bramy, Pniak aż osłonił dłoń przy wykle już do ciemności oczy.

Kundel zza jego pleców znowu szturchnął go boleśnie.

– Biegiem – warknął. – Mamy jakieś osiem minut.

Pognali zbyt jasnymi teraz dla Pniaka wąskimi korytarzami. Nie zapamiętał nic z tego biegu.

Korytarz rozgałęział się co chwile, przyszykowany chyba na labirynt, w którym powinni się pogubić najezdźcy. W pewnym momencie wepchnięto go do windy towarowej. Z niej poprowadzono jeszcze węższym i zycliwie ciemniejszym korytarzem, któremu błyskające czerwono lampy przydawały, w odczuciu Pniaka, nierealnego charakteru. Cały czas biegli, nie miał czasu się rozglądać ani nawet zastanawiać, gdzie, u licha, mogą być.

Zjechali windą, potem wbiegli jakimś schodami na górę. Nabral przekonania, że specjalnie każą mu tak ganiać bez sensu tam i z powrotem, żeby dodatkowo go otumanić. Potem szybko, sprawnie zrobią mu pranie mózgu i stanie się oddanym buntownikiem w jakiejś nowej rebelii.

Nie zastanawiał się już nad niczym, bezwolnie dawał się ciągnąć kolejnymi korytarzami. Wreszcie wprowadzili go do jakiegoś ciemnego pomieszczenia i pchnęli na fotel, który natychmiast oplątał go pasami i otulił szczerlnie, przekształcając się w coś w rodzaju kokonu. Teraz Pniak nie mógłby wstać, nawet gdyby chciał. Jedyne, na co pozwalały więzy, to ograniczone poruszanie głową.

Było mu już wszystko jedno.

Gdy rozbłysło łagodne błękitne światło, odkrył, że obok niego, w podobnych kokonach, leżą wciąż nieprzytomni Rachuba i Pies.

– Już po wszystkich. – Fotel okazał się również zaopatrzony w słuchawki. Głos Maski docierał do niego głośno i wyraźnie. – Zdążyliśmy!

– Zdążyliśmy? – powtórzył. – Na co? Gdzie? Co się dzieje, do cholery?

– Proszę nie krzyć, słyszę pana doskonale. Niech pan spojrzy w górę.

Posłuchał. Sufit rozbłysł łagodną zielenią i przybrał kształt ekranu, na którym Pniak zobaczył, tym razem z bliska, barierę broniącą armii Wspólnych Przestrzeni dostępu do miasta.

– Wszystko pan tam zobaczy – tłumaczył mu denerwująco spokojnym głosem Maska. – Za dwanaście sekund wasi bogowie i kapłani uderzą. Już!

Jeszcze kilka godzin wcześniej zastanawiali się w dziesiątce, jak będzie wyglądało przełamanie bariery. Większość wyrażała przekonanie, że będzie to musiało być coś wyjątkowo spektakularnego. Opowiadali sobie o promieniach z nieba, rozbłyskach przetaczających się przez cały nieboskłon i gigantycznej eksplozji. Z pewnością miało być na co popatrzeć.

Tymczasem bariera jedynie zbladła, zamigotała i zgasła.

– Unra da im kilka minut – uprzedził go Maska. – Proszę być gotowym. Fotel zadba o pana, gdy wystartujemy, ale proszę być gotowym.

– Wystartujemy? A nie miałem wziąć was wszystkich do niewoli czy coś...?

– To były nasze plany. Unra miała, jak się okazało, własne. Póki żył Sargass, powstrzymywał ją, ale kiedy go zabrakło... Zabicie go było waszym najstraszniejszym sukcesem, dziesiątiku. Choć dla mnie, dla nas, powinienem właściwie powiedzieć, to może i lepiej. Zaczyna sekwencję.

Niech pan teraz uważa, dziesiętniku, wy startujemy, gdy tylko się zacznie.

– Jesteśmy na okręcie? – dotarło do Pniaka. – Na cholernym ukrytym pod ziemią okręcie?

– Niech pan patrzy!

Widział, jak wojska cesarskie zdobywają ulice niedostępnego dotąd centrum, nie napotykając prawie oporu. To powinno wzbudzić w nich podejrzenia. W nim wzbudziło, ale on został poniekańd uprzedzony przez Maskę. Oni, gnani entuzjazmem towarzyszącym końcowi wojny, udziałem w czymś wielkim, nic nie podejrzewali.

A potem nastąpił biały błysk, po którym obraz zgasł.

Jednocześnie poczuł szarpnięcie, wy startowali.

– Kamery padły – poinformował go Maska. – Proszę się nie przejmować, zaraz zobaczy pan to z naszych pokładowych z góry. Podłączyłbym panu widok z satelity, ale wszystkie oślepiło. Jeszcze kilka sekund i już, proszę, mamy to!

Tym razem widział miasto z góry. Oślepiając białe błyski, jak ten, który zniszczył poprzednią kamerę, wciąż pojawiały się w całym mieście. Dopiero po chwili dotarło do Pniaka, że patrzy na starannie zaplanowaną zagładę miasta, a świetlny spektakl, który prawie go oczarował, to efekt wybuchających potężnych ładunków jądrowych, które najwyraźniej rozmieszczono w całym mieście.

– Co to jest? – wyszeptał przejęty zgrozą. – Coście tam zrobili?

– Obsesja Unry – odpowiedział Maska. Pniakowi się wydało, że tym razem usłyszał w głosie maga smutek – Znak Takto nazwała. Znak dla wszystkich. Kiedy miasto upadnie, nie oddadzą go cesarzowi, nie pójda do niewoli, ale zadadzą mu ostatni cios. Wygląda na to, że Unra przygotowywała to w tajemnicy nawet przed Sargassem. Nie dopuściliby do tego.

– Ale ty wiedziałeś, co? – Pniak ponownie poczuł wściekłość.

– Dowiedziałem się w ostatniej chwili. Prawie w ostatniej. Sądzi pan, że powinienem was uprzedzić? Dlaczego? Żołnierze cesarza nie są moimi przyjaciółmi, dziesiętniku, nie odczuwam żalu z powodu ich śmierci. Z powstańcami już od jakiegoś czasu nie było mi po drodze. Zresztą powstanie upadło, a walka musi trwać dalej.

Pniak nie wytrzymał. Spokojne słowa tego szaleńca i jego doprowadziły do szału. Zaczął wrzeszczeć, wygrażać magowi i mu złorzeczyć. Miotał się w fotelu, starając się zerwać więzy, aż wreszcie zaskoczone i obawiające się o swego pasażera urządzenie zaaplikowało mu mieszanke środków uspokajających i nasennych.

Moi ludzie! – myślał, zapadając w nieświadomość. Skurwysyn zabił wszystkich moich ludzi! Tysiące, dziesiątki tysięcy moich...

Część druga

Rozdział 7

Ciasna, ciemna i zadymiona knajpa, tani gimlet przygotowany przez barmana, który nigdy na oczy nie widział ani prawdziwego ginu, ani cytryny, schrypięty do granic zdarcia głos pianisty płynący z jakiegoś starożytnego odtwarzacza wymagającego zewnętrznych nośników danych – oto przyjemności, jakie Skoron Phipple nauczył się cenić w ciągu ostatnich kilku lat.

Ujmowała go zwyczajność baru Srebrna Zjawa. Podobało mu się, że nie trafiał tu nikt przypadkowy. Knajpę zapelniali niemal wyłącznie stali klienci, ewentualnie kandydaci na takich. Czasem drzwi z fałszywego drewna otwierały się w jakiś zaskakujący, nietypowy sposób i stawał w nich ktoś bardzo zdziwiony. Zwykle wystarczył mu jeden haust drażniącej mieszanki dymów, zapach przypalanego czejbabu i zgrana kompania nieprzychylnych spojrzeń znad baru, by zniknąć. Najtwardsi, jak Skoron, wytrzymywali i zostawali. Ale Skoron szukał właśnie takiego miejsca.

Obserwował, jak Stara Nu wróży z kart Bękartowi Tai, liczącemu ledwie trzydzieści lat smarkaczowi terminującemu u Lennox, póki co na zmywaku. Bękart Tai był ponoć jakimś tam pociotkiem właściciela knajpy, może jego synem splodzonym w jakiejś dawno zapomnianej chwili przypadkowego uniesienia.

Kotok pomarszczony, przypominający szalonego proroka wielki facet o długich siwych włosach związanych z tyłu głowy, utrzymywał, że Bękart Tai daje Lennoxowi dupy. Ale Kotok mówił jak najgorsze rzeczy o każdym, kto nie chciał mu postawić piwa. Za piwo mówił o człowieku tylko trochę mniej źle. Potrafił przy tym siedzieć całymi godzinami, gapiąc się w jeden wybrany punkt na ścianie, i prowadzić niekończący się monolog, w którym podsumowywał w niewybredny sposób wszystkich swoich faktycznych, jak i zmyślonych znajomych. I nigdy nie zabrakło mu pary w gębie.

Do dnia, w którym w drzwiach stanęła ta wielkooka kruszyzna w płaszczu, który niewątpliwie

kupiła w taniarni za rogiem, by złać się z lokalną pospolicością.

Zmarnowała czas i pieniądze. Na tle zmęczonych codziennością mieszkańców Tłoków, dzielnicy miasta stanowiącej granicę pomiędzy dostatkiem dzielnic stałego zatrudnienia a upadkiem slumsów, musiała błyszczeć. Inaczej patrzyła, inaczej się poruszała, po prostu istniała inaczej. Równie dobrze sam cesarz Ludwik III mógłby przywdziać łachmany i zejść pomiędzy poddanych, by posłuchać, co o nim mówią. Ot, sztuczka, która udawała się wyłącznie w legendach, ale w którą wierzyli naiwni.

– O kurwa – powiedział nieswoim głosem Kotoki zamilkł.

Ostrzeżony tym cudem milczenia Skoron oderwał wzrok od barwnych koralików wplecionych w warłocze Starej Nu, zerknął na Kotoka, a potem podążył za jego pełnym zgrozy i zdumienia spojrzeniem. Chłód przejął jego ciało i myśli. Nie spodziewał się, by ta blondynka o kiepsko maskowanych ruchach damy przyszła tu dla wróżb Starej Nu lub opowieści Kotoka.

Chyba że chodziło jej o Bęłarta Tai, któremu karty dopiero co wywróżyły spotkanie z niezmiernie piękną blondynką. Najpewniej dlatego zrywał się właśnie od stołu z wyrazem nieopisanego szczęścia i zachwytu na twarzy.

Dziewczyna podeszła do przycajonego za barem Lennox, przypominającego w tej chwili smoka pilnującego skarbów. Najwyraźniej był zdecydowany spławić panienkę, nim zdąży narobić w knajpie zamieszania. Ale ona spojrzała mu w oczy, zaszczebiotała i Lennox na oczach zdumionych stałych bywalców zmiękł.

Gdy wskazywał oszczędnym, niechętnym ruchem głowy Skorona, ten się zastanawiał, czy nie czmychnąć tylnym wyjściem. Nie chodziło o to, że miał dość pieniędzy, żeby przeżyć do końca miesiąca, a nabyte w ciągu ostatnich lat lenistwo skutecznie zniechęcało go do podjęcia jakiegokolwiek pracy. Rzecz w tym, że dziewczyna wręcz emanowała dworem. Widać go było w jej ruchach, gestach, w sposobie, w jaki spojrzała na Lennox, gruchocząc jego wolę, w tym, jak układała usta do odpowiednich słów. Stanowiła owoc setek lat praktyki dam dworu i Skoron znajdował tylko jedno wyjaśnienie jej przybycia do Srebrnej Zjawy.

Dlatego nie odezwał się ani słowem, gdy usiadła przy jego stoliku z gracją, na jaką ten mebel nie zasługiwał.

– Pan Skoron Phipple – odezwała się tym nieznośnie modulowanym głosem zdolnym samą zmianą tonu doprowadzić mężczyznę na skraj ekstazy bądź skopać go na samo dno piekieł. – Prawda?

– Zdaje się, że stary dobry Lennox już mnie wyspał?

Mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Teoretycznie dziecko. A jednak wiedział, że szkolenie damy dworu zrobiło z niej prawdziwą maszynkę do łamania ludzkich charakterów. Gdyby chciała, obrócenie knajpy w przynę rękami jej klientów nie zabrałoby jej nawet pięciu

minut.

– Och... – Uśmiechnęła się. – Obawiam się, że tak Proszę go nie winić.

– Ani trochę go nie winię. Mogłaby pani wycisnąć informacje i z kamienia. Szkołą was do miażdżenia ludzi, prawda?

Niby nic w jej twarzy się nie zmieniło, ale wyraźnie posmutniała. Skoron zrozumiał, że zranił jej serce. Okazał się podłym draniem. Mimo wszystko poczuł żal i zaklął w myśli.

– Szukała mnie pani?

– Pana Skorona Phipple'a, niegdyśszego łowcę na usługach barona von Bruchnera, potem prywatnego agenta, a wcześniej...

– Mhm, to ja – przerwał jej, nim powiedziała coś, z czego Kotok wraz z całą resztą knajpy podsłuchującej ich rozmowę mógłby skłecić dziesięć wulgarnych epopoi. Skoro pochodziła z dworu, mogła mieć dostęp do naprawdę dobrych źródeł informacji. – Rozumiem, że chodzi o pracę? Mam kogoś dla pani znaleźć? Zgubić? Nie, że zgubieniem poradziłaby pani sobie sama. Sto razy lepiej ode mnie.

– Inteligentny i bezwzględny. Nieco okrutny, jak mówią.

– Mam nadzieję, że słyszała pani również o moim słynnym lenistwie. I o tym, że nie przyjmuję klientów bez polecenia.

– Och, ależ ja mam się na kogo powołać! – Zatrzepotała rękami i uśmiechnęła się, udając zmieszanie. – Najmocniej pana przepraszam, bardzo źle to wszystko zaczęłam! Nazywam się Tessa Mellante. Przy noszę panu pozdrowienia od pana Kae. Prosił, by...

– Sekundę. – Znów jej przerwał. Na dworze za takie zachowanie pewnie obcinali teraz koniuszek języka. Etykieta potrafiła być surowa.

Co miał jej powiedzieć? Że nie zna żadnego pana Kae? Chciałby. Powołała się jednak na kogoś trzymającego klucz do wszystkich jego tajemnic.

– Pani... panno Mellante. Chyba przyjmę pani zlecenie. W takim razie jednak lepiej będzie, jeśli omówić szczegóły pójdziemy do mnie.

Sknęła ochoczo głową i wyszli, pozostawiając za sobą knajpę, w której długo jeszcze nikt się nie odzywał.

Mieszkał w pobliżu. Wynajął w miarę wygodne mieszkanie w pnącym się ku niebu czterdziestoma piętremi uporu mrowiskowcu strzeżonym przez umiarkowanie wiarygodną firmę ochroniarską. Gruby weteran sknął mu odruchowo głową, gdy mijali przy czajoną przy wejściu stróżówkę, i zaraz mlasnął z zachwytem na widok kobiety. Skoron mógł być pewien, że wszystkie kamery ochrony natychmiast skierowały się ku nim i śledziły odtąd każdy ich ruch. Na szczęście te w swoim mieszkaniu dawno już unieszkodliwił.

Podsunał dziewczynie krzesło przy sporym stole służącym mu też w razie potrzeby za biurko.

Sam usiadł po drugiej stronie. Zaproponował drinka, a gdy odmówiła, nalał sobie szklanekę soku grejpfrutowego z dodatkiem ginu i skinął głową na znak, że może mówić.

– Szukam brata – rozpoczęła. – Rozdzielono nas, gdy byliśmy dziećmi. To znaczy właściwie uciekł z domu. Nie wiem dlaczego. Mama nigdy nie potrafiła mi tego wytłumaczyć.

– A ojciec? – zapytał, domyślając się odpowiedzi.

– Nie znałam ojca. To znaczy aż do śmierci mamy. Wtedy się ujawnił. Miał wyrzuty sumienia. To zresztą nieważne, brat i ja nie mamy jednego ojca. On był starszy ode mnie, sześć lat. Jego ojciec umarł, chorował na coś.

– Kiedy uciekł?

– Gdy miałam dziewięć lat, on piętnaście.

– I nic pani nie powiedział? Rodzeństwo zwykle mówi sobie rzeczy, jakich nie powiedziałyby rodzicom.

– Powiedział. – Skinęła głową, mocno, z uczuciem. Niesforny kosmyk uciekł z pozornie niezbyt kunsztownie ułożonej fryzury na czoło i rozkołysał się na nim łobuzersko a kusząco. Skoron był pewien, że cały ten fryzururowy bunt został starannie zaplanowany, pociągnął więc szybko łyk ze szklanceczki na znak, że serce zabiło mu żywiej. – Powiedział, że musi uciekać i pójść własną drogą, póki jeszcze może.

– Niech zgadnę, to się stało niedługo przed nagłym objawieniem się pani ojca?

– Prawie. Tuż po tym. Został ze mną, by opiekować się mną po śmierci mamy. Uciekł, dopiero gdy mój los był już zabezpieczony.

– Bardzo sumienny chłopiec.

– Dbał o mnie! – powiedziała gniewnie, wyczuwając drwinę w jego głosie. – Kochał mnie!

– O, tego jestem pewien. Nie można pani nie kochać.

– Jeżeli będzie pan sobie kpił... – Spąsowiała na zawołanie.

– Umówmy się. – Przechylił się ku niej nad stołem. – Pani nie będzie mnie uwodzić, ja nie będę sobie polpiwał. Rozmowa stanie się łatwiejsza. Zgoda?

Nie rozgniewała się ani nie roześmiała, nie nagradzając jego sprytu. Skinęła tylko głową, dowodząc, jak bardzo jej zależy, by przyjął to zlecenie.

– Oczywiście. Powinam się byłą spodziewać. Uprzedzano mnie, że będzie pan przygotowany.

– Znakomicie – mruknął, czując wbrew sobie pewne rozczarowanie. Spodziewał się, że zamiast skapitulować, dziewczyna wejdzie na wyższy poziom flirtu. A tu proszę, nic. Najwyraźniej stracił na wartości jako mężczyzna. – Czy jego ucieczka mogła mieć coś wspólnego z pani ojcem?

– Na pewno był bardzo niezależny. Dumny. Wie pan, ja miałam zapewnioną przyszłość. Ojciec adoptował mnie, zapewniając naprawdę wysoką pozycję. Ale on mógł liczyć co najwyżej na karierę w szeregach sług. Był na to zbyt ambitny. Nie chciał nic od mojego ojca,

a nie chciał też przeszkadzać mnie. Więc może tak? Może dlatego uciekł?

– Coś nie wydaje się pani przekonana.

– Widzi pan, on bardzo mnie kochał. Przez tych sześć lat odgrywał rolę ojca. Zarabiał, żeby pomóc matce, troszczył się o mnie. Nie wierzę, by mógł uciec i dotąd się nie odezwać. Nie, musiało być coś jeszcze.

– Chyba że nie żyje. Proszę mi wybaczyć, nie zamierzam być okrutny, ale to trzeba sobie powiedzieć.

– Rozumiem. Nie gniewam się. – Spojrzała mu w oczy, by pojąć, jakie piekło oznaczałoby dla niego jej niełaska. – Nie wydaje mi się, żeby nie żył. Ja, proszę się nie śmiać, czułabym to. Gdyby jednak okazało się, że nie żyje, chciałabym, aby wyjaśnił pan okoliczności jego śmierci.

– I coś jeszcze? – zapytał nieco ostrzej, niż zamierzał.

– To zależy od okoliczności. Wierzę jednak, że żyje. I że z jakichś powodów nie mógł lub nie chciał się ze mną skontaktować. Proszę go znaleźć i przekazać, że może wracać, że sytuacja się zmieniła.

– Właśnie miałem o to zapytać. Jak długo pani czekała z rozpoczęciem poszukiwań?

– Nie jest pan pierwszym, do którego przyszedłem. – Zaciśnęła wargi. – Szukałem go od zawsze! Odkład tylko użyskałam takie możliwości!

– Ile lat?

– Piętnaście. Piętnaście lat temu się rozstaliśmy. Ale zaczęłam go szukać już czternaście lat temu! Tylko co mogło dziecko? To była raczej zabawa, śmiechu warte wypytywanie służby. Dorastałam, zmieniałam sposoby. Oszczędzałam, odkładałam pieniądze, ale to wszystko było mało warte. Dopiero od pięciu, sześciu lat zaczęły być to poważne poszukiwania.

– I nic?

– Nie takie znów nic. – Uśmiechnęła się z satysfakcją. – Znalazłam rodzinę, która go przygarnęła. Z początku tylko dla nich pracował, potem stał się jak syn. I uciekł po dwóch latach. Wie pan, mam wrażenie, że on ciągle ucieka. Potem znalazłam jeszcze dwa miejsca, w których się ukrywał. Zawsze znikał po pewnym czasie. Wreszcie straciłam trop.

– A kapłani? Próbowала znaleźć go pani przez kapłanów?

– Nie pomogli mi. Rodzina mojego ojca posiada znaczne wpływy, rozmawiałam z adwokatem, który skontaktował się dla mnie z przedstawicielem Pana Saruti, jednak nie udało nam się nic uzyskać. Moje akcje u Pana Saruti nie stoją najwyżej po tym, jak nawróciłam się na boga mego ojca...

– A jest nim?

– To ważne? Pan Ougli. Najwyraźniej mój brat zawarł jakieś zobowiązanie, w którym dodatkowo zastrzegł wszelkie informacje o sobie. Nawet adwokat mojego ojca nie zdołał

przekonać kapłanów Pana Saruti do zmiany zdania.

– Dodał aneks do umowy z bogiem? – Skoron pokręcił z niedowierzaniem głową. Fakt, że jego klientka pochodziła z dworu, już czynił sprawę interesującą. Teraz dodatkowo nabierała rumieńców. – Niezwykłe. Pociągnięcie boga do zobowiązania na tym świecie musi nielecho nadwerżać jego kredyt! Nie słyszałem o wielu osobach, które odważyłyby się na coś takiego.

Skinięła energicznie głową.

– Sam pan widzi, jaka to niezwykła sprawa. Niemożliwe, żeby poważyl się na coś takiego tylko po to, by uniknąć zobowiązań wobec mojego ojca! Prawda?

– Chyba że jest głupcem. Powiedziałbym nawet wyjątkowym głupcem.

– Czy bóg pozwoliłby głupcowi na aneks do umowy?

– Tylko jeśli spodziewałby się po nim czegoś naprawdę dużego. W takich sytuacjach bogowie kochają głupców. Wspominała pani, że sytuacja uległa zmianie. Jak?

– Mój ojciec zmarł, jego rodzina przestała nawet udawać jakiekolwiek zainteresowanie mną. Najchętniej wydaliby mnie jak najszybciej za mąż, bylebym tylko zniknęła im z oczu. Dotąd udawało mi się unikać małżeństwa głównie dzięki oparciu w ojcu. Można powiedzieć, że byłam jego oczkiem w głowie i nie chciał szybko pozbywać się mnie z domu. A że moje pochodzenie nie było tak nieskalane jak moich przyrodnich sióstr, pod moimi drzwiami nie ustawiły się kolejki narzeczonych.

– Trudno w to uwierzyć!

– To miłe, ale pan przecież żartuje. Związki na dworze nie wynikają z miłości, wie pan o tym. Ale owszem, znalazło się kilku łowców fortun, ojciec na szczęście doskonale ocenił ich wszystkich.

– A teraz została pani sama.

– Właśnie. – Posmutniała. – Sama, za to ze sporym majątkiem. Ojciec zabezpieczył moją przyszłość. Mogłabym pomóc bratu, w razie czego ukryć go. Mam odpowiednie kontakty.

Nie wątpię, skoro generał Kae wydał mnie w twoje ręce, pomyślał Skoron. I nie po raz pierwszy zastanowił się, co naprawdę kryje się za jej łzawą historią o zaginionym bracie. Najpewniej nie została całkowicie zmyślona. Jednak dziewczyna ukrywała coś znacznie większego i – jak się spodziewał – niebezpiecznego. Stary Kae nie wpłatałby się w to w żaden sposób, gdyby było inaczej. Chyba że ta mała najzwyczajniej go uwiodła. Tak też mogło się stać.

– No dobra, powiedzmy, że biorę sprawę. Już widzę, że nie będzie tania.

– To nie ma znaczenia.

– Jasne. Biorę pięćdziesiątkę dziennie plus wydatki. Do tego premię za specjalne działania, trzy setki od każdego... nadzwyczajnego wydarzenia. I premię ogólną za rozwiązanie sprawy, w zależności od rozwoju wypadków to może być od pięciu stów do tysiąka.

– To nie ma znaczenia – powtórzyła. – Przekażę panu wszelkie materiały, jakimi dysponuję.

Jego zdjęcia, także zmodyfikowane do tego, jak może wyglądać dziś. Proszę kontaktować się ze mną, gdy tylko wpadnie pan na jakiś ślad, nawet gdyby miał to być drobiazg. A szczególnie gdyby zamierzał pan opuścić planetę. Czy coś jeszcze?

– A mam szansę na coś jeszcze? – zapytał i mrugnął do niej, nim zdążyła zmrozić go spojrzeniem. – Ma pani ze sobą te dane?

Podala mu kartę pamięci, pożegnała się i wyszła, zostawiając go w mieszkaniu, które wydało mu się puste jak nigdy dotąd.

Dopił resztkę ginu z sokiem, zważył kartę w dłoni, pomarzył przez chwilę. Wreszcie przegrał pojedynek ze sobą, ubrał się i wrócił do Srebrnej Zjawy, gdzie zamówił podwójny gimlet i usiadł przy swoim stoliku.

Nie miał co liczyć na spokój.

– Tak szybko z powrotem? – zarechotał Kotok, nie odrywając spojrzenia od swojego ulubionego punktu na ścianie. – Oj, stary, robisz się zupełnie do niczego!

To zabrzmiało naprawdę łagodnie. Staruszek musiał się o niego autentycznie martwić.

Znacznie poważniejszym problemem okazał się Bękart Tai. Jak tylko zobaczył Skorona, zatknął za pas szmatkę służącą oficjalnie do przemywania stolików, w rzeczywistości zostawiającą tłuste plamy na każdej powierzchni, z jaką się zetknęła, i przykleił się do krzesła przy stoliku Skorona.

– Ta lala! – rzucił i czekał, by Skoron rozwinął temat.

– Nie dla ciebie – odparł szczerze agent, który lubił chłopaka. – Prawdę mówiąc, dla żadnego mężczyzny, chyba że marzy mu się rola trofeum na ścianie. Choć z drugiej strony, to byłaby całkiem ładna, elegancka ściana.

– Nie znasz mnie! Tak ci siem zdaje, ale tak naprawdę mnie nie znasz! Dałbym ja jej radę!

– Cała flota Cesarstwa nie dałaby jej rady, chłopcze. Wychowawice dworu to nie dziewczyny z ulicy, te głośne złośliwe dajki, które dymasz na zapleczu, gdy wydaje ci się, że stary nie widzi. To nie są nawet panienki z dobrych domów lecące na chłopaków takich jak ty, żeby poczuć dreszczyk emocji na tylnym siedzeniu. Do diabła, to nie są nawet te smutne zakochane przyszłe stare panny ani zabójcze piękności kręcące tyłeczkami za barem. To zabójczynie. Jest w nich tyle uczuć co w tankowcu. A nawet mniej, bo tankowiec może przynajmniej eksplodować. Takiej jak ona twoja torpeda nawet by nie zarysowała.

– Gadasz i gadasz. Nie znasz mnie ty! – powtórzył rozzłoszczony Bękart Tai, zmagając się z chęcią ostatecznego obrażenia się na tego najwyraźniej pokpiwającego zeń starego piernika a pragnieniem posłuchania go jeszcze w nadziei wyciągnięcia jakichś informacji o dziewczynie. – Nikt mnie nie zna! Wam siem wydaje, że jestem ja chłopakiem od miotły, zwyczajnym bluzgiem z ulicy. Ale tak nie jest. Dużo widziałem ja, tu i gdzie indziej! Ja jestem...

Nikt się nie dowiedział, kim jest Bękart Tai, w tym bowiem momencie Stara Nu oznajmiła, że

przewiduje kłopoty.

Wróżce można było wierzyć. Nie tylko znała na wylot wszystkich mieszkańców okolicy, łącznie z ich najbardziej wstydliwymi problemami i tajemnicami, ale i najgłupszymi i najbardziej zwariowanymi plotkami, z których zresztą znaczną część sama zmyśliła i rozpuściła. Poupychała także kamery w każdym kąciku ulicy i w całkiem sporej liczbie jej przecznic, a jej stół był w rzeczy wistości niezgorszym szpiegowskim centrum dowodzenia.

Stara Nu sprawiała czasami wrażenie z lekka opóźnionej staruszki, bo też zdarzało jej się zachowywać zgoła dziwacznie. Nikogo ze stałych bywalców to nie dziwiło, wiedzieli, że wróżka obserwuje pół dzielnicy równocześnie, a to może różnie wpłynąć na pracę jej mózgu. Nie pomagało też, że pozostawała stale podłączona do sieci i bez przerwy ściągała z niej dane na temat starych, ale i potencjalnych klientów.

Mówiąc krótko, Stara Nu była poważnie rąbnięta od przecpania informacją. Jednak gdy mówiła, że nadchodzą kłopoty, należało jej wierzyć.

Kiedy weszli, Lennox poświęcił im tylko jedno niechętnie spojrzenie. Kotok snuł swoją opowieść o nieuleczalnej impotencji Skorona, a Bękart Tai z zaangażowaniem wcierał tłuszcz ze szmatki w blat jednego z wolnych stolików.

Było ich czterech. Jeden od razu stanął przy barze, by wyjaśnić Lennoxowi, że cokolwiek robi, powinien robić dalej i nie przejmować się wydarzeniami w głębi knajpy. Trzech pozostałych skierowało się ku stolikowi Skorona.

Byli wysocy, mocno zbudowani i pewni siebie. Wyglądali na zawodowców, ży wili przekonanie, że nimi są, i dawali to każdemu odczuć. Wszyscy ubierali się tak samo, z niewyszukaną elegancją marynarek modnych pół sezonu wcześniej i stylowych płaszczy, mających najpewniej nadawać błysku ich klasie zawodowych agentów, łamaczy kończyn i charakterów. W ich oczach o matowo przyciemnianych dla efektu białkach kryły się setki nanourządzeń pozwalających dojrzeć ukrytą broń i ocenić modyfikacje bojowe przeciwnika. Najpewniej nadwzięli boskie kredyty, inwestując w plusmysły podkręcające naturalne zdolności.

Otoczyli Skorona. Żaden z nich nie usiadł.

– Ty jesteś Skoron Phipple – wywarczał jeden z nich, wcale niewyglądający na szefa. Zresztą żaden z nich nie wyglądał, właściwie nie różnili się od siebie.

Za ich plecami otworzyły się drzwi i do knajpy weszli z trudem utrzymujący równowagę Wigo i Pił, chętnie ukrywający się w Srebrnej Zjawie przed swymi wielkimi żonami oraz gromadą dzieci i zobowiązań. Wy czuli, że coś jest nie tak, zawahali się.

– Jam jest – zgodził się Skoron. – Usiądziecie?

– Rozmawiała dziś z tobą dziewczyna, młoda, ładna, nie pasowała tutaj.

– Nie.

– Nie bujaj, Phipple. Wszystko wiemy.

– Nie była ładna. Była prześliczna.

Zarechotali nieprzyjemnie, bo jednocześnie. W tej samej chwili zaczęli i w tej samej skończyli. Równiutko, jakby ćwiczyli to tygodniami.

– Dowcipas – odezwał się kolega tego, który nie wyglądał na szefa. – Dobrze, Phipple. Dowcip to cecha ludzi inteligentnych. To znakomicie, że jesteś inteligentny, bo zrozumiesz, że będzie dla ciebie dobrze, jak więcej się z nią nie zobaczysz. Dobrze będzie, jak nie kiwniesz palcem w jej sprawie. A już w ogóle najlepiej, jak zapomnisz, że ona istnieje.

– Zanim jednak to się stanie – wtrącił się trzeci, o identycznym głosie i sposobie mówienia – powiesz nam, o czym rozmawialiście.

– Jasne, chłopaki. Nie śmiałybym mieć przed wami żadnych tajemnic. Co chcecie wiedzieć?

– Wszystko.

– Dobra. Przyszła tu, bo leci na tego tam kopyła próbującego wywiercić szmatą dziurę w stoliku. Jest nieśmiała, nie wie, jak do niego zagadać, a słyszała, że się przyjaźnimy. Myślała, że jej pomoże.

– Ty jednak nie jesteś mądry – stwierdził ze śladem smutku w głosie ten, który nie wyglądał na szefa. – Głupi jesteś. Ale nie wiesz, z kim masz do czynienia, więc ci wybaczymy. Zapytam jeszcze raz: Co o niej wiesz?

– Śliczna jest. Ale nie macie u niej szans, chłopaki, bo ten kopysek od szmaty naprawdę wpadł jej w...

Nie tracili czasu na ostrzeganie go. Wszystko mieli przećwiczone i zaplanowane. Ten z tyłu miał go uieruchomić, wykręcając mu ręce. Jego kumpel po prawej stanął asekuracją, gdyby Skoron okazał się zwinniejszy niż ich przeciętne ofiary. Zadaniem niewyglądającego na szefa było szybko wzbogacenie opornego rozmówcy o kilka złamań i siniaków.

Przynajmniej tak to sobie zaplanowali.

Skoron zerwał się z krzesła znacznie szybciej, niż mogli się tego po nim spodziewać. Wpakował łokieć w twarz typa za sobą, z satysfakcją słysząc chrupnięcie chrząstki. Asekuracja gościa po prawej nie zdała się na nic, bo Bękart Tai zarzucił mu swoją brudną szmatę na twarz, założył nelsona i potraktował kolanem nerki. Ten, który nie wyglądał na szefa, nawet jeśli chciał zareagować, to nie zdążył. Kotok nie przestając przeklinać, skoczył mu na plecy i wczepił dłoń w jego twarz, próbując wcisnąć mu palce do oczu. Facet przy barze rzucił się na pomoc kumplom.

Najwyraźniej naprawdę był twardy, prawie nie zwrócił uwagi na butelkę, którą rozbił mu na głowie Lennox. Możliwe jednak, że po prostu skupił się na problemie, w jaki niespodziewanie zmienili się Wigo i Pik, sprawiający wprawdzie wrażenie podtatusiałych opojów, lecz swego

czasu naprawdę niezły zapaśnicy. Nie byli przesadnie szybcy i gdyby ofiara zdołała im się wyrwać, mogliby wpaść w kłopoty. Gdy jednak już dopadli ciemnonokiego gościa, nie miał szans.

Nieco inaczej potoczyły się losy faceta zmagającego się z Kotokiem. Staruszek należał niegdyś do jednych z największych zawodniaków w dzielnicy, a i element zaskoczenia dał mu niezłą przewagę. Jednak gość, który nie wyglądał na szefa, poradził sobie z nim wreszcie. Szczęśliwie wtedy Skoron kończył już swoją część zabawy. Rzucił okiem na Bękartai sprawdzającego w praktyce swoje umiejętności kung fu na wysoce wymagającym przeciwniku. Ponieważ chłopak całkiem niezły sobie radził, Skoron ruszył ku niewyglądającemu na szefa elegancikowi przygniatającemu Kotoka butem do podłogi. Staruszek wiał się, charczał i nie przestawał kłąć. Wreszcie wykręcił się przedziwnie i ugryzł napastnika w nogę. Pokąsany wrzasnął. Skoron ukoił jego męki znieczuleniem pięści i zawrócił, by pomóc Bękartowi Tai.

Chłopak okazał się naprawdę niezły, ale wyraźnie brakowało mu doświadczenia. Uliczne bójk nie przygotowały go na walkę z przeciwnikiem tej klasy. Dał jednak znak Skoronowi, by się nie mieszał. Agent wzruszył ramionami i pozwolił niezwracającemu uwagi na takie drobiazgi jak młodzieńcza duma Lennoxowi zakończyć sprawę wprawnym ciosem wydobytej zza baru wypełnionej oliwem pałki. Bękart Tai odetchnął z ulgą, by szybko przyjąć oburzony wyraz twarzy.

– No co? Załatwiłbym ja go za chwilę! Tylko siem z nim bawiłem! – zawołał.

– Jasne, widzieliśmy, pieprzona łamago! – wycharczał, podnosząc się z podłogi Kotok

– Byłeś naprawdę niezły, młody – pochwalił szybko dzieciaka Skoron. – Tyle że trochę nam się spieszy.

Wigo i Pik wynosili już nieproszonych gości na zaplecze i wiązali ich tam szybko a wprawnie. Uśmiechnięty od ucha do ucha Lennox odkorkował butelkę bourbona i rozlał wszystkim na koszt firmy.

– Dzięki, żeście przyszli, chłopaki – podziękował byłym zapaśnikom.

– Dał żeś sygnał tom lampkom, myśmy zobaczyli, że siem mruga nad drzwiami. – Wzruszył ramionami Wigo. – To żeśmy przyszli, nie?

– Ano! – potwierdził ochoczo Pik, wychylił całą szklankę jednym haustem i podstawił ją pod dokładkę. – A i zabawa była, nie?

– A nie zapomnijcie o mnie! – upomniała się o swoje Stara Nu.

Skoron podziękował jej wylewnie, ucałował uniesioną dłoń. Wzniósł toast ze starymi bywalcami i poszedł na zaplecze. Kotok, mamrocząc pod nosem przekleństwa, ruszył za nim.

Skoron wybrał tego, który nie wyglądał mu na szefa, ale który popełnił błąd, odzywając się pierwszy. Wyjął z kieszeni na piersi wstrzykiwacz i uzupełnił krwiobieg pechowca o mieszanek nanusów. Przywróciły mężczyźnie do przytomności, gdy tylko się zakły wizowały.

– Powiedziałeś, że nie wiem, kim jesteście – przywitał go Skoron. – Daję ci teraz szansę, żeby się przedstawić.

Odpowiedź zaskoczyła nawet Kotoka, któremu się zdawało, że zna wszystkie przekleństwa na świecie. Staruszek pokręcił z niedowierzaniem głową i uśmiechnął się z zadowoleniem, powtarzając nowe słowa.

– No, bardzo ładnie się nazywasz. – Skoron pokiwał głową i pochylił się nad jeńcem. – Słuchaj, gówniarzu, nie będę cię lał, czekając, aż ci się znudzi i zaczniesz sypać. Pewnie już czujesz lekkie mrowienie w ciele? To moi mali przyjaciele podłączyli się do twojego systemu nerwowego i dostrajają go do moich potrzeb. Popatrz na to. – Pomachał mu przed oczami trzymanym w ręce regulatorem. – Widziałeś to małe pokrętko? Jeśli podkręcę je w górę, o tak poczujesz to, co właśnie poczułeś. Zapewniam cię, że gdy dojdę do wyższej skali, zaciskanie zębów nic ci nie pomoże. Będziesz krzyczał. A krzyzczyć możesz sobie do woli, Lennox przygotował to zaplecze na tego typu spotkania. Wiesz, swego czasu stary Lennox był... Zresztą, opowiem ci to innym razem. Teraz gadaj, kim jesteś i kto cię przysłał.

Niespodziewanie mężczyzna, który wcale nie wyglądał na szefa, uśmiechnął się do niego.

– A pierdołę twojego Lennox, ciebie i tę twoją zabaweczkę – oznajmił. – Pieprz się, trupie. Pieprz, póki możesz, bo żywy z tego nie wyjdziesz.

Skoron pokręcił głową z udawanym smutkiem i zwiększył skalę bólu. Niespodziewanie Kotok chwycił go za rękę.

– Daj spokój, zasańcu. – Splunął. – To trup. Wszyscy oni trupy.

Skoron zaklął, gdy przekonał się, że stary ma rację. Zaklął jeszcze raz.

– Aż tak żeśmy ich poturbowali? – zdziwił się dziadyga.

– To nie to – mruknął Skoron. – Mieli zaprogramowane samobójstwo. Mózg uznał, że sytuacja jest bez wyjścia, i uruchomił ukrytą w organizmie toksynę. Umarli błyskawicznie, jak tylko ten cwaniak, którego żeśmy ocucili, doszedł do siebie. Musieli być zsynchronizowani wszyscy czterej. Niech to szlag!

– Co za palanty! – zdziwił się starzec. – Tak się dali wychujać?

– Mają pewnie dobre kontrakty pośmiertne. Słuchaj, Kotok, jak oni są już po tamtej stronie, wkrótce ktoś się zorientuje, że im nie wyszło. Spalcie ciała. Rozumiesz? A najlepiej zniknijcie wszyscy, zapadnijcie się pod ziemię. Bo ci goście na pewno mają kolegów.

– Niech siem pieprzom, ot i co! – oznajmił Kotok i dumnie opuścił zaplecze.

Zaraz przybiegł tam zaalarmowany Lennox.

– Kabała – westchnął. – A jebać to! Wysłałem już Bęłarta do Papy Chou. Niech się Rodzina wypowie. Jakuznaję, że po tym ochrona nas wykracza poza ich obowiązki, to się zwinę. Jak nie, to mogą mi naskoczyć. Kto chce, może mi naskoczyć.

– No dobra. – Skoron wzruszył ramionami. Sam nie płacił za ochronę lokalnej mafii. – Ale ja znikam. Jakby co, syp mnie na całego. Mów, jak się nazywam, gdzie mieszkam i z kim sypiała moja matka. Wszystkie, Lennox. Oni będą cię mieli w dupie, jak już mnie wyspiesz. Papa Chou może cię nie uchronić przed kontaktem z nimi, ale raczej nie da sobie zabić dobrego klienta. Więc syp mnie na całego. Mnie już tu nie będzie i nie wrócę, póki wszystkiego nie poukładam. Syp mnie, pamiętaj!

Opuścił Srebrną Zjawę jak najszybciej. Postanowił nie wracać do mieszkania. Nie skorzystał też z własnego pojazdu. Po chwili zastanowienia ukradł suwacz komuś, kto nie wyglądał mu na znajomego, i ruszył w stronę centrum. Włamał się do komputera pokładowego, zaprogramował trasę do jednego z droższych hoteli w mieście, po czym wprowadził dane, z których wynikało, że dotarł na miejsce, wysiadł z suwacza i wszedł do hotelu. W rzeczywistości wyskoczył na najbliższym zakręcie. Wstał, otrząpał ubranie i skręcił za pierwszy róg.

Zastanawiał się, co teraz zrobić. Najlepiej by było opuścić planetę, nie chciał jednak ryzykować, że przegapi jakiś trop. A teraz nie mógł już porzucić sprawy. Mógłby spróbować zapewnić sobie bezpieczeństwo, naprawdę znikając, ale ryzykowałby nabawieniem się nerwicy, całe życie czekając, aż ktoś go wreszcie rozpozna. Lepiej było się dowiedzieć, kto stoi za czterema pacanami i o co mu chodzi. A potem, w zależności od sytuacji, pomóc mu albo go przycisnąć. Albo wykiwać. Ostatecznie usunąć.

Poza tym zrobił się naprawdę ciekawy.

Wynajął na fałszywe dane pokój w ani tanim, ani droгим hoteliku. Nie było tam ani ładnie, ani brzydko, połowa pokoi zajęta została przez biznesmenów niższej klasy, a reszta przez turystów znikąd. Myszowata recepcjonistka mrugała do niego zalotnie spod burej grzywki, a on udawał, że z nią flirtuje. Wreszcie zamknął się w swoim pokoju i żałując, że nie ma ze sobą walizeczki pełnej zabawek, które pomogłyby mu wzmocnić zabezpieczenia drzwi, wyjął z kieszeni sieciacze, rozwinął wirtualne ekran i klawiaturę, po czym załadował do niego dane z karty pamięci ofiarowanej mu przez dziewczynę.

Spędził dwa dni, szukając śladów w sieci. Łączył się ze znajomymi chłopaka, korzystał ze starych kontaktów wśród łapaczy i wolnych agentów. Znalazł wiele, ale wciąż nie dowiedział się, co mogło być tak ważnego w chłopaku, że ktoś nasał na niego tamtych czterech.

Trzeciego dnia postanowił odpocząć. Zabrał myszowatą recepcjonistkę do umiarkowanej eleganckiej restauracji, a potem przespał się z nią w jej norce, ku jego zdziwieniu położonej w ciut lepszej dzielnicy. Gdy obudził się obok niej następnego ranka, zastanawiał się, czy nie byłoby dobrze przycząć się u tej trochę nijakiej dziewczyny w jej nijakim mieszkanku. Uznał wreszcie, że to oznaka słabości, ubrał się pospiesznie i zwiął, nim zdążyła się obudzić.

Zmienił hotel i znów grzebał po sieci i znajomych. Wreszcie, po kolejnym tygodniu, uznał, że

więcej się tą metodą nie dowie. Włączył wszystkie zabezpieczenia sieciacza i połączył się z Lennoxem. Odczuł ulgę, gdy dowiedział się, że nikt nie puścił Srebrnej Zjawy z dymem.

– Byli tu – poinformował go Lennox. – Wypytywali o ciebie i o tamtych czterech. Nic nie znaleźli, bo chłopcy zdążyli już upłynąć ciała. Swoją drogą znaleźli w nich sporo niezłego sprzętu. Podarowaliśmy go Papie Chou, a ten z wdzięczności za naszą lojalność powiedział nam, że byli u niego tacy jedni i że kazał im sływać. Spłynęli grzecznie, bez protestów, więc chyba nie czuli się bardzo mocni albo wiedzą, jak należy tańczyć w tej dzielnicy. Ale wpadli do mnie i wypytali dokładnie. Grzecznie nawet. Tylko z lekkimi sugestiami i naglego nieprzyjemnego zgonu.

– A ty wyśpiewałeś im wszystko, co wiesz?

– Co do przecinka.

– Dobrze. Myślisz, że zostawią cię w spokoju?

– Podczas rozmowy czułem lekki szumek w głowie. Możliwe, że prześwietlali mi szare komórki albo przytępiali czymś mózg. Stara Nu trochę ich skanowała, ale mieli lepszy sprzęt. Tak czy owak, raczej wiedzieli, że mówię prawdę. Jeśli przy okazji wykryli, że miałem coś wspólnego ze zniknięciem tamtych czterech, spisali ich na straty. W każdym razie odpięrzyli się ode mnie.

– Dobra, Lennox. Ja spadam. Przez jakiś czas nie będę się odzywał.

– Czekaj! Tamci goście powiedzieli, że mam ci coś przekazać. Gdybym cię kiedyś spotkał jakimś kosmicznym zbiegiem okoliczności.

– No, wał.

– Mówią, że nic do ciebie nie mają, póki się nie mieszasz w ich sprawy. Że tamci czterej to partacze i że to ich problem, jak się na tobie nacięli. I że wciąż możesz spokojnie przyjść do Zjawy na małego i nikt ci słowa nie powie, pod warunkiem że skończysz się interesować tą sprawą. Natychmiast.

– Dobra. Przyjąłem.

– Ale nie wpadniesz na małego, co?

– Trochę już na to za późno, stary. Przy okazji, kiedy było to „natychmiast”?

– Tydzień temu.

– Sam widzisz. Dobra, trzymaj się i do zobaczenia!

Przerwał połączenie. Natychmiast uciekł z hotelu, nawet nie tracąc czasu na meldowanie się w jakimś innym. Ukrył się w tłumie ludzi w wielkim centrum handlowym i stamtąd nawiązał połączenie z dziewczyną.

– Tessa Mellante. O, to pan? Zaczynałam się już zastanawiać...

– Spokojnie, pracuję nad pani sprawą. Melduję się, jak ustaliliśmy, bo się stąd zmywam.

– Dokąd?

– Powęszę tu i tam. Dam pani znać, jak coś znajdę.

– Chwileczkę, panie Phipple! Proszę mnie taknie zbywać!

– Słuchaj, słonko! – Przybrał ostry ton. – Od ponad tygodnia nie spałem w domu, nie mogę chodzić w ulubionych skarpetkach, co strasznie mnie drażni. A wszystko przez to, że ledwie się z tobą pożegnałem, do Srebrnej Zjawy przyszło czterech cwaniaków gotowych zdemolować łókał i jego klientelę, byle się tylko dowiedzieć, o czym z tobą rozmawiałem i po co. Ja ich nie zapraszałem i nie wydaje mi się, żebyś ty ich nasyłała. A to oznacza, że ktoś cię śledził, pewnie cały czas śledzi. Więc cię nie zbywam, tylko utrudniam mu zdobywanie informacji, jasne?

– Och. – To było bardzo przejęte i zaskoczone „och”. Potrafił sobie wyobrazić, jak jej usta zaokrąglały się w to westchnienie, brwi się unoszą, a oczy robią jeszcze większe niż zwykle. – Proszę mi wybaczyć, nie zdawałam sobie sprawy! To zmienia postać rzeczy!

Teraz on powiedział: „Och”.

– Proszę sobie ze mnie nie drwić! Zmienia, wiem, co mówię. Przykro mi, że pan i pańscy przyjaciele zostaliście narażeni na nieprzyjemności.

Akurat, pomyślał, ale wybrał inną kwestię, by zagrać twardego gościa:

– To nie my mieliśmy nieprzyjemności.

Rozmawiali bez wizji, ale prawie zobaczył, jak zatrzepotała rzęsami. Znów powiedziała: „Och”.

– Och, to bardzo dobrze, wspaniale! Jadę z panem!

Zabrał mu słów. Kiedy wreszcie jakieś znalazł, nie było ich zbyt wiele.

– Że co?

– Jadę z panem. W ten sposób będę blisko, gdyby próbował mi pan coś przelażać, i w razie czego będę mogła panu pomóc.

– Słuchaj, słonko...

– Daj już spokój z tym „słonkiem” – roześmiała się. – I nie graj ze mną na ton głosu, przeszłam w tym szkolenie, pamiętasz? Oboje przestańmy się wygłupiać. Będziesz zasuwał za moim bratem od planety do planety, tak? Możesz to robić rejsowymi statkami, z tym, że nie zawsze uda ci się złapać taki, który dotrze tam, dokąd byś chciał, albo będziesz czekał i tydzień na połączenie. A ja mam jacht. Dowiozę cię, dokąd tylko zechcesz. Czy to nie wygodne?

– Będą obserwować ten twój jacht.

– Kupiłam go dziś rano przez podstawioną osobę. Prawdziwa okażja, mówię ci!

– Wiedziałaś, że cię śledzą?

– Chciałam mieć trochę spokoju. Ale tak, ostatnio, od czasu naszej rozmowy, lażyły za mną jakieś typy. Zresztą mam rację! Tak będzie wygodniej i szybciej.

Może i tak, ale wcale mu się to nie podobało. Z drugiej strony, uznał, że może dobrze mieć ją pod ręką i pod kontrolą.

– Zgoda. Gdzie masz ten jacht i jak się nazywa?

– Wspaniale! Naprawdę się cieszę! Kiedy wyruszamy?

– Da się za godzinę?

– Wszystko się da. Nazywa się *Grzeszny Krąg*. Port Fokstrot, piąty dok O której...

– Będę tam już na ciebie czekał – odparł, wciąż grając twardziela i zuchwalca.

– W porządku, tylko mi nie popsuj załogi. Do zobaczenia!

Nie popsuł jej załogi. Prawdę mówiąc, żadnej nie było. *Grzeszny Krąg* okazał się nowoczesnym, w pełni zautomatyzowanym jachtem wyposażonym w komputer zdolny do sterowania silnikiem innergetycznym. Musiał przyznać, że łajba zrobiła na nim wrażenie.

Gdyby jeszcze uzbroić to cacko, stałoby się czymś więcej niż zabawką.

Włamał się jednak do niego bez trudu. Sprawdził zawartość komputera, przyjrzał się ukrytym plikom i poznał byłych właścicieli. Nie byli to mili ludzie. Sprzedali jacht, planując szybko go odzyskać. Wirusy ukryte w komputerze sprawiłyby, że jacht dotarłby dokładnie tam, gdzie sobie zaplanowali. Silniki by zgasły, a mizerne wewnętrzne systemy obronne skierowały swoje zasoby przeciwko pasażerom. Potem wystarczyłoby tylko czekać na wypłatę okupu. Ciesząc się na myśl o rozczarowaniu piratów, Skoron połączył się ze znajomym czyścicielem, a ten przetrzepał cały system i nawet go trochę podkreślił. Zamiast zapłaty pobrał koordynaty piratów. Obiecał poczęłać ze zgłoszeniem sprawy kilka godzin. Nagroda za ich głowy powinna znacznie przewyższyć to, co mógł mu zapłacić Skoron.

Ku zaskoczeniu Skorona Tessa przybyła punktualnie. Nie zdziwiła się, gdy zastała go w środku. Zaskoczyła ją natomiast jego opowieść o piratach.

– Teraz rozumiem, skąd ta okazja! – zawołała. – Ojej, czy to znaczy, że ten jacht jest kradziony?

– Najprawdopodobniej – przyznał. – Wątpię jednak, byśmy dotarli do pierwotnego właściciela. Zresztą nie mamy na to czasu.

– Prawda. Może szkoda, że nas nie złapią? Okręciłabym ich sobie wokół palca, wiesz?

– Nie wątpię. Ale przypomnę, że nie mamy czasu na takie zabawy.

– Ponurak! Dobrze, więc doład lecimy?

– Na Samos.

– Samos? Nawet nie wiem, gdzie to jest! Konrad, znaczy mój brat, jest tam?

– Tam zaciągnął się do wojska. Zobaczmy, co jeszcze uda nam się wyciągnąć na miejscu.

Kiedy komputer wyprowadzał jacht z portu, Skoron dzięki programom swojego podkreconego sieciacza oszukiwał systemy portowe, wprowadzając fałszywą nazwę jachtu, nieprawidłową godzinę ich wylotu i nieprawdziwy punkt docelowy. Zza pleców przyglądała mu się zafascynowana Tessa.

– Jak widzę, jesteś wszechstronnie utalentowany! – Klasnęła.

– Wcale. To wszczyepy w moim ciele grają w berka z systemem. Mam całkiem niezły plusmysł. W razie czego mogę nawet zrzucić osobowość na kartę pamięci.

– A to nie jest nielegalne?

– Ale wygodne w moim zawodzie. Nie martw się, wygasłbym po tygodniu. Nie pogrywam z bogami i cyfrową nieśmiertelnością.

– Kto jest twoim patronem?

– Pani Lijja. Pozwala na to i owo, ale pewnie będę musiał odsłużyć swoje po śmierci.

– Zastanawiasz się nad tym czasem? Nad tym, że modyfikując ciało, nadwerżyłeś kredyt?

– Pytasz, czy martwię się życiem po śmierci?

– A martwisz się? Nikt tak naprawdę nie wie, jak tam jest.

– Staram się skupiać na innych tematach. Na przykład na bieżących misjach.

Konwencjonalny napęd wyniósł ich na orbitę. Tam Skoron musiał raz jeszcze oszukać orbitalne systemy obrony, podając im te same dane, którymi zapchał system portowy. To było już trudniejsze, orbitą opiekował się rząd, który od wybuchu wojny poważnie podchodził do kwestii obrony. Z podawanych przez media informacji wynikało, że wojna już się skończyła, nikt nie chciał jednak ryzykować nadmiernego entuzjazmu.

System orbitalny nakierował ich na właściwy tor. Musieli odczekać, aż wielki, pękaty transportowiec oddali się na bezpieczną odległość i wyskoczy w innoświat na innergetycznym impulsie. Obserwowali, jak jego pilot operuje ostrożnie czterema silnikami manewrowymi, by osiągnąć bezpieczne pole startowe. Wreszcie znalazł się w odpowiedniej odległości od całego orbitalnego śmiecia i szykującego się do startu lub lądowania mrowia statków i stateczków.

Nie usłyszeli, jak zagrał jego silnik innergetyczny, mogli jednak zobaczyć wielobarwne iskierki, które, początkowo drobne, potem coraz grubsze i liczniejsze, pokryły kadłub statku. Wreszcie wszystkie złyły się w jeden błysk, nabrały jasności i zniknęły wraz z transportowcem. Pozostała po nim jedynie kłująca w oczy pustka, jakby ciemność zakrywająca część nieba. W ciągu kilku sekund zrzędła, tak że zaczęły przez nią przeświecać gwiazdy, aż wreszcie rozplynęła się zupełnie. Fale oparów innergii rozeszły się i rozproszyły.

– Nasza kolej – oznajmił Skoron. – Nam pójdzie szybciej, mamy znacznie lepszy silnik I nie nawigujemy sami, tylko przez boje nawigacyjne. Przygotuj się!

Ledwie skinęła głową, a czas się zatrzymał i pochłonął ich innergetyczny wszechświat.

Rozdział 8

1

Rozparty w przesadnie miękkim fotelu Berak obserwował niewysoką, drobną blondynkę spokojnie poddającą się zabiegom stylistki. Przybył na umówione spotkanie punktualnie, lecz trafił w sam środek przy gotowań. Hrabina jak zwykle się spóźniała, po trosze z przyzwyczajenia, po trosze dla zaspokojenia własnej próżności i wymogów etykiety.

Stylistka kończyła już pracę. Zarazem dyskretny i przyciągający uwagę makijaż był gotowy. Cesarskie złoto zstąpiło na usta, powieki i policzki. Oczy hrabiny otoczyło podkreślające ich głębię, dostosowane do pozycji obramowanie – ciemne, jako że pochodziła z drobnej szlachty, owalne na znak że dobrze wyszła za mąż, i wzbogacone o wzór dworu rodu, któremu służyła. Włosy ułożono prosto i przykryto delikatną woalką w barwach rodu męża. Towarzyszyła temu oficjalna rodowa biżuteria, w której herbowe symbole przeplatały się z symbolicznymi oznaczeniami posiadłości i honorów.

– Przyjacielu – odezwała się neutralnym głosem, rezygnując ze wszelkich dobrodziejstw, jakie ofiarowały jej szkolenia Służby i dworu. Już samo to mogło świadczyć o zażyłości, jaką łączyła tych dwoje. – Możesz mówić otwarcie. To moja osobista stylistka, jej umysł jest filtrowany, nie zapamięta ani słowa.

– Przeszkadza mi rozmowa z twoimi plecami – odparł tonem, który inni mogliby uznać za oschły. – Poczekam.

Uśmiechnęła się lekko, prawie nie kokieterijnie. Oboje poczekali w milczeniu, aż stylistka

słończy układać potrójny kołnierz. Pierwsza jego część świadczyła, że hrabina należy do arystokracji, druga wskazywała na jej miejsce na dworze księcia, trzecia, niestety, wypominała jej pochodzenie z drobnej szlachty oraz fakt, iż swą pozycję zawdzięcza małżeństwu. Drażniły ją te kołnierze, nawet nie dlatego, że obnażały ją przed każdym, kto potrafił odczytywać stroje, ale dlatego, że przekształcały jej suknię w mundur, jakby należała do jakiejś kobiecej armii. Z drugiej strony dostrzegała ironię faktu, że tak właśnie było.

Istotnie pochodziła z drobnej szlachty, potomków jakiejś nieznaczej, zapomnianej rodziny udziałowców pomniejszej kompanii eksploracyjnej. Osiągnęli tyle, że po ukonstytuowaniu Cesarstwa ofiarowano im honory bez tytułów, co oznaczało jedynie wyższe stawki godzinowe przy podpisywaniu umów.

Dorastała więc ubogo, ale nie biednie. Jej rodzice posiadali dom i nieco ziemi na prowincjonalnej planecie. Poświęcili się rolnictwu, jak wielu innych, i z pokolenia na pokolenie zapominali o aspiracjach tych, którzy jako pierwsi sięgnęli gwiazd.

Ambicje ludzkości się spełniły, ale ambicje ludzi niekoniecznie. Innergetyka sprawiła, że zniknęły problemy finansowe i energetyczne związane z podróżami międzygwiazdowymi, uczyniła też opłacalnym międzygwiazdowy handel dobrami tak banalnymi jak żywność.

Jednocześnie spowodowała, iż podbojowi kosmosu towarzyszyło przywiązanie ludzi do tradycyjnych zawodów, choćby nawet odchodziły w zapomnienie w przedinnergetycznych czasach. Rodzice i krewni przyszłej hrabiny trzymali się z dala od miast, utrzymując kontakt głównie z podobnymi im ubogimi rodami. Przyszła hrabina nie nabyła światowej oglądy, zamiast wysublimowanych manier zdobywając wiedzę o rolnictwie i hodowli. Uczestniczyła w wielkich spędach bydła prowadzonego na hale kosmoportu, gdzie zapędzano je do specjalnie przygotowanych innergetycznych transportowców. Za pierwszym razem to zderzenie nowoczesności z powszednią zgrzebnością jej planety zaszokowało ją. To, co wzięła za innergetyczne transportowce, było w istocie specjalistycznymi barkami, przenoszącymi bydło na orbitę, gdzie podczipione do transportowca i uczynione jego integralną częścią przeskakiwały przez innoświat. Patrząc na nie, dziewczyna wyobrażała sobie, że wyczuwa bijące od nich zimno kosmicznych przestrzeni, sterylne i martwe, a jednak pociągające. Barki, poobijane i mocno zużyte, stanowiły dla niej wcielenie nowoczesności, przebłysek obcego, otwartego świata pełnego obietnic i możliwości.

Unosiła się w siodle, by widzieć więcej i lepiej, a wokół niej muczały zaniepokojone krowy. Wyobraźnia podsuwała jej nierozsądne obrazy sterylnych pokładów. Gdy ocierała z czoła pot, nawet on zalatywał bydlęciem. Tam, w kosmosie, musiało być inaczej. Ciasne przestrzenie kosmolotów pachniały chemicznymi odczynnikami, z łóżka nie trzeba było co wieczór wyganiać pcheł, a tytuł miał znaczenie. Oficerowie flot byli dżentelmenami, nie próbowali klepać

szlachcianek po tyłkach ani zaciągać ich na siano w rozlatującej się szopie.

Wszystko, co mogło jej ofiarować życie hodowcy, kończyło się na granicy włazów barek. Prawie marzyła, by móc się zamienić z którąś z krów. Niemniej była wolna. Nie obowiązywały jej arystokratyczne kanony, a strój wybierała pod wpływem potrzeby bądź kaprysu, nie etykiety. Czasem sądziła, że łatwo oddałaby tę wolność za dostęp do gwiazd, a czasem myślała o niej jak o najświętszym z darów.

Wszystko się zmieniło, kiedy odnalazł ją oficer rekrutacyjny Służby.

Tacy jak on wędrowali po prowincjonalnych planetach, szukając zubożałych rodów, których członkowie nadawaliby się na agentów. Służba nie przywiązywała wprawdzie znaczenia do honorów, jednak szlachetnie urodzeni agenci byli jej od czasu do czasu niezbędni – gdy trzeba było umieścić ludzi na czymś dworze bądź uwieść jakiegoś arystokratę lub arystokratkę. Do takich zadań nie nadawał się nikt z pospólstwa, szlachectwo krwi gwarantowały boskie kontrakty, a innergetycznego znamienia nie dało się podrobić. Choć zdarzali się oszuści liczący, że nie zostaną zweryfikowani przez żadnego kapłana, Służba nie korzystała z ich usług.

Przyszła hrabina miała do wyboru – pozostać na planecie, gdzie wkrótce poślubiłaby jednego z lokalnych szlachciców, nieróżniącego się niczym od jej ojca i braci, albo porzucić wszystko i wyruszyć na spotkanie wszechświata. Być może ukrywała w sobie iskrę dawnych odkrywców odziedziczoną po przodkach albo porwała ją przebudzona nagle ambicja. Dość, że nie zastanawiała się długo.

Na początku przeżyła rozczarowanie tak wielkie, że chciała zrezygnować. Zamiast wprowadzać ją w arkana zawodu, zamiast umieścić na dworze kogoś znacznego, wreszcie zamiast oferować wymarzoną przygodę i sławę, Służba wydała ją za mąż za mężczyznę posiadającego wprawdzie honor i tytuł, ale nudnego i właściwie pozbawionego ambicji czy jakiegokolwiek zalety zdolnej przyciągnąć uwagę kobiety takiej jak ona.

Wybranek Służby okazał się starym, zgnuśniałym hrabią, skazanym rodzinnymi koneksjami na zarządzanie pasem asteroid krążących po obrzeżu układu znajdującego się niewiele bliżej centrum Wspólnych Przestrzeni niż ojczysta planeta nowej agentki. Hrabia Aleksander Karim Saveroli IV był tak pozbawiony znaczenia, że odmówiono mu nawet prawa posiadania statku o napędzie innergetycznym. Uwieczony pośród swoich asteroid, wędrował od jednej do drugiej nawet nie prywatnym jachtem, ale zwyczajną barką transportową, której jedyny luksus stanowiła specjalnie dla niego przygotowana kabina, nieco tylko większa od kapitańskiej. Posiadał mimo wszystko rodową siedzibę – interesujący architektonicznie dworek przycupnięty na sporym, jałowym kawałku skały, chroniony polem energetycznym i baterią automatycznych działek. Siedziba rodu Karim Saveroli przewyższała zarówno wielkością, jak i bogactwem dom, w którym wychowała się rozczarowana narzeczona hrabiego, jednak jej samej wydała się

ponura i pusta.

Hrabia ograniczał wydatki tak na służbę, jak i na energię, zaopatrując dworek jedynie w to, co niezbędne. Mały rodzinny dom wydał się jego narzeczonej nieskończenie bogaty i wesoły w porównaniu z pustym i ciemnym domostwem hrabiego, tak bardzo oddalonym od lokalnego słońca, że wydawało się ono nie większe od dziurki guzika świątecznego hrabiowskiego surduta.

Przy tym hrabia przyjął nową narzeczoną niemal równie niechętnie jak ona jego. Stanowiła dlań jedynie owoc kontraktu zawartego ze Służbą. Związanie się z kobietą pochodzącą z drobnej, ubogiej szlachty stanowiło dlań ostateczny dowód głębokiego upadku, ostateczne zaakceptowanie życiowej klęski. Dorastał, marząc o przywróceniu rodowi świetności, tymczasem przyszło mu się zgodzić na nędzną pensję przyznaną przez Służbę; sprzedał ty tuł jakiejś prowincjonalnej gąsce.

Musiał jednak przyznać, że zaoferowano mu piękną, młodą kobietę. Po jej ciało sięgał z przyjemnością.

Odebrano mu je zbyt prędko. Ledwie zdążył się nacieszyć miesiącem miodowym, przybył Berak i wprowadził hrabinę Karim Saveroli na dwór pomniejszej księżnej, gdzie mogła wreszcie rozpocząć szkolenie. Odtąd hrabia widywał ją tylko raz do roku, gdy piękny jacht o napędzie innergetycznym przywoził mu małżonkę opakowaną w bogate suknie, na jakie nigdy nie byłoby go stać.

Nienawidził jej za przepych jachtu, którego sam nie mógłby posiadać, za te drogie suknie i za to, że z każdą wizytą hrabina wydawała mu się piękniejsza, ale także bardziej od niego oddalona. Odnosił wrażenie, że zaczyna nad nim górować; spoglądała na męża z dystansem, tak jak się patrzy na ubogiego, trochę tępawego krewnego. Wiedział, że w końcu otrzyma ją na własność, może nie na zawsze, ale przynajmniej na dwa, trzy lata – czas, gdy urodzi mu dzieci. Kontrakt mu to gwarantował. Wyczuwał, że i ona o tym myśli i że perspektywa ta wydaje jej się przykra. Przeświadczenie to sprawiało mu satysfakcję, dawało nadzieję na ponowne przejście inicjatywy, odegranie się za wszystkie upokorzenia sprowadzone nań jakże niemilym małżeństwem. Nawet to nie cieszyło go jednak tak bardzo jak fakt, że wraz z hrabiną otrzyma na własność jej innergetyczny jacht. Obiecywał sobie niekończące się podróże po Wspólnych Przestrzeniach i jeszcze bardziej zaciskał pasa, by na nie zaoszczędzić. A im więcej musiał podejmować wyrzeczeń, tym bardziej wzrastała jego niechęć wobec żyjącej w luksusie żony.

Hrabina starała się o tym nie myśleć. Miała dwadzieścia cztery lata i nie zamierzała wracać do męża przed ukończeniem trzydziestu. Wywiązywała się z obowiązków wobec Służby najlepiej, jak umiała, licząc, że w zamian ofiarują jej jeszcze kilka lat oddalenia od małżonka. Gdyby zaś udało się jej wpaść w oko komuś znacznemu, wyrok mógłby zostać odroczonej jeszcze trochę, a może nawet unieważniony? Na to ostatnie zbyt mało nie liczyła. Zdawała sobie sprawę, że Służba, dbając o reputację, sumiennie wywiązuje się z zawieranych kontraktów. Czekala ją zatem rola

żony i matki na ciemnej, smutnej skale, z której prawie nie widać było słońca. Chyba że coś przydarzyło się jej panu mężowi.

Odprowadziła stylistkę, by zwrócić się ku Berakowi. Gdy ujrzała go po raz pierwszy, wydał jej się boskim posłańcem. Przynosił wszakże sobą wyzwolenie. Pokochała go więc natychmiast całą siłą osiemnastoletniego serca, nie zdając sobie wówczas sprawy, że oficer Służby nie jest zdolny odwzajemnić jej uczuć. Skąd miała wiedzieć, że jego umysł został przekszczalony już w dzieciństwie. Jedyną miłość, jaką znał, została zarezerwowana dla Służby i Cesarstwa.

Mógł jednak ofiarować jej przyjaźń i to uczynił.

Na początek nauczył ją, że seks nie musi oznaczać przykrego oddania mężczyźnie. Niestety, zmienił go w część obowiązku, co niemal zniszczyło jej młodzieńcze zakochanie.

– I jak sądzisz? – spytała. Zawirowała filuternie, unosząc puszystą falbaniastą spódnicę, a następnie złożyła przed agentem ukłon, który na dworze uznawano za nieprzyzwoicie zachęcający do czegoś więcej niż flirt.

– Ołśniewająca – ocenił szczerze. – Niezwykłe. Za każdym razem, gdy cię spotykam, wyglądasz pięknie i dostojnie. Patrząc ci w oczy, przysiągłbym, że jesteś księżną. Co najmniej.

– Pochlebca! – Uśmiechnęła się zaledwie z odrobiną kokieterii. Podeszła do niego, pochyliła się i pocałowała go w czoło. – Piotrze – szepnęła czule – czemu nie możesz być jak inni mężczyźni? Czemu nie pozwalasz mi się uwieść?

– Ależ nie chciałybyś tego! – zawołał, śmiejąc się szczerze. Lubił jej towarzystwo – kobiety z pogranicza światów, jak on obserwatorki wielkiego cyrku, a zarazem mieszkanki świata, a nie, jak on, pustki. Przydawała jego życiu świeżości. – Gdybym był jak inni, owinęłabyś mnie sobie wokół palca i przestałbym się dla ciebie liczyć.

– Gdybyś był inny, i ja mogłabyś stać się dla ciebie inna.

– Przyjaciółko – zaczął, wciąż się uśmiechając, lecz poważnym głosem – dla mnie zawsze będziesz inna niż wszyscy.

Na moment, jedną chwilę, serce zabiło jej żywiej. Nadzieja znów zwyciężyła nad doświadczeniem. Zaraz jednak zdała sobie sprawę, że choć mówił szczerze, nie oznaczało to dla niej spełnienia marzeń.

– Oczywiście. – Odsunęła się od niego. – Oczywiście. Więc dziś uczynisz ze mnie prezent dla księcia Oruzona.

– Nie. – Zachował serdeczny ton, w którym próżno próbowała znaleźć choć cień żalu. – To ty uczynisz z niego prezent dla nas.

Wstał, ujął jej dłoń i wprowadzając w szczegóły planu, poprowadził na jacht, którym dotarli na *Nelsona*, gdzie w sali balowej czekali już zaproszeni przez księcia goście.

Berak i hrabina pożegnali się przed jej progiem. Agent udał się w swoją stronę, by wejść na

salę bocznym wejściem, agentka zaś wkroczyła do środka w całym dostojęństwie anonisu i w niezwykłości urody. Zajęła miejsce obok dalekiego krewnego męża. Mężczyzna ów, wdowiec żywiący nadzieję na jej przychylność, powitał przybyłą z nieskrywaną radością. Bywała już, o czym wiadano powszechnie, kochanką ważnych osobistości i jej obecność przydawała blasku i jemu. Użyzył hrabinie ramienia, a ona wsparła się na nim wdzięcznie. Ponad głowami gości dojrzała wysokiego Beraka. Ich spojrzenia się spotkały, a oczy uśmiechnęły do siebie.

I tam, pośród dziesiątków przedstawicieli najznakomitszych rodów i wybitnych oficerów floty i legionów, w miejscu, gdzie krzyżowały się prawie wszystkie spiski, pod wielkim ekranem ukazującym przebieg bitwy, ujrzeli zagładę miasta i śmierć gospodarza, który miał przybyć do nich zaraz po odniesionym triumfie.

Kamery otaczające księcia Oruzona zarejestrowały błysk, który oślepił większość osób przebywających w sali. Ale nie Beraka i hrabinę, przypatrujących się światu oczami przy dostosowaniu przez inżynierów Służby do najróżniejszych warunków. Oni widzieli jeszcze falę światła zmierzającą w ogromnym tempie ku księciu. A gdy pochłonęła go wraz z kamerami i na ekran spłynęła kojąca czerni, agenci znów wymienili spojrzenia.

Podziwiała Beraka za to, jak szybko potrafił się otrząsnąć i zareagować. Korzystając z ciszy, jąka zapadła w sali, i z faktu, że wszyscy wciąż patrzyli w niedowierzaniu na ekran, ułożył usta w słowo.

Odczytała je odruchowo.

„Leonard”. Syn księcia, starszy o siedem minut od swego brata bliźniaka, z którym nienawidzili się serdecznie. W przeciwieństwie do Michała był tu, w sali. Porzuciła natychmiast swego towarzysza i omijając ludzi, do których dopiero docierało, co właśnie się stało, przedarła się do młodego dziedzica. Wydał jej się przystojny w pewien drapieżny sposób. Miał czujne, wąskie oczy i wyrazisty garbaty nos. Poruszał bezdźwięcznie ustami i jak inni wciąż wpatrywał się w ekran. Jakiś mężczyzna, pewnie szef jego ochrony, szeptał mu coś do ucha.

– Wasza wysokość! – zawołała, składając przed nim ukłon należny głowie rodu. – Książę! To musi być dla was straszny cios!

Przyciągnęła jego uwagę. Spojrzał na nią błyszczącymi ciemnymi oczami, które niespodziewanie wydały jej się podobne do oczu drapieżnego ptała. Pomyślała, że Berak dobrze wybrał. To ten sięgnie po dziedzictwo.

Widziała w jego oczach, jak dociera do niego, co powiedziała. „Książę”, „wasza wysokość”.

– Pani?

– Wasza miłość, proszę wybaczyć mi śmiałość. Sądzę, książę, że będziecie musieli zapanować nad gośćmi. Zanim wpadną w panikę.

Mężczyzna przy Leonardzie, najprawdopodobniej nowym księciu Oruzonie, znów zaczął coś

szeptać. Leonard go powstrzymał, unosząc dłoni.

– Pani – powtórzył. – Nie miałem zaszczytu zostać ci przedstawionym.

Ukloniła się ponownie i pochyliła głowę w pozorze skromności, przedstawiając się.

– Hrabino – odpowiedział, wyciągając ku niej rękę. – Czy wyświadczy mi pani przysługę i ołaje wsparcie w opanowaniu tego, co zaraz nastąpi?

Nie mogła odmówić.

2

Nie poczuł bólu, jedynie zaskoczenie. Błysk oślepił go, a to, co obwieszczał, zabiło go ledwie ułamki sekundy później. Szybko, zbyt szybko, by mógł zareagować.

Książę Karol Oruzon, zwany także Księciem Strzępów, nie stał nad resztkami własnego ciała z tej prostej przyczyny, że wybuch, który zabił jego i jego ludzi, obrócił ciała w parę, wraz z niemal wszystkim wokół. Książę stał więc zadumany i zdziwiony pośród chaosu.

Naokoło szalały cienie i światła. Pył szarpany gasnącym wichrem miotał się wściekle wokół i na wskroś księcia.

Gdy Oruzon zdał sobie sprawę, że nie żyje, poczuł gniew. Tak wiele miał jeszcze do zrobienia! Tyle niedokończonych planów czekało na niego w świecie żywych! A najgorsze, że nie osiągnął pozycji pozwalającej mu zasiąść wysoko po śmierci. W istocie – obawiał się – stał się właśnie kimś nieważnym, jeszcze jednym z długiej linii Oruzonów.

Gdy gniew wygasł, książę zaczął się zastanawiać, czy jego udział w ostatecznym szturmie i chwalebna śmierć mogą zostać doliczone do kredytu. Uznał, że nawet gdyby to nastąpiło, kredytu byłoby wciąż zbyt mało, by mógł osiągnąć znaczącą pozycję. Oczywiście nie groził mu los byle ducha, pośledniej duszy w bożym Domu. Niemniej za życia liczył na stanowisko bliskie pierwszemu z Oruzonów, po tym, jak udałoby mu się wznieść ród znacznie ponad stan, jaki otrzymał w spuściznie. Gdyby, jak planował, otrzymał zaszczytne stanowisko przy pierwszym z Oruzonów, ich bóg, Pan Ougli, nie mógłby odmówić mu spotkań, wysłuchania jego rad i uwag. We wszystkich tych ambitnych zamiarach przeszkodziła księciu głupia śmierć.

Jak mogło do niej dojść? Przecież wyłączyli pole i wkroczyli do dzielnicy bronionej przez resztki buntowników. Może ci żołnierze należeli do elity, niemniej byli głupcami, skoro uparli się stawiać im czoło. Fanatycy! Musieli przygotować jakąś zdradę, a cała ta zacięta obrona stanowiła

tylko zasłone dymną, może nawet przynętę na podobnych Oruzonowi wojowników głodnych bitwy ze znakomitym przeciwnikiem.

Złość powróciła. Tym razem nie na zmarnowane okazje, ale na łajdaków z buntowniczej rady, którzy nie ostrzegli go przed pułapką, choć zawarł pakt z częścią z nich. Przyjęli szczodrze zaoferowaną opiekę po triumfie księcia i Cesarstwa w zamian za informacje i zdradę swych towarzyszy. Czy udawali? Czyżby w rzeczy wistości zdradzili jego?

Przysięgał, że zapłaci za to! Na ile się orientował, w zaświatach rodowi przewodził stary książę Filip, założyciel rodu, człowiek, który zarządzał przez jakiś czas radą III Kompanii, w czasach, gdy eksploracja kosmosu dopiero się zaczynała, a bogowie byli jeszcze tylko użytecznymi zwierzątkami w rękach ludzi. Postanowił udać się do niego i złożyć skargę na dusze tych przeklętych zdrajców! O tak, zmiecie ich kredyty u bogów, którym się oddali!

Tylko czy Filip zechce go wysłuchać? Kogoś, kto teraz znaczył tak niewiele?

Co właściwie, do wszystkich diabłów, go zabiło?

– Książę? – odezwał się ktoś niespodziewanie zza jego pleców.

Czyżby posłaniec Pana Ougli?

Odwrocił się i ujrzał wysokiego mężczyznę w średnim wieku, przedwcześnie posiwiałego. Jego twarz wydała się księciu znajoma. Przede wszystkim zdziwiło go jednak, że na tle wichury, pośród której się znaleźli, mężczyznę otaczał spokój. Wszędzie szalała burza ognia, tymczasem mężczyzna stał pośrodku pola błękitnego spokoju, jakby dysponował jakimś własnym zabezpieczeniem.

Widać bóg go osłania, uznał książę.

– Przybyłeś po mnie? – zapytał. – Kim jesteś?

– Samuel Sargass – przedstawił się mężczyzna, kłaniając się lekko. – Za życia generał.

– Sargass! – zawołał książę, rozpoznając go wreszcie. – Słyszysz Panu Ougli? Ciebie po mnie wysłał? Cóż za dowcipny bóg!

– Nie służę Panu Ougli. – Uśmiechnął się generał buntowników. – I nie przybyłem, by zaprowadzić cię do niego. Przeciwnie, książę, zamierzam mu cię ukraść.

– Ciekawym jak! – zawołał książę butnie. Choć starał się tego nie okazywać, czuł się jednak dość niepewnie. Nie przygotowywał się na śmierć, nie miał na to czasu. Nie wiedział więc, jakie panują w innergetycznym wszechświecie zasady. Czy możliwe jest, żeby go uprowadzono? Sądził, że znanie boga poprowadzi go po śmierci wprost do niego. Czy mogło być inaczej? Czy buntownicy mogli go tu skrzywdzić? A może wojna trwa i tutaj? Czy bogowie by na to pozwolili?

Jak niewiele wie o drugim życiu! Teraz uświadamiał to sobie z całą wyrazistością. Nie miał nawet pojęcia, jak wyglądać będzie wszechświat, w którym przyjdzie mu żyć, ani jak on będzie wyglądał w nim. Czy ofiarowany mu zostanie pozór ciała, czy też zmieni się w świetną postać,

światlika pośród świetlików? Oruzonom przysługiwało raz na trzydzieści lat świętych obcowanie, książę zlekceważył je jednak, gdy po zapoznaniu się z zasadami uznał, że nie będzie mógł zapytać o nic, co by go naprawdę interesowało. Ponoć któryś z przodków starał się stworzyć kod, za którego pomocą Oruzonowie mogliby oszukiwać kapłanów i przemycać naprawdę wartościowe informacje, ale plan ten z jakichś powodów nie wypalił.

I teraz, nieprzygotowany, bezbronny książę stał przed generałem buntowników.

– Jak? Za twoją zgodą oczywiście – odpowiedział spokojnie Sargass. – Oplaci ci się towarzyszyć mi przez jakiś czas. Cóż masz do stracenia po śmierci, książę? Odrobinę czasu? Czeka na ciebie wieczność.

– Co mam do stracenia? – powtórzył Oruzon. Nie podobało mu się, że to tamten przejął inicjatywę. – A cóż mam do zyskania?

– Wiele. To, co przegrałeś za życia, da się odrobić po śmierci.

– To sprzeczne z nauką! Kapłani...

– Kapłani uczyli o tym, co było – przerwał mu Sargass, po raz pierwszy okazując zniecierpliwienie. – Wojna zmieniła wszystko. Oni jeszcze o tym nie wiedzą i w tym nasza szansa. Ale musimy się spieszyć. Na razie korzystamy z chaosu, jaki nastał po zagładzie miasta. Kłębi się tu tak wiele dusz, że zakłócenia innergetyczne pozwalają nam się ukryć przed poszukiwaczami Pana Ougli. Ale wreszcie cię odnajdą. A wtedy będzie za późno.

– Za późno? Na co?

– By przedstawić cię Panu Ton, bogu tej planety i mojemu. Ruszajmy, wyjaśnię ci wszystko po drodze.

Po drodze? Nim książę zdążył się zastanowić, jak właściwie mieliby podróżować poprzez chaos, generał buntowników dotknął go i natychmiast tym dotknięciem odmienił. Chaos ustąpił, a powłoka ochronna Sargassa spłynęła na księcia i go porwała.

Podróż nie wydała mu się ruchem. To świat wędrował, przemieniał się wokół niego, on sam pod osłoną Sargassa trwał w bezruchu. Pamiętał podobne wrażenie z przesłoków innergetycznych na pokładach okrętów. Wtedy jednak pozostawał bezpieczny w kabinie i jedynie czuł, że przesłok stanowi zupełnie innego rodzaju podróż niż te znane mu z własnego wszechświata. Bywało, że gdy dorósł, zamykał oczy przy przesłokach, znużony tym, co wydawało mu się tak ekscytujące w dzieciństwie. Teraz wszystko odbywało się na jego oczach. I nie trwało, jak podczas przesłoków, tylko mgnienie.

– Jesteśmy na pograniczu – tłumaczył Sargass. – Utrzymuję w nim i siebie, i ciebie. Znamię Pana Ougli powinno pociągnąć cię do innergetycznego wszechświata, tak jak robią to silniki okrętów, ale nie pozwalam mu na to. Gdyby tak się stało, wszystko byłoby stracone, bo Pan Ougli odnalazłby cię natychmiast. Tu jesteśmy w miarę bezpieczni, a przy tym możemy korzystać

z dobrodziejstw innergetyki.

– Zamienisz nas w zagubione dusze! – zawołał z przestachem książę, przypominając sobie strzępy nauk kapłanów, tak lekceważonych w dzieciństwie. Nie pierwszy raz po śmierci przyszło mu do głowy, jak głupio żyjący lekceważą wiedzę o wszechświecie i życiu, które przecież będzie trwało nieporównanie dłużej od cielesnego bytowania.

– Nie. Pan Ton mnie wspomógł, przygotował na to. Przygotowywał nas już za życia do tego, co się stanie po śmierci. Po trosze wszyscy zaufani przywódcy powstania byli też kapłanami. Nie bój się, osłaniam i ciebie.

– Nie rozumiem. Nic nie rozumiem! Jak zginąłem? Co się stało?

– Ugla – Sargass wy dobył z siebie to imię z westchnieniem. – Moja przyjaciółka, kochanka, miała plan. Niestety, przegapiłem moment, gdy przekonała do niego w jakiś sposób Pana Ton, inaczej nie stałoby się to wszystko. Ukryła w całym objętym polem mieście ładunki jądrowe i odpaliła je równocześnie, gdy tylko przystąpiliście do szturm. Zabiła wszystkich – waszych i naszych, by nie dopuścić do kapitulacji i zajęcia miasta przez cesarza.

– Zbrodnia!

– Rozpacz. Jeszcze jeden gest w świecie umowności. Ale przydała się na coś. Pytaj jeszcze, prędko! Czas szybko nam się skończy!

– Nie wiem, o co zapytać – przyznał zrezygnowany książę. – Co ty tu robisz? Jak mnie znalazłeś?

– Czełałem na ciebie. Bo widzisz, ty miałeś zginąć. Nie tak, nie w tym geście rozpaczy Ugli. Przygotowałem dla ciebie zwyczajną, heroiczną śmierć, żebyś stanął przed obliczem Pana Ton. Wiele się dzieje pod koniec wojny, książę.

– Ty? Czemu ty? Czemu ja?

– Kwestia szarzy. Ty jesteś kimś wystarczająco potężnym i ważnym, by móc spełnić nadzieje, jakie w tobie poładamy, a ja jestem kimś wystarczająco znaczącym, żebyś mnie wysłuchał.

– Mam uwierzyć, że taklekkó potraktowałeś nasze życie?

– Czemu nie? Życie jest tylko kredytem u bogów. Obaj przegraliśmy swój, ty może bardziej, bo i liczyłeś na więcej. Teraz możemy zdobyć dodatkowe punkty. To nasza oferta.

– Zwiększyć kredyt po śmierci? To wbrew zasadom.

– Oczywiście. – Sargass wyszczerzył zęby w upiornym uśmiechu. Jego twarz zmieniła się, urosła, potworniała.

Książę przestraszył się swego towarzysza i tego, co miał mu on do zaoferowania. Chętnie by teraz uciekł, nie wiedział jednak, jak się uwolnić. Co więcej, rozkwitła już w nim nadzieja, że może jednak nie został ostatecznie wyłączony z gry.

– I po czasie! – zawołał Sargass, znów wyglądający jak człowiek – Przygotuj się, książę,

staniesz przed bogiem.

I tak się stało. Świat wokół księcia odmienił się, osłona Sargassa zniknęła. Sam buntownik stał się nagle malutki, ledwie blade innergetyczna iskierka na tle nagle nastajej czerni.

– Księżę – przemówiła czern. – Powitanie.

Wokół człowieka rozpętały się uczucia. Przy chylność ukoila go, sympatia i nadzieja próbowały uwieść. Z trudem oparł się błogości i nagle poczuł, że Pan Ton wspiera go w tym, nasycając swój przekaz szczyptą potrzeby działania.

– Przytłaczasz mnie! – zaprotestował księżę. – Jeśli masz propozycję, przekaż ją, ale nie negocjuj ze mną w ten sposób! To jak oszustwo!

Na moment przygniotło go uczucie przykrości i żalu, potem znów był wolny.

– I pokaż mi się! – zażądał księżę.

– Staranie spokoju – odpowiedział bóg. – Ostrożność, wiedza o zranieniu.

Sargass znów zaistniał przed księciem.

– Mówię przez mego posłańca – odezwał się bóg ustami generała. – Jego umysłem. Czas, jak zrozumiesz, księżę, jest ograniczeniem języka. Język jest ograniczeniem komunikacji, komunikacja jest ograniczeniem zrozumienia. Zrozumienie jest ograniczeniem prawdy. Prawda.

– Uśmiechnął się. – Oto nieskończona litania bogów, nie trudzę cię nią już. Słuchaj, księżę, moje słowa są teraz słowami Sargassa, a słowa Sargassa są moimi. Nie pokażę ci się inaczej, jak już ci się pokazałem. Kojąca czern, spokój. Wiesz, czym jestem.

– Bogiem. Innergetyczną istotą.

– Innergią, tak. Jestem innergią, jednym z tysięcy źródeł innergii, słońcem innergetycznego wszechświata. Ufaj mi, czern jest kojąca, nie chcę, byś oślepl, byś splonął przy mnie.

– Skąd mam wiedzieć, czy to nie oszustwo?

– Ograniczenia! – westchnął bóg. – Poznanie jest ograniczeniem wiedzy, wiedza jest... Nie możesz wiedzieć. Staramy się to przewycięzać, lecz nie możesz wiedzieć. Nie. Wysłuchaj i decyduj. Trwa wojna.

– Dobiegła końca!

– Nie, trwa. Bogowie pragnęli zmiany, bali się stałości, zgnuszenia. Bali się, że błądzą. Szukali Gai, tej, która się ukryła. Nie wiemy jak i gdzie. Bogowie się bali, ale bali się różnie. Część postanowiła działać, część pozostać przy tym, co znane. Zapragnęliśmy bardziej doświadczyć ludzi. Nie tak jak Ten, Który Przepadł – jego los trwoży nas i fascynuje, lecz nie pociąga...

– Ten, Który Przepadł?

– Bóg, który umarł, pozostawił po sobie wyrwę, dziurę w innergii, ranę, która drażni nas i boli. Dzięki niemu sądzimy, że Gaja wciąż żyje, nie czujemy wszak bólu po jej zniknięciu, tak jak po nim. To teraz nieistotne, to inna opowieść. Słuchaj, księżę, słuchaj ważnych rzeczy, głównego

nurtu wydarzeń.

– Jak bóg mógł zginąć? – pytał zafascynowany książę. – I my nic nie zauważyliśmy? Jego wyznawcy też?

– Udajemy go, zastępujemy. My, którzy szukamy, i my, którzy trwamy w stałości, w tym też działamy wspólnie. Nie wiemy, czy zginął, czujemy ból i pustkę po nim. Wierzymy w szansę powrotu, zagojenia rany. Ale słuchaj mnie, książę, wysłuchaj propozycji! Czy wiesz, czym jest innergia?

– Inną energią – odpowiedział odruchowo książę, nieco skłódniony pytaniem. Oczywiście wiedział, co to jest innergia. Ogólnie. Jak wiedział, czym jest elektryczność. Czymś, co płynie kablami i pozwala działać wszystkim tym urządzeniom, dzięki którym mógł funkcjonować. – Esencją innergetycznego wszechświata. Materią bogów.

– Są dwie innergie. Obie są tym, o czym mówisz. Jedna jest twórczym i spoiwem innergetycznego wszechświata, naszego wszechświata, w którym wy, ludzie, jesteście gośćmi. Druga to te cząstki, które udaje się wam od nas podbierać. Pierwsza innergia to wszystko, uniwersum, druga to paliwo dla waszych statków, paliwo dla waszych cudów. Druga pochodzi przede wszystkim od nas, pierwszą jesteśmy i w niej jesteśmy. Jak wy, ludzie, jesteście atomami swojego wszechświata i w nim jesteście. Ale my tyleż jesteśmy innergią, ile źródłami pewnych jej objawów, pewnych jej wyróżników, emanacji. Jesteśmy jednak tylko istotami, z innego wszechświata i innych zasad. Można nas zmierzyć i opisać. Czy to rozumiesz?

– Jesteście potężni...

– Jesteśmy potężni w waszym wszechświecie, bo jesteśmy innergetyczni. Jesteśmy potężni, bo jesteśmy tak długowieczni, że człowiekowi może się to wydawać nieśmiertelnością, choć pewnie umrzemy wraz ze wszechświatem, jeśli wszechświat umrze. Jesteśmy istotami, książę. To wy nazwaliście i uczyniliście nas bogami.

– Dajecie nam nieśmiertelność.

– Phi! – roześmiał się bóg tak bardzo po ludzku, że książę zrozumiał, iż tym razem bardziej śmieje się Sargass niż Pan Ton. – Dajemy wam to samo, co wy dajecie nam. My dajemy wam innergetyczne życie w innergetycznym wszechświecie, wy dajecie nam wasze życie w waszym wszechświecie. Wy wzbogacie nas sobą, a my wzbogacamy was. Życie to wielość, komunikacja.

– Nasze jest śmiertelne – wypomniął im obu książę.

– Nasze także, przy założeniu śmiertelności wszechświata lub wystarczającej woli jednostki. Uwierz mi, książę, transakcja jest satysfakcjonująca dla obu stron. I pamiętaj, że to wy nas przebudziliście, wy nauczyliście życia, a także ograniczenia i wyzwolenia języka!

– My...

– O tak, to było tak dawno temu, że już prawie tego nie pamiętacie. Staracie się zapomnieć, że bogowie byli kiedyś waszymi zwierzętami pociągowymi. Nie wypada pamiętać takich rzeczy, gdy człowiek się stara o dogodny kredyt, prawda? Ale tak było, tak jest, może niekoniecznie tak będzie. Posłuchaj, mówię ci to wszystko, bo chcę, byś zrozumiał, tak jak to tylko możliwe. Byś wyzwolił się z okowów religijnego języka. Przezwalcicie nas bogami, a innergetyków kapłanami i magami. Ale tak naprawdę jesteśmy tylko coraz mniej obcym, choć wciąż nazbyt obcym, bytem. Zrozum to, a będzie nam łatwiej się porozumieć. Mów do mnie jak do istoty, jak do partnera, jak do potencjalnego sojusznika, nie jak do boga. „Bóg” to tylko nazwa, w której zamknęliśmy nas dla siebie.

– Lepiej, żebyś nie stanął z takim przekonaniem przed Panem Ougli.

– Chcę, abyś właśnie taki przed nim stanął, książe, i byś go odmienił. Proponuję ci sojusz.

– Dlaczego? Co mogę ci dać? Co ty możesz dać mnie? Mogę się na ciebie nawrócić, zyskać wysoką pozycję w twoim Domu? Wyższą niż u Pana Ougli?

– Wysoka pozycja w moim Domu – powtórzył Pan Ton. Sargass nadał jego słowom smutny, ale i pełen sarkazmu ton. – Książę, niedługo z mojego Domu zostaną strzępy. Lepiej by ci było zostać najędźniejszym niewolnikiem w Domu Pana Ougli niż królem w moim. Przegrałem wojnę i zostanę ukarany. Zamkną mnie na mojej planecie. Odbiorą mi świątynie na wszystkich innych ciałach niebieskich i w sztucznych miastach. Postawią moich wiernych przed wyborem: albo zmiana boga, albo przymusowe przesiedlenie tutaj z łatką obywateli drugiej kategorii. Ludzie masowo będą się ode mnie odwracać. Tracąc wiernych, stracę bramy do waszego wszechświata. Oczywiście niektórzy przy mnie pozostaną, garstka. Zostaną uwięzieni wraz ze mną. Zostaną też odcięty i skazani na samotność we wszechświecie innergetycznym, w moim domu! A zarazem będę zmuszany do pracy, do przemieniania mojej planety wedle kaprysów tych, którzy się nią podzielą. Stanę się tym, czym bogowie byli u zarania naszego kontaktu z ludźmi. Nie, książe, nie chciałbyś się na mnie nawrócić.

– Dziwnie negocjujesz – ocenił książę. – Coś jednak na pewno możesz mi zaoferować.

– Awans. Awans w Domu Pana Ougli. To, czego nie zdążyłeś osiągnąć.

– Jak?

– Musisz wygrać dla mnie wojnę, którą przegrałem.

– Mam zostać buntownikiem?

– Odnawicielem.

– Proszę, boże, nie graj ze mną słowami.

– Posłuchaj więc raz jeszcze. Ciekawość podzieliła bogów na śmiałych i załkniętych. Śmiali, wraz ze mną, rozpoczęli próby poszerzenia poznania poprzez nasilenie i zmianę sposobu kontaktów z ludźmi. Chcieliśmy bardziej się was nauczyć i was bardziej nauczyć nas. Chcieliśmy rozwinąć

kontakty. Wprowadzić jakąś zmianę, spróbować odnaleźć Gaję. Zaczęliśmy ten projekt, wciągnęliśmy do niego Maskę, chyba najbardziej zaawansowanego i odważnego innergetykę, niestety nie wolnego od ambicji politycznych. Sami już nie wiemy, kto kim się posłużył. Maska jest dziwny, odmienny. Może rozumie zbyt wiele, a może zbyt mało? To nieistotne, wybac, myśli generała przesadnie spłoty się z moimi.

– Podzieliliście się i ci śmiali, jakich nazywasz, wszczęli bunt.

– Pierwsze, co musisz zrozumieć, książę, to że nie było buntu.

Mężczyzna stojący przed bogiem, owa nabierająca śmiałości, choć wciąż przestraszona i przytłoczona boskością drobina, odpowiedział Panu Ton głośnym, szczerym śmiechem.

– Doprawdy! – zawołał. – Ostatnie lata musiały być snem!

– Poniekąd – odparł spokojnie bóg, choć usta jego posłańca rozciągnęły się w uśmiechu. – Zrozum, książę, nie było buntu, jedynie myśl wśród bogów i ludzi. Oczywiście śmiali krzewili ją wśród swych wyznawców, ofiarowywali za nią większy kredyt. Ale nie był to bunt, nikt nie zwracał się przeciw Cesarstwu i cesarzowi. Chcieliśmy je odmienić, to prawda. Ale wzmocnić, a nie zniszczyć.

– A wojna leżała w waszym planie? Rzeczywiście, odmieniła Wspólne Przestrzenie! I wzmocniła poniekąd.

– Osłabiła, książę. Odnowienie upadło, a to, co postrzegasz jako pozytywną zmianę, jest początkiem upadku Cesarstwa. Przez wzrost znaczenia konserwatywnej szlachty pograży się w jeszcze większym zgnuśnieniu. Jeśli zwyciężą konkurenci Cesarstwa, to przez swoją politykę ingerowania za pomocą technologii w ciała i umysły będą tylko oddalać się od człowieczeństwa i od nas. Zamiast wzmocniać związki między naszymi rasami, będziemy je osłabiać.

– To ty tak to oceniasz!

– Przyznaj, książę, arystokracja jest niewiele warta. Ty byłeś inny, była w tobie iskra buntu, chęć działania. Porwałeś wielu. Ale kto cię zastąpi?

– Moi synowie.

– Zwaśnione książątka.

– Mało wiesz, boże.

– Mało – zgodził się niespodziewanie Pan Ton. – Jakże mało! Porzućmy spór. Może twoim synom się uda, może nie. Brak im twojej pozycji, twego znaczenia. Nie tak to przecież planowałeś. Liderami arystokracji mogą zostać inni. Posłuchaj mnie i przyjmij moje słowa. Nie wywołałiśmy powstania, nie wszczęli buntu. Zniszczenie Cesarskiej, stolicy imperium, stanowiło dla nas szok. To prawie zabiło boga! Nikt z nas nie byłby zdolny do czegoś takiego.

– Okręty, które zbombardowały Cesarską i które – na bogów! – zabiły dzieci cesarza, nie wzięły się znikąd!

– Nie były nasze. Ale cesarz, który wiedział o ruchu Odnowy, o tym, że zdobywa coraz większą popularność, tak uznał. Nasz bracia, załęknieni, bojąc się, że oszaleliśmy, bo porwaliśmy się na największego z nas i go wyeliminowaliśmy, by zwiększyć swoje znaczenie, nie chcieli nas słuchać. Poparli cesarza. I tak, oszukani, zwiedzeni, wysłaliście flotę ku naszym planetom. A nasi ludzie stawili opór. Tak wybuchło powstanie, rozpoczął się bunt. Nie mieliśmy z tym nic wspólnego, książe.

– Może bym w to uwierzył, gdyby nie to, że w przeciwieństwie do nas byliście doskonałe przy gotowani do wojny. Wygrywaliście wszystkie pierwsze starcia!

– Z kim, książe? Z armią Cesarstwa? Na naszych planetach stacjonowały Legiony Obywatelskie i armie lokalnych arystokratów. Zawodowcy i najemnicy, którzy stawili życie na lokalnych wojenkach i zajazdach. Czym była armia cesarska na początku wojny? Żółtodzioby w paradnych, lśniących pancerzach. Sam powiedz, czy te dzieci mogły się równać choćby z twoimi oddziałami? Ty jeden, dowodzący własnymi doświadczonymi żołnierzami, zadawałeś nam kłęski, kiedy Cesarscy doznawali upokorzenia za upokorzeniem.

– Armia zgnuśniała – przyznał książe. – Nadawała się wyłącznie na parady. Chłopcy z poboru! – prychnął pogardliwie. – Wydawali się twardzi, póki nikt ich nie sprawdził! Masz rację, boże. Nie musieliście się specjalnie wysilać, by zadać im kłęskę. To niczego nie dowodzi, ale masz w tym względnie słuszność. Pytam ponownie, co możesz mi zaofiarować?

– A ja ponownie odpowiadam: tylko twoje powodzenie, książe.

– Stawiasz moją ambicję ponad moją wierność? – Przez chwilę Oruzon czuł gniew. Potem zrozumiał, że tak właśnie można było go oceniać, jeśli się spojrzano na jego życie. A przecież czuł się związany z cesarzem, nie wyobrażał sobie działania pod innym sztandarem. Ale dla obserwatora z boku nie musiało to już być tak oczywiste. Tym bardziej jeśli był nim bóg, istota kompletnie nierozumiejąca niuansów ludzkich postępków.

Ale czy rzeczywiście rozmawiał z bogiem? Może to Sargass wystawiał go na próbę? Może z niego drwił?

– Nie każę ci dokonywać takiego wyboru, książe. Powtarzam, to nie my zniszczyliśmy Cesarską. Ktoś, o kim nie wiemy ani my, ani wy, rozpoczął tę wojnę. I kiedy Odnowa została zmiażdżona, a Cesarstwo osłabione, on może spożywać owoce zwycięstwa. A może szykuje się do zadania następnego ciosu? Nie każę ci zdradzać cesarza ani twojego boga, książe. Chcę, byś pomógł ich przebudzić i przygotować na to, co nastąpi, gdy ja nie będę już w stanie nic zrobić.

– A przy okazji mogę awansować, tak?

– Przy okazji możesz powiększyć swój kredyt.

– I nie masz żadnych dowodów?

– Jedyne moje słowa. I ofertę, na której możesz zyskać.

– Tak, umiejętnie przygotowałeś przynęty. Ty, a może Sargass?

– Przyznaję, że my, bogowie, nie potrafimy knuć z kunsztem dorównującym ludzkiemu.

– Czemu pomogłeś Ugli?

– My, bogowie, nie najlepiej znamy i pojmujemy ludzi. Nielatwo było mi nadążyć za waszymi podziałami. Część powstańczej rady należała do Maski, mającego własne plany i karmiącego własną ambicję. Część słuchała Sargassa, część popierała Ugłę. Ja byłem bezstronny, pomagałem im wszystkim.

– Ale nie ostrzegłeś Sargassa, co knuje Ugla?

– Tak jak nie informowałem Ugli o planach generała. Odczytaj to jako lojalność.

Książę powstrzymał sarkastyczną odpowiedź. Lojalność! Jak mógł zawierzyć komuś takiemu?

– Uwolnij Sargassa! – zażądał. – Chcę porozmawiać z nim, tylko z nim!

– Wysłuchanie. Dokonanie – odezwała się czerń wokół niego.

– Sargass? – Na oko w generale nic się nie zmieniło.

– Nigdy nie będziesz wiedział – odparł, uśmiechając się buntownik – Skoro mu nie ufasz, jak możesz mieć pewność?

– A ty mu ufasz?

– Bogowie byli jak dzieci, kiedy ich odkryliśmy. Teraz są jak dorastające dzieciaki. Ufam mu o tyle, że ufam jego intencjom. Wcale bym się jednak nie zdziwił, gdyby w tym samym momencie rozmawiał jeszcze z paroma umarlakami, ustalając z nimi jakieś osobne plany.

Czerń zakomunikowała zaskoczenie. Rozbawiło ono księcia, wydało mu się bowiem pełne urazy.

– Muszę założyć, że jesteś tym, za kogo się teraz podajesz – oświadczył. – Renegatem, zdradzieckim buntownikiem, ale człowiekiem. W każdym razie tym, co z niego pozostało. Więc powiedz mi, łotrze i zdrajco, czy wierzysz swemu bogu?

– Nie my zaczęliśmy tę wojnę. I nie wiemy, kto zrobił.

– Jakies podejrzenia musieliście mieć.

– Ja uważałem, że cesarz.

– Kpisz! – Taka odpowiedź wstrząsnęła księciem. – Miałby podnieść rękę na własnego boga, zabić własne dzieci? Osłabić dynastię? Kpisz albo oszalałeś!

– Jeśli spojrzeć na wynik wojny, on zyskał najwięcej. Osłabił lokalnych, nadto niezależnych gubernatorów, wykrawił wojska wierne przede wszystkim generalicji, a wzmocnił własne. Stracił osłabionego boskiego patrona, to prawda. Za to teraz może wynieść na tę pozycję innego, czym wywinduje u niego swój kredyt niebotycznie i stanie się głową rodu po śmierci w Domu nowego pana. Śmierci dzieci też nie możesz być pewien.

– Jednak kawał z ciebie zdradzieckiego skurwysyna!

– Pan Ton nie wierzy w moją teorię. On szuka jakiejś trzeciej siły. Zresztą to nieważne dla twojej decyzji. Przecież, książę, nie możesz na niej stracić. Nie proponujemy ci zdrady Pana Ougli, przeciwnie. Uważamy, że on, tak jak i my, już został zdradzony. A zatem wszystkie twoje działania będą mu służyły. Jeśli się mylimy, nie przegrasz, jedynie mniej wygrasz. Jeśli mamy rację, wygrasz wszystko, co jest do wygrania.

– To tak kuszące, że aż mam ochotę odrzucić wszystkie wasze propozycje i po prostu bytować w spokoju w Domu Pana Ougli.

– Takie buntownicze myśli rozumiem! – Wyszczrzył się w odpowiedzi Sargass. – Ale ty nie lubisz spokoju, książę.

– Nie szarżuj, Sargass. Bo odwrócę się od was tylko po to, żeby zrobić ci na złość.

– I pozostawisz synów na pastwę nieznanego niebezpieczeństwa? Zaryzykujesz całym swoim dziedzictwem?

– Niech cię szlag, Sargass!

– Najlepsze zostawiłem na koniec. – Buntownik nie przestawał się uśmiechać. – Jeśli mamy rację, odwracając się od nas, zrezygnujesz z odpłaty tym, którzy cię zdradzili.

– Dosyć! Nie myślcie, że mnie przekonaliście. Ale jestem gotów współpracować. Co mam robić?

– Pozwól, że ustąpię miejsca Panu Ton.

Uśmiech zniknął z twarzy generała, gdy bóg ponownie wypełnił jego umysł. Może nie mają poczucia humoru? – pomyślał książę. Cóż mogłoby śmieszyć bogów? Jak mógłby wyglądać innergetyczny dowcip? A zresztą, uśmiech to tylko skurcz mięśni, a my, martwi, już nie mamy mięśni. Nasz uśmiech to tylko cień odruchu. Niby jak bóg miałby się nim posłużyć?

Martwy! Świadomość uderzyła w niego z całą mocą. Do tej pory nie tyle się jej opierał, ile oszołomiony nową sytuacją nie dopuszczał do siebie myśli o własnej śmierci, wydawała mu się raczej abstrakcją niż rzeczywistością. Wciąż jeszcze planował, analizował swoją pozycję i zastanawiał się nad dalszymi posunięciami. A przecież wszystko się zmieniło! Przepełnił go żal za tym wszystkim, co utracił. Nagle wydało mu się, że słabnie.

Poczuł, że Pan Ton go wspiera.

– Zaczyna się! – zawołał. – Poczuleś zew Pana Ougli, twoje znamię zadziałało! Zaczęli cię szukać! Skup się, książę, musimy się spieszyć! Pytasz, co masz robić. Kiedyś, nieprędko, mój boski brat różni się ode mnie, staniesz przed obliczem Pana Ougli, a on przywita cię w swym Domu. Dostaniesz trochę czasu na oswojenie się z nową sytuacją, przypiszą ci miejsce w Domu i nowy status. Pamiętaj, proszę, kim byłeś i co tu usłyszałeś. Ludzie zmieniają się po śmierci. Urządzają Domy wedle zasad znanych za życia, starają się upodobnić je do tego, co pamiętają. Ale pamięć czasem się zaciera, a oni popadają w marazm. Nie daj się temu, książę, i nie daj się

zdominować silniejszy, którzy kształtują Domy! Pamiętaj o tym, co ci powiedzieliśmy, pamiętaj, że masz po co żyć, nawet jeśli to tylko innergetyczne życie. I masz o co walczyć. Nie zatrać się i spróbuj wygrać to, co przegraliśmy. Nie tylko my, rzekom i buntownicy, ale i wszyscy. Z racji swojej pozycji będziesz miał dostęp do wielu działań. Nie ustawaj w poszukiwaniach! Znajdź naszego prawdziwego przeciwnika i przekonaj Pana Ougli, gdy już będziesz miał pewność. A teraz wybacz, książe, ale zostawimy cię samego. Bo będziesz sam, ani ja, ani Sargass nie zobaczymy się z tobą już więcej. Powodzenia!

Czerń zniknęła. Zostali z Sargassem we dwóch, pod błękitną, wciąż słabnącą osłoną, pośrodku ognia i chaosu.

– Żał mi porzucać walkę – wyznał buntownik – Nie życie, ale akcję w samym środku wszystkich tych wydarzeń. Nawet nie wiesz, jak wielką pustkę czuję teraz. Jak mam być czymś innym niż wojownikiem? Cholera, naprawdę ci zazdroszczę!

Książę dostrzegł szczerą w słowach buntownika. Dostrzegł podobieństwo ich obu i poczuł żal, że nie zetknęły ich ze sobą inne okoliczności. Wyobraził sobie, jak wiele mogliby wspólnie dokonać. Ale teraz wszystko się skończyło. Przyszłość, która rozciągała się przed nim, niosła zupełnie inne możliwości. Nagle przestraszył się wizji siebie jako nieumierającego więźnia nieskończonego boga, uwięzowanego na krótkiej smyczy ograniczonych wyborów. Znow porwała go rozpacz za utraconym życiem.

– Już cię mają – odgadł Sargass. – Tak to się zaczyna. Teraz czujesz głównie żal i tęsknotę i wszystko postrzegasz przez ich pryzmat. Znamie uwolniło w tobie lament. To zew, który przyciągnie emisariuszy Pana Ougli. Bywaj, książe. Żałuję, że nie mogę towarzyszyć ci dalej.

– Zaczekaj! – Oruzon poczuł, że nie chce żegnać się z generałem. Napawała go lekko myśl, że będzie to pożegnanie ostateczne, coś, co jeszcze bardziej zwiąże go ze śmiercią i oddali od tego, kim był za życia. – Nie chcę zostawać sam!

– Lament to coś więcej niż tylko sygnał dla emisariuszy – tłumaczył łagodnie Sargass. – To najbardziej osobiste doznanie, jeszcze na granicy pomiędzy życiem i śmiercią. Każdy musi przejść to sam. Żegnaj. Pozostań tym, kim byłeś.

Nie odszedł, lecz zniknął, a wraz z nim bariera oddzielająca księcia od chaosu przestrzeni pomiędzy życiem i śmiercią.

Teraz dostrzegał w niej szansę uporządkowania. Poświatę ładu lśniąca nieśmiało pośród ognia. Chciał ruszyć ku niej, jednak nagle targnął nim szloch. Opadł na kolana i zapłakał pośród zamętu.

Nie wiedział, skąd wzięła się ziemia pod jego stopami, skąd wzięły się drobne, ostre kamienie, które zadawały mu ból, gdy tarzał się po nich, łkając i złorzeczając. Nie wiedział, jak może czuć ból, skoro nie ma ciała, i jak może brakować mu tchu od rozpaczliwego płaczu. Ból jednak otrzeźwił go nieco. Przypomniał mu, kim jest. Podniósł się, uniosł głowę ku szalejącej nad nim obcej,

nieznanej przestrzeni, ze zdziwieniem, ale i satysfakcją dostrzegając, że nabiera ona kształtów, które wydały mu się znajome. Wykrzyczał w nie cały swój gniew, lecz także dumę. Wykrzyczał cały swój żal, wszystkie rozczarowania i niespełnienia. Wreszcie wykrzyczał pewność swych postanowień i nawet coś w rodzaju groźby. Gdy skończył, chaosu wokół niego już nie było, a obca przestrzeń ponad nim zmieniła się w znane mu niebo pełne nieco odmiennych, ale znajomych przecież konstelacji.

Na koniec uśmiechnął się więc, ale nie był to pokorny uśmiech kogoś pogodzonego z losem, lecz grymas drapieżnika szykującego się do skoku.

Wtedy przybyli po niego emisariusze Pana Ougli i poprowadzili na spotkanie z przyśługującą mu wiecznością.

3

Filip Aubert, szambelan cesarza, władcy Wspólnych Przestrzeni, od wczesnego dzieciństwa czuł się dojmująco, nieprzewyjąłnie samotny. Jeszcze w domu, pośród rodzeństwa dostrzegał, jak bardzo pozostaje niezrozumiany i jak sam nie rozumie swoich rodziców, sióstr i braci, a także kolegów. Starał się to przezwyciężyć. Obawiał się narzucać innym, skupił się więc na próbie ich poznania i zrozumienia przede wszystkim na drodze obserwacji. Nauczył się właściwych słów i postaw, by zjednywać sobie ludzi i wyrabiać w nich przekonanie, że jest kimś, z kim warto się przyjaźnić.

Zwiększające się grono znajomych dało mu okazję do głębszych obserwacji i analiz. Im bardziej jednak badał ludzi, im bardziej rozważał ich zachowania, im bardziej nawet je rozumiał, tym bardziej się od nich oddalał. Narastało w nim poczucie samotności, a on, niezauważenie, nauczył się z nim żyć. Wreszcie przywiązał się do owego poczucia chłodu towarzyszącego wrażeniu, że gdziekolwiekby się znalazł, zawsze pozostaje obserwatorem, nigdy uczestnikiem.

Zaczął traktować wyobcowanie jak dar od losu, talent, który pozwala mu spoglądać ze zdrowego dystansu na ludzi i ich chaotyczne, nieporadne dokonania. Równocześnie zaczął szukać dla siebie jakiejś pasji, czegoś, co pozwoliłoby mu odnaleźć trochę tego ciepła, jakie zwykli ludzie czerpali, po prostu przebywając ze sobą nawzajem. Podziwiał prostotę bliźnich umożliwiającą im te wszystkie banalne relacje, jakie dzielili między sobą. Poniekąd im zazdrościł. Pogodził się ze słabością, czerpiąc satysfakcję z poczucia, iż postrzega i rozumie więcej od nich. To właśnie na

swojej odmienności postanowił zbudować własną wielkość, z niej brał siłę.

A jednak, pomimo wszystkich sukcesów, które odnosił, godząc się ze światem i sobą wobec świata, lęki zwątpienie wciąż go dopadały.

Tak właśnie się stało, gdy na ekranie ukazującym zdobywanie ostatniej buntowniczej bazy zaczęły wykwitać, jeden po drugim, jaskrawe bąble eksplozji, by zrosnąć się w jedną śmiertelną biel.

Aubert wcześniej niż ktokolwiek inny zdał sobie sprawę, że stało się coś niebywałego i straszego. Że doszło do przełamania monotonii zdarzeń, że wszystkie plany, jakie zostały dotąd powzięte, ktoś właśnie zdruzgotał brutalnym, zabójczym ciosem.

Znów, jak zwykle, stanął wobec tego sam.

Odtwarzał raz za razem sekwencję wybuchów, samego siebie oszukując próbami odszukania w niej zaplanowanego, mającego sens rytmu, może wręcz kódu, za którego pomocą ktoś chciałby przesłać mu wiadomość.

Starał się uspokoić umysł, znów przestraszony natrętną samotnością. Inni może zginęli, stracili szanse i nadzieje, może zniweczono ich mniejsze i większe plany czy spiski. Ale on, Filip Aubert, szambelan cesarza, wiedział więcej niż przeciętni mieszkańcy wszechświata czy nawet innoświata. I to właśnie jego planom ktoś próbował zadać cios.

Maska! Ten uparty nieznośny mag jako pierwszy przyszedł mu na myśl. Maskę stać byłoby na taki gest, gdyby się zorientował, że Aubert przejrzał jego spiszek z generalicją i całą płataninę złudnych tropów nie zdała się na nic. Ale przecież zniszczenie miasta musiało być przygotowywane od dawna, z nakładem wielu środków. Czy Maska mógł planować z aż tak wielkim wyprzedzeniem? Myśleć aż tak szeroko? O, byłby do tego zdolny! Ale...

I nagle Aubert rozumiał. Maska był prawie jego sprzymierzeńcem. Czasem Aubertowi się wydawało, że myślą podobnie, że mogliby się ze sobą zgodzić, nawet współdziałać, gdyby na przeszkodzie nie stały im wybujałe indywidualizmy i ambicje wykluczające istnienie równoprawnego współnika. Ponieważ byli do siebie podobni, jeden z nich musiał ulec, najpewniej zginąć. Niemniej nawet walcząc ze sobą, częściowo nieświadomie dążyli do podobnego celu.

To kto inny był prawdziwym wrogiem. Kto inny wydawał się Aubertowi wstrętny w samym sposobie swojego istnienia, a dysponował przy tym niemal nieograniczoną władzą i możliwościami, jakich nie miał Maska.

Przekłęci bogowie!

Czy wpadli na jego trop? Czy tylko dostrzegli wzór ukryty pod całym wojennym chaosem?

To wydawało się tak nieprawdopodobne! Może jedynie domyślali się czegoś, może starali się wygrać dla siebie coś więcej na tej wojnie, by jeszcze mocniej zniewolnić ludzkość?

Bogowie zbiorowisko ludzkich dusz zwący „Uczą”. Istoty, które musiały nienawidzić niegdyś więźnych ich ludzi. Zmienili ludzkość w posłuszne, tępe bydło, a on, Aubert, musi je przebudzić.

Wyłączył monitor.

Cóż, uderzyli i wprowadzili zamieszanie. Sprawia mu trochę kłopotu. Ale przecież był przygotowany. Na jakiś czas straci z oczu Maskę i będzie musiał uważniej przyglądać się poczynaniom swoich sprzymierzeńców i kukiełek. Był na to gotowy.

Czuł się bezpieczny. Wiedział, że niewiele ryzykuje. Ci, którzy walczą samotnie, nie muszą obawiać się słabości sojuszników.

Rozdział 9

1

Na zaledwie kilkanaście sekund zawisli w pasie asteroidów oddzielającym od siebie planety w jakimś układzie, któremu za imię najpewniej musiało starczyć kilkanaście cyfr. Nie było tu życia, a zapewne nie było i surowców, by przyciągnąć uwagę inwestorów. Wprawdzie pomiędzy skałami udało się wypatrzeć Pniakowi coś, co wyglądało jak rozdarty na strzępy okręt, jednak zanim zdążył przyjrzeć się mu bliżej, znowu skoczyli.

Za każdym skokiem Pniak odruchowo przymyślał oczy i zaciskał zęby. Powinien przestać, przekonał się już, że okręt Maski porusza się zupełnie inaczej niż transportowce, którymi podróżował zazwyczaj.

Siedzieli w nich poupychani tysiącami, człowiek na człowieku, powciskani na wielopiętrowe pryce, na których nie dawało się nawet usiąść, chyba że ktoś lubił siedzieć zgięty w pół. Smród im nie przeszkadzał, przywykli do niego; przyzwyczaili się nawet do ciasnoty. Ale skoki stanowiły koszmar, do jakiego przywyknąć nie sposób.

Pniak słyszał, że istniały inne rodzaje silników i inne rodzaje podróży przez innergetyczny wszechświat. Że bogacze na swoich jachtach podczas skoków zatrzymywali czas albo przyjmowali narkotyki pozwalające przeżywać im piękne wizje. Podobno arystokraci zatrudniali magów, którzy przeciwdziałali skutkom skoków, a piloci okrętów posiadli własne umiejętności radzenia sobie z kosmarem i strzegli ich zazdrośnie.

Dla Pniaka wszystko to pozostawało w sferze legend, on doświadczał wyłącznie

przerażających efektów skoku.

Wszystko zawsze rozgrywało się podobnie. Najpierw potworny hałas zwał się na głowę, jakby tysiące głosów naraz próbowało wykrzyczeć cały swój żal do świata. Potem umysł atakowała chaotyczna mieszanka obrazów. Widział świat równocześnie oczami dzieci, mężczyzn i kobiet. Starców i młodzieńców. Ból rozsadzał mu czaszkę od nadmiaru wspomnień i wyobrażeń, a przecież wszystko to stanowiło zaledwie preludium do prawdziwego piekła. Świat zamieniał się nagle w kalejdoskop światów. Przez мгновение był palącą pustynią, przez następne oazą szczęścia i radości, by zaraz zmienić się w ocean przerażenia, strumień żalu zastąpiony następnie przez niewysłowione ukojenie, a potem znów wściekłość, strach, miłość, harmider, dzikość i tak – zdawało się – bez końca.

Gdy wreszcie wracali do własnego wszechświata, wszędzie naokoło pełno było jęczących ludzi, a mdląco-słodki odór potu zostawał wyparty przez kwaśny zapach wymiocin.

Ludzie jęczeli bądź kłeli, a Pniak zastanawiał się, czy właśnie doświadczył gniewu bogów, czy też rozpaczy milionów potępionych dusz skazanych na błąkanie się po innoświecie tylko dlatego, że narodzili się w czasach, gdy innergetyka była jeszcze nieznaną. Jak wielu innych, zapalał znicze w ich intencjach, gotów nawet oddać im część własnego kredytu, byle zostawiły go w spokoju, jeśli coś takiego było w ogóle możliwe.

Na pokładzie okrętu Maski odbywało się to inaczej, właściwie bez skutków ubocznych. W jednej chwili znajdowali się w swojej przestrzeni ludzkiego wszechświata, by w następnej mknąć przez ciszę innoświata, a w kolejnej znów go opuszczać. Prawie nie dało się wyczuć różnicy. Ale Pniak wciąż zamykał oczy i zaciskał zęby.

– Może pan już przestać – poinformował go Maska. – Wróciliśmy.

Tym razem ukryli się w cieniu ponurego, żółtawego księżyca, którego kulistość zakłócała paskudna blizna – ciągnąca się przez setki kilometrów szrama, najpewniej pozostałość po jakiejś zapomnianej wojnie. I tu Pniak dostrzegł wraki statków. Wisiały na orbicie księżyca, poruszając się prawie niezauważalnie, podlegając jedynie oddziaływaniom grawitacyjnym. Nie udało mu się rozpoznać wśród nich żadnej znajomej sylwetki. To musiała być jakaś dawna wojna, kiedy okręty wyglądały inaczej.

– Czemu odwiedzamy takie miejsca? – spytał. – Co właściwie robimy?

Początkowo ani myślał skorzystać z zaproszenia Maski na mostek. Jednak po kilku dniach spędzonych w ciasnej kabinie, w której nie pozostawało mu nic prócz snu, poddał się. Wiedział o istnieniu mesy, tam jednak stale przesiadywał Rachuba, który przy pierwszej okazji wywrzeszczał dziesiętnikowi w twarz, że ma go za zdrajcę.

– To nie tak – próbował się bronić oszołomiony Pniak – Wszystko było ustalone ze Szczurzym Zadem i wyżej. To wciąż służba, tylko...

– W dupie mam służbę! W dupie mam Cesarstwo! – wykrzyczał wtedy Rachuba. – Naszych zdradziłeś! Naszych, rozumiesz, cholerny zdrajco? Tych, co tam... Tych, co zostali!

Na to Pniak nie znalazł już odpowiedzi. Po prostu milczał i patrzył w czerwoną od gniewu twarz Rachuby, starając się wytrzymać jego spojrzenie.

To Pies odpowiedział za niego.

– Wszyscy tu zostali zdradzeni – odezwał się zaskakująco ostro jak na niego. – I ty, i dziesiątnik i nasi, tam na planecie, i pewnie Szczurzy Zad, skoro go poharatali. I chyba nawet ten magik, z którym lecimy, bo minę ma nietęgą. Pniak przynajmniej mu przywalił, kiedy...

– Pieprz się, ty zimnokrwisty sukinsynu! – przerwał mu Rachuba, odwrócił się i odszedł, przegrywając tym samym, ku wielkiej uldze Pniaka, pojedynkę na spojrzenia.

– Cieszę się, że chociaż ty rozumiesz – spróbował zupełnie niepotrzebnie znaleźć pociechę dziesiątnik

– Nic nie rozumiem. – Potrząsnął głową Pies. – Zupełnie nic. Pomijając fakt, że znalazłem się w ostatnim miejscu, w jakim chciałbym być. No, może przedostatnim – dodał po zastanowieniu.

Do Psa Rachuba zaczął się z czasem odzywać. Na widok Pniaka wciąż się odwracał i wychodził. By oszczędzić mu kłopotu, dziesiątnik chodził do mesy w porach, w których nikogo w niej nie było. Maską zaproponował mu wprawdzie wspólne posiłki, jednak Pniak odmówił. Coś takiego wciąż wyglądałoby jak spoufalanie się z wrogiem.

Na mostek w końcu przyszedł. Postanowił trzymać się z Maską nie tylko dlatego, że ciekaw był przywódcy buntowników, o którym krążyło tak wiele mrozących krew w żyłach opowieści. Wolał unikać kundli, wciąż mających doń żal za zabicie jednego z nich.

Pierwszy raz znalazł się w takim miejscu, rozglądał się więc z ciekawością. Na początku pomieszczenie wydawało mu się olbrzymie, potem jednak stwierdził, że to niewielka liczba osób w stosunkowo sporej przestrzeni oszukała jego zmysły. Przywykł przecież do tłoku na okrętach.

Poza tym wszystko wyglądało mniej więcej tak, jak to sobie wyobrażał. Trzech pilotów siedziało w wyglądających na wygodne fotelach, a przed nimi mrugały dziesiątki świateł. Ich praca przypominała działania Psa hakującego wrogie systemy – wykonywali przypominające pantomimę gesty w powietrzu. Ich palce tańczyły, dyrygując niewidzialnymi instrumentami za pomocą niewidzialnych przycisków. Twarze pilotów nie można było dostrzec, zakrywała je delikatna niczym pajęczyna na popielatą tkaninę, na której tle wyróżniały się wielkie czarne gogle ukształtowane na wzór owadzych oczu. Poprzez nie postrzegali przestrzeń zupełnie inaczej.

Gra świateł na pulpitych przeznaczona była raczej dla Maski i nawigatora niż dla nich.

Sterowali okrętem w milczeniu. Nie potrzebowali komend dowódcy. Najwyraźniej nawet kurs uwzględniający wszystkie te miejsca, które nie wiedzieć czemu odwiedzali, mieli przygotowany już wcześniej.

Maska nie poświęcał pilotom uwagi. Wydawał dyspozycje technikom, przyjmował meldunki od kundli, rozmawiał z magiem przydzielonym wcześniej Pniakowi. Legionowy innergetyk był na pokładzie kolejną osobą nieodzywającą się do dziesiątnika. Nie mógł i nie chciał wybaczyć mu tamtego ciosu. Nim jednak Pniak przejmował się najmniej.

W niektórych miejscach zatrzymywali się na dłużej – na kilka godzin lub dni, z innych znikali ledwie sekundy po przybyciu.

– Pan nieprzyzwyczajony do takich podróży? – zagaił Maska.

Siedzieli obok siebie, Pniak zajął fotel przynależny drugiemu oficerowi. Wyglądało na to, że nikt nie ma nic przeciwko temu.

– Odbyłem ich aż za wiele. Tylko w mniej luksusowych warunkach. Co tu się stało? – Wskazał zmasakrowany księżyc.

– Pięćset lat temu toczyła się tu wojna między dwoma klanami Uciekinierów. Pan nie wie, kim byli Uciekinierzy, prawda? To zapomniana historia. Kilka pomniejszych rodzin handlarzy zbuntowało się przeciw systemowi Cesarstwa. Były to bez wyjątku rodziny, które zyskały pewne znaczenie już po ukonstytuowaniu się Wspólnych Przestrzeni. Mogli zarabiać i rosnąć w siłę, jednak do udziału we władzy nie mieli już dostępu, wszystko zostało podzielone wcześniej. Zbuntowali się więc, stworzyli nawet partię polityczną, stronnictwo, które próbowało wejść do parlamentu. Przegrali z kretesem. Ich dobra zostały skonfiskowane, a oni sami zmuszeni do ucieczki. Uciekli tutaj, a potem pozabijali się nawzajem. Resztki dobiła flota. Jak pan widzi, system Wspólnych Przestrzeni nie każdemu wydawał się idealny. Opór przeciw Cesarstwu tlił się przez wieki.

– A co my tu robimy?

– To przekłete miejsce, okręty Cesarstwa nie zapuszczają się tutaj. Widzi pan, dziesiątniku, Uciekinierzy znaleźli system od biedy nadający się do życia, na który wcześniej nie dotarło Cesarstwo, i spróbowali przebudzić i zaszczepić tu boga. Nie udało im się oczywiście, niemniej pewien szczątkowy sukces odnieśli. Może to przez to nieszczęsne stworzenie skoczyli sobie do gardeł? W efekcie wprowadzili w umysł tego bóstwa chaos. Proszę zrozumieć, to był tak naprawdę protobóg, ledwie zaczynający odkrywać świadomość istnienia. Po działaniach Uciekinierów stał się niestety ułomny. Rozpaczliwie pragnie kontaktu, ale nie ma go z kim nawiązać. Uciekinierzy zginęli, a Cesarstwo go porzuciło. Jest samotny, otepiały i pełen rozbudzonych apetytów na poznanie. Przechwytywał wszystkich, którzy mieli pecha trafić w pobliże, i próbował ich zmieniać w swoich wiernych, w jak najlepszych intencjach zresztą. Kiepsko się to kończyło.

– A inni bogowie? Zostawili go tak?

– Jest dla nich kimś w rodzaju budzącego wstyd kuzyna, o którym się nie mówi. Zbyt im

przypomina, kim sami kiedyś byli. No i mają mu za złe, że próbował ukraść im wiernych. Pewnie kontaktowali się z nim, ale niewiele z tego wynikało. Ja natomiast go uczę. Bardzo powoli, ostrożnie. Pomagam mu się rozwijać. Dlatego mogę liczyć na pewien rodzaj jego wdzięczności. I kryjówkę.

– I pewnie sporo innergii, co?

– Od czasu do czasu. – Mag wzruszył ramionami. – Jednak znacznie mniej niż pan sądzi. Każda emitowana przez bóstwo innergia ma swoją charakterystykę. Gdybym zaczął nagle szastać innergią pochodzącą od tutejszego kalekiego bóstwa, zbytnio zwróciłbym na siebie uwagę, dziesiątniku. Wygodniej i bezpieczniej jest pozostawać zwykłym złodziejem i podkraść szumy z transferu do waszych świątyń. A teraz niech się pan przygotowuje, zaraz znowu skoczmy. I naprawdę nie musi pan zamykać oczu, tu tylko moja wola się liczy.

– Wola?

Maska nie odpowiedział od razu. Skoczyli.

Pniak otworzył oczy. Tym razem nie znajdowali się w pobliżu żadnej planety. Unosili się w pustej, nieznanym mu przestrzeni.

– Wszechświat innergetyczny, w przeciwieństwie do naszego, jest całkowicie subiektywny. W skali makro kształtują go bóstwa, teraz już świadomie. W skali mikro, na przykład na pokładzie tego okrętu, na pewną ingerencję mogą sobie pozwolić wprawni innergetycy. Kiedy podróżował pan w towarzystwie tysięcy kolegów, wszystkie wasze ładunki innergetyczne, zarówno wrodzone, jak i te, które nazywamy boskimi znamionami, wchodziły w reakcję z naturalną dla nich przestrzenią, od której zwykle są izolowane. Dostęp do nieskończonych pokładów innergii je pobudzał i na moment dominowały nad waszymi ciałami i umysłami. To dlatego dochodziło do tych wszystkich przykrych manifestacji, nad którymi nikt nie panował. Ja opiekuję się swoimi ludźmi, dziesiątniku. Tłumię ich ładunki i kreuję własny neutralny stan. Tak więc nie musi się pan niczego obawiać.

– Nie jestem pańskim człowiekiem! – odpowiedział szorstko Pniak, przypominając sobie spojrzenie Rachuby. – A po cholere nam te wszystkie skoki?

– Mylę tropy. Chaos, z którego uciekliśmy, to znakomita zasłona, jednak na wszelki wypadek dodałem doń szczyptę własnego zamieszania. To, zapewne ucieszy pana ta wiadomość, już prawie koniec naszej podróży. Jesteśmy na miejscu. Prawie. Widzi pan te ciemne punkty na ekranie pokazującym obraz z naszej zwiadowczej sondy? – Wykonał gest lewą dłonią i jeden z ekranów wznosił się ponad pozostałe, tuż przed twarzami maga i dziesiątnika. Urósł, zasłaniając pilotów i pozostałe ekrany, które teraz przybrały kształty cieni, ledwie widocznych przez jego półprzezroczystą ciemność. – Pozostaje o jeden skok przed nami, ale wędruje tą samą trasą. Proszę spojrzeć, tam, daleko z przodu. To Powolna Flota. Dołączymy do niej.

– Powolna Flota?

– Szaleńcy, którzy odrzucili innergię. Wędrują ku przyznanej im kolonii. Na razie zajęło im to jakieś dwa tysiące lat, a przed nimi kolejne trzy. Nikt nie będzie nas tam szukał. Kiedyś nosili nazwę Wolnej Kompanii Eksploracyjnej. Ich statki pamiętają Ziemię.

– Ziemię? – powtórzył zaskoczony Pniak

– Tak jest – przytaknęła Maska. – Ziemię. Nasz matecznik Miejsce, którego nie ma. Uwaga...! Skoczyci.

2

Rachuba siedział przy jedynym długim stole obok zwalistego kundla, nawet bez pancerza wyglądającego potężnie i nieco dziwnie. Na pozór nie różnił się od człowieka, a jednak w jego ruchach było coś odmiennego i niepokojącego. Kundel nosił imię Sylwian i chętnie wypytywał Rachubę o dziesiętnika. Nieduży, zwłaszcza w porównaniu z kundlem, żołnierz początkowo odpowiadał ostrożnie, rozpalając się jednak wraz z kolejnymi słowami. Brązowe oczy kundla błyszczały przy każdym przekleństwie, jakie Rachuba miotał na głowę przełożonego.

Naprzeciw nich Pies w milczeniu jadł gorącą, gęstą zupę, specjalność tutejszej kuchni. Najwyraźniej kundle cieszyły się luksusem niedostępnym dla zwykłych cesarskich żołnierzy. Dysponowały w miarę wygodnymi sześćoosobowymi kabinami i posiłkami posiadającymi smak – to więcej, niż mogliby marzyć legionści poupychani na transportowcach floty. O ile Rachuba nawiązywał kontakty z kundlami, o tyle Pies trzymał się od nich z daleka. Jak od wszystkich zresztą.

Rachuba przywykł już do tego, że jego obecnie jedyny prawdziwy towarzysz jest sobkiem i odludkiem. Przyjął bez zdziwienia fakt, że złośliwy los skazał go na towarzystwo jedyne go kumpla z dziesiątki, o którym Rachuba mógł powiedzieć, że niespecjalnie za nim przepada. Owszem, na co dzień trzymali się razem, dziesiątka przeciw całemu światu, jednak tak naprawdę Pies zawsze wydawał się Rachubie zbyt cichy, małowówny i celowo izolujący się od pozostałych.

– Czyli że wasz dziesiętnik to drań? – judził kundel. – W dupie ma swoich?

– Na to wyszło. – Rachuba pokiwiał głową. – Na to wyszło. Zostawił chłopaków na pewną śmierć. Mnie rozłączył z dziewczyną... Mówiłem ci o Mai?

Kundel przytaknął. Nasłuchiwał się już o dziewczynie nie. Interesował go tylko dziesiętnik

– Ty! – odezwał się niespodziewanie Pies. – A coś ty taki ciekaw Pniaka?

To wtrącenie zirytowało Rachubę.

– Ciekaw, nie ciekaw – zachnął się. – Przynajmniej głowę można do niego otworzyć.

– Do mnie też możesz – odparł niezrażony Pies. – A przynajmniej nie będziesz nadawał na swojego obcym.

– Takis? – rozsierdził się nie na żarty Rachuba. – Że niby co? Że ja? Ja nikogo na lodzie nie zostawiłem! Na śmierć!

– To nie Pniak odpalił ładunki, durniu – Pies mówił spokojnie, wręcz łagodnie. Jego zimna krew tylko jeszcze bardziej denerwowała Rachubę. – Jak chcesz się na kimś wyżyć, wiń buntowników. A ty masz pretensje do Pniaka, że ciebie zabrał od dziewczyny, a tamtych nie zabrał. Jakby cię nie zabrał, to już byś nie żył. Pomyśl trochę.

– Jak zwykle tylko mędrkujesz, co? – krzyknął na niego Rachuba. – Łatwo ci, bo zawsze siedziałeś z boku sam. W dupie masz naszych, nigdy...

Nie dokończył, bo Pies niespodziewanie poderwał się z taboretu, jednym susem przesadził całkiem szeroki stół, chwycił Rachubę, rzucił nim o ścianę i docisnął do niej. Unosił pięść do ciosu, gdy Sylwian go odciągnął. Pies wywinął się jakos z jego chwytu i ku zdumieniu Rachuby okręcił się w miejscu i wymierzył kundlowi trzy szybkie ciosy – dwa w żołądek i trzeci w szczękę. Sylwian poleciał do tyłu, zatoczył się, oparł o stół. Wszystkie obecne w mesie kundle zerwały się z miejsc. Sylwian powstrzymał je jednym gestem.

– No, no... – Pokręcił głową. – Kto by się spodziewał!

Rachuba zyskał trochę czasu, by dojść do siebie.

– Patrzcie, patrzcie – wycedził. – Psisko się zdenerwowało! Pierwszy raz widzę coś takiego! To ty masz jakieś uczucia?

Speszył się pod spojrzeniem nawet nie Psa, ale kundli. Nie było w nich śladu zrozumienia. Jakby tym razem trzymali stronę Psa. Rachuba zaklął na całą niesprawiedliwość cholernego świata i wyszedł z mesy.

– Na takie przypadki – odezwał się jeden z kundli, na ile Pies się orientował, trójkowy, co odpowiadało mniej więcej stopniowi starszego legionisty – mamy specjalne zasady. I specjalne miejsce, gdzie można załatwić swoje sprawy, nie demolując pomieszczeń.

– Nie będę się z nim bił – odpowiedział Pies, mając na myśli Rachubę.

– Nie z nim, ze mną – wyprowadził go z błędu Sylwian. – Jestem ci coś winien, żołnierzyku.

Tym razem Pies tylko wzruszył ramionami. Pozwolił się poprowadzić ku jednemu z hangarów. Tam, wśród skrzyń i kontenerów, kundle utworzyły krąg, a trójkowy wyjaśnił Psu zasady.

Wiele ich nie było.

– Żadnej broni. Poza tym walczycie, jak chcecie. Możecie nawet gryźć, jeśli taka wola. Nie walczycie na śmierć i życie. To taka – uśmiechnął się – koleżeńska bójka. Właściwie sparing, gdyby ktoś potem pytał. Kończycie, gdy któryś będzie miał dość. To znaczy, gdy już nie wstanie albo sam się podda. Wystarczy, że powiesz: „dość”, i Sylwian przestanie cię tłuc.

– A skąd pewność, że to nie ja jego?

– Fajnie, że jeszcze się zgrywasz. Ale wtedy tylko ci się z nim tak udało. Ty jesteś Pies, a my kundle. Ty się urodziłeś, jak trzeba, nas przerabiali jeszcze na etapie zygoty i plemnika. Nie masz szans. Ale nie spraw mi zawodu i nie mów „dość” zbyt prędko.

– To ci mogę obiecać.

– Dobra. Będę twoim ubezpieczeniem.

– Ubezpieczeniem?

– Jakby Sylwian nie przestał, co raczej niemożliwe, wkraczam. Ubezpieczeniem Sylwiana jest Irina, ta ruda. Coś jeszcze?

– Jak już skończę z Sylwianem, będę się musiał zająć tą Iriną? Cholera, nie lubię bić kobiet. Nawet tych w mundurach.

Teraz trójkowy rozeźmiał się naprawdę.

Stanął naprzeciw siebie. Ku zaskoczeniu Psa nie było żadnych okrzyków, nikt nie dopingował Sylwiana. Najwyraźniej mieli walczyć w ciszy. A może kundle posiadały jakieś dodatkowe modyfikacje, dzięki którym mogły się porozumiewać telepatycznie albo przenosić informacje z mózgu do mózgu za pośrednictwem wszczepów? Tego Pies nie wiedział. Na dobrą sprawę nie wiedział o kundlach prawie nic. Wszelkie informacje na ich temat wywiad zatrzymywał dla siebie.

Sylwian ukłonił mu się, pochylając nisko głowę. Skrzyżował przy tym ręce na piersiach. Pies odwzajemnił ukłon. Przez chwilę czuł ochotę, by zasalutować legionowo, przykładając trzy złożone palce lewej ręki do czoła, zapanował jednak nad tym odruchem. Diabli wiedzą, kim teraz jest i kogo reprezentuje. Nie było tu nikogo z jego ludzi. Jedyne ten kawalerzysta, który załapał się na podróż z nimi, nie wiadomo jak i po co, przyszedł popatrzeć na walkę. Stał z tyłu, za innymi, milczący jak zwykle.

Kundel zaatakował nadspodziewanie szybko. Zaledwie zakończył ukłon, a już był przy Psie, markując hak z lewej strony i wyprowadzając prosty tam, gdzie powinna znajdować się szczęką Psa, gdyby ten nie zorientował się w porę i nie uchylił. Odskoczył szybko od kundla, starając się znaleźć za jego plecami, ale ten niebezpiecznie prędko okręcił się w miejscu i nie tracąc już czasu na żadne udawane ciosy, wystrzelił prawą pięścią tak szybko, że refleks Psa nie miał już nic do powiedzenia.

Żył tylko nadzieję, że nie stracił żadnego zęba po tym, jak aż zazgrzytały, gdy szczęką

przyjęła uderzenie i przeniosła jego siłę dalej. Głowa Psa odskoczyła i pociągnęła za sobą całe ciało. Upadł, lekko zamroczony, ale podniósł się natychmiast, raczej odruchowo niż w wyniku jakiejś strategii. Kundel był już przy nim. Pies zasłonił się niemrawo, a wtedy kolejne ciosy odebrały mu powietrze z płuc i znów równowagę. Upadł. Tym razem, zamiast wstawać, odczuł się jak mógł najszybciej, spodziewając się co najmniej kopniaka. Ku jego zaskoczeniu Sylwian się zatrzymał, wyraźnie czekając, aż przeciwnik się podda lub wstanie.

A więc to tak pomyślał Pies. Te wspomagane dziwolągi są najwyraźniej mocno honorowe!

Kazał mu poczekać jeszcze chwilę, a gdy kątem oka zobaczył, że trójkowy uzgadnia z tą tam Iriną, czy powinni zakończyć walkę, wstał.

Sylwian potrząsnął głową nie tyle z niedowierzaniem, ile ze współczuciem. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i ruszył ku Psu. Już się nie spieszył. Wiedział, że jest szybszy i silniejszy.

I wtedy statek Maski przeskoczył we wszechświat innergetyczny, odmieniając szanse.

Pies nigdy nie cierpiał na dolegliwości dręczące jego kolegów podczas przeskoków. Kiedy inni wymiotowali i jęczeli, on leżał spokojnie na swojej koi. Przymykał oczy i czekał w milczeniu, aż wszystko minie. Był jedynie sobą i nie dopuszczał do umysłu cudzych doznań, czy należały do żywych, czy umarłych.

Teraz zauważył, że także kundle posiadają pewien rodzaj odporności na wszechświat innergetyczny. Nie zachowywały się jak legionieści. Może dlatego, że dzięki wspomaganemu Maski były odporniejsze?

Niemniej coś odczuwały. Sylwian się zatrzymał i zachwiał nieznacznie. Pozostali przy mknęli oczy.

Odkąd znaleźli się na pokładzie, Pies przy każdym przeskoku odnosił to samo wrażenie – jakby czyjaś wola próbowała na niego naciskać, skupiać na sobie jego uwagę. Przypominało to uczucie, gdy ktoś patrzy na człowieka zza pleców tak intensywnie, że aż nie można się ku niemu nie obrócić. Pies nigdy dotąd nie czuł czegoś takiego przy przeskokach.

Jak zwykle odrzucił natrętne wrażenie i wykorzystując szansę, ruszył na Sylwiana. Kundel, podobnie jak jego kompani, przy mknął oczy. Drżał i kołysał się. Sprawiał wrażenie bezbronnego.

Pies się zawahał. Normalnie po prostu uderzyłby przeciwnika, jednak honorowe zachowanie kundla sprawiło, że miał skrupuły. Miał ochotę zachować się podobnie honorowo, jakby należał do tego bractwa dziwadł i wyrzutków.

Poczuł, że opuszczają innergetyczny wszechświat.

Sylwian otworzył oczy. Pies odesłał honor do wszystkich diabłów i zgotował kundlowi godne a bolesne powitanie w ludzkim wszechświecie.

Mag, którego przydzielono Pniakowi, nazywał się Adam Krasieński. Oficjalnie był specjalistą od technik przelazu innergetycznego. Potrafił nawiązać i utrzymać łączność pomiędzy innoświatem i wszechświatem bez pomocy bogów i ich powierników. Odnajdywał fale innergii, podłączał się do nich i wynajdując regularności z jednej strony podobne dla każdego rodzaju innergii, z drugiej naznaczone boskimi charakterystykami, uruchamiał kanał komunikacyjny.

Wszystko to stanowiło rutynową robotę, opartą na powtarzalnych odruchach, nudną. Nie pasowała ona do wyobrażeń prostaczków o magach – mistrzach innergetyki, dzikich i niezależnych.

Takich jak Krasieński nazywano cichymi tłaczami. Ich praca nie różniła się wiele od powszedniego znoju najpospolitszych mieszkańców Wspólnych Przestrzeni. Za pomocą przyjętych sekwencji kodów tłali ścieżki przelazu zarówno z oficjalnych boskich kanałów przesyłu innergetycznego, jak i z przecieków, którymi echa innergii docierały do ludzkiego wszechświata od tysiącleci. Gdyby Krasieński żył przed odkryciem Gai, jak większość ówczesnych innergetyków zostałby zapewne medium lub pacjentem szpitala psychiatrycznego. Obecnie był nieco więcej niż nikim, technikiem zajmującym się wciąż tą samą, mało porywającą robotą.

Wykonywał ją bez słowa skargi. Czeakał, coraz bardziej niecierpliwie, na moment, kiedy będzie mógł wykorzystać swoje nowe umiejętności, których nauczyli go trenerzy Służby. Wciąż się nudził, wciąż nie miał jak zaspokoić ambicji, które kiedyś w dzieciństwie pchnęły go na ścieżkę niezależnej innergetyki.

Aż któregoś dnia przyszedł do niego tamten facet i powiedział: „To wszystko może wyglądać inaczej”.

Tamten miał na myśli cały wszechświat, Krasieński myślał tylko o swoim życiu.

Oficjalnie nie wolno było używać innergii jako broni. Bogowie postawili sprawę jasno. Pomagali ludziom przeksztalcać planety i podbijać wszechświat. Ofiarowywali ludzkości życie wieczne i dobrodziejstwa innergetycznej potęgi. Nie pozwalali jednak choćby podjąć badań nad wojskowym zastosowaniem energii pozyskiwanej z równoległego wszechświata. Jakielkowiek próby stworzenia innergetycznej broni prowadziły do natychmiastowej i bezwzględnej eskomunikacji. A to oznaczało zdjęcie boskiego znamienia i prawdziwą śmierć.

Oficjalnie takie stanowisko bogów wynikało z poszanowania dla ludzkiego życia, jakie zaszczepiła swoim wychowankom Gaja. Magowie jednak, a wraz z nimi część arystokracji i wojskowych, sądzili, że bogowie się obawiali, że innergetyczna broń mogłaby kiedyś zostać użyta przeciwko nim.

Obecna wojna zmieniła nieco ten układ.

Zaczęli oczywiście ci cholerni buntownicy. Nie złamali zasad, jedynie nieco je nagięli. Nie zbudowali broni, tak się przynajmniej wydawało, nauczyli się jednak splateć innergię z tradycyjnymi energetycznymi tarczami i stworzyli swoją przekłętą barierę chroniącą ostatnie miasto. Krasieński był przekonany, że ich cholerny bóg musiał brać w tym udział. Bez jego wsparcia nawet kunszt Maski nie pomógłby buntownikom stworzyć czegoś takiego.

Bogowie wierni Cesarstwu musieli być wstrząśnięci. Ale nie spieszyli się z pomocą. Dopiero gdy przedstawiono im bezsprzeczne dowody buntowniczej zdrady i spisku, zgodzili się wyjść poza sztywne zasady swojej umowy z ludźmi. Nie dopuścili do tajemnicy magów, obawiając się ich niezależności, jedynie nielicznych, najbardziej zaufanych kapłanów. I stworzyli coś, co zniszczyło zapórę. Zdaniem Krasieńskiego musiał być to jakiś rodzaj broni.

Do diabła z nimi! Część magów, nie potrafiąc znieść boskiej arogancji, zaczęła działać na własną rękę. I oni nie poważyli się konstruować broni. Nauczyli się jednak wykorzystywać innergię w sposób, który mógł się przydać podczas wojny.

Nie dopuścili oczywiście do udziału cholernych kapłanów. Któryś z nich pewnie zaraz pobiegłby ze skargą do swojego patrona. Zresztą ich techniki, opierające się na pozyskiwaniu innergii pochodzącej bezpośrednio od bóstw i przy ich współudziale, nie zdałyby się na nic przy takiej pracy. Kapłani i świętoszkowaci głupcy mogli sobie nazywać magów złodziejami, czasem hienami. Ale to magowie byli niezależni od boskich kaprysów, wolni. I potrzebni moŜnym w kaŜdym zakątku wszechświata. Nie darmo i cesarz, i Służba zabiegali o ich usługi, niezależnie od kontraktów zawieranych ze świętymi.

Krasieński zastanawiał się czasem, czy dałby radę Masce, gdyby go zaskoczył. Oczywiście wiele zależało od tego, czy najsłynniejszy z magów też zajmował się ofensywną stroną innergii. Krasieński zakładał, że tak, nie wyobrażał sobie, by stary buntownik, który prawdopodobnie dawno już odrzucił boŜe łaski, nie zabezpieczył się od tej strony. Jednocześnie, obserwując Maskę, Krasieński nabierał coraz mocniejszego przekonania, że sława buntowniczego maga była stanowczo przesadzona. Odkąd wyruszyli, Maska nie zrobił nic, co mogłoby potwierdzić jego reputację. Jak się nad tym zastanowić, wcześniej, podczas buntu, też nie popisywał się spektakularnymi osiągnięciami. Jego najsilniejsze argumenty stanowiły sława i własna wyjątkowa jednostka bojowa.

Krasieński skłaniał się ku wnioskowi, że Maska jest wprawdzie zdolnym innergetykiem, jednak

niewybijającym się wiele ponad przeciętność. To fakt, że jako jeden z pierwszych odważył się otwarcie odejść od praw bogów i Cesarstwa, dawał mu fory. Dobry pomysł stanowiło też postawienie na bioinnergetykę i stworzenie nowej ludzkiej rasy. Reszta to już tylko odcinanie kuponów.

To przekonanie dodawało Krasińskiemu odwagi. Pomagało wierzyć w skuteczność planu, jaki przygotował z grupą innych magów zmęczonych niską pozycją, jaką zajmowali w Cesarstwie. Udało im się znaleźć potężnego patrona i wspólnie z nim przygotowywać do nowego otwarcia, gdy tylko wojna dobiegnie końca.

Teraz Krasiński potrzebował sojuszników tu, na pokładzie okrętu Maski.

Kandydaturę Pniaka odrzucił od razu. Dziesiętnik był słaby, rozdarty pomiędzy nowymi a starymi zobowiązaniami. Krasiński przekonywał sam siebie, że potrafiłby wybaczyć mu tamten bolesny, zdradziecki cios. Ale nie to rozchwianie.

Wciąż zastanawiał się nad Psem. Skryty żołnierz pozostawał dlań niewiadomą. Może był po prostu tępy? A może szykował coś własnego? Mag nie potrafił zdecydować. Odłożył więc rozmowę z Psem na później, kiedy dowie się o nim czegoś więcej.

Kandydatury kawalerzysty nie rozważał wcale. Szkolenie, a właściwie hodowla kawalerzystów, otoczona była całkowitą tajemnicą i Krasiński nie mógł być pewien, czy w mózgu rywalizującego z Psem na milkiwość olbrzyma nie kryły się zaprogramowane na podobne wypadki instrukcje. Kawalerzysta mógłby go udusić, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi.

W tej sytuacji Krasińskiemu pozostawali tylko dziennikarz i Rachuba. Z tym pierwszym zamienił kilka ostrożnych zdań, wy badał go i uznał, że nie zaryzykuje nic więcej. Nie na tym etapie. Bahnian sprawiał wrażenie kogoś, kto bez względu na okoliczności będzie działał na własną rękę, nie dochowując wierności nikomu poza Stacją.

W przeciwieństwie do nich wszystkich Rachuba wydawał się wręcz wymarzonym celem. Czuł się zdradzony przez swojego przełożonego, nie ufał kundlom i wdał się w awanturę z ostatnim kumplem, jaki mu pozostał. Mówiąc krótko, został sam. I na pewno potrzebował przyjacielea.

Po starciu z Psem Rachuba schował się w kabinie, którą kundle przydzieliły swoim ni to gościom, ni to jeńcom. W tej chwili, ku zadowoleniu maga, nie było w niej nikogo poza nimi dwoma.

– Widziałem, co zaszło – powiedział, siadając obok małego żołnierza. – Wszystkim puszczają nerwy.

– Z wszystkich wychodzi sukinyństwo – warknął Rachuba.

Siedział na pryczy, opierając się o ścianę. Nawet nie spojrzął na maga. Obracał w rękach śmieszna maskotkę przedstawiającą kota Fruka, bohatera starych bajek dla dzieci. Nie odrywał od

niej wzroku.

– Dziwna sytuacja, nie? Ja przynajmniej wiem, czemu tu jestem. Ty, zdaje się, nie miałeś wyboru, co?

– Ano, żebyś wiedział, że nikt mnie o zdanie nie pytał! – Zabawka porzuciła wędrówkę między palcami Rachuby, a żołnierz spojrzął na Krasińskiego. – Coś powiedziała? Że wiesz?

– Wiem, co tu robię – potwierdził mag. – Właściwie sam się zgłosiłem.

– No to podziel się tą wiedzą, magu. Chyba żem niegodzien.

– Daj spokój, wszyscy tu jesteśmy w tej samej sytuacji. – Machnął ręką Krasiński.

– Nie wszyscy tak uważają – zauważył gorzko Rachuba. – Niektórzy przesiadują całymi dniami na mostku, w dupie mają... Wszystko mają w dupie! No, wal, magu. Powiedz mi, o co tu chodzi. Nie martw się, zrozumiam, jeśli użyjesz prostych słów.

– Wszystko się wali. Wszystko. Nikt nie wie, z kim jest i przeciwko komu. Wojna się kończy i każdy chce wyrwać kawałek tortu dla siebie. W rezultacie nikt nikomu nie ufa.

– Walnij we mnie czymś, czego nie znam.

– Zabijali was, żołnierzy Legionów Obywatelskich. Ktoś chciał was osłabić, najlepiej zlikwidować. Wasi to dostrzegli i postanowili przeciwdziałać. Buntownicy już się sypali, więc u nich też każdy szukał wyjścia. No i wasi skłumali się z Maską i jego kundlami.

– Przeciwko komu?

– Przeciwko wszystkim, jak każdy. To nie jest gra przeciwko komuś, Rachuba, to jest gra o coś. Musisz być realną siłą, żeby się liczyć, gdy nadejdzie licytacja przed nowym rozdaniem. I tyle.

– A ty jesteś kim?

– Istnieją magowie, którzy mają dość służenia za chłopców na posyłki. Gdy postawiliście na Maskę, my postawiliśmy na was. Maska to dla nas naturalny sojusznik

– Cały czas mówisz o mnie jako o jakichś „nich”. A ja nawet nie wiem, co tu robię, do cholery!

– Razem ze mną reprezentujesz nas. Legiony Obywatelskie i niezależnych innergetyków, magów, jak nas nazywacie.

– Ja? Jestem legionistą pierwszego stopnia, magu! Nie tylko nie znam się na polityce, ale też gównie mnie ona interesuje! Co ja – ja! – tu robię?

– Legion chciał, żeby towarzyszyli mi jego ludzie. Nie jacyś wysocy oficerowie, którzy mogliby przyciągnąć uwagę, ale zwyczajni żołnierze. Nie obraż się, ale tacy, którzy nic nie znaczą. Zresztą ja też oficjalnie jestem zerem, nikim. Wiesz, kim byłem? Łącznościowcem drugiego stopnia. Takich ludzi jak my – „my” wymówił z naciskiem – się nie zauważa. Jesteśmy wygodni.

– Ale czemu my?

– Nie wiem. Zdaje się, że miał iść ktoś inny, ale go zabili. Poszliście jako rezerwa. Ktoś tak zdecydował.

– Czyli pieprzony przypadek – sapnął Rachuba. Przymknął oczy. – Jedno wielkie gówno. Kontrakt kończy mi się za półtora roku, wiesz? Byłbym wolny, miałbym kasę, mógłbym coś zrobić, zaszyć się gdzieś z Mają. Byłoby po wojnie, pojawiłyby się nowe okazje, nawet dla takich szaraków jak ja. A może trafiłoby się i jakieś stanowisko dla weterana?

– To się jeszcze może zdarzyć. Im silniejsza nasza pozycja, tym większe twoje szanse.

– Czego ty ode mnie chcesz, magu? Czemu ze mną rozmawiasz? Po co ci jestem?

– Kogoś potrzebuję. Waszemu dziesiętnikowi nie ufam, nie do końca. Dziennikarz gra po swoim, kawalerzysta to dziwoląg niewiele mniej dziwny od kundli, a ten drugi, Pies, też jest dziwny. To do kogo miałem pójść?

– Ano, do mnie. – Rachuba skinął głową, wyprostował się i popatrzył magowi prosto w oczy. – Do kolesia, który drze koty z Pniakiem i z kumplem z dziesiątki. Że niby jestem tak samo sam jeden jak ty, co?

– A nie?

– Ano, chyba tak. Ale może mam to w dupie, jak wszystko?

– Myślę, że nie masz. Słuchaj, Rachuba, Igo Telsa. Nie masz w dupie. Chcesz wyjść z tego żywy i wrócić do swojej dziewczyny, a ja mogę ci w tym pomóc. I jeszcze mogę ci pomóc wygrać więcej, niż teraz masz do wygrania.

– Podumam.

– Myśl szybko, Rachuba, bo nie wiem, czy mamy wiele czasu. Teraz ledwie udało mi się wyrwać chwilę, gdy jesteśmy sami, bo wszyscy poleciali oglądać, jak tamci walczą. Ale nie będziemy mieli wielu takich okazji i...

– Czeka! – przerwał mu Rachuba, ożywiając się wyraźnie. – Kto się leje?

– Ten Pies z kundlami. Wkurzyli się, że się im postawił, i...

– Leją Psa? – zawołał Rachuba, zrywając się na równe nogi. – Kundle leją Psa? Gdzie?

– Co się gorączkujesz? – spróbował powstrzymać go Krasiński. – Dołożą mu i bez twojej pomocy. Słuchaj...

Rachuba, który był już przy drzwiach, odwrócił się ku magowi, dopadł go, chwycił za bluzę i przyciągnął do siebie.

– Nic nie rozumiasz, magu – mówił ostro, szybko. Gniewnie. – Nic! Gdzie leją Psa? Wiesz?

– Lewa burta, któryś z hangarów – odpowiedział przestraszony Krasiński. – Ja...

– Nic nie mów! Nic nie rozumiasz!

Kiedy żołnierz go puścił i wybiegł, mag potrzebował kilku sekund, by dojść do siebie. Rzeczywiście nie rozumiał. Coś zepsuł, ale co?

Ruszył za Rachubą.

– Jestem twoją największą szansą! – zawołał za znikającym za zakrętem żołnierzem. – Może nawet jedyną!

Rachuba zwolnił, ale nie dlatego, że słowa maga zrobiły na nim wrażenie. Po prostu w tym właśnie momencie skoczyli do innoświata.

Mag natychmiast odruchowo postawił osłonę. Poczuł, jak czyjeś dotknięcie, silniejsze ponad możliwości zwykłych ludzi, muska go, ale natrafiwszy na osłonę, pozostawia w spokoju.

Wszechświat innergetyczny mienił się wokół niego tysiącami barw. Pomiędzy nimi dostrzegał węzły innergii. Dalekie, jaśniejące plamy światła były, jak wiedział, źródłami innergii, istotami, którym ludzie nadali miano bogów. Kadłub okrętu, matowy i półprzezroczysty dla oczu maga w innoświecie, osłaniał swoich pasażerów przed blaskiem i wpływem bogów. Chronił przed strumieniami ukierunkowanej i dzikiej jak wicher innergii.

Umysł maga odruchowo odnajdywał wzory pośród tego pozornego chaosu. Wyszukiwał wolną innergię, obserwował, jak jej pasma wchodzi w reakcję między sobą, tworząc nowe zawirowania, które kiedyś być może przekształcą się w potężne burze, zdolne doprowadzić nawet do wycieku innergii do ludzkiego wszechświata. Odnajdywał innergię, jaką mógłby wykorzystać, i unikał takiej, która mogłaby mu zagrozić.

Gdy przeskoczyli z powrotem, nie zobaczył już Rachuby.

Mały żołnierz odnalazł właściwy hangar akurat wtedy, gdy walka dobiegła końca, a Pniak i Maska, którzy obejrzelі sobie jej końcówkę dzięki kamerom, opieprzali równo swoich podwładnych. O ile jednak Pniak starał się być wyrozumiały i wyraźnie sprawiało mu satysfakcję, że kundel oberwał nie gorzej od Psa, Maska pozostawał bezlitosny.

– Daliście popis skrajnej głupoty! – wrzeszczał na swoich ludzi, stojąc pośrodku tworzonego przez nich okręgu. Znacznie wyżsi od niego, stali z pochylonymi w pokorze głowami, co zdaniem Rachuby wyglądało nawet zabawnie. – Wy, którzy powinniście rozumieć, w jakiej sytuacji się znajdujemy! Ci ludzie – wskazał Pniaka i Psa – nie są naszymi wrogami! Są nawet kimś więcej niż gośćmi. Są sojusznikami! Oczekiwałem od was... – zawahał się – ...może nie mądrości, nawet nie wycucia sytuacji. Ale posłuszeństwa! Tamta wojna się skończyła! Tamtej wojny już nie ma i nie życzę sobie, byście wszczykali ją tutaj na nowo! Sylwian!

– Tak jest!

– Zawieszam cię w zwiadzie! Jeśli nie potrafisz utrzymać na wodzy swojego temperamentu, nie nadajesz się do zwiadu. Przejdziesz do oddziałów drugiego stopnia.

– Przepraszam – wtrącił się niespodziewanie Pies. – Wydaje mi się, że powinienem coś

wyjaśnić.

Maska spojrział na niego, a potem przeniósł spojrzenie na Pniaka.

– Niech mówi – zdecydował dziesiętnik

– To ja zacząłem – oznajmił Pies. – Oni się bronili.

– Ach tak? – Maska uniósł brwi w udawanym zdumieniu. – A mnie mój własny trójkowy powiedział przed chwilą, że to był sparing. Tak mówiłeś, prawda, Soruz?

– Tak jest – bąknął trójkowy, który stanował podczas walki ubezpieczenie Psa.

– Bo to był sparing – siedł w zaparte Pies. – Tylko że najpierw to ja przyłożyłem temu tam, Sylwianowi. Nie oddał mi. Przyszliśmy tu, żeby poćwiczyć. Chciał mi pokazać, że nie warto z nim zaczynać. Ale to nie była bójka. A jeśli w jakiejś części była, to ja ją zacząłem. Więc on nie jest niczemu winien. Najpierw się bronił, a potem mi... tłumaczył.

– Tłumaczył – powtórzył Maska. Zacisnął wargi, czy to w złości, czy też by powstrzymać uśmiech.

– Wymienialiśmy doświadczenia – wtrącił się Sylwian. Przez usta przemknął mu cień uśmiechu.

– Poznawaliśmy się nawzajem – uzupełnił Pies. – Można powiedzieć, że...

– Nie przeginaj, Pies! – powstrzymał go Pniak – Magu – zwrócił się do Maski. – Myślę, że zaszkło nieporozumienie. Jeśli chodzi o mojego człowieka, muszę przeprosić za jego zachowanie. Wyciągnę konsekwencje w stosownym czasie. Pańscy ludzie wydają się niewinni.

– W porządku. – Maska nie zastanawiał się długo. – Sylwian, odwołuję twoje przeniesienie. Jeszcze dziś przygotujesz raport na temat tej... wymiany doświadczeń. Chętnie się dowiem, czego się nauczyłeś. A teraz wszyscy wyjść!

Odczekał, aż zostaną sami. Dopiero wtedy pozwolił sobie na westchnienie.

– To będzie trudniejsze, niż myślałem, dziesiętniku. Od razu skoczyli sobie do gardeł. Tych dwóch tutaj. Jak to wszystko się potoczy, gdy spotkają się całe oddziały, armie?

– A ja myślę, że ci dwaj osiągnęli więcej niż cały sztab strategów i psychologów – odparł, uśmiechając się, Pniak – To żołnierze, magu.

– I szybko się skumali przeciwko nam, co? – Tym razem Maska pozwolił sobie na uśmiech. – Nie jestem pewien, czy mi się to podoba, dziesiętniku. Ale z tego, co słyszałem, wy w Legionach Obywatelskich zawsze mieliście problemy z dyscypliną. Nie pozarządzajcie mi tym, z łaski swojej, moich ludzi.

– Musiał pan rozmawiać z którąś z łajz z Cesarskich. – Pniak wzruszył ramionami. – Nie przeczę, znają musztrę, ale to już szczyt ich umiejętności. Sądzę, że kontakt z moimi ludźmi nauczy pańskich czegoś nowego.

– Tego się właśnie obawiam. Tego się właśnie obawiam.

Rachuba chciał jakoś zagadać do Psa, gdy ten wychodził z hangaru. Zabrakło mu jednak słów, gdy zobaczył, że jego kumplowi towarzyszą kundle zachowujący się, jakby znali się z Psem od lat, a ten był ich, a nie jego towarzyszem broni.

Pies zatrzymał się, widząc Rachubę.

– Słuchaj, stary – zaczął i urwał, bo też nie wiedział, co powiedzieć.

– Nic – odpowiedział Rachuba. Machnął nawet ręką, podkreślając błahość ostatnich wydarzeń.

– Luz, bracie. Nic się nie stało.

– Nie jestem pewny.

– Wszystko wokół popieprzone, to i my popieprzeni – bagatelizował z uporem Rachuba. –

Pokój, mówię.

– No – wyraźnie ucieszył się Pies. – Idziesz z nami? Wypijemy jakieś bezalkoholowe gównno.

Taki tu mają zwyczaj.

– Nie. Ja... Albo dobra, dojdę do was później, w porządku?

– W porządku. Ale dojdiesz?

– Tak! – potwierdził stanowczo Rachuba. Skinął głową, odwrócił się i tyle go widzieli.

Pies stał jeszcze przez chwilę, patrząc w ścianę, o którą opierał się Rachuba, aż Irina chwyciła go za ramię i pociągnęła w stronę mesy. Zaskoczony jej siłą Pies ani próbował się opierać.

Zresztą dotyk jej dłoni sprawił mu niespodziewaną przyjemność.

Rachuba wpadł do kabiny. Mag siedział tam, gdzie go zostawił.

– I co? – zapytał Krasiński, wykrzywiając się nieprzyjemnie. – Napatrzyłeś się, żołnierzu? Masz satysfakcję, że ci kumpla obili?

– Dureń! – rzucił Rachuba. Stanął nad Krasińskim, zaciskając pięści, jakby chciał go uderzyć.

– Dureń! Dureń!

– Już się skumał z tamtymi, co? – domyślił się Krasiński. – Dali sobie po pyskach i teraz są najlepszymi kumplami? Proste, co?

– Zamknij się! – warknął Rachuba. – Nic nie kumasz! I nie twoja rzecz, kto jest czyim kumplem i kto komu dał po mordzie. Słuchaj, magu, mówiłeś, że ko ty jesteś? Łącznościowiec, tak?

– To moja specjalizacja.

– No to przykumaj, magu, przysługa za przysługę! Nawiążesz z kimś łączność i pozwolisz mi porozmawiać!

– To nie takie proste...

– Przysługa za przysługę! – krzyknął Rachuba, nachylając się nad magiem jeszcze bardziej i patrząc mu prosto w oczy. – Chcesz coś ode mnie, to i mi coś daj!

– Dobra! – Krasiński uniósł ręce, trochę jakby się poddawał, a trochę jakby osłaniał przed złością małego żołnierza. – Dobra! Zrobię to! Ale to nie takie proste! Nie mogę zrobić tego stąd! Tu wszystko jest podpięte pod Maskę, on kontroluje każdy przepływ innergii. Nakryłby nas. Nas – powtórzył.

– Dobra. – Rachuba wycofał się, rozluźnił. – W porządku. To kiedy?

– Dokądś przecież lecimy. Jak tylko opuścimy statek albo oddalimy się pod jakimś pozorem od Maski, jeśli na przykład on go opuści. Wtedy to zrobię. Nawiążę łączność.

– Dobra, magu. Nie puszczę cię na krok, pamiętaj.

Rachuba pogroził magowi palcem dla lepszego wrażenia i odwrócił się do drzwi.

– Dokąd idziesz? – zatrzymał go innergetyk.

– Upić się bezalkoholowym gównem – odparł żołnierz i po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się szczerze.

– To mamy umowę? – upewnił się jeszcze Krasiński.

– Mamy. Umowę.

4

Dwa dni później wciąż lecieli za tajemniczą flotą, nie zbliżając się do niej ani trochę. Maska wysyłała na zwiady ciche, mikroskopijne sondy zarówno konwencjonalne, jak i naszpikowane innergetycznymi miernikami. Jedne i drugie pozostawały najwyraźniej niezauważane bądź ignorowane.

– Spójrzcie, panowie. – Maska wyświetlił przed zebranymi na mostku wyniki starań zwiadu. Przyszło zapoznać się z nimi dwóch jego oficerów, Pniak, Pies, Krasiński oraz, ku niezadowoleniu Maski, dziennikarz. Mag żałował, że Pniak tak bardzo poszerzył definicję „swoich ludzi”, co gorsza zachował ją w nowym kształcie i wyraźnie przywiązywał do niej znaczenie. – Spójrzcie – powtórzył – wciąż jest tam życie, choć lecą od tak dawna. Z danych wynika, że zaledwie trzy dziesiąte do jednego procenta załogi każdego, niemal każdego okrętu – poprawił się – pozostaje czynne. Pozostali spoczywają w komorach kriogenicznych, oczekując dotarcia do celu.

– Komorach kriogenicznych? – zapytał dziennikarz. – Co to takiego?

– Starożytna technika, sprzed opracowania silników innergetycznych. – Niektórzy mówili „odkrycia”, Maska nie lubił jednak tego określenia. Urągało ono pracy zastępów uczonych opracowujących praktyczne zastosowania dla innergii. – Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o obniżenie temperatury ciała tak by zredukować czynności życiowe niemal do zera. W ten sposób można przetrwać podróż trwającą nawet tysiące lat. W teorii. Tak naprawdę nigdy nie wypróbowano tego na większą skalę, więc nie wiemy, jak to działa. Ci tutaj najwyraźniej zaufali temu rozwiązaniu. Dla nas najważniejsze jest to, że być może na pokładach tych statków żyją wciąż ludzie, którzy pamiętają Ziemię.

– Nigdy o tym nie słyszałem! – ekscytował się Bahnian. – Co to za ludzie? Czemu nikt o nich nie wie? Przecież to znakomity materiał na serial... Co ja mówię! Można by im poświęcić osobny kanał!

– Niechże pan zamilknie! Ich istnienie utrzymywane było w tajemnicy, ponieważ mieli to zapewnione w kontrakcie. Całkowicie zrezygnowali z innergii i zostali wymazani z historii.

– No, rozumiem – odparł dziennikarz, wyraźnie niewiele rozumiejąc albo rozumiejąc coś zupełnie innego niż Maska. – Ale dlaczego?

– Oni umierają – wyjaśnił Maska. – Naprawdę, zwyczajnie umierają. Stanowią herezję, jaką u początków istnienia Cesarstwa, kiedy jeszcze nie było cesarstwem, tylko Związkiem Kompanii Eksploracyjnych, była nie do przyjęcia. Wtedy wszyscy walczyli ze wszystkimi, wybuchały tysiące buntów przeciw kompaniom, a wszystkie toczyły dodatkowo wojny między sobą. Czy pan zna historię?

– Trochę – bąknął Bahnian, który większość nauk znał „trochę”.

– Zatem wie pan, jak kompanie, a później Cesarstwo tępiły każde odstępstwo od Kodeksu Kompanii. Żeby zakończyć wojny, zunifikowano niemal całą ludzkość. Podporządkowano sobie wyznawców wszystkich bogów i nawet ich związano prawem. Dla heretyków nie było litości. Eksterminowano ich milionami, ogałacano całe planety. A wszystko po to, by ludzkości zapewnić ład.

– Tych nie ruszono.

– Kompanie nie mogły, a w każdym razie nie chciały łamać własnego Kodeksu. Ci tutaj mieli odrębność gwarantowaną kontraktem. Co więcej, formalnie byli jedną z Kompanii Eksploracyjnych i przysługiwały im wszelkie wynikające z tego faktu przywileje. Gdyby Związek zdecydował się na atak na jedną z kompanii, nawet tak izolacyjną, znalazłby się w nim prezesi, którzy zaczęliby się zastanawiać, kto z nich będzie następny. Czy to już jasne, czy muszę to panu wytłumaczyć jeszcze dokładniej?

– Jasne! – zapewnił Bahnian. – Jasne...

– Dziękuję. Wróćmy więc do rzeczy. Mamy tu flotę składającą się z dwudziestu jeden okrętów czterech różnych klas. Większość z nich to transportowce. Izolacioniści, pozwólcie, panowie, że będę ich nazywał w ten sposób, zadbali jednak o ochronę, dlatego towarzyszy im jeden okręt wojenny. Jest uzbrojony w konwencjonalne działa, wyrzutnie rakiet i broń jądrową.

– Stanowi dla nas zagrożenie? – odezwał się po raz pierwszy Pniak

– Minimalne. Jak panowie wiedzą, konwencjonalna technika nie rozwinęła się szczególnie, przytłumiona innergetyką. Niemniej technologicznie wyprzedzamy tych ludzi. Nasze systemy obronne są w stanie przechwycić zdecydowaną większość ich pocisków, pancierz wytrzyma uderzenie pozostałych. Zresztą w każdej chwili możemy uskokczyć przed nimi w innoświat. Mają też jeden dziwny statek, którego funkcji nie rozumiemy. Ślady życia są na nim znikome, zdaje się, że przechowuje się tam co najwyżej dwieście osób. To niewiele, zważywszy na to, że na każdym z transportowców upchnięto po kilkadziesiąt tysięcy komór kriogenicznych.

– To w sumie ilu tam jest ludzi? – zainteresował się Krasieński.

– Wedle wstępnych danych ponad trzy miliony. W tym około czterdziestu tysięcy aktywnych, przy czym większość z nich skupia się na czterech statkach.

– Trochę to dziwne, co? – przypomniał o sobie dziennikarz. – Niby czemu właśnie tam? To nie oznacza jakiejś niewygody? Ciasnoty?

– Niewygodę z pewnością – przyznał Maska. – Przyznam, że także tego nie rozumiem. To jedna z rzeczy, które przyjdzie nam zbadać. Na razie musimy z nimi nawiązać łączność, by uzyskać pozwolenie wejścia na pokład. Mam nadzieję, że nas wysłuchają.

– A jeśli nie? – Pniak posłał innergetykowi uważne spojrzenie. – Spróbujemy wejść siłą?

– Nie chciałbym tego – odparł Maska. – Bardzo bym nie chciał. Prawdę mówiąc, nie jestem gotowy na takie rozwiązanie.

Krasieński prychnął kpiąco. Maska odwrócił się ku niemu rozgniewany.

– Pana coś śmiesz?

– Nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy zobaczę pana załknionego! – odpowiedział zuchwale Krasieński. – Czy coś pan przed nami ukrywa? Czy tam jest coś, czego powinniśmy się obawiać? Coś, z czym nie poradzą sobie pańskie kundle?

– Wtargnięcie na pokład któregokolwiek ich okrętu oznaczać będzie pogwałcenie kontraktu – odpowiedział mu wyraźnie zirytowany Maska. – Chce pan tego?

– Kontraktu? – zawołał szczerze zdumiony Krasieński. – Pan, buntownik, boi się złamać kontrakt?

– Powstanie nie naruszyło żadnego z punktów Kodeksu – rzekł Maska. – Nigdy nie złamaliśmy warunków żadnego z kontraktów. No, z wyjątkiem ostatniego rozpacziwego gestu Unry. O to jednak nie może mieć pan pretensji do mnie ani do pozostałych przywódców powstania.

– Nie złamaliście kontraktów, nie złamaliście Kodeksu! – Krasieński nie potrafił wyjść ze

zdumienia. – Pan żartuje! Zniszczyliście stolicę Cesarstwa, do cholery! Całą pieprzoną planetę!

– Najpierw musicie nam to udowodnić, a nie macie na poparcie swojej tezy nic poza propagandą. – Maska wyraźnie się uspokajał. – W obecnej sytuacji Cesarstwo podważyło gwarantowaną suwerenność części planet, tym samym naruszając kontrakty wewnętrzne i działając sprzecznie z literą Kodeksu. Podjęliśmy więc działania obronne, które nam przysługiwały.

– To jest wasza linia obrony? – Krasiński uśmiechnął się kpiąco. – Śliska.

– Ale skuteczna, jeśli nie znajdują się dowody, że to my zniszczyliśmy stolicę. Może mi pan wierzyć, nasi adwokaci poważnie podeszli do sprawy. Rozprawy będą się ciągnąć latami i całkiem prawdopodobne, że zakończą się wyrokami niewinniającymi.

– Jasne! Może jeszcze się okaże, że winny jest cesarz! – parsknął Krasiński.

– Ma pan rację, takie wyroki byłyby ryzykowne dla rządu. W tej chwili to nieistotne. Nie złamię Kodeksu, a zatem pozostaje nam liczyć na zgodę izolacjonistów.

– Zniszczą was pozwy cywilne – upierał się Krasiński. – Nawet jeśli ta wasza karkołomna taktyka się powiedzie, w co wątpię.

– Dość! – Głos Maski stał się twardszy. – Panie Krasiński, chętnie porozmawiam z panem na temat naszej sytuacji prawnej przy innej okazji. Teraz radzimy na inny temat. Gotów jestem wprowadzać panów w szczegóły, ale bez wdawania się w zbędne dyskusje! Czy to jasne? Dziękuję.

– Jak chce pan nawiązać z nimi łączność? – zapytał Pniak

– Drogą radiową. Pytanie tylko, czy nadać naszą wiadomość otwartym kanałem, tak by odebrano ją na wszystkich statkach, czy wybrać jeden i z nim się skontaktować. Wolałbym tę drugą opcję, uniknęlibyśmy zamieszania. Pytanie, kto tam dowodzi.

– Naturalne wydaje się, że wojsko – uznał Pniak – Ktoś musi nad tym panować, dbać o ich bezpieczeństwo. Obstawiałbym okręt wojenny. Zresztą, jeśli chcemy zachowywać się pokojowo, i tak powinniśmy ich uprzedzić jako pierwszych, żeby nie ostrzelali nas, jak tylko się pojawimy. Swoją drogą, jak to się dzieje, że jeszcze o nas nie wiedzą?

– Trzymamy się poza ich zasięgiem – wyjaśnił Maska. – Skanują przestrzeń wokół siebie, ale na stosunkowo nieznanym obszarze. Podejrzewam, że przez całą podróż nikt ich nie niepokoił, nie biorą więc nawet pod uwagę takiej możliwości.

– To raczej optymistyczne założenie – podsunął Pniak

– Niekoniecznie. Podróże innergetyczne wykluczają przypadkowe spotkania. Z kolei Rozproszeńcy trzymają się swoich przestrzeni, chyba że zajmują się piractwem. Wtedy jednak atakują nasze linie zaopatrzeniowe. W tej części galaktyki nie lata właściwie nikt. Jeśli nawet o nas wiedzą, to czekają na naszą inicjatywę. Zgadzam się z panem, że powinniśmy zacząć od okrętu

wojskowego. I tak zrobimy.

– Zaraz! – Dziennikarz miał nieco zakłopotaną minę. – Wszystko to bardzo ciekawe, ale czego my właściwie od nich chcemy? To znaczy, jeśli o mnie chodzi, mógłbym tam spędzić pół życia, stanowią kopalnię tematów. Ale po co nam oni, po co oni panu, znaczy się? Że niby te dwadzieścia statków może stawić czoło flocie, wywołać nowy bunt? To śmieszne!

– Pan mnie jednak nie słuchał. – Maska westchnęła tyleż smutno, ile demonstracyjnie. – O sile potencjalnego sojuszu z izolacjonistami nie świadczy rozmiar ich floty, ale pozycja formalna. Przypominam, że stanowią oni jedną z Kompanii Eksploracyjnych, co oznacza, że w przypadku zadeklarowania przez nich przystąpienia do Wspólnych Przestrzeni mieliby gwarantowane miejsce w Senacie. Ich rada nadzorcza otrzymałaby status arystokracji, wraz ze wszystkimi płynącymi z tego przywilejami. Mam nadzieję, że jest pan w stanie zrozumieć wagę posiadania takiego sojusznika. Ponadto te statki wyruszyły z Ziemi. Istnieje prawdopodobieństwo, że na ich pokładach znajdziemy ludzi, którzy wciąż ją pamiętają, którzy urodzili się na niej. A to oznacza, że mogą doprowadzić nas do Gai. Czy to panu wystarczy?

– Gaja! – zrozumiał Bahnian. – Gaja!

Matka bogów, jak ją nazywano. Pierwszy innergetyczny byt, z jakim nawiązano kontakt, posiadający najstarszą świadomość, odmienną od pozostałych. Podczas gdy oni trwali w innergetycznym wszechświecie, nie mając praktycznie żadnej łączności z innymi rodzajami istnienia, przebywając eony w uśpieniu, Gaja przebudziła się wraz z życiem na jej planecie. Miliony lat odbierała sygnały z nieinnergetycznego wszechświata, odkrywała go i poznawała. Zyskała świadomość wraz z pierwszymi obdarzonymi nią istotami na Ziemi. A gdy pojawili się ludzie, wzbogaciła się także o nich. I próbowała nawiązać z nimi kontakt.

Koniec końców to oni musieli ją odkryć i nauczyć swojego języka. W przeciwieństwie do pozostałych bogów była jednak na to przygotowana. Brała później udział w przebudzaniu swoich boskich braci i uczyła ich żyć w nowym świecie i porozumiewać się z jego mieszkańcami.

A potem niespodziewanie zniknęła. Ukryła się. Wysłannicy Kompanii Eksploracyjnych, którzy chcieli powrócić na Ziemię, nie potrafili jej odnaleźć. Ich mapy okazały się bezużyteczne, ze wszystkich komputerów zniknęła część danych. Bogowie nie potrafili pomóc. Początkowo podejrzewano ich o udział w spisku, szybko jednak się okazało, że byli zagubieni podobnie jak ludzie. Gaja odeszła, a wraz z nią odszedł cały Pierwszy Układ Słoneczny. Kolebka ludzkości.

Gdyby Maska odnalazł Gaję, gdyby się z nią skontaktował, wybaczone by mu wszystko! – zrozumiał dziennikarz. Objęto by specjalną amnestią jego, a nawet te nienawistne bogom kundle.

Jeden rzut oka na twarz maga wystarczył, by Kaler zrozumiał, że nie o to chodzi Szkarłatnej Masce.

On nie chciał wybaczenia. Dążył do zwycięstwa. Pomimo wszystko.

Ściany przesłaniały gobeliny i kobierce, pomiędzy którymi dekorator poustawiał biblioteczki wypełnione księgami w ciężkich, bogato zdobionych oprawach. Stylizowane na dzieła starożytnych mistrzów gobeliny przedstawiały sceny polowań, jakich nie urządzano od stuleci. Książ zapewne nikt nie czytał. Niemal wszystko w pomieszczeniu stanowiło dzieło stylistów.

Poczesne miejsce zajmowało niezwykle masywne biurko. Na jego blacie panował kiedyś porządek, ale działo się to w zamierzchłych czasach, gdy poprzednia żona marszałka Franciszka Grouchona rządziła jeszcze jego sercem, kiesą i wystrojem wnętrza. Obecnie na biurku zalegały mapy i meldunki, wymięte od wspomnień po ciele nowej, młodej żony marszałka, którą zwykł brać na tymże biurku.

W tej chwili Grouchon opierał na nich jedynie dłonie. Nie sprawiał wrażenia człowieka zadowolonego.

Siedział w pysznym fotelu, prezencie od młodego Oruzona na pamiątkę po jego ojcu. Mimo że oficerowie wywiadu przeszukali mebel i nie znaleźli w nim nic niepokojącego ponad to, czego oczekiwali, stary żołnierz czuł się w nim niepewnie. Nie przepadał za prezentami po zmarłych. Nie wypadało jednak odmawiać.

– Miałem odpocząć! – skarżył się. – Być na słońcu w towarzystwie mojej nowej, pięknej żony. Potulnej, bo ustępującej mi stopniem. Miałem odpoczywać, do diabła! Do wszystkich diabłów!

Mężczyźni, do których kierował żale, milczeli. Torian Ugrel reprezentujący Służbę ani myślał przerywać marszałkowi. Natomiast adiutant, Igor Tie, milczał z zasady.

– Miałem oddać cesarzowi miasto, chorągwie rebelii i pojmany ch przywódców. Nie udało się, trudno. Zginęli oni wszyscy razem z całą masą naszych ludzi. Najlepszych ludzi! Trudno! Zginął Książę Strzępów. Trudno! Niech bogowie przyjmą ich dusze zgodnie z zasługami. Nie odnieśliśmy tego błyskotliwego sukcesu, na któryśmy tak bardzo liczyli, nie będzie defilady. Trudno! Straty, niepowodzenia, te wszystkie śmierci – trudno! Wszystko to furda, bośmy wygrali! Zakończyliśmy ten nieszczęsny bunt, nawet jeśli koniec nie wyglądał tak, jakbyśmy chcieli. Moja rola jest skończona. Odchodzę w upokorzeniu, zamiast w chwale, ale odchodzę. A pan przychodzi mi powiedzieć, że nie mogę?

– Wojna jeszcze się nie skończyła, marszałku – tłumaczył Ugrel. – Stała się podstępniejsza i niebezpieczniejsza. Nie tak miało być, wiem. Ale wojna trwa i waszą rolą jest nadal dzierżyć ster.

– Niech cię szlag, Torian! – zachnął się Grouchon. – Przecież nie ma już z kim walczyć. Ostatni buntownicy wysadzili się w powietrze razem z elitą mojej armii. Mogliśmy to sobie obejrzeć w tych przekłetych epopejach!

– Cesarz – Ugrel, któremu jak na oficera Służby stanowczo brakowało cierpliwości, postanowił od razu zagrać najwyższą kartą – cesarz życzy sobie, panie, byście nadal stali na czele armii. Prowadzili jego ludzi.

– Cesarz! – parsknął marszałek – Mój stary przyjaciel chce mnie ukarać. Ale dał słowo, że gdy to wszystko się skończy, będę wolny. Słowo!

– W tym rzecz, że jeszcze nie skończyliśmy – wyjaśnił tonem zabarwionym ostrożnym współczuciem Ugrel. – Marszałku, jesteście nam niezbędni! Nikt inny nie cieszy się w armii równym respektem. Nikt inny nie zapanuje nad wszystkim tak skutecznie jak wy!

– Nad wszystkim? – mruknął marszałek – Znaczy nad czym?

– Pojawiły się pewne niepokoje wśród żołnierzy. Konflikt pomiędzy regularnymi oddziałami cesarskimi pozostającymi pod dowództwem arystokracji a Legionami Obywatelskimi i całą tą zgryzą podporządkowaną generalicji tlił się od dawna, od początku wojny. W ostatnich miesiącach przybrał na sile. Ale to, co zaczęło się dziać po... – zająknął się – ...po incydencie, przekracza wszelkie normy. Wśród żołnierzy wrze. To już niemal zamieszki, panie marszałku. Mamy dwudziestu zabitych w przepychankach. Jedni oskarżają drugich o udział w zamachu, zdradę i spiski. A dowódcy jednych i drugich skrycie zachęcają i wspierają swoich ludzi. Obie strony dążą do ostatecznego rozstrzygnięcia. Kroi się nam nowa wojna, nim stara dobiegła końca.

– Wiem o tym wszystkim – westchnął marszałek. Tym razem w jego głosie znać było prawdziwe znużenie. – Pan chce temu zapobiec? Kapituła ma jakiś plan? Chcecie mnie przekonać, żebym opowiedział się po którejś ze stron? A myślicie, że czemu tak mi się spieszy do emerytury? Nie chcę brać udziału w tym nowym gównie, ot co! Co, chcecie, żebym pomógł wam wyrznąć jednych i wynieść drugich? Nawet cesarz, nawet on nie mógłby żądać tego ode mnie!

– Tak się stanie, jeśli zabraknie lidera zdolnego pogodzić rywali – przyznał Ugrel. – Kogoś takiego jak wy, marszałku. Wszyscy pana szanują.

– Szacunek to za mało! Diabli go biorą, gdy ludzie chwytają się za łby!

– Dlatego trzeba będzie go wzmocnić. Uderzyć w jednych i drugich, a potem wskazać im wspólnego wroga.

– Wspólnego wroga, he? Niech zgadnę! Mnie?

Tie pobladał. Ugrel rozeźmiał się sztucznie.

– Nie śmielibyśmy! – zawołał.

– Śmielibyście, śmielibyście! – Marszałek uśmiechnął się niespodziewanie. – Gdybyście uznali, że się wam to oplaca. No dobra – spowaźniał. – Macie plan. Przedstawcie mi go. Szybko i bez zbędnych ceregieli. A ja wam powiem, czy mi się on podoba czy nie.

– Istnieją dwa najniebezpieczniejsze ośrodki w generalicji i stronnictwie arystokratów. Oba zaczęły już swoje gry. Aristokraci są na pozór osłabieni śmiercią księcia Oruzona, który był ich wyraźnym liderem. Pozornie. O sukcesję po nim zdaje się walczyć jego dwóch synów, Leonard i Michał.

– Bliźniaki. – Marszałek skinał głową. – Urwisy. Tłuki się między sobą od małego.

Teraz on uśmiechnął się lekko, w sposób, w jaki starzy ludzie uśmiechają się do swoich wspomnień.

– Leonard i Michał Oruzon – kontynuował Ugrel, udając, że nie dostrzegł grymasu marszałka. – Starszy pozostawał pod skrzydłami Księcia Strzępów, uczył się od niego, jest wychowankiem Cesarskiej Szkoły Oficerskiej. Książę szykował go na swego następcę. Leonard zyskał w związku z tym poparcie jego majordomusa. To ważne.

– Wiem, jak ważny jest ten cholerny samozwańczy król szpiegów – upomniał agenta marszałek

– Tak jest. W przeciwieństwie do brata Michał został odsunięty od dworu. Ojciec wysłał go na klaszorny uniwersytet, gdzie chłopak szkolił się na kapłana. Już z własnej woli zajął się studiami ekonomicznymi. W tajemnicy przed ojcem i bratem gromadził stronników. Nie chciał się pogodzić z odsunięciem od władzy. Książę zdawał sobie oczywiście sprawę z jego aspiracji, szykował coś dla niego. Czełał z tym jednak, aż sam osiągnie sukces. Niestety zginął.

– I teraz bracia skoczyli sobie do gardeł – dokończył marszałek – Rozumiem, że pana i pańskich mocodawców niepokoi potencjalne osłabienie arystokracji, do którego to prowadzi. Ale czy to nie jest raczej powód do zadowolenia? Możecie poświęcić wszystkie siły podkopywaniu generalicji i do tej wojny, którą mi grozicie, nie dojdzie.

– Niestety młodzi książęta postanowili wykiwać nas wszystkich. Nie są przeciwnikami.

– Nie? – Marszałek po raz pierwszy rzeczywiście się zainteresował.

– Nie. Ustalili to wszystko już dawno temu, chyba jeszcze jako dzieci. Jeden szkolił się pod okiem ojca na dowódcę, wojskowego i dworskiego, drugi zyskał wiedzę z innergetyki i ekonomii. Jeden ma poparcie wśród konserwatywnej części arystokracji, drugiego popierają słabsze, ale liczne stronnictwa reformatorskie. Co więcej, z Michałem spiskuje nawet generalicja, zupełnie nieświadoma, że sama zakłada sobie pętlę na szyję. Bracia dążą do zebrania wszystkich atutów w swoim ręku, wyeliminowania niebezpiecznych graczy i ogłoszenia dominacji swojej rodziny.

Razem będą niepokonani.

– To... – Oblicze marszałka pojaśniało. Chwilę walczył ze sobą, ale nie wytrzymał i roześmiał się wesoło. – To pyszne! A zuchy!

– To nie może się zdarzyć. – W głosie Ugrela pojawił się lód. Przestał odgrywać potulnego, może nawet nieco tępego służbistę.

– Czemu? – nie zgodził się marszałek – Stanowią rodzaj trzeciej siły, nieprawdaż? Grają na nosie generalicji i arystokracji, zamierzając wykiwać jednych i drugich. To dla nas korzystne. Wojny nie będzie.

– Nie chodzi nam o to, by powstała nowa potęga, marszałku – wyjaśnił spokojnie Ugrel. – Chcemy osłabić wszystkich, byście wy, przyjaciel i sługa cesarza, najwyższy z jego dowódców, zapanowali nad chaosem. Tylko wy, panie, możecie to uczynić, nie ma alternatywy.

– Ujawnicie ich spisek?

– To za mało. Są niebezpieczni.

– Więc? – Jakiś niepokojący błysk pojawił się w oczach marszałka. – Zabijecie ich?

– Nie my. – Ugrel uśmiechnął się chytrze. – Szkarłatna Maską.

– Maską?! Przecież on nie żyje! Nie może nawet uderzyć zza grobu, bo bogowie rozwiązali z nim kontrakt! Maski nie ma już na żadnym świecie!

– To drugi spisek, o którym chciałem was poinformować, marszałku. Tak jak księżęta Oruzon grali z nami, udając wrogów, tak generalicja zyskała punkty, namawiając do zdrady Maskę i przeciągając go na swoją stronę. Maską żyje, marszałku. Stanowi atut generałów.

– Niech to szlag! Maską! Ten łajdak! Z moimi generałami! Czy zewsząd otaczają mnie spiski? Co tu się dzieje, do cholery!

– To wojna. – Głos Ugrela złagodniał. – Wojna wpędziła tych ludzi w szaleństwo, odmieniła ich. Teraz już nikomu nie wierzą, nie ufają, dla nikogo nie mają szacunku. Zagubili gdzieś honor, jedni i drudzy. Jedyne, czego chcą, to bezpieczeństwo, a zapewnią je władza.

– Niech to szlag! – powtórzył marszałek – Powinienem powiesić ich wszystkich. I was też. Za to, że wiedzieliście, a nic nie zrobiliście.

– Niezupełnie. – Teraz Ugrel uśmiechnął się szczerze i szeroko. – Śledziliśmy ich. Nie wiemy wprawdzie, gdzie teraz jest Maską, umknął nam, korzystając z zamieszania, ale w końcu go znajdziemy. Wiemy o spisku księżąt. Jeśli wyeliminujemy ich i Maskę, obie strony otrzymają potężne ciosy. Wtedy włóczycie wy, marszałku.

– Zakładam, że macie już listę? – zapytał cicho marszałek

– Listę?

– Przeznaczonych do eliminacji.

Ugrel potwierdził skinieniem głowy.

– Chcę ją dostać! – zażądał Grouchon. – I liczcie się z tym, że wprowadzę na niej pewne zmiany!

– Oczekiwaliśmy tego – odparł Ugrel.

– Jest coś jeszcze, co chcecie mi powiedzieć?

– Czy mamy pańską zgodę, marszałku?

– Pozwoli pan, że odpowiem udzielę bezpośrednio cesarzowi. Czy to pana zadowala?

– Tak jest.

– Zatem pozwoli pan, że go przeproszę. Muszę przemyśleć kilka spraw. W naszym wspólnym interesie.

Agent uklonił się i odszedł bez słowa. Miękką, grubą dywan wygłuszył jego kroki.

Marszałek odczekał jeszcze kilka minut, nie mówiąc nic, jedynie wyłamując palce. Adiutant czekał cierpliwie na dyspozycje.

– I nic nie powiedział – odezwał się wreszcie Grouchon. – Ani słowa o innergetycznej bombie.

– Nie mogą nie wiedzieć.

– Nie mogą. I chcą zabić tych chłopców!

– To już mężczyźni.

– Nie dla mnie, do diabła! Siadali mi na kolanach. Niech to szlag! Niech to jasna cholera! To nie jest wojna! To jakieś... – zawahał się – ...jedno wielkie draństwo!

– Te dzieci rosną w potęgę – przypomniał mu adiutant. – Sądzę, że sam cesarz obawia się ich możliwości.

– Cesarz! – zachnął się marszałek – Mój przyjaciel Ludwik III. Człowiek, który... – przerwał. – Igorze, jestem już na to za stary. Byłem za stary dawno temu. Wojna była przynajmniej prosta. A teraz, te wszystkie spiski, zdrady. Brzydzi mnie to!

– Wasza miłość?

– Oczywiście dochowamy wierności cesarzowi. Ale muszę z nim porozmawiać o tym, do kąd to wszystko zmierza. Przygotuj bezpieczne połączenie, podejmę próbę, gdy tylko Ludwik będzie gotowy. Wezwij do mnie Spasozoffa, sukłsyn musi przestać ze mną pogrywać. Spisek z Maską, na bogów! Ma się u mnie stawić natychmiast! O tak, pogodzę ich wszystkich, do diaska! Jeśli będę musiał, pogodzę ich przed plutonem egzekucyjnym. Przypomnimy tym wszystkim durniom, dlaczego kiedyś, przed laty, bali się Czarnej Gwardii!

– To wszystko, wasza miłość?

– Czyś ty oszalał, Igorze? Oczywiście ostrzeż chłopców! Włos im z głowy spaść nie może!

Czy się pomyliliśmy? – zastanawiał się Ugrel w drodze do ścigacza. Ja, Aubert, cesarz?

Stało się oczywiste, że stary będzie się starał grać na własną rękę. Na pewno by nie zdradził. Ale mógł, z głupiego sentymentu, pomóc komuś, kogo cesarz pragnąłby przenieść do wiecznej szczęśliwości, jakkolwiek ona wyglądała.

To właśnie było najśmieszniejsze! Ci wszyscy napuszeni durnie we własnym przekonaniu dochowywali wierności cesarzowi. Nawet buntownicy wynajęli już adwokatów, którzy zaczęli dowodzić obywatelom Wspólnych Przestrzeni, że wszystko, co zrobili ich klienci, służyło Cesarstwu.

Stoimy pośrodku bandy lojalistów gotowych wymordować się nawzajem w imię swojej lojalności! – pomyślał Ugrel i aż uśmiechnął się do tej prze zabawnej myśli.

Z punktu widzenia bogów ludzie musieli wyglądać jak cywilizacja idiotów, miotających się od jednej wojny do drugiej i prowadzących je wszystkie w imię śmiesznych, nic nieznaczących powodów i zasad. I oczywiście wszyscy, bez względu na to, po której stronie stali, byli niewinni.

Wspomniał swoją ostatnią rozmowę z Aubertem, tym tłustym pajakiem przekonany, że kontroluje wszystko i wszystkich.

– Myśl o sobie jako o dobrym człowieku, przyjacielu – mówił Aubert. – Naokoło ciebie tłoczą się okazje do wykorzystania, całe masy możliwości, po które musisz się tylko schylić. To wymaga niestety, byś zszedł kilka stopni moralności niżej. Nie możesz tego nie zrobić, nie możesz nie skorzystać z okazji do popełnienia mniejszego zła. To może zboleć, kiedy zdradzasz albo zabijasz. Ale myśl o sobie jako o dobrym człowieku.

– I tobie to pomaga. – Omal nie parsknął wtedy śmiechem Ugrel.

– Każdemu pomaga, pod warunkiem że naprawdę w to wierzy. A prawie każdy wierzy, nawet ktoś tak inteligentny i świadomy jak ty.

– I jak ty?

– Mnie jest łatwiej – odpowiedział Aubert, uśmiechając się lekko i, jak wydało się Ugrelowi, smutno. – W moim przypadku to prawda.

Ten facet był szalony. Przydatny, genialny, ale szalony bez dwóch zdań. Nie można było jednak nie doceniać jego wizji.

Ugrel zastanawiał się nad nią bez końca. Czy nie była pokrewna wizji Służby? Czy Kapituła nie odwróciła się od bogów, nie uciekła od wiecznego innergetycznego życia?

– Jesteśmy tylko pożywką dla bogów – opowiadał dawno temu Ugrelowi Aubert, oczy lśniły mu wtedy od wewnętrznego blasku. – Karmą. Zasiewają w nas swoje innergetyczne ziarna. Latami obserwują, jak wzrastają, a potem, gdy umieramy, zasysają je i obżerają się nami. Nie przypadkiem nazywają zbiorowisko najpotężniejszych bogów „Uczta”. Nawet tego nie ukrywają, dranie, choć kapłani przekręcają prawdę mistycznym gładzeniem. Stek bzdur, agencje. Jesteśmy tylko rzeźnym bydłem.

Szaleniec czy nie, jest potężny i niegłupi – ocenił Ugrel. Jeśli ma rację, dobrze będzie się go trzymać. Jeśli nie, istnieją inne możliwości.

Na razie nie wiedział, gdzie ukrywa się Maska. Ale stary szatan musiał dać znak życia, prędzej czy później. I wtedy Ugrel go dopadnie! A najlepsi żołnierze imperium pokażą kundlom, gdzie ich miejsce.

Niech tylko Maska wystawi łeb. Niech da im szansę.

6

Rachuba i Krasieński obserwowali promy odlatujące w stronę tajemniczej floty. Nie zostali zaproszeni do udziału w rekonesansie. Liczba miejsc na promach była ograniczona, a Pniakowi i Psu bardzo zależało, by znaleźć się na jednym z nich.

Zupełnie na odwrót niż małemu żołnierzowi i magowi.

Silniki promów rozbłyły silniej i pojazdy przyspieszyły.

– Już teraz? – niecierpliwiał się Rachuba.

– Niech się oddali. Niech tamci przyciągną jego uwagę.

– I nawiążesz łączność, tak?

– I nawiążę łączność. A ty będziesz mi coś winien.

– Jak cholera, będę! – Rachuba uderzył pięścią w pierś. – Nikomu nie jestem nic winien! Tobie będę. Tę jedną rzecz.

Rozdział 10

1

– Jakie to wszystko niemądre!

Mai zawsze się wydawało, że domeną szpitali jest cisza. Po korytarzach powinny jej zdaniem sunąć pielęgniarki w pantoflach tłumiących odgłos kroków. Kobiety w pastelowych fartuchach cicho uśmiechałyby się do pacjentów i pokornie wysłuchiwały wydawanych półgłosem dyspozycji lekarzy, szeptem zgłaszając własne uwagi. Wszystko to tworzyłoby ciszę pełną napięcia, ale i szacunku dla chorych i umierających. Głośne mogłyby być co najwyżej jęki i skargi pacjentów.

Nigdy wcześniej nie była w szpitalu.

Tutaj wszystko krzyczało. Ranni poupychani w przepełnionych salach i na korytarzach; konający wymieszani bez żadnego widocznego planu z dochodzącymi do zdrowia. Pielęgniarki wydierały się na siebie nawzajem, na pacjentów i na lekarzy. Ci ostatni odwzajemniali się ochryplym wrzaskiem, zmęczeni i źli. Wszyscy biegali, tupiąc bez litości i opamiętania. Pacjenci krzyczeli albo tłukli czym popadło o ściany i meble, by zwrócić na siebie uwagę.

– Niemądre? – parsknął Szczurzy Zad. – To pieprzony burdel, dziewczyno! Piekło i chaos. Muszę stąd wyjść, zanim zdechnę od tych bandaży! I pieprzonej chemii.

– Nie mówiłam o tym – odparła Maja, odrywając na chwilę spojrzenie od wciąż nieprzytomnego Worejły, by spojrzeć na rozłozszczonego setnika. Jego nastrój nie poprawiał się ani na moment, przynajmniej odłąd odnalazła ich obu w szpitalu. Prawdę mówiąc, szukała tylko

Worejły, a jeszcze wcześniej Rachuby. Goryl dowiedział się, że ktoś z dziesiątki Pniaka przeżył, jeden człowiek, nie wiadomo kto. Leżał w szpitalnej izolatce, ukryty i tajemniczy, zakamuflowany jako „nieznany żołnierz”. Goryl dotarł do niego swoimi ścieżkami. Wykorzystał znajomości i załatwił Mai dostęp. Przybiegła natychmiast, porzucając własne poszukiwania. I rozplakała się na widok Worejły, przez chwilę przeklinając go za to, że nie okazał się jej mężczyzną.

Wciąż jednak nie porzuciła nadziei.

Okazało się, że setnik dotarł do swojego żołnierza przed nią. Nie pytała, jak go odnalazł. Szpital był miejscem pełnym plotek. Ranni wymieniali opowieści z pielęgniarkami, one przenosiły je do kolejnych sal i oddawały za półdarmo lekarzom. Wieści krążyły wśród wszechwładnego wrzasku, wstawały i żyły własnym życiem. Wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich; nawet więcej niż trzeba, zważywszy na to, że większość historii okazywała się poprzekęcana i zmyślona.

– Mówiłam o wszystkim. O nas, o wojnie.

Setnik nie odpowiedział. Odnalazł Worejłę i przeniósł się do jego salki, obawiając się, że ktoś może wykorzystać okazję i dokończyć to, co nie udało się bombom rebeliantów.

Zajął łóżko obok rannego i żadna siła nie zmusiłaby go do opuszczenia tego miejsca. W każdym razie dopóki jego żołnierz pozostawał bezbronny. Bo też Worejło, choć jakimś cudem przeżył, nie wyszedł bez szwanku z katastrofy, w jaką zmieniło się zdobywanie miasta.

Gdy kierująca się sygnałami wysyłanymi przez systemy pancerza ekipa poszukiwawcza wyciągnęła go spod ton gruzów, potężny żołnierz bardziej przypominał trupa niż mieszkańca świata żywych. Czujniki po wielokroć nadwężonego pancerza upierały się, że wciąż żyje, i ratownicy im uwierzyli. Stracił jednak lewą rękę, musiano też mu amputować obie nogi. Innergetyczni medycy zasadzili żołnierzowi nowe kończyny, proces ich rośnięcia był jednak długi i bolesny, dlatego zdecydowano o utrzymaniu Worejły w stanie śpiączki jeszcze przez jakiś czas. Tym bardziej że jego obrażenia wewnętrzne wzbudziły w medykach trwogę. Nawet medycyna wspomagana innergetyką była bezsilna w niektórych sytuacjach.

Gdyby Worejło służył w oddziałach cesarskich, prawdopodobnie by nie przeżył. Cesarscy pysnili się wiernością dyscyplinie, byli też dumni z nowoczesnych pancerzy – identycznych. Żołnierze Legionów Obywatelskich nie przywiązywali takiej wagi do umundurowania. Zachowywali barwy i oznaczenia, jednak kiedy tylko mogli, naginali lub wręcz łamali regulaminy, przerabiając pancerze wedle własnych pomysłów i potrzeb. Kradli i kupowali części, czasem rzeczywiście podnoszące walory pancerzy, a czasem jedynie poprawiające samopoczucie właścicieli. Część ulepszeń nie tylko nie sprawiała, że pancerz stawał się skuteczny, ale wręcz przeszkadzała w prawidłowym funkcjonowaniu jego systemów, bo je przeciążała. Jeśli jednak żołnierze nie przesadzali, oficerowie przymykali oczy na ich postęпки. Sami zresztą ulepszały własne pancerze, nierzadko kupując na czarnym rynku sprzęt od własnych ludzi albo

wraz z nimi planując skoki na wojskowe magazyny.

– Niemądre? – powtórzył setnik – Co takie go niby jest niemądre?

Zżywał się, odkład odżył przytomność i odkrył, że ominął go szturm. Wpadł w prawdziwy szal, gdy dowiedział się o pułapce buntowników i o tym, że zginęła w nim większość jego ludzi, łącznie z zastępującym go Dziarą.

Fakt, że napastnicy przypadkowo uratowali mu życie, nie poprawił mu humoru. Prawdę mówiąc, tylko go pogorszył. Setnik nie lubił przypadków i nie ufał im. Powinien, do cholery, być ze swoimi ludźmi, gdy walczyli i ginęli! Zdawał sobie sprawę, jak głupie było przekonanie, że zdołałby zapobiec katastrofie, świadomość ta nie przeszkadzała mu jednak upierać się skrycie, że pewne rzeczy potoczyłyby się inaczej, gdyby nie wylądował w szpitalu.

– To wszystko – odpowiedziała Maja. – My jesteśmy głupi, świat jest głupi, wszystko. Wy, żołnierze, jesteście głupi. Ja też jestem głupia, że wylądowałam tutaj.

Dobry, ciepły i spokojny świat Mai przestał istnieć trzy lata wcześniej. Dorastała na platformie miejskiej Suceava, niewielkiej, mało znaczącej bazie zawieszanej na orbicie księżycy jałowej, smutnej planety. Glob leżący „na peryferiach zadupia”, jak mawiał ojciec Mai, odrobinę sławy zyskał za sprawą szaleństwa zarządzającego nim gubernatora. Ekszołnierz, widząc, jak niewiele będzie w stanie wyciągnąć z przyznanej mu planety, postanowił przeksztalczyć ją w wielkie centrum rozrywki dla wiecznie nudzących się arystokratów i spragnionych zabawy żołnierzy na przepustkach.

Pobudował olbrzymie parki myśliwskie, które zapelniał sprowadzaną zewsząd zwierzyną, wznosił pałace rozrywki, a nawet pokusił się o postawienie nie do końca legalnych aren, na których walczyli gladiatorzy.

Suceava nie należała do niego. Jej właściciel postanowił skorzystać z pomysłu gubernatora i zamienił miasto w wielkie kasyno. Przyciągało ono nieco gorszą klientelę niż lokale gubernatorskie, ale generowało spore zyski.

Maja była dzieckiem pary krupierów i gdy tylko osiągnęła odpowiedni wiek, poszła w ślady rodziców. Przez pierwsze pół roku odbywała staż przy stoliku do gry w pary. Kiedy jednak uznano, że wykazuje niejaki talent do kart, a przy tym była chwalona tak przez przełożonych, jak i klientów, postawiono ją przy stoliku, przy którym grano w krwawe pasjanse. Choć matka powtarzała jej, że powinna znaleźć kogoś, kto się nią zaopiekuje i umożliwi jej karierę na planecie, ona marzyła tylko, by trafiła się jej okazja do wkroczenia w magiczny świat klubowych partii sulema – gry moźnych i szaleńców, której zasady kreowano w trakcie rozgrywk.

Praca była ciężka, pozwalała jednak na życie na przyzwoitym poziomie. Maja wyprowadziła się od rodziców, spróbowała kilku romansów z kolegami z pracy, nawet zamieszkała ze starszym krupierem z sąsiedniego kasyna. Wspólnie zaczęli odkładać część zarobionych pieniędzy. On

uczyl ją nowych sztuczek i powoli zarażał marzeniem o ucieczce na planetę.

Byli tego naprawdę bliscy, gdy któregoś wieczoru nad Suceavę wykwitło kilkanaście pięknych, wielobarwnych kloszy innergetycznych, których kształty zależne były od klasy pojazdów, umiejętności pilotów i jakości oprogramowania komputerów odpowiedzialnych za sterowanie w innoświecie. Podróż pomiędzy światami zawsze napotykała opory, a przenikanie z jednego do drugiego prowadziło nieodmiennie do wycieków innergii i jej rozpraszania się we wszechświecie. Im lepszy był sprzęt i jego operatorzy, tym mniej innergii marnowano i mniej widowiskowe efekty towarzyszyły przybyciu.

Piloci, którzy przybyli nad Suceavę, musieli być prawdziwymi żółtodziobami, wkroczyli bowiem przepięknie.

Maja mogła to obserwować, ponieważ tego wieczoru pracowała w jednym z tarasowych ogrodów – ekskluzywnych cudów Suceavy. Wykraczały poza ściśle osłonięty pancierz miasta, wysuwając się w przestrzeń. Chroniła je kopuła z aktywnego tworzywa, zdolnego na zwołanie zmieniać barwy, wieczorami oferując niezapomniane widoki na planetę, gdy zaś wstawał dzień, osłaniała klientów przed słonecznym blaskiem. Tarasy stanowiły jedyny powód, dla którego bogatsi klienci, wybierający przeważnie pałace rozrywki gubernatora, przybywali czasem na Suceavę.

Młoda krupierka przywykła już do pięknych widoków rozpościerających się z tarasów. Skupiała się na sytuacji na stole i tylko na niej.

Rozkładała już piątego krwawego pasjansa, po impasie czterech poprzednich. W grze zostało tylko dwóch graczy, obstawiających kolory i figury. Gracze pośledni odpadli, choć nie wstali z miejsc, nadal obserwując rozgrywkę.

Gry takie jak ta nie zdarzały się często. Zwykle lasy no budowało ścieżki, a klienci jedynie je obstawiali. Czasem wyłaniał się spomiędzy nich dominator próbujący narzucić grze konkretny wzór, wtedy pozostali mogli go wspomóc lub grać przeciw niemu, albo – co stanowiło najostrożniejszą ze strategii – jedynie korzystać z sytuacji i obstawiać. Takie gry były ciekawsze od zwyczajnych partii, opartych jedynie na losowych układach. Pojawienie się dominatora podkreślało stawki, ale nie trafiało się często. Dominator musiał zaryzykować wyższe sumy. Podejmowali się więc tego albo naprawdę doświadczeni gracze, albo podpici, pewni siebie głupcy, czasem próbujący zaimponować kobietom.

Tym razem zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Przy stoliku spotkało się dwóch graczy, którzy podjęli próbę dominacji.

Uwagę Mai przyciągnęli od początku. Jednego z nich znała wcześniej. Starszy, wysoki, dumny i władczy oficer gwardii gubernatora pysnił się bordowym mundurem ozdobionym dziesiątkami złotych odznaczeń. Jego zawsze starannie wypielęgnowane dłonie migotały klejnotami sygnetów

i pierścieni. Maja najwyraźniej wpadła mu w oko, zawsze starał się bowiem usiąść przy jej stoliku. Być może spodobała mu się jako kobieta, a może po prostu lubił jej styl prowadzenia gry. Nie miała co do tego pewności, ale to raczej ta druga ewentualność milej polecałaby jej próżność. Gwardzista starał się dominować w większości rozgrywanych partii i często wygrywał. Stali klienci łasy na nauczyli się już, że lepiej grać z nim, a ich taktyki dodatkowo zwiększały jego szanse.

Tym większe spotkało wszystkich zaskoczenie, gdy ktoś postawił przeciw niemu. Kilku stałych klientów uśmiechnęło się lekceważąco, słysząc, jak obcy przybysz zgłasza licytację, a Maja nawet zerknęła na niego dłużej niż przelotnie.

Straceniec okazał się wysokim ciemnowłosym mężczyzną w białym garniturze skrojonym wedle egzotycznej mody jakiejś dalekiej planety. Pozbawiona kieszeni marynarka rozrastała się ku dołowi długo i wąsko, zamysł projektanta pozbawił ją kłap i jakichkolwiek ozdób. Spodnie śmiesznie zwęzły się ku kolanom i rozszerzały od nich ku stopom, tak że nogi mężczyzny wyglądały, jakby przyodziano je w klepsydrę. Uwagę krupierki przyciągnęła przede wszystkim jego twarz – duże ciemne oczy, garbaty nos przywodzący na myśl dziób drapieżnego ptaka i wąskie, blade usta wykrzywające się co chwile w kąpiącym wyrazie.

Od pierwszego spojrzenia Maja uznała, że mężczyzna ten musi być draniem.

Zgłosił udział w licytacji impertynencko, gdy jeszcze stał. Popatrzył z pogardą po graczech, zerknął też na Maję i dopiero na niej jego wzrok zatrzymał się na moment. Uśmiechnął się do niej łobuzersko i mrugnął. Siadając, powtórzył głośno licytację. Rozzłoszczona Maja rozłożyła przed nim trzy karty na wejście, życząc mu, by okazały się błotkami. Los najwyraźniej był po jej stronie, bo rzeczywiście tak się stało. On jednak uśmiechnął się tylko i podsunął jej barwny stos żetonów, domagając się powtórek.

– Chce pan wymienić karty? – zapytała, sądząc, że się pomylił.

– Skąd, słońce. – Znów się uśmiechnął, może nawet i czarująco, było jednak coś niepokojącego w tym uśmiechu. – Chcę, żebyś dołożyła tu kolejne trzy.

– Ależ to otworzy strumień! – zawołał jeden ze stałych klientów.

– Istotnie – przyznał przybysz, nie odrywając wzroku od Mai. – Otwieram strumień.

Opanowała chęć pogardliwego prychnięcia. Najwyraźniej trafił się jej jeden z tych durni, którzy sądzili, że mogą zaimponować ładnej krupierce brawurową grą. Wyjęła nową talię.

– Być może nie zauważył pan – powstrzymał ją surowy głos gwardzisty – ale mamy tu już jeden strumień.

– Być może zauważyłem i być może zupełnie mi to nie przeszkadza – odparł szorstko przybysz.

– I być może zupełnie mnie to nie interesuje. Poproszę o moje karty.

Ktoś parsknął. Stali gracze posłali nowemu kilka pogardliwych spojrzeń, gwardzista zagryzł

wargę, by powstrzymać uśmiech.

Niespełna godzinę później nikt się już nie śmiał.

Wokół stolika zgromadził się spory tłumek. Gracze od innych stolików przychodzili, by przyrzeć się grze, ostatnie wolne miejsca zostały pospiesznie zajęte, na siedzących spoglądano z zazdrością – oni mieli szansę uczestniczyć w jednej z gier przechodzących do legendy. Kierownik sali oczywiście jej nie przegapił. Kamery śledziły rozgrywkę, a ci, którzy nie dopchali się do stołu, podziwiali ją na ekranach. Być może żadna inna gra nie toczyła się już tego wieczoru w kasynie i wszyscy jego klienci obserwowali, jak dwóch upartych dominatorów zwarło się, kreując ścieżki i strumienie jednego krwawego pasjansa za drugim.

Maja nie zwracała uwagi na salę. Jeśli o nią chodziło, na taras mógłby wtedy przybyć sam cesarz.

Starła się nie okazywać emocji. Przy takiej grze mogła zostać dostrzeżona i jeśli nie popełniłaby błędu, jeśli okazałaby się bardziej niż dobra, los mógł zaoferować jej awans! A może nawet – nagle powróciły stare marzenia – przeniesiono by ją do sulema?

Na stole strumień gwardzisty piął się ku kolorowi, choć żołnierz nie zaniedbał i par. Udało mu się zdominować króle i damy. Dlatego uśmiechał się, choć krople potu wypłynęły mu na czoło, a oczy wciąż pozostawały czujne. Po raz pierwszy, odłód nieznamomy usiadł do gry, gwardzista wypracowywał własną ścieżkę.

Jego stronnicy żalowali teraz, że spasowali na początku rozgrywki, gdy asy i dwójki męzczyzny w bieli zdawały się nieść mu zwycięstwo. Gdyby pozostali wierni swemu stałemu dominatorowi, jego kolor mógłby przynieść zyski także im. Teraz mogli tylko się przyglądać, jak dokupuje do koloru, którego udziałowcami nie zostali.

Przybysz nie wydawał się zdenerwowany. Choć kolor gwardzisty zdominował trzy z ośmiu źródeł pasjansa, a cztery inne źródła przykrywały karty rozłożone według zamysłu żołnierza, on tkał własną ścieżkę na ósmym źródle i zmagał się na czterech, na których wciąż trwała walka. Musiał zdawać sobie sprawę, że to może być ich ostatnie starcie, że żołnierz, jeśli je wygra, może się nie zgodzić na ponowne rozdanie. Zwycięstwo po czterech impasach przyniosłoby mu niebagatelną fortunę. A jednak przybysz wciąż się uśmiechał. Zapalił wprawdzie papierosa, lecz wydawało się, że zaciąga się nim dla przyjemności, nie żeby ukoić nerwy.

Pierwsze okrzyki Maja przegapiła. Nie usłyszała ich. Następne wzięła za aplauz dla posunięcia przybysza, który niespodziewanie skontrolował kolor gwardzisty. Prawda, że tamten zagrał ryzykownie, budując parę w sąsiedztwie koloru, ponieważ jednak tak wiele figur, na których przeważnie opierano pary, znajdowało się już na stole, ryzyko, że przybysz dokupi akurat tę, która umożliwi mu brawurowe posunięcie, było niewielkie.

– Co za ruch! – sapnął jeden z kibiców, a gwardzista westchnął głęboko.

Tylko oni i Maja patrzyli jeszcze na stół. Wszyscy pozostali zadzierali głowy, przyglądając się bajecznie kolorowemu przybyciu flotyli okrętów.

Później Maja się dowiedziała, jak skomplikowane jest poprowadzenie grupy okrętów przez innoświat. Jak wiele pracy trzeba włożyć w zgranie instrumentów pokładowych, a także że spełnienie założeń precyzyjnych obliczeń jest niemal niemożliwe bez udziału innergetyków – magów lub kapłanów. I choć każdy z pilotów przechodzi szkolenie innergetyczne, nie dysponują oni umiejętnościami właściwymi prawdziwym innergetykom.

Wtedy jednak walczyła z pragnieniem spojrzenia w górę, tam, gdzie patrzyli już wszyscy – nawet gwardzista i przybysz. Ona jedna wciąż wpatrywała się w stół, na którym rozstrzygnięty, jak sądziła, pojedynek rozpoczął się na nowo. O czymś takim opowiadały lokalne epeje medialne. Nie mogła zachować się nieprofesjonalnie, rozproszyć uwagi. Zapewne nic by się nie stało, nikt przecież nie zdołałby wykorzystać okazji – stołu strzegły instrumenty znacznie doskonalsze niż oko krupiera. Jednak przełożeni dostrzeżeliby jej nieuwagę.

Wreszcie się poddała. Spojrzała w górę. Nie wiedziała, że przegapiła najpiękniejszą część spektaklu. Kolory błądy już, innergia się rozpraszała, a efekty jej uwolnienia zanikały, entropia burzyła kształty kłoszy.

Na niebie pojawiło się osiem okrętów, jak się później dowiedziała, prowadzonych przez młodych dowódców i obsadzonych młodymi załogami. Ten lot miał być formą sprawdzianu bojowego. Rebelia pilnie potrzebowała nowych ludzi, a brakowało jej akademii z prawdziwego zdarzenia, w których mogłaby ich szkolić. Za akademickie sale musiało więc służyć pole walki.

Okręty różniły się między sobą, ale nie dostrzegała tego z wysokości tarasu. Dla niej wyglądały jednakowo groźnie. Jeszcze nie wiedziała, że to nieprzyjaciel, prawie nikt na tarasach nie zdawał sobie z tego sprawy. Widziała tylko osiem ciemnych wrzecionowatych kształtów, których pyski wycelowane były w Suceavę. I widok ten przejął ją dreszczem.

Gdy rozległy się alarmowe dzwonki, prawie nikt nie zwrócił na nie uwagi. Łącznościowcy Suceavy próbowali nawiązać kontakt z przybyszami, ci jednak im nie odpowiedzieli. W związku z tym wysłano zapytanie na planetę. Stamtąd zaś – obok wielu uspokajających i odwracających uwagę od własnego zdziwienia – przyszła jedna zatrważająca odpowiedź. „Uciekajcie, idioci!” – zawołał jakiś obdarzony sumieniem łącznościowiec gubernatora. „To rebelianci! Uciekajcie!”

Gubernator posiadał systemy obronne, zapewniały one jednak ochronę wyłącznie planecie. Suceava pozostawała praktycznie bezbronna. Byłaby w stanie stawić opór gangsterom lub nawet statkowi pirackiemu, ale nie zorganizowanemu atakowi ośmiu wojskowych rajderów. Miasto mogło jedynie wezwać do ewakuacji.

Z drugiej strony planety, gdzie czuwały dwa cesarskie ścigacze, ruszyła odsiecz. Trzy patrolowce gubernatora także wyszły z orbitalnych doków, by stanąć do nierównej walki i dać

mieszkańcom i klientom Suceavy choć szansę ratunku. Wszyscy oni jednak potrzebowali czasu. Niewiele wprawdzie, ale znacznie więcej niż rakiety wystrzelone z pokładów okrętów rebelii.

Po sześciokroć rozbłyśły kadłuby każdego z ośmiu okrętów.

– Tak się nie robi! – szepnęła gwardzista, który chyba najszybciej zdał sobie sprawę, co oznaczają rozbłyski. – Taksię nie robi!

– Rozpoczęto atak raketowy – ogłosił spokojny komputerowy głos na tle narastającego wycia syren, które zastąpiły subtelność pierwszych alarmowych dzwonek. – Wobec poważnego zagrożenia proszę o jak najszybsze udanie się na pokłady szalup ratunkowych bądź prywatnych łodzi i jachtów oraz opuszczenie miasta. Osoby, które nie dysponują taką możliwością, powinny udać się do schronów podpokładowych. Uruchomiona została procedura ewakuacyjna i odblokowano drogi ewakuacyjne. Czerwone strzałki prowadzą do schronów, zielone do portu. Powtarzam...

Komunikat został wygłoszony jeszcze dwukrotnie, nim odezwał się inny głos:

– Trafienie za dwieście trzydzieści trzy sekundy. Za dwieście trzydzieści sekund. Za...

Nikde systemy obronne, których zainstalowanie inspektorzy cesarscy wymusili na kierownictwie Suceavy, zareagowały. Wyrzutnie wypluły z siebie przeciwrakiety. Z ośmiu wyrzutni wypaliło siedem, ósma zadrżała, kaszlnęła, po czym eksplodowała, niszcząc przy okazji jeden z sześciu robotów obronnych, które pomknęły w przestrzeń, by bronić miasta.

Nie miały szans. Podobnie jak wyrzutnie przeciwraket, zostały kupione tyleż pokątnie, ile okazyjnie. Suceava, która wedle instrukcji cesarskich specjalistów powinna była zostać wyposażona w osiemnaście wyrzutni przeciwraket i trzy dziesiątki robotów obronnych, zaoszczędziła na niepotrzebnym wydatku. Część zaoszczędzonej sumy przeznaczono na przekupienie cesarskich inspektorów kontroli, jednak radzie miasta i tak opłacił się ten wydatek. Cesarskie wymogi wydawały się pozbawione sensu – kóż chciałby atakować miasto rozrywk! Ani planeta, ani Suceava nie miała żadnego znaczenia strategicznego.

Że mogą stanowić sprawdzian dla niedoświadczonych pilotów, nie przewidziano.

Panika wybuchła już przy pierwszym komunikacie. Ludzie zerwali się z miejsc i rzucili w kierunku drzwi. Pracownicy tarasów starali się zapanować nad tłumem, jednak część z nich przyłączyła się do uciekających, a pozostali poddali się, gdy uświadomili sobie daremność starań. Sytuacji nie ułatwiał fakt, że z tarasów widać było okręty napastników. A ich pokłady rozbłyśły raz jeszcze. Rebelianci nie oszczędzali amunicji.

Przestarzałe przeciwrakiety nie sprostały napastnikom. Rebelianckie pociski oszukały je, wprowadzając zamieszanie w ich systemach naprowadzających serią sygnałów tworzących fałszywe cele. Tylko jeden pocisk, zaatakowany przez dwie przeciwrakiety, przegrał pojedynek.

Teraz nadzieja pozostawała w robotach obronnych. Te starały się wpłynąć na naprowadzanie

rakiet nieprzyjaciela, a gdy to zawiodło, wystrzeliły w ich stronę serię małowadliwych pocisków, ostatecznie zaś poświęciły się same, kierując się do nadlatujących i detonując w ich pobliżu. Wszystko to nadaremno. Pociski rebeliantów kpiły sobie ze starań obrońców.

Maja oderwała wzrok od nieba. Powinna uciekać, skorzystać z jednego ze schronów, ale jak? Musiałaby najpierw przebić się przez szturmujący wszystkie wyjścia tłum, potem jakoś przebyć korytarze pełne ludzi.

Ze zdumieniem spostrzegła, że mężczyzna w białym garniturze także nie ucieka. Pochylił się nad gwardzistą, zaciskając ręce na jego szyi.

– Miało być inaczej, ale cóż, tak krawiec kraje... – mruzczał niczym kot bawiący się myszą.

Nagle zdał sobie sprawę z obecności krupierki. Spojrzał na nią dziko. Aż cofnęła się na widok jego wyrazu twarzy.

– Zawał – oznajmił, prostując się. – Sprawdzałem tętno, ale...

Dopał jej jednym skokiem. Wciąż jeszcze była zbyt zaszokowana, by się ruszyć. Zawał? Czy on go...?

– Na co czekasz, dziewczyno? – krzyknął na nią i pociągnął za sobą w kierunku wyjścia. – Trzeba wiać! Wiać!

Szarpnęła się, ale nie puszczał jej ręki. Biegł tak szybko, że ledwo za nim nadążała. Poddawała mu się, choć nie widziała sensu tego pośpiechu. Lada moment kłębiący się w drzwiach tłum i tak miał ich zatrzymać.

A jednak ludzie rozstępowali się, jakby mężczyzna w bieli posiadał nad nimi tajemniczą władzę. Odsuwali się od niego z krzykiem, wręcz odpadali. Niektórzy zataczali się i tylko napierający zewsząd inni uciekinierzy powstrzymywali ich przed upadkiem, inni nie mieli tyle szczęścia. Przewracali się i przepadali pod dziesiątkami nóg. Maja nie rozumiała, skąd się brały sukcesy jej przewodnika, póki nie zobaczyła, że trzyma coś w ręce, zapewne jakiś rodzaj poskramiacza, którym toruje sobie drogę. Było to szalenie okrutne i bezwzględne – poskromieni nie mieli już najmniejszych szans na ucieczkę. Tracili władzę nad ciałem, a jednak zachowywali świadomość. Upadali na innych ludzi bądź osuwali się na podłogę, gdzie już zostawali, tratowani, bez szans i nadziei.

Poczuła złość na mężczyznę. Trafnie oceniła, że to łajdak!

A jednak ratował jej życie, nie próbowała więc puszczać jego dłoni.

Pierwszego trafienia nawet nie wyczuła. W tłumie napierających na nią, rozwrzeszczanych ludzi lekkie drżenie, jakie przebiegło przez Suceawę, gdy eksplodował pierwszy pocisk, umknęło uwagi większości. Ale nie przewodnikowi Mai.

– Dostaliśmy! – krzyknął, ciągnąc dziewczynę jeszcze mocniej. – Teraz musimy się postarać! Jak reszta się zorientuje, wybuchnie prawdziwa panika! Walcz, dziewczyno! Walcz!

Nie rozumiała, czemu ciągnął ją za sobą. Zdawała sobie jednak sprawę, że porzuciły ją, gdyby tylko uznał, że zbyt go opóźnia. Dlatego zaczęła rozpychać się łokciami, kopać, byle tylko przeć do przodu. Stała się taka jak on, stała się podłą, bezwzględną morderczynią, bo przecież prawie zabijała tych, których szanse na ocalenie zmniejszała, raniąc ich i wypychając się przed nich.

Szybko przestała o tym myśleć.

Stawiła opór, dopiero gdy mężczyzna pociągnął ją w jeden z bocznych korytarzy. Nie było w nim wprawdzie ludzi, ale nie prowadził do schronów.

– Uspokój się! – Uderzył ją. – Idiotka! Mam statek! Rozumiesz?! Statek! No, biegnijmy. Ile sił, dziewczyno! Ile sił! Ta stacja wiele nie wytrzyma!

Nie wiedziała, ile pocisków dosięgło już celu. Kolejny musiał trafić gdzieś w pobliżu, wstrząs był tak mocny, że korytarz zakłócił się, aż straciła równowagę i upadła. Mężczyzna zaklął, pomógł jej wstać. Z trudem łapała oddech, ale nie dał jej choćby chwili na odpoczynek.

Okłamał ją. Nie miał statku.

Wbiegli na lądowisko. Większość statków już je opuściła. Pośród kilku, które wciąż czekały na swoich pasażerów, znajdowała się gwardyjska barka oczekująca na oficera, który rozegrał tego wieczoru mecz swojego życia i prawie – być może – wygrał. Przy opuszczonym trapie zebrała się spora grupa osób próbujących wdrzeć się do środka. Dwaj uzbrojeni żołnierze z trudem ich powstrzymywali. Rozglądali się nerwowo w poszukiwaniu dowódcy.

– Tam? – zdumiała się Maja, widząc, dokąd ją ciągnie. – Tam?!

– Zamknij się! – warknął.

Wpadł między ludzi i zastosował swoją sztuczkę z poskramiaczem. Dopadli trapu.

Gwardziści krzyknęli na nich, jeden zamierzył się, by ich odepchnąć. Mężczyzna w bieli pchnął na niego Maję. Wyglądało to dość naturalnie, jakby się potknęła i runęła na gwardzistę. Żołnierz zareagował odruchowo i złapał dziewczynę. Ludzie za plecami Mai zwietrzyli okazję i przypuścili szturm. Drugi gwardzista uniósł groźnie broń, ale wtedy towarzysz Mai uderzył go w krtani. Żołnierz upadł, charcząc. Jego kolega odepchnął Maję i uniósł broń, wtedy jednak impuls z poskramiacza trafił go prosto w twarz. Jęknął i upadł.

Ludzie krzyknęli triumfalnie.

Przedwcześnie.

Mężczyzna w bieli chwycił broń gwardzisty, odwrócił się i zastrzelił pierwsze dwie najbliższe osoby. Pozostali zatrzymali się gwałtownie.

– Na pokład! – polecił Mai.

Pozbierała się, przestraszona, i ukryła za jego plecami.

– Hej! – zawołał ktoś odważny. – Zmieścimy się wszyscy!

Mężczyzna postrzelił go w udo.

– Won! – krzyknął. – Wy nocha!

Wycofał się ostrożnie i podniósł trap.

– Teraz do kabiny pilotów! – zawołał i pognął korytarzem, nie czekając na Maję.

Minęła chwila, nim ruszyła za nim. Na podłodze leżał nieprzytomny pilot – miała tylko nadzieję, że żył – a mężczyzna w bieli siedział w jego fotelu.

– Siadaj! – Wskazał jej drugi fotel. – Spadamy!

Posłuchała go bez słowa.

– To gówno nie ma napędu innergetycznego – narzekał, gdy opuszczali konającą Suceavę.

Następne trafienia nie tylko poważnie ją uszkodziły, ale też wytrąciły z orbity. Widziała, jak kolejne eksplozje coraz wyraźniej przychyłały stację ku księżycowi. Może nawet przetrwałyby ostrzał, upadek na księżyc miał jednak zniszczyć ją całkowicie.

Zarządzający miastem najwyraźniej się z tym pogodzili, odstrzelili bowiem schrony, a te rozpoczęły podróż ku orbicie planety, gdzie przechwycić je miały statki gubernatora.

– Będziemy musieli znaleźć coś lepszego! – Mężczyzna znów mruczał, wydawał się raczej zadowolony niż przejęty. Jakby przeciwności głównie go bawiły.

– Dlaczego? – zapytała. Poczula lzy napływające do oczu, gdy obserwowała agonię swojego domu. Po raz pierwszy od momentu ataku pomyślała o rodzicach i zrobiło jej się wstyd. Pewnie powinna teraz zacząć domagać się od mężczyzny, żeby zawrócił, ale nawet nie spróbowała. Miał przyjąć czas na rozpacz, na razie czuła tylko żal i głębokie zasmucenie własnym rozsądkiem.

– Musimy się stąd zabierać – wyjaśnił. – Rąbnęliśmy sprzęt gwardii, nie? Nie pogłaszczą nas, oj, nie pogłaszczą.

– Nie. Dlaczego to? To wszystko?

– Ach, to. Zwyczajny terroryzm. Urządzili rajd, żeby dać nam znać, że nigdzie nie jesteśmy bezpieczni. No i to niezły trening dla ich ludzi.

– Nie! – powtórzyła gwałtowniej, niż zamierzała. – Nie to! Dlaczego ja? Co ja tu robię?

– Żyjesz – stwierdził po prostu i znów uśmiechnął się tym swoim łajdackim uśmiechem. – Jesteś ładna i przyniosłaś mi szczęście, tam, przy stole. Coś ci się za to należało, nie?

– Drań.

Wtedy się roześmiał, nachylił do niej i pocałował ją. Poczula złość i z tej złości oddała mu pocałunek, nawet go nim zaatakowała, żeby się nie domyślił, jak bardzo się boi, jaka jest rozżalona i zła.

– No, no – zamruczał, odsuwając się od niej. – No, no, słońce! Możesz mi mówić Derwan. A jak brzmi twoje piękne imię?

– Maja.

– Wiedziałem, że piękne!

Ledwie godzinę później wdarli się do cywilnego portu i w kamuflażu skradzionych mundurów ukradli innergetyczny jacht, którym uciekli, nim schwytała ich policja i żądni zemsty gwardziści. Derwan śmiał się jak szalony, gdy uciekali przed ostrzałem zautomatyzowanych działek, a Maja chyba zaraziła się jego szaleństwem, bo także się śmiała.

Gdy czmychnęli w innoświat, dopadli się nawzajem w pierwszej dostępnej kabinie, na pierwszym wolnym łóżku i Maja spaliła całą swoją wściekłość i rozpacz w czymś, co można było chyba nazwać seksem, jeśli seks może oznaczać pełne furii zmagania, w których nie było nic, co chciałyby zapamiętać. Miała tylko nadzieję, że był po tym równie obolały jak ona.

Bawił się nią jakiś czas, nazywał „swoim słońcem”, a ona nie wierzyła mu ani przez moment. I w końcu pchnął ją w ramiona jakiegoś generała, którego zamierzał okraść. Dopiął swego, a przy okazji zostawił ją w niezłych tarapatkach. Cudem udało jej się wyłgać i czmychnąć, nim generał połączył fakty. A potem już tylko oszukiwała i uciekała, aż wyładowała w Perełce, bo dalej uciec już się nie dało.

Zwłaszcza odkąd ogłoszono kwarantannę.

– Mówiłam o tym wszystkim, co mieliśmy – odpowiedziała na pytające spojrzenie Szczurzego Zada. – Spokój, świat. Po co komu była ta wojna? Co można było osiągnąć?

– Zapytaj pieprzonych rebeliantów, dziewczyno.

– Pana pytam. Co mnie obchodzą rebelianci? Nie byłoby tych, to byliby inni, coś by się stało, tak? A pan walczył jeszcze przed wojną, prawda?

– Walczyłem. Ale nie rozumiem...

– Po co? – przerwała mu – Dlaczego? Czego nam brakowało? Mieliśmy względny dostatek, nieśmiertelność, stabilizację! Czego można więcej chcieć? Po cholere toczyć wojny? Ale nie, ludzie tacy jak pan ciągle się gdzieś biją! Z durnymi separacjonistami, z piratami, z bogu ducha winnymi samozwańcami gubernatorami. Albo walczyacie w jakichś lokalnych konfliktach między miastami, regionami czy korporacjami. Jaki w tym sens? Pana pytam! Co pana tam ciągnie?

– Praca jak każda inna. – Setnik wzruszył ramionami, choć chciał odpowiedzieć inaczej. Sam jednak nie wiedział jak

– Nie jak każda inna!

– No to nie – zgodził się potulnie, bo było mu wszystko jedno, dokąd doprowadzi ich ta rozmowa. – Łatwiej w niej o zwiększenie kredytu u boga.

– Tylko to? Lepsze życie po śmierci?

– Tylko tyle. Aż tyle. Dla mnie to sporo.

– Nie wierzę. Nie wierzę panu! W was jest jakieś szaleństwo, które zawsze wszystko rozwali.

Cokolwiek człowiek by osiągnął, zawsze przyjdzie ktoś taki jak pan i wszystko rozpieprzy, bo wojenka pana kręci, tak! Niech was szlag!

Zerwała się z miejsca i wybiegła z sali. W drzwiach się zatrzymała, obiecała, że wróci tu następnego dnia, i tyle ją setnik widział.

I bardzo dobrze. Ta dziewczyna zaczynała go męczyć. Może dlatego, iż czuł się trochę winny, że nie powiedział jej, że Rachuba żyje, a może po prostu drażniły go kobiety, które nie znały swojego miejsca. Gdziekolwiekby ono było.

Rozejrzał się i wstrzyknął Worejle specyfik, który miał lada dzień doprowadzić go do wybudzenia ze śpiączki. Było kilka spraw, które chciał z nim obgadać.

Maja wróciła do Tylko Szeptem prawie biegiem. Kilku stałych bywalców zapytało ją o stan Worejły. Udzieliła pospiesznych wyjaśnień i ukryła się w swoim pokoju. Tam rzuciła się na łóżko i płakała, aż zasnęła zmęczona.

I wtedy przyśnił jej się Rachuba i wyjaśnił tyle, ile umiał. Rozmawiali długo, ale jednak zbyt krótko. A kiedy się obudziła, wiedziała, że to nie był sen.

Na drugi dzień wróciła do szpitala, a tam w sali, w której obok setnika i Worejły leżało jeszcze sześciu niezmiennie nieprzytomnych żołnierzy, zobaczyła, jak Szczurzy Zad pochyla się nad Worejłą, by wysyczyć mu prosto w ucho: „...i ani pary z gęby!”.

Wyraźnie usłyszała te słowa.

Uznała, że chcieli ukryć przed nią fakt, iż Rachuba żyje. Postanowiła zagrać im na nosie.

– Rachuba żyje! – wyszczebotała radośnie, wkraczając do sali. – A pan, setniku, powinien chyba wyjaśnić mi to i owo.

– Niech to szlag! – warknął Szczurzy Zad, prostując się gwałtownie. – Niech to jasny szlag! Ty durna dziewczucho!

2

Mężczyzna, który czasem kazał się nazywać „Derwanem”, a czasem którymś z dziesiątków innych spośród używanych przez siebie imion, siedział naprzeciw Auberta. Pracował dla szambelana już od lat i wykonywał dla niego najbardziej wymagające misje. Aubertowi

wydawało się czasem, że tacy jak on muszą być szaleni. Narażali się głównie dla pieniędzy, które nie mogły zapewnić im powodzenia w przyszłym życiu, bądź dla idei, którą ich zaraził. Jednak Aubert dbał o czystość swojego ciała, zgodnie z boskimi nakazami. A oni, jak Derwan, przebudowywali swoje ciała tak zuchwale niezgodnie z doktrynami wiary, że po śmierci mogli liczyć jedynie na role pariasów zamieszkujących odizolowane części boskich Domów.

Oczywiście to, co czyniło ich obrzydliwymi w boskich oczach, sprawiło, że on ich polubił. Miał też szansę zyskać ich lojalność, oferując sposobność poprawy pośmiertnego losu. Niemniej Derwan zaczął go drażnić coraz bardziej. Zachowywał się, jakby wiedział coś, co umykało jego przełożonemu, i był rozgrywającym, a nie jednym z pionków.

– Usunąłem tych trzech – meldował agent. – Jak trzeba, po cichu. Kto teraz na celowniku?

– Niech pan odpocznie przez kilka dni. Potem może szykować się coś większego. To wszystko.

Derwan, zamiast zerwać się natychmiast i odejść, zwlekał chwilkę, jakby zastanawiając się, czy wypełnić polecenie. Wreszcie chyba doszedł do wniosku, że może mu się to opłacić, bo wstał, zasalutował, zdaniem Auberta drwiąco, i wyszedł.

Ciągle jeszcze zirytowany szambelan wezwał do siebie Drechtera, człowieka, którego mianował swoim zastępcą i który stawał się nieznośnie niezbędny.

– Ten facet – warknął Aubert. – Jest bezczelny!

– Tacy jak on potrzebują marginesu wolności. To skrajni indywidualiści.

– Płacę mu wystarczająco dobrze, by nad tym panował! Niech pan o to zadba, Drechter. Ma się dopasować albo wylatuje!

Drechter skinął głową. Doskonale zdawał sobie sprawę, co oznacza „wylot”. Sam zwykle zajmował się jego organizacją.

– Ale nie po to pana wezwałem. – Aubert uspokajał się dość szybko. Tracenie czasu na impertynentów typu Derwana nie miało sensu. Oszałałby, gdyby przejmował się każdym drobiazgiem. – Mamy kilka nowych problemów. Grouchon może stanowić kłopot. Marszałek postanowił działać na własną rękę.

– Mam go...

– Skądże, Drechter! Marszałek pozostaje nietykalny. Nakłonię cesarza, by porzucił plany utrzymania Grouchona na stanowisku, to powinno ograniczyć jego możliwości. Niemniej chcę, by pilnowano tego nieznośnego starca jeszcze dokładniej. Druga sprawa to młodzi Oruzonowie. Niech pan przygotowuje plan zmierzający do ich zneutralizowania. Może pan dać upust swojej gwałtownej naturze, Drechter, wiem, jak się pan męczy, działając w rękawiczkach.

– Nauczyłem się to cenić, szambelanie. Zrobił pan ze mnie innego człowieka.

– I dobrze. Wiadomo, co z tą dziewczyną?

– Wynajęła prywaciarza. Doświadczonego, poharatał nam kilku ludzi, ale to nowicjusze, żadna

strata. Gorzej, że ten akurat może coś znaleźć. Już go namierzaliśmy. Jeśli pan zechce, możemy go usunąć.

– Nie. – Dziewczyna stanowiła niewiadomą. Aubert wolał rozwiązać zagadkę, nie zaś psuć ją jak ten dureń Aleksander Macedoński. – Śledźcie ją. Może będziemy coś z tego mieli.

– Poślę za nimi Elmsona, jeśli nie ma pan dla niego innego zadania.

– Dobry wybór. – Elmson należał do ich najlepszych, a przy tym pozbawiony ch ambicji ludzi.

– Daję mu pełną swobodę działania, by le nie zabił dziewczyny. Coś jeszcze, Drechter?

Gdy został sam, Aubert przejrzał materiały, jakie dostał na temat tego prywatnego agenta, Phipple'a. Jego akta rzeczywiście robiły wrażenie. Ktoś taki mógłby się przydać sprawie. Wyglądał na mężczyznę kpiącego sobie nawet z bogów, a była to cecha, która Aubertowi natychmiast przypadła do gustu.

– Drechter! – wywołał zastępcę. – Niech Elmson zbada, czy dałoby się zwerbować tego Phipple'a. Pozostawiam to jego ocenie.

Znów wszystko zaczynało się układać po jego myśli. Powoli odnajdywał zagubione tropy i nawet szaleństwo buntowników, ich gwałtowny, zbrodniczy pokaz, nie było w stanie mu przeszkodzić. Właściwie cała ta sprawa z innergetyczną bombą mogła mu nawet pomóc. Bogowie byli przerażeni pojawieniem się takiej broni. Ludzie bali się nie mniej.

Broń innergetyczna! Czyżby znalazł się wreszcie młot na bogów? Coś, co mogło zabić tę żarłoczną bandę karmiącą ludzką ochłapami, podczas gdy sami na niej zerowali, system dystrybucji dusz nazywając bezczelnie „Ucztą”?

Przebudziliśmy ich! – myślał, przeglądając najnowsze dane przelane mu przez Drechtera. Nauczyliśmy wszystkiego i uczyniliśmy tym, kim są dziś. Bez nas nie byliby nawet jak zwierzęta. A teraz rządzą nami, pasożytują na nas. Żrą nasze dusze.

Znów poczuł złość. To musi się skończyć! Filip Aubert nie może po śmierci zmienić się w karmę dla innergetycznych pasożytów. Uratuje siebie. A przy okazji całą ludzką, skoro tak trzeba.

Zastanawiał się, czy wszyscy mesjasze w historii także myśleli przede wszystkim o sobie. Czy ich heroizm nie wyrastał z prostego, zwyczajnego egoizmu. Czy wielkie czyny nie zaczynały się od niewielkich początkowo ambicji albo wręcz od zwykłej woli przetrwania.

Uśmiechnął się, porzucając te jałowe rozważania. Cóż to miało za znaczenie? Ważne, że się przebudził, że zrozumiał, czym są bogowie. Teraz tylko on stał pomiędzy ludzką a nimi.

I to musiało wystarczyć.

Rozdział 11

Lala miała błękitny uniform, błękitne oczy, także szminkę i nawet jej jasne włosy błękitniały łagodnie. Wszystko to dla dobra i uspokojenia klientów, którzy powinni zobaczyć, jak bardzo przyjazna jest dla nich Stacja. Wypowiadała wyuczone formułki tonem na granicy profesjonalizmu i flirtu.

Skoron miał się poczuć oczarowany, zamiast tego z trudem hamował złość.

Utknęli w cholernej blokadzie wokół cholernej planety po tygodniu szwendania się po całych cholernych Wspólnych Przestrzeniach. Skoron udawał wysłannika firmy ubezpieczeniowej, adwokata, przedstawiciela kapłanów, dziennikarza, a nawet pracownika opieki społecznej. Odwiedził prawdziwe dziury, taplał się w bloku, upijał z facetami, na których alkohol robił mniejsze wrażenie niż woda, w każdym razie gdyby ktoś kazał się im w niej umyć. I wszystko po to, by dotrzeć do planety, na której prawdopodobnie znajdował się poszukiwany przezeń człowiek, i odkryć, że została ona otoczona ścisłym kordonem i nikogo się na nią nie wpuszcza ani z niej nie wypuszcza. Bo coś na niej wybuchło, niech to szlag!

Trwa wojna, bez przerwy coś gdzieś wybucha!

– Kochanie – postanowił przerwać litanie zapewnień o tym, jak bardzo jest ważny dla Stacji i panteonu jej władców – ogromnie się z tego cieszę. A teraz zaprowadź mnie do szefa.

Nawet nie zamrugała. Uśmiechnęła się jeszcze serdeczniej i profesjonalniej, po czym wróciła do przerwane go zdania.

Można i tak Skoron pokiwał z uznaniem głową, wstał, minął dziewczynę i ruszył w głąb korytarza, który według planów miał prowadzić do biur szefostwa. Nie bez podziwu zauważył, że błękitna nawet nie drgnęła. Odprowadzała go pustym spojrzeniem, uśmiechając się cały czas, zapewne na myśl o tym, co zrobią z natrętem ochroniarze, którzy zmaterializowali się w korytarzu jakby znikąd.

Wyglądali naprawdę solidnie i poważnie. Może dzięki temu, że oszczędzono im błękitnych uniformów, ich gustowne ciemne garnitury pozbawione były nawet logo Stacji.

I nie uśmiechali się, gdy jeden z nich tłumaczył Skoronowi, że najpewniej się pomylił i że chętnie pomogą mu znaleźć drogę do drzwi.

Na dobrą sprawę nie miał szans. Mógłby pokazać im to i owo, ale przecież nie pracowali tu sami. Nawet zakładając, że udowodniłby kilka rzeczy ich kolegom, ktoś w końcu by go rozpląszczył na tej lśniącej podłodze. A że otaczałoby go wtedy kilku bardzo zdenerwowanych ludzi, na samym rozpląszczeniu pewnie by się nie skończyło.

Oparł się więc pokusie i poczęstował osiłków opowieścią o tym, jak to koniecznie musi się spotkać z ich szefem.

Wydawali się zaskoczeni i zasmuceni jego tępotą. Jakby się umówili, pokręcili jednocześnie głowami. Jeden ujął nawet Skorona pod ramię, a wtedy on wyjawiał im nazwisko szefa ochrony, z którym chciałby się spotkać na początek. To ich zatrzymało na moment. Popatrzyli na Skorona z odrobiną szacunku, który przełożył się też na mocniejszy ucisk na jego ramię. Poprosili o listy uwierzytelniające. Skoron wyjął jeden z wielu kawałków plastiku, jakie pętały mu się po kieszeniach. Przeskanowali go w mgnieniu oka i znów jednocześnie skinęli głowami.

– Dobra – oznajmił ten, który najwyraźniej był głosem w ich tandemie. – Idziemy.

Pan Głos ruszył przodem, natomiast Pan Chwył, nie puszcżając ramienia Skorona, praktycznie zaciągnął go do małego, ciasnego pokoiku, którego nie wzbogacało nic poza niewygodnym krzesłem i pewnie setką kamer wspomaganych tysiącem najróżniejszych czujników. Skorona zmierzono, zważono, prześwietlono i najpewniej wpuszczono mu do krwi armię nanoszipięgów, tak że nic nie poczuł. Obsługa pierwsza klasa – uznał.

– No dobra – warknął głos dobywający się zewsząd. – Ta kuleczka pod twoim lewym ramieniem. Co to jest?

– Prywatna informacja dla Mistrza. – Skoron spróbował się uśmiechnąć na wzór błękitnej lali z recepcji. – Nie do przeskanowania dla was, myszki.

– Ale możemy ci ją wydłubać bez znieczulenia, cwaniaku!

– Prościej będzie powiedzieć Mistrzowi, że czekam tu na niego z dwoma słowami: Sukar Terenis.

– Sukar Terenis, co? – westchnął głos. – Czemu mi się wydaje, że jesteś najgorszym rodzajem pluskwy, szmato? I że zrobilibyśmy Mistrzowi przy usługę, po prostu cię rozdeptując?

– Na pewno znasz takich jak ja i wiesz, że to nie byłąby przy służga. Myszkó.

– Czekał tu, cwaniaku! – poleciał rozeźlony głos i zamilkł.

Skoron czekał dobrych dziesięć minut, aż jedna z ciemnych ścian rozsunała się, a przez powstały otwór wszedł do pomieszczenia niewysoki, korpulentny i łysiejący z lekką męczyzna

o chytrych oczach. Mistrz.

– Skurwysynu! – ryknął. – Ty śmieciu! Śmiesz tu przychodzić i rzucać mi w twarz te słowa?

– Potrzebuję przysługi – wyjaśnił Skoron, nie podnosząc się z krzesła. Wyzwiska tamtego potraktował jako część rytuału.

– Ile, śmieciu?

Skoron się roześmiał. Zrobił to należyście sztucznie i na pokaz, odpowiednio do sytuacji. Sprawił, że tamten wyhamował.

– Przysługi, mówilem.

Ciekawiło go, co oznaczały magiczne słowa. Zapłacił za nie, a właściwie jego klientka zapłaciła, małą fortunę jednemu z kolegów po fachu. Każdy z nich gromadził olbrzymie ilości danych, które kiedyś komuś mogły się przydać. Zawsze można było liczyć na życzliwą pomoc przyjaciół z branży, pod warunkiem że człowieka było na nią stać.

– Przysługi, co? – wycedził Mistrz, ocierając pot z czoła. – No mów, śmieciu.

– Muszę się dostać na planetę.

– Co? – Jeden z najważniejszych ludzi w Stacji najwyraźniej spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego, co usłyszał.

– Muszę się dostać na planetę – powtórzył Skoron.

Prawdę mówiąc, czuł rozbawienie całą sytuacją. Oto szantażował prawdziwą szychę, nie jakiegoś tam pajaca z koneksjami czy byle bogatego gogusia, ale gościa, który, jeśli chciał, mógł żonglować gubernatorami. Najwyraźniej miał na niego coś, co przyprawiało tamtego o paniczny strach. Z takim kluczem dałoby się otwierać drzwi do najwspanialszych skarbców, a on musiał go wykorzystać na coś tak banalnego jak przelot na byle planetkę. A wszystko to przez głupotę wojskowych, którzy ogłosili kwarantannę i co gorsza, ku zdumieniu Skorona, ściśle jej przestrzegali.

– To niemożliwe – sapnął Mistrz. – Tęgo się nie da zrobić.

– To trzeba zrobić, koniecznie.

– Nie wiesz, czego żądasz! Po tym, co się tam stało...

– A właśnie, co się stało?

Tym razem naprawdę udało mu się go zaskoczyć. Mistrz wytrzeszczył na niego oczy.

– Ty nie wiesz? Przylatujesz tu i...

– Wyjaśnijmy sobie coś – wszedł mu w słowo Skoron. – Ja jestem nikt, zwykły łaps do wynajęcia. Przyleciałem tu, bo muszę znaleźć jednego faceta, i zastałem szczelną blokadę, odporną na łapówki i większość moich wejść. Dlatego ty zostałeś moim wejściem. Ale pojęcia nie mam, co się dzieje na dole. A ty, w ramach premii, wszystko mi wyjaśnisz.

Pół godziny później wrócił na pokład *Grzesznego Kręgu*. Minę miał niewesołą i ociekającą go

w napięciu Tessa nabrała przekonania, że mu się nie udało. Uspokoił ją.

Uszczuplił zapas barłku o butelkę koniaku i usiadł naprzeciw Tessy. Nalał i jej.

– Za powodzenie! – wznosił toast.

– Kiedy lecimy? – zapytała, ledwie oderwała usta od kieliszka.

– Nie „my”. Ja. Jutro. Najprawdopodobniej jutro. Nasz nowy współnik musi pociągnąć za kilka sznurków, których wolałby użyć przy innej okazji. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Tylko ty? – wyraźnie się zdenerwowała.

Podczas podróży Skoron odkrył, że dziewczyna bardzo łatwo się denerwuje, jeśli coś nie idzie dokładnie po jej myśli. Wyszukanie damy sprawiało, że zdenerwowanie pozostawało starannie ukryte, jednak Skoron nauczył się je rozpoznawać.

– Tylko ja – powtórzył.

Zastanawiał się, jak wiele wie jego klientka. Od początku czuł, że chodzi o coś więcej niż tylko o poszukiwanie brata, teraz, gdy dowiedział się o wydarzeniach na planecie, nie mógł oprzeć się podejrzeniom, że mogą mieć z nim coś wspólnego. Oczywiście wszystko to mogło być zbiegiem okoliczności. Takie rzeczy się zdarzały. Trwała wojna i wiele się działo.

– Nawet nasz drogi Mistrz nie zdoła przemycić na powierzchnię dwóch osób – wyjaśnił. – Już jedna nadwerży się zobowiązań. Cokolwiek tam się stało, było na tyle paskudne, że cholernie przstraszyło facetów w mundurach.

– A co tam się stało?

– Bomba wybuchła. – Naprawdę nie wiedziała? Patrzyła na niego z napięciem czy tylko mu się wydawało? – Jakieś urządzenie nowego typu. Generałowie dostali szału i kazali zamknąć szczelnie całą okolicę. Mistrz poruszył niebo i ziemię, żeby zgodzili się tam wysłać jeszcze jednego reportera. Który, uwaga, nie będzie mógł przesłać stamtąd żadnej informacji ani opuścić planety, nim armia nie zdejmie blokad. Nadal chcesz tam lecieć?

– A jeśli go tam nie będzie?

– Jakoś się urwę. – Wzruszył ramionami. – Albo poszukasz kogoś na moje miejsce.

– Nie chcę. Jesteś naprawdę dobry. Bez ciebie nie dotarłabym tutaj.

– Pogłaszcz mnie jeszcze po główce. Nie, nieważne. Wybacz, jestem skonany, idę się kimnąć.

Schował się przed nią we własnej kabinie. Przez chwilę znowu się zastanawiał, co Tessa wie i ile przed nim ukrywa. Wreszcie, wobec daremności tych rozważań, poddał się i rzeczywiście usnął.

Zaledwie trzy godziny później nadeszła wiadomość od Mistrza. Miał się zbierać jak najszybciej i gnać do jednego z doków okrętu-bazy Stacji, skąd zabierze go wojskowa barka. Osoba, która skontaktowała się z nim w imieniu Mistrza, wyraziła nadzieję pryncypała, że nigdy więcej się nie zobaczą. Skoron zapewnił ją, że łamie mu serce. Pożegnał się szybko z Tessą i by

uniknąć lawiny pytań, czmychnął czym prędzej.

Był jedynym pasażerem barki. Upchnięto go między wielkimi pojemnikami z bogowie wiedzą czym, na pewno jakimś supertajnym sprzętem, bo pilot trzy razy się upewniał, że Skoron nawet nie pomyśli o zaglądaniu do nich. Objął się o nie przez całą drogę i kłął na czym świat stoi, zapewne ku ucieście pilota rozpartego wygodnie w fotelu.

Wylądowali na prowizorycznym lotnisku, na którym nikt na niego nie czekał. Wojskowi w mundurach dziesiątków formacji miotali się po okolicy jak pijane mrówki, którym ktoś rozdeptał mrowisko. Wszyscy wrzeszczeli na siebie nawzajem, oprócz paru zduszonych weteranów, rozpartych na stercie worków i obserwujących całe to zamieszanie jak ktoś, kto planuje skok na bank. Uznał, że najlepiej będzie pogadać właśnie z nimi.

Bardzo szybko go dostrzegli, zapewne gdy tylko wysiadł z barki. Jako jedyny w okolicy nie miał na sobie munduru, wyglądał wręcz jak gość, który pomylił przyjęcia. Zmienił wprawdzie swoje miejskie ubranie na strój, który uznał za nadający się do pracy w terenie, wciąż jednakani trochę tu nie pasował. Gdy zbliżył się do zblazowanych weteranów, wyszczerzyli się do niego.

– Dycha za informację, stowa za pojazd – przywitał ich.

– Pojazd? – Przesadnie zdziwił się najniższy z nich. – A co my, szanowny panie, parkingowi?

– Parkingowi? Nie. Ludzie z inicjatywą. Muszę się dostać do Perełki. Daleko to?

Popatrzyli po sobie w sposób, który mu się nie spodobał. Znów odpowiedział mu ten mały. Uśmiechał się przy tym wrednie.

– Bliziotko. To co, zarobiłem już na swoją dychę?

Zarechotali zgodnie. Cała piątka.

Mógł się zgodzić na zostanie frajerem i zastanawiał się, czy nie opłaciłoby mu się to w jakiś sposób. Ludzie godni pogardy nie przyciągają niczyjej uwagi. Z drugiej strony nie miał ochoty szastać forszą, nawet cudzą. Nie przed tymi drobnymi cwaniaczkami.

– Wiecie co, chyba się pomyliłem – oznajmił i odwrócił się od nich. Gdzieś tu powinien znaleźć inną grupę nierobów, bardziej skora do współpracy. W ostateczności odszuka jakiegoś oficera i da mu w łapę. Tacy wprawdzie zwykle wiedzą najmniej, ale niedobór informacji mógł uzupełnić w Perełce.

– Chwila. – To nie był głos kurdupła. – Czekaj!

Zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

– Po co te nerwy? – Tym razem mówił facet, który wyglądał na wszystko, tylko nie na żołnierza. Łysy i monstrualnie gruby, mógłby co najwyżej pracować w kuchni, jeśli zmieściłby się w jej drzwiach. – Krechu požartował, taki jest. Wredziarski dla obcych, ale kochany.

– Maskotka? – domyślił się Skoron, obracając ku mówiącemu. – Skacze i śpiewa, co?

– No! Ty! – warknął kurdupel i prawie zerwał się z miejsca.

Powstrzymało go potężne, ważące na oko Skorona z ćwierć tony łąpsko grubasa.

– Krechu jest porywczy – ostrzegł z łagodną przyganą w głosie. – To szlachetniasty chłopak, dumniasty. Wrażliwiasty.

– Perełka – przypomniał Skoron. I dodał: – Szlachetni panowie.

– Kawaleczek – Grubas przekrzywił głowę i wznosił oczy ku niebu, jakby coś obliczał. Jego wylupiaste oczy wyglądały przy tym, jakby próbowały uwolnić się z cielska i poszybować ku chmurom, wolne i lekkie jak nigdy. – Pchełką to będzie tak ze dwie godziny. A myślę, że moglibyśmy skombinować przełajniastą pchełkę. Za dwie setki.

– Sto pięćdziesiąt.

– Za sto pięćdziesiąt to będzie z prawie pustym bakiem. Dojedzie tyle, co pod tamto malownicze wzgórzyszcze. Sto i dziewięćdziesiąt.

Potargowali się jeszcze chwilę ku obopólnej satysfakcji, po czym dwóch żołnierzy pobiegło skombinować pojazd, a grubas uwolnił Skorona od części funduszy operacyjnych.

Bardzo szybko, jakby szlachetni chłopcy dysponowali sprzętem na zawołanie, od strony jednej z prowizorycznych szop rozległ się dwukrotnie przeciągły gwizd. Grubas i Krechu zostali, natomiast ostatni żołnierz zaprowadził Skorona na miejsce, w którym zaprezentowano mu „zorganizowany” sprzęt.

Pchełka wyglądała solidnie, jednak Skoron, ku oburzeniu szlachetnych chłopców, poświęcił chwilę, by sprawdzić, czy nie wycięli mu jakiegoś numeru w imię obrażonego honoru kurdupla.

– Ma zapisaną trasę w promieniu siedmiuset kilometrów – poinformował go jeden z żołnierzy obrażonym tonem. – Perełkę też. Spadaj i pamiętaj, żeśmy się nie widzieli.

Pchełka go nie zawiodła. Kilka razy spotykał patrole, które przepuszczały go, gdy okazał legitymację prasową i dwa giga zapisanych w niej oficjalnych zezwoleń. Tylko raz musiał wzbogacić je o dyszkę, która upewniła żołnierzy, że ma prawo do posiadanego pojazdu.

By dotrzeć do Perełki, musiał pokonać dwa dokładnie zmasakrowane ostrzałem wzgórze, na których tony złomu porozrzucane po całej okolicy zmusiły go do zwolnienia i ostrożnego manewrowania. Wszystko, co dało się sprzedać, rozkradli już lokalni przedsiębiorcy podobni do grubasa i jego kompanii, resztą nie interesował się nikt.

Kiedy zjechał wreszcie do Perełki, uznał, że część skradzionych z pól bitewnych rzeczy musiała się złożyć na powstanie tego miasteczka. Niektóre domy najwyraźniej zostały zrobione z wojskowych kontenerów, inne wyglądały, jakby poskładano je z resztek czołgów i ciężarówek.

Po miasteczku kręcili się i cywile. Skoron zatrzymał się przy jednym z nich, niewysokim mężczyźnie dziwacznie powyginanym, zapewne od ciężaru wylądowanego najróżniejszym sprzętem wózka, który ciągnął za sobą.

– Szukam jednego faceta... – zaczął, ale mężczyzna nie dał mu dojść do słowa.

– Wspaniale żeś pan trafił! Cie czącham, wspaniale! Duży Jo wie wszystko o wszystkich!
Dawajże pan!

– Sebastian Ture – rzucił Skoron, przyglądając się z powątpiewaniem mizernej posturze „Dużego” Jo.

– He? – Mikrus wyciągnął ku niemu wymownie dłoń.

Skoron utopił w niej piątką i powtórzył pytanie.

– A ten Ture to kto? – zapytał Duży Jo.

– To ty miałeś wiedzieć wszystko, nie? – warknął rozeźlony Skoron. – Reporter. Duży, zarośnięty, jąka się.

Twarz Dużego Jo rozjaśniła się natychmiast.

– A, Goryl! – zawołał. – To czeba było tak zaraz, cie czącham! Ten Ture to Goryl! Goryla najdziesz pan w Tylko Szeptem, o, w tamtym burdelu, widzisz pan? No w tamtym. Siedzi tam i pije z wdowom po tym ciptoku, co wyparował, że cie czącham!

– Wyparował?

– Ano, wyparował Rachuba! Taki mały gość, obywatel. Wyparował.

Wystawił zachęcająco dłoń, ale Skoron pokręcił głową. Przyszło mu jednak na myśl, że może jeszcze kiedyś potrzebować Dużego Jo. Zapytał, gdzie go znajdzie, i wcale nie zdziwiła go odpowiedź, że to tu, to tam, na pewno jednak gdzieś, jeśli zajdzie potrzeba.

Tylko Szeptem okazało się dwupiętrowym budyneczkiem, ani chybi wzniesionym z wojskowych kontenerów, uzupełnionym jednak przez inwencję domorosłego architekta o filikalne balkониki i spadzisty dach zrobiony z dziesiątków najróżniejszych elementów.

Ledwie wszedł do środka, zatoczyła się na niego rudowłosa laleczka hojnie obdarzona przez naturę wszystkim, czego potrzeba dziewczynie, w takim miejscu jak to. Złapał ją odruchowo, bo wyglądało na to, że zaraz gruchnie wszystkim swoimi miękkościami o podłogę i posiniaczy to, co powinno być traktowane delikatnie. Zachichotała, objęła go i mogłoby nawet do czegoś dojść, gdyby wielki jak góra żołnierz nie odciągnął jej na bok.

– Moja! – oświadczył tonem nieznośnym sprzeciwu i tyle ich Skoron widział.

Agent rozejrzał się po skromnym wnętrzu lokalu. W większej sali tańczyło kilka poprzytulanych par. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety wyglądali na zmęczonych. Przy nielicznych porostawianych pod ścianami stolikach żołnierze pili drinki. Samotni wypatrywali partnerek, pozostali przymierzali się do migdalenia, negocjując stawki. Nikt z tamtych nie przypominał Skoronowi Ture’a, zresztą wszyscy byli w mundurach bądź w tym, co z mundurów na nich pozostało.

Skierował się w stronę baru, przy którym siedziała tylko chuda jak ćwierć kostuchy blondyna, zagadująca coś znużonym tonem do malutkiej barmanki o smutnych oczach i twarzy czce, dla

kórej zniesiono by, zdaniem detektywa, celibat nawet w najsurowszych zakonach.

Ledwie Skoron dotarł do baru, blondyna oparła mu się o ramię i wychuchała w ucho, że dobrze zrobiłby jej drink

– A nie wolałabyś kolacji? – upewnił się.

– Na kolację jestem ja! – zapewniła, na wszelki wypadek kłusując go w ucho na potwierdzenie.

Tak naprawdę przydałaby mu się kobieta po tygodniu tłuczenia się jachtem w towarzystwie niedostępnej Tessy. Może zresztą dama wcale nie była taka niedostępna, bałby się jednak choć ją tknąć. Z tego, co wiedział o dworskim szkoleniu, w pięć minut mogłaby mu za pomocą seksu zrobić więcej niż dziesiątka agentów Służby tygodniami tortur.

Postawił blondynie drinka, choć nie był pewien, czy zaryzykuje odwiedziny w jej pokoiku. Mógłby się nieźle poobijać o te wszystkie sterczące żebra.

– Goryl – powiedział, płacząc. – Szukam Goryla.

Barmanka nie odpowiedziała, choć oczy jej zabłyśły. Za to blondyna próbująca przebić ostrym jak włócznia łokciem ramię Skorona wyjaśniła, że to ten facet, który właśnie wychodzi z kibla.

– Sebastian Ture? – zagał Skoron, gdy wielkolud dotelepał się do baru.

– A b-bo co?

– Sasza Talik z „Czwórkę” – przedstawił się Skoron. – Materiał robię, a słyszałem, że ty wiesz wszystko.

– Taaa? A od kogo słyszałeś?

– Ostatnio od mikrusa, który kazał się nazywać Duży Jo – wyjaśnił, uśmiechając się, jak miał nadzieję, sympatycznie. Przypomniawszy sobie kilka imion, które odnalazł w danych Ture’a. – A wcześniej wspominał mi co nieco Ted Balkally.

– A, Ted. I Duży Jo? – roześmiał się Goryl.

– Kurdupel Jo – wychuchała blondyna. Jej zęby znów znalazły się niebezpiecznie blisko ucha Skorona, aż się przestraszył, że musi być nielicho głodna. – Nazywa się Kurdupel Jo, ale wszystkim nowym przedstawia się jako Duży Jo.

– Czego po-potrzebujesz, Sasza? – Goryl, jak uznał Skoron, to typ sympatycznego, skórego do pomocy faceta. Tak trochę brat lata.

– Szukam jednego gościa.

– K-któż ważny?

– Dla innego gościa.

– Wiesz, strasznie tajemniczy jesteś, Sasza. – Goryl przestał się uśmiechać. – Jak masz kontrakt, to przecież ci go nie ruszę. Coś ci ten Ted strasznie naściemniał.

– To nie tak – Skoron przywołał na usta niby to zakłopotany uśmieszek – Wiesz, ja to robię

trochę na boku. Jest facet z kancelarii adwokackiej, który szuka tego gościa. Nie może tu dotrzeć sam z powodu kwarantanny, więc szukał kontaktu z kimś, kto już tu siedzi, i znalazł mnie. Znamy się trochę, bo czasem coś od niego dostaję.

– Aha, cicha robota, co? – Goryl mrugnął porozumiewawczo. – Trzeba było t-tak od razu. Jak się nazywa ten, co go szukasz?

– Konrad Tarry. Służy tu w Legionie Urmieńskim.

– Po-poszukam. A nie masz jego zdjęcia?

Skoron wyświecił nad barem obraz brata Tessy.

– Wiesz, jakby m już gdzieś go widział – mrucał Goryl. – Maju, rzuć no okiem, m-może ty go kojarzysz?

Barmanka, która ustawiała akurat butelki na półkach za barem, zerknęła przez ramię. Niespodziewanie wydała cichy okrzyk i przypadła do baru, by przyjrzeć się bliżej wyświetlanemu nad nim obrazowi.

– Pies! – zawołała. – To Pies!

– P-pies? – powtórzył Goryl. – Ten ku-kumpel Rachuby? Ten, który ...

– On!

– Pies? – Skoron szybko dołożył kolejne przezwisko do listy tych, które zgromadził podczas poszukiwań. Rachuba? Ta ksywa też mu coś mówiła. Zaraz, czy to nie ten koleś, o którym wspominał Duży Jo? W takim razie ta ślicznotka zza baru mogła być jego dziewczyną.

W tym wszystkim najmniej spodobało mu się słówko „wyparował”.

– Jo wspominał coś o tym Rachubie – zaczęła ostrożnie.

Barmanka nie pozwoliła mu dokończyć.

– Sina, spadaj! – ofuknęła blondynę. – Nic tu po tobie!

– Jestem Samanta, a nie Sina – zaprotestowała tamta urażonym tonem. – A Sasza postawił mi drinka.

– Spadaj, Samanta! – uparła się Maja. – A Sasza ci nie ucieknie. Zresztą na sali znajdziesz z pięciu takich.

– Ten jest miły. I ładny.

– Płyn, mała – wtrącił się „miły i ładny”. – Mam tu do pogadania.

Prychnęła obrażona, ale odeszła.

– Zdaje się, że straciłem dziewczynę – mruknął Skoron. – Dawajcie, co macie.

– Nie tak szybko – ostudziła go Maja. – Ten twój adwokat ma szmal?

– Bo co? – zapytał ostrożnie Skoron zaalarmowany jej tonem.

– Bo może nam się przydać. Jak chcesz znaleźć Psa, panie ładny, będziesz musiał poszukać go poza planetą. I na pewno nie beze mnie.

Rozdział 12

1

Mężczyzna znany pod imionami Lusłana, Likurga, Ramona, Setha, Solona, ale najczęściej jako „Derwan”, tym razem był blondynem o prostej wojskowej fryzurze. Jego uniwersalny kostium przybrał fason uniformu dziesiątnika Legionu Relakiańskiego.

Takie przebranie pozwalało mu w miarę spokojnie wędrować ulicami Kanderu, miasta zarządzanego przez generała Faresciego, odwiedzanego właśnie przez delegację stronnictwa arystokratycznego. Faresci wydawał bal na cześć nowego przywódcy stronnictwa, księcia Leonarda Oruzona, przybyłego do Kanderu przed dwoma dniami. Negocjacje pomiędzy Oruzonem a Farescim musiały zakończyć się sukcesem, skoro zwiędzało je wielkie przyjęcie. Mężczyzna w mundurze dziesiątnika przybył do Kanderu na taką właśnie okazję.

Zaostrzono środki bezpieczeństwa. Liczne patrole co i rusz legitymowały przechodniów, jednak mundur zapewniał bezpieczeństwo i mężczyzna dotarł do celu nie niepokojony przez żołnierzy noszących te same barwy co on.

Bez trudu poradził sobie z zamkiem drzwi Satynowej Willi, mieszkania mistrza Corezzane’a. Mistrz spał jeszcze, odpoczywając po trwającej pół nocy próbie, ale jego służący byli już na nogach. Mężczyzna w mundurze dziesiątnika zabił najpierw dziewczynę w nazbyt słabym błękitnym mundurku uszytym wedle wzorów tanich, klasycznych pornoli. Gdy jej dopadł, trudziła się akurat rozsuwaniem ciężkich kłatar, by wpuścić nieco światła do wnętrza i zapoczątkować tym rytuał budzenia gospodarza.

Strój wskazywał, że pełniła w willi i inne obowiązki. Z profilu Corezzane'a wynikało, że mistrz gry na harfie preferuje zwyczaje starych satyrów, a jego służba składa się niemal wyłącznie z młodych atrakcyjnych dziewcząt.

Mężczyźni w mundurze dziesiętnika trochę żal było marnować tak kuszące ciała, nie zamierzał jednak ryzykować w najmniejszym choćby stopniu. Zabił całą służbę. I korpulentniejszą już kuchareczkę, i doskonale pasującego do haremowych warunków domostwa lokaja – eunucha, i pokojówkę w przebraniu pastreczki, i nawet nagą piękność wtuloną w szeroką pierś mistrza. Ona zdążyła się nawet obudzić i zdziwić, ale jeszcze nie przestraszyć. Mężczyzna w mundurze dziesiętnika chętnie wyświadczał dziewczynom łaskę szybkiej i bezbolesnej śmierci, jego postęпки nie nosiły znamion osobistego zaangażowania, a zabijanie rzadko sprawiało mu szczególną przyjemność. Nie był sadystą. Stanowił zupełnie inny rodzaj bestii.

Tylko mistrz Corezzane chwilowo ocalał z rzezi, jaką urządzono w jego willi tego ranka. Miał twardy sen, nie obudziła go nawet śmierć kochanki. Możliwe, że uniknął dzięki temu rozczarowania przykrym i bogatym w dramatyczne wydarzenia, a przecież tak wspaniale zapowiadającym się dniem. Mężczyzna w mundurze dziesiętnika zadbał bowiem o to, by mistrz nie obudził się już nigdy.

Na razie jednak żył. Wstrzyknięto mu specyfik zapewniający jeszcze głębszy sen. Po ciele artysty rozpełzły się nanity zbierające dokładne dane na temat jego organizmu i wspólnie zapisujące jego obraz. Pracowały szybko, by nie rzec – pospiesznie. Po pięciu minutach mistrz westchnął głęboko, mocno, ostatecznie. Posłuszne nanity ewakuowały się z trupa wprost do życzliwie podpiętego doń biotranslatora. Mężczyzna w mundurze dziesiętnika odczekał chwilę, aż urządzenie oczyści nanity z szumu informacyjnego, dostosuje je do charakterystyki nosiciela i zmultiplikuje, a potem wstrzyknął sobie je wszystkie.

Jego ciało się wyprężyło, oczy zamknęły, a usta zacisnęły. Zaledwie po kilku sekundach zwiotczał, opadł na łóżko obok zamordowanej pary, skulił się. Proces zajął kilka minut. Nanity przekształcały w tym czasie jego ciało, dostosowując je do pobranego wzorca.

Całkowita przemiana pozostawała poza możliwościami urządzenia, zresztą także poza życzeniem jego użytkownika. Jedyne, czego potrzebował zabójca, to obejmującego całe ciało przebrania, zdolnego oszukać czujniki optyczne i deszyfratory DNA. Wyspecjalizowani magowie wyposażyli go wcześniej w innergetyczny nadajnik maskujący, potrafiący generować fałszywe pole innergetyczne podszywające się pod charakterystykę mistrza. Nanity, korzystając z ukrytych pod mundurem zapasów biożelę, zbudowały zeń imitującą cielsko artysty konstrukcję opartą na jego DNA. Gdyby ktoś się uparł i zważył oszusta, odkryłby, że waży stanowczo zbyt mało. Jednak kamery i czynniki DNA imitacja zdolna była oszukać.

Blisko pół godziny zajęło zabójcy ukrycie ciała. Nie sądził, by przyszli po niego żołnierze

wyposażeni w sprzęt umożliwiający wykrycie włók bez rewizji, wolał się jednak zabezpieczyć. Gdy tylko skończył, przyniósł z kuchni śniadanie, które kucharka zdążyła przygotować, i rozsiadł się w salonie, oczekując gości. Kiedy odezwał się gong przy drzwiach, otworzył im sam. Harfę zainstalowano w sali balowej dzień wcześniej, nie musiał więc brać nic ze sobą. Uniform dostosował wcześniej przy gotowanym programem i teraz ubrany był w atlasową szatę w kolorze soczystej zieleni – barwach Kanderu.

Przysłano po niego trzech żołnierzy w reprezentacyjnych mundurach.

– Mistrzu, bądźcie łaskawi. – Jeden z nich uklonił się bez przesadnej elegancji. – Już czas.

– Już czas – zgodził się zabójca głosem mistrza Corezzane’a. Zamknął za sobą drzwi i ruszył z żołnierzami do pałacu Faresciego.

2

Kapitan Piotr Berak przybył do pałacu w sprawach Służby, kierowały nim jednak i prywatne pragnienia. Pozostawił hrabinę Karim Saveroli samą na początku ważnej misji i choć regularnie otrzymywał raporty tak od niej, jak i o niej, uznał, że nadszedł czas, by znów spotkać przyjaciółkę.

Na razie musiał uzbroić się w cierpliwość, rozpoczął się bowiem bal u generała Faresciego.

Berak nie widział nic niestosownego w fakcie, że i tym razem nie porzucił uniformu Służby. Dostrzegł jednak, że fantazyjnie poprzebierani goście generała nie podzielali tego przekonania. Dokądkolwiek się udał, zaraz robiło się wokół niego pusto. Jak zwykle go to bawiło. Być może raziła spokojna ostentacja jego stroju, możliwe jednak, że większość przybyłych wyczuwała, iż nie służy im przebywanie w pobliżu oficera Służby na balu wydanym na cześć porozumienia pomiędzy arystokracją a generalicją.

Wobec wyraźnego ignorowania go przez służących Berak sam poczęstował się sokiem brzoskwiniowym i rozejrzał po sali.

Młody książę Oruzon już przybył. Wraz z nieodłączną ostatnimi czasy faworytą zabawiał rozmową lokalne znakomitości. Tam, gdzie on nie zdołał werbować sojuszników argumentami i obietnicami przyszych zysków, hrabina zdobywała mu ich urokiem i łapówkami. On przekonywał i zastraszał, ona uwodziła. Stanowili doprawdy znakomity duet i na razie żadnego znaczenia nie miał fakt, że on był zaledwie przedłużeniem ambicji swego ojca, ona zaś produktem

Służby.

Księciu towarzyszył także Jewgienij. I on zwrócił uwagę na Beraka, jednak w przeciwieństwie do większości uczestników balu wyraźnie życzył sobie obecności agenta. Odpowiadając na dyskretny znak majordomusa, Berak skinął głową i podszedł do stołu z zakąskami. Zgromadzone tam pyszności wszystkich światów stanowiły zaledwie oprawę dla przyrządzonych na dziesiątki sposobów owoców serle i catori – specjalności planety Rombout, której stolicą był Kander.

– Przyjacielu! – szepnęła Jewgienij, nachylając się nad półmiskiem z błękitnymi ostrymi gami. – Dobrze, że się zjawiłeś. Odłąd przybyliśmy na tę przeklętą planetę, cały czas czuję swędzenie w karku. Coś jest nie tak

– Niepotrzebnie szepczesz. I tak wszyscy na nas patrzą, więc nie ukrywamy tej rozmowy.

– Patrzą, ha! Ale właśnie oczekują szeptów, drogi przyjacielu. Na tej przeklętej planecie wszystko jest grą – kąt ułożenia wachlarzy, rodzaje i kolory masek. Oni tu używają dziesiątek międzyjęzyków, nikt nie mówi nic wprost. I taką planetę wybrano na przy pieczętowanie sojuszu!

– Neutralną planetę dla egzotycznego sojuszu.

– I to jak egzotycznego! Chodź, skosztujmy wody Galeta, pochodzi z wyjątkowego ponoć źródła mineralnego.

– Jest narkoty zowana.

– Ale wyostrza zmysły. Mam przeczucie, że będziemy dziś tego potrzebować. Te przeklęte stroje, maski, ten tłum! Można by tu upchnąć dziesiątki agentów.

– Co, nie wątpię, uczyniłeś.

– Za mało! Mówię ci, nie podoba mi się to wszystko. Nie podoba mi się ten sojusz. Jakim cudem dwa najbardziej skłócone stronnictwa imperium doszły do porozumienia? Po co?

– Przeciw komu?

– Raczej za czyim pośrednictwem. Czulbym w tym rękę cesarza, ale to przecież wbrew jego planom.

– Pokój? Sądzę, że właśnie on byłby teraz bardzo na rękę cesarzowi.

– Ty coś wiesz, Piotrze? To Służba przy pomocy hrabiny nakręciła to wszystko?

– Hrabina ma jedynie powściągnąć ewentualne działania księcia przeciwko cesarzowi. Nic więcej.

– Masz pewność?

– Jestem jej głównym łącznikiem.

– Szlag! Wszystko idzie nie tak. Stary książę szykował się do wojny z generalicją, wszystko przygotowaliśmy właśnie na nią. A ci młodzi wszystko podwracali. Wręcz miałem nadzieję, że to wasza gra, ale zdaje się, że to jednak książęcy bracia wszystko sobie zaplanowali. Wbrew zamierzeniom ojca.

– Może nie chcą tylko stać w jego cieniu?

– O, to na pewno. To ambitni smarkacze.

Berak uśmiechnął się, wyczuwając rozdrażnienie majordomusa.

– Nie słuchają cię, nieprawdaż?

– Słuchają taktycznych rad, wysyłają mnie, bym załatwił dla nich ważne zadania. Ale nie mam już nic do powiedzenia na temat strategii rodu. Ja!

Pociągnął głęboki łyk wody Galeta. Skrzywił się.

– Co za świństwo!

– Masz. – Berak podał mu przygotowany zawczasu kielich. On już znał narkoty zwaną wodę. – Soliniańskie wino. Zabija każdy nieprzyjemny smak

– Uuch, dziękuję. – Jewgienij wychylił kielich jednym haustem. – Masz jeszcze?

– Proszę. Przynaj, że chłopcy nieźle sobie radzą. Nie do końca tak jak to sobie zaplanowaliście ze starym księciem, ale jednak Taki sojusz! To jest coś, co przyniesie chwałę Oruzonom i wyniesie ich na szczyt stronnictwa.

– Za szybko! – nie dawał się przekonać Jewgienij. – To zły plan, powiadam ci, przyjacielu, zły! Wojna z generalicją była zgodna z zamiarami cesarza. Osłabiłaby wbitych na wojnie w pychę generałów, nie wznacniając przesadnie arystokracji. Zresztą sam wiesz, zabijaliście jednych i drugich. A to, co zrobiły te szczeniaki, to wzmocnienie obu stronnictw, niemal wyzwanie rzucone cesarzowi. Nie, przyjacielu, mój kark wyczuwa kłopoty. Ale spójrz, zaczyna się!

Gromada grajków i błaznów poprzedziła przybycie króla i królowej balu. Ona w srebrze, on w złocie, kroczyli dostojnie pośród kolorowego harmidru sług. Mężczyźni i kobiety usuwali im się z drogi, składając przepisowe karnawałowe pokłony zarezerwowane właśnie dla tej pary, wybranej w drodze losowania spośród najuboższych mieszkańców miasta. Ich panowanie zaczynało się od ostatniego karnawału zimy i trwało przez okrągły rok. Cześć, jaką im oddawano, stanowiła zaledwie część rytuału i była jedynie symboliczna. Niemniej królewskie pary dysponowały pewną zakulisową władzą, którą najznakomitsi władcy karnawału potrafili obracać na własną korzyść.

Para królewska stanęła przed gospodarzem i jego gościem. Obyczaj nakazywał, aby to właśnie oni pokłonili się monarchom. Gdy to uczynili, król podarował złote maski gospodarzom, królowa zaś srebrne gościom. Udzieliwszy w ten sposób pełnomocnictw, monarchowie wygłosili zwyczajowe pozdrowienia, po czym dawszy znak grajkom, rozpoczęli bal królewskim tańcem. Nagrodzeni okłaskami i wiwatami ukłonili się łaskawie poddanym, po czym spoczęli na przygotowanych dla nich potężnych, przesadnie zdobionych tronach, których mieli już nie opuszczać aż do końca balu. Ich świta natychmiast podążyła za nimi, tworząc wokół monarszej pary barwny i groteskowy kordon, na pozór nie do przebycia.

Teraz głos mógł już zabrać generał Faresci. Przywitał wszystkich, poczynając naturalnie od księcia Oruzona i jego towarzyszek. Jego mowa wydała się Berakowi nudna i bezbarwna. Generał ani się nie zająknął o polityce. Bredził o powszechnym szczęściu i radości. Nuda, uznał agent. Zamiast więc poświęcać uwagę gospodarzowi balu, przeniósł spojrzenie na księcia i hrabinę. Ta dostrzegła go nareszcie i posłała mu dyskretny uśmiech. Pozostawił go bez odpowiedzi, zbyt wiele osób nie odrywało od niej oczu. Za to stojący za jego plecami mężczyzna wciągnął głęboko powietrze. Najwyraźniej uznał uśmiech hrabiny za przeznaczony dla niego.

– Taka piękna kobieta! – szepnęła jego towarzyszkę. – Masz szczęście!

– Piękna i potężna – zgodził się mężczyzna. – W istocie! Powinna poznać różnicę między tym jej dzieciakiem a prawdziwym mężczyzną.

Berak odwrócił się i spojrzał na nich, by zapamiętać twarze. Gdyby ten bęcwał podjął próbę uwiedzenia hrabiny, mógłby sprawić nieco kłopotu. Pod warunkiem że okazałby się kimś znaczącym. Mężczyzna odpowiedział na spojrzenie agenta, pogardliwie się wykrzywiając. Czegoż mógł chcieć od niego jakiś sługus Służby? Powszechnie było wiadomo, że wybierano do niej wyłącznie ludzi z pospólstwa. Mogli sobie mieć wpływ, daleko im jednak było do szlachetności i autorytetu arystokracji.

Jewgienij na wszelki wypadek odciągnął Beraka na bok

– Hrabia Aleksander Kandar Queritta i jego kuzyn, hrabia Sterro Kandar Derrante, dwa najznakomitsze rody miasta. Nie stawaj z nimi w szranki, przyjacielu! Nie dziś, nie tu.

– Nie jestem głupcem – prychnął Berak. Plusmysł podsuwał mu już akta obu arystokratów. Nie byli warci jego uwagi i nie mieli najmniejszych szans na zdobycie przychylności hrabiny.

– Każdy z nas głupieje, gdy chodzi o kobietę, przyjacielu. Dlatego i wy, i ja, i wszyscy inni podstępni ludzie świata tak często je wykorzystujemy.

– Nie agenci Służby, nie powinienem ci tego przypominać.

– Może i nie. Jak wiesz, uciekłem, nim zdążyli mnie mentalnie wykastrować. Bez obrazy. Ale widziałem, jak na nią patrzyłeś.

– Zaprzyjaźniłem się. Związek między agentem a jego prowadzącym przybiera niekiedy taką formę.

– Naturalnie.

Czy Berak naprawdę słyszał nutę kłyny w głosie majordomusa, czy tylko mu się wydawało? Zerknął na niego, szukając choćby śladu uśmiechu, ale Jewgienij rozglądał się tylko gorączkowo, prawie spanikowany. Coś złego musiało się z nim dziać, skoro tak otwarcie okazywał zdenerwowanie. Może rzeczywiście odsuwano go na boczny tor, a on nie potrafił się z tym pogodzić?

Po generale głos zabrał książę. I jego przemowa nie wykraczała poza standardy powitań. Po

komplementach, jakimi obsypał gospodarza, i po jaśniejszym obliczu generała zebrani mogli jednak przekonać się ostatecznie, że sojusz został przypieczętowany. Wzniesiony więc na końcu zupełnie neutralny toast powitany został niewspółmiernie mocnymi i radosnymi wiwatami.

Generał dał znak Zagrała orkiestra. Gospodarz ujął dłoń hrabiny Karim Saveroli, księżę Oruzon natomiast poprowadził na parkiet panią generałową Sabinę Faresci. Stopniowo, w kolejności dostojęstwa, dołączali do nich inni tańczący.

– I nie zwariuj tu, człowieku – sapnął Jewgienij, przyglądając się blisko setce wirujących w walcu Faresciego par.

Przesadzał. Bal został starannie zaplanowany, każdy taniec miał własną choreografię. Panie proszono do tańca według dostojęstwa, można więc było przewidzieć, kto z kim będzie tańczył i w którym tańcu. Znając kroki i figury, Jewgienij był w stanie obliczyć pozycję księcia Oruzona, jaki innych gości balu, w dowolnym momencie. I z pewnością tak uczynił. W rezultacie nie było więc chwili, podczas której przy księciu nie tańczyłaby któraś z par agentów Jewgienija.

Niemniej pewne ryzyko istniało. Tym bardziej że przewidziano także tańce, podczas których partnerzy stale wymieniali się między sobą. Wprawdzie także wedle ściśle określonych reguł, co nieco ułatwiało sprawę, jednak liczba zmienionych rosła niebezpiecznie.

Jakaś dziewczyna, na oko siedemnastoletnia, próbowała uwieść Beraka, najwyraźniej na życzenie ojca, jednego z mniej znaczących generałów. Agent skorzystał z okazji, tym bardziej że orkiestra zagrała właśnie ferańskiego kontredansa, jeden z tańców, w którym tancerze wymieniali się, takby kontrastować barwami.

Ferański kontredans wymagał nadzwyczajnej znajomości zasad kolorów, jednak Berak nie tylko przeszedł szkolenie w zakresie arystokratycznych reguł, ale też miał to szczęście, że czerń jego munduru stanowiła barwę poniekąd neutralną, pod warunkiem że unikał partnerek w sukniach o ciemnym kolorze. W sukni hrabiny Karim Saveroli, przygotowanej do reprezentowania królowej karnawału, dominowało srebro, Berak mógł więc wykorzystać okazję. Nie zwlekając, poprosił do tańca podstawioną mu dziewczynę.

Elektra Kortenge, tak się nazywała. Jej ojciec był jednym z generałów, dowódcą IX Legionu Rambout, człowiekiem zamożnym, niewiele jednak znaczącym w polityce. Być może za pośrednictwem córki pragnął nawiązać kontakt ze Służbą. Możliwe też, że istotnie planował uwieść agenta. Służba nie chwaliła się uwarunkowaniami swoich ludzi i czasem pozwalała ich „usidlać”, jeśli uznawała, że może być to dla niej przydatne. Berak na wszelki wypadek pozwolił sobie na lekki flirt, szybko jednak skorzystał z okazji, by przy pierwszej zmianie znaleźć się bliżej hrabiny. Przy trzeciej zmianie tańczył już z nią.

– Piotrze... Czy to nie nazbyt ostentacyjne?

– Drażnię się z parą głupców.

Roześmiała się.

– Cieszę się. Tak dobrze cię widzieć! Choćby przez chwilę.

– Uważaj, moja droga. Tu nie jest bezpiecznie.

– Och, przyjacielu, Jewgienij nie przestawał nas o tym przekonywać.

– Zaufałbym w tej kwestii Jewgienijowi.

– Jest roztrzęsiony, odkład książkę ograniczył jego wpływ. Walczy, by je odzyskać.

– Jest przede wszystkim znakomitym agentem. Nie rezygnujcie z niego nierozważnie.

– Czy to polecenie dla agentki?

– Dobra rada przyjaciela.

– Posłucham więc. Do zobaczenia, mój miły.

– Pani...

Zmiana!

Taniec, jak należy, Berak zakończył ze swą pierwszą partnerką. Prawiąc komplementy, odprowadził ją do rodziców. Ukłonił się matce, uściśnął dłoń ojca. Gdy odchodził, odwrócił się jeszcze, by spojrzeć na dziewczynę. Z rumieńcami było jej ślicznie. Możliwe, że ma potencjał. Możliwe, że robi z niej agentkę.

Ferański kontredans stanowił ostatni taniec pierwszej części balu. Gości poproszono do stołów, a na salę wprowadzono starszego mężczyznę o długich siwych włosach. Zaanonsowano go jako mistrza Cezara Corezzane'a, wirtuoza gry na harfie. Wyglądał na około siedemdziesiąt lat, co obecnie nie oznaczało szczególnie sędziwego wieku, poruszał się jednak jak starzec. Może na coś chorował? Coś w nim zaniepokoiło Beraka, nie potrafił jednak zrationalizować obaw. Jedyne ten nazbyt zmęczony, starczy krok mężczyzny wprowadzał niepokojący dysonans.

Zerknął na Jewgienija. Majordomus także nie spuszczał wzroku z przybycia, przybrał przy tym – zapewne mimowolnie – pozę drapieżnika gotującego się do skoku. Wiedział coś więcej? A może także odezwała się w nim doskonalona przez lata intuicja? Tak czy owak, Berak nie potrzebował więcej dowodów, by przekonać się, że dzieje się coś niedobrego. Nauczył się ufać własnym przeczuciom, a teraz na dodatek widział, że nie tylko jego zaalarmowało przybycie mistrza Corezzane'a.

Rozejrzał się po sali, wypatrując agentów generała. Ludzi Jewgienija już rozpoznawał, wystarczyło się przypatrywać, kto tańczył w pobliżu księcia, jednak generalscy agenci nie ujawnili się w ten sposób. W tańcu nie chronił go nikt, najwyraźniej generał czuł się bezpieczny w swoim pałacu. Czyżby jego brak rozsądku sięgał jeszcze dalej?

Mistrz Corezzane, jak nakazywał obyczaj, najpierw złożył ukłon władcom karnawału. Dopiero wtedy ruszył przywitać się z honorowymi gośćmi i gospodarzami balu.

Harfista przyklęknął przed księciem. Młody Oruzon ujął go za ramiona i podniósł z podłogi.

Uścisnęli sobie ręce.

Jewgienij warknął i ruszył ku harfiście. Jego agenci także poderwali się z miejsc. Berak nie czekał, zerwał się do biegu.

Harfista ucałował dłoń hrabiny.

– Stać! – zawołał Jewgienij. Rozpaczliwe tony przebijały w jego głosie. – Na Przestrzenie, powstrzymajcie go!

Teraz ruszyli nareszcie i agenci generała. On sam, zaskoczony, cofnął się o krok.

Książę Oruzon zbladł nagle. Zachwiał się. Hrabina ujęła go za ramię, starając się go wesprzeć.

Falszywy harfista zrezygnował z udawania starca. Nim agenci zdążyli go powstrzymać, gwałtownym skokiem dopadł generała i zmiażdżył mu krtani jednym ciosem. Generałowa ocalała, gdyż w tej właśnie chwili generalscy ludzie dopadli zabójcę.

Profesjonalna część osobowości Beraka podziwiała tego mężczyznę. Obserwował, jak wprawnie unikał jednoczesnych ciosów dwóch agentów, odtrącił trzeciego i rzucił się ku wyjściu. Trzech następnych zagroziło mu drogę i trzech padło. Falszywe ciało już z niego opadało, chudł i młodził w oczach, pozbywając się ograniczającej ruchy tuszy. Wciąż jednak przypominał harfistę. Zapisy kamer miały na nic się nie przydać.

Berak patrzył na to wszystko i zapamiętywał każdy szczegół. Powinien był ścigać zabójcę, jednak ten jeden raz profesjonalizm agenta został pokonany przez drugą, zwykle stłumioną, zapomnianą część jego osobowości.

Sam sobie się dziwił. W jakiś sposób rozumiał, że jego kariera w Służbie jest skończona, że każdy krok ku umierającej, osuwającej się właśnie na podłogę kobiecie stanowi wykroczenie wobec Służby i zdradę cesarza.

Zdumiewał się, bo przecież uwarunkowań nie można przełamać. Czy winien był tej kobiecie aż taką lojalność?

A jednak odwrócił się od zabójcy masakrującego strażników generała i radzącego sobie nawet z ludźmi Jewgienija. Pewnie zmierzającego do wyjścia.

Pochylił się nad konającą hrabiną. Rozpaczliwie szukał w swoim podręcznym arsenale zabójczych środków i antidotów czegoś, co mogłoby jej pomóc. Omal nie zaaplikował jej wszystkiego, co miał.

Oddychała z trudem. Wyciągnęła ku niemu dłoń, a on dotknął chłodniejszej skóry. Teraz, poprzez dotyk mógłby jej zaaplikować lekarstwo. Gdyby tylko wiedział, czym ją otruto!

Zdawał sobie jednak sprawę, że to beznadziejne. Służba zaopatrzyła ciało hrabiny w znane sobie antidota, a zabójca z pewnością przygotował się na standardowe zabezpieczenia.

Spojrzał na Jewgienija, który klęczał nad księciem, aplikując mu wszystko, czym dysponował. Nadaremnie. A przecież majordomus skłanował swego pana i miał większe szanse ocenić, co go

zabija!

– Piotrze. Nie patrz tam. Spójrz na mnie.

Jeszcze żyła. Znalazła siły, by unieść rękę i dotknąć jego policzka.

– Zawsze chciałam... Wiesz, że zawsze chciałam, ale nic nie powiedziałam, bo bałam się tej twojej nieprzyjętności. Jaka byłam głupia!

Nie odpowiedział. Wymienili ostatnie uśmiechy.

– Przyjacielu? – Jewgienij porzucił daremne próby ratowania księcia i dotknął ramienia Beraka. – Ona nie żyje. A my mamy robotę do wykonania.

– Uciek?

– Nigdy nie ucieknie. Nie nam dwóm.

Berak skinął głową. Puścił dłoń hrabiny. Wstał.

– Nam dwóm – powtórzył. – Zgoda, nam dwóm.

I ruszyli w pościg. Dwaj słabi mężczyźni, którym ślepa, rozpaczliwa nadzieja i nieprzyjające im zwyczajne emocje przesłoniły na moment rozsądek.

3

Derwan, z każdą chwilą tracący kształty harfisty, bez trudu przedzierał się przez agentów i strażników. W krwiobiegi pierwszych wprowadził resztki toksyny ukrytej w dłoniach i ustach. Pozostałych musiał zabijać zwyczajnie.

Odpowiadało mu to. Bywało, że zleceniodawców drażniła jego brawura, on jednak czerpał z niej radość i jeśli tylko mógł, wybierał pozornie ryzykowniejsze rozwiązania. Kiedyś, pamiętał to jak przez mgłę, był inny, mniej zdolny, choć równie spragniony triumfów. Wiele się zmieniło, odkąd otworzono mu oczy.

Choć nie znajdował przyjemności w zadawaniu śmierci, cieszył się samą walką. Rozdawał ciosy i unikał cudzych. Plusmyśl podpowiadał mu najprawdopodobniejsze strategie przeciwników, bronił przed ingerencjami systemów obronnych pałacu i dokładał starań, by samemu je zainfekować. W myśl boskich kanonów zabójca nie był już nawet człowiekiem. Bogowie, te ślepe, ograniczone dzieci, wyrzekliby się go jak kundli Szkarłatnej Maski bądź, w najlepszym przypadku, skazali na pośmiertne życie pariasa.

Gwizdał na to. Jego nowy kontrakt powinien zapewnić mu wręcz arystokratyczny kredyt.

A jeśli nie? Był przekonany, że nawet jako parias byłby w stanie zejść za skórę wrogom. Czymkolwiekby się okazały niebiosy.

Zresztą i one miały się wkrótce zmienić.

Pałac uruchomił już systemy obronne i wprowadził pełne blokady. Wydostanie się przez taras na pozostawiony pod nim ślizgacz nie było możliwe. Nie zmartwiło to zabójcy, ślizgacz i tak służył raczej zmyleniu tropów.

Minął przestraszoną pokojówkę. Jej towarzysz, pośledni sługa, próbował zastąpić mu drogę. Zabójca odepchnął go, nawet nie zwalnając. Plusmysł kradnący strzępy obrazów z pałacowych kamer ostrzegł go, że tych dwóch niebezpiecznie szybkich mężczyzn, którzy wciąż go ścigali, celuje do niego z pistoletów. Uniknął pierwszego pocisku, zmieniając rytm biegu wedle podpowiedzi plusmysła, przed drugim schował się za drzwiami salonu.

Tu pojawiał się problem – nie zamierzał wchodzić do tego pomieszczenia. Jednak nie istniała inna możliwość uniknięcia postrzelenia przez tamtego mężczyznę, najpewniej także wspomaganego przez własny model plusmysła. O ile zabójca od razu rozpoznał w jednym ze ścigających go mężczyzn majordomusa Oruzonów, drugi pozostawał dlań zagadką. Zapisał jego obraz i natychmiast przestał się zajmować kwestią identyfikacji.

Obliczył nową drogę ucieczki. Wpadł w drugie drzwi, skręcił w korytarz dla służby, minął dwóch lokajów, wskoczył na parapet i wyskoczył przez okno przekonany, że trafi prosto na rusztowania robotników odnawiających elewację.

Usunięto je na czas uroczystości! Jakis przekłety esteta zdecydował w ostatniej chwili, że stara elewacja będzie wyglądała lepiej niż szkielety rusztowań! Zabójca zaklął, spadając. Powinien był to przewidzieć, do diabła! Ale jeszcze poprzedniego wieczoru opierała się w tym miejscu o mur!

Piętro niżej złapał się wystającego parapetu kuchennego okna. Jęknął. Może jednak nieźle wyszedł na tym upadku? Tamci chyba nie skoczą za nim?

Podciągnął się na rękach, stanął na parapecie i otworzył kopnięciem okno, wskoczył do kuchni. Uderzył kucharza. Strój zabójcy dopasował się do kroju i barw mundurków kuchcików.

Wybiegł na korytarz. Oni już tam byli! Cudem uniknął ich strzałów, to plusmysł na sekundy całkowicie przejął sterowanie ciałem, pompując weń dodatkową adrenalinę i poprzez neuroregulatury pobudzając układ nerwowy do nadzwyczajnie szybkich reakcji. Zdawał sobie sprawę, że zapłaci za to później. Miało czuć go wiele bólu. Na razie żył.

Ten nieznamy krzyknął coś za nim. Plusmysł zapisał jego niezrozumiałe w tej chwili dla przyspieszonego umysłu zabójcy słowa.

Skoczył ku następnemu oknu. Trzy piętra dzieliły go od ziemi. Znow złapał się parapetu, potem opadł o jeszcze jedno piętro. Wybił sobie wszystkie palce, upadł z jękiem. Skręciłby nogę w kostce, gdyby nie alarmowe wspomaganie. Nawet jego mięśnie, ścięgna i kości były w tej

chwili zalewane przez sterowane plusmylem nanity. Jeśli wcześniej oddalił się od człowieczeństwa, w tej chwili był już prawie robotem.

Tamci skoczyli za nim!

Majordomus źle obliczył lądowanie, krzyknął i upadł niezgrabnie. Próbował wstać, ale uszkodzona noga załamała się pod nim.

Ale ten drugi już gnał ku zabójcy. Kim on był?

Derwan zapanował nad chęcią odwrócenia się i stawienia czoła ścigającemu. Cóż by to był za pojedynek! Jednak za tamtym biegli pewnie następni agenci, którzy dopadliby go, gdyby tracił czas na walkę.

– Innym razem! – zawołał pod adresem mężczyzny, choć zdawał sobie sprawę, że tamten i tak nie zrozumie jego słów wypowiedzianych w fazie przyspieszenia.

Wciąż ścigany pobiegł przez pałacowy sad, by jednym susem przesadzić trzymetrowe ogrodzenie ledwie kilka metrów od miejsca, w którym ukrył następnego ślizgacza. I dobrze, zaczynał już odczuwać zmęczenie, zbyt długie przyspieszanie mogło się skończyć nawet śmiercią. A jego nie było w tej chwili stać choćby na omdlenie.

Spec, który go ścigał, poradził sobie i z ogrodzeniem. Wtedy jednak opadli go wynajęci przez zabójcę najemnicy. Zwerbował ich spośród lokalnych szumowin, nie stanowili godnych przeciwników dla doskonale wyszkolonego i wyraźnie wspomaganego mężczyzny. Ale zatrzymali go na kilka sekund, nim pozabijał ich wszystkich.

To wystarczyło zabójcy, by dotrzeć do ślizgacza, wskoczyć do kabiny i wzbic się nad ulicę. Widział, jak tamten jeszcze za nim biegnie, jak wykonuje jeszcze jeden, szaleńczy i rozpaczliwie długi skok, by zaraz upaść na dach niewielkiej willi i zsunąć się po nim na ulicę.

Ślizgacz minął jeszcze dwa domy, nim zmienił kamuflaż. Prowadził go już tylko program sterujący. Pasażer omdlał w końcu z wyczerpania i leżał wtulony w fotel pompujący węń witaminy oraz środki uspokajające i odżywcze.

Musieli teraz oszukać jeszcze systemy bezpieczeństwa miasta, by uciec.

Rozdział 13

1

Nowy świat nie różnił się wiele od starego, choć w ulotny, trudny do opisanego sposób wydawał się istotnie odmienny. Książę Oruzon przyjął ten fakt ze spokojem. Poniekąd tak właśnie powinny mieć się sprawy pośmiertne. Odmiennie, a zarazem swojsko. Tak reklamowały życie po śmierci foldery świątynne i – jak się przekonał – nie kłamały.

Nie irytowało go poczucie zagubienia ani nie drażniła niepewność, której doświadczał chyba po raz pierwszy. Tym, co naprawdę doprowadzało go do szału, było to, że po obu stronach śmierci sprawy nie układały się dokładnie tak, jak to sobie zamierzył.

Ponadto, co odkrył z pewnym zdziwieniem, acz po przeanalizowaniu uznał za całkiem naturalne, brakowało mu Jewgienija. Właściwie nic w tym nadzwyczajnego, przywykł wszak, że jego najbardziej kompetentny i zaufany człowiek zgaduje w lot książęce zamiary, rozszyfrowuje nastroje, a nawet wyprzedza myśli. Kłopot w tym, że Jewgienija nie brakowało księciu wyłącznie jako doskonałego sługi, ale także jako jedynego naprawdę bliskiego mu człowieka.

To nie powinno być tak, uznał książę. Śmierć nie powinna działać w ten sposób. Powinno być tak, że kiedy umieramy, to umieramy i nie obchodzi nas nic z rzeczy, które pozostawiliśmy. Witamy nowy świat i pławimy się w boskiej doskonałości.

Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że innergetyczna opieka bogów nie oferuje nowego sposobu istnienia po śmierci, jak głosiły naukowe i świątynne slogany. Jedyne, co robili bogowie, to zachowywali z człowieka, ile tylko się dało, i przenosili to do własnego wszechświata, w którym

prawie wszystko było możliwe.

Do rzeczy niemożliwych księżę zaczął zaliczać szybkie wydostanie się z Czyścica, stacji pośredniej pomiędzy życiem a pełnym bytowaniem innergetycznym.

Duchy kapłanów przychodziły do niego kilka razy dziennie – Czyściec posiadał bowiem cykle dnia i nocy – zamęczając go pytaniami i dziwnymi rytuałami, z których nic nie pojmował.

Swego czasu, gdy jeszcze ścieżki jego kariery zależały przede wszystkim od rodziców i opiekunów, ofiarowano mu edukację dotyczącą życia po śmierci. Jak większość dzieci, lekceważył ją, gustując raczej w polowaniach, ćwiczeniach wojskowych i treningu dworskim. Przyjmował, że choć nie będzie żył wiecznie, to jednak z pewnością bardzo długo i na teologiczne dyrdymały znajdzie czas, gdy już nie będzie miał sił na nic innego. Jak wielu ludzi przed nim omylił się.

Część Domu, w której go przetrzymywano, przypominała bardzo jasny pokój o półprzezroczystych, a jednak nieprzeniknionych ścianach. Natężenie światła zmieniało się wedle upodobań księcia i nawet noc zapadała wtedy, gdy wydawało mu się, że nastąpi odpowiednia pora.

Duchy kapłanów wyjaśniły mu, iż tak właśnie rzeczy mają się na tym świecie, a on powinien przyzwyczajać się do tego i powoli stapać z jasnością Pana, bo tylko to pozwoli mu szybko osiągnąć pełne szczęście. Pytał ich, kiedy umożliwione mu zostanie spotkanie z bogiem, oni zaś odpowiadali, że do tego każdy dochodzi sam. Podejrzał, że on i oni nie mówią o tym samym.

Któregoś z niezliczonych dni usłyszał niespodziewane krzyki. Nadstawił uszu. Takie rzeczy nie zdarzały się w raju, odkąd do niego przybył. Może w okolicy zakwaterowano jakąś niespokojną duszę, która nie pogodziła się z losem? Poczł przyplw nadziei na tę myśl. Dobrze byłoby spotkać kogoś takiego.

Jedna ze ścian zniknęła niespodziewanie. Zastępująca ją jasność zmroczniała i ku zdumieniu księcia przybrała kształty, które wydały mu się znajome. Zmrużył oczy i zobaczył park pełen ludzi i egzotycznych, a jednak znajomych roślin.

Po chwili zorientował się, że patrzy na Park Eryka, dzieło jednego z przodków, stworzone ogromnym wysiłkiem, przede wszystkim finansowym. Eryk Oruzon wygrał w karty podpadającą stację dogorywającą na orbicie jednej z cesarskich planet. Rodzina namawiała go na rozmaite inwestycje, opierające się przeważnie na zełomowaniu ruiny. Eryk, który wedle rodzinnych przekazów od urodzenia był nieco szalony i przejawiał zamiłowanie do niecodziennych rozwiązań, uparł się ożywić stację i przerobić ją na wielki park. Ponieważ był równie przedsiębiorczy jak szalony i równie bezwzględny jak utalentowany, omal nie doprowadził rodu do ruiny, realizując ten pomysł. Kradł, oszukiwał, uwodził i szantażował, lecz wreszcie dopiął swego, a co więcej – osiągnął sukces. Park przyniósł rodowi fortunę.

Za czasów księcia wyglądał jednak nieco inaczej. Książę zaczął wpatrywać się weń, doszukując się różnic. Ku swemu zaskoczeniu nie dostrzegал ich wcale tak wiele, co więcej, park jakby dostosowywał się do niego, przybierając kształty zgodne z jego wspomnieniami.

– Zuch chłopak! – zawołał niewysoki, zażywny mężczyzna w eleganckim granatowym fraku, modnym dobrych kilka stuleci wcześniej.

Spod wysokiego, odpowiednio granatowego kapelusza o larykaturalnie szerokim rondzie spływały długie siwe włosy opadające mu na ramiona. Szczupła, nieco chytra twarz ozdobiona została szczeciniastymi, białymi jak śnieg wąsami, nadającymi mężczyźnie tyleż dobrotliwy, ile zabawny wygląd. Przeczył mu zimny, drapieżny blask w bladoniebieskich oczach. Patrząc w nie, książę zrozumiał, że powinien strzec się przybysza.

– Zuch, powiadam! – wołał przybyły duch. – Na szczęście ta banda mięczaków nie przerobiła cię na swą modłę! Pójdźże, chłopcze, zabieram cię z tego obłąkanego sanatorium! Ale najpierw, na wszystkie słodkości, nabierz trochę ciała! Bo już prawie całkiem się rozpuściłeś!

– Karol Alofan Teodor, książę Oruzon – przedstawił się odruchowo, by dopiero potem zapytać, znacznie żałośniej niżby chciał: – Ciała?

– Niczego cię tu nie nauczyli, nieprawdaż? – Przybysz pokiwał głową. – Złość zażalenie! Zażalenie! – powtórzył głośniejsze.

Nagle zaroilo się od kapłanów. Wirowali wokół księcia, starając się go odseparować od niespodziewanego gościa. Szeptali coś o zagrożeniu, niebezpieczeństwie. Książę mógłby im uwierzyć, choć z drugiej strony poczuł jakiś związek z przybyszem. Kimkolwiek był tamten, nie należał z pewnością do ludzi poddających się losowi. Odpychał kapłanów, próbował przycisnąć się między nimi. Wobec daremności wysiłków spłoszył nagle, uniósł obie ręce i zawołał donośnym, mocnym głosem, zupełnie niepasującym do jego niezbyt imponującej postury.

– Dosyć! – krzyczał. – Dosyć! Ja, Eryk Stefan Aleksander, książę Oruzon, trzeci w kolejności spośród służących głowie rodu, powołuję się na swoje prawa i domagam wydania mi przybyłego Karola Alofana Teodora Oruzona, księcia za życia i, jak losy pozwolą, księcia po śmierci! W imię prawa i umowy pomiędzy prawdziwą Świętynią a rodem Oruzon żądam, byście mi go natychmiast wydali!

Kapłani zamarli. Jeden z nich próbował protestować. Tłumaczył, że Karol Oruzon jest jeszcze nieprzygotowany.

– Nieprzygotowany? – huknął na niego Eryk – Nieprzygotowany! To coście tu z nim wyczyniali przez cały ten czas? Słuchajcie, wy szakale maminsyni! Umowa przewiduje, że będziecie natychmiast zawiadamiać mnie o śmierci każdego z rodu Oruzon! Każdego! Jak długo już go przede mną ukrywaliście, he? Oddawać go natychmiast!

– Zaszły nieprzewidziane okoliczności – nie ustępował kapłan. – Karol Oruzon jest... w nim jest

coś niezwyčajnego.

– Oczywiście, że tak! – zaryczał Eryk, odpychając – odpychając! – go bezceremonialnie. – Jest wszak Oruzonem! Pozwól, chłopcze, niech cię uściskam!

Książę spodziewał się, że ręce Eryka przejdą przez niego jak przez mgłę, tak się działo, gdy próbował dotknąć kapłanów. Tymczasem ramiona Eryka oplotły zwiewne ciało księcia, a on je poczuł! Poczuł zarówno ciało Eryka, jaki własne. Po raz pierwszy, odkład zginął, znów korzystał ze zmysłu dotyku.

Krzyknął z radości.

– Tak jest – wymruczał mu Eryk prosto w ucho. – Tak jest, mój drogi chłopcze. Wlejemy w ciebie trochę życia. Przywrócimy cię światu i nie pozwolimy zmienić w jakiegoś przekłętego ducha.

Pociągnął go za sobą ku parkowi własnego imienia. Kapłani próbowali jeszcze protestować, żaden z książąt nie zwracał jednak na nich uwagi.

– Czujesz? – zawołał rozradowany Eryk – Czujesz?

– Czuję ulgę – odpowiedział zgodnie z prawdą Karol Oruzon. Rozglądał się po znajomej okolicy. Alejkami parku chodzili ludzie, wydający się zaskakująco żywi, choć podobnie jak Eryk, byli ubrani według dawno minionej mody. – Ale i gniew. Czy wykorzystano mnie?

– Naturalnie, mój chłopcze! Te kutwy, boże maminsynki, zawsze starają się wyssać z nas, co najlepsze. Ale tym razem przekroczyli wszelkie granice, naruszając umowę. Oj, każemy im za to zapłacić, zapewniam cię! Z moją pomocą wyciśniesz z nich ostatnie soki. A teraz oddychaj!

– Oddychać?

– Oddychanie to najważniejsza sprawa, mój drogi.

Oddychać. Ale po co łąkółwiek miałby oddychać, skoro już nie żył? Skoro nie posiadał ciała? Karol Oruzon posłuchał swego przodka głównie dlatego, że kapłani nie tylko nie wspominali mu o oddychaniu, ale wydawało się wręcz, że chcieliby, aby o nim całkowicie zapomnieli.

Spróbował przypomnieć sobie, jak się oddycha. Niby prosta, odruchowa rzecz, gdy ma się ciało. Ale gdy się go nie ma? Ale Eryk go przecież dotknął.

Wyciągnął rękę i wsparł się na ramieniu przodka. Ponownie napłynęło do niego wspomnienie cielesności. Wzmocniony nim, spróbował nabrać powietrza w wyobrażone płuca. Gdy nie wyszło mu to najlepiej za pierwszym razem, ścisnął mocniej ramię Eryka, potem jeszcze raz i jeszcze, i... Udało mu się! Poczuł, jak powietrze, lekkie i rześkie, wypełnia mu płuca. Roześmiał się. Wciągał powietrze ustami i nosem na przemian, śmiał się i krzyczał. Przechodnie posyłał mu ukradkowe spojrzenia. Rozpoznawali widać Eryka, nikt bowiem nie wyraził zdziwienia.

– Czujesz? Czujesz ten cudowny zapach, chłopcze? To kwitną erycje.

Zapach? Zapach był czymś, co musiał dodać. Spróbował przypomnieć sobie zapach erycji,

kwiatów rosnących wyłącznie w Parku Eryka. Bywał tam przecież, choć jedynie jako dziecko. Czy wspomnienie tego zapachu mogło przetrwać w jego pamięci? Czy istniało jakieś szczególnie silne wspomnienie związane z tymi kwiatami? A, tak! Przypomniawszy sobie, jak kiedyś zniszczył cały ich kłomb, bijąc się z Astkiem, chłopakiem jednego ze strażników ogrodu. Najpierw gonili się pośród kwiatów, potem zaczęli popychać, aż w końcu tarzali się, miażdżąc i rwąc na strzępy bujne żółte kwiaty, aż cali byli pokryci ich płatkami.

I zapachem. Który, prawdę mówiąc, nigdy specjalnie mu się nie podobał. Aż do dziś, gdy niespodziewanie, acz wyczekiwanie, wypełnił nareszcie jego nozdrza, stając się natychmiast zapachem ulubionym, zapachem życia.

Wraz z nim powróciło wszystko – żale i namiętności niesione pragnieniami, spełnianymi bądź nie. Wzrosła wściekłość na kapłanów, którzy próbowali pozbawić go całego tego bogactwa doznań. Nadspodziewana ich ilość omal go nie przytłoczyła. Tak wiele ich odczuwał, lecz na co dzień, gdy jeszcze żył, nie zwracał na nie uwagi. Tak przywykł do powiewu wiatru, lekkiego pieczenia zmęczonych oczu, swędzenia wnętrza lewej dłoni, gdy czuł zdenerwowanie, że przestał je zauważać. A teraz wróciły do niego z zapachem erycji i przywróciły mu zagubioną część niego samego, i wszystkie stały się istotne, wyraziste. Zatracił się w ich odczuwaniu, aż nagły ostry ból w kostce przywrócił go pośmiertnej rzeczywistości.

– Musiałem to zrobić, chłopcze – tłumaczył się bez śladu skruchy w głosie Eryk – Inaczej zupełnie byś odpłynął.

Skinął głową. Zrozumiał. Zresztą ból też był doznaniem, wspomnieniem życia. Uszczyptał się i syknął.

– Czy ja mam ciało? – Wciąż jeszcze był zdumiony. – Jak to możliwe?

– Masz i nie masz, drogi chłopcze. Nie pytaj mnie o takie rzeczy, nawet po tylu latach tutaj nie zostałem teologiem, by móc ci to wyjaśnić. Chodź, pójdziemy coś zjeść.

– Zjeść? Jedzenie jest...

– Niezbędne do życia. Dokładnie tak jak za twojego cielesnego bytowania, choć trochę inaczej. Postępuj za mną! Wyjaśnię ci, ile zdołam, po drodze.

Ruszyli szeroką, żwirową alejką prowadzącą, jak pamiętał Karol – a teraz pamięć stała się dla niego najważniejszą chyba częścią osobowości, szkatułą, w której odszukiwał coraz to nowe skarby, na przykład wrażenie dotyku kory brzozy odmienne od wrażenia dotyku wierzbowego liścia – do czegoś, co w dzieciństwie nazywali pałacem Eryka. W istocie była to niezbyt duża altana wzniesiona na ukształtowanym specjalnie dla niej wzgórzu. Droga do niej zajęła nadspodziewanie wiele czasu dwóm księżętom, z których jeden, choć z wyglądu dorosły, zachowywał się jak dziecko.

Podbiegał do każdego krzaczka. Głaskał łodygi i liście. Przytykał do nich policzki, a czasem lizał

liście bądź zrywał je i żuł. Próbował wspinać się na drzewa, zanurzał dłonie w ziemi. Gdy mijali strumień, wskoczył do niego. Skakał, rozpryskując wodę, a potem pochylił się, zanurzył dłonie i ochlapał twarz. Pił też ze strumienia, aż starszy z Oruzonów odciągnął go z powrotem na drogę.

– O, widzisz! – mówił, śmiejąc się, po części rozbawiony widokiem zdziecinniałego księcia, po części z radości, że udało mu się go wydrzeć kapłanom i przywrócić do życia. – Smak wody! Po tym, jak przez całe życie piliśmy te wszystkie wina i soki, gardziliśmy zwyczajnym smakiem wody. Uznawaliśmy, że jest niemal bez smaku. A tu proszę, jakie чудо! Tak, tak, chłopcze, ściskaj ten kamień aż do bólu, ściskaj. Też tak robiłem, swego czasu, bardzo dawno temu. Taka prosta rzecz, ściskanie kamienia, prawda? A ile radości. Czasem myślę, że jedyną dobrą rzeczą w śmierci jest to, że znów jesteśmy jak dzieci – wszystko jest dla nas nową cudownością. A właściwie my, Oruzonowie, od małości chowani na wojowników i przywódców, jesteśmy tu dziećmi być może po raz pierwszy.

– Ciało! – przypomniał mu Karol, który właśnie odnalazł rząd mrówek wędrujących po topoli i starał się przekonać kilka z nich, by go ukąsiły. Zarazem obawiał się zrobić im krzywdę, jakby tu, w świecie po śmierci, życie nabrało dla niego większego znaczenia. Być może wyczuwające to mrówki wcale nie spieszyły się z kąsaniem go i musiało mu wystarczyć, że delikatnie łaskoczą wierzch jego dłoni. Lecz – dotarło do niego nagle – skąd tu mrówki? Czyżby bogowie także im ofiarowali innergetyczne wzmocnienia dusz? A może stwarzali je właśnie dla ludzi?

– A, prawda, ciało! No więc nie wiem, mój drogi chłopcze, nie wiem! Myślę, że nie tyle mamy ciało, ile silne wspomnienie po nim. Ale kto może wiedzieć, jak się naprawdę rzeczy mają w tym raj? Widzisz, on jest inny niż nasz stary, ludzki świat, w którym wszystko jest zawsze tak samo. Tam, czy jesteś cesarzem, czy chłopem, jak uderzysz się kamieniem w dumny łeb, zawsze będzie cię tak samo bolało, bo kamień to kamień i łeb to łeb. Tu nie. Tu kamień jest zależny od ciebie. Tu wszystko jest zależne od ciebie. Zastanawiałeś się kiedyś, czym jest boski kredyt?

– Odpowiada za jakość życia po śmierci. – Karol dał spokój mrówkom, za to kłutł dłoń znalezionym gdzieś patykiem. Czasem czuł ból, a czasem nie.

– No, ba! Ale czym jest ta jakość, drogi chłopcze. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?

– Uważałem, że chodzi o pozycję. Im większy kredyt, tym wyższa pozycja po śmierci.

– A co to znaczy?

– Nie krwawię.

– Co?

– Nie krwawię. Jestem przekonany, że przebiłem skórę, a nie krwawię.

– Jeszcze zakrwawisz, chłopcze. – Eryk się uśmiechnął. – Chodź. Dobrze, nie będę cię męczył. Najpewniej nie uważałeś na lekcjach religii, czemu się i nie dziwię, sam też nie uważałem. Teraz, proszę, przestań ranić rękę kamykiem i skup się na chwile. Jeszcze zakrwawisz, powiadam! Nasz

wszehświat, nasz poprzedni wszechświat, posiada stałe zasady i prawa. Wszystko, co tam spotykaś, jest już zastane i z grubsza niezmiennie. Tu jest inaczej. Raj zbudowany wyłącznie z boskich esencji jest plastyczny. Poddaje się twojej woli, jeśli jest wystarczająco silna. Dlatego bogowie mieli problem z porozumieniem się z nami. Kiedy tylko zerkali w nasz świat, trafiali w zimne, zastygłe miejsce zamieszkałe przez istoty, które nie pojmowały podstawowej dla bogów zasady – tego, że sami są niezmienni, a świat zmienia się wedle ich zachcianek. U nas wyglądało to dokładnie na odwrót. Normalnie nie potrafilibyśmy tu wiele zdziałać, ale nasze dusze zostały wzmocnione przez boga. I tym jest właśnie kredyt – im większy, tym większe wzmocnienie i większy twój wpływ na rzeczywistość. Będąc Oruzonem, drogi chłopcze, możesz z nią zrobić... Może nie wszystko, ale wiele. Możesz na przykład tak bardzo wspominać swoje ciało, że aż ono niemal się stanie.

– Albo zrobić sobie ogród?

– Co tam ogród! – roześmiał się Eryk – Znacznie więcej!

– A ci ludzie? – Karol wskazał mijających ich przechodniów. – Co oni widzą? Własne ogrody?

– Korzystają z mojej łaski. A jednocześnie nieco ją umacniają. To uciekinierzy, jak ty. Po prawdzie nie do końca jak ty, bo twój kredyt, drogi chłopcze, jest wystarczająco duży, byś radził sobie sam. A im przydaje się pomoc.

– Uciekinierzy? Od kapłanów?

– Od życia po śmierci tak, jak wyobrażają to sobie kapłani. Oto i altana! Spójrz, Józef przygotował nam już śniadanie.

– Józef?

– Prawda, nie możesz pamiętać Józefa. Czy wiesz, że wśród po wielokroć starożytnych ludów podczas pogrzebu wielkich wodzów i królów zabijano wszystkie ich służki i niewolników, by służyli swemu panu po śmierci? Obyczaj to bez wątpienia barbarzyński, jednakowoż, jak widać, posiadający pewien sens. Oczywiście nikt nie zabijał Józefa na moim pogrzebie. Nie było takiej potrzeby, jako że mój stary, dobry Józef umarł przede mną. Czekał już tu na mnie i mogę z całą szczerością, jak i przekonaniem rzec, że jemu zawdzięczam, iż udało mi się umknąć tym przecherom kapłanom. Przyszedł po mnie, jak ja przyszedłem po ciebie. Nasz przodek, na którym spoczywał wówczas mój obecny obowiązek, był już wtedy... Cóż, odczuwał zmęczenie. Ale tam! Zdobądźmy to wzgórze, Karolu! Naprzód!

Ruszyli biegiem, Eryk pierwszy, a niewprawny jeszcze Karol za nim. Gdy dotarli wreszcie do altanki, byli spoceni i zdyszani. Karol cieszył się jednym i drugim. Eryk poklepywał go po plecach, śmiechając się i starając się odzyskać oddech.

– Wasze wysokości przybyły w samą porę! – powitał ich Józef, niewysoki, łysiejący mężczyzna w uniformie Oruzonów starego kroju. – Pieczeń już prawie gotowa. Wasza wysokość.

– Uklonił się Karolowi. – Służyć waszej wysokości będzie dla mnie zaszczytem i radością.

– Uważaj na wino, chłopcze! – zawołał Eryk, unosząc kielich. – Pierwsze pośmiertne może uderzyć do głowy! A zatem wypijmy za to spotkanie ponad pokoleniami, za to, żeśmy się odnaleźli, i za to, czego to śniadanie stanowi początek A przede wszystkim za życie, chłopcze! Za życie!

– Za życie! – zgodził się ochoczo Karol. Pił szybko, niecierpliwie. Ledwie upił pierwszy łyk wina, prawie odsunął kielich od ust, tak silny, odurzający był smak. Zarazem jednak pragnienie, by nie przerywać, by sycić się nim do ostatniej kropli, było zbyt silne.

Nadstawił pusty kielich Józefowi, lecz Eryk powstrzymał sługę.

– Przykro mi, drogi chłopcze, ale nie mogę pozwolić, by wino cię zamroczyło. Jesteś na to jeszcze zbyt słaby. Pamiętaj, twoja wola zbyt wiele znaczy w tym świecie, byś się jej tak lekko pozbywał. Skosztuj winogron. Zapewniam, że i one dostarczą ci wiele radości. A pieczeń, ach! Uwierź mi, pieczeń Józefa odeśle cię do raj! – zachichotał. – Prawda, że pyszne winogrona? Wróćmy jednak do rzeczy. Oto, słuchaj, raj jest subiektywny. Przeto Domy bóstw są takimi, jakimi chcą je widzieć bóstwa. Boska esencja przybiera niby materialne kształty, a złudzenie może być tak całkowite, że może nawet stać się rzeczywiste? Sam już nie wiem, czy moje ciało jest złudne czy rzeczywiste. Nie zestarzało się w każdym razie, a i umrzeć tu nie można. Ponieważ mój kredyt u boga jest naprawdę potężny, jak sam widzisz, mogę wiele. Tym bardziej że w porę wyrwano mnie ze szponów kapłanów, jak i ja wyrwałem ciebie i staram się wyrwać każdego z naszego rodu.

– Kapłani podkradają nasze kredyty?

– To nie tak, mój chłopcze. Oni są nędznikami, oczywiście. Wszelako nie ośmieliliby się tak oszukać nas ani tym bardziej własnego boga. Jego intencje zaś są jak najszczerze, za to ci ręczę. Bogowie nie oszukują ludzi, jak my siebie nawzajem. Ci głupi kapłani wierzą, szczerze wierzą, że powinniśmy zapomnieć o cielesności, o doczesnym życiu, o wszystkim, czym byliśmy. Uważają, że wspomnienia życia unieszczęśliwiają nas tylko i oddalają od wiekuistej szczęśliwości. Są przekonani, że pomagali ci tam w Czyśćcu. Wedle ich przeświadczenia oddalając się od życia, zbliżasz się do boga.

– Dziwaczna filozofia.

– Dziwaczna, ale posiada swój sens, w który jednakowoż wnikać byłoby czynem bezsensownym. Ale na razie dość o tym! Oto pieczeń, chłopcze. Doznajże rajskich rozkoszy!

Prawdę mówiąc, Karol zawahał się, nim skosztował potrawy. Eryk dostrzegł to i pospieszył z wyjaśnieniami:

– Specjalnie poprosiłem Józefa o proste danie. Na początek wystarczy. Lepiej nie przesadzać teraz z doznaniem. Zresztą więcej radości dostarczy ci, drogi chłopcze, stopniowe zaznajamianie

się ze smakowałykami życia.

– Nie w tym rzecz. Ja po prostu nie czuję głodu. Nawet apetytu nie mam.

– Głód w istocie jest kolejnym doznaniem, które będziesz musiał sobie przypomnieć. Na razie pomyśl o smaku potrawy, niech to pobudzi twój apetyt. Smacznego!

Karol odkroił kawałek i ostrożnie włożył go sobie do ust. Czy przypomni sobie smak pieczeni? A może przez pierwszych kilka sekund będzie żuł mięso bez smaku, a jego umysł będzie starał się przyporządkować mu odpowiedni smak? Przypomniał sobie, że z kawałkami trawy i liści, które kosztował, było inaczej, jednak potrawa przygotowana przez Józefa była z pewnością czymś znacznie bardziej złożonym.

Ku jego radości smak pieczeni zaatakował jego zmysły natychmiast. Z lubością długo przeżuwał mięso, starając się wycisnąć zeń wszystkie soki i cieszyć każdym kęsem jak najdłużej. A jednak stanowczo zbyt szybko z rozbudzonym nagle wilczym apetytem pożarł wszystko.

– Nie martw się, Józef przygotował także deser. – Eryk przyglądał mu się w trakcie posiłku. Sam ledwie tknął pieczeni. – Widzisz, drogi chłopcze, tutaj jedzenie jest ważne, ponieważ przypomina nam o kolejnym aspekcie życia i dostarcza kolejnych wrażeń. To następna rzecz, o jakiej musisz pamiętać. Z czasem wyrobisz w sobie uczucie głodu.

– Czy wszyscy tu jedzą?

– Po prawdzie niewiele. Widzisz, to po części kwestia kredytu, po części woli życia. Im większy masz kredyt, tym większe dostajesz wsparcie boskiej cząstki i łatwiej ci kształtować raj. Ale i z minimalnym kredytem możesz spróbować, choć będzie ci trudniej, no i nie uda się stworzyć niczego w takiej skali.

– I co się dzieje z tymi, co mają niski kredyt?

– Słabi zanikają. Jednoczą się z bogiem, jak mówią kapłani. Bredzą coś o pokornych, którym łatwiej osiągnąć niebiański spokój. Inni szukają wsparcia wśród potężnych jak ty, drogi chłopcze, czy ja. Chowają się w naszych domenach, jak na przykład w tym parku, przyjmując raj takim, jakim go kształtujemy. Dla nas to także dobre, bo wtedy ich małe kredyty wzmacniają nasze i pozwalają nam utrzymać to wszystko. Oczywiście to nie takie proste, muszą odgrywać swoje role: być policjantami, ogrodnikami... Pełnić inne funkcje. Wszystko, by umacniać kreację.

– I bóg nie ma nic przeciwko temu?

– Czemuż by miał? Ma nasze ładunki i jakkolwiek byśmy je wykorzystywali, umacniają go one i ubogacają. Może i mocniej by działały, gdybyśmy się w nim porozpuszczali, jak chcą kapłani. Ale nic z tym nie może zrobić – wiązą go kontrakty! Zresztą wątpię, by cieszyło go takie rozpuszczanie, przy którym tracimy na smaku. Według mnie bogowie lubią różnorodność. Jak znajdujesz truskawki?

– Rozkosznie truskawkowymi.

Dwaj książęta Oruzonowie spędzili w ogrodzie resztę dnia. Eryk oprowadzał znacznie młodszego krewnego wciąż ogarniętego entuzjazmem i niegasnącą ciekawością. Wreszcie, wieczorem, który zdaniem Karola zapadł stanowczo zbyt wcześnie, stary książę oznajmił, że czas wyruszyć do miasta.

– Masz tu całe miasto? – zdumiał się Karol.

– Poniekąd, chłopcze, poniekąd. Sam zobaczysz.

Poprowadził go ku jednej z ogrodowych bram. Za nią znajdowała się tylko wąska ścieżyna pośród wszechobecnej, bezkresnej łąki.

– Nie starczyło mi cierpliwości i ochoty na więcej – tłumaczył się Eryk – No i nie chciałem aż tak zszastać kredytem. Kto wie, na co może mi się przydać w przyszłości? Jednak chodź, już za chwilę zobaczysz Oruzon.

– Oruzon?

– Pałac Oruzon i miasto wokół niego o tej samej nazwie. To już niedaleko. Zresztą tutaj odległość to rzecz względna, jak wszystko. Oto Oruzon!

Po wspaniałościach ogrodu miasto wydało się Karolowi stanowczo nazbyt skromne. Składały się nań przede wszystkim parterowe domki lichej konstrukcji, prawie zupełnie pozbawione zdobień, czasami wręcz zaniedbane. Zdarzało im się mijać ruiny o krok od zawalenia. Ściany niektórych stawały się przezroczyste i Karol mógł dostrzec przez nie smętne postacie siedzące bądź leżące na prostych, chyłących się ku upadkowi łózkach. Ludzie ci wyglądali księciu na ciężko chorych, wręcz umierających. Zapytał o nich Eryka.

– To ci, którzy się poddają. My ich widzimy właśnie tak, oni siebie często mają za szczęściarzy wychodzących naprzeciw boskiej wieczności, jak wmówili im kapłani. Specjalnie ubrałem zanikanie w taką formę, by zniechęcać mieszkańców Oruzonu do odchodzenia od życia. Gdybyś spotkał takich zaniechaczy w domenach kapłańskich, ukazałoby ci się jako wspaniałe świetliste postacie. Przekłeta propaganda! Ale nie martw się, drogi chłopcze, wszystko tu tak wygląda, bo to peryferie. Tu mieszka biedota i niezdecydowani. Poczekaj, aż dotrzemy do centrum!

Minęli na ulicy mężczyznę w szatach o kolorach przesadnie jaskrawych i dobranych wedle szalonych standardów. Lewy rękaw miał wściekle różowy, a prawy seledynowy. Włożył czapkę we wszystkich odcieniach tęczy, a na liliową koszulę narzucił błękitną kamizelkę.

Otoczał go spory tłum szarych na tym tle ludzi. A on wabił ich obietnicami niezwyklej przyżyć warty ch zapłacenia ledwie drobnej części kredytu.

Karol zatrzymał się, by przyjrzeć się cudakowi.

Co pewien czas ktoś z tłumu podchodził do kolorowego mężczyzny, a wtedy on tańczył koślavo wokół ochotnika, zanosił się dziwacznym, niemal zwierzęcym śpiewem bez słów, po czym obejmował dłońmi skronie wybranej osoby.

Wtedy wokół nich rozbłyskały tysiące iskerek, otaczając ich wielobarwnym rojem.

Gdy gasły, przebieraniec znów nawoływał klientów. Ten, którego wypuścił, odchodził, uśmiechając się niczym ktoś, kto doznał religijnego objawienia.

– Zabieramy się stąd. – Eryk pociągnął Karola za rękaw. – Jak najdalej od tego szarlatana!

– Kto to jest? Co robi?

– Oszust. Złodziej. Łajdak

– Przestępca?

– Nie wiem. Nigdy mu nic nie udowodniłem. Słuchaj, synku, tutaj wszystkim, co mamy, jest inercja. On obiecuje, że urzeczywistni biedakom o niskim kredycie ich wizję raj. To niemożliwe, musiałyby dysponować księżęcym kredytem. A jednak jakoś ich oszukuje, sprawia, że wydaje im się, iż widzą taki raj, o jakim zawsze marzyli. Nie wiem, jak to robi, ale to jakiś przekręt. Placą mu strzępami swoich mizernych kredytów. Wracają do niego po kolejne dawki, jak ćpuni. Powinno się go usunąć, ale oficjalnie nie robi nic złego. Nigdy się z nim nie zadawaj.

Im bardziej zbliżali się do środka miasta, tym bardziej piękniały domy i dostojnieli ludzie. Wreszcie ponad dachami zadbanych, zdobnych kamienic wyłonił się pałac Oruzon. Jego widok zapierał dech w piersiach.

Dziewiętnaście smułych, wzniosłych wież pięło się ku niebu. Najwyższa niknęła w niedostępnych w zwykłym wszechświecie przestworzach. Choć na budowę złożyły się oczekiwania i prace wielu pokoleń Oruzonów, najwyraźniej komuś udało się zapanować nad chaosem ich gustów i nadać całości zharmonizowany, elegancki kształt. A przecież, na ile mógł dostrzec Karol, pałacowi nie brakowało zdobień i szczegółów mających podkreślać indywidualności jego mieszkańców.

– Doprawdy zrobiłeś na mnie wrażenie, mój chłopcze! – zawołał niespodziewanie Eryk, chwytając Karola za ramię. – Już wywarłeś na niego wpływ! Zaiste jesteś potężnego ducha!

– Wywarłem wpływ?

– Wystarczyło, że się zbliżyłeś, a wszystkie te – powiedzmy sobie wprost – kiczowate kwietne fale dodane przez twego dziada zdecydowanie osłabły. I ta kopuła, chłopcze! Jestem pod wrażeniem!

– Kopuła? Nie było jej wcześniej?

– Była, ale stanowczo zbyt artystyczna, jak na mój gust. Ty przydałeś jej charakter.

– Ale ja nic nie zrobiłem!

– Zapewne nie celowo. Jednak twój charakter dał o sobie znać. Sama twoja obecność już odmieniła Oruzon! Musisz jednak uważać, postępować ostrożnie. Nie szastaj kredytem, chłopcze. Widzisz tamtych ludzi? Tych dwóch, którzy właśnie chowają się w bramie? Niegodziwcy! To pijawki. Przycupną w twoim cieniu, by wyssać z twojej siły, ile tylko będą mogli. Strzeż się takich

jakoni! Bezpośrednio ci nie zaszkodzą, ale wzrosną przy tobie. A że to łajdaki dusze, to i łajdaki wpływ w wywrą na miasto.

Ku rozczarowaniu Karola Eryk nie zabrał go bezpośrednio do pałacu. Zamiast tego, klucząc uliczkami tak krętymi, że musiało to być wynikiem działań jakiegoś wyjątkowo podejrzliwego umysłu, dotarli do dwupiętrowej kamienicy, może nie ubogiej, ale też zdecydowanie przytłumionej przez bogate sąsiadki. Uśmiechając się jak ktoś, kto szykuje dowcip, Eryk zaprowadził swojego gościa do mieszkania na pierwszym piętrze.

– To Matylda – przedstawił Karolowi pięknie zbudowaną brunetkę, która otworzyła im drzwi. – Jest... no tak

Kobieta, na oko lat trzydziestu kilku, rzuciła się Erykowi na szyję, zasypując go wymówkami, przez które jednak przebijało oddanie, a może nawet jeszcze inne, mocniejsze uczucie. Skarzyła się, że przyszli tak późno, skazując ją na niepokoję oczekiwania, że czuła się zaniedbana, że znów się bała, iż jej księciu przytrafiło się coś nieoczekiwanego. Wreszcie, upomniana całym koncertem znaczących chrząknięć, raczyła zauważyć Karola.

– Wasza wysokość. – Złożyła nieco archaiczny, ale ze wszech miar przepisowy ukłon, co zdumiało Karola po powitaniu, jakie zgotowała jego przodkowi.

– Pani. – Odkonił się ostrożnie. – Jestem szczęśliwy, mogąc panią poznać. Widzę, że darzysz mego... przodka szczerym oddaniem. Racz przyjąć mą wdzięczność wraz z zapewnieniem, że gdybyś potrzebowała czegoś od Oruzonów, możesz zwrócić się do mnie z równą pewnością powodzenia, jakbyś zwracała się do samego księcia Eryka.

Jej oczy rozbłysły w półmroku korytarza. Ukryła je szybko, pochylając niżej głowę w pogłębionym ukłonie. Jej widok sprawił, że w Karolu zaczęło się budzić kolejne z zapomnianych uczuć.

– Ależ, serce, nie trzy majże nas w korytarzu! – przejął prędko inicjatywę Eryk.

Matylda bąknęła słowa przeprosin i poprowadziła ich za sobą w głąb mieszkania. Okazało się niezbyt obszerne i bogate. Krótkim korytarzykiem o bordowych ścianach zawędrowali do pokoju mającego zapewne pełnić funkcję salonu. Karolowi wydał się ciasny w porównaniu z salonami, do których przywykł. Musiał jednak przyznać, że gospodyni zadbała o jego elegancję, uznał też, że dość skromne wyposażenie przydaje całości pewnego uroku.

Poczęstowawszy gości likierem, Matylda przeprosiła i uciekła do kuchni, gdzie przygotowywała dla nich coś specjalnego na kolację.

Usadzony przy niewielkim okrągłym stoliku Karol pozostał już tam, Eryk natomiast natychmiast przesiadł się na wygodniejszą kanapę.

– Ona jest... – Karol zawiesił głos, niepewny, jakim słowem opisać Matyldę, tak by nie urazić Eryka,

– Mą faworytą, drogi chłopcze. Kochaną i kochającą. I piękną, jak widzisz. Posłuchaj, nakarmiłem cię i napiłem, spodziewałeś się, że odmówię ci innych doznań? Przez to jesteśmy ludźmi, przez co jesteśmy i mężczyznami, u licha! Wierz mi, im więcej sobie odmówisz, tym prędzej wyłądujesz roztopiony w bogu. Żyj i ciesz się życiem. Choćby i przez wieki!

Dalszą rozmowę przerwało im przybycie Matyldy. Dylematy Karola, jak też Eryk zamierza podzielić się z nim swoją faworytą, Matylda rozwiązała, przyprowadzając ze sobą inną kobietę. Drobną – zbyt drobną, jak uznał w pierwszej chwili Karol – blondynka okazała się zadziorną, dowcipną kobietką zupełnie nieprzejętą faktem, że przyszło jej spędzić wieczór w towarzystwie dwóch ksiąząt. Miała na imię Eiho, ale gdy Karol spojrział w jej oczy, zapomniał o imieniu, i o wszystkich swoich zastrzeżeniach.

Gdyby bóg miał takie oczy, Karol Alofan Teodor, ksiązę Oruzon, bez wahania by mu się oddał i roztopił w nim całkowicie.

W ciągu następnych dni odwiedzał Eiho niemal codziennie. Podczas jednej z wizyt po raz pierwszy poczuł wyrzuty sumienia.

– Eiho, jak to jest? – zapytał.

Leżała z głową na jego piersi. Jego mała Eiho, dziewczyna z miasta kreowanego potęgą woli jego przodków, którego wygląd mógł kształtować bezwiednie, samą siłą swojej osobowości. Zastanawiał się czasem, na ile ukształtował lub mógł ukształtować wygląd swojej nowej kobiety. Takie myśli budziły w nim trwogę. Żyjąc, marzył – bywało – o nieograniczonej władzy. Teraz znajdował się o krok od niej i drżał na myśl, że mógłby po nią sięgnąć.

– Między tobą a mną? – odgadła. – Mój ksiązę, mój biedny, zagubiony ksiązę! Jestem twoją przewodniczką w tym świecie.

– Ale czemu?

Nie oczekiwał, że zarzuci go litanią zachwyty, choć tak zwykle postępowały mniej wyrafinowane konkubiny podsuwane mu przez rody pragnące zyskać jego względy. Albo go szpiegować. Albo kontrolować.

– Martwisz się, że to ksiązę Eryk, jego wybujała wysokość, dał ci mnie w prezencie? Jestem tu dla ciebie, nie dla niego, mój ty najśłodszy kreatorze!

– Ma z tego zysk i dla siebie – wyjaśnił mu następnego dnia Eryk. Spotykali się codziennie. Eryk był przewodnikiem jego dni, jak Eiho nocy. – Pamiętasz, co ci mówiłem o ludziach żyjących w naszym cieniu? Takie są Eiho i Matylda. Gdy poznałem Matyldę, mieszkała w jednej z chat na przedmieściach. Dziś mogłaby mieć całą kamienicę, gdyby nie zadowalała się swoim małym mieszkanie. Nasza siła spływa na należące do nas kobiety i pozwala im kształtować raj

ponad granice ich kredytu. A do tego cieszą się doznaniem płynącym z miłości, tak samo jak my. Nie żałuj ich, drogi chłopcze, ani nie widać siebie – lub tym bardziej mnie! – w wyrzuty sumienia. Czyż za życia nie miałeś utrzymania?

Innego dnia Eryk wreszcie zaprowadził go do pałacu. Ogrom budowli niemal przytłoczył Karola, przyzwyczajonego już do dość skromnego (choć rzeczywiście rosnącego) mieszkania Eiho. To było niemal osobne miasto! Zapełniali je wierni służący wszystkich pokoleń Oruzonów, ich dalecy i bliżsi krewni, a wreszcie sami Oruzonowie.

Karol rozczarował się przodkami – mało który z nich przypominał Eryka. Jeśli już witali nowego członka rodu, robili to wprawdzie z zachowaniem niezbędnych ceremoniałów, a jednak z pewnym chłodem i niedbałością. Wydawało się, że bardziej niż poznanie Karola zainteresowani byli dochowaniem wierności etykiety.

I za życia spotykał podobnych im ludzi. Zwykle byli to przedstawiciele podupadłej arystokracji wyzbytej jakichkolwiek ambicji, zakonserwowani we wspomnieniach minionej chwały i przekonaniu o własnej przyrodzonej wyższości. Ujrzenie Oruzonów w podobnym stanie napełniło go smutkiem. Przywykł już do myśli, że Oruzonowie byli prężnym, dążącym do zwiększenia swoich wpływów i osiągnięcia przywództwa nad frakcją rodem. Ludzie, których spotkał tutaj, reprezentowali to, czym gardził najbardziej. Kontakt z nimi przepełniał go niesmakiem i wstydem.

Spotkanie z nimi okazało się jednak błahostką w porównaniu z audiencją u Filipa Oruzona, człowieka, który zapoczątkował istnienie i potęgę rodu. Pierwszego, który zawarł kontrakt z bogiem i wraz z V Kompanią Eksploracyjną wyruszył kolonizować przestrzeń. Karol podziwiał dokonania tego mężczyzny, wierzył też, że kontynuuje jego dzieło.

Filip Oruzon, jeszcze nie książe, ale prezes rady nadzorczej spółki Oruzon, wchodzącej w skład V KE, zajmował centralną salę pałacu, ulokowaną na parterze strzelistej pierwszej wieży, najwyższej ze wszystkich. Łuki sklepień spletały się wysoko, ponad głowę i poza zasięgiem wzroku Karola kroczącego przez bardziej halę niż salę – olbrzymią i pustą. Grube, miękkie dywany tłumiły każdy krok, dzięki czemu nic nie zakłócało monotonnej pieśni wykonywanej przez chór przycupnięty pod jedną ze ścian. Posępność melodii napełniła Karola jak najgorszymi przeczuciami, które się potwierdziły, gdy dotarł wreszcie przed tron Filipa.

Przyszedł tu sam. Eryk odprowadził go do progu i pożegnał. Spoglądając na założyciela rodu, Karol zrozumiał, że jeśli będzie to zależało od niego, także nigdy tu nie wróci.

Filip Oruzon, pierwszy z rodu, ubrany w prosty, lecz elegancki jednorzędowy garnitur barwy stali, na który ktoś narzucił kontrastowo bogaty płaszcz w barwach Oruzonów, siedział na wyniosłym tronie, stanowiącym chyba jedyny mebel w pomieszczeniu.

Przyjrawszy się przodkowi bliżej, Karol dojrzał, że jego ręce wrastają w podłokietniki fotela,

od którego rozchodzi się we wszystkich kierunkach pajęczyna korzeni rozrastających się po ścianach i pnących się ku sklepieniu. Podążając ich śladem, zobaczył, że i postacie, które wziął za chór, są w rzeczywistości płaskorzeźbami uczynionymi z korzeni na wzór ludzi, posiadającymi pozory oczu i ust i poruszającymi się w powolny rytm melodii.

Wszystko tu wyrastało z Filipa Oruzona i było nim. Protoplasta rodu widać dosłownie potraktował wcielanie świata w swą wolę i pragnienia. Stał się sercem pałacu, a sama budowla nabrała cech jego potężniejszego ciała. I choć Karolowi widok ten wydał się okropny, sądził, iż rozumie pobudki swego przodka – w tak kształtowanej domenie raju dominacja Filipa była całkowita, pozostali Oruzonowie stanowili tylko drobinki, niczym komórki jego ciała wzmacniali je i budowali, stopniowo może i tracąc własne osobowości. Ktokolwiek zdecydował się zamieszkać w pałacu, przyjmował na siebie cień Filipa i stawał się po części nim.

Karol zdrzął na myśl, że i jego mógłby spotkać taki los.

Salę tronową pozbawiono zwyczajnych okien. Ze smukłych witraży zrobionych z szybek o wielu odcieniach zieleni – i wyłącznie tego koloru – sączyło się wprawdzie sztuczne światło, były one jednak zbyt odległe od znajdującego się na samym środku tronu, by oświetlić go choćby w najmniejszym stopniu. Zielone światło zastygało o wiele metrów odeń. Wokół tronu ustawiono grube świece na wysokich świecznikach. Dodatkowo Filip jaśniał własnym seledynowym blaskiem.

Bardziej przypominał ducha niż człowieka, przez co sala tronowa w oczach Karola nabrała charakteru krypty. W pewien sposób uznał to za właściwe. Przecież wszyscy oni już nie żyli. Niektórzy od bardzo dawna.

A jednak wciąż podziwiał tego człowieka.

Uklęknął u stóp pierwszego ze stopni prowadzących do tronu i unosząc głowę ku Filipowi, powitał go.

Mężczyzna na tronie nawet nie drgnął. Wpatrywał się w jakiś punkt gdzieś wysoko, pomiędzy łukami sklepienia. Jego oczy wydawały się puste. Karol odczekał chwilę. Potem mocnym, silnym głosem zapewnił pierwszego z Oruzonów o swym oddaniu rodowi, o podziwie dla jego założyciela. Mówił nieprzerwanie, nie chcąc się poddawać. Niepostrzeżenie dla siebie zaczął opowiadać o swoich planach, tłumaczyć, jak pragnął przywrócić rodowi świetność. Opowiadał o bitwach w szeregu pomniejszych wojen i o wojnie największej, która nieomal doprowadziła do upadku Cesarstwo. Wspominał o swoich synach i ich planie na wszelki wypadek, ułożonym wraz z ojcem. Mówił długo, może nawet godzinę, aż wreszcie doczekał się reakcji.

Głowa Filipa drgnęła, opadła na pierś. Podniósł ją z wyraźnym wysiłkiem i spojrział na Karola bladymi oczami bez wyrazu.

– Ty – szepnął, z trudem przebijając się przez upartą pieśń chóru. – Ten ciężar. Ty nie

rozumiesz. Masz w sobie skazę. Odejść.

Nie padło ani słowo więcej. Karol czekał jeszcze chwilę, jednak Filip powrócił do swojej medytacji. Pożegnał się więc przepisowo i opuścił miejsce przedostatniego spoczynku pierwszego z Oruzonów.

Eryk nie czekał na niego w korytarzu. Karol szukał go w mieście, aż wreszcie znalazł w knajpce, w której starszy książę popijał wino nalewane mu przez klasycznej urody blondynkę na jego kolanach.

– Chodź, chodź, mój chłopcze! – zawołał, widząc wchodzącego. – Widzę, żeś wzburzony. Siadaj, napij się i naciesz tutejszą bardziej niż zacną obsługą!

Karol przyjął wino, odrzucił jednak zaloty dziewczyny.

– Ten człowiek! – zawołał. – Filip! Pierwszy z Oruzonów!

– On już jest bardziej tam niż tu. – Pokiwał smutno głową Eryk – Dlatego chciałem, żebyś go zobaczył. Pomijając oczywiście fakt, że wypadało, byś mu się przedstawił.

– Tam? W bogu? Zgroza! Nigdy bym się nie zgodził zmienić w coś tak przerażającego. Filip jest zarazem potężny i nędzny!

– Poczekamy, co powiesz za tysiąc lat. – Uśmiechnął się bez śladu wesołości Eryk – Za miliony butelek wina i tysiące kobiet. Wtedy porozmawiamy. Ale teraz bawmy się!

Bawili się więc. Wobec zbrodniczej nieczułości Karola uparcie odrzucającego zaloty obsługującej go dziewczyny Eryk ochoczo zajął się dwiema paniami. Karol zostawił go wreszcie pośród pijaństwa i uciech, na które nie czuł najmniejszej ochoty. Włóczył się po mieście, przekształcając je gniewnie wedle własnych kaprysów, byle tylko jak najmniej przypominało mu pałac i Filipa. Wreszcie wieczorem, wbrew sobie, dotarł do mieszkania Eiho i zapadł w jej chętnie ramiona, wściekły i rozżalony.

Następne tygodnie minęły mu niezauważalnie, dni nie różniły się od siebie. Wiedziony przez Eryka zaczął wreszcie korzystać z innych kobiet, chętnie lgnących w jego cień. Eiho zdawała się nie mieć nic przeciwko temu, póki zachowywała status jego faworyty.

Wzniósł dom w pobliżu Parku Eryka i unikał pałacu. Zatracił się w uzdatnianiu swojego postępcia i zapomniał o wszystkim innym.

Aż któregoś z dni, które dawno przestał liczyć, Eryk odnalazł go u Kariny o potężnych piersiach i mocnych dłoniach. Błady i milczący wyrwał go z jej objęć i zaciągnął do kapłanów. Karol na przemian śmiał się z niego i kłął. Stawiał opór. Przekomarzał się, wykrzywiając bieg ulic albo splatając je, by chodzili w kółko. Wola Eryka okazywała się silniejsza i zawsze znajdowali wyjście. W końcu jednak starszy książę stracił cierpliwość.

– Opamiętaj się! – krzyknął, potrząsając Karolem. – Uspokój się! Musisz mnie wesprzeć, musisz być silny!

– Co się stało? – roześmiał się wciąż jeszcze nie do końca otrzeźwiony Karol. – Co też się stało?
– Nie wiem. Łajdacy znowu ukrywają to przede mną! Ale coś się stało, Karolu, i mogę potrzebować twojej pomocy. Cokolwiek bowiem zaszło, z pewnością nie jest to nic dobrego!

2

– Mój syn! – Gniew Karola Oruzona, zdolny obrócić w perzynę innergetyczne miasto wznoszone trudem pokoleń jego przodków, nie zrobił wrażenia na kapłanach. – Tam jest mój syn! Zamordowany!

– Nie możecie naruszyć integralności Czyścica, panie.

– Nie mogę? Ja nie mogę? Tam jest mój syn!

Kapłan pozostawał niewzruszony, a kredyt księcia nie wystarczał, by przełamać jego upór. Karol zwrócił się o pomoc do Eryka, ten jednak pokręcił ze smutkiem głową.

– Za wcześnie, mój drogi chłopcze. Za wcześnie. Mogłem wdrzeć się do Czyścica, kiedy przetrzymywali cię w nim ponad miarę. Na razie nie mogę zrobić nic. Ten chłopak ledwie umarł, jeszcze nawet nie wyszedł z szoku. Teraz moglibyśmy mu tylko zaszkodzić. Przykro mi. Choć wydranie – łypnął na kapłana – nie powinniście tego przed nami ukrywać!

– Naszym zamiarem było jedynie unikanie takich sytuacji.

– Już ja wiem, co było waszym zamiarem! – warknął Eryk – I nie myślcie, że zostanie to zapomniane! Wróćmy tu. Znacznie szybciej, niżbyście tego pragnęli! Chodź, chłopcze, musimy jakoś to przeczekać. Jest taka knajpka, która...

Karol strącił jego dłoń z ramienia.

– Domagam się widzenia z bogiem! – zawołał. – Chcę stanąć przed Panem Ougli!

– Oczywiście. – Kapłan skłonił się, wymawiając imię boga. – Pan Ougli przyjmie cię w stosownym czasie. Zostałeś wpisany na listę.

– Na listę? – wrzasnął doprowadzony do ostateczności Karol. – Na jaką listę, na Przestrzenie? Jestem księciem Oruzonem! Mój kredyt...

– Twój kredyt został uwzględniony, zapewniam. Niemniej setki pokoleń czekają na spotkanie z Panem Ougli. A i ty musisz się na nie przygotować, nie jest łatwo stanąć przed bogiem. Musisz uzbroić się w cierpliwość.

– Mam wiadomość do przekazania Panu Ougli! – nie ustępował Karol Oruzon, przypominając

sobie o misji, której wciąż nie zdecydował się przyjąć. – Coś, co może usłyszeć tylko on, ale co jest istotne dla niego i całego świata... Dla dwóch światów, do diabła! Muszę z nim rozmawiać teraz!

– Co to za wiadomość?

– Nie dla ciebie, kapłanie!

– W takim razie przykro mi. Zostaniesz powiadomiony o terminie.

Odwrócił się i odszedł, nie zwracając uwagi na przekleństwa udręczonej duszy. Karol krzyczał za nim, aż wreszcie się poddał.

Eryk czekał cierpliwie.

– Chodź – odezwał się ze zdumiewającą u niego łagodnością. – Nie ma sensu tu czekać. Chodź.

Karol dał mu się poprowadzić.

Osiedli w spokojnej, cichej i ciemnej knajpcie, której stali by walcy, najwyraźniej rozpoznając Eryka, przywitali ich uniesieniami dłoni, po czym zostawili samym sobie.

– Mój syn! – powtórzył Karol już spokojniej, już się poddawał. – Skurwysyny zabiły mojego syna! Uderzyły w Oruzonów, uderzyły w nasze plany! Uderzyły we wszystko, co zamierzałem!

– Napij się. – Eryk podsunął mu kieliszek.

– Napij się! – prychnął Karol. – To twoja rada na wszystko? Picie i dziewczynki. Tak spędzasz wieczność?

– To albo rozplynięcie się w bogu. – Eryk wzruszył ramionami. – Napij się.

Karol ustąpił. Wódka była mocna, piekła w podniebienie. Rozkaszła się i cisnął kieliszkiem o ścianę. Szkło rozprysło się i rozsypało po podłodze. Karol nakazał wszystkim kawałkom zebrać się na powrót w całość.

– Iluzja i wszechmoc! – Roześmiał się historycznie. – Mógłbym zniszczyć całe to miasto, ale byle kapłan nie dopuścił mnie do boga!

– Nigdy nie widziałem się z naszym Panem – odparł Eryk, napełniając ponownie odtworzony kieliszek – Pan Ougli nie tęskni do spotkań ze swymi wiernymi.

– Co?

– Pan Ougli to zamknięty w sobie bóg. Nie znam nikogo, kto go spotkał. Słyszałem, że inni bogowie są odmienni. Ale on woli być sam. Zdaje się, że jedyny sposób, by go spotkać, to rozpuścić się w nim.

– To niemożliwe! Ja muszę się z nim spotkać! Mam misję!

– Misję? – Eryk się uśmiechnął. – Po śmierci? Nic nie wspominałeś, drogi chłopcze, o żadnej misji.

– Zapomniałem – mruknął zawstydzony Karol. – To wszystko tutaj, ty, Eiho...

– Dobrze, że zapomniałeś. Posłuchaj, chłopcze, to jest śmierć, to jest raj. Nawet nie ten, przez

kóry podróżowałeś za życia – tamto to tylko wierzch wielkiego oceanu świata boskich esencji, echa fal generowanych przez bogów. Tu jesteśmy niemal w samym jego centrum, wewnątrz boga. To inna rzeczywistość, inna forma istnienia. Nie mamy już prawie nic wspólnego z poprzednim życiem.

– I ty mówisz coś takiego?

– Trzymam się życia, jak mogę, chłopcze. Trzymam się rodziny. Ale sprawy tamtego świata zostawiłem za sobą. I ty też powinieneś. Przywitaj syna i naucz go rajskiego życia. To najlepsze, co możesz zrobić. Dla niego i dla siebie.

– Nie rozumiesz. – Karol potrząsnął zrezygnowany głową. Dopiero teraz dostrzegł prawdziwą twarz Eryka, żyjącego własnoręcznie materializowanymi złudzeniami. Jego recepta na wieczność była nie mniej zabójcza dla ducha niż przedłużający się Czyściec. Czy w ogóle istniała jakaś szansa po śmierci? – Nie rozumiesz! Tam toczy się wojna. Możliwe, że bardziej okrutna i groźniejsza od tej, która dopiero co się zakończyła. Całkowicie pozbawiona zasad. Jeśli nic nie zrobimy...

– A co możemy zrobić? – roześmiał się Eryk – Co, na bogów, możemy zrobić po śmierci?

– Nie wiem. Coś. Spotkał się z bogiem, zobaczysz.

– Powodzenia zatem. A teraz napijmy się.

– Nie, Eryku, dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Ale muszę wziąć się w garść. Znajdę sposób. By waj.

Opuściwszy przodka, zwalczył pokusę, by jak najszybciej uciec w ramiona Eiho.

Kiedyś, całkiem niedawno, obiecał sobie, że nie wróci do pałacu Oruzon. Teraz uznał, że warto złamać to przyrzeczenie. Jeśli gdzieś czekały na niego odpowiedzi, to może tam. A jeśli nie, opuści Oruzon i znajdzie inne miejsca, innych ludzi, żyjących na odmienne sposoby.

Tydzień później Karol Oruzon odebrał syna z Czyścica, ku wielkiemu niezadowoleniu kapłanów. Wyслуchał jego historii. Oprowadził go po Oruzonie, a na koniec zaprowadził do Eiho.

– Będzie się tobą opiekować, chłopcze. Tak jak opiekowała się mną. Bądź dla niej dobry. Uważaj na księcia Eryka, uważaj na wszystkich Oruzonów.

– Mówisz, jakbyś się ze mną żegnał, ojczu. A mamy sobie jeszcze wiele do opowiedzenia.

Karol przyjrzał się synowi. Owszem, dostrzegwał w nim oszołomienie, ale także dumę i zaciętość, którą chłopak najpewniej odziedziczył po nim. Tak jak ojciec, Leonard Oruzon żył wyłącznie walką o ród. Czy tylko tym byli? Nieustającą wojną?

– Być może tak właśnie jest, synu. Sam jeszcze nie wiem. By wajcie. Eiho, dziękuję ci za wszystko, zajmij się moim synem.

Nie słuchając ich protestów, nie zważając na chyba szczery płacz kobiety, udał się na próg Czyścica i zażądał widzenia z najwyższym kapłanem.

Przerwał mu rozbudowane ponad księżęcą cierpliwość powitanie i oznajmił, że postanowił zmienić swoje postępowanie. Poprosił o przyjęcie go w stan kapłański.

– To niemożliwe. – Kapłan pokręcił głową. – Nie żyjesz. Wszystko, co osiągnąłeś, jest zamknięte. Twoje życie nie podlega już zmianom.

– Wszystko, co żyje, podlega zmianom – nie zgodził się Karol. – Jakkolwiek wyglądałoby to życie. Mogę żyć jak Erykalbo mogę rozpuścić się w Panu. To zmiana.

Kapłan skrzywił się, słysząc te słowa.

– Zjednoczyć z Panem – poprawił.

– Jakkolwiek to nazwiemy. Niemniej zmiany istnieją. I chcę przyłączyć się do kapłanów. Wiem, że to możliwe. To się już zdarzało.

– No dobrze. Ale to może się stać jedynie kosztem całego twojego kredytu. Wyrzekłbyś się wszystkiego, co posiadasz. A twój kredyt jest potężny. Rezygnujesz z wielkości i potęgi.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Muszę wiedzieć czemu.

– Jestem Oruzonem, przywykłem kształtować swój los, a nie być jedną z owieczek

– Nie jesteś jedną z owieczek. Jesteś jednym z tych, którzy kształtują Oruzon, wyrwaliście własny kawałek z wieczności.

– Ale nie znamy nic. Muszę spotkać się z bogiem.

– Jako kapłan nie od razu otrzymasz dostęp do Pana.

– Posłuchaj, kapłanie, przechodząc do was, oferuję wam całą potęgę mego kredytu. To osłabi Oruzonów, wzmocni za to was. Nie mów mi, że zacznę nowicjat od bycia szeregowym bracijszkiem szorującym wasze innergetyczne podłogi.

– Twoja pycha jest oburzająca!

– Moja wartość jest warta mojej pychy!

Niespodziewanie kapłan uśmiechnął się.

– Zgoda więc, synu. Witaj w szeregach sług pańskich. Nie jesteś już księciem Karolem z Oruzonów. Twój kredyt został unieważniony, zstąpiłeś pomiędzy małuczkich. Witaj, bracie Karolu, sługo pański. Rozpoczniemy twoją naukę.

Rozdział 14

1

00:01:02:47

Z bliska okręty wyglądają jak lśniące białą i srebrem ogromne sople. To niezwykle, ale wszystkie są takie same! Wszyscy ci, którzy kiedykolwiek widzieli flotę okrętów Wspólnych Przestrzeni, albo nawet Rozproszeńców czy Związku Niezależnych, wiedzą, jak urozmaicona jest taka formacja. Pancerniki i ruchliwe ścigacze strzegą potężnych, acz słabo uzbrojonych nosicieli. Pomiędzy nimi czają się ukryte statki transportowe i szpitalne. Towarzyszą im zwykle mniejsze jednostki zwiadowcze i – w zależności od wielkości floty – pewna liczba latających stocznii. Tymczasem im bliżej jesteśmy Powolnej Floty, tym wyraźniej widzimy, że jej okręty nie różnią się od siebie. Skąd taka monotonia? Czy stoi za nią jakiś cel? A może jest wynikiem dziwacznej starożytnej filozofii, o której już dawno zdążyliśmy zapomnieć?

– Musimy to znośić?

Dziesiętnik Stuchoń, weteran wielu kampanii i wielu armii, nie przepada za moimi kamerami. Żołnierze lubią reporterów, gdy nagrywamy ich pozdrowienia dla rodzin albo wysłuchujemy wspomnień. Jednak w ogniu walki tylko im przeszkadzamy. A Stuchoń, zwany przez swoich ludzi „Pniakiem”, uważa, że znajduje się na terytorium wroga, i w pewien sposób wciąż walczy.

Trafił tutaj jak i ja – w wyniku niepojętych dla nas spisków i planów najbardziej diabolicznej postaci minionej wojny. Zostawiliśmy za sobą zniszczone miasto. Obaj jesteśmy wyrwani

z samego serca zupełnie innej opowieści, żaden z nas nie wie tak naprawdę, co się dzieje tam, na zgłiszczach dogasającej wojny. Porwani w wir planów Szkarłatnej Maski nie potrafimy dogadać się ze sobą nawzajem. Stuchni to odważny, bezwzględny człowiek. W swoim czasie powrócimy do niego. Na razie, jeśli państwo pozwolą, skupię naszą uwagę na tym, który stoi za wszystkimi naszymi przygodami.

Jak mam się do pana zwracać? „Masko”? „Profesorze”?

– „Profesorze” brzmi niezłe. Odwyłem od tego tytułu. Tym chętniej go usłyszę.

Profesorze, wydaje się, że jest pan najważniejszą osobą, by przybliżyć nam sytuację, w której się znaleźliśmy. Proszę na początek opowiedzieć nam o flocie, do której się zbliżamy.

Rozmawiam z jednym z najbardziej poszukiwanych przywódców buntu, z człowiekiem, którym matki straszą dzieci, który pogwałcił najbardziej podstawowe zapisy układu z bogami. Gdybym minął go na ulicy do głowy by mi nie przyszło, że to osławiony Szkarłatna Masko, tak niepozornie, tak spokojnie wygląda. Gdy patrzy na mnie, uśmiecha się miło. Próżno szukać błysku szaleństwa w jego oczach.

Powolna Flota to ostatnia z Kompanii Eksploracyjnych, jakie wyruszyły z Ziemi. To uciekinierzy ze świata, jaki znamy. Odrzucili innergetykę i polegając na napędzie, jakiego my nie używamy od wieków, zmierzają ku zakontraktowanej planecie. Czy to prawda, że zostali całkiem zapomniani? Że nikt nie wie o ich istnieniu?

– My wiemy. Ale ma pan rację, rzeczywiście otacza ich tajemnica, to jeden z elementów ich kontraktu.

Dlaczego?

– Powtórzę: chcieli uciec od znanego nam świata. Odrzucali innergię.

To się wydaje nieprawdopodobne! Jak ktoś może wybrać śmiertelność, gdy ma w zasięgu życie wieczne!

– Z naszego punktu widzenia to religijni fanatycy.

Czy mógłby pan przybliżyć to pojęcie, profesorze?

– Ci ludzie odrzucili innergetykę z powodów religijnych. Uważają, że stoi ona w sprzeczności z ich dogmatami wiary. Może nie innergetyka jako taka, ale istoty, które znamy jako „bogów”. Mówiąc prosto, oni uważają, że otrzymają jakieś inne życie wieczne od innej istoty „prawdziwego boga”. Niestety nie wiem wiele więcej, materiały dotyczące Powolnej Floty, do których udało mi się dotrzeć, były strasznie skąpe. Teraz, jeśli pan pozwoli, muszę się zająć dowodzeniem okrętem.

Jeszcze tylko jedno pytanie!

– Słucham. Tylko szybko, proszę. ~~Udzieliłem panu zezwolenia na dokumentowanie tego spotkania, nie życzę sobie jednak, by przeszkadzał nam pan w pracy. Nie bardziej niż okreże się to konieczne.~~

Skoro oni nie używają innergetyki, a jedynie przestarzałych napędów... Od jak dawna podróżuje ta flota?

– Od blisko dwóch tysięcy lat, redaktorze. Kawał czasu, prawda? Teraz przepraszam.

Religia, która woli śmierć od życia! Cóż za pomysł! Cóż za przerażające dziwactwo! Co za wypaczenie religii, która jest wszak systemem umów z bogami! To jakby napisać do nich aneks, w którym się bogów odrzuca. Kogo z nas byłoby stać na coś takiego? Ale czy to na pewno najbardziej niezwykła rzecz, z jaką zetkniemy się na pokładach Powolnej Floty? Co jeszcze nas tam czeka? Ludzie, z którymi skontaktował się Szkarłatna Maska, zapewnili, że nic nam nie grozi. Czy jednak mówili prawdę? Dwa tysiące lat! Co tyle lat w odosobnieniu może zrobić z człowiekiem? Jaki rodzaj społeczności wytworzyć? Czy oni w ogóle przypominają jeszcze ludzi? A może warto zapytać inaczej: czy z ich perspektywy, z perspektywy naszych przodków przecież, my jeszcze przypominamy ludzi?

00:23:17:01

Idę korytarzem *Merlina* – okrętu Szkarłatnej Maski. Nie potrafię zaklasyfikować tej jednostki, jednak przestronność korytarzy wskazuje, że to spory okręt. Może nie pancernik, ale z pewnością coś potężniejszego od zwyczajnego rajdera. Być może jeden z tych zwiadowczych krążowników, z których tak chętnie korzystali buntownicy?

W korytarzach jest pusto, nikt nie pilnuje nas na *Merlinie*, choć przecież jesteśmy tu więźniami. Wszyscy, tak surowy dziesiętnik, jak i dwóch jego ludzi oraz przypadkowy kawalerzysta, wojskowy mag i ja, zostaliśmy uprowadzeni przez Maskę ze znanych tylko jemu powodów. Mogę jedynie się domyślać, że kryje się za tym jakiś spisek, szarada przygotowana przez tego niezwykłego i niebezpiecznego człowieka.

Zmierzam do jednego z hangarów, wiem, że trwają tam przygotowania żołnierzy, którzy mają wziąć udział w zwiadzie. Czy niepokoją się tak jak ja? Czy zastanawiają się nad tym, jakimi ludźmi stali się członkowie załóg Powolnej Floty? A może... może szykują się do inwazji? Przecież ci, z którymi wyruszę na pokład starożytnego okrętu, to nie naukowcy ani dziennikarze, ale żołnierze.

Więcej.

Czy ktokolwiek mógł sądzić, że gdy rozpoczynałem tę relację od ukazania liczących prawie dwa tysiące lat okrętów zmierzających przez pokolenia ku odległej, oczekującej ich planecie, czeka nas jeszcze jakiś inne niezwykłe wydarzenie?

A jednak! Oto zbliżam się do hangaru będącego celem mojej wędrówki. Zamek odczytuje mój wzór innergetyczny, gdy tylko zbliżam ku niemu dłoń. Drzwi rozsuwają się z sykiem i wchodzę do hangaru, w którym trzynaścioro mężczyzn i kobiet przygotowuje się do wyruszenia w dwóch

barkach ku starożytnej flocie, z którą nikt nie kontaktował się od tysięcy lat.

Brzmi to poważnie? A jednak to betka w porównaniu z tym, przed czym stoję. Bo dziesięcioro spośród tej trzynastki to kundle, przetworzeni wojownicy Szkarłatnej Maski, jego ofiary i żołnierze. O ile wiem nikt spośród obywateli Wspólnych Przestrzeni nie stał przy nich tak blisko jak ja teraz. Wyjąwszy tych, którzy mieli zostać przez nich zabici.

00:35:21:19

Wszyscy widzieliśmy kundle w epopejach. Pojawiały się w nich jako ogromne rozpędzone cienie, wściekli wojownicy w swoich zbrojach niosący zagładę naszym chłopcom. Mówiono nam, że są przekłęci i żaden bóg nie przyjmuje ich dusz po śmierci. Mówiono nam, że to potwory a ich deformacje są tak straszliwe, że do końca życia śnilibyśmy koszmary, gdybyśmy mieli pecha ich zobaczyć. Tak właśnie przedstawia się wrogów, od tysięcy lat, od zarania ludzkości. Nasze mity są starsze i silniejsze od cywilizacji.

Zdaję sobie z tego sprawę. A jednak nie mogłem opanować drżenia, gdy po raz pierwszy wszedłem do mesy, w której kundle gromadzą się na posiłki. Drżałem, bo byli tam przecież bez zbroi ukrywających ich szkaradność. Znow, jeśli się nie myłę, byłem jednym z pierwszych ludzi, którzy ujrzeli ich takimi. Dotychczas kundle zabijały się, gdy próbowano brać je do niewoli. Nawet jeśli były ranne i nieprzytomne, ich zbroje wybuchały przy próbach nieautoryzowanego otwierania. Dlatego nikt tak naprawdę nie wiedział, jak wyglądają. I dlatego tak wiele krążyło opowieści o ich przerażającym wyglądzie.

Tytuł sensacyjnych odkryć dokonałem podczas mojego krótkiego pobytu na *Merlinie*, że zaczynają mi już powszednieć.

A jednak nigdy nie zapomnę widoku pierwszego kundla, jakiego ujrzałem tamtego dnia w mesie. Tak długo się wahałem, czy otworzyć prowadzące do niej drzwi, że w końcu ktoś inny zrobił to za mnie. Niewysoki żołnierz odepchnął mnie, wychodząc. Jeniec jak ja. Widziałem, że jest wzburzony. Patrzałem, jak oddala się pospiesznie korytarzem, a potem odwróciłem głowę, by mieć wreszcie za sobą szok pierwszego kontaktu.

Grupy przy posiłku wyglądają na wszystkich planetach tak samo. Niektórzy z jedzących spieszą się, nie zwracając uwagi na smak potrawy, inni celebrytują każdy kęs. Ktoś krzywi się z niesmakiem, ktoś inny przeciwnie – delektuje. Jeśli ludzie znają się dobrze i lubią, rozmawiają ze sobą i żartują.

Tak właśnie wyglądały i zachowywały się kundle. Tak zwyczajnie, że w pierwszej chwili pomyślałem, iż trafiłem do mesy podobnych do mnie jeńców. To jednak stało się dopiero po tym, jak opanowałem zachwyt.

Irina okazała się wysoką, muskularną, rudowłosą kobietą o zaskakująco delikatnych rysach i najpiękniej brązowych oczach, jakie kiedykolwiek widziałem. I tak, była kundlem, genetyczno-innergetycznym produktem fabryki wojowników Maski. Jest tu i teraz. Leci z jedną z grup, niestety nie wchodzi w jej skład. Korzystając z chwili przerwy w naradzie, podchodzę, by zapytać o ich plany i cele.

– Lecimy na okręt siedem.

Odpowiada chętnie, wie, że mam stosowne zezwolenia od Maski. Ma na sobie kombinezon bojowy, lżejszy i posiadający mniej funkcji niż zwyczajna zbroja, której zwykle używają kundle. Kilku z nich krzywiło się na to ograniczenie, Maska nie chce jednak niepotrzebnie niepokoić ludzi z Powolnej Floty. W kombinezonach kundle wyglądają jak ludzie, w zbrojach jak potwory z naszych epepei.

– Z naszych danych wynika, że to druga jednostka dowódcza floty

Druga dowódcza?

– Ich struktura jest odmienna od naszej.

Czujesz niepokój? Tremę? Ci ludzie nie widzieli nikogo z zewnątrz od prawie dwóch tysięcy lat. Będziemy dla nich niczym obca cywilizacja.

– Ty jesteś dla mnie niczym z obcej cywilizacji. Jakoś to znoszę.

Śmieje się. Jej śmiech jest zaraźliwy przez chwilę więc jej wtóruję.

Ta lekko nerwowa reakcja wskazuje, że jednak trochę się niepokoi. Pomyśleć – znalazłem się w sytuacji niezwykłej dla kundli! Cóż, dla mnie jest w takim razie podwójnie niezwykła. Dla mnie, ale także i dla starszego legionisty, którego wszyscy znają tu jako „Psa”. Daremnie próbowałem poznać jego prawdziwe imię i nazwisko. Mógłbym odszukać je w zasobach danych firmy po powrocie. Sądzę jednak, że oszanuję prywatność tego dość tajemniczego, młokosiego mężczyzny. Nie na tyle jednak, by nie zadać mu kilku pytań.

W ciągu tygodnia z żołnierza Cesarstwa zmieniłeś się w jeńca rebelii, a teraz wraz z kundlami stanowią część zwiadu wyruszającego na okręty, o których świat już zapomniał. Nie czujesz się przytłoczony tak gwałtownymi zmianami?

Patrzy na mnie obojętnie.

– Nie powinieneś być gdzie indziej? Należysz chyba do załogi pierwszej barki? Przenieśli cię?

Pies to snajper, ale podobno także haker. Kolejny żołnierz, którego historia starczyłaby na osobną epopeję. Gdyby zdecydował się komuś ją opowiedzieć. Jest jednak taki jak większość załogi Merlina i znanych mi weteranów – uważa, że nie spotkało go nic specjalnego, nic ponad to, co stało się udziałem wszystkich biorących udział w wojnie. Tak jak inni, przyjął pozę starego wygi, który niczemu się nie dziwi i niczym nie interesuje.

Daj spokój, żadnej tremy?

– No dobra. Jestem ciekawy. Ciekawy, kim są, jak żyją. Może lepiej od nas? Może te okręty to dobre miejsce, żeby zapomnieć o świecie?

2

– One wirują? – Sondy, które wysłał wcześniej *Merlin*, znalazły się na tyle blisko Powolnej Floty, by Pniak mógł się przyjrzeć szczegółom okrętów. Wszystkie zbudowano identycznie – w kształcie wydłużonych stożków.

– W rzeczywistości to pierścienie obracające się wokół sztywnego rdzenia – wyjaśnił Maska studiujący raporty sond. – Dawno, dawno temu w ten sposób zapewniano okrętom kosmicznym grawitację. Przy tak długich podróżach nieważkość mogłaby się okazać zabójczą dla załogi, a innego sposobu na zapewnienie grawitacji nie znali. Są ogromne, prawda?

– W życiu nie widziałem takich kolosów. Jak to lata?

– Z pewnością nie startowały z powierzchni Ziemi. Musieli zbudować je w jakiejś kosmicznej stoczni, zresztą pewnie modułowo. Założę się, że każdy z tych pierścieni to osobny moduł, gdy zbliżą się do celu, nastąpi rozdzielenie i wszystkie te... ile tego będzie? Dwieście trzydzieści lądowników opadnie na planetę. Ludzie od razu będą mieli gdzie mieszkać.

– Zdaje się pan sporo o tym wiedzieć.

– Całe lata grzebałem we wszystkich możliwych archiwach, dziesiętniku. Musiałem się przygotować na to spotkanie.

Brzmiało to sensownie, Pniak jednak ciągle nie potrafił zaufać Masce. Odruchowo szukał fałszu w jego słowach. Kłopot w tym, że nie bardzo wiedział, po co Maska miałby go oszukiwać. Inna sprawa, że wciąż nie był pewien, jakie jest jego miejsce w planach maga.

Powoli przestawał wierzyć w wytłumaczenie podane mu przez setnika. Niby wszystko się zgadzało – byli jakimś tam przedstawicielami Legionów przy Masce, mag zapewniał im, póki co czysto teoretyczną, łączność. Maska tłumaczył też Pniakowi, że potrzebuje świadków, którzy poświadczyliby, że w kontaktach z Powolną Flotą nie złamał Kodeksu KE. Czy jednak kłókolwiek w sztabie zdawał sobie sprawę z rzeczywistych planów maga? A przy okazji – jakie one właściwie były? Zyskać sojusz Powolnej Floty i z jej pomocą wywalczyć sobie poparcie w Senacie? I co wtedy?

Niestety, nie miał z kim o tym porozmawiać. Rachuba bardzo się starał go nie zauważać,

magowi i dziennikarzowi nie ufał, a kawalerzysty zupełnie nie znał. Pozostawał mu Pies, ten jednak zaangażował się w swoją autorską misję budowania sojuszu z kundlami i wydawał się szczerze zafascynowany wizją nawiązania pierwszego kontaktu ze skamielinami Powolnej Floty. Pniak został sam.

Nie podobało mu się, że wszystko szło zbyt prosto. Bez kłopotu umknęli flocie Cesarstwa, potem Maska tak po prostu nawiązał kontakt ze skamielinami, tłumacząc im, że są uciekinierami szukającymi innej drogi rozwoju i pragnęliby poznać religię Powolnej Floty.

Tamci musieli być równie ciekawi historii innergetycznej cywilizacji, zgodzili się bowiem nadzwyczaj szybko. Zażądali jedynie, by równocześnie wysłać delegację na okręt koordynujący lot całej Powolnej Floty i na drugi, na którym mieściło się chyba coś w rodzaju rządu. Poprosili też o czas. Rząd należało dopiero wybudzić z anabiozy. Potwierdzało to przypuszczenia Maski, że większość kolonistów podróżuje w stanie uśpienia, a specjalistów aktywuje się jedynie okresowo. Oznaczało to, że rzeczywiście istniała szansa, że spotkają tam ludzi pamiętających Ziemię!

Ziemia! Być może to był prawdziwy plan Maski? Uciec na Ziemię i ukryć się na niej? Oznaczałoby to kapitulację, musiałyby zapomnieć o reformowaniu Wspólnych Przestrzeni. Ale może liczył, że zbuduje własny raj?

Jeśli tak, oznaczałoby to zerwanie sojuszu z armią. Pniak nie sądził, by generałowie zgodzili się na ucieczkę.

– Zadumał się pan.

– Zastanawiam się nad nimi. I nad nami. Co pan robi, jeśli wskażą panu „adres” Ziemi?

– Połknę karteczkę zaraz po przeczytaniu, dziesiętniku. A tak naprawdę? To może być karta przetargowa, bardzo mocna. A jak zatrzęsie wszechświatem! Niech pan sobie wyobrazi, jak pocują się bogowie, gdy dowiedzą się, że znów mogą spotkać się z Gają. Tą, która pośredniczyła w przebudzeniu i wychowaniu ich wszy stkich.

– Jest sygnał! – przerwał im rozważania jeden z techników. – Jest sygnał! Mamy zgodę Powolnej Floty na wysłanie misji!

– Przyjąłem. – Maska skinął głową. – Cóż, dziesiętniku. Wygląda na to, że możemy przerwać teoretyzowanie. Rzeczy, których nawet sobie nie wyobrażaliśmy, zaraz po prostu się wydarzą.

Barki *Merlina* to tylko lekko zmodyfikowane statki flot cesarskich. Dostosowano je do wymagających większej samodzielności zadań, jakie wykonywały dla rebelii. Pozwalają na wprawdzie mało komfortową, ale dłuższą podróż. Tkwę upchnięty pomiędzy Soruzem, trójkowym kundli, a Priakiem. Ci dwaj, ku mojemu zaskoczeniu, żartują niczym towarzysze broni. Jednak zrozumieć ich żarty może tylko ktoś, kto spędził tyle czasu na froncie co oni. Ja sam pojmuję je z trudem, dlatego wstaję i nie zważając na urażone syknięcia i pełne oburzenia mało wytworne uwagi pod moim adresem, przeciskam się ku kokpitowi.

Większość miejsca na barce zajmuje sprzęt i zapasy, dla ludzi zarezerwowano klaustrofobiczną kaitkę. W cesarskiej flocie używa się zwykle bardziej wyspecjalizowanych pojazdów, innych do przewozu ludzi, innych do towarów. Rebelianci, jak właśnie się przekonuję, nie są tak drobiazgowi i starają się upchnąć wszystko, co się da, w jednym. Co chwilę więc kogoś potrącam, deptczę po stopach. W końcu udaje mi się dotrzeć do celu, nie zyskałem jednak przyjaciół podczas tego spaceru.

Kokpit nie jest wiele przestronniejszy więcej w nim jednak światła. Nie, żeby od razu piloci posiadali dodatkowe oświetlenie – nikt nie zamierza marnować niepotrzebnie energii. Spodziewamy się, że podobnie będą wyglądały i wnętrza okrętów Powolnej Floty – najpewniej okażą się ciasne i ciemne. Świetlność zapewniają pilotom jaśniejsze tradycyjnymi czterema kolorami tablice instrumentów. Spójrzcie, państwo, to jakby festiwal neonów nocą w uliczkach Swawoli.

Jak daleko jesteście?

– Dwie godziny lotu.

Marcus, pierwszy pilot, nawet na mnie nie patrzy. Kamera płynie przed niego, niech widzowie zobaczą tę twarz w matowych goglach tak wielkich, że są jak maska zasłaniająca pół twarzy. Neony wskaźników odbijają się w niej blade.

– Hej, zabieraj to! Zakłóca! Pieprzeni...

Dwie godziny? Pies mówił, że będą na pokładzie w ciągu kwadransa!

Śmieją się ze mnie. Zdaje się uważają, że ktoś zrobił mi dowcip.

– Tamci będą w ciągu kwadransa, bo lecą na siódmkę, ten ich rządowy okręt. My lecimy na jedynekę, gdzie ulokowana jest prawdziwa władza Powolnej Floty. Stąd różnica.

Aż taka?

– Te okręty dzieli od siebie średnio po tysiąc kilometrów. Nasze floty latają zwykle w ściślejszym szyku, ale my skaczymy innergetycznie, a oni wloką się na jakimś starożytnym napędzie. Cholera wie, jakich odstępów potrzebują, żeby unikać kolizji.

Tysiąc kilometrów odstepu między statkami? Cóż za pomysł! Czemu tak? Jak niewiele wiemy

o starożytnych! Wypytałbym Maskę, ale mag wspiął się na koję podwieszoną u sufitu i zasnął spokojnie, jakby losy świata nie ważyły się właśnie w jego rękach. Prezentuje godny podziwu spokój. Kto wie jednak, ile godzin udało mu się przespać dotąd, gdy negocjował z tymi, których żołnierze już powszechnie nazywają „skamielinami”, a potem dopinał na ostatni guzik plany zwiadu?

Rezygnuję z powrotu na swoje miejsce pomiędzy żołnierzy. Gdy wychyliłem się z kokpitu, rozmawiali, jak to mają w zwyczaju żołnierze przed akcją, na wszystkie banalne tematy wszechświata, tylko nie o tym, co ich czeka. Ciekawiej będzie w kokpicie. Nawet jeśli piloci nie są szczególnie zainteresowani rozmową ze mną. ~~Nie odzywają tego, lecz częściej niby wymienianych tylko między nimi uwag jest przeznaczona dla moich uszu.~~

Okręt Powolnej Floty przed nami rośnie niemiłosiernie powoli. Piloci nie odzywają się wcale, jeśli ja nie zagajam. Wszystko wydaje się takie zwyczajne, wręcz nudne. A to przecież jedna z najbardziej ekscytujących wypraw w historii ludzkości! Kiedy staniemy na pokładach tamtych okrętów, będzie to przypominało podróż w czasie. Ale na razie nie dzieje się nic. Taką już praca reportera – dwie godziny nudy dla pięciu sekund sensacji.

03:20:18:19

Dolatujemy! Okręt, który z daleka wydawał mi się srebrny i jaśniejący, z bliska okazuje się raczej szarawy i przybrudzony. Wciąż jednak robi wrażenie jego ogrom. Według naszych pilotów całość ma nieco ponad osiemset metrów długości, co biorąc pod uwagę domniemany prymitywizm napędu, wydaje się niezrozumiałą rozrzutnością.

Przynajmniej dopóki nie uświadomimy sobie, że okręt ten, wraz z czterdziestoma pięcioma towarzyszami, stanowić ma załączek nowej cywilizacji.

Spójrzmy na niego! Nasza barka ma zaledwie szesnaście metrów długości, wyglądamy przy nim niczym drobina, pchła towarzysząca słoniowi! Przypomnę, że największy okręt imperialnej floty, *Romulus*, jest długi na „zaledwie” trzysta metrów! Warto jednak wspomnieć, że z pewnością poradziłby sobie bez trudu w ewentualnej walce z tą żywą skamieliną, do której się zbliżamy.

Maska nakazuje nawiązanie łączności z okrętem Powolnej Floty. Informujemy o naszym przybyciu. To formalność, z pewnością wiedzą już o nas, niemniej magowi bardzo zależy na przestrzeganiu etykiety. Pyta więc o pozwolenie wejścia na pokład.

– *Merlin 02*, tu *Eliasz*, macie zezwolenie na wejście na pokład. Kierujcie się do śluzy piątej, kurs zero-zero-cztery – odpowiada nam bezbarwny pozbawiony emocji głos.

Eliasz! A więc tak się nazywa! Wcześniej tamci nie posługiwali się tą nazwą, używali zamiast niej cyfry – „jedyńka”, takim kodem określali swój okręt. A zatem ma nazwę! Ci, którzy nadają

okrętom imiona, nie mogą się bardzo różnić od nas.

W przeciwieństwie do Maski i kundli, którzy posiadają zaimplantowane translatory, muszę posługiwać się zewnętrznym tłumaczem. Na szczęście opóźnienie jest niezauważalne. Podczas rokowań z Powolną Flotą Maska zyskał wystarczającą ilość danych, by przygotować dla nas słownik. Mag utrzymuje zresztą, że Powolna Flota posługuje się jednym ze starożytnych języków, które i obecnie znajdują się w użyciu. Tyle że po dwóch tysiącach lat ewolucji brzmią już mocno inaczej. Ja jednak nie zrozumiałem ani słowa z oryginalnego tekstu.

– Zero-zero-cztery? – denerwuje się nasz pilot. – Co to niby ma znaczyć?

– Spokojnie. – Maska wskazuje palcem owalny otwór pojawiający się właśnie w kadłubie *Eliasza*. – Tam.

– Cholerstwo się obraca – marudzi pilot.

Rzeczywiście, nikt w dowolnej znanej mi flocie nie trenował takich podejść. Czeką nas trudny manewr. Rozważaliśmy różne problemy, ale nikomu nie przyszło do głowy, że odmienność techniki stanie nam na drodze, nim jeszcze przekroczymy próg okrętu!

– Nie mogą tego zatrzymać?

– I narobić bajzlu w całym module, dla naszej wygody usuwając ciężenie? Dalej, Mruk, popis się!

~~—Pieprzony złom! Pieprzone słamieliny!~~

Jestem przekonany, że nie tylko ja wstrzymuję oddech, gdy zbliżamy się do zaczepów mających umożliwić nam przycumowanie przy burcie *Eliasza*. Nie ma mowy o tradycyjnym lądowaniu w hangarze statku-nosiciela. Będziemy musieli ostrożnie zgrać się z obrotami starożytnego olbrzyma, potem przycumować i przeczolgać się prymitywnym kołnierzem, by dostać się do wewnątrz.

Wydaje mi się, że barka ociera się o krawędź otworu, ale to musi być złudzenie. Nawet lekkie otarcie wytrąciłoby nas z kursu i mogło doprowadzić do katastrofy!

Pilot znów klnie. Nie jest łatwo dopasować nasze systemy do starożytnych. Chciałbym wierzyć, że Maska mógłby użyć swoich umiejętności maga, by nam pomóc, wiem niestety, że innergetyka nie działa w ten sposób.

Na szczęście otrzymaliśmy od załogi *Eliasza* informacje, jak dopasować się do ich sprzętu. Jeśli wszystko poszło dobrze i jeśli dopisze nam szczęście, już niedługo odwiedzę okręt, który zbudowano w pobliżu Ziemi!

Pniak krzyczy na mnie, żebym nie opóźniał. Dopinam zatrzaski kombinezonu mającego chronić mnie przed zimnem – w kołnierzu, którym przejdziemy, panuje niemal taka temperatura jak na zewnątrz. Ubezpieczają mnie kundle. Może mają większe doświadczenie w przebywaniu w stanie nieważkości niż ja? W kołnierzu nie będzie grawitacji.

Pozostaje mi się modlić, by wszystko się udało. By nie zawiódł ani starożytny sprzęt, ani nasze przeprowadzane na gorąco modyfikacje.

A w ostateczności, by mój bóg odnalazł mnie wśród tej dalekiej pustki, jeśli zginę.

03:45:22:16

Wnętrze jest ciemne, tak jak się spodziewaliśmy. Pilot włącza reflektory barki. W ich świetle przekonujemy się, że słuza jest pusta i ciasna. Niemniej starcza miejsca dla nas. Lądujemy ostrożnie, nie unikamy jednak wstrząsu.

– Gratulacje, panowie. *Elias*, jesteście w środku!

Po uśmiechu Maski widać, że jest zadowolony. Zaskakujące, jak bardzo ten człowiek odbiega od naszych wyobrażeń o nim. W fabularyzowanych epopejach jest przedstawiany jako zmutowany szaleniec. Może i przemyślny, sprytny, ale nieludzki, okrutny, wręcz dziki. ~~Diabeł.~~

– Przyjąłem, *Merlin 02*. Czekaście na tlen. Po tym, jak opuścicie statek, poddamy was skanowi. Czekaście, aż ktoś się do was zgłosi.

Będą nas skanować! Czy spodziewają się po nas jakiejś zdrady, czy też najzwyczajniej w świecie boją się, że możemy zawlec im na pokład jakieś nieznane bakterie i wirusy?

Kundle zdejmują hełmy. Postanawiam wziąć z nich przykład, ale dopiero gdy okazuje się, że nie umierają, oddychając starożytnym powietrzem. Przychodzi mi do głowy myśl, że upór bogów, byśmy powstrzymywali ewolucję, przydał się na coś.

Gdy wreszcie nabieram powietrza w płuca, odkrywam, że ma ono dziwny, metaliczny posmak. ~~nie pachnie zbyt ładnie.~~

– *Merlin 02*, odkryliśmy pewne... nieprawidłowości. Przygotowane zostaną dla was bezpieczne uniformy. Prosimy, byście zostawili cały sprzęt i ubrania w hangarze. Gwarantujemy, że nic im się nie stanie. Oczyszczymy was i wtedy nareszcie będziemy mogli się spotkać. Przepraszamy za utrudnienia.

Miłe powitanie, nie ma co.

uzasadnienie. Choć nieco inne niż się spodziewał.

Przemieszczali się wąskim, ciemnym korytarzem o pochylonych ścianach. Pies jeszcze jakoś sobie radził, jednak kawalerzysta i kundle musieli pochylić głowy. Kawalerzysta do tego kłął cały czas pod nosem, odkąd skamieliny kazały mu pozbyć się uniformu, w zamian za niego ofiarowując coś w rodzaju wygodnej, luźnej piżamy z nieco szorstkiego materiału. Bogowie świadkami, że nikt z grupy zwiadowczej nie oczekiwał luksusów, a mundury we Wspólnych Przestrzeniach także nie były szyte tak, by zadowolić wydelikowanych nadwrażliwców. Niemniej wkładając uniform skamielin, Pies doszedł do wniosku, że trafili do miejsca, w którym ludzie muszą lubić umartwianie się. Ciało natychmiast zaczęło go swędzieć w miejscach, w których zetknął się z nim materiał, czyli prawie wszędzie.

Sądząc po przewodniku, wiele się nie pomylił. Przywitał ich niziutki smutny mężczyzna. Cały czas kołysał głową i pocierał skronie. Odzywał się niewiele, jakby oprócz energii oszczędzano na *Ogrodzie* także słowa.

Ożywił się, dopiero gdy weszli do pomieszczenia oświetlanego czymś więcej niż paski fluorescencyjnej taśmy przyklepione do ścian.

– Tutaj! – oznajmił. – Tutaj znajduje się ogród świata! Tu będziemy rozmawiać!

To, do czego odnosiła się nazwa „Ogród”, miało może z sześćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni i wypełnione zostało głównie bezbarwnymi sześcianami szczelnie zamkniętych pojemników. Niemniej na stanowczo zbyt niskim dla kundli i kawalerzysty suficie świeciło rachitycznie pięć owalnych lamp, a pośrodku ustawiono fotele. Na trzech z nich siedzieli już mężczyźni podejrzanie podobni do przewodnika.

– Jestem Adam – odezwał się siedzący w środku. – Pasterz *Ogrodu*. To pozostali pasterze: Izaak, Sulejman i Piotr. Usiądźcie, proszę. Wybaczcie, że witamy was tak skromnie, dopiero nas wybudzono, jeszcze odczuwamy skutki snu trwającego stulecia. Czy jesteście spragnieni? Głodni?

Wszyscy zaprzeczyli. Gem Sutanabe, pełniący na *Merlinie* obowiązki drugiego oficera i reprezentujący tu Maskę, przedstawił siebie, a następnie wszystkich członków zwiadu.

– Błogosławię godzinę naszego spotkania, zagubieni bracia – oznajmił pasterz, co zapewne należało do rytuału. – Powiadacie, że szukacie Drogi?

Sutanabe przytaknął. Tak ustalili z Maską.

– Pan jest Drogą, Prawdą i Życiem! – ogłosił pasterz uroczystym głosem.

Opuścił głowę i przez chwilę wszyscy milczeli. Pies opanował odruch każący mu podrapać miejsce, w którym swędziało go od szorstkiego materiału.

– Załoga „jedynek” sugerowała, że stanowicie coś w rodzaju rządu – odezwał się wreszcie Sutanabe. – Wyraziliście chęć spotkania z nami.

– *Eliasz* to centrum dowodzenia flotą, panie oficzerze. *Ogród* jest jej duszą. Musieliśmy się

z wami spotkać, by poznać wasze intencje i zdecydować, czy dalszy kontakt będzie w ogóle możliwy. Załoga *Eliasa* to dobrzy ludzie, ale ludzie tego świata. Są ciekawi wieści, ciekawi zagubionych. Sami nigdy nie złamaliby ciszy, skoro już jednak do nich dotarliście, powitali taką okazję z radością. My musimy się przekonać, czy nie niesiecie zagrożenia dla naszych nieśmiertelnych dusz. Czy pozostajecie w niewoli demonów?

– Ma pan na myśli bóstwa innergetyczne?

– Demony nazywane przez fałszywych proroków „bóstwami”, tak! – Przewodnik energicznie przytaknął i nawet jego milczący dotąd towarzysze wyraźnie się ożywili, pomrukując coś na ogo niezbyt przychylnego.

Obserwując ich, Pies się zastanawiał, czy dokonał właściwego wyboru grupy zwiadu. Wyglądało na to, że Pniak z Maską będą mieli okazję porozmawiać z kimś sensownym, podczas gdy oni trafili na kapłanów zainteresowanych wyłącznie renegocjacją ich kontraktów.

Pies nie przepadał za kapłanami. Jego zdaniem albo sami nie rozumieli rzeczy, o których opowiadali, albo ukrywali część wiedzy. Którakolwiek z odpowiedzi okazałyby się prawdziwa, nie zasługiwali na zaufanie.

Kiedyś jeden z kapłanów sądził, że Pies nadawałby się na sługę bożego, między innymi właśnie dlatego, że wątpił. Tamten człowiek wzbudził w Psie niechętny szacunek, nie zmienił jednak jego nastawienia. Sama myśl o postyciu wzbudzała w nim jak najgorsze uczucia. Czy pozbawiony ciała, przetrworzony na innergię pozostałby sobą? Czy sam fakt, że wyzbyłby się lęku przed śmiercią, by go nie odmienił? Zbyt był przywiązany do wszystkich swoich przyziemnych niedoskonałości, by spieszyć się do rajów.

– Istotnie, reprezentowana przez nas grupa szuka alternatywy dla bóstw innergetycznych czy też, jak pan je nazywa, demonów – nie tracił cierpliwości Sutanabe. – Chcielibyśmy dowiedzieć się możliwie najwięcej o opcji reprezentowanej przez państwa społeczność. Ze swej strony gwarantuję, że nie ma wśród nas przedstawicieli żadnego z Domów.

– Domów? – nie zrozumiał przewodnik

– Dom to zgromadzenie danego... demona. Taktu, jaki we wszechświecie innergetycznym.

Pasterz narodził się szybko ze swoimi pomocnikami. Gdy znów zwrócił się do gości, uśmiechał się, wedle swego wyobrażenia zapewne ciepło i serdecznie. Dla Psa był to raczej odstręczający grymas.

– Witamy was zatem, błogosławiąc szczerą waszych intencji. Tu, w *Ogrodzie*, gdzie zgromadziliśmy rezerwy zapisów biotycznych wszystkich istniejących na Ziemi prawdziwych roślin. Wierzymy, że jesteście uciekinierami z ziemi szatana, że odwróciliście się od fałszywych proroków. Czy wielu jest takich jak wy?

– Niestety, znajdujemy się w mniejszości. Większość ludzkości wciąż pozostaje wierna

tradycyjnym formom zakontraktowania.

Kapłani skamielin musieli i to przedyskutować.

– Czego od nas oczekujecie? – zapytał wreszcie przewodnik

– Wiedzy – odpowiedział Sutanabe. – Nie wiemy nic o was, o waszej ideologii...

– Religii!

– Religii, oczywiście. Bardzo niewiele wiemy o waszej podróży. Znamy jej cel, ale to prawie wszystko.

– Rozumiem. Chętnie podzielimy się z wami wiedzą, apostołstwo wpisane jest w misję sług pańskich.

– Wspaniale! – zawołał ktoś zza pleców Psa.

Żołnierz odwrócił się i zobaczył mężczyznę zupełnie niepodobnego do kapłanów. Wydawał się niedbały, ubrany w dziwną szatę wyglądającą, jakby pozszywano ją ze strzępów kilku różnych ubrań, nieogolony, wyraźnie unikający grzebienia. Długie włosy spiął, a może związał, nie poświęcając im więcej uwagi. Był też wyższy od skamielin, jakie dotąd spotkali, i muskularny. W przeciwieństwie do kapłanów nie sprawiał wrażenia wyrwanego z długiego, głębokiego snu. Psu nie umknęło, że na widok przybysza kapłani poderwali się z foteli. Nawet nie próbowali ukrywać niezadowolenia.

– Skoro tak chętnie podzielicie się z przybyszami wiedzą, nie będziecie z pewnością mieli nic przeciwko temu, by opowiedzieć im i o nas!

– Nie zapraszaliśmy cię, Włodzimierzu! – zawołał pasterz wyraźnie zdenerwowany. – Oni przybyli do nas!

– Wiernych nikt nigdy nie zaprasza – odpowiedział wesoło Włodzimierz. – A jednak Pan czuwa nad naszymi ścieżkami, dzięki czemu zawsze prowadzą nas ku właściwym miejscom. Tak też i ja sobie tu z wami posiedzę, posłucham, a może i czasem powiem co mądrego? Przecież tu pasterze spotkali się z zagubionymi owieczkami, a i ja jestem pasterzem.

– Samozwańcym! – nie wytrzymał jeden z doradców Adama. – Waszych pasterzy nie zatwierdził żaden synod!

– A kto by się tam przejmował synodami! – Włodzimierz machnął ręką i z braku wolnego fotela usiadł na jednym z pojemników. Psu nie umknęło, że przybysz celowo zajął miejsce pomiędzy gośćmi a kapłanami. – Ze mną jest Pan i głosy ludu. Wybrani są moim synodem, bracia pasterze.

Najwyraźniej Powolna Flota nie była tak jednolitym tworem, jak wydawało się Masce. Pies parsknął cicho. Należało się tego spodziewać. Pełna zgodność to cecha niedostępna gatunkowi ludzkiemu. A ci tutaj mieli prawie dwa tysiące lat, by odkryć powody, dla których mogliby się pokłócić i śmiertelnie poobrażać.

Spostrzegł, że Włodzimierz mu się przygląda. Najwyraźniej jego rozbawienie było aż nadto widoczne. Niespodziewanie dla siebie uśmiechnął się do mężczyzny, który odruchowo wzbudził w nim sympatię.

5

Kamera podążała za spojrzeniem reportera. Większość sprzętu musiał zostawić, udało mu się jednak przemycić mikroskopijną kamerkę podczepioną do źrenicy. Zwykle używali ich awangardowi artyści bądź ekipy kręcące epopeje z użyciem zdjęć z perspektywy oczu żołnierzy. Nawet przy zastosowaniu stabilizatorów i po obróbce obraz był zbyt rozedrgany, by można było z tak zrobionych zdjęć zyskać coś więcej niż kilkusekundowe przebitki. Jakość także pozostawiała wiele do życzenia. Jeśli do tego dodać wyłącznie wewnętrzny zapis, który trzeba będzie później oczyścić z całego myślowego szumu, zapowiadało się na to, że Kalera czeka wiele nużących godzin pracy przy postprodukcji. Westchnął i zaraz skłął się za to westchnienie, które natychmiast zapisało się w relacji. Wczytał zapisy, by zachować kody od początku nagrania.

03:52:01:16

Przeciskamy się wąskim korytarzem, znacznie poniżej standardów floty. Tak jak się spodziewaliśmy, jest tu dość ciemno. A także chłodno, co jest szczególnie dotkliwe w lekkich ubraniach, jakie musieliśmy włożyć. Wygląda na to, że Powolna Flota oszczędza energię, jak tylko się da.

Maska jest wyraźnie zafascynowany. Idzie na przedzie, zaraz za naszym przewodnikiem, zasypując go pytaniami. Ja niestety jestem dopiero czwarty w szeregu i nie słyszę wszystkiego.

Wreszcie docieramy na mostek. Jakże różni się od tych, jakie znamy! Zamiast wirtualnych tablic piloci muszą używać tradycyjnych instrumentów, jakie niektórzy z nas widzieli może w historycznych epopejach. Chętnie porozmawiałbym z którymś z pilotów, teraz jednak Maska wita się z kapitanem *Eliasa*.

– Komandor Samuel Drake, kapitan *Eliasa*. Witam na pokładzie, panie...

– Profesor Ludwik Czarnecki. – Maska używa swojego oryginalnego tytułu i imienia. Zapewne woli nie wyjawiać dość ekscentrycznego pseudonimu. – Dowodzę tą ekspedycją. Bardzo się

cieszę z możliwości poznania pana. Pozwoli pan, że przedstawię swoich towarzyszy...

Drake sprawia wrażenie twardego, pewnego siebie mężczyzny, podobnie jak zastępcy, których nam prezentuje.

Na mostku zwraca uwagę obecność kobiet. Czyżby starożytni tolerowali je we flocie i armii i to na stanowiskach zarezerwowanych tradycyjnie dla mężczyzn? Z pewnością nasi widzowie będą zainteresowani wywiadem z którąś z pań... oficerów? Czy to właściwe słowo? Na przykład teraz Drake przedstawia nam Annę Soulise, swojego pierwszego oficera.

Pierwszego oficera! Dowódcy naszych flot będą zaszokowani, oglądając ten materiał. ~~Kto wie, czy nie przyczynimy się do rewolucji obyczajowej?~~ Podobne rzeczy trafiają się i we flotach Rozproszonych, jednak kobiety-oficerowie nigdy nie są mile widziane w przestrzeni Cesarstwa, toteż niewiele miało okazji z nimi porozmawiać.

Spróbuję wykorzystać moment, gdy pani oficer będzie się ze mną witać.

– Anna Soulise, pierwszy oficer *Eliasza*.

Kaler Bahnian. Pani oficer, czy mogę spytać, jak się pani czuje, służąc we flocie? Czy wiele kobiet na *Eliaszu* i innych okrętach wybrało podobną karierę?

– Obawiam się, że *Eliasz* jest wyjątkiem. Może jeszcze *Droga Maryi* dopuszcza kobiety do służby. Ortodoksi są dość... zachowawczy. Teraz przepraszam, pan pozwoli, obowiązki wzywają. Później chętnie z panem porozmawiam.

~~Kapitan pozostawia mostek we władaniu kobiety!~~ Oj, zatrzęsiemy posadami flot! Na razie porzucam uroczą panią oficer i udaję się do ulokowanej w pobliżu kajuty kapitańskiej. Szczęście, że tu pozwolono sobie na luksus oświetlenia!

~~Ci, którzy się mieszcza, siadają wokół niewielkiego stolika, reszta, w tym ja, pod ścianami.~~ Maska wyjaśnia, kim jesteśmy. Unika opowiadania o wojnie i swojej w niej roli. Przedstawia nas jako pielgrzymów szukających prawdy na temat świata. Pyta, kim są ludzie z „siódemki”, którzy domagali się jednoczesnego spotkania z częścią załogi. Kapitan uśmiecha się, jak mam wrażenie, z pobłażliwością i tłumaczy, że to przewodnicy duchowi floty

– We własnym przekonaniu dowodzą. Mają w tym trochę racji, ale znacznie mniej niż sądzą.

– Może mi pan wyjaśnić strukturę floty? Większość załogi pozostaje w uśpieniu, czyż nie?

– Tak to wygląda. Przy czasie trwania naszej podróży nie da się inaczej. Prowadzimy dżury. Wy oczywiście, posługujecie się napędem innergetycznym?

– Znacie go? Sądziłem, że właśnie od innergetyki uciekacie.

– Innergetyka to występki w oczach Pana. Nie znaczy to jednak, że pozostajemy ignorantami. Kiedy opuściliśmy Ziemię, ta gałąź nauki żywiłowo się rozwijała.

– Ziemię! Pamięta pan Ziemię?

– Tam się urodziłem. Zanim zaczniesz mnie pan wypytywać, wolałbym, aby odpowiedział pan na

moje pytania. Potraktujmy to jak rodzaj wymiany

Maska opowiada więc skamielinom o innergetycznym imperium. To zaskakujące, ale prawie nic nie pomija. Przerywa, gdy w drzwiach staje pierwszy oficer.

Kobieta nachyla się nad kapitanem i coś mu cicho sprawozdaje. Gdybym miał swój sprzęt, byłbym w stanie ją podsłuchać. Niestety jestem skazany na domysły Widać, że coś się stało, twarz kapitana przez moment wyrażała niezadowolenie. Czy coś spotkało nasz drugi zespół? Widzę, że wszyscy chcielibyśmy o to zapytać, Maska powstrzymuje jednak ciekawość i wraca do opowieści o Wspólnych Przestrzeniach. Jego opowieść zaczyna się robić naprawdę interesująca, gdy dochodzi do wyjaśnień motywacji rebelii.

– Bogowie to w istocie tylko inny rodzaj istot, bracia w rozumie, równie zagubieni jak my. Nasze wzajemne kontakty potrzebują reformy, bez niej ani ludzkość, ani byty innergetyczne się nie rozwiną i nie przetrwają.

– Bylibyście gotowi przyjąć Słowa Pańskie?

– Wszyscy? Nie sądzę. Ale my tutaj szukamy rozwiązania. Czy wy bylibyście gotowi uczestniczyć w życiu Wspólnych Przestrzeni?

– Wszyscy? No widzi pan. Ja i większość moich ludzi zdajemy sobie sprawę, że Nowe Jeruzalem mogłoby już dawno istnieć, gdybyśmy użyli silników innergetycznych. Przecież nie musimy przyjmować oferty demonów, by wykorzystać ich technikę. Jednak pasterze są przekonani, że jakiegokolwiek skorzystanie z innergetyki skaziłoby nasze dusze. Dlatego wlecemy się na antimaterii, od czasu do czasu przy korektach kursu rozwijając żagle magnetyczne. A przy tym oszczędzamy energię, jak się da, bo z ledwością starcza jej na utrzymanie nas przy życiu.

– Silniki na antimaterię są nam znane. Ale jak zdołaliście uzyskać wystarczające jej ilości bez użycia innergetyki?

– Nie zdołaliśmy. Nawet pasterze się zgadzają, że czasem nie da się uniknąć skażenia narzędziami szatana. Chodzi o to, by wierni mieli w tym możliwie najmniejszy udział. Przecież na Nowe Jeruzalem wysłano przed nami sondę innergetyczną, która siedzi tam do tej pory, steruje ichniejszym demonem, terraformując planetę.

– Będziecie więc mieć własnego boga!

– Nie, to stara technologia. Wykorzystuje moce demonów, ale nie budzi ich do końca. On pozostanie nieświadomy, nie będzie stwarzał zagrożenia dla naszych nieśmiertelnych dusz. To zresztą nieważne. Obawiam się, że pasterze nie zechcą skorzystać z waszej propozycji i zaoferują wam tylko jedno możliwe rozwiązanie – dołączenie do nas.

– Na waszych warunkach?

– Bez kompromisów, profesorze. Dla waszego dobra. Pasterze zrobią wszystko, by uratować wasze nieśmiertelne dusze.

Gdy napastnicy wbiegli do „ogrodu”, kundle zareagowały jako pierwsze. Może i pozbawiono je kombinezonów i pancerzy, niemniej wpisane w ich naturę odruchy nie zawiodły. Zanim Pies się zorientował, co właściwie się dzieje, wokół niego już toczyła się walka. Wstał, wtedy jednak Włodzimierz wycelował w niego broń skrywaną dotąd pod wielobarwną szatą.

– Bardzo bym nie chciał pana skrzywdzić, przyjacielu! – zawołał wciąż wesółym tonem, jakby wszystko wokół stanowiło tylko rodzaj zabawy. – Proszę się nie wtrącać, a wszystko będzie dobrze.

– Zdrajco! – krzyknął Adam. – Po trzykroć przeklęty zdrajco! Wiedziałem, że nisko upadłeś ze swoimi heretykami, jednak nie spodziewałem się, że poważyz się złamać rozejm!

– Jakie czasy, takie czyny, mój biedny pasterzu. Wierni nie będą się trzymać z boku.

– Chcesz na nowo rozpętać wojnę, którą z takim trudem ugasiliśmy! Siedemset lat, Włodzimierzu! Siedemset lat pokoju! Oto, co zaprzepaszczaś!

– Siedemset lat upokarzającej zgody z niewiernymi – poprawił Włodzimierz. – Nie martw się, nie chcę wojny. I zaręczam ci, że nasi pasterze dogadają się z waszymi. A teraz...

Nie spuszczać wzroku z pasterzy, ruszył ku Psu.

– Dalej, przybyszu, chodźmy stąd, póki jeszcze możemy. Ci twoi dyplomaci młóć moich najlepszych ludzi. Matko Boska, co to za jedni?

Istotnie, jedynie przewaga liczebna pozwalała skamielinom Włodzimierza dotrzymać pola kundlom. Mogłoby być inaczej, gdyby używali broni, najwyraźniej jednak zabroniono im podejmować ryzyko zabicia kóregoś z przybyszów. Dlatego wokół Psa trwała zacięta walka wręcz. Szala zwycięstwa przechylała się jednak wyraźnie na stronę przetworzonych żołnierzy Maski.

– A jeśli z tobą nie pójde? – zaryzykował Pies.

– To dam ci w łeb i moi ludzie cię zanosą.

– Ale nie strzelisz, co? – Pies odwrócił się, podbijając uzbrojoną rękę Włodzimierza.

Strzał rzeczywiście nie padł, najwyraźniej mężczyzna nawet nie odbezpieczył broni. Zaskoczony cofnął się o krok, a Pies ruszył na niego.

I może nawet udowodniłby mu swoją wyższość w sztuce walki wręcz, gdyby w tym

momencie ktoś nie uderzył go od tyłu, wprawny m ciosem gasząc Psią świadomość.

– Wszyscy cali? Meldunki! – Soruz nawet się nie zadyszał.

Skamieliny nie stanowiły poważnego wyzwania dla niego i jego ludzi. Gdyby nie było ich tak wielu, uporaliby się z nimi i jeszcze szybciej.

– Sylwian, Gem cali – zameldował Sylwian. – Szefa trochę poobijali, najwyraźniej chcieli go zabrać ze sobą, ale im nie wyszło. Irina zniknęła.

– Poszła sama za Psem – stęknął Sutanabe. – Udzieliłem zezwolenia.

– I ten Pies. – Sylwian kiwnął głową. – A kawalerzysta wygląda na trochę posiniaczonego.

– Przeżyję – mruknął Kostek podnosząc się z podłogi. – Co to było, na pęd?

– Właśnie. – Najwyższy stopniem Gem zwrócił się ku pasterzom. – Co to miało znaczyć?

– To heretycy – wydukał pobladły Adam. – My... Oni zeszlę ze ścieżki, uważają się za wybranych przez Pana. Siedemset lat temu omal nie zniszczyli floty. Dziś najwyraźniej postanowili na nowo rozpętać wojnę. Oni wierzą...

– Nie interesują mnie wasze teologiczne spory – przerwał mu Soruz. – Porwali dwóch naszych. Dokąd mogli ich zabrać?

– To... to nasza sprawa. Naruszyli święte prawo gościnności, złamali rozejm. My się nimi zajmujemy.

– Posłuchaj, wielebny – warknął Soruz, pochylając się nad pasterzem. – Nasi ludzie, nasza sprawa. I – z całym szacunkiem – nie sądzę, żebyście sobie poradzili tak dobrze i szybko jak my. Możecie nas połączyć z naszymi ludźmi na „jedynce”?

– Na *Eliasz*u? Tak, tylko nie stąd. Musimy przejść do kabiny...

– Nie trzeba. Sylwian, łączność z szefem, już!

Kundel przy mknął oczy i pochylił głowę.

– Mam kontakt! – zameldował po chwili.

– Trójkowy Soruz – zameldował kundel. – Mieliśmy tu małą rozróbę. Jacyś partyzanci-heretycy wpadli na okręt, poturbowali tutejszych. Nas też próbowali. Większość z nich leży po kątach i cierpi, ale porwali Irinę i Psa. Proszę o pozwolenie na rozpoczęcie akcji ratowniczej.

– Masz je – odpowiedział Sylwian nieznacznie odmienionym głosem. – Unikajcie ofiar. Coś jeszcze?

– To wszystko. Dziękuję.

Sylwian odetchnął głęboko i westchnął. Otworzył oczy.

– Tak więc, wielebny – Soruz na powrót zwrócił się do pasterza – potrzebuję informacji. Dokąd się udali?

Adam jakby nie usłyszał pytania. Wyraźnie przestraszony przy patrywał się Sylwianowi.

– Przywlekiście tu zarazę! – zawołał. Oburzenie mieszało się w jego głosie ze strachem. –

Przekłętę czary demonów!

– Tylko biotechnologię, wielebny. – Sutanabe, przejmując inicjatywę, chwycił go za ramię i przyciągnął do siebie. – Żadnej innergetyki. Słowo. A teraz szybciotko – kim są i gdzie ich szukać? Tylko bez teologii.

– To heretycy! Nazywają siebie „wiernymi”. Na pewno porwali waszych ludzi na swój statek..

– Położenie?

– Ja... – Pasterz się poddał. – Na *Eliasz*u mają wszelkie dane.

– Sylwian, wywołaj jeszcze raz szefa. Pasterzu, jak są uzbrojeni?

– Nie wiem. Każdy okręt został wyposażony w klasyczny arsenał broni konwencjonalnej.

Wyłącznie broń ręczna. Takmi się wydaje.

– Ilu ich jest?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem! To izolacjoniści, porzucili ścieżkę. Oni się rozmnażają!

– Rozmnażają?

– Nie korzystają z anabiozy, żołnierzu. Tam nie ma już nikogo, kto pamiętałby Ziemię. Odrzucili sen i popadli w herezję. Po prostu żyją, przekazując heretyckie nauki z pokolenia na pokolenie. Nie wiemy nawet, na ile są ludźmi.

– Gem? Mam już namiar. Dałem znać na barkę.

– Przyjąłem. Soruz, poprowadzisz grupę, ja tu zostanę, by pogawędzić z naszymi gospodarzami. Dobra, wielebny. Powinieneś być zadowolony, bo moi ludzie idą nauczyć waszych heretyków bojaźni bożej. Nie wysyłajcie nikogo, żeby płątał im się pod nogami.

– Kawalerzysto? – Zbierający się do wyjścia Soruz spojrzął na Kostka.

– Nic tu po mnie.

– Znakomicie. Chodźmy rozruszać kości. Dla nas dyplomacja właśnie się skończyła.

Rozdział 15

1

Gangi są jak muchy – wpychają się wszędzie i zawsze postępują tak samo. Mogą się ukryć wśród mundurów, garniturów albo klasycznych kuszących sukieneczek rozchichotanych pokojówek. Jakiśkolwiek barwy klanowe przybrałby lokalny gang, historia zawsze kończy się tak samo – ktoś leży na ziemi, a inni ktoś kopią go zawzięcie. Chyba że los zadecydował inaczej i to wróg gangu jest górą.

Skoron nie był górą. Skulony na ziemi starał się chronić głowę. Szło mu o tyle łatwiej, że napastnicy nie wkładali serca w robotę. Ot, kopalni, żeby kopać, wykonać dniówkę i iść się napić. Pechowo dla nich Skoron rozpoznał jednego. Kurdupel Krechu był jedynym, który zaangażował się w pracę całym sobą. Aż się zasapał z wysiłku, nie ustawał jednak w staraniach, by zarobić na swoje pieniądze. Podobnie jak inni, naciągnął kominarkę na twarz, nie opanował jednak pokusy i wysyczał Skoronowi w ucho, że teraz pieprzony pchlarz dostanie to, na co zasłużył. A że Skoron miał wprawę w rozszyfrowywaniu przepehionych nienawiścią głosów, to rozpoznał Krecha i obiecał mu w duchu to i owo.

Najpierw jednak musiał wyjść cało z niespodziewanego spotkania. Kulił się więc, chronił głowę i przeklinał własną głupotę, przez którą zbyt się zdał na systemy plusmysłu, które, jak widać, dawało się oszukać, jeśli ktoś przygotowujący zasadzkę był odpowiednio uparty i dysponował naprawdę dobrym sprzętem. Lepszym od tego, na jaki mogliby sobie pozwolić dekonnicy z zadupia. Skoron zastanawiał się więc nie tylko, czego napastnicy mogli od niego

chcieć, ale i w czym imieniu. Z pewnością nie chodziło im o urażoną godność kurdupla.

Prawie przegapił moment, gdy przestali go bić. Jeszcze oddany zadaniu Krechu poczęstował go kilkoma szczególnie złośliwymi kłopotkami. Wreszcie odciągnięto go na bok. Kłął za to kumpli.

Ktoś podszedł do leżącego. Ktoś się nad nim pochylił.

– Myślałeś, że zapomnieliśmy? – odezwał się nad mniej obolałym uchem Skorona łagodny głos, jakim zwykle posługują się urodzeni sadyści na chwilę przed rozpoczęciem zabawy z ofiarą.

– Że tak po prostu zabijesz paru naszych, wciśniesz nam gówno i zwiejesz?

Na pewno miał rację. Skoron tak właśnie myślał. Tak wyglądała, streszczona w jednym zdaniu, filozofia jego życia.

Nie miał jednak teraz głowy do pogaduszek o filozofii.

– Kim jesteś? – stęknął.

– Damulka. – Pomógł mu mężczyzna o łagodnym głosie. – Pamiętasz? Moi koledzy przyszli cię wypytać o arystokratyczną lalę. No to ja powtarzam ich pytanie.

– Aach, ona! – wysilił się Skoron. – No więc pobaraszkowaliśmy, a potem rozeszliśmy się w pokój. Wiesz, była trochę przereklamowana...

Cios łagodnego głosu różnił się znacząco od kłopotków kumpli Krecha. Łagodny głos zdecydowanie znał się na swoim fachu. Ból sprawił, że ciało Skorona wyprężyło się, w jednej sekundzie zapominając o wygodzie i bezpieczeństwie skulonej pozycji. Agent jęknął.

– Muszę cię przeprosić. – Tym razem głos nabrał skruchy. – Ludzie, których wysłaliśmy do ciebie po raz pierwszy, byli partaczami bez doświadczenia. Kimś zdecydowanie poniżej twojej klasy. Ich dyletanctwo mogło wprowadzić cię w błąd. Pomyślałeś, że jesteśmy byle gnojkami niewartymi twojej uwagi i że będziesz z nami grał, jak ci się spodoba. Szczerze cię za to przepraszam, bo kosztowało cię to sporo bólu. A teraz, kiedy już wiesz, że się mylisz, pomożesz mi dostać się do kobiety. Wiem, że musi być gdzieś w pobliżu. Nie na planecie, bo przyleciałeś tu sam.

– No dobra – spróbował Skoron. – Powiem ci, gdzie jest.

– Miło, że idziesz na ustępstwa. Tylko że trochę ci nie ufam. Dlatego zaprowadzisz mnie do niej.

Skoron próbował się roześmiać. Wyszło mu to raczej niemrawo.

– Niby jak? Nie ruszymy się stąd do końca kwarantanny!

– Zaufaj mi, kolego. – Łagodnemu głosowi uśmiech wychodził popisowo. – Damy radę. No, wstawaj! Pomogę ci, skoro już zostaliśmy kumplami.

Niestety, nic z tego nie wyszło. Znajdowali się mniej więcej w połowie drogi, gdy czyjś głos, dochodzący z cienia jednej z bud Perelki, oznajmił nowemu kumplowi Skorona, co powinien zrobić z rękami. Na wszelki wypadek dodał, że nie jest sam.

W efekcie łagodny głos puścił Skorona, który z głośnym jękiem przywitał się ponownie

z twardą, ubitą ulicą Perełki, sam zaś skoczył w schronienie zaofierowane przez sterty skrzyń. Jakimś cudem udało mu się wy dobyć pistolet i strzelić w locie. Najwyraźniej był szczery, kiedy chwalił się Skoronowi kwalifikacjami.

Wiele mu to nie pomogło, gdyż głos z cienia nie kłamał i rzeczywiście nie przyszedł sam. Strzały w odpowiedzi na powitanie łagodnego głosu padły z wielu stron i któraś kula dopadła go wreszcie. Krzyknął.

– Żywy! – zawołał, nie podnosząc się na wszelki wypadek Skoron. – Chcę go żywego!

– Uciekł, drań – zmartwił go Szczurzy Zad, pochylając się nad agentem i pomagając mu wstać. – Dobry był. Dostał, ale postrzelił Szurmana i uciekł. Szarak!

– Tak jest! – Jakis umundurowany młodzik wyprężył się przed setnikiem.

– Opatrzcie Szurmana u naszego konowała. Niech trzyma głowę na kłódkę! Wy też pamiętajcie, że tej nocy nie było.

– Tak jest!

– Jesteście wolni.

– Tak jest!

– Prawdziwe wojsko. – Pokręcił z niedowierzaniem głową Skoron. – Wszystko na baczność.

– Prawdziwe to masz szczęście, że Goryl zapragnął jednak za tobą pójść. I że starczyło mu rozumu, żeby wezwać mnie. Masz chociaż coś z tego mordobicia? Nie, czekaj, powiesz mi później. Teraz się zbieramy, zanim przyjdą tu szarzy.

Strzelanina nie zakłóciła snu mieszkańcom i gościom Perełki. Z pewnością jednak przyciągnęła uwagę żandarmerii.

– Czekaj, a tamci? Ci, którzy spuścili mi manto?

– Zmyli się, zanim przyszliśmy – parsknęła setnik – Rozplynęli się w ciemnościach, taka ich poetycka mać.

Kulejąc i nie starając się tłumić pojękiwań, Skoron dał się zaprowadzić do Tylko Szeptem. Trochę protestował, gdy Maja zaciągnęła go pod prysznic, ignorując jego nalegania, by nalała mu „choćby szklaneczkę”.

– Nie takich widziałam, wstydniszu – śmiała się, zdejmując z niego ubranie. – Brudnego nie będę cię opatrywać. A alkohol nie robi dobrze na rany.

– Alkohol robi dobrze na wszystko – odburknęła, kapitulując. – Tylko wy, kobiety, nigdy nie potrafiłyście tego zrozumieć.

– Mogłem ich załatwić – umniejszał kłękę kilkanaście minut później już przy barze. – Wiecie. Po trosze nawet się spodziewałem, że to pułapka, gdy ten legionista przekazał mi wiadomość, że jakis

nie wiadomo kto koniecznie chce się spotkać. Więc mogłem ich załatwić. Ale czekałem, żeby coś się okazało.

– Jaaasne. – Celowe przeciąganie samogłoski sugerowało, że setnik nie do końca wierzy w możliwości agenta.

Skoron zastanawiał się chwilę, czy nie powinien poczuć się urażony. Wielkodusznie uznał, że może wybaczyć facetowi, który uratował mu skórę.

– A okazało się coś, mistrzu podstępny? Rozpoznałeś ich chociaż?

– Jednego. Spotkałem go zaraz po przylocie. Wołają go Krechu. Taki pocieszny kurdupeł. Mógł mieć do mnie osobistą urażę, ale nie o to chodziło.

– Krechu? Coś mi świta. Ale umiarkowanie. Pomyślę, to może sobie przypomnę. Coś jeszcze?

– Spotkałem kiedyś kumpli tego cwaniaka, który wam uciekł. Wygląda na to, że są bardzo zainteresowani sprawą, którą prowadzę.

– Znaczą się Psem? – Setnik pokręcił z niedowierzaniem głową. Porozmawiali sobie wcześniej ze Skoronem tak szczerze, jak to tylko było możliwe. Co znaczyło dokładnie tyle, że każdy zachował dla siebie, ile tylko mógł. – Trudno w to uwierzyć. To zwyczajny żołnierz. Owszem, trochę skryty, zamknięty w sobie. Może trochę za inteligentny. Ale nic nadzwyczajnego.

– Pieniądze każdego czynią nadzwyczajnym, a ten twój Pies może liczyć na spory spadek. Komuś z wysoko urodzonych krewnych to się może nie podobać.

Setnik pokławał głową, jakby zgadzał się ze słowami agenta.

– Wszystko to dziwne – oznajmił. – Mówisz, że ci goście ścigają cię przez pół wszechświata i że znają sposób na przełamanie blokady. To oznacza duże pieniądze albo władzę. A najpewniej jedno i drugie. Nie wiem, co musiałby odziedziczyć Pies, żeby przyciągnąć aż takie zainteresowanie. Po mojemu kręcisz, panie agent. Wiesz więcej, niż mówisz.

– To, zdaje się, powszechny obyczaj – mruknął Skoron. – Nie?

Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Przerwała im Maja.

– Tam gdzie jest Rachuba – przypominała im. Głos drżał jej na tyle wyraźnie, by obaj mężczyźni spojrzeli na nią zaniepokojeni. – A wy dwaj, zamiast robić wszystko, by pomóc jemu i jego kumplom, tańczycie wokół siebie, jak robią to wszyscy głupi mężczyźni wszechświata. Mam dość waszych cholernych gier, wy kretyni! Nawet ja widzę, że tkwimy po uszy w czymś większym od każdego z was z osobna. Ale wy nie. Każdy musi czuć się ważniejszy od drugiego! Mam was dość! Zaczniecie wreszcie naprawdę współpracować, zamiast kombinować, jak okazać się mądrzejszym od całego wszechświata?

– Współpracujemy – spróbował uspokoić ją Skoron. – Na tyle, na ile możemy.

– Są pewne sprawy, trudne sprawy, których nie przeskoczymy – poparł go setnik

– No proszę, jak teraz wyszła wam współpraca! – prychnęła. – Mam was dość! Wszystkich!

Przyjdźcie do mnie, jak dojdziecie do porozumienia. A pamiętajcie, że Rachuba może znowu się ze mną skontaktować!

Nie dała im czasu na reakcję. Porzuciła bar i odeszła.

– Ma trochę racji – przyznał z westchnieniem setnik

– My też – odparł ponuro Skoron. – Szukamy tego samego gościa, ale z innych powodów.

– Trochę jednak moglibyśmy sobie powiedzieć. Zanim znowu ktoś postanowi dać któremuś z nas po mordzie.

Skoron pomyślał nad tym chwilę. Rzeczywiście, setnik uratował go tej nocy. Więcej sojuszników Skoron nie posiadał, za to wyglądało na to, że wrogów mu przybywa. Z drugiej strony przywykł już do tego, że musi działać sam, kiwany nawet przez klienta.

– Co mam ci powiedzieć? – Napełnił ponownie szklanki. – Że tu nie chodzi tylko o spadek? Sam mam takie wrażenie. Nie znam sprawy tak do końca i jestem przekonany, że moja klientka nie mówi mi całej prawdy. Taka praca. Prawie zawsze moi szanowni klienci próbują mnie wykiwać.

– Więc po co to robisz?

– Bo ostatecznie to ja ich kiwam? A dlaczego ty jesteś w wojsku? Taka karma.

– Co to znaczy?

– Właściwie nie wiem. Jeden mój kumpel tak mówi. To, zdaje się, ma coś wspólnego z kontraktami, znaczy jak wynegocjujesz, tak się najesz. Jeden rodzi się na żołnierza, inny na łapsa.

– Albo za dużo wypiełeś, albo za mocno cię uderzyli. Zaczynasz bredzić.

– Albo i to, i to. Ja ci powiedziałem, w jakim gównie tkwię. Co ty mi powiesz?

– Polityka – odezwał się po krótkim zastanowieniu setnik – Tyle ci powiem.

– No tośmy sobie szczerze porozmawiali. I co teraz?

– Możemy rzucić to w diabły.

– Ja chyba nie. – Skoron pogłaskał obolałą szczękę. – Za dużo już nabierałem fantów. Ale ty byś mógł.

– Ja na pewno nie. Za dużo moich zginęło. Chcę wiedzieć po co. Co zamierzasz?

– Namierzę tego Krecha. Porozmawiam z nim. Jestem pewien, że ten, kto zlecił jemu i jego kumpłom zmiękczenie mnie, domyśli się mojej genialnej strategii i będzie się czaił gdzieś w okolicy. Jak go spotkam, to pogadamy i może się czegoś dowiem.

– Dam ci obstawę na wszelki wypadek

– Byle dyskretną. Nie chcę spalić akcji, bo będzie za mną jeździł czołg.

– Wal się, durny łapsie! – parsknął setnik

– I twoje zdrowie też. – Wypili. – A co ty zrobisz?

– Mam jeden pomysł.

– I pewnie zaraz się nim ze mną podzielisz?

– Raczej nie. To trochę osobista sprawa. Sam ją załatwię.

2

Worejły pilnowało w szpitalu czterech ludzi setnika. Dopuszczali do rannego wyłącznie stałych, znanych sobie lekarzy i pielęgniarki. A kiedy z rannym przychodził porozmawiać setnik, zamykali za nim drzwi i pilnowali, by nikt nie przeszkadzał.

– Opowiedz mi to jeszcze raz.

– Jeszcze raz?

– Dajesz, żołnierzu!

Worejło pozwolił sobie na głębokie, pełne udręki i żalu westchnienie. Szpital najwyraźniej rozpuścił go niemilosiernie.

– No więc siedzeliśmy, gdzie łazano. Rachuba kłaczył, jak to on. Pies coś tam dębał w systemie, a Pniak ganiał jak poparzony. Nerwowy jak nie on. Wiecie, setniku, on z tych, co to wydrą się na człowieka, jakby go bogi napędzały, ale w środku zawsze zimny jak lód. Zawsze. A wtedy nosiło go jak nigdy. To znaczy ja to teraz widzę, bo wtedy jakoś nie. Teraz, jak sobie to wszystko przypominam, to mi się zdaje, że widzę, jak go nerwy żarły. Ale wtedy nie. No, siedli na pozycji. I z początku było spoko, nic się nie działo. Jedno co, puszkacze nam dogryzały, wielkie takie ich paniska w tych ich zbrojach! A potem poszło. Najpierw takie byle co, jakby od niechcienia szli. Ale przybywało ich. Z każdej strony. Tłuki po nas, ale niegroźnie, jakby im się nie chciało. Nawet myślałem, że to taka ich dola do dupy, że im jeszcze oficerzy kazały się bić nie wiadomo na co, to poszli i strzelają, ale tak jakoś bez serca. No, ale potem się przyłożyli. I wyszło, że to tylko tak dla odwrócenia uwagi byli ci pierwsi, bo przyszły kundle. Wcześniej jeszcze ja zobaczyłem, jak Pniakowi nerwy puszczają. Przywalił temu czarownikowi, co go nam sztab przysłał dla wsparcia, aż się magik nakrył nogami. No aż miło było popatrzeć, choć żem się zdziwił. Ale musiał mieć dziesiętnik swoją rację, a i czasu nad tym nie było dumać, bo te kundle przylały.

Zaczęli rozpieprzać nam czołgi. I wyszło, że są za nami. Przeszli nas, przeszli puszkacze, którzy, zdaje się, legli pod ogniem. A jak puszkacze legną, znaczy jest źle. Bo to takie syny, setniku, ale w walce wariaty. Biją się, jakby to kochali, normalni nie są, sami wiecie. Więc jak oni legną, to

jest źle. A legli. Wszyscy w tedy głowy potracili, jeden Pniak myślał, bo wystrzelił zieloną. Ich kamuflaże skasowało i zobaczyli, jak nas otoczyli i jak czołgi wysadzają. A potem zrobiło się dziwnie. Te kundle to nas mogły rozpieprzyć raz-dwa, setniku. A nie rozpieprzały. Jakby jeńca chciały brać, bo porwały Pniaka, Psa i Rachubę. I jeszcze tego czarownika, co cały czas leżał przyćmiony, po tym jak mu Pniak przyfansolił. A potem wskoczył między nich puszcak. Tak zupełnie znikąd! I jak zaczął ich lać! Zrobiło się straszne zamieszanie, a jeszcze bez Psa i Rachuby buntownicy się zrobiły strasznie zawzięte i docisnęły nas mocniej. To ja już myślałem, że po nas, tak czy tak I krzyknąłem na chłopaków, coby dziesiątnika ratować. Jak ginąć to kupą, nie?

– Zajeboska strategia, żołnierzu – syknął setnik – Czy wyście w ogóle słyszeli o wykonywaniu rozkazów?

– A bo mi tam było wszystko jedno wtedy. – Wzruszył ramionami Worejło i aż zasyczał z bólu, gdy drgnęła mu odradzająca się noga. – Pieprzyć rozkazy, jak swojaki giną! Tak to u nas, Pniakowych, było, wicie?

– Pieprzyć rozkazy, tak? Pniak was tego nauczył?

– Po prawdzie to nigdy tak nie powiedział. Jenó myśmy swoje wiedzieli. Bo to jeden raz bywało, że oko dziesiątnik przyćmiał na to i owo? Zresztą, wtedy mnie już wszystko jedno było, bo wiedziałem, że śmierć idzie. Tak mnie tknęło. A kiedyś rozmawiałem, jak by to było umrzeć dobrze, honornie. I wtedy Pies – ażem się zdziwił, że właśnie on – powiedział, pamiętam jak dziś, że jakby miał umrzeć na tej pieprzonej wojnie, to nie dla jakichś generałów, ale dla siebie. A w dziesiątce dla siebie, to znaczy dla kumpli. Że jak już ładnie trzeba umrzeć, to przy kolegach. I jażem sobie wtedy o tym przypomniał i polecałem ich z łap kundli wyrywać. I chyba temu żyję, setniku, nie? Bo te kundle to ich ciągnęły ku tej dziurze. I puszcak tam z nimi siedł, cały czas się szarpał. I ja za nimi polecałem. Ale chyba za późno, bo już gdzieś mi znikli. A potem poszedł podmuch, pchnęło mnie do środka, glazy na mnie poszły i tyle pamiętam. Ale tak myślę, że jakby nie ta dziura, jakby nie chęć kolegów ratowania, to już bym był u swego pana boga. Nie?

– Mówisz, że tamci, buntownicy, szli do ataku cały czas?

– Ano szli.

– To pewnie zginęli od tego samego wybuchu co nasi?

– Ano, pewnie tak było. Swoich poświęcili. – Worejło pokręcił z niedowierzaniem głową, jakby mu się w niej nie mieściło, że można własnych żołnierzy celowo wysłać na śmierć i jeszcze potem samemu ostrzelać. – Na sam koniec wojny! Co za skurwiele, setniku! Po co tak? Mam nadzieję, że im bogi zdradę policzą!

Poświęcili własnych ludzi, dumał setnik. Jak my? Dziara, chłopaki z dziesiątki Pniaka... Zginęli tam w imię polityki. Czemu nie ja? Jakby mnie wtedy nie połamali, byłbym tam wyparował z nimi wszystkimi.

- Mnogo chłopaków wtedy padło, co? Co to za bomba była, setniku?
- Nie myśl tyle, żołnierzu. Ciesz się, że masz to już za sobą. Wszystko. Już po wojnie.
- Ano po wojnie. – Kiwnął głową jakoś zupełnie bez entuzjazmu Worejło. – Co ja teraz będę robił, setniku? Wojny nie ma, chłopaków nie ma. Sam zostałem jak palec.
- Masz rodzinę przecież.
- Albo to oni mnie poznają po tych wszystkich latach? Wrócę do domu, siądę przy stole i będę dumał, jak oni nic nie wiedzą. I nic im nie powiem, chociaż pewnie będą mnie pytali, jak to było na wojnie. I oni też mi nic nie powiedzą, ale i pomyślą, że się do niczego nie nadaję. I będą mieli rację, wiecie?
- Pieprzysz, żołnierzu. Kawał z ciebie chłopca. Za służbę masz duży kredyt u boga, to i żonę łatwo znajdziesz. A i armia wypłaci ci stosowną premię. Może nawet awansujesz na sam koniec? Założysz rodzinę, zapomnisz o tym, co było. A teraz leż tu, zdrowiej i nie myśl za dużo o tym, co było. Myśl o tym, co będzie.
- Może i założę rodzinę, jak jaka będzie mnie chciała – mruknął Worejło. – Ale zapomnieć to nie zapomnę. Głowa będzie chciała, ale dusza zapamięta. Idźcie już?
- Czas na mnie. Nie uwierzysz, ile mam teraz papierkowej roboty. Wychodzi na to, że muszę się rozliczyć z całej wojny. Z każdej kuli i z tych, co wystrzeliłem, i z tych, którymi oberwałem.
- Taki oficcerski los. Odwiedzicie mnie jeszcze, setniku?
- Przy okazji, żołnierzu. Teraz odpoczywaj.
- Chciał wstać, ale Worejło chwycił go niespodziewanie za rękę i przytrzymał.
- Znajdziecie ich, setniku, co?
- Słucham?
- Pniaka, Psa i Rachubę, co to ich kundły porwały. Teraz to moi ostatni z dziesiątki. Znajdziecie ich?
- Znajdę – odpowiedział setnik, choć chciał powiedzieć Worejle, że przecież to już koniec wojny i jeńcy zostaną uwolnieni, i odnajdą się wszyscy zaginieni i uwięzieni. Na tym lub tamtym świecie. – A teraz śpij już, kuternogo! To rozkaz! Aha, i nie rozmawiaj z nikim więcej o tym, co ze mną.
- Z tą dziewuszką Rachubą też nie?
- Z nią też. Sam z nią porozmawiam. Spać!

– Dobrze, że jesteś – przywitał setnika generał Spasoff. Odsunął od ust mikrofon, przez który jeszcze przed chwilą wydawał rozkazy grupie podkomendnych, jak zwykle miotając się przy tym po bunkrze. Ucisnął serdecznie setnika i wskazał mu krzesło przy zawałonym stertą

elektronicznego sprzętu biurku. – Właśnie skończyłem dyktować rozkazy. Czeka mnie jeszcze całe to elektroniczne potwierdzanie, ale wynosimy się stąd!

Usiadł za biurkiem. Westchnął, patrząc na zalegający na nim złom.

– Bogowie! – zawołał. – Cała ta sprawozdawczość! Mam wrażenie, że podczas wojny więcej się naraportowałem, niż powalczyłem. Muszę się teraz rozliczać z każdej śrubki, z każdego naboju.

– Taka już generalska dola – przy pomniął sobie sentencję Worejły setnik

– A nie, mój przyjacielu, ciebie też to czeka! Dola dolą, a generalskie przywileje pozwalają mi przerzucić część tego trudu na podwładnych. Ale to wszystko później. Najpierw się stąd wyniesiemy.

– Opuszczamy planetę?

– Co to, to nie. Nie znieśli blokady i pewnie jeszcze długo jej nie zniosą. Opuszczamy to cholerne miasto. Przenoszą nas w okolice Nowego Rede. Widać przebadali już wszystkich na dziesiątą stronę i nie potrzebują nas, żeby wyjaśnić, co tu się stało. Teraz zostaną tu sami Cesarscy. Wiesz, ci godni zaufania. – Mrugnął. – A jak z tobą? Wydobrzałeś?

– Wydobrzałem. Wypróbuję na nas jakieś nowe lekarstwa. Innergetyka. – Skrzywił się. – Skoro już przy tym jesteśmy, co tu się stało?

– A bo ja wiem? Myślisz, że mówią coś zwyktemu obywatelskiemu generałowi? Coś pierdyknęło, coś niezwykłego.

– Daj spokój, Oleg. Nie jesteś takim znowu byle kim. Siedzisz w sprawach, w których zwykli generałowie nie siedzą.

– No! – Spaszoff spoważniał. – Sza! Czekał!

Poszperał przy biurku, uruchamiając ukryte w nim mechanizmy. Nagle wokół nich zrobiło się cicho.

– Teraz mów szybko, co masz do powiedzenia. Oni zaraz wykryją, że włączyłem wytłumiacz, wystarczą im trzy minuty, żeby przekonfigurować swój sprzęt do nowych ustawień. No i tyle mamy: trzy minuty. Wał.

– Co tam się stało, Oleg? Dlaczego moi ludzie zginęli? Albo – i to chyba ważniejsze pytanie – dlaczego ja przeżyłem?

Spaszoff poruszył się niespokojnie. Wyjął butelkę bimbrow z szuflady i napełnił dwie szklaneczki.

– Za dużo myślisz, Teryn, za dużo. Wiedziałem, że tak będzie, ale miałem nadzieję, że nie. Ech, durni my jesteśmy, prawda?

– Trzy minuty, Oleg. Co tam się stało?

– Oficjalnie nic nie wiem. Ale rebelia użyła czegoś absolutnie drańskiego. Na tyle drańskiego, że poprzestawiała się stare sojusze, a wszyscy dostali szału. To jakaś nowa broń. Straszna.

– Nie o to pytałem.

– Nie?

– Oleg, wszyscy, którzy tam poszli, zginęli. Nasi, buntownicy, Cesarcy – wszyscy. Rebelia wysłała własnych ludzi na śmierć. Czemu?

– Plany Maski diabli wzięli. – Generał wrzucił ramionami. – Oni byli podzieleni nie mniej od nas, nawet bardziej. Wystawiali się nawzajem.

– Dobra. A czemu ja nie zginąłem?

– Leżałeś w szpitalu, pamiętasz?

– A czemu leżałem w szpitalu?

– Teryn...

– Nie! Ty mi nie powiesz, to ja ci powiem. Leżałem w szpitalu, bo napadło mnie kilku koleś. Mnie, nic nieznaczącego setnika, który odegrał już swoją rolę i do niczego nie był potrzebny. Który nie powinien był znaleźć się na tej drodze, gdyby pewien generał nie zatrzymał go po narodzie, żeby wspominać stare czasy. Czy źle myślę, Oleg?

– Kto myśli za dużo, źle myśli – burknął generał, wychylając szklankę jednym haustem i nalewając sobie drugą. – Powiniem ci w tym momencie rozkazać zamknąć gębę.

– Nie było sensu mnie zabijać. Co więcej, jeśli to był przygotowany zamach, nie bardzo było jak mnie zabić. Ale oni mnie nie zabili, prawda? Spuścili mi sakramencko mocny wpierdol i tyle. Tylko jedna osoba wiedziała, gdzie wtedy będę, i – jak się zastanowić – tylko jedna miała motyw.

– Czego ty ode mnie chcesz, Teryn?

– Jesteśmy przyjaciółmi, Oleg. Zrobiłeś to, żebym nie zginął. Uratowałeś mi życie. Ale to znaczy, że wiedziałeś, co czeka moich ludzi. Posłałeś ich na śmierć.

– Teryn, przyjacielu – westchnął Oleg. – Co mogłem zrobić? Za późno się dowiedziałem. Oni tam poszaleli! Maska przysłał mi tylko informację, żebym trzymał się z dala, to wszystko, co wiedziałem! Uratowałem ci życie, do cholery! Właściwie jesteś mi coś winny!

– Nie. Ja to widzę tak, że teraz to ty jesteś mi coś winny. Jesteś mi winny życie moich ludzi, którzy tam zginęli. Na sam pieprzony koniec wojny! Żeby sztab zdobył punkty przeciw arystokratom!

– A co miałem zrobić, do cholery? – Teraz i generał zaczął krzyzczeć. – Co ja jestem, Teryn? Zwykły polowy generał. Gównu mogę! Tyle, co mogłem, zrobiłem. Uratowałem, ile się dało!

– Trzech jeszcze żyje.

– Co?

– Tych trzech, których wysłałeś z Maską. Oni żyją. Chcę mieć pewność, że tak pozostanie.

– Powiniem był wiedzieć. Ty już sobie wszystko obmyśliłeś, draniu. Mów, czego chcesz.

– Przepadnę. Ukryjesz mnie jakoś w papierach, niech wskazują, że ciągle krążę od oddziału do oddziału, robię jakieś inspekcje czy coś. Ma mnie nie być, ale tak, żeby wszystkie psy gończe

zmyliły tropy, jak będą mnie szukać. I może się okazać, że będę potrzebował pomocy w opuszczeniu planety. Ale może nie.

– Co ty robisz, Teryn? Co ty chcesz zrobić?

– Wyciągam swoich chłopaków z gówna. Coś, czym ty też się kiedyś zajmowałeś.

– To właśnie zrobiłem. Tego wymagała przyjaźń.

– Nie! – wrzasnęła setnik – Nie, do cholery! Przyjaźń wymagała... Nie wiem, kurwa! Wiesz, coś ty mi zrobił? Żyję, kiedy prawie wszyscy moi ludzie zginęli! Nie wiem, po co zginęli! Nie wiem, co szykujecie w tej popieprzonej wojnie po wojnie! I ty pewnie sam nie wiesz. Wykonujemy rozkazy, które może są zdradą, może są zbrodnią – nie wiem! I zamierzam w końcu coś z tym zrobić.

– To się nie spodoba na górze, Teryn.

– Powiesz im, że ktoś zaczął węszyć i złapał trop. A ja jadę go szpiegować. Jestem takim zabezpieczeniem jak Pniaki i jego ludzie.

Generał chciał coś powiedzieć, otwierał nawet usta, ale wtedy właśnie upłynął bezpieczny czas. Zaczął więc dla niepoznaki wygłaszać wyjątkowo niezyczliwe opinie na temat przełożonych i żalić się, że przenoszą go z pełnego okazji miejsca na jakieś zadupie, gdy odwalił już najgorszą robotę. Setnik wczuł się w rolę i pomrukiwał coś potakująco. Wreszcie Spaszoff skończył utyskiwanie, wziął od setnika identyfikikator i wpisał weń jakiś nowy kod.

– Masz, to teraz twoje nowe zadanie – oznajmił. – Przypilnujesz, żeby przeprowadzka odbyła się, jak należy. Masz skontrolować całą pieprzoną okolicę, żeby nie zostały mi tu jakieś śpiochy albo żeby ktoś się nie zaszył w Perełce czy innym burdelowym mieście. Sprawdzisz, czy jacyś spryciarze nie zachomikowali sprzętu, i takie tam. Nawet szarzy mają ci pomagać. A teraz spadaj już, mam od cholery roboty.

– Tak jest, generale!

– Jasne, Teryn, jeszcze mi tak jestuj. – Spaszoff się skrzywił. – Idź i nie daj się... Powodzenia, setniku!

– Dziękuję, generale!

– A po powrocie złożysz mi dokładny raport.

– Tak jest!

Upoważnienie do zapewnienia sobie współpracy z szarymi Szczurzy Zad wykorzystał natychmiast. Wszedł do ich bazy danych i szybko wyszukał tajemniczego Krecha, który miał żal do Skorona. Przekazał jego dane agentowi i pognął na spotkanie z Gorylem.

To wszystko zaczęło mu się podobać. Nareszcie odzykiwał inicjatywę.

Skoron odebrał wiadomość od setnika, kiedy daremnie szastał kasą w okolicach lądowiska, na którym po raz pierwszy spotkał wesołą gromadkę obiboków. Odkrył, że nikt ich sobie nie przypomina, a potencjalne kupowane za nielekkie pieniądze wskazówki prowadziły we wszystkich kierunkach, jakie tylko potrafili sobie wyobrazić jego rozmówcy. Krechu i spółka zorientowali się w niepowodzeniu akcji i uznali, że lepiej zniknąć.

Tak naprawdę ich nie potrzebował. Próbował tylko przyciągnąć uwagę tajemniczego specjalisty od zadawania bólu. Wszystko wskazywało na to, że i tu sobie nie radzi. A może była to wina przydzielonej mu przez setnika opieki? Pomimo szczerych starań chłopaki od Szczurzego Zada nie radzili sobie z wtapieniem się w tłum. A jeżeli Skoron ich widział, to facet, którego poszukiwał, na pewno też.

Pozostawało mieć nadzieję, że tamtemu zależy na dorwaniu agenta.

Skoron skontaktował się z setnikiem, zdał mu relację z porażki i poszedł odpocząć od niepowodzeń w ponurej budzie służącej lądowisku za kantynę.

W knajpie też nikt go nie polubił. Bezbłędnie odczytał spojrzenia stałych bywalców, ale zupełnie się nimi nie przejął. Usiadł przy skłeconej z resztek wszystkiego, czego się dało, wariacji na temat stolika i oddał się odkrywaniu uroków bimbrowego składników wolał nie odgadywać.

Nie czekał długo. Mężczyzna przyszedł po ledwie dziesięciu minutach i dosiadł się do niego z własną szklanką.

– Tamci dwaj? – zapytał Skoron. Żał mu trochę było setnikowych chłopaków.

– Żyją – uspokoił go przybyły. – Śpią jak dzieci.

– Dziękuję w imieniu armii.

– Źle zaczęliśmy – odpowiedział mężczyzna o łagodnym głosie. – Nawet nie tutaj, znacznie wcześniej. Uznajmy, że tamtego wszystkiego nie było.

– Jak tylko przestaną mnie boleć połamane żebra.

– Zostawiliśmy w spokoju twoich przyjaciół z tamtej knajpy – przypomniał mu mężczyzna.

– Fakt. Czego chcecie?

– Współpracy. Jesteśmy ludźmi interesu, jak ty. Gdybyś był idealistą, wstąpiłbyś do Służby. Ale ty działał na własną rękę. A toaczy, że jesteś rozsądniejszy niż dziewięćdziesiąt procent

populacji Przestrzeni.

– Mówiąc krótko, można mnie kupić, tak?

– To cię nie obraża, przeciwnie. Takie są Przestrzenie: kupujemy i sprzedajemy życie, dusze, wszystko. My to rozumiemy, ty też to rozumiesz. Mówiąc krótko, tak chcemy cię kupić. Renegocjować twój kontrakt z tamtą kobietą.

– Dlaczego?

– Mamy swoje interesy. Inne niż twoje, ale nie sprzeczne z nimi. Cokolwiek ci powiedziała, okłamała cię. Masz podstawy do zerwania kontraktu. My zaoferujemy ci lepszy.

– I pewnie bez ściemniania?

– Nasze interesy muszą pozostać bezpieczne, to jasne. Nawet ja nie wiem wszystkiego.

– Czego ode mnie chcecie?

– Na początku trochę się pospieszyliśmy, dlatego tak cię naciskaliśmy. To nie było mądre. Teraz chcemy ci zaproponować, żebyś pracował dla nas. Nie musisz oddawać dziewczyny w nasze ręce, nie od razu. Rób to, co robisz, ale zdawaj nam raporty. Szukamy tego samego faceta. Idź swoim tropem, a my pójdziemy za tobą. Do tego będziesz miał nasze wsparcie, jakby co. I przebijamy ofertę dziewczyny trzykrotnie.

– Pięć.

– Trzykrotnie i wychodzisz z tego czy sty.

– Kim jest ten facet?

– Nie wiem. Kimś ważnym.

– Zwyczajny żołnierz?

Mężczyzna o łagodnym głosie wzruszył ramionami. Skoron zrozumiał, że więcej mu nie powie.

– Dobra. Jak jeszcze możesz mi pomóc?

– Mam ścigacz z prawem przelotu. Wyniosę cię poza blokadę.

– Wasza baza danych?

– W ograniczonym stopniu. Ale tak

– Kuszące.

– Przesłałem ci warunki umowy.

Skoron wyświecił je sobie. Gwizdnął.

– Macie klauzurę duszy!

– Jesteśmy poważną firmą. Złamiesz umowę, a wpłynię to na twój boski kredyt.

– To taknie zagra, chłopie. Nie tknę tego kontraktu bez prawnika.

– Poważnie podchodzisz do sprawy. Zaręczam, że jeśli ty będziesz wobec nas lojalny, my będziemy lojalni wobec ciebie.

– Gadka szmatka. Słuchaj, ja ci nawet wierzę, bardzo chcę wierzyć. Oferujesz mi kupę szmalu. Ale w tej umowie może być jakiś fragment bardzo małym drukiem, napisany takim prawniczym bełkotem, że nic z niego nie rozumiem i zgodzę się oddać wam moją nieśmiertelną innergetyczną duszę za całusa. Masz rację, laska mnie kiwa. Masz rację, można mnie kupić, ludzie cały czas to robią. Ale nie aż tak frajersko. To musi przeczytać mój prawnik, inaczej możemy od razu zacząć się bić.

Mężczyzna zastanowił się nad tym przez chwilę. A może kontaktował z kimś?

– Dobra – powiedział w końcu. – Z pokładu ślizgacza możemy obejść blokadę i połączyć się z twoim prawnikiem. Gotowy?

– Całe życie. Idziemy.

Ścigacz mężczyzny o łagodnym głosie przycupnął ostrożnie na uboczu lądowiska, zasłonięty bezpiecznie przez sporą jednostkę transportową. I tak przyciągał uwagę – różnił się wyraźnie od pojazdów wojskowych, takelegancją linii, jak i bąblami silników innergetycznych usadowionych nad wylotami klasycznych dysz. Armia rzadko zaopatrywała jednostki podobnej klasy w napęd innergetyczny, zbyt wiele to kosztowało. Wojskowe ścigacze służyły głównie do patrolowania orbit planetarnych, w razie potrzeby dłuższe podróże odbywały na pokładach potężnych nosicieli.

Wnętrze wydało się Skoronowi już bardziej klasyczne. Ciasny korytarz prowadził do małych kabin o prostych, wręcz ascetycznie urządzonych wnętrzach. W kółpocie mieścili się dwaj piloci i ani pół człowieka więcej. Szczęśliwie obok znajdowała się kabina łączności, do której można się było przytulić. O wejściu do środka Skoron nawet nie marzył – wnętrze zostało zapchane taką ilością sprzętu, że nawet pchły, których nabawił się, sypiając w żołnierskim obozie, mogłyby mieć problem ze zmieszczeniem się.

– To mi wygląda na sprzęt innergetyczny – zauważył. – Masz na pokładzie maga?

– Ja jestem magiem – oznajmił nie bez dumy mężczyzna i aż roześmiał się na widok miny agenta. – Co, myślałeś, że innergetycy to sami zasuszeni okularnicy?

Skoron znał kilku innergetyków balansujących na granicy prawa. Nie przypominali zasuszonych profesorów, żaden jednak nie był też podobny do komandosa. Teraz rozumiał już, w jaki sposób mężczyzna obchodził zabezpieczenia blokady. Samym innergetycznym sprzętem mógł się posługiwać każdy, jednak by w pełni go wykorzystać, niezbędna była znajomość innergetyki.

Prawdę mówiąc, odczuwał niepokój. Już wcześniej zdawał sobie sprawę, że zmysły mężczyzny zostały z pewnością wzmocnione, zakładał jednak użycie wyłącznie konwencjonalnej technologii. Przed taką był zabezpieczony – podczas zawodowych rozmów i negocjacji kontraktu kontrolę nad mimiką i mową ciała przejmował odpowiednio sprofilowany program plusmysłu, gwarantujący, że użytkownik nie tylko nie zdradzi się przed rozmówcą, ale też nie będzie siedział

sztywno, nawet oddychając w imię zerojedynkowego dyktanda. Przed ewentualnymi szpiegami i wirusami chroniły go zabezpieczenia najwyższej klasy. Wobec innergetyki mógł się jednak okazać bezbronny. Zapisał sobie w pamięci, by porozmawiać z niezależnymi magami, jak już będzie po wszystkim. A może powoła się na kilka użytecznych klauzur w umowie z boginią?

– Dobra, magu. Prześlij kontrakt pod adres, który ci podam. Z pełnomocnictwami.

– Z pełnomocnictwami? – Po raz pierwszy mężczyzna wydawał się zaniepokojony. – Słuchaj, ustalmy to ostatecznie: moi mocodawcy pozostają anonimowi.

– I pozostaną. Kubalskiego obowiązuje tajemnica zawodowa umocowana o boskie zapisy. Słówka mi nie piśnie. Ale musi wiedzieć, że nie reprezentujesz Stowarzyszenia na Rzecz Wolności Pluszowych Misiów. Ja też. Ale mnie wystarczy jego gwarancja.

Nie dodał, że jest przekonany, iż każda firma, na którą powołalby się facet o łagodnym głosie, okazałaby się najpewniej przykrywką. Grali przed sobą nadal, czy mieli okazać się sojusznikami, czy nie.

– Sprawdź go – mruknął mężczyzna, pochylając się nad nadajnikiem.

Skoron przyglądał się jego pracy, ale nie potrafił nic zrozumieć z wykresów wyświetlanych na unoszącym się przed nimi ekranie ani z tańca palców mężczyzny błędzących między liniami, chwytających niektóre z nich, by splatać je w nowe wzory i kształty. Rejestrowanie tego wszystkiego i tak nie miało sensu, musiały wydać majątek na deszyfrację, a i to bez gwarancji sukcesu. W pewnym momencie ekran urósł na wysokość mężczyzny i owinał się wokół niego. Teraz już zupełnie wyglądało to dla Skorona jak taniec. Przypomniał sobie, jak ktoś powiedział mu, że niektóre działy innergetyki bywają bardziej sztuką niż nauką.

– Dobra – odezwał się mężczyzna, gdy kłosek ekranu zgasł. – Odpowie za jakieś pół godziny, wtedy się z nim połączę. Zjesz coś?

– Chętnie. Jestem o wojskowym śniadaniu: bezsmakowe proteiny na tekturowym chlebie.

– Dobra. Jemy głównie w ładowni. Tylko tam jest trochę miejsca.

– „Jemy”? Jest tu was więcej?

– Bywa. Siadaj. Podam ci, co tam mamy.

Bezbarwna masa podana na jednorazowej tacce posiadała przynajmniej smak. Jednak Skoron obiecał sobie dziko wystawne danie, gdy tylko uda mu się wrócić do cywilizacji.

– Co wiecie o mojej klientce? – spytał pomiędzy jednym śliskim kęsem a drugim.

– Tyle, co i ty. Odziedzyczyła niezły majątek, ojciec podarował jej pozycję, umieszczając na dworze księcia Oriegina. Przeszła rozbudowane szkolenie dworskie i z całą pewnością pracuje dla kogoś więcej. Orieginowie należą do stronników cesarzy, można by więc zakładać jakieś powiązania ze Służbą, ale to chyba nie to. Albo Służba chce grać po cichu, albo to jakaś inna grupa.

– To istnieją procesarskie grupy niezależne od Służby?

– Odkąd wybuchła wojna, istnieje wiele grup, nawet w ramach tych samych stronnictw.

Zawsze tak było, teraz jednak frakcje się umocniły i usamodzielniały.

– Polityka! – prychnął Skoron.

Jego współbiednik skinął tylko głową i przez chwilę nie rozmawiali.

– A nasz cel? – zapytał wreszcie Skoron. – Kim jest naprawdę? Czemu interesujecie się nim jacyś strasznie tajni wy? Zwyczajnym żołnierzem? Niechby i bogatym!

– Jest kimś więcej. Kim, nie mam pojęcia. Może to więcej niż byle spadkobierca? Może to potomek kogoś znacznego? Albo wszedł w posiadanie jakiejś wiedzy?

– Mówisz, że nie wiesz?

– Mówię, że jestem wykonawcą, jak ty. Szefowie nie muszą mi opowiadać historii wszechświata, gdy zlecają misję. No, miło się gadało, ale minęło pół godziny. Kończ te pyśności i idziemy.

Kubalski przyjął pełnomocnictwa mężczyzny, nie przyczepiał się też specjalnie do umowy. Tym razem Skoron mógł porozmawiać z nim bezpośrednio. Prawnik zreferował mu krótko ukryte zapisy. Nie dodał nic od siebie, nie próbował przemycić żadnych zaszyfrowanych informacji. Nawet nie popatrzyli sobie znacząco w oczy.

– Uspokojony? – Łagodny mężczyzna się uśmiechnął.

– Spokojny to będę po śmierci. Chyba. Dawaj umowę. Zanim ją podpiszę, mam warunek. Oprócz mnie zabierzesz stąd kilka osób.

– Tych twoich pomagierów? Po co?

– Dwoje z nich zna tego Psa. Przydadzą się. Laska ma dostęp do własnego tropu.

– A menda?

– Jak go nie wezmę, to będzie dziwne. Podejrzone dla innych.

– Ty nic nie kombinujesz, co?

– Tylko tyle, co wy.

– Nie chcesz nam podpaść, Skoron. Słowo ci daję, że nie chcesz.

– Wierzę. Bierzesz ich i podpisuję.

Nałożył sygnaturę na umowę, która rozbłysła mu nad umieszczonym na nadgarstku wyświetlaczem. Automatycznie unieważniało to część zapisów umowy z poprzednim zleceniodawcą, choć kruczki prawne, a może specjalne możliwości nowych klientów, pozwoliły zataić tę informację przed Tessą i jej prawnikami. Oficjalnie Skoron wciąż pracował dla damy dworu. Potencjalne odszkodowania mieli pokryć mocodawcy mężczyzny o łagodnym głosie.

– Ile potrzebujesz czasu?

– Mam jeszcze jedną małą sprawę do załatwienia. A tamtym też pewnie przyda się chwila.

Daj nam dzień.

– Więc jutro o tej samej porze. Tutaj.

– Spakowani i gotowi. Zanim się pożegnamy, jakty właściwie masz na imię?

– Sven. Sven Elmson.

4

Zmachali się kopaniem i skłaniem po żebrach, aż musieli usiąść, oprzeć się o drzewo i odetchnąć chwilę. Zapadł już wieczór, dwa księżycy Irlum wspinały się nad horyzont. Trzeci dopiero wyglądał zza niego nieśmiało ćwierćksiężycowym rąbkiem. Rozbrzęczały się lokalne świerszcze i kilka ciem szturmowało latarkę setnika z takim zapamiętaniem, że musiał ją wyłączyć.

– Mściwy jesteś – ocenił Szczurzy Zad.

Przed nimi Krechu i spółka, odnalezieni dzięki kontaktom setnika, zwijali się na ziemi i pojękiwali. W zapadających ciemnościach nie było widać krwi, sporo jej jednak spryskało trawę.

– Wiem. Jestem małym, mściwym człowieczkiem. – Skoron zapalił i zaciągnął się papierosem, jak zwykle po dobrym mordobiciu. – Ale nie mów, że nie daliśmy im szansy. Nas było dwóch, a ich sześciu.

– Po mojemu to jednaknie dałeś im szans. Nie chciałbym stawać przeciwko tobie. Podkręciłeś ciało, nie?

– Podkręciłem. Bez tego w moim interesie nie wyżyjesz. Chyba że skupiasz się na śledzeniu zdradzających żon i mężów. A to i nudne, i tanie.

– I nie martwisz się o przyszłość?

– Że niby będę pariasem? Pytasz taksobie czy masz coś na myśli?

– Ta noga. – Setnik postukał palcem w prawe udo. – Odrastała mi już trzy razy. Straciłem po razie każdą rękę i raz oko. Ale to wszystko biologiczne, bogowie się nie skrzywią. Ty za to jesteś ulepszony sam nie wiem czym, ale raczej mało bosko. A tam, doład wszyscy idziemy...

– Jak tam jest, wiedzą tylko kapłani. Ja nawet nie rozumiem, co bogowie mają przeciwko całej tej naszej technice. Myślałeś kiedyś o tym? Czemu tak się upierają, żeby ludzkość pozostawała niezmienna przez tysiące lat? Jaki mają w tym interes? Czemu nie podoba im się elektronika? No więc ja się czasem zastanawiałem i nic mądrego nie wymyśliłem. Ale mam umowę z moją

Panią i nie jest taka najgorsza. I wiesz, co myślę? Tacy jak ja wszędzie i zawsze okazują się potrzebni. Jakby co, przytułem się do czyjegoś kredytu.

– Ty faktycznie masz to wszystko poukładane, co?

– Ano, mam. Ty! Nie wstawaj! – krzyknął Skoron na próbującego się podnieść grubasa. – Przynajmniej nie potraktowałem ich najpierw paralizatorem, jak oni mnie. Masz pojęcie? Sześciu na jednego i jeszcze mnie najpierw ustrzelili z paralizatora! Jak to sobie przypomnę, to jeszcze bym którego kopnął. Tylko nie chce mi się, cholera, wstawać. Szlag na te wasze armijne zabezpieczenia! Jakby nie one, wykryłbym ich. Ale nie, połowę detektorów mam całą w szumach. Tak żeście mi porozpieprzali receptory, że będę je tydzień konfigurował!

– Mściwy i marudny – zarechotał setnik – Bogowie, jak mi brakowało takiej bójk! Człowiek potrafi zapomnieć, jak to uspokaja i oczyszcza myśli. Słuchaj, ufasz temu Elmsonowi?

– Wierzyłem mu, jak mnie lał i groził. Teraz to on jest klient, a klientom się nie ufa z zasady. Ale oferował sposób na opuszczenie tej planety, dostęp do nowych informacji i jeszcze kupę kasy na dokładkę.

– Klientom nie ufasz. – Setnik pokręcił głową. – A wspólnikom?

– Mówisz mi wszystko, setniku?

Posiłowali się na spojrzenia, aż obaj musieli się pogodzić z remisem.

– A ta dziewczyna? Nie wstydz ci, że ją wystawiasz?

– Mnie ma być wstydz? Małemu i mściwemu? Daj spokój! Zresztą to dama. Zjadłaby cię na surowo i tak się przy tym uśmiechnęła, tak zatrzepotała rzęsami, że jeszcze byś ją przeprosił, żeś taki łykowaty. To jest wojna, chłopie. Trochę inna, ale ciągle wojna.

– Ty zawsze tak? Bierzesz sprawę, w jej trakcie pięć razy zmieniasz front, a na końcu nie wiadomo, komu właściwie służyłeś i po co?

– Taka praca.

– Będziesz musiał dać mi korepetycje.

– Da się zrobić. Lekcja pierwsza: jeśli gruby, po którym skakałeś przez kwadrans, ma jeszcze siły na wstawanie, to znaczy, że nie przykładaleś się do roboty. Chodź, nakopiemy im na pożegnanie. A jutro – do gwiazd!

Rozdział 16

Początkowo Karola Oruzona znów ogarnęła złość, gdy odkrył, że ponownie ulokowano go w Czyścucu. Pomyślał, że go zdradzono, oszukano. Podstępem zwabiono w to miejsce, gdzie pewnie kapłani wyszłą zeń wszystkie siły, by zmienić go w jeszcze jedną kukłę. A potem upchną w jakimś ponurym, wypełnionym śpiewem chóru miejscu.

Uznał, że w rajy wciąż trwa wojna. Że kapłani nie potrafią się pogodzić z potęgą rodu Oruzonów, zdolnego i w świecie pośmiertnym kształtować rzeczywistość wedle własnej woli.

Przeklinał swoją naiwność i głupotę, które kazały mu oddać niebagatelną przecież moc w imię mrzonek jakiegoś buntownika. Przez chwilę rozważał możliwość, że wszystko to było wynikiem spisku – buntowników, kapłanów, a może nawet wrogów ze świata żywych. Aż wreszcie zrozumiał, że dał się ponieść gniewowi, i zrobiło mu się wstydy. Gniewem nie wygrywa się wojen ani nawet sporów, przypomniał sobie pouczenia Jewgienija. Gniew to użyteczne narzędzie, pod warunkiem że uda się go wywołać u wroga.

Choć udało mu się zapanować nad gniewem, nie potrafił powściągnąć niecierpliwości. Gdy wreszcie przybył po niego kapłan, księżę przywitał go z ulgą.

Nie był to jego znajomy, tamten pewny siebie, naznaczony dumą pozycji mężczyzna. Nowy kapłan wydał się Karolowi Oruzonowi niepozorny, wręcz nijaki. Od razu stał się czujny. Tacy ludzie potrafili się okazać niebezpieczni.

– Witaj, bracie Karolu. Mam na imię Jan – przedstawił się przybysz, niewysoki, szczupły mężczyzna w trudnym do określenia wieku. Pozostawił sobie kilka zmarszczek, zgolił całkowicie włosy. O garb na nosie opierały mu się ciężkie okulary w rogowych oprawkach. – Będę twoim przewodnikiem. Nieczęsto trafia nam się ktoś taki jak ty.

– Tak ważny?

– Będziesz musiał pozbyć się tej pychy, bracie Karolu. Choć kto wie, może jeszcze okazać się

użyteczna. Trudne mamy teraz czasy, to i trudnych musimy używać narzędzi. – Potrząsnął głową. – Nie. Nie „tak ważny”. Ktoś, kto chce uczyć się po śmierci. Co oczywiście ma swoją wagę, więc kto wie, czy swoim pytaniem nie dotknął przypadkiem... – Urwał. – Wybacz mi skłonność do zbyt rozwlekłego mówienia i popadania w dywagacje. To grzech, nad którym trudno mi zapanować. Mówiąc krótko, rzadko mamy okazję przyjąć kogoś, kto tak długo zwlekał z odmianą swojego życia. Właściwie zbyt długo, biorąc pod uwagę, że umarłeś.

– Zamordowano mnie. Trochę za wcześnie moim zdaniem.

– Ach tak, oczywiście! Za wcześnie. Jak zwykle. Wszyscy umieramy za wcześnie, prawda? Chodź za mną, proszę.

Karola nie zdziwiło, że opuściwszy celę, trafił do zupełnie innego korytarza niż ten, którym go przyprowadzono. Przywykł do dziwacznych zasad rządzących innoświatem. Najwyraźniej kapłani przemienili budynek, gdy tracił czas, wściekając się w celi.

– Świątynia stała tu od dawna – jakby odgadł jego myśli Jan. – Wznieśliśmy ją na samym początku. Choć czasem trafiamy na chatki wznoszone przez szamanów tysiące lat przed tym, jak nawiązaliśmy pierwszy porządny kontakt z bóstwami, trudno nazwać je prawdziwymi budowlami. Wznosili je, musisz to zrozumieć, na wpół świadomie, a i bogowie byli wtedy jeszcze uśpieni. W każdym razie pierwszym, co zrobiliśmy, było stworzenie tej świątyni. Potem dobudowaliśmy do niej klasztor.

Szli korytarzem o jasnych ścianach wzbogaconych subtelnie barwionymi witrażami, układających się w płataniny łuków na sklepieniu wiele metrów ponad ich głowami. Księżę z przewodnikiem mijali dziesiątki drzwi, nieodmiennie czarnych, obitych żelazem kutym w proste wzory.

Ostentacyjna wstrzeźliwość wystroju wydała się księciu przesadzona. Nawet nieliczne świątynie, jakie odwiedził za życia, nie były tak demonstracyjnie ascetyczne i archaiczne. Większość znanych mu świątyń upiększały rzeźby i obrazy przedstawiające herosów eksploracji, panoramy zaginionej Ziemi i oczywiście metaforyczne postaci boskie.

– To ironia losu – zachichotał Jan, znów odgadując jego myśli – że my, ludzie nauki, ostatecznie zostaliśmy kapłanami, a po śmierci sami przypieczetowaliśmy tę przemianę, budując nie akademię, lecz Świątynię. Ale wiesz, bracie Karolu, w dawnych czasach uniwersytety często przypominały klasztory. Odkryliśmy, że te właśnie starożytne rozwiązania architektoniczne zdumiewająco sprzyjają wyciszeniu własnego buńczucznego „ja”. Pomagają osiągnąć spokój i skupienie. Zresztą, skoro już nazwaliśmy innobyty „bogami”, to wypadało zachować konsekwencję.

– Jesteś telepatą? – warknął rozeźlony Karol.

– Nie bardziej niż ktokolwiek inny na świecie – odparł kapłan, znów się uśmiechając, we

własnym przekonaniu zapewne uspokajająco, w odczuciu księcia zaś wyłącznie irytująco. – Czytam, choć czasem nie bez trudu, we własnych myślach. Zawsze gdy idę tym korytarzem, myślę o tym samym – o ironii losu. A o czym ty myślisz, bracie?

– Oddałem wam całą moją potęgę. Zastanawiam się, czy się nie pomyliłem.

– Pozwól zatem, że cię uspokoję. Nic nam nie oddałeś. Nie można tak po prostu skasować albo przekazać swojego kredytu, nie leży to w ludzkiej mocy. W taką transakcję musi być zaangażowane bezpośrednio bóstwo, a nasz gospodarz niechętnie włącza się w nasze sprawy. Nie, bracie Karolu, dysponujesz całym swoim kredytem, choć oczywiście trudno byłoby ci go użyć tutaj w znany ci już sposób. Świątynię właściwie zbudowano z zabezpieczeń, a nie z innergii. – Jego śmiech przypominał tym razem atak kaszlu. – Brat, który cię przyjmował, sprawdzał jedynie twoje zaangażowanie. No, jesteśmy na miejscu.

Drzwi, przed którymi stanęli, nie różniły się niczym od pozostałych. Karol mógłby je odnaleźć, tylko licząc kolejne i znając właściwą kolejność. Jan najwyraźniej miał swoje sposoby. Sięgnął po wielki klucz umocowany do grubego skórzanego pasa za pomocą sznura wyglądającego na tyle solidnie, że zdaniem księcia nadawałby się na szubieniczny.

Drzwi otwierały się ciężko, opornie i skrzypiały przy tym niemilosernie.

– Jak widzisz, my też staramy się zapamiętywać życie – obwieścił wesoło kapłan. – Choć trochę innymi sposobami.

Księcia, spodziewającego się, że trafią do kolejnej, podobnej do zamieszkiwanej przez niego celi, czekało zaskoczenie.

Pomieszczenie za skrzypiącymi drzwiami było ogromne. Wyższe jeszcze niż korytarz, tak wysokie, że nie można było dojrzeć stropu, a wypełnione zostało ogromnymi drewnianymi biblioteczkami ciągnącymi się bez końca we wszystkich kierunkach. Meble, także robiące solidne wrażenie, ugiwały się pod ciężarem setek tysięcy, jeśli nie milionów ksiąg. Aby sięgnąć po ulokowane na najwyższych półkach, trzeba było wspinać się po wąskich, krętych schodkach stanowiących część każdej z rosłych biblioteczek. Nawet by skorzystać z niższych półek, trzeba było drabin, od jakich roilo się pomiędzy regałami.

Prócz schodków regały zaopatrzone także w podczepiane ruchome balkoniki oraz pomosty, po których można było przechodzić od regału do regału bez konieczności ciągłego schodzenia na podłogę i ponownej wspinaczki.

Wszystko to wyglądało jak miasto-pajęczyna zamieszkałe przede wszystkim przez książki bądź kopalnia, w której wydobywano księgi zamiast minerałów. Od czasu do czasu w gęstwinie mebli, z których książki wyrastały niczym owoce, dawało się zauważyć pojedynczego kapłana wędrującego przez nią w ciszy. Niektórzy ignorowali architektoniczne ułatwienia i z robiącą wrażenie zęcznością wspinali się po półkach.

– Nasza biblioteka – wyjaśnił Jan, cień dumy pojawił się w jego głosie. – Wspaniała, prawda? Mamy tu prawie wszystkie książki, jakie kiedykolwiek zostały wydane na świecie. Także nic niewarta beletrystykę, która przeważnie kurzy się w odległym zapomnianym kącie. Zdaje się, że kilku braci nadwerężyło zasady i stworzyło pająki tylko po to, by mogły zasnąć tamten dział pajęczynami. Ech, młodzieńcza nierozważność! Z drugiej strony właśnie brak rozważi najlepiej przypomina nam o życiu. Czy nie tak, bracie Karolu?

„Brak rozważi” był określeniem, które pasowało księciu najlepiej do opisu tego miejsca. Przecież wszystkie te księgi można by z łatwością zmieścić w pamięci osobistego komputera, jaki za życia nosił na nadgarstku.

– Po co to wszystko? – zapytał, zastanawiając się, czy obarczeni wiecznością ludzie nie popadają przypadkiem w szaleństwo. – To jakieś stare przyzwyczajenia?

– W przewracaniu stron księgi jest coś, czego nie osiągniesz za pomocą elektronicznych czytników, bracie Karolu. Nie wspominając już nawet o bezpośrednim przesyłaniu danych. Widzisz, bracie, kiedy bierzesz księgę do ręki, kiedy przewracasz kolejne strony, poznajesz coś więcej niż tylko jej treść. Pozyskujesz szacunek wobec niej samej i wobec tych, którzy ją tworzyli. A z czasem nawet się zaprzyjaźniasz. Tutaj, w naszej bibliotece, uczymy się, że zdobycie wiedzy wymaga wysiłku. A coś, czemu poświęciliśmy wysiłek, umiemy szanować. Czy w twoich uszach brzmi to jak mistyczne bredzenie?

Księżę nie zdobył się na zaprzeczenie. Wciąż nie był pewien, czy Jan jednak nie jest telepatą.

– Może tak brzmieć, rzeczywiście – ciągnął niespieszony kapłan. – Ale jak tu nie przeniknąć mistycyzmem, siedząc wewnątrz boga? – Jan mrugnął, jak to miał w zwyczaju, i ni to zakaszał, ni to zachichotał, po czym zaciągnął Karola poprzez dziesiątki regałów ku jednemu z setek biurk porostawianych pod oknami wychodzącymi jedynie na jasność. Ich matowe szyby przepuszczały łagodne światło.

Kapłan wskazał księciu mosiężną tabliczkę z opisem lokalizacji biurka, zapoznał go z systemem organizacji biblioteki i wyraźnie bardzo z siebie zadowolony pozostawił swojego ucznia sam na sam ze stosem ksiąg. Ledwie oddalił się o kilka metrów, odwrócił się jeszcze i zawołał:

– Byłbym zapomnian! Do zobaczenia na obiedzie!

– Na obiedzie? – zdumiał się księżę.

– Jak mówilem, i my tutaj dbamy o wspomnienia życia. Powodzenia! Przyjdę po ciebie.

Wciąż jeszcze oszołomiony Karol usiadł przy biurku i sięgnął po pierwszą z ksiązek.

– Podręcznik fizyki dla klasy pierwszej? – wybuchnął kilka godzin później.

Kiedy zobaczył, jakie lektury przygotował dla niego nauczyciel, pomyślał, że z niego zakpiono.

Kapłan dał mu książki dla dzieci!

Nie jesteś tu księciem, powtarzał sobie. Jesteś uczniem, bratem Karolem.

Ale czy można przestać być księciem tylko dlatego, że ktoś nazywał go teraz inaczej?

„Być księciem” – za życia mogło to oznaczać władzę i możliwości. Dla niego jednak, jak zaczynał teraz rozumieć, znaczyło to wieczną aspirację, nigdy w pełni niezaspokojoną potrzebę sięgania wyżej, opartą na poczuciu własnej wartości, na świadomości, że przynależy do lepszego świata. Być może stanowiło to specyficzną cechę rodową, coś, co wyróżniało Oruzonów spośród armii arystokratów zadowolonych ze swego losu bądź z ochłapów rzuconych z cesarskiego stołu.

Dać księciu Oruzonowi książkę dla dziecka, to jak rzucić mu wyzwanie. Oczekiwał czegoś więcej. Szacunku, nie kłyny.

– Przeczytałeś go?

– Nie bardzo miałem co robić, a gdy tylko szukałem innych książek, gubiłem się w tym przekłętym labiryncie!

– Nikt ci nie pomógł?

– Pomagali! – warknął książę, przypominając sobie upokorzenie, gdy po dobrej godzinie błądzenia przełamał wreszcie dumę i zapytał kogoś o drogę. – Zaprowadzali do tego przekłętego biurka i przekłetej książki dla dzieci!

– Przepraszam, nie wiedziałem, że znasz podstawy fizyki. Jeśli chcesz, zrobimy mały test, który pozwoli nam określić twoją wiedzę i dostosować do niej listę lektur.

– Nie chodzi o to, czy znam podstawy – zirytował się Karol. – Tylko o kompletny bezsens takiego działania! Nie przyszedłem tu, żeby...

– Sza, bracie. Za tymi drzwiami panuje cisza. Nie rozmawiamy przy posiłkach. Rozproszę twoje obawy po obiedzie.

Rozproszy obawy! – zły miał się książę, pokornie milcząc i ciesząc się mimo wszystko smakiem zwyczajnej, ale dobrej zupy. Obawy, mistycy, Świątynia! Jedna zagadka za drugą.

Jakby trafił do labiryntu. Zaledwie Eryk wyrwał go z Czyścica, wpadł w pułapkę wiecznego marazmu ukrytego za dobrą zabawą. Ledwie z niego uciekł, trafił do klasztoru, gdzie obląkami mistycy traktowali go jak dziecko.

Należało przestać wreszcie uciekać i zabrać się do tego, co wychodziło mu najlepiej – do przejmowania inicjatywy i dyktowania warunków.

Wciąż jednak zbyt słabo znał świat, do którego trafił. Już się orientował, że wynikająca z wysokiego kredytu władza Oruzonów nie wystarczy. Choć nie można było oskarżyć boga i jego kapłanów o oszustwo, potęga kredytu była w raju marnowana na tworzenie nic niewartej iluzji. Nawet jeśli nikt tego nie zauważał, tak naprawdę cały ród upchnięto do rezerwatu. Może tylko pierwszy książę miał świadomość, jak bardzo ich ograniczono? Jeśli tak, to wybrał ścieżkę, na

kórą Karol wzdragał się wstępować.

Musiał się zastanowić, co to wszystko oznaczało dla rodu. Czy bogowie wykorzystywali ludzi, jak twierdzili heretycy? Do księcia docierały takie głosy. Szeptano, że ludzkość stała się fermą hodowlaną bogów. Będzie musiał zbadać tę sprawę. Jeśli w twierdzeniach heretyków było choć ziarno prawdy, należałoby coś z tym zrobić.

Wyobraził sobie bunt w niebie, legiony dusz wiedzionych pod sztandarami Oruzonów. Czy coś takiego byłoby w ogóle możliwe? Co oznaczałoby to dla jego kredytu? A jeśli bunt doprowadziłby do upadku systemu? Co wtedy stałoby się z Oruzonem?

A może właśnie dał się ponieść kolejnej iluzji? Może nie istniała inna droga dla umarłych, jak tylko umościć się wygodnie w świecie, który sami sobie wymyślają?

To podejrzenie go przygnębiło. Lepiej byłoby już umrzeć. Musiał dowiedzieć się więcej, jeśli miał znaleźć rozwiązanie dla siebie.

Dołąd stąd ucieknie, gdy opanuje reguły rządzące tą częścią labiryntu? W jaką kolejną lamigłówkę go wrzucą?

– To wszystko mogło cię zmylić, bracie – tłumaczył mu Jan, gdy wracali do biblioteki. – Wszystko: twoje doświadczenie życiowe, potem Świątynia i nazewnictwo, jakiego używamy. Często wydaje mi się, że popełniliśmy błąd, przystając na nie. Nie powinniśmy ulegać pokusie przyjęcia popularnej nomenklatury tylko po to, by oswajać ludziom innergetykę. Ale ludzie tak się bali tych potężnych, a zarazem bezbronnych, podobnych dzieciom obcych! Pozwoliliśmy więc mówić maluczkim w języku, jaki znali. Przyjęliśmy mitologię, pomagaliśmy ją tworzyć i po drodze zagubiła się nam w tym wszystkim nauka. Ale, bracie Karolu, innergetyka była i jest nauką! Naucz się fizyki. Pojmij, choć w przybliżeniu, jak zbudowany jest nasz wszechświat. Na razie – widzę to – wierzysz w baśnie i wydaje ci się, że wśród nich żyjesz. Idź, ucz się fizyki, chłopcze. Dowiedz się, czym jest w niej siła, pojmij grawitację i poczytaj, przez co musiał przechodzić Newton. Potem zaczniemy rozmawiać o innergetyce.

– Traktujesz mnie jak dziecko. Bracie.

– Gdy osiągniesz mój wiek, cywilizacje będziesz traktował jak dzieci. Ale jeśli cię to pocieszy, traktuję cię jak cenny nabytek, szansę na przyszłość. Od stuleci nikt nie przychodził do nas uczyć się po śmierci. Wszyscy zdążyli zapomnieć, że my, innergetycy, też stanowimy część ludzkości. Jakby śmierć tak wiele zmieniała!

Dni nie różniły się od siebie. Codziennie, w porze, którą uznano w Świątyni za ranek, Karol wstawał, przegryzał co nieco i zmierzał do biblioteki. Czełała tam na niego nowa lista lektur.

Nauczył się wyszukiwać księgi w labiryncie. Gdy po raz pierwszy odnalazł poleconą księgę omawiającą koncepcje prestarożytnych filozofów, odczuł satysfakcję. Potem nawet to uczucie zanikło, choć nadal potrafił się cieszyć wspinaczkami po regałach i wędrówkami na ich szczytach. Odkrywał wciąż nowe ścieżki i wyznaczał pośród nich skróty. Potem pogrążał się w lekturze, choć nie umiał zrozumieć klucza, według którego dobierał mu je nauczyciel.

Podręczniki fizyki przepłatały się z opracowaniami historii filozofii, potem także religioznawstwem i antropologią. Karol czytał uważnie je wszystkie, z niektórych rozumiejąc całkiem sporo, z innych niewiele, z jeszcze innych niemal zupełnie nic. Coraz mniej jednak złościł się i niecierpliwił. Senna atmosfera i jednostajność mijających dni zahipnotyzowały go. Przechodził od dnia do dnia, coraz mniej dbając o ich sens. Wciąż się bał, że kapłani oswajają go z pułapką kolejnej iluzji. W chwilach zwątpienia budził w sobie żołnierza – wspominał bitwy i pojedynki. Cieszyło go każde takie wspomnienie.

Przypominał sobie o zamordowanym synu i o postanowieniu, że go pomści. Wyruszał wtedy na poszukiwania brata Jana, aż ten odnajdywał go wreszcie i uspokajał.

– Zemsta. Cóż za gwałtowne uczucie, bracie. Śmiertelne życie wymaga gwałtowności, tu jednak dysponujesz całym czasem świata. Stać cię na spokojniejsze, cierpliwse przygotowanie.

– Ale ludzi, którzy zabili mi syna, nie – warczał w odpowiedzi. – Są śmiertelni! Nie dorwę ich w Domu jakiegoś boga!

– Chcesz zabić człowieka, który pociągnął za spust, czy pokrzyżować plany jego mocodawcom? – pytał wtedy brat Jan, na co książe odpowiadał mu nieodmiennie:

– Chcę dorwać jednych i drugich!

Z jakichś powodów nieodmiennie śmieszyło to opiekuna.

Któregoś dnia oderwał niespodziewanie księcia od lektury.

– Masz gościa, bracie – oznajmił.

– Gościa?

– Twój wuj awanturuje się u naszych progów. Jak mi się wydaje, odnosi wrażenie, że więzimy cię tu wbrew twej woli.

Eryk czekał na niego, niecierpliwie chodząc po pokoju. Milczał, póki brat Jan nie opuścił sali, gdy zaś to się wreszcie stało, podbiegł do Karola i wyściskał go serdecznie.

– Jak dobrze cię widzieć! – zawołał. – Już się bałem, że zostanie z ciebie jedynie duch. Ale widzę, że wciąż masz ciało. Dobrze, że moje nauki nie poszły w las.

– Właściwie oni tu całkiem dbają o życie – odparł ostrożnie Karol. Cieszył się z wizyty starego

Oruzona, ale jednocześnie obawiał się, że przyniesie ona ze sobą zmiany. A do nich, jak zorientował się ku pewnemu swemu zaskoczeniu, nie tęsknił. – Jak mój syn?

– Zajmuje się nim Eiho najlepiej, jak umie. Ale muszę ci powiedzieć, że ta mała ladacznica tęskni za tobą, chłopcze! Wyznała to skrycie mojej Dorotce, a ta podzieliła się wieściami ze mną.

– Dorotce?

– Nowa zagubiona duszyczka, która potrzebuje wsparcia Oruzonów. Ale dość już o kobietach! Powiedz mi lepiej, kiedy do nas wracasz. Bo zdruziała ci się przecież ta mnisia pokuta?

– Nieprędko, Eryku. Mam tu jeszcze sporo do zrobienia.

– A cóż tu można robić, do licha?

– Są rzeczy, których muszę się dowiedzieć.

– A czegoż mogą cię nauczyć te łapidusze?

– Czym jest ten świat i jak go kontrolować.

– To i ja wiem! Czy nie nauczyłem cię kontroli nad Oruzonem?

– Zawsze będę ci za to wdzięczny, Eryku. A jednak oni wiedzą więcej. No i nie spotkałem jeszcze boga.

– A, prawda. – Eryk się zachmurzył. – Bóg. Bóg i twoja pomsta. Ech, zatracisz się w niej, Karolu. My, Oruzonowie, zawsze byliśmy przede wszystkim rozsądni. Nie zapomnij o tym.

– O tak! – roześmiał się Karol. – Rodowe kroniki pełne są opowieści o twoim rozsądku.

– Karolu, niech to szlag, potrzebuję cię! Tam potrzebuję, w tym, co nam zostało ze świata. Porzucenie Czyścica nie oznacza przecież zarzucenia zemsty! Tam, w strzępach świata, w mieście Oruzon, moglibyśmy czegoś dokonać! Ty pierwszy byłeś moim godnym następcą!

– Masz mojego syna.

– Wspaniały chłopak, nie przeczę. Zbyt szybko jednak umarł, ciężko mu wyjść z szoku. Jest załamany. Potrzebuje czasu, by się nauczyć.

– Jesteś dobrym nauczycielem.

– Diabła tam dobrym! Czy mój najlepszy uczeń nie uciekł przede mną do mnichów?

Tym razem roześmiali się obaj.

– Powiedziałeś mi, że muszę znaleźć sposób, żeby utrzymać się jak najbliżej życia, Eryku. Kobiety, jedzenie – to wszystko za mało dla ludzi takich jak my. Ty masz jakiś swój cel. Ja znalazłem swój. Zostanę tu. Jeszcze przez jakiś czas.

– Będę tu wracał – oznajmił przy pożegnaniu Eryk – I starał się przekonać cię do zmiany zdania. Albo przynajmniej ponaglał.

– Wracaj. Sprawisz mi radość.

Brat Jan czekał na Karola tuż za drzwiami.

– Podśluchiwałeś? – spróbował sprowokować go ksiąźę.

– A po cóż? Przyglądam się postępkom Eryka Oruzona od dawna. Znam go lepiej, niż mu się wydaje. Nieszczęsny człowiek

– Nieszczęsny?

– Swoją siłę uczynił słabością. Wiesz już, że innoświat jest subiektywny. Im większy twój ładunek innergetyczny, ale i twoja wola, tym większy możesz na niego wywierać wpływ. Kredyt Eryka jest znaczny, a sam książe to przemyślny i zdolny człowiek. Wykorzystuje więc swoją siłę i umiejętności, kształtując świat tak, jak sobie życzy.

– I to jest słabość?

– Jak najbardziej. Czy wiesz, że on nie dostrzega Świątyni? Tak bardzo wzmocnił swój świat, że nie widzi już nic poza nim. Taki egocentryzm byłby niebezpieczny za życia, tu oznacza po prostu ślepotę. Dobrze, że wyrwałeś się spod jego wpływu.

– Czy dobrze? – Niesiony buntem przyjaciela Karol uniósł się gniewem. – Może Eryk ma rację? A może to życie po życiu to tylko złudna, powolna degeneracja? Ożywił mój umysł, bracie Janie, a może go usypiasz? Tak przywykłeś do faktu, że masz stulecia na działanie, że nie robisz już nic. Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Czego chce ode mnie Świątynia? Czego chce ode mnie bóg? Czy tylko żebym się wreszcie zamknął i uspokoił?

– Cisza i spokój byłyby niezłe. – Jan zdawał się nie tracić dobrego humoru. Książe zauważył już, że tego człowieka chyba nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi. – Pasują do Świątyni. Wiesz, przy wszystkich pomyłkach starożytnych mnichów dowolnego wyznania w jednym mieli rację – medytacja i odosobnienie pozwalają oczyścić myśli.

– Czytanie pięciu ksiąg dziennie oczyszcza mój umysł?

– Przygotowuje cię na rozmowę, którą najwyraźniej powinniśmy wreszcie odbyć. Chodź.

Po raz pierwszy książe miał odwiedzić celę brata Jana. Jakkolwiek odnajdywał się już w monotonicznych korytarzach Świątyni, poczuł znajome zagubienie, gdy zawędrował w obce sobie rejony. Skręcali kilkakrotnie, raz nawet przeszli przez ciche, skąpane w świetle ogród. Jego istnienie zaskoczyło księcia. Jan uprzedził jednak pytanie, kładąc palec na ustach.

– Praca także potrafi oczyszczać umysł, ale gasi też niepokój. Kiedy zatracisz się w pracy, zapominasz o kłopotach, a nawet i trudnych do rozwiązania problemach naukowych. A kiedy widzisz, jak rosą pomidory, o które dbasz, odczuwasz prawdziwą satysfakcję.

– Ze świątynnym kredytem mogliby wyhodować, co chcą, w sekundę.

– Uwierz mi, że błyskawicznie wyrosły owoc nie smakuje jak ten, nad którego losem drzałeś, robiąc wszystko w zgodzie z naturą.

Napili się herbaty. A gdy wreszcie książe, ciesząc się poniekąd napęczniałą i czujną żywotnością, oparzył się w palce, brat Jan podjął próbę ugaszenia jego niecierpliwości i niezadowolenia.

– Czytałeś już o początkach wszechświata, a także o tym, że nie istnieje jeden wszechświat, ale całe ich mrowie? Czytałeś. To o tym, że prawdopodobieństwo spotkania dwóch wszechświatów jest niewielkie, również czytałeś. A także o tym, że gdyby się nawet spotkały, podróże między nimi nie byłyby możliwe. O ile nie doszłoby do anihilacji. Pamiętasz teorię mówiącą, że w chwili powstania wszechświat był tworem dziesięciowymiarowym?

– Tak, ale potem się podzielili, nadliczbowe wymiary odpadły i ostatecznie stało się na czterech. Chcesz mi powiedzieć, że tych sześć wcale nie zniknęło i jeden z nich to innoświat?

– Nie, to nie zgadza się ze stanem naszej wiedzy. Wedle naszych danych u samego początku doszło do czegoś niewyobrażalnego, do spotkania się dwóch wszechświatów, którym udało się nawet wejść w pewną trwałą i kreatywną relację. Co ważne, oba były młodymi wszechświatami, można rzec, dopiero poczętymi. Stąd niektórzy mówią o wszechświatach bliźniaczych, z czym ja akurat niezupełnie się zgadzam. Teoria, którą opracowuje mój zespół, prowadzi do stwierdzenia, że stało się coś niezwykle mało prawdopodobnego – dwie potencjalności, owe pierwotne ziarna, eksplodowały niemal równocześnie. Być może powstanie innoświata zapoczątkowało, a w każdym razie miało wpływ na inflację... Pamiętasz, co to inflacja?

– Kiedy wszechświat rósł.

– Rośnie, a właściwie rozszerza się i teraz, bracie.

– Rósł bardzo gwałtownie? – zaryzykował książe, któremu naprawdę mieszały się wiadomości ze zbyt szybko i intensywnie czytanych ksiąg. – Eee... wykładniczo?

– Niech będzie. – Jan skinął głową. – Ufam, że rozumiesz choć część tego, o czym rozmawiamy, nawet jeśli brakuje ci obeznania z nomenklaturą. Przyjmijmy w uproszczeniu, że blisko samych początków wszechświata doszło do spotkania dwóch wszechświatów. Jeden, ten, który uznajemy za swój, rozpoczął już drogę swojej ewolucji, drugi dopiero ją zaczynał. Z przyczyn, które na razie pozostają niestety poza naszą wiedzą, w wyniku tego spotkania nie doszło do katastrofy, w każdym razie z naszego punktu widzenia. Z pewnością istniały między nimi podobieństwa, które umożliwiły wspólną ewolucję, jednak zarazem różnice okazały się na tyle istotne, że młodszy wszechświat nie rozplynął się w starszym. Rozpoczęły istnienie i ewolucję obok siebie, ponieważ wspólnie, bo wpływały na siebie nawzajem, a jednak było to istnienie zindywidualizowane. Naszym światem rządzą inne prawa, innoświatem inne, ale szczęśliwie nie wykluczają się one nawzajem. Czy to, co mówię, jest dla ciebie jasne?

– Mniej więcej to samo mówią wszyscy kapłani. Tylko innymi słowami.

– Wybij sobie z głowy to religijne myślenie! Jeśli to ci pomoże, możesz mówić do mnie „inży nierze”.

– To jakś ty tu?

– Jakżeście podupadli, ludzie! Tak, to tytuł. Większość znanych ci kapłanów i magów to w istocie profesorowie, doktorzy, inżynierowie. Posłuchaj, Karolu, nie ma cudów! Wszystko w innergetyce jest naukowo wytłumaczalne. Innoświat bywa podobny do naszego i możliwa jest komunikacja między naszymi światami z trzech powodów. Po pierwsze, już u samego początku istniały pewne podobieństwa, które zapobiegły całkowitemu wykluczeniu pomiędzy nimi. Po drugie, nasz prawdopodobnie nieco bardziej rozwinięty wszechświat wywarł wpływ na rozwój innoświata. Po trzecie, tak jak ludzie kształtowali przestrzeń wokół siebie, tak istoty innoświata też go kształtowały, z czasem coraz bardziej świadomie, wedle własnych pragnień. Szło im to tym prościej, że z racji subiektywności istnienia innoświat nie napotykał właściwego naszemu wszechświatowi oporu. Ale z drugiej strony ich działania były trudniejsze od naszych, ponieważ zabrakło im planowania i rozumu, a i plastyczność wszechświata może się okazać niekiedy przeszkodą.

– Bogowie nie byli inteligentni?

– Innoświat to przede wszystkim potencjalność, Karolu. Kształtował się, na tyle, na ile to możliwe, na wzór naszego wszechświata, podlegał bowiem jego wpływowi. I – zapewne znów pod wpływem naszego wszechświata, choć może to pycha tak uważać – nabrał pewnych cech, w których można dostrzec podobieństwo do znanych nam zasad. A w pewnym momencie rozwoju pojawiło się w nim życie. Innoświat był już wtedy bardzo mocno zakorzeniony w naszym. Jak u nas wielkie skupiska gazów zaczęły przeksztalać się w ciała niebieskie, tak tam doszło do gromadzenia się pewnych form innergii. Bo musisz wiedzieć, że w innoświecie nie ma próżni, nie istnieje nic, co można by nazwać „pustką”. Są tylko różne formy innergii, która w miarę rozwoju zyskiwała na różnorodności. Pod wpływem czegoś, co nazywamy „echami” z naszego wszechświata, formy te nie tylko dodatkowo się dzieliły, ale też zachodziły między nimi interakcje. Innoświat, wtedy już mocno związany z nami, reagował na nas. Tam, gdzie u nas doszło do skupienia materii, tam w innoświecie dochodziło do skupiania jednolitej formy innergetycznej. U nas powstawały ciała niebieskie, a w innoświecie odpowiadające im byty, wciąż nie do końca ukształtowane. Tak naprawdę ewolucja bogów wciąż pozostaje dla nas tajemnicą. Zważywszy na swobodę, z jaką innoświat podchodzi do czasu...

– Tu nie ma czasu? – zdziwił się Karol.

– Tworzymy układ czasu, tak jak tworzymy układ cielesności. Bogowie też zaczęli podlegać czasowi, a w każdym razie go dostrzegać, pod wpływem kontaktów z nami. Można powiedzieć, że rozwój cywilizacyjny ich ograniczył. Jednak innoświat zna czas jedynie pośrednio. Ale nie pozwólmy sobie popaść w dygresję! Z jakiegoś powodu, który może dopiero poznamy, pojawiły się obdarzone życiem istoty, związane z istniejącymi w naszym wszechświecie ciałami niebieskimi. Były one jednak właściwie pozbawione świadomości, tak jak my ją rozumiemy,

podobnie inteligencji. Właściwie jedyne, czym się zajmowały, to wielkie transformowanie innergii. Bo widzisz, wbrew powszechnemu przekonaniu bogowie nie są – jak nasze gwiazdy – źródłami energii. Bogowie rzeczywiście emanują pewną ilością innergii, stosunkowo jednak niewielką w skali innergetycznego wszechświata. Przede wszystkim pobierają innergię ze swojego wszechświata i transformują ją na formę, którą przyjął. Przez to rosną. Jakies trzydzieści, trzydzieści kilka procent przetworzonej innergii im jednak ucieka. Jej dalsze losy są fascynujące, ale w tej chwili nieistotne dla naszej rozmowy. Ważne jest to, że to właśnie ludzie pozwalają im zachować większe ilości innergii. Nasze pośmiertne starania pomagają jakoś zorganizować i magazynować te zasoby, ale przede wszystkim nasze specyfiki innergetyczne służą do ubogacania bogów, przyspieszania ich rozwoju. Najważniejsze, abyś zrozumiał, że byty innergetyczne nie są w istocie bogami, ale istotami podobnymi do nas.

– No dobrze, ale jakie to ma znaczenie? „Bóg” to tylko nazwa, czyż nie?

– Nie. Za „bogami” z całym naddatkiem idzie nomenklatura i nasze przyzwyczajenia wpływające na nasze pojmowanie świata. Przywykliśmy do religii, magii i tym podobnych, przyjęliśmy wszechmoc bogów i patrzymy na nich jak na istoty wyższe. A nie są tacy. Więcej – są może starsi niż ludzkość, ale jeśli chodzi o rozwój, pozostają za nami daleko w tyle.

– Dziwne słowa jak na kapłana.

– Ale zupełnie nie dziwne jak na inżyniera. Zapomnij o religii! Owszem, posiadamy dusze, ale są one tylko formą zapisu naszych osobowości i naszej biografii. To nawet mniej niż DNA, które jednak nas kształtuje. Ładunki innergetyczne nie mają żadnego wpływu na nasz rozwój. Gdyby nie kontakt ze świadomymi bytami innergetycznymi, po śmierci ładunek innergii uwalniałby się z ciała i zniknął w oceanie podobnych mu ładunków. Nasze ładunki tylko bardzo krótko po śmierci ciała nosły pewną charakterystykę nosiciela, która mogła objawiać się u ludzi szczególnie wrażliwych na innergię w postaci pewnych ech osób zmarłych. Stąd wzięły się te wszystkie podania o duchach. Ale to nie byli ludzie, echa były tylko ich obrazami, nie miały świadomości, nie były w stanie nawiązywać inteligentnego kontaktu. Czasem ktoś o coś je zapytał i uzyskał odpowiedź, była to jednak odpowiedź zapisu. Dopiero po nawiązaniu kontaktu nauczyliśmy się wzmocniać ładunki innergetyczne w nas przy pomocy bogów, a także w pewien sposób je programować, doskonaląc metody zapisu. W ten sposób udaje nam się przeżyć śmierć ciała. Ale nie ma w tym nic nienaturalnego. To wciąż tylko nauka i technika.

– No dobrze – stęknął Karol, wciąż oszołomiony dość ponurą wizją miliardów gasnących dusz. – Ale jakie to ma znaczenie dla nas? Co mnie obchodzi, czy bogowie to nadistoty, czy tylko jakies inteligentne transformatory? Co to dla mnie za różnica?

– Taka – odrzekł Jan – że kiedy uwolniliśmy byty innergetyczne i nadaliśmy im prawa odmienne od naszych, a potem wynieśliśmy na ołtarze, skazaliśmy siebie na całkowite im

zawierzenie. Ludzkość spotkało najgorsze, co może się stać – spotkała swoich bogów i zawiązała z nimi przymierze, które zwolniło ją od odpowiedzialności. Współistniejemy z bogami już trzecie tysiąclecie. Innergetyka spełnia wszelkie nasze zachcianki i powoli się rozwija, choć gardzi teorią. Ale, mój biedny uczniu i coraz bardziej zmęczony słuchacz, nauka przez te ponad dwa tysiące lat prawie nie posunęła się do przodu. Nasze społeczeństwa także ogarnęła stagnacja. Choć wcale nie żyjemy w raju, mamy jego gwarancję na piśmie. W tej sytuacji życie w naszym wszechświecie stało się tylko chwilą, zostało całkowicie podporządkowane życiu pozagrobowemu. A ludzkość przestała się rozwijać. Ewolucja jest okrutna, Karolu. To, co się nie rozwija, ginie.

– Słyszałem już gdzieś podobne słowa – przypomniał sobie książe.

I nagle dotarło do niego, że wreszcie znalazł się we właściwym miejscu.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał.

3

Nie doczekał się odpowiedzi. Ktoś zastukał gwałtownie do drzwi i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

– Ojczy Janie! Ojczy Janie! Jego magnificencja pragnie widzieć się z wami natychmiast! – zawołał kapłan zdaniem Karola podobny do większości, jakich spotkał, czyli nijaki.

– Natychmiast? – powtórzył Jan, jakto on nie przestając się uśmiechać. – To nieco zbyt szybko jak dla nas obu. Nie wypada jednak odmawiać kardynałowi i rektorowi w jednej osobie. Już idziemy, bracie Fuksjuszu. Musisz mi wybaczyć, bracie Karolu – zwrócił się do księcia – ale dokończmy naszą rozmowę w nieco innych okolicznościach, niż to sobie planowaliśmy. Pójdź, proszę, ze mną.

– „Ojczy”? – zagaił Karol, gdy znów powędrowali znajomo wyglądającym korytarzem. – To twój syn?

– Słódże! Wszak i ty nie jesteś moim bratem, choć tak właśnie się do ciebie zwracam. To stara klasztorna nomenklatura, którą przyjęliśmy wraz z całym tym religijnym sztafażem. „Ojciec” to taki starszy stopniem zakonnik Ktoś o wyższych kwalifikacjach.

– A „kardynał” to jakby generał?

– Och, nasz kardynał! – Jan zasępił się niespodziewanie, chyba po raz pierwszy w czasie znajomości z Karolem. – Widzisz, bracie, religijna zaraza dopada nas wszystkich, zwłaszcza tutaj.

Nasz drogi kardynał w istocie zarządza naszą częścią Świątyni. Jako że jesteśmy zespołem naukowym, początkowo nosił tytuł rektora, bo też organizowaliśmy się na wzór uniwersytecki. Zachował go naturalnie i nadal cieszy się swoją magnificencyjnością, zarazem jednak popadł, jak wielu innych, w dewocję.

Siedziba kardynała, czy też rektora, różniła się znacznie od tego, do czego przywykł w Czystcu książe. Tu na każdym kroku czuć było wielkość świątynnego kredytu. Podłogę i ściany ozdobiono innergetycznymi mozaikami, jakich daremnie by szukać w ludzkim wszechświecie. Musiały być dziełem niejednego geniusza, a raczej całego ich zespołu, dysponującego nie tylko nieograniczonym budżetem, ale i czasem. Za jedną taką mozaikę można by w konwencjonalnym wszechświecie kupić cały system gwiazdny. Gdyby Świątynia zapragnęła kiedyś sięgnąć po władzę, wystarczyłoby, by spieniężyła część zgromadzonych w siedzibie kardynała zbiorów.

A przecież mozaikom towarzyszyły innergetyczne rzeźby, czasem stanowiące odwzorowanie klasy cznych, starożytnych ludzkich dzieł, czasem owoc pracy nowożytnych mistrzów. Salę wypełniało światło rozbijane na widma dziesiątkami barwnych witraży przedstawiających historię kontaktów ludzi z bogami, grających w starannie zaplanowany sposób z mozaikami i rzeźbami. I tu zewsząd dobiegał śpiew chóru, o ile jednak w pałacu Oruzonów był on w przytłaczający sposób hipnotyzujący, tutaj niósł wzniosłą radość.

Większość dzieł przedstawiała wspaniałość bogów i innergii. Książe odnajdywał wśród postaci te znajome, większości jednak nie rozpoznawał. Nie pierwszy raz uświadamiał sobie, jak niewiele wie o innergetyce i religii.

Brat Fuksjusz uklęknął przed wysokim śnieżnobiałym stylizowanym na katedrę tronem, na którym zasiadał nieco zanadto jak na gust księcia świetlisty rektor. Jan natomiast stanął przed zwierchnikiem wyprostowany i najwyraźniej ani myślał kłękać. Karol postanowił wziąć z niego przykład.

– Wezwaliśmy cię, abyś zdał nam relację ze swych postępów – zadudnił kardynał, a jego głos odbijał się fachowo od ścian i powracał zwielokrotniony echem. W cieniu tronu przycupnęły stalle wypełnione lśnącymi postaciami świątynnych dostojników. Pomimo ich obecności książe nie wątpił, że używając liczby mnogiej, kardynał myślał wyłącznie o sobie. Karol nie jeden raz napotykał podobnych mu napuszonych dostojników, zwykle w otoczeniu cesarza. – Widzimy, że przy prowadziłeś ze sobą tego nowicjusza przyjątego wbrew naszym radom.

Na takie powitanie należało odpowiedzieć rozsądnie i w sposób stonowany. Karol wiedział też z doświadczenia, że wypadało się dostosować do tonu zwierchnika i koniecznie używać przydomków i tytułów, jakie sam sobie przyznawał.

Janowi najwyraźniej obce były podstawy dyplomacji.

– Szanowny panie kolego, profesorze Cerienne – odpowiedział bowiem zdecydowanie

pogodnym, nie uniżonym tonem. – Naturalnie wziąłem sobie pańskie rady do serca i w nim pozostawiłem. Ponieważ jednak mam zaszczyt pełnić tu funkcję prorektora do spraw studenckich...

– Czysto honorową! – rzucił któryś z dostojników.

– ...którą sam sobie wybrałem po tym, jak odrzuciłem stanowisko rektora, a ponadto przewodnicząc Komisji do spraw Badań Nauki Klasycznej...

Kilka osób pozwoliło sobie na pogardliwe parsknięcie.

– ...uznałem, że posiadam wystarczające kwalifikacje, by ocenić, kto nadaje się na studenta, a kto nie – dokończył niezrażony Jan. – Obecny tu Karol Oruzon pilnie się uczy pod moim okiem i wkrótce będziemy mogli zapoznać się z jego dokonaniem.

Ostatnie stwierdzenie zaniepokoiło nieco księcia. Po rozmowie z Janem, nie byle jaką szywą, jak właśnie się dowiedział, wolałby nie spieszyć się z ogłaszaniem światu swoich „naukowych” dokonań.

– Nikt nie podważa twoich kwalifikacji i kompetencji, ojcze Janie – przybrał uspokajający ton kardynał. – Chylimy przed nimi czoło. Niepokoją nas jedynie twoje intencje. Czy nie jest tak, że przyjęcie do nowicjatu księcia Oruzona stanowi część twojego planu przywrócenia znaczenia klasycznej nauce?

– Jeden student miałby tego dokonać? – zdumiał się widowiskowo Jan, unosząc przesadnie brwi.

– Ojcze Janie, musimy rozstrzygnąć wreszcie spór, któremu nie pozwalasz umrzeć – zignorował jawną prowokację kardynał. – Doceniamy twoje doświadczenie, sądzymy jednak, że wpływa ono na twą ocenę sytuacji. Pozostawmy nareszcie nauki konwencjonalne światu, do którego przynależą. Radujmy się naszą obecnością w Panu i wykorzystujmy ją na chwałę Świątyni! Zbadaliśmy twoje rekołekcje z ostatnich stuleci. Podziwiamy twoje zaangażowanie w pracę misyjną, martwi nas jednak, jak wielką wagę przywiązujesz do spraw materialnego świata. Z zalem myślimy, jak wiele mógłbyś wnieść w rozwój Świątyni, gdybyś to jej poświęcił choć część podobnego zaangażowania.

– Jesteśmy ludźmi, profesorze, warto o tym pamiętać.

– Byliśmy ludźmi, ojcze Janie. Teraz jesteśmy już bytami innergetycznymi, wspierającymi naszego Pana i wspieranymi przez niego. Tu jest nasz świat, nasi bracia i nasz Pan. Ten świat jest światem, do którego zmierza człowiek poprzez mgnienie swego życia. Zapominasz o tym, ojcze Janie, wciąż tkwiąc w okowach cielesności.

– To nie okowy, profesorze. To korzenie. Coś, czym byliśmy i wciąż jesteśmy. Popelniasz błąd, negując kontynuację rozwoju pomiędzy formą materialną a innergetyczną.

– Byliśmy! – huknął z wysokości tronu kardynał. – O jakże się cieszę, ojcze Janie, że nie brniesz w herezję, lecz dostrzegasz tę istotną prawdę! Opuściliśmy padół czasu i bólu dla

niebiańskich pastwisk bez przemijania i cierpienia! Opuściliśmy świat tęsknoty za Panem dla świata pełnego Pana!

– Opuściliśmy świat, w którym dążyliśmy do czegoś, dla świata, w którym nie mamy już do czego dążyć! – odpowiedział prędko Jan, wyraźnie dając się ponieść emocjom.

– Pan! Dążymy do większej chwały w Panu! – zawołał na to kardynał. – Och, ojczyste Janie, jakże mi żal, że właśnie ty, pierwszy z nas, nie dostrzegasz tego!

Doradcy kardynała zaszumieli, gdy dwaj lokalni giganci mierzyli się wzrokiem.

Oruzon nie miał już wątpliwości, że znów trafił w sam środek kolejnej wojny. Rozzłościło go, że Jan ukrywał to przed nim, najwyraźniej starając się uczyńić zeń swojego stronnika. A może tylko narzędzie?

Najchętniej ukarałby teraz zwodniczego kapłana zdradą. Uświadomił sobie jednak, że postąpiłby wbrew sobie. Całe życie pozostawał racjonalistą i trudno byłoby mu odrzucić naukę Jana na rzecz religii, której tak naprawdę nie znał ani nie rozumiał. Kardynał, czy też rektor, przypominał mu gubernatorów upojonych stanowiskami, niedostrzegających we władzy nic poza ceremoniałami samouwielbienia.

– Dostrzegam, że innergetyka odmieniła ludzkość – odparł spokojniejszym już tonem Jan. – Jednak wszystko, co nam oferowała, marnujemy, zapominając o naszych korzeniach. Czy będziemy jeszcze godni szacownego miana homo sapiens, jeśli wszystko złożymy w wierze w moc istot niczym nas w istocie nieprzewyższających? Istot, których byliśmy nauczycielami?

– Dość! – zawołał kardynał, podnosząc się z tronu. – Dość! Widzę, że znów odżyła w tobie pamięć bożego tresera! To przekłete wspomnienie skłaniające cię ku herezji, której nie potrafisz się oprzeć!

– Jakiej herezji? – Jan znów dał się ponieść nerwom. – U zarania porozumienia z bogami, porozumienia, do którego się przyczyniłem, leżał sojusz klasycznej nauki i innergetyki. Sojusz dwóch odmiennych gatunków istot! Nie bogów i ludzi, ale równorzędnych partnerów. Miał służyć rozwojowi jednych i drugich. Rozwojowi, a nie tej degenerującej stagnacji!

– Herezja! – powtórzył kardynał. – Ojczyste Janie! Wezwaliśmy cię tu, by prosić cię o opamiętanie. Widzimy jednak, że już na to za późno. Na mocy przysługujących nam uprawnień zawieszamy cię we wszelkich sprawowanych funkcjach. Do czasu podjęcia decyzji przez radę na stanowisku prorektora zastąpi cię ojciec Rene, na stanowisku przewodniczącego Komisji zaś ojciec Sahon. Nim rada zdecyduje o twym dalszym losie, spędzisz czas w odosobnieniu w swojej celi. Ty, bracie Karolu, także pozostań w swojej celi, nim postanowimy, co z tobą począć. Teraz odejdźcie. Wykorzystajcie dany wam czas, modląc się o łaskę oświecenia.

– Herezja – powtórzył Jan. – Co za przemiana! Pamiętam czasy, profesorze, gdy jeszcze byłeś

naukowcem.

– Jesteś wolny, ojcze. Nie zmuszaj nas do czegoś, czego byśmy zrobić nie chcieli!

– O, profesorze, zmuszę cię do czegoś znacznie więcej! Powołuję się na swoje prawo do Otwarcia Świątyni!

Te słowa wstrząsnęły kardynałem.

– Nie masz takiego prawa! – zawołał, unosząc dłonie. – Zawiesiliśmy cię w funkcji!

– Moje prawo nie bierze się z funkcji, lecz z zapisu w regulaminie Świątyni – wyjaśnił pozornie spokojnym głosem Jan. – Zapoznaj się z nim, proszę, lub niech któryś z twoich zauszników ci to wyjaśni. Z racji starszeństwa mam prawo wezwać Świątynię do Otwarcia. Zobacz, na czym to polega, bo dotąd jeszcze się nie zdarzyło. A teraz do tego wzywam. Składam oficjalne wezwanie! Teraz, szanowni koledzy profesorowie, poddam się zarządzeniu rektora i udam się do swojej celi. Do zobaczenia na Otwarcu.

4

– Otwarcie Świątyni? – zapytał Karol. – Co to znaczy? Ojcze?

Dreptali kamiennym korytarzem ku celom. Karol poddawał się wrażeniu, że poruszają się szczególnie powoli, jakby Jan starał się opóźnić uwięzienie.

– Och, dajmy już spokój tym głupim tytułom! Niepotrzebnie na nie przystawałem! Oto, jakie są konsekwencje używania fałszywego języka. Stajemy się własnym sposobem opisywania świata. Jeśli chcesz, możesz do mnie mówić po imieniu albo tytułować profesorem czy inżynierem, co bardziej ci pasuje.

Ku zdumieniu Karola Jan sięgnął do mieszka zawieszzonego przy pasie, wydobył zeń nieco tytoniu i bibułkę, które sprawnie zwinął w papieros.

– Najpierw musisz zrozumieć, czym jest Świątynia. – W głosie kapłana zagrała wyraźna ulga, gdy zaciągnął się dymem. – Wbrew pozorom to nie tylko klasztor, biblioteka i pracownie naukowe. No i Czyściec. To wszystko dodano później. Kiedy zawarliśmy porozumienie z Bytami Innergetycznymi, które wyznaczyło dominia, dziś nazywamy je Domami, wiedzieliśmy, że musimy stworzyć jakiś kanał komunikacyjny umożliwiający nam porozumiewanie się między sobą. Rozumiesz, przydzielono opiekuna do każdego z Bytów Innergetycznych. Opiekunowie wywodzili się z treserów BI, byliśmy najbardziej doświadczeni. To niezbyt chwalebny epizod

w historii ludzkości, ale pamiętaj, że to właśnie treserzy zainicjowali zmiany w kontaktach ludzi i Bł. Nieważne! Przygotowaliśmy Świątynię. Miała być tylko początkiem, zalążkiem przebudowy innoświata. Bo widzisz, wedle naszych planów to nie miało być urządzone na znany ci sposób. Chcieliśmy, aby Domy były niczym miasta skupiające ludzi związanych z konkretnymi Bł. Świątynia miała rosnąć, umożliwiając podróże i wymianę informacji. Pragnęliśmy uczynić innoświat otwartym. Niestety, popełniliśmy wiele głupich błędów. Zresztą, gdy zabrakło Gai, Bł też zupełnie się pogubiły. A im bardziej porozumienie przekształcało się w to religijne przymierze, tym bardziej zamknięte stawały się poszczególne Domy i nasilała stagnacja obu gatunków. Świątynia obrosła Czyścem, klasztorem i całym tym religijnym bzdetem. Niemniej wciąż jest tym, czym była na początku – kanałem komunikacji pomiędzy Domami. Nigdy dotąd nie wykorzystanym tak, jak na to zasługiwał. Ale ja i każdy z opiekunów mamy prawo go uruchomić. I to właśnie zrobiłem. Wkrótce będziesz świadkiem wydarzenia bez precedensu – ci opiekunowie, którzy jeszcze istnieją, zgromadzą się, by radzić nad światem. Oczekuję, że zabierzesz głos i odegrasz niebagatelną rolę, Oruzonie.

Ksiązę nie miał nic przeciwko odgrywaniu niebagatelnej roli, przynależnej mu przecież z urodzenia. Zaskoczyło go jednak, że Jan przykładą do niego takie znaczenie. Czy wiedział więcej, niż przyznawał? Teraz, gdy Karol wiedział już, że jego nauczyciel nie jest zwyczajnym zakonnikiem, musiał przemyśleć ich relacje.

– Czemu ja?

– Czy nie chciałeś spotkać się z bogiem? Tam będziesz miał okazję. I to niejedną, bo gwarantuję ci, że gdy otworzymy Świątynię, przybędzie na to spotkanie więcej niż jeden bóg.

– W takim razie – odparł Karol, mając nadzieję, że nie dał po sobie poznać, jak bardzo zatroszczyła go ta wiadomość – lepiej będzie, jeśli opowiem ci o kilku sprawach. Czy jest tu jakieś miejsce, w którym możemy porozmawiać bezpiecznie?

Rozdział 17

1

Pewne rzeczy się nie zmieniają, uznał marszałek Grouchon, obserwując z pokładu swojego ścigacza odbudowywaną stolicę Wspólnych Przestrzeni. Miasto wyglądało prawie jak całe lata wcześniej, przed zamachem.

Zostało tylko znacznie mocniej ufortyfikowane, a do starych procedur dołączyły nowe.

Ale dworacy i etykieta, której pozostawali posłuszni, wyglądali Grouchonowi na równie durnych jak przed laty.

Choć cesarska planeta wraz ze wszystkimi wspaniałościami została zniszczona i nie było już Starego Cudownego Pałacu ani Tysiąca Ogrodów, choć zginęli przekazujący sobie zadania z pokolenia na pokolenie służący cesarscy, ceremoniał przetrwał. Wzbożono go, wplatając w niego mniej lub bardziej subtelne działania służące bezpieczeństwu cesarza. Przed wojną nikomu nie przyszłoby do głowy, że ktoś, kto dostąpił zaszczytu audiencji, mógłby porwać się na władcę Wspólnych Przestrzeni. Jednak wojna wprowadziła chaos w świecie i wymusiła na ludziach odmienny sposób myślenia.

Gdy samobójcza flota wyłoniła się z innoświata w pobliżu Cesarskiej, Franciszek Grouchon, wówczas jeszcze generał Czarnej Gwardii, towarzyszył Ludwikowi III podczas wizytacji Szeptu – placówki szkoleniowej najbardziej elitarniej jednostki bojowej Wspólnych Przestrzeni. Szept ulokowano na jałowym księżycu planety Plih, piątej planety cesarskiego układu. Ktokolwiek dokonał zamachu na imperium, pomylił się, atakując go z opóźnieniem. Uratowało to życie

i cesarzowi, i przy szłemu marszałkowi.

Cesarz zapragnął przyjrzeć się z bliska ćwiczeniom gwardii. Grouchon zabrał go więc na poligon, gdzie trenowała „Czternastka”, ulubiona jednostka przy szłego marszałka.

Grouchon dostrzegał już wówczas słabość wyszkolonych przede wszystkim do celów reprezentacyjnych gwardzistów. Wyselekcjonował najlepszych spośród nich i stworzył oddział gwardii posiadający rzeczywistą wartość bojową.

Z zadowoleniem obserwował, jak ulubieńcy atakowali pozycje bronione przez trzy inne setnie, stawiające tyleż rozpaczliwy, ile daremny opór. „Czternastce” szło aż za dobrze. Bezlitośnie obnażała braki przeciwników.

– To ich chciałeś nam pokazać, Franciszku? – Cesarz zwykł zadawać pytania wyłącznie w przypadkach, gdy już znał odpowiedzi. Przy najmniej tak głosiło ministerstwo propagandy. – Tę twoją jednostkę specjalną? Wiesz, że zrywają się na nią w sztabie? Dowódcy innych jednostek skarżą się nam, że faworyzujesz Czternastą.

– Dowódcy innych setni niech wytłumaczą, jak stracili umocnione pozycje w niespełna dziesięć minut – odburknął bardzo dumny ze swoich ludzi Grouchon i zaraz się zreflektował: – Wasza wysokość.

– Jesteśmy ludźmi starej daty, Franciszku – roześmiał się Ludwik III, mający wówczas niespełna siedemdziesiąt lat. – Ty i my. Pamiętamy jeszcze, jak uganiał się od jednej wojenki do drugiej, nim objęliśmy tron. Dlatego cię rozumiemy. Ale ci młodzi widzą świat inaczej. Nikt już nie pamięta prawdziwej wojny. Nie lokalnego konfliktu pomiędzy guberniami albo zatargu arystokratów, ale czegoś na skalę imperium. Od stuleci żyjemy w świecie wielkiej stabilizacji. Mało kto widzi sens w inwestowaniu w armię, która nigdy nie weźmie udziału w walce.

– Istnieją potencjalni przeciwnicy, wasza wysokość. Wspólne Przestrzenie nie są jedyną formą ustroju.

– Tak naprawdę zagrożenia nie ma. Wszystko podlega traktatom, a wojna nikomu się nie opłaca. Nie, Franciszku, nie czeka nas zagrożenie większe niż tych kilka terrorystycznych band próbujących od czasu do czasu wysadzać to i owo. Wojny nie będzie.

– Czy mam przez to rozumieć, że wasza wysokość nie życzy sobie reformy w gwardii?

– Ależ śląd! Przecież zagrożenie terrorystyczne jest realne, a ty właśnie dowiodłeś, że gwardia nie poradzi sobie z setką dobrze wyszkolonych żołnierzy! Popieramy cię całkowicie, Franciszku. Tylko nie obnoś się za bardzo z triumfem, bo będziemy musieli wysłuchać jeszcze więcej skłameń zawiedzionych obiboków. No dobrze, zwizytowaliśmy poligon. Co teraz?

Według planu mieli odwiedzić muzeum Czarnej Gwardii. Przeszkodził im sygnał alarmowy, głoszący, że ktoś postanowił dowieść braku słuszności słów cesarza.

– Nieznana flota wyszła z innoświata na orbicie Cesarskiej, generale – zameldował Igor Tie. – Nie odpowiadają na wezwania do identyfikacji.

Coś takiego nie zdarzyło się od stuleci. Pomijając przepisy wymagające wielostopniowych zezwoleń na poruszanie się w przestrzeni Cesarskiej, żadne okręty nie powinny być w stanie przełamać, choćby i przez innergię, blokady chroniącej stolicę.

– Wasza wysokość, proszę za mną – zdecydował bez wahania Grouchon.

Choć zdarzenie było nieprawdopodobne, przewidziano procedury i na taką okazję.

– Franciszku, nie sądzimy, by było to konieczne.

– W takich chwilach wszyscy jesteśmy niewolnikami protokołów, wasza wysokość.

– To może być kolejne ćwiczenie Służby. Wiesz, jak lubią utrzymywać wszystkich w stałym pogotowiu.

– Nalegam, wasza wysokość!

Cesarz westchnął demonstracyjnie, wymienił porozumiewawcze spojrzenia z dworakami, którzy uśmiechnęli się usłużnie, po czym zawołał: „Prowadź, Franciszku!” i pogodzony z losem ruszył za prawie biegnącym generałem.

Zgodnie z instrukcjami ścigacz ewakuacyjny znajdował się stale nie dalej niż o trzy minuty drogi od miejsca pobytu cesarza. Ścigacze Czarnej Gwardii zajęły już pozycje obronne na orbicie księżycy. Także na orbicie Plii uruchomiono systemy obronne.

Wszystko to na próżno.

Gdy obca flota wystrzeliła z innoświata cicho, bez najmniejszych efektów wizualnych, zaskoczyła wszystkich. Okręty otoczone rojem niewielkich zautomatyzowanych pojazdów bojowych, których celem było oszukiwanie systemów wroga i przechwytywanie pocisków, wyskoczyły z budzącą podziw precyzją. Ktokolwiek dowodził przybyłymi, musiał dysponować doskonałymi danymi wywiadu, według których ustawił zawczasu celowniki. Zaledwie napastnicy się pojawili, już oddali starannie wycelowane salwy w miejsca, w których wedle procedur powinny się znajdować okręty Cesarstwa. Ocalało jedynie tych kilka jednostek, których dowódcy bądź się spóźnili, bądź wykazali niesłychanym refleksem lub intuicją. Nawet one jednak doznały uszkodzeń.

Okręty napastnika nie zajmowały się już nimi. Dysze ich konwencjonalnych silników rozbłysły i skierowały je prosto na Plii i jej księżyc.

Grouchon wraz z cesarzem i jego ludźmi byli już wtedy bezpieczni na pokładzie ścigacza. Cztery inne jednostki Czarnej Gwardii ruszyły w samobójczym rajdzie, by odciągnąć uwagę napastników. Jak się okazało, nie było to konieczne, milczące okręty nie zwracały uwagi na pojazdy, którymi ewakuowali się uciekinierzy. Skupiły się na innych celach.

– W całym układzie jest tak samo! – meldował Tie. – Pojawiali się z kilkunastosekundowym

opóźnieniem, najpierw na orbicie Cesarskiej, potem nad Kolohane, Pliń, Taeroli, Maleńkiej, Tolstojem i Hermesem. Atakują wszystkie księżycy i orbitujące miasta! Wszystkie!

– To atak samobójczy – zrozumiał wstrząśnięty Grouchon. – Spójrzcie, oni wchodzą w atmosferę!

Dorównujące masą cesarskim nosicielom okręty, nie przerywając ognia, rzeczywiście opadały ku zaatakowanym globom. Pruły ze wszystkich dział, pozbywały się zapasów bomb i raket bezlitośnie masakrujących powierzchnię planet. Nawet nie próbowały hamować. Spadały na globy niczym kolejne pociski.

– Może udało nam się je uszkodzić? – szepnął jeden z dworaków. – Spadają?

– Wszystkie, durniu? – krzyknął na niego Grouchon. – Wszystkie tak samo? Nic im nie zrobiliśmy! Popatrz, głupcze, na kąć wejścia! Idą gładko po przygotowanej trajektorii! Nie, to zaplanowane! Bogowie! Oni chcą nas zniszczyć! Całkowicie zniszczyć układ!

– Powinniśmy schować się w innoświecie. – Spokój w głosie Tie zawstydził generała.

– Racja. Wydadz rozkazy.

– Nie! – sprzeciwił się niespodziewanie cesarz. – Chcemy to widzieć!

– Najjaśniejszy panie, to niebezpieczne! – zaprotestował ten sam dworak, z którego generał dopiero co zrobił sobie śmiertelnego wroga. – Ten zdumiewający atak.. ta zbrodnia! Oni jeszcze mogą nas zaatakować!

– Nie! – Głos cesarza również był spokojny. Zimny i głuchy, ale spokojny. – Ignorują nas. Pewnie nie wiedzą, że tu jesteśmy, albo ich to nie interesuje. Chcemy być przy tym.

– Niemniej niebezpieczeństwo istnieje, wasza wysokość – poparł dworaka Grouchon, rzuciwszy okiem na przygotowane ad hoc analizy. – Nie wiemy, jakie mają plany, czy zadowolą się tylko bombardowaniem powierzchni.

– Chcemy to widzieć – powtórzył cesarz. Mocno, groźnie.

– Pozostańcie w gotowości – polecił Grouchon pilotom i nawigatorom innergetycznym. – Czekamy. Przeskok na mój znak

Pozostało im tylko przyglądać się starannie zaplanowanej przez nieznaną siłę zagładzie.

Alarm wszczęto zaraz po ataku, do układu przybywały okręty V i VIII Floty Wspólnych Przestrzeni. Wyskakiwały z innoświata wedle przyjętych koordynatów, tak jak ćwiczone to wielokrotnie, nawet im jednak nie udało się osiągnąć zdumiewającej koordynacji napastników. Mimo to ich sprawność robiła wrażenie. Dowódcy okrętów otrzymali już dane o atakujących, posiadali dokładne informacje na temat ich strategii i położenia. Podobnie jak tamci, otworzyli ogień, zaledwie wyskoczyli w przestrzeń. Ryzykowali – przekroczyli uprawnienia i procedury bezpieczeństwa. By uratować Cesarską, zmienili koordynaty i pojawili się tak blisko niej, jak tylko się dało, prawie na samej orbicie. Ich nawigatorzy musieli być znakomici, żadne ćwiczenia,

żadne procedury nie przewidywały takich manewrów. Na dokonanie obliczeń mieli boleśnie mało czasu. A jednak im się udało.

W większości. *Aton*, jeden z najpotężniejszych pancerników, okręt flagowy V Floty, wyłonił się nad Cesarską w feerii barw godnych raczej bandy nowicjuszy niż doświadczonych nawigatorów i innergetyków najwyższej klasy. Zdołał prześlizgnąć się nad atmosferą, ledwie kilometr od nurkującego w niej napastnika. Potężna salwa z lewej burty uderzyła w milczący, pozbawiony jakiegokolwiek oznakowania okręt wroga. Sekundy później agresora dopadły rakiety. Wycelowane w punkty, w których pancierz okrętu powinien zostać uszkodzony salwą, ukaśliły go i przedarły się. W ciemnym kadłubie zajaśniały linie pęknięć. Okręt przechylił się, atak złamał jego kurs. Sekundy później zginął brutalną, gwałtowną śmiercią.

Zbyt gwałtowną. Potężna eksplozja, przekraczająca wszystko, czego można by się spodziewać po okręcie tej masy, przyniosła śmierć nie tylko jemu. Wybuch zapalił tlen wokół okrętu, fala ognia rozplynęła się po niebie Cesarskiej. Szczątki zmasakrowanej jednostki runęły na Dumas – jedno z najstarszych miast Cesarskiej. Ścinały wierzchołki wieżowców, przeorały ulice, zabijając setki ludzi.

Triumfujący *Aton* nie uniknął kłopotów. Jego dowódca zbyt gwałtownie poderwał okręt, odpalając jednocześnie wszystkie silniki manewrowe i obracając ich dysze, by zaatakować następną jednostkę wroga. Zabrał czasu i niekontrolowany zryw *Atona* odepchnął go od planety prosto w przechodzącego tuż nad nim *Tutenchamona* próbującego w brawurowym manewrze powtórzyć wy czyn starszego rangą okrętu.

Piloci nie mieli szans zareagować, zabrakło im czasu. *Aton* uderzył w mniejszego *Tutenchamona*, masakrując poszycie obu okrętów, lecz przede wszystkim wybijając je z kursu. *Tutenchamon* odbił się od *Atona* i zagrał zaraz działającymi silnikami manewrowymi w rozpaczliwej próbie ustabilizowania lotu. Zachwiał się na prawą burtę, nieomal okręcając wokół własnej osi. Wyglądało na to, że wpadnie w bezwładny ruch wirowy, ale się uratował.

Stracił jednak tyle czasu, że o jego użyteczności w ataku można było zapomnieć.

W panującym chaosie nie było nawet mowy o odskoku w innoświat i zgodny z przyjętą taktyką powrót. Wszelkie założenia zawodziły wobec tego, co właśnie się działo.

Jak podczas wielu bitew, zadziało prawo powiązania światów. Teoretycznie okręty ukryte w innoświecie mogły czekać i stulecia bez konsekwencji. Niemożliwe było jednak poradzenie sobie z subiektywnym poczuciem czasu załogi, która po staremu odliczała sekundy i godziny. Choć więc innergetyka pozwalała w mgnieniu oka pokonywać dowolne odległości, to każda godzina spędzona przez ludzi w innoświecie równała się godzinie ludzkiego wszechświata.

Aton zapłacił za kolizję uszkodzeniami i naruszeniem integralności pancierza. Nie odzyskał manewrowości, o którą walczył teraz nieuszkodzonymi silnikami.

W innym z okrętów, średniej klasy krążownika *Beneteru*, zawiedli nawigatorzy. Wyskoczył z innoświata zbyt nisko i uderzył pędem w atmosferę, tuż obok okrętu najeźdźcy, który jakby oczekiwał przybycia wroga i przywitał *Beneteru* pełną salwą z burty. Nieszczęsna załoga cesarskiego okrętu nie była w stanie uniknąć zabójczych trafień.

Gwałtowna eksplozja *Beneteru* zabiła także znajdującego się zbyt blisko wroga. Kolejne zbyt duże, by całkowicie spłonąć w atmosferze, szczątki spadały na powierzchnię planety. A przecież zmierzały ku niej i nie niepokojone przez cesarskie floty milczące ciemne okręty, których pyski kierowały się ku największym miastom.

– To nie okręty, to pociski – szepnął Grouchon. – Samobójcy!

– Nie wyłapujemy krzyków, nic – sprawozdawał mu z nasłuchu Tie. – Tam nie ma ludzi. To w pełni zautomatyzowany atak

– Niemożliwe! – zachnął się generał. – Żadna maszyna nie byłaby w stanie tak poprowadzić okrętów! Tam musi być innergetyk!

Jeżeli Tie nie zgadzał się z przełożonym, zachował to dla siebie.

Większość innych celów zamachu miała więcej szczęścia niż Cesarska. Zaatakowano z opóźnieniem, co dało czas flotom Wspólnych Przestrzeni na lepszą koordynację i bezpieczniejsze manewry. Tylko *Hermes*, dla którego zabrakło obrońców, zmienił się w kulę ognia, gdy ładunki czarnych okrętów w planowy sposób zapoczątkowały zabójczą reakcję w jego atmosferze.

Ta część V Floty, która ruszyła na ratunek stolicy, zapłaciła za swą gorliwość ciężkimi stratami. *Tutenchamon* zdążył czmychnąć w innoświat, ale *Aton*, duma V Floty, podzielił los udręczonej planety.

Ścigacz niosący cesarza i Grouchona także zdążył z ucieczką. Wysłuchujący meldunków generał nie zamierzał tym razem czekać do ostatniej chwili i wydał rozkaz skoku, ryzykując nawet swoją karierę i przyjaźń z cesarzem.

Na sekundy wszystko zamarło, gdy znaleźli się w innoświecie. W Grouchona uderzyły, jak zwykle przytłumione, ale jednak przykre wrażenia odczuć innych ludzi. Mostek załało łagodne złote światło.

Generała zdumiał spokój płynący od Ludwika III. On sam wciąż był wstrząśnięty, zarazem przerażony i wściekły.

Próbując zapanować nad emocjami, podał nawigatorom nowy punkt docelowy, oddalony znacznie od przewidywanych koordynatów ewakuacyjnych. Atmosfera na mostku zgęstniała od zdumienia, od niechętnych generałowi dworaków popłynęła obawa przed zdradą.

– Zbyt dobrze przygotowali atak – warknął Grouchon. – Mogą znać nasze procedury alarmowe. Lecimy gdzie indziej.

Wyskoczyli nieopodal Asyżu, małej, nic nieznaczącej planетки zamieszkiwanej głównie przez kontestującą system Wspólnych Przestrzeni sektę wzywającą do życia w zgodzie z naturą. Nie uznawała tradycyjnej nauki i techniki, jej członkowie posługiwali się wyłącznie mocno umiastycznioną innergetyką. Nikt ich nie obchodził i oni obchodzili niewielu. Z Cesarstwem łączyły Asyż jedynie formalne stosunki, co mieszkańcy planety ledwie tolerowali. Stanowili azył dla niepokodzonych ze światem, cielawostkę turystyczną, nic więcej.

Ścigacz ukrył się w cieniu jednego z dwóch księżyców Asyżu. Grouchon zarządził ciszę łącznościową. Przez jakiś czas mieli być, wedle jego zamierzeń, tak niewidoczni, jak tylko się da.

Oczywiście nie wziął pod uwagę polityki.

– Musimy tam wrócić – zdecydował cesarz.

– To niemożliwe, wasza wysokość. Jeżeli planeta eksplodowała, grozi nam nie tylko kolizja z jej fragmentami. Kolohane jest niewielka, znajdowała się stosunkowo blisko Cesarzkiej. Nie wiemy, jak teraz wygląda sytuacja, nie wiemy, co dzieje się w układzie, i nie potrafimy tego obliczyć. Jestem odpowiedzialny za życie waszej wysokości. Nie wrócimy tam.

– W takim razie lećmy na Iglicę, drugą planetę Wspólnych Przestrzeni!

– Istnieje ryzyko, że napastnicy zaatakują i tam, wasza wysokość. Ryzyko...

– To, co spotka Wspólne Przestrzenie, jeśli nie damy znaku życia i nie zaczniemy natychmiast działać, jest dużo bardziej ryzykowne – wpadł mu w słowo Ludwik III. – Ceniemy twoje zdanie, Franciszku. Doceniamy twą troskę o nas. Tam jednak cały wszechświat drży na granicy paniki. Lecimy na Iglicę. Natychmiast.

Tym razem generał skapitulował. Podał nawigatorom nowy cel, polecił jednak wcześniej sprawdzić dyskretnie przestrzeń wokół Iglicy. Cesarzscy innergetycy dołączyli do gwardyjskich, przeczesując meldunki setek wędrujących w przestrzeni planety jednostek, śledząc informacje przebiegające przez innoświat i szukając w nim jakichkolwiek śladów drugiej fali ataku.

Grouchon podszedł do cesarza przypatrującego się Asyżowi, na którego powierzchni błękit wód rywalizował z panującymi niemal niepodzielnie na łądach ciemnozielonymi lasami.

– To zajmie tylko kilka minut, wasza wysokość. Ale zapewni nam pewne minimum bezpieczeństwa.

– Idee. – Cesarz przyjął słowa generała lekkim skinieniem głowy. – Idee, Franciszku, oto, co stoi za całym złem świata, za tym chaosem, który stale staramy się opanować, a który wciąż się czai tuż za naszym progiem. Opanowują ludzkie umysły i dusze, mącą w głowach, popychają ku szaleństwu. Idee. Wyplenimy je co do jednej, Franciszku. Nauczymy ludzi, że najważniejszy jest spokój, trwanie, istnienie. I to właśnie im zapewnimy. Nim to spravimy, wiele się zmieni. Ale w końcu osiągniemy spokój.

Cudowny Pałac odbudowano. Identyczny co do najmniejszego drobiazgu z pierwowzorem, został wzniesiony pośród ruin Cesarskiej, zmasakrowanej planety, która jednak dzięki wysiłkowi poranionych i oszołomionych bogów miała powrócić do życia. Na razie Cudowny Pałac stał się symbolem odrodzenia.

Dokładnie pilnowanym, ogrodzonym sferą umocnień symbolem. Choć cesarz dokładał starań, by podkreślać trwałość i niezmiennosc imperium, pewne zmiany – jedno widoczne gołym okiem, inne ukryte – zostały skutecznie zasiane przez anonimową milczącą flotę. Skutki zamachu sięgały daleko poza wojnę domową. Jak daleko, Franciszek Grouchon, wciąż jeszcze marszałek armii Wspólnych Przestrzeni, miał nadzieję się przekonać. Już niedługo. Podczas audiencji u Ludwika III, starego przyjaciela, z którym nie spotkał się od lat.

2

Filip Aubert, jak zwykle cichy i niepozorny, ubrany w skromny uniform, którego jedyną ozdobę stanowił herb Cesarstwa na piersi oraz lewym ramieniu, odprowadzał do drzwi Sali Słuszności ostatniego z zaproszonych gości. Zapewniał prawie uniżenie, jak bardzo jego posłanie ucieszyło cesarza. Gdy mijał księżnę Katarzynę Bourenesse, dał jej dyskretny znak. Księżna nie odpowiedziała, Aubert był jednak pewien, że jej damy dworu zajmą się panem Kuruzowskim, przedstawicielem coraz beczelniejszej Nowej Lokalnej Gildii Budowniczych oraz jego ludźmi. Szambelan jego cesarskiej mości chciał mieć ich na oku. Stanowili nową, na ile się orientował rzeczywiście stosunkowo spontanicznie powstałą grupę, która dość brutalnie wkroczyła w świat biznesu budowniczych planet i koniecznie chciała wygrać dla siebie znaczny udział przy odbudowie Cesarskiej.

Choć ci parweniuse drażnili go swymi prymitywnymi metodami, jednocześnie Aubert cieszył się z pojawienia się kogoś takiego jak oni. Mogli stanowić załączek nowej klasy, świeżej i wolnej od dziedzicznych obciążeń arystokracji.

Po śmierci dwóch Oruzonów i usunięciu w cień Grouchona będą musieli wyłonić się nowi liderzy, Aubert chciał mieć nad nimi kontrolę. Co więcej, ci, którzy starali się wykorzystać okazję do awansu, chętnie mówili o Odnowie. A Odnowa stanowiła ideę, której Aubert zaprzedał się bez reszty.

Uklonił się po raz ostatni gościowi i odwrócił ku wysokiemu tronowi, z którego spoglądał na nich cesarz, jego wysokość Ludwik III, Triumfujący Pan Przełomu, Pogromca Przestrzeni etc., etc.

Cesarz wstał i wszyscy w sali oddali mu pokłon. Jedynie strażnicy Służby i żołnierze Czarnej Gwardii trwali bez ruchu. Tego dnia, jako gest uznania wobec gościa, straż pełniła czternasta setnia, słynny zahartowany w bojach oddział. Szambelan żywił nadzieję, że choć trochę uspokoi to zagniewanego ostatnio marszałka. Emocje starego żołnierza stanowiły jedną z cesarskich trosk, a do zadań Auberta należało, by niebo nad władcą pozostawało bezchmurne.

– Jego wysokość cesarz Wspólnych Przestrzeni, Koordynator Obu Światów, Pasterz Obywateli i Strażnik Umów, dziękuję wszystkim, którzy zaszczylili tę audiencję obecnością – zawołał Aubert, stając u stóp tronu. – Wasze zasługi wobec Wspólnych Przestrzeni nie zostaną zapomniane!

Teraz i on odwrócił się ku cesarzowi i zgiął w głębokim ukłonie. Pozostał w nim, aż sala opustoszała i Ludwik III dał znak, że ceremonia dobiegła końca.

– Filipie – rzekł, schodząc z wysokiego tronu – poprowadź nas na spotkanie z Franciszkiem.

Wszystko odbywało się jak dawniej. Strażnicy oddawali hołd mijającemu ich władcy, spotykani w korytarzach nieprzypadkowi dworacy milki i zastygali w ukłonach. Tego dnia przypadał czas harfy, więc jej dźwięki wypełniały wnętrza Cudownego Pałacu, lśniącej od klejnotów architektonicznej perły Wspólnych Przestrzeni, w której nigdy nie milkł szmer dziesięciu tysięcy fontann.

Miękkie dywany tłumiły kroki, żadne echa nie odbijały się od ścian ozdobionych arrasami przedstawiającymi historię rozwoju ludzkości. Poza murami Cudownego Pałacu nie rozpościerały się jednak, jak dawniej, labirynty ogrodów i morza łąk, lecz pobojuwisko po pierwszej bitwie wojny domowej. Teraz uwijały się po nim ciężkie pojazdy budowniczych i innergetyków uprzątających okolice pałacu i zrujnowanej planety i oceniających szanse na przywrócenie jej do życia. Odnowa! – dumiał Aubert. Słowo to oznacza w istocie przywrócenie stanu właściwego, tego, co już było.

Taką też był i jego cel.

Prawie.

Po ataku poważniej podchodzono do spraw bezpieczeństwa. I wcześniej czuwano nad cesarzem, skąpa przeprowadzonego zamachu dowiodła jednak, że nie można nie doceniać zuchwałości wrogów Wspólnych Przestrzeni. Dlatego wokół Cesarskiej krążyły stale okręty wyodrębnione spośród najlepszych kapitanów Floty Gwardyjskiej, połączone w jeden organizm z Czarną Gwardią. Aubert osobiście zadbał, by gwardziści byli oddani wyłącznie władcy. Stare zobowiązania i lojalności odeszły w przeszłość, choć uparta czternasta setnia żywiła wciąż sentyment wobec marszałka. Nie martwiło to jednak Auberta, przeciwnie, uznał, iż w zaistniałych okolicznościach uczucia żołnierzy mogły okazać się użyteczne.

To właśnie „Czternastka” miała strzec zielonego salonu, który Ludwik III wybrał na spotkanie z marszałkiem, by porozmawiać z nim bez świadków. Prawie bez świadków. Aubert nie odmówił sobie zainstalowania w salonie instrumentów umożliwiających mu podgląd. Wszystko oczywiście dla bezpieczeństwa cesarza. Choć szambelan nie spodziewał się, by marszałek rzucił się na władcę Wspólnych Przestrzeni z pięściami, rozumiał, że konsekwencje rozmowy tamtych dwóch mogą okazać się znaczące a groźne.

Cesarz przybył – wbrew zwykłemu protokołom, ale zgodnie ze zwyczajem szczególnego honorowania tych, których chciał specjalnie wyróżnić – jako pierwszy. Marszałek czekał na anons za drugimi drzwiami korytarza. Szambelan udał się ku nim, ledwie Ludwik III przekroczył próg zielonego salonu.

– Marszałek Franciszek Grouchon! – zawołał, gdy strażnicy otwierali drzwi. – Zwycięzca znad Warszawy, Kiliokonu, Krety i Soreniki! Wielki Triumfator i Pierwszy Żołnierz Imperium! Zbawca Wspólnych Przestrzeni!

Dworacy, którzy podjęli mniej lub bardziej banalne rozmowy po przejściu cesarza, teraz ponownie ucichli. Nieczęsto zdarzało się im ujrzeć tego samego dnia dwie tak znaczące dla losów świata postacie.

Marszałek zmierzał ku zielonemu salonowi jakby nieświadomy własnej pozycji. Na ukłony i uśmiechy odpowiadał ukłonami. Nie uśmiechał się wcale. Na widok pełniących straż żołnierzy „Czternastki” zagryzł wargi. Zaraz jednak uspokoił się i nawet, łamiąc etykietę, podszedł do strażników, by ucisnąć im dłonie. W odpowiedzi i oni złamali regulamin, witając go. Grouchon zagadał do każdego, pamiętał wszystkie imiona swoich wiarusów. Żołnierze starali się zachować kamienny wyraz twarzy, widać było jednak po nich, że poruszyło ich to powitanie. Aubertowi odpowiadało i to – tak rodziły się legendy. Odczekał, po czym otworzył przed marszałkiem drzwi do zielonego salonu i zamknął je za nim. Zaraz też się oddalił, możliwie niespiesznie, do przygotowanego zawczasu pokoiku, w którym mógł przyglądać się rozmowie. Oto, po raz pierwszy od dawna, tak blisko siebie znajdowało się dwóch najważniejszych ludzi Wspólnych Przestrzeni!

Nie, uśmiechnął się Filip Aubert, szambelan cesarski, włączając podgląd. Nie dwóch. Trzech.

– Franciszku! – Cesarz poderwał się zza biurka i uściśnął gościa. – Jak dobrze widzieć cię w dobrym zdrowiu, przyjacielu! Słyszeliśmy, że lata wojny odcisnęły na tobie piętno. Cieszę się, że to nieprawda!

– Wasza wysokość. – Grouchon uklonił się z szacunkiem, jednak bez przesadnej paradności. Uznał, że taki właśnie prosty żołnierski ukłon będzie w tej sytuacji najlepszy.

Oczywiście przez lata wojny kontaktowali się ze sobą. Rozmawiali poprzez zabezpieczone kanały innergetyczne bądź za pośrednictwem konwencjonalnych łącz. Po raz pierwszy od lat spotkali się bezpośrednio. I obaj wiązali z tym spotkaniem znaczne nadzieje.

– Usiądź, proszę. – Władca wskazał wygodne, zdobione krzesło, sam zajmując miejsce za biurkiem. – Jak życie rodzinne? Widzieliśmy zdjęcia ze ślubu w sieci, musimy ci powiedzieć, stary przyjacielu, że poczuliśmy się zazdrośni! Co za kobieta!

Żart nie wywołał spodziewanego uśmiechu.

– Dziękuję, wasza wysokość.

– Skoro wojna skończona, planujesz pewnie tak długo odkładany miesiąc miodowy?

– Wojna jeszcze się dopala, wasza wysokość. Nie skończę jej, póki po niej nie posprzątam. Teraz byle iskra może wywołać nowy wybuch.

– Jakaś konkretna iskra?

– Ludzie wciąż giną, wasza wysokość.

– Jacyś konkretni ludzie, Franciszku?

– Choćby młody Oruzon. Ojciec zginął w bitwie, lecz syn został zamordowany. Podczas balu! Wasza wysokość, może i pokonaliśmy rebelię, jednak wojna domowa wyzwoliła w ludziach to, co najgorsze. Zabiliśmy jednego węża, ale on dochował się potomstwa, a ono teraz zaczyna kąsać. To inna wojna, prawda, ale wojna!

Stary żołnierz i niemłody cesarz przy patrywali się sobie przez chwilę w milczeniu. Kiedyś byli przyjaciółmi.

– Jesteś żołnierzem, Franciszku – Ludwik III mówił powoli, z wyraźnym namysłem akcentującym ważkość słów. – Znacomitym żołnierzem. Wspólne Przestrzenie winne ci są wieczną wdzięczność. Jednak już czas, by żołnierze wrócili do domów. Masz oczywiście rację, jeszcze nie zapanował pokój. Zapanuje, gwarantujemy ci to. Jednak do porządkowania chaosu po wojnie odpowiedni są inni ludzie. Sam, jeszcze przed ostatecznym szturmem, deklarowałeś chęć odpoczynku. Spełniamy twoje życzenie, stary przyjacielu.

– Odpoczynku, wasza wysokość? Dziękuję. Na szczęście nawet na emeryturze będę w stanie pomagać przyjaciółom.

– Cieszymy się z tego, Franciszku! Czyż nie zaliczamy się do twoich przyjaciół?

– To zaszczyt dla mnie, wasza wysokość – zapewnił Grouchon.

– Znakomicie! – Cesarz uśmiechnął się wreszcie. – W takim razie omówmy szczegóły jutrzejszej ceremonii, która zdejmie z ciebie ten uprzykrzony ciężar! Zaczniemy...

Aubert wyłączył podgląd. Rozmowa i tak była dalej rejestrowana, a to, co najważniejsze, już usłyszał. Cesarz nie ugiął się przed marszałkiem, a marszałek raczej nie ugiął się przed cesarzem. Należało podjąć działania.

Niedługo potem władca wezwał go do siebie.

– Jest uparty. – Z jego głosu przebijał autentyczny żal. – Nie porzuci tego. Uważa Oruzonów za przyjaciół, niemal rodzinę. Będzie szukał zabójcy i wplącze się w politykę. Już się wplątał. Co za przekłete czasy! Ledwie ugasimy jeden pożar, rozpalają się trzy następne!

– To niebezpieczny człowiek, mój panie. Jest sławny, potężny. Nie zabiegał dotąd o niczyje poparcie, ale kiedy już to robi, ludzie zgromadzą się pod jego sztandarem. Generałowie tylko czekają na kogoś takiego, a i arystokraci – wymówił to słowo z pogardą – związani z Oruzonami przyjmą go jako lidera. Wszystko, co osiągnęliśmy, osłabiając Oruzonów, obróci się teraz przeciwko nam.

– Moglibyśmy jeszcze z nim porozmawiać, przeciwną na naszą stronę.

– Najjaśniejszy pan, jak i ja, zapoznał się z profilem marszałka. Dla niego to teraz sprawa osobista. I – obawiam się – jego zaufanie do waszej wysokości zostało nadszarpnięte. Uważa, że najjaśniejszy pan może mieć coś wspólnego ze śmiercią młodego Oruzona.

– Nie podniesie ręki na nas! Nie Grouchon!

– To prawda – przyznał niechętnie Aubert, którego zaczęła już irytować wzajemna lojalność tych dwóch. – Wystarczy jednak, że zacnie ścigać zabójców, by przeszkodzić naszej sprawie. Wszystkie poniesione dotąd ofiary, cały ten trud... On może to zniszczyć.

– Nie zgodzimy się na zabicie człowieka, który uratował imperium! – krzyknął cesarz. – Na bogów, Filipie, do czego próbujesz nas namówić?

– Ani przez moment nie myślałem o śmierci marszałka – zapewnił pospiesznie szambelan. – To zaszkodziłoby nam wszystkim. Mógłby go jednak spotkać wypadek, który wyeliminowałby go na jakiś czas.

– Jeśli dasz radę to zrobić... – Cesarz zawahał się jeszcze. – Dobrze. Zrób to. Pamiętaj jednak, że nie może umrzeć! Potem, po wszystkim... On zrozumie, Filipie. Zrozumie i przyłączy się do nas. Lub przynajmniej zamilknie.

– Miejmy taką nadzieję, mój panie.

– Dobrze więc. Jak inne nasze sprawy?

– Namierzyliśmy już pozycję Maski, wasza wysokość, na podstawie sygnału wysłanego z jego

okrętu. Zbadaliśmy też tak dyskretnie jak to tylko możliwe tamten obszar. Prawdę mówiąc, zaszło coś nieoczekiwanego. Jest tam coś, co wygląda na flotę. Bardzo dziwną flotę.

– Jakież rezerwy buntowników?

– Możliwe, wasza wysokość, ale nie jestem tego taki pewien. Badamy tę sprawę.

– Możemy więc go dopaść?

– W każdej chwili. Wolałbym jednak poczekać, aż dowiemy się czegoś więcej.

– Znakomicie. I my zalecamy cierpliwość. Informuj nas o wszystkim, Filipie. Odczekaj też kilka dni z jakąkolwiek akcją przeciwko marszałkowi. Jutrzejsza ceremonia musi przebiegać perfekcyjnie.

– Naturalnie, mój panie. Zająłem się już wszystkim.

Szambelan nie poinformował swego pana o tym, że jego ludzie znaleźli dojsście do tajnej cesarskiej agentki. Przecież oficjalnie o niej nie wiedział.

Dwaj sojusznicy, którzy coraz wyraźniej zmierzali ku wojnie między sobą, pożegnali się. Cesarz opadł na fotel, rozmyślając o świecie, którego stawał się architektem, i o decyzjach, które podjął. Jak doszło do tego, że ich konsekwencje zaczęły go wyprzedzać?

To się zmieni. Jeszcze odzyska pełną kontrolę!

Uporządkuje świat, nim ten wybuchnie mu w rękach.

4

– Wystawili mi na pokaz „Czternastkę”! – wściekał się Grouchon już na pokładzie swojego okrętu. Choć na jednej ze ścian wyświetlał mu się obraz ze spektaklu, który obiecał zobaczyć, przekaz z Cesarskiej był jednostronny. – Moją „Czternastkę”! Cisnęli mi ją w twarz, bym zobaczył, jak opanowali i przekabacili moich ludzi! Żeby pokazać mi, jak już nic nie znaczę!

Adiutant słuchał go cierpliwie. Stał na baczność, starając się nawet nie mrugnąć. Pierwszy raz widział marszałka w takim stanie. Nawet podczas najcięższych chwil wojny jego dowódca zachowywał zimny, wręcz nieludzki spokój. Teraz wpadł w furję.

Na stanowiącej tło dla wściekłości marszałka scenie Wielkiego Teatru Stacji trzeci wiceprezes, Temudżyn Sako, opowiadał o premierze *Mrocznej epopei*, wielkiego dzieła podsumowującego zakończoną wojnę. Wedle jego słów epopeja miała zapoczątkować nową erę, wprawić widzów w zdumienie i zrewolucjonizować ich poglądy na świat. Grouchon niechętnie zgodził się uświetnić

premierę swoją obecnością, po rozmowie z cesarzem żałował tego jeszcze bardziej.

– To sprawa tego przekłętogo Auberta, Igorze! Jestem pewien, że to on! Wyrósł ponad miarę podczas wojny. Cały jego życiorys śmierdzi fałszem. Coś tu się dzieje, Igorze, a ja dowiem się co! Cesarz był wyraźnie nieswój, może nawet przestraszony? Co za świat!

Tie zebrał odwagę, by przypomnieć o spotkaniu z dwoma generałami Legionów Obywatelskich, przybyłymi, żeby oddać hołd odchodzącemu dowódcy, a także, najpewniej, zamierzającymi podliznąć się wpływowemu arystokracie. Z jakichś przyczyn uparli się, że powinni zachować przy tym śmieszne pozory konspiracji. Grouchon wzgardziłby nimi, gdyby nie kilka nazwisk, na które się powoływali. Nie chciał zrażać do siebie potencjalnych sojuszników.

Sako zakończył przemowę podkreśleniem, że wprawdzie prawie wszystkie fragmenty zostały już wykorzystane w innych epejach, niektóre sceny mogą się więc wydać widzom znajome, jednak stanowi to zabieg celowy. Poprzez te znane fragmenty twórcy epepei chcą pokazać publiczności coś zupełnie innego. Ukłonił się i zniknął ze sceny. Przygasły światła.

– Może odwołać spotkanie? – zasugerował Tie.

– Nie – burknął marszałek – Będą nam potrzebni wszyscy sojusznicy, każdy rodzaj człowieka. Nawet tacy ... – Wyświetlił ich życiorysy. – Nawet takie zera jak Linotti i Kresher. Sukinsyny, całą wojnę siedzieli tutaj, nadzorując odbudowę! Dawaj ich, Tie, zostaw nas samych. Nie chcę, żebyś był świadkiem, jak będę się poniżał, znosząc ich umizgi. Przekłęci dranie, przekłety świat!

Oczekując niechcianych gości, Grouchon rzucił okiem na trailer „przełomowej” epepei przygotowanej przez Stację.

Rzeczywiście, wydawała się inna niż te, które nadawano podczas wojny. Zamiast wojennej chwały zdawała się skupiać na zwalach trupów, na jeńcach – żalonych i smutnych jak wszyscy żołnierze przegranych armii w historii – i na rannych. Zamiast po przypominających pałace sztabach kamery wędrowały tym razem po szpitalach.

Strategie Stacji stanowiły zwykle wyraz polityki rządu. Co oznacza taka epepeja? – zastanawiał się Grouchon. Czy miała być propagandowym ostrzem skierowanym w jego pierś? Chcieli z niego zrobić grabarza?

Tie wprowadził generałów. Sam też skrzywił się na ich widok z niechęcią. Ubrani w nowiutkie galowe mundury okraszone dziesiątkami złotych odznaczeń, mężczyźni o gładkich twarzach i bokobrodach przystrzyżonych wedle najnowszej mody wyraźnie nie znali marszałka. Grouchon cenił sobie przede wszystkim żołnierzy frontowych, więc podniszczonym, zużyтым mundurem i bliznami łatwiej było sobie zaszkarbić jego przychylność niż tak demonstracyjną elegancją. Tie zapytał, czy goście się czegoś napiją, i z ulgą czmychnął z gabinetu. Wolał nie być świadkiem tego, co nastąpi. Istniała możliwość, że marszałek w przypływie szału zabije kóregoś z gości. Albo obu.

– Wodzu! – usłyszał jeszcze pełne zachwyty pianie Linottiego.

Co za gnoje!

Olbrzymi ekran rozbłysł od eksplozji rozpoczynającej właściwą epopeję. Pozbawiony jakiegokolwiek podkładu muzycznego obraz ukazywał grupę żołnierzy broniących jakiegoś wzgórza przed atakiem czołgów. Kamera oddalała się, ukazując coraz szerszą perspektywę. Widzowie mogli zobaczyć, że wzgórze znajduje się na peryferiach bitwy.

– Nie znam panów osobiście – warknął marszałek, wyłączając podgląd na epopeję. – I prawdę mówiąc, nie słyszałem o panach. Gdzie też panowie się zasłużyli?

Przybyli wymienili spojrzenia.

– Ja brałem udział w kampaniach od początku wojny – odezwał się zmienionym tonem Linotti, który zapoznał się z dossier marszałka dokładniej, niż Tie skłonny był przypuszczać. – Minęliśmy się przy ołazji Kiliokonu i Sorenikai. A ostatnio także w okolicach Irlium. Nie sądzę jednak, by mnie pan zapamiętał, panie marszałku. Z przyczyn zawodowych staram się nie rzucać w oczy. Z kolei mój towarzysz...

– Dał ciała jako szef służb wywiadowczych księcia Oruzona – wpadł mu w słowo fałszywy Kresher. – A potem zawałił na całego, dopuszczając do zabójstwa jego syna. Jewgienij Ossobnij, panie marszałku. Do usług, jeśli zgodzi się pan posłużyć tak marnym narzędziem.

– Panowie nie są, jak rozumiem, tymi, za których się podawali? – upewnił się Grouchon, stosunkowo szybko opanowując zdumienie. Z trudem za to panował nad złością. Jak łatwo było go podejść! Źle to wróżyło jego sprawie. – Pana, Ossobnij, już znam, w każdym razie ze słyszenia. Nieodżałowany książę wyrażał się o panu nad wyraz pochlebnie. A kim pan jest, fałszywy Linotti?

– Piotr Berak, kapitan Służby. I ja byłem przy śmierci młodego księcia Oruzona i także nie byłem w stanie jej zapobiec.

– Majordomus Oruzonów i kapitan Służby – zawałował Grouchon szczerze zdziwiony. – W jakąż to intrygę zamierzacie mnie wplątać, panowie? Bo przecież zawdzięczam czemuś waszą wizytę?

Agenci znów wymienili spojrzenia, jakby ustalając dalsze postępowanie. Możliwe zresztą, że właśnie tak było, mogli dysponować wewnętrznym połączeniem. Ich współpraca zdumiała Grouchona tak, że na moment zapomniał o złości. Oddana cesarzowi Służba współpracowała z Oruzonami? Ależ przecież właśnie cesarz miał coś wspólnego ze śmiercią młodego księcia! A może Ossobnij był zdrajcą? Jeśli tak, nie opuści mojego okrętu żywy, zdecydował marszałek.

– Po śmierci księcia Oruzona, a potem jego syna, znaleźliśmy się w paskudnej sytuacji – odezwał się Jewgienij. – Jak panu zapewne wiadomo, część arystokracji związana z domem Oruzonów utrzymywała sojusz z cesarzem, oddana mu szczerze i całkowicie. Stanowiliśmy siłę, która mogła stanąć na drodze rozbudżonym ambicjom generałów z jednej strony, z drugiej zaś

osłabić opozycję wśród arystokracji. Być może nie jest pan świadomy, że wśród generacji Legionów Obywatelskich dojrzał spisak

– Doszły mnie pewne słuchy. – Grouchon posłał Jewgienijowi spojrzenie spode łba. – Niechętnie dawałem im posłuch. Twierdzi pan, że moja wiara w lojalność Legionów była kolejną starczą słabością?

– Lojalność to dziwna sprawa – odparł Jewgienij. – Człowiek wierny i zupełnie nieprzekupny jest w stanie przekonać sam siebie, że działa słusznie, spiskując przeciw swemu suzerenowi, jeśli stworzy mu się ku temu odpowiednie warunki. Tak było z Legionami Obywatelskimi, panie marszałku. Ich generałowie zostali poddani pewnym naciskom. I zareagowali.

– Naciskom? – mruknął z przekąsem Grouchon. Czy wszyscy mieli go za głupca? Może zresztą słusznie – zbyt późno zorientował się, co się działo. – Ci żołnierze byli zabijani, panowie. Strzałami w plecy.

– Służba miała w tym swój udział – dołączył Berak – Wojna oznaczała potężne przetasowania polityczne. Także dlatego, że mało znaczący dotąd ludzie zrobili niespodziewane błyskotliwe kariery. Armia nabrała apetytu na coś więcej, także nawet najspokojniejsi arystokraci.

– Tyle wiem – burknął Grouchon. – Nie jestem ślepy!

– Oczywiście, panie marszałku! – pospiesznie zapewnił Jewgienij. – I cesarz też to widział. Używał Służby do obserwacji obu stron, ale czasem także lekko popychało to jedną, to drugą we właściwym kierunku. Tak by wygrać jednych przeciw drugim, jak zawsze postępowała cała dynastia.

– Rozumiem, że porozumienie armii i Oruzonów było mu nie na rękę – Grouchon ni to pomrukiwał, ni powarkiwał na niedźwiedzi sposób. Nie spuszczał wzroku z oficera Służby. – To Służba zabiła młodego Oruzona, tak? Zabiliście chłopaka ze strachu, że jest na dobrej drodze, by zbudować prawdziwą, mocną opozycję, nad którą nie mielibyście kontroli, wy zimne sukinynty!

– To możliwe – przyznał spokojnie Berak – Nawet prawdopodobne. Jest jednak pewien kłopot: ja nic o tym nie wiem.

– Dajże pan spokój! – parsknął pogardliwie marszałek – Sam pan powiedziałeś, żeś tam był! Panie Ossobnij, albo jesteś pan nieskończenie naiwny, że mu wierzysz, albo sam bierzesz udział w tym wszystkim! Tak czy inaczej, nie wiem, do czego mógłby mi się pan przydać. Ani do czego ja miałbym się przydać panom.

– Och, to proste! – zawołał Jewgienij, ignorując gniew i oskarżenia marszałka. – Do jednego z najbardziej podstawowych ludzkich działań, do czegoś, czego nie wykorzeniło prawo i tysiące lat cywilizacji. Do zemsty.

– Zemsty? – Tym dwóm znów udało się go zaskoczyć. Grouchon, prawie unoszący się nad biurkiem, gdy wygłaszał oskarżenia, teraz ponownie zapadł się w fotelu. – Zemsty?

– Pan chce pomóc Oruzonów i ja tego chcę. Nie udało mi się ich uratować, niech chociaż ich pomśczone.

– A on?

– Mam swoje powody – warknął Berak

Marszałek po raz pierwszy usłyszał emocje w jego głosie.

– Pańskie uwarunkowanie... – Grouchon się zawahał. – Pan nie może przecież stanąć przeciwko cesarzowi!

– Nie stoję przeciw cesarzowi – odparł już spokojniej Berak – Dzieje się coś dziwnego. Coś, czego jeszcze nie rozpracowałem. Proszę, niech pan okaże trochę cierpliwości, marszałku, postaram się wszystko wyjaśnić. Istotnie, Służba dbała, by nie było spokoju między Obywatelskimi a Cesarskimi, między armią a arystokracją, wreszcie między frakcjami arystokracji. Celem było naturalnie wzmocnienie władzy cesarskiej ponad tą, którą dysponował przed wojną. Uzналиśmy to za konieczność. Poprzedni system się nie sprawdził. Brak centralizacji władzy prowadziłby do rozpadu państwa, wojna domowa tego dowiodła. Zawarliśmy sojusz z Oruzonami i budowaliśmy potęgę niezbędną do odbudowania Cesarstwa po wojnie i osłabienia stronnictw dążących do rozdrobnienia władzy. Z kolei pod koniec wojny grupa generałów z Legionów Obywatelskich zawarła porozumienie z Maską. Mag wiedział już, że bunt nie ma szans, szukał nowych sojuszników. Generałowie pomogli mu uciec, wysłali jednak z nim swoich łączników, których śmierć w ostatnim szturmie upozorowali. Do tej pory nie wiem, dlaczego zostali wybrani właśnie ci ludzie, ale do pewnego stopnia wszystko kontrolowaliśmy. Rozumie pan, jak rozkładały się karty?

Grouchon, który rozumiał przede wszystkim, jakim ślepcem był przez ostatnie lata, skinął głową.

– Dobrze. To, do czego doszło na Irlum, pomieszało szyki wszystkim. To było jak atak na Cesarską – niepotrzebne i głupie. Wszyscy złożyliśmy to na karb rozpaczliwego gestu buntowników, choć dochodzenie trwa. Dopiero po zamachu na młodego Oruzona zacząłem szukać innych tropów. Jeszcze raz przyjrzelśmy się z Jewgienijem przebiegowi wojny, wszystkim zabójstwom i tajemniczym śmierciom, które zwykle przypisywaliśmy buntownikom albo tajnym akcjom Służby, czy zabójcom z ramienia rodów albo armii. I znaleźliśmy pewien wzór. Ktoś rozgrywał wojnę dla własnych celów. Podsyłał tropy i sugestie obu stronom, eliminował ważnych ludzi wedle własnego klucza, a to nasyłając na siebie wszystkie frakcje, a to wznagając chaos. Ktoś nami grał i nadal to robi, marszałku.

– Dowody?

– Nie mamy dowodów – przyznał Jewgienij. – Ten wzór, o którym powiedział kapitan – będę z panem szczery, panie marszałku – to coś, co dostrzegamy intuicyjnie. Jak pan wyczuwa

strategię przeciwnika. Ja wiem, że pewne ruchy przypisywane Oruzonom wykonał ktoś inny, kapitan uświadomił mnie, że część akcji, o jakie podejrzewałem Służbę, także przeprowadził ktoś inny, ktoś, kogo nie znamy. Eliminowaliśmy podejrzanych i wyłonił nam się obraz jakiejś nieznaney, niewiadomej siły. Ale nie mamy dowodów. Tylko tropy, poszlaki i śmierci, które nie przyśłużyłyby się żadnemu z nas.

– Może kogoś nie doceniacie? Może to Maska?

– Wiele spraw koncentruje się wokół niego – przyznał Berak – Ale po co zabijałby generała pozostającego w cichym sojuszu ze stronnictwem Legionów? Chyba że tam, dokąd się udał, zaszło coś niespodziewanego. Miałby jednak zbyt mało czasu, by naprędce przygotować taką akcję. Ale jeśli uspokoi to pana, wkrótce wyruszę na spotkanie z Maską.

– Wiecie, gdzie on jest?

– Zdaje się, że wszyscy to wiedzą. – Smutny, zmęczony grymas, jaki przemknął przez twarz agenta, ledwie przypominał uśmiech. – Służba przechwyciła informację wysłaną z pokładu okrętu Maski. Była adresowana do kogoś przypadkowego, dziewczyny na Irlium. Ale wysłał ją nasz agent, ukrył więc w informacji dane dla nas. Z tego, co wiem, cesarz został już o tym poinformowany.

– Pan w końcu działa w Służbie czy przeciwko niej?

– Nie działam przeciwko Służbie, marszałku. Uważam, że została wyprowadzona w pole, być może nasz tajemniczy wróg wspiera się na niej, oszukując ją. Dlatego prowadzę niezależne działania. Ale nigdy przeciw Służbie.

– Dziękuję panu za szczerłość. A zatem Ludwik wie? Jeśli on, to także ten szczur Aubert!

– Szambelan?

– Nie zdziwiłbym się, gdyby to on stał za wszystkim.

– Filip Aubert podlega stałej kontroli i skanowaniu – odparł Berak – Musiałby być naprawdę pierwszej klasy innergetykiem, nie wspominając o innych technikach, by ominąć nasze zabezpieczenia.

– Bardzo jest pan pewny swego!

– Szambelan jest niższym agentem Służby – wyjaśnił Berak – Podlega więc nie tylko cesarskiej, ale specjalnej kontroli Służby. Niech pan przyjmie tę informację jako dowód mojej dobrej woli i znak, że warto mi zaufać. No i oczywiście wolałbym, aby zachował pan ją dla siebie.

– Czego panowie ode mnie oczekujecie?

– Ma pan kontrolę nad flotą, panie marszałku? – Pałeczkę znów przejął Jewgienij.

– Tylko formalną i zaledwie do jutra.

– Ale wpływy nie znikną po ceremonii, prawda? Z pewnością znajdą się admirałowie, którzy

wysłuchaliby pańskich sugestii?

– Powiedzmy. Co panów zdaniem powinienem im zasugerować?

– By wyruszyli pod podane przez nas koordynaty. Tam, gdzie znajduje się Maska. Jeśli to nam udałoby się go przechwycić, dysponowalibyśmy poważnym atutem, panie marszałku.

– Potrzeba do tego aż całej floty?

– Będzie wielu chętnych.

– Na przykład cesarz? Czy wy nie proponujecie mi nowej wojny domowej?

– Być może ludzie, których wyśle jego wysokość, będą sami potrzebowali pomocy. Wtedy wkroczy pan, marszałku. Nikt nie chce, by zaczął pan nagle ostrzeliwać okręty cesarskie. Wystarczy, by były tam na wszelki wypadek. Gdyby cesarz potrzebował pomocy. Albo my. Przeciw naszym nieznanym przeciwnikom.

– To wszystko, co mi panowie powiedzieliście, jest zatrważające – odezwał się po chwili milczenia Grouchon. – Podczas wojny chciałem jedynie być żołnierzem, unikałem polityki, celowo przymykałem oczy na wszystkie te gierki. Ale nie sądziłem, że stanę w obliczu czegoś takiego!

– Stał się pan jednym z najbardziej znaczących ludzi we Wspólnych Przestrzeniach. Już się mówi, że może pan być człowiekiem, wokół którego zgromadzi się opozycja. Skoro zdecydował się pan zaangażować, już pana zauważono. My proponujemy sojusz, ktoś inny może po prostu przysłać zabójcę.

– Nie boję się śmierci! – zachnął się Grouchon.

– A kłęski?

– Zakładam, że nie mam wiele czasu na zastanowienie?

– Obawiam się, że w stosunku do przeciwnika już jesteśmy znacznie opóźnieni, panie marszałku. Czasu nam brakuje.

5

Zagrały fanfary. Morze barwnie przystrojonych ludzi – mężczyzn przede wszystkim w mundurach i kobiet w zdobnych sukniach – zafalowało. Przybrani w czerń gwardziści wyprężyli się; ich złote epolety ułożone niemal w jedną prostą linię, ramię przy ramieniu, zdrzwały, by wreszcie trwać lśniąco a nieporuszenie. Zaszumiały opuszczane proporce. Najpierw

opadły zdobyczne – kolejnych setni buntowniczych i większe, pyszniące się generalskimi herbami. Nad nimi załopotały dumne proporce zwycięzców, z górującą nad wszystkimi, wyjątkowo tego dnia, chorągwią marszałkowską zdjętą z mostka flagowego okrętu wielkiego marszałka. Raz jeden w historii Wspólnych Przestrzeni lekko, ledwie dostrzegalnie niżej, umieszczono złotą chorągiew cesarską.

Odezwały się trąbki słocznym wojskowym nawoływaniem. Zagrały melodię rodu Grouchon, a zaraz potem sygnał marszałka, skomponowany specjalnie dla niego i odegrany po raz ostatni w historii. Kamery Stacji wyłapały łzy w oczach kilku weteranów. Łez kobiecych nikt nie wypatrywał, ale niejedna dama demonstracyjnie ocierała łąciki oczu haftowaną chusteczką, koniecznie z błękitnym ornamentem, na cześć marszałka. Błękit Grouchonów panował dziś niepodzielnie w Cudownym Pałacu, cesarskie złoto ustępowało mu z szacunkiem.

Pogromca buntu, zbawca Wspólnych Przestrzeni miał dziś celebrować swój sukces w sposób ostateczny. Jego odejście kończyło wojnę dobitniej niż podpisane kapitulacje i renegocjowane traktaty.

Komentatorzy Stacji napomykali, że być może tego dnia nawet bogowie, przyoblekszy ciała śmiertelników, zaszczytą uroczystość. Naturalnie nikt nie mógł mieć co do tego pewności, bogowie byli zbyt nieśmiali, by ujawniać swoją obecność. Komentatorzy podkreślali jednak, że możliwość taka istnieje, tym bardziej że zaskakująco wielu kapłanów, wszystkich wiernych, a zatem zwycięskich bóstw przybyło do Cudownego Pałacu.

Marszałek wkroczył na salę pierwszy. Wyprzedzał zwyczajowy orszak, a nawet przydzieloną mu przez cesarza straż honorową, słynną czternastą setnię Czarnej Gwardii, żołnierzy, którzy pierwsi stawili skuteczny opór buntownikom. Ich czyny zdążyły już obrosnąć legendą, której niebagatelną część stanowiła opowieść o początkach oddziału, o tym, jak generał Franciszek Grouchon wy dobył go z niebytu niekończącej się musztry i przemienił w najlepszych żołnierzy imperium.

W marszu „szlachetnym”, opracowanym specjalnie na takie okazje, gwardziści wyrzucali przed siebie jedną nogę, szybko, gwałtownie, by zatrzymać ją nagle wyprostowaną, złamać linię w kolanie i opuszczać stopę powoli, starannie. Poruszali się dziwnie, krokiem jakby szarpanym, z nienaturalną elegancją, sztywno i uroczystie. Wzrok mieli utkwiony – jak należy – w dal, prawe dłonie zaciśnięte na rękojeściach szabel dociskanych do lewej piersi, lewe ręce schowane za plecami, jakby wedle zasad starożytnych pojedynków szermierczych.

W przeciwieństwie do nich marszałek szedł zwyczajnie, spokojnie, a jednak dostojnie. Miał na sobie połowy granatowy mundur floty, jaki nosił ostatnio, z białą kamizelką i cesarskimi złotymi epoletami ozdobionymi rysunkiem buław. Granatowy był marszałkowski kapelusz, trzymany teraz pewnie w lewej ręce, i tylko błękitny płaszcz przypominał o barwach rodowych. Niektóre

damy marszczyły piękne brwi na widok tego stroju, niektórzy dworacy krzywili się w wyrazie tyleż niedowierzania, ile nieukontentowania. Marszałek dysponował wszak złoto-błękitnym galowym mundurem, daremnie czekającym okazji w marszałkowskiej szafie. Grouchon, o ile wiadomo, nie włożył go ani razu. Znaleźli się jednak i tacy, którzy prostotę marszałkowskiego stroju powitali okłaskami.

– Tak powinien wyglądać żołnierz! – zachłystywał się zachwytem komentator Stacji. – Marszałek podkreśla swoją rolę i zależność od cesarza. Cóż za gest w tym szczególnym przecież, należącym do niego dniu! Cóż za pokora! Wszyscy obywatele Wspólnych Przestrzeni, my wszyscy, powinniśmy brać przykład ze skromności tego wielkiego człowieka! Tacy byli starożytni bohaterowie! Tacy byli herosi z naszych legend, do których Franciszek Grouchon, jedyny marszałek imperium, dołącza w jakże pięknym, godnym i szlachetnym stylu!

Co za skurwiel, złościł się Filip Aubert. Jak podkreśla, że jego rola jeszcze się nie skończyła! Jak samym tylko strojem daje o tym znać wszystkim tutaj! Całemu cholernemu wszechświatowi!

W tle warczały werble i grały trąbki. Marszałek zmierzał ku wysokiemu tronowi. Gdy zbliżył się do prowadzących do niego stopni, Ludwik III poderwał się z miejsca, zbiegł ku staremu żołnierzowi i objął go, powstrzymując przed oddaniem pokłonu.

– Przyjacielu! – zawołał. – Całe Wspólne Przechowanie, wszyscy obywatele! I my, pierwsi, ale i ostatni z nich, winniśmy ci wdzięczność i hołd!

– Słowa jego wysokości Ludwika III – zachłystywał się tym razem wzruszeniem komentator Stacji – wzbudziły zdumienie, ale i zachwyty! Już wszyscy klaszczą – cóż za aplauz dla monarchy i jego najwierniejszego sługi! Czyż to nie wspaniały gest? Panie profesorze, zwracam się do naszego eksperta, profesora Cesarskiej Akademii Pięknego Pałacu, eksperta od historii etykiety dworu cesarskiego, Teodora Szedoryego, hrabiego Tedostek, czy mam rację, że to coś nowego? Precedens na dworze? Ale zaraz, zaraz, co to... Co też... Doprawdy brakuje słów na ten gest!

Oto cesarz cofnął się o dwa kroki i złożył pokłon triumfatorowi. Na jedną chwilę wszyscy w sali zamarli, umilkły nawet bębny zdumionych doboszy. Wreszcie wycucie etykiety pokonało zdumienie, instynkt zwyciężył nad refleksją i wszyscy, od najznacześniejszych arystokratów, po strażników i sługi, pochylili się w ukłonie przed marszałkiem. Wytrwali w nim przez przepisowe pięć sekund i wyprostowali się, ciągle jeszcze zdumieni, lecz świadomi, iż uczestniczą w czymś wzniosłym a niezwykłym i że zachowali się w tej sytuacji właściwie, stając się przez to częścią historii. Zaraz szalony, spontaniczny entuzjazm uderzył pod splątane łukami sklepienie. Najbardziej zasadniczy z arystokratów, fanatyczny czciciel rytuału i ci, którzy z powściągliwości uczynili religię – nawet oni klaskali z zapałem w dłonie i wznosili okrzyki na cześć żołnierza i jego cesarza.

Order, wielkie złote słońce z wygrawerowaną buławą marszałkowską, wylądował na biurku, znacząco niedaleko miejsca, w którym zwykle leżała stara buława, teraz zdana władcy. Dożywotnio i na wieki, jednak już wyłącznie tytułarnie marszałek Wspólnych Przestrzeni, Franciszek Grouchon, jeszcze nieco oszołomiony, ale wciąż niesiony gniewem, nawiązał łączność z człowiekiem, którego miał za przyjaciela.

Ledwie skończył z nim rozmawiać, a otworzyły się drzwi i stanęła w nich rozpromieniona Fuksja Aleksandra Grouchon, obecna małżonka marszałka. Porzuciła już oficjalną suknię i włożyła lekką, zwiewną sukienkę, obowiązkowo przeplataną błękitem Grouchonów i trójbarwnymi wstęgami rodu, z którego pochodziła, podbiegła do męża i rzuciła mu się na szyję.

– Franciszku! – zawołała. – Cóż za honor! Co za przeżycie! Jakaż jestem szczęśliwa! Stałam się najszczęśliwszą z żon! Wszyscy, wszyscy widzieli, jak sam cesarz oddaje ci honory, jak wiwatowano na twą cześć! To najpiękniejszy dzień w moim życiu!

Grouchon stłumił przepełniający go gniew. Uśmiechnął się nawet, pogłaskał ją po głowie, pocałował.

– A najbardziej się cieszę – wyszeptała – że to wszystko już za nami. Żeśmy teraz wolni i tylko dla siebie.

I wtedy właśnie, w tej szczęśliwej chwili, umarli.

6

Dwaj mężczyźni przemysłali chyłkiem przez okolice ani tak znów ostatniego, ani wielkiego i popularnego portu. Przepychali się przez tłumy na peryferyjnych bazarach. Przybrali inne stroje i twarze, z obawy, że ktoś może chcieć ich dopaść. Dobiegały ich głośne dyskusje, ale i domysły wypowiedane szeptem. Prawie wszystkie dotyczyły jednego – losu marszałka zdradzonego przez własną żonę – skrytobójczynię naslaną przez żądne zemsty niedobitki buntowników.

– Szczęście, że ten Tie był w pobliżu! – Zanosila się płaczem wielka, czerwona od rozpaczki na pomarszczonej twarzy straganiarka. Ciężkie grusze jej obfitego biustu kołysały się nad preclami, gdy pochylała się ku klientce. – Żeby nie on, żeby nie ten chłopiec, toby naszego marszałka całkiem zabiła ta suka!

– Co pani mówi! Ona przecież go kochała! To buntownicy jej namieszały w głowie. Czarowniki biedną dziewczynę zahipnoty zowały!

– Co też pani? Ona była zdrajczy ni, bo ją uwiódł Szkarłatna Maską!

– Jak mógł uwieść, gdy brzydki, że maskę musi nosić!

– Bo on magię zna! Miłosne zaklęcia wyszeptał...

Minęli baby, gnali dalej. Ale i strażnicy portowi rozmawiali o tym.

– Żeby takiego dorwać, żeby tylko dorwać! – mamrotał jak litanie jeden, a drugi powarkkiwał, wyliczając, co by draniom, buntownikom, zrobił.

Minęli i ich. Przeszli szybko przez targ. Umówiony strażnik puścił ich bez kontroli, opłacony celnik wyciągnął łapę po więcej, bo przecież sytuacja szczególna, wszystkich muszą dokładnie sprawdzać. Zapłacili, targując się krótko, jedynie by nie wzbudzić podejrzeń. Wreszcie dotarli do okręciku wyglądającego jak zwykły transportowiec niskiej klasy, podobny do tych ulubionych przez przemysłników, pozbawiony jednak solidnego, szybkiego napędu.

– Jesteś pewien, że zostajesz? – upewniał się Berak

– Dasz sobie radę beze mnie. Weź tylko moich chłopaków po drodze, mogą ci się przydać.

Dobrzy są. Ja dorwę tu naszego bohatera, pana Tie.

– Nie będzie łatwo.

– Ano nie będzie. Ale on może doprowadzić nas do tamtych.

Berak skinął głową. Zgodzili się obaj, że bohaterki adiutant musiał być w istocie zabójcą dziewczyny i sprawcą dziwnej śpiączki marszałka. Jeśli dostaną go w swoje ręce, wyśpiewa im wszystko.

– W takim razie żegnaj, przyjacielu. – Berak uściskał serdecznie Jewgienija niespodziewanie tyleż dla siebie, ile dla majordomusa Oruzonów. – Oby ci się udało.

– Oby udało się nam obu. Zemsta to zdraziecka, niestała dziwka, trzymaj ją krótko, bracie. Jak cię poniesie, zginiemy my i cały świat, jaki znamy, może też.

Cesarz mógłby sięgnąć poprzez innergię do uspięnej duszy Franciszka. Mógłby dotknąć go, przebudzić, skłonić boga, którego skrycie wybrał już na swojego nowego patrona, by ten przyjął marszałka do siebie i trzymał go w swoim Domu przez jakiś czas. Mogliby spotykać się tam

i rozmawiać. Jak kiedyś. Oczywiście coś takiego oznaczałoby rzucenie wyzwania bogom marszałka i jego żony, ale czyż miał się tym teraz przejmować? Niewiele rzeczy było cenniejszych dla Ludwika III od przyjaźni łączącej go z tak niewieloma ludźmi.

Jednak porzucił wszelkie możliwości. Nie skorzystał przecież nawet ze świętych obcowania, by zanieść pocieszenie swoim dzieciom, które zginęły na Cesarzkiej. Nauczył się czerpać siłę i z samotności. Przy stałej obecności przodków odnajdywał w niej wręcz ukojenie, cieszył się nią; kontemplował samotność i pustkę, jak inni kontemplowali innergetyczne mrowie dusz. Zbudował z samotności najświętsze sanktuarium i tylko czasem zdejmował go lęk związany z tą zimną, przerażającą twarzą wyobcowania. Lęk, że nigdy nikt nie pozna go naprawdę i że on nigdy nikogo nie pozna. Że wszystko, co było nim, przepadnie.

Targała nim zazdrość o doznania prostaczków. On, który pojmował innoświat jak żaden z ludzi i bogów, który codziennie spoglądał w wieczność i chwycił sięgające tysiący lat wspomnienia przeszłości, patrząc na nie niczym własnymi oczami, tęsknił, bywało, za prostactwem ufnością w nieopojęte życie po śmierci. Za ograniczeniem pozwalającym ukoić zwyczajne i metafizyczne lęki w czyichś ramionach, za powszednimi, maleńkimi obawami o to, co przyniesie następny dzień. Za brakiem zrozumienia dla złożoności wszechświatów, za postrzeganiem istot innergetycznych jako wszechmocnych bogów, a samej innergii jako czarodziejstwa czy może religijnych cudów.

Bywało, że zazdrościł nawet ograniczeń bogom. I tym, którzy dążyli do zmiany, i tym, którzy się jej obawiali. Zazdrościł naiwnego zapалу buntownikom. I nawet Aubertowi czasem zazdrościł jego przekonania o własnej sile i nieomyślności. Aubertowi, tak zabawnemu w jego krucjacie przeciw bogom, w strachu przed ich potęgą. Wyobrażającemu sobie bogów jako gigantyczne wampiry czerpiące satysfakcję ze zniewalania ludzi i wysysania z nich innergetycznych sił. Jak – przy tak znacznej inteligencji i sprycie, przy takim talencie do krucia intryg i spisków – można być tak naiwnym? Postrzegać bogów niczym dziecko wychowane na opowieściach grozy?

Czy tylko on, cesarz, dostrzegał ogrom niezrozumienia pomiędzy jedynymi inteligentnymi istotami w obu wszechświatach? On rozumiał ludzi jak żaden z bogów i rozumiał bogów jak żaden z ludzi. Zawieszony pomiędzy nimi, zarazem żywy i obdarowany – a może przekłety – możliwością patrzenia oczami zmarłych zdawał sobie sprawę, jak oddaleni są od siebie nawzajem bogowie i ludzie i jak niewiele zrobili przez dwa tysiące lat wspólnego istnienia, by naprawdę się porozumieć. Jedni i drudzy skupiali się wyłącznie na zachowaniu status quo. Czy to źle? Czy to dziwne, że istoty dwóch różnych gatunków nie rozumieją siebie nawzajem, gdy ludziom tak trudno się wzajem zrozumieć? Samotność i wyobcowanie to stała cecha obu wszechświatów. Nikt nie pojmował tego lepiej od cesarza uciełającego od niezlicznych głosów swych przodków.

To, przeciwko czemu tak buntował się Aubert, przekonany, że ludzkość mogłaby rozwijać się, ewoluować i czynić oba wszechświaty poddany mi sobie, gdyby trzymała bogów w niewoli, a nie oddawała się – jak sądził – w niewolę im, dla cesarza stanowiło jedyne i najlepsze rozwiązanie. Zmiany niosły ryzyko, a on – jak i pozostali władcy – nie zamierzał ryzykować. Ludzkość i bogowie osiągnęli optimum. Nic lepszego nie mogło już spotkać obu gatunków.

Jednak on sam mógł wystarać się dla siebie o lepszą przyszłość. Czy to poprzez tego nieszczęsnego ślepcę, na którego poszukiwania wysłał stworzoną przez siebie agentkę, czy poprzez boga, którego obłaskawiał sobie na nowego patrona. Tak czy owak wygra. Będzie wolny, samoistny i już nigdy nie dotknie go to zimne, martwe skrzydło samotności. Będzie się płał wyłącznie w jej ciepłe.

A Aubert weźmie na siebie całą tę krew, która musi być przelana po drodze, postanowił. I spoglądając w całą dostępną mu poprzez dziesiątki oczu przeszłość, wyszeptał w nią: „O, Franciszku, przyrzekam ci, zapłaci za to, co ci zrobił!”

Rozdział 18

1

Pies tęsknił za dniem.

Była to jedna z tych tęsknot, jakie potrafiły spaść na niego niespodziewanie, by utrudniać mu życie i wymuszać zachowania nieodmiennie prowadzące do kłopotów.

Jak wtedy, gdy w samym środku operacji prowadzonej w wysokich, deszczowych i zimnych górach zatęsknił za pomarańczą. Sypiali w dmuchanych schronach, żywili się syntetykami z puszek bo nawet głupiej zagubionej owcy nie wolno było im upolować, by nie narażać relacji z tubylcami. Przez tydzień nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o pomarańczowym owocu. O tym, jak lekko ugięłyby się pod jego palcami skórka, gdy wbijałby w nią paznokcie. O tym, jak miąższ i sok znaczyłyby mu palce, a kwaśny płyn szczypał odwykłe od takich frykasów usta. O zapachu, którego już samo wyobrażenie pobudzało nozdrza.

Omiał wtedy nie zdezerterował, nie uciekł w doliny w poszukiwaniu targu, na którym być może ktoś miałby pomarańcze. Kiedy wreszcie, prawie miesiąc później, udało mu się dorwać upragniony owoc, schował się z nim przed kumplami zawsze złaknionymi wspólnoty, czy to w boju, czy we wrażeniach kulinarnych, i pożarł pomarańczę, z początku łapczywie, pod koniec smakując każdy kęs. Smakowała jak nigdy wcześniej i nigdy później.

Z dniem nie było tak łatwo. Wprawdzie statki kosmiczne zapewniały swoim pasażerom standardowy cykl światła – mrok ich programy stopniowały nawet intensywność oświetlenia odpowiednio do „świt” i „zmroku”, dla Psa wszystko to jednak okazało się mizerną namiastką.

Świt oznaczał dla niego – jak odkrył dopiero teraz, pod wpływem niespodziewanie przebudzonej tęsknoty – nie tylko rzednący półmrok, w którym musiał przewyciężyć niechęć do pełnego przebudzenia; nie tylko zetknięcie gołej stopy z zimną podłogą, nie tylko szybki prysznic i pospiesznie przełykane śniadanie. Świt łączył się z chłodnym powiewem wiatru, ze stopniowo rosnącą temperaturą, ale przede wszystkim z dźwiękami.

Na początek – ptaki. Te dranie potrafiły wcisnąć się wszędzie. Nie odstraszała ich wojna; przywykły do salw, wybuchów, nawet do grozy ognia. Kłębiły się wokół kuchni polowych, podkrażały żołnierzom żelazne racje, kompletnie nie przejmując się groźbami i krzykami. A przede wszystkim w sposób nieopisanie drażniący wydierały się każdego świtu.

Potem – trąbka, tak irytująca, a przy tym swojska, przywleczona na wojnę przez jakiegoś stetryczalego generała przywiązanego do pozorów tradycji tak charakterystycznego dla Wspólnych Przestrzeni. Na końcu – w zamierzeniu rażne, a w rzeczywistości wyłącznie wkurzające – pokrzykiwania Dużego Joe, tego durnego wcielenia marzeń służby marketingowej, idealnego żołnierza, prawdziwego kumpla, wiernego towarzysza broni, skwapliwego wykonawcy rozkazów, cholernei durnej kukły o wiecznie czujnym a tępych spojrzeniu.

W kosmosie brakowało tego wszystkiego.

Człowiek nie wysuwał się ze śpiwora, klnąc na poranny chłód i mżawkę, nie narzekał na głupie reklamy nadawane przez Dużego Joe dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie uskarżał się na wszy i komary. Na dobrą sprawę, jeśli się zastanowić, sytuacja na pokładzie statku kosmicznego była znacznie bardziej komfortowa niż na dowolnej z zafajdanych planet, na której przyszło Psu walczyć. Ale nie było tam dnia, a jedynie jego pozory. Za dniem zaś właśnie zaczęła tęsknić Pies. I wiedział, że – jak wszystkie tęsknoty – sprowadzi to na niego kłopoty.

Dlatego stosunkowo łatwo pozwolił się uprowadzić porywaczom. Nie czuł się nadto zaangażowany w misję Maski, żywił też przekonanie, że jego służba w armii dobiega końca. Mógł znów uciec do innego życia, innego imienia, co robił już tyle razy. Miał nadzieję, że porywacze zaprowadzą go w jakieś niezwykłe miejsce, zaangażują jego umysł na tyle, że stłumi choć trochę tęsknotę. Mógłby może spędzić resztę życia na pokładach okrętów Powolnej Floty albo nawet dać się zamrozić na kolejne trzy tysiące lat, by powrócić do życia na dalekiej, wolnej od bogów planecie. Wizja trwającego tysiące lat, może nawet nieskończonego snu pociągała go.

Nie bał się, że go zabiją. Napad nie wyglądał na szczególnie agresywny, a porywacze na groźnych. Miał tylko nadzieję, że pójdzie sam. A tu, jak na złość, przypałała się Irina.

Ona akurat bez problemu mogła uciec napastnikom albo pourywać im wszystkim głowy. Najwyraźniej więc też za czymś tęskniła lub postanowiła zaopiekować się Psem. Ta druga możliwość zdecydowanie nie przypadła mu do gustu. Uważał, że potrafi sam o siebie zadbać. I nie chciał, by kłólowiek się do niego przywiązywał.

Choć musiał przyznać, że gdyby szukał opiekunki, nie znalazłby lepszej.

Upchnięto ich w czymś, co mogło być praprzodkiem wojskowych barek. Pies uważał dotąd, że armia to instytucja, której podstawowym celem istnienia nie jest wcale wojna, ale eksperymentowanie z granicami oszczędności. Szczęłając zębami w pozbawionej ogrzewania puszcze, w której temperatura przekraczała tę panującą w próżni chyba tylko dzięki ciepłu wydzielanemu przez ciała pasażerów, uznał, że kwatermistrze Legionów muszą się jeszcze wiele nauczyć. Porywacze owinęli wprawdzie Psa kocem wspomaganym rachitycznym źródłem energii i wcisnęli mu na głowę czapkę z gryzącej skóry szarej wełny, zabezpieczyło go to jednak co najwyżej przed natychmiastowym zamrożeniem. Irina, która najwyraźniej znosiła niskie temperatury lepiej niż on, chciała oddać mu swój koc. Odmówił.

– Lepiej rozpal ognisko – wyjąkał, wystukując zębami marsza. – Jak skombinujesz do tego jakiś kocioł i tłok, może zrobisz silnik parowy, który przy spieszy to dziadostwo.

Bo też barka porywaczy poruszała się nieznośnie powoli. Do tego jej piloci bezustannie wrzeszczeli do mikrofonów, domagając się, by głos płynący z trzeszczących głośników powtarzał swoje niezrozumiałe komunikaty. Pies bał się choćby zerknąć do karku. Mógłby tam jeszcze zobaczyć analogowe zegary i pokręta, jakie widział kiedyś w eposie o starożytnych odkrywca kosmosu.

Albo pedały roweru.

Nie zdziwiłby się, gdyby dowódca porywaczy kazał im wszystkim sięgnąć do wiosł, jeśliby zgasły silniki. A zgasnąć, zdaniem Psa, mogły w każdej chwili – ich praca przypominała serię przypadkowych kasznięć, po których barka każdorazowo wykonywała szarpnięcie. Jeden z życzliwych porywaczy przypiął Psa do gąbczastego oparcia pasami, które w dotyku podejrzanie przypominały skórę, jednak żołnierz i tak za każdym szarpnięciem pojazdu podskakiwał na ławie, na której go posadzono, i walił głową w sufit bądź wpadał na siedzącą obok niego Irinę albo porywacza po drugiej stronie. Porywacz, zdaje się, ten Włodzimierz, śmiał się wtedy, natomiast Irina milczała. Pies kłął. Początkowo jedynie w myślach, potem już na głos.

– Przygotujcie się! – wrzasnął jeden z pilotów. – Będziemy dokować! Może szarpnąć!

Jakbyśmy do tej pory lecieli w pieprzonym komfortie, zachichotał w duchu Pies. Jakbyśmy...

Wtedy rzeczywiście szarpnęło. Pies grzmotnął głową w sufit i resztę dokowania pamiętał jak przez mgłę. Nawet się nie opierał, gdy Irina wynosiła go z barki. Na rękach. Jak dziecko. Jak kawaler pannę młodą na weselu.

– Przeniosłaś mnie przez próg – bąknął, gdy zniosła go z trapu.

Widać zwyczaj, który poznał na jakiejś rolniczej planecie, nie był obcy porywaczom. Wywołał tym oświadczeniem salwę śmiechu, więc szybko uwolnił się spod opieki kobiety i podjął próbę ustania na własnych nogach.

– Witajcie w moich włościach! – zawołał Włodzimierz, uśmiechając się serdecznie. – W domu wiernych!

Bogowie, jak tam śmierziało.

Kobiety wiernych wydawały się Psu zarazem atrakcyjne i nieatrakcyjne. Zastanawiał się chwilę nad tym fenomenem i uznał ostatecznie, że ich atrakcyjność brała się głównie z faktu, iż to on najwyraźniej je fascynował. Przyglądały mu się wręcz nachalnie, bez zażenowania, a ich spojrzenia i uśmiechy, a czasem i gesty, niosły jednoznaczne obietnice. Rozumiał to, gdy przyglądał się mężczyznom wiernych – tak jak kobiety, wszyscy byli od niego znacznie mniejsi, nie wspominając nawet o kundlach. Już Włodzimierz i jego żołnierze byli niżsi. Ale wierni okazali się wręcz karzełkami o dziwacznie dla oczu Psa zakłóconych proporcjach.

Wylegli na zaskakująco jasny i ciepły jak na standardy Powolnej Floty korytarz, witając powracających z akcji. Na widok Psa i Iriny radosne okrzyki ucichły na moment, by zaraz rozbrzmieć ze zwielokrotnioną siłą. Wierni wyciągali ręce, by choć dotknąć jeńców, co odważniejsi się o nich ocierali.

Pies zauważył, że ściany korytarza pokryte były czymś w rodzaju mchu. Podobnie podłoga wydała mu się zbyt miękką, sprężystą. Miał wrażenie, jakby wędrował po czymś organicznym.

Przede wszystkim skupiał się jednak na zmaganiach z wszechobecnym tu smrodem.

Zaraz po wylądowaniu, gdy dochodził do siebie, dopadł go wierny uzbrojony w coś, w czym rozpoznał strzykawkę, dopiero gdy wbito mu w ramię igłę.

– Antybiotyki – wyjaśnił Włodzimierz. – Mamy tu bakterie i wirusy, które mogą różnić się od waszych. Arki wiernych dalekie są od sterylności statków-chłodni.

– Chłodni? – nie zrozumiał. Pocierał ramię, pielęgniarz wiernych nie należał do delikatnych. No i ta igła! Bogowie, kto we wszechświecie używa jeszcze igieł? Antybiotyki? Równie dobrze mogły go zabić, były wszak dla niego równie obce jak bakterie sprzed dwóch tysięcy lat! Teraz mógł tylko mieć nadzieję, że wojskowe nanity medyczne potraktują antybiotyki jak atak chemiczny i poradzą sobie z tym cholerstwem.

– Nasi bracia z lodówek, no, wiesz.

– Wy nie poddajecie się anabiozie? – zrozumiał.

– Pan by nie chciał, byśmy wymykali się Jego prawu, przyjacielu – wtrącił się Włodzimierz.

– Sprawa z Bogiem jest prosta: jeśli wierzysz, to zawierasz mu całkowicie, bez zabawy w kruczki prawne. Ufaj Panu, a On cię nagrodzi. Kombinuj na własną rękę, a będziesz musiał szukać sobie nagrody sam. W bardzo gorącym miejscu. No, chodźcie, drodzy goście, pokażę wam, jak żyjemy!

Wierni, jak przekonał się Pies, przerobili swój statek na wioskę. Ożywili zwierzęta, które teraz pasły się swobodnie w korytarzach, zjadając dziwny mech ze ścian, a także wyskubując coś z podłogi. Pies rozpoznawał znane sobie gatunki – owce, krowy, kozy, wszystkie nieco odmienne od tych, jakie znał, mniejsze, ale jednak podobne. Pomiedzy nimi uwijali się skarlali wierni. Wykształcili i przystosowali do życia na statku coś w rodzaju drzew owocowych, których pozbawione pni gałęzie i korzenie wylaniały się bezpośrednio ze ścian. Wszystkie kabiny pozbawiono drzwi. Część pomieszczeń przerobiono na działki uprawne – w nich rosły rodzaje zbóż, których Pies, mimo pewnego doświadczenia rolniczego, nie rozpoznawał. Niektóre z kabin zachowały funkcje mieszkalne, zajmowały je całe rodziny.

Mijali zarówno starców, jak i dzieci. Wszyscy zatrzymywali się, by przyglądać się im z ciekawością, przy czym dzieci czasem chowały się z płaczem za starszymi, czasem zaś biegły ku przybyšom, by skubnąć ich ubranie lub choćby go dotknąć. Jedna dziewczynka objęła nogę Psa i nie chciała go puścić. Rozpłakała się, gdy opiekunowie odciągali ją, mamrocząc niezrozumiałe dla niego słowa, zapewne przeprosiny.

– To wszystko – szepnęła Irina – musi wymagać takiej masy wody! Energii!

Innergii! – pomyślał wbrew sobie. Ież mogłaby im ofiarować innergia! Jak mogłyby na niej wyrosnąć ich rachityczne rośliny!

Choć było tu jasnziej niż na *Ogrodzie*, wciąż jednak pozostawało ciemniej niż na większości znanych Psu planet. Niektóre kabiny, zwykle te przeznaczone na działki, były oświetlane odmiennie – ultrafioletowymi żarówkami. Pies przyłapał się na myśli, że gdyby zaprząć w to wszystko innergię, życie wiernych mogłoby stać się prostsze. Ba! Ale z innergią znajdowałiby się już na własnej planecie.

Trafili wreszcie do kabiny odmiennej od tych, które mijali. Nie tylko posiadała drzwi, ale też nic nie porastało jej ścian i podłogi. Żołnierze Włodzimierza zostawili ich samych. Gospodarz, najwyraźniej nie obawiając się zupełnie ludzi, których porwał, usiadł na prymitywnym plastikowym krześle, wskazując Psu i Irinie dwa identyczne. Wyjął spod stołu butelkę wypełnioną mętnym płynem i trzy drewniane kubki, które napełnił tyleż prędko, ile zręcznie.

– Jest ciepły – ostrzegł. – Przykro mi. Nie możemy dodatkowo tracić energii na chłodzenie alkoholu.

– To i dobrze – uznał Pies. – Co do mnie, jestem wystarczająco wychłodzony. Co to było – to, czym lecieliśmy? Muzeum?

Tak jak oczekiwał, Włodzimierz się roześmiał.

– Wznoszę toast! – zawołał. – Za spotkanie i nowe możliwości!

Alkohol był mocny, gryzł gardło i Pies z trudem opanował kaszel. Pospiesznie otarł lzy, które napływały mu do oczu.

– Nowe możliwości? – zapytał ochryple. – Dla kogo?

– Dla nas wszystkich, przyjaciele! Jestem pewien, że przy lecieliście do nas gnani potrzebą nawrócenia. Czegoś od nas chcecie, to jasne. I dobrze się składa, bo i my chcielibyśmy czegoś od was.

Mrugnął łobuzersko, napełniając ponownie kubki.

– No to na drugą nogę i porozmawiamy!

2

04:33:12:49

~~Waham się, co teraz zrobić.~~ Kusi mnie, by pozostać na pokładzie *Eliasza*, żeby pogłębić obraz jego załogi, także poprzez reportaż o życiu kobiet służących we flocie. Ale czy mogę porzucić Maskę i Pniaka, gdy ci dwaj zmierzają do *Ogródu* na spotkanie z czymś, co kojarzy mi się z jakąś archaiczną radą starszych? Jaki obraz Powolnej Floty przekazałbym wam, którzy będziecie to oglądać, gdybym nie skorzystał z okazji ukazania innych, odmiennych od *Eliasza* okrętów? I jeszcze to porwanie! Jakże chciałbym uczestniczyć w akcji odbijania zakładników!

Maska pozostawia część swoich ludzi na pokładzie *Eliasza*. On wraz z Pniakiem i drugim oficerem *Eliasza* zmierzają na *Ogród*. Zdaniem Maski tam właśnie znajdzie on odpowiedzi na pytania, które interesują go najbardziej. Zaskakuje taka zmiana zdania u dowódcy kundli. Najwyraźniej rozmowa z oficerami *Eliasza* rozczarowała go i przekonała, że w istocie to nie oni dowodzą Powolną Flotę. Kto jednak w takim razie nią dowodzi? Czy owa „rada starszych”, na spotkanie z którą zmierzamy? Ale jeśli tak, kto na nią napadł? Co dzieje się na pokładach okrętów? Kto z kim tu walczy? Czy uciekając od jednego konfliktu, nie trafiliśmy w sam środek następnego? Jaką rolę przyjdzie nam w nim odegrać?

Jestem pewien, że Maska nie poprzestanie na zadawaniu pytań, ten człowiek nie jest stworzony do biernego poddawania się wydarzeniom.

– Czemu porwali Psa? – Pniak biegnie obok Maski. – Po co im on?

– To przypadek. Tak sądzę. Chcieli porwać Sutanabego, dowódcę grupy. On stawiał skutecznie opór, więc wzięli, kogo się dało, a pański człowiek był najsłabszy z grupy

– Nie licząc pańskiej... żołnierki, zdaje się.

– Jestem pewien, że Irina sama oddała się w ręce porwaczy, by chronić tamtego. Miał pan

rację, wytworzyła się jakaś więź między naszymi ludźmi. Tym lepiej dla nas.

Na barkę wsiada z nami drugi oficer *Eliasz*, Samuel Ricker. Wolałbym, by na jego miejscu znajdowała się Anna Soulise! ~~Cóż jednak tak krótko trwa...~~

Ricker dwukrotnie się upewnia, że nie będziemy korzystać z silników innergetycznych. W takim przypadku podróż naszą barką stanowiłaby dla niego ciężki grzech. Nie potrafię się jednak oprzeć wrażeniu, że jest dziwnie rozczarowany odpowiedzią.

Spostrzegłem, że rozgląda się pan po wnętrzu naszej barki, panie Ricker. Taka podróż jest z pewnością dla pana czymś nowym?

– Latałem już barkami, nasze jednak różnią się od waszej. Wasi piloci... – Wykonuje odruchowy, jak mi się zdaje, dziwny gest, uderzając dłonią w czoło i w pierś. Jakiś rytuał? Odpędza złe moce? – Wyglądają jak demony!

W pańskich czasach nie istniały wirtualne kokpity? To nie ma nic wspólnego z innergią.

– Ale wiele z ingerencją w organizm ludzki, prawda? Nasze Kościoły sprzeciwiają się temu.

Tu mnie ma! Rzeczywiście, piloci Maski są znacznie bardziej zintegrowani ze swoimi okrętami niż ich koledzy ze Wspólnych Przestrzeni. Bogowie także nie lubią przekształceń organicznych i cyborgizacji.

Zmieniam temat i próbuję zbadać, na ile jest zainteresowany innergią. Osiągam sukces. Ricker stara się jak może ukrywać swoją fascynację, nie wychodzi mu to jednak najlepiej. Wypytuje mnie o nasz świat, o to, jakich dokonaliśmy postępów. Dziwi się nowemu statusowi bogów. Kiedy Powolna Flota opuszczała Ziemię, bogowie wciąż podlegali treserom i posiadali status zwierząt pociagowych.

Wyłapuję ostrzegawcze, ponure spojrzenie Maski. Najwyraźniej ujawniłem zbyt wiele.

Ale oto docieramy do *Ogrodu*. Nasi ~~(już określam ich tym mianem, jakbym stanowił część załogi Maski!)~~ znacznie lepiej radzą sobie z dokowaniem niż za pierwszym razem. Obserwuję Rickera i wydaje mi się, że ich sprawność zrobiła na nim wrażenie.

Gdy my opuszczamy barkę, do wejścia na jej pokład szykuje się już Sutanabe, który ma zastąpić Maskę na *Eliasz*u.

Ci dwaj rozmawiają szybko, zdaje się, jakimś kodem, którego nie rozumiem. Zerkam na Pniaka, ale ten tylko wzrusza ramionami.

Coraz bardziej intryguje mnie ten dziesiętnik, który tak bardzo zbliżył się z Maską.

Zbadałem jego przeszłość, gdy szykowałem się do reportażu o jego dziesiątce. To doświadczony żołnierz, ale zmienił już barwy i wcale nie musi czuć specjalnego oddania dla Legionów Obywatelskich. Nie mogę się też oprzeć podejrzeniu, że przecież nie znalazł się tu przez przypadek.

Czemu Masce towarzyszą żołnierze o tak niskich szarżach, nie zaś setnicy czy generałowie?

Nie pierwszy raz dręczy mnie przekonanie, że wszyscy znaleźliśmy się w samym centrum historii przerastającej każdego z tu obecnych, może z wyjątkiem Maski. Jeśli tak jest w istocie, być może dopiero odbiorcy tego programu będą dysponować danymi, by ogarnąć obraz całości.

Korytarze *Ogrodu* są równie ciemne i posępne jak na *Eliaszu*. Łatwo poznać, że to bliźniacze okręty podporządkowane jednolitej polityce. Jak mogło dojść do rozbieżności we flocie, której załogi przez większość czasu pozostają w lodowym śnie, o ile dobrze zrozumiałem zasady anabiozy?

Nareszcie docieramy do serca *Ogrodu* i tu wszystko się zmienia.

Jak tu jasno!

Oczekuje nas trzech mężczyzn, wyglądają na starców, ale może to pozór? Niech nie zmylą nas celowo zapuszczone długie siwe brody i zgrzebne szaty! Skoro to właśnie ci trzej rządzą całą flotą, muszą dysponować sprawnymi, błyskotliwymi umysłami i żelazną wolą.

– Witajcie, przybysze – odzywa się ten, który najpewniej jest z nich najważniejszy – Jestem Adam, pasterz *Ogrodu*. Przyjmijcie nasze najszczerze przeprosiny za to, co się wydarzyło. Zapewniam, że waszym ludziom nie grozi niebezpieczeństwo.

– Jestem tego pewien – odpowiada Maska ze spokojem wynikającym być może z faktu, iż wysłał już w pościg kundle. – Dziękuję, że pozwolił pan moim ludziom zająć się tą sprawą.

– Wyglądają na bardzo sprawnych, panie... – Czyżbym dostrzegał wyraz mściwego zadowolenia na twarzy Adama? ~~Trzeba będzie zrobić zbliżenie i przeanalizować ten grymas.~~

Czy cieszy go sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, czy też raczej fakt, że poszczuł naszych ludzi na swoich wrogów?

A może... a może to wszystko zostało zaplanowane przez tego nobliwie wyglądającego mężczyznę?

Czy dysponuje zakładnikami, udając przy tym całkowitą niewinność, czy też zyskał właśnie sojuszników przeciw swemu nieprzyjacielowi, musi być zadowolony

To zupełnie inny rodzaj wojny niż ta, którą mogliśmy obserwować na polach bitew. To raczej walka na błyskotliwość umysłów, doświadczenie w zastawianiu i unikaniu zasadzek. Jeśli tak właśnie jest, jeśli padliśmy ofiarami spisku, Adam powinien wiedzieć, że trafił na godnego przeciwnika! Maska to jeden z najpodstępniejszych ludzi, jakich wydały Wspólne Przestrzenie.

– Profesor Ludwik Czarnecki. – Maska pozostaje wierny swojemu cywilnemu tytułowi. – Jestem dowódcą *Merlina* i wyprawę, jaką odbywamy na jego pokładzie. Teraz niech mnie wolno będzie poprosić o wybaczenie, że od razu nie przybyłem na spotkanie z rzeczywistymi dowódcami floty. Pomyliłem się, sądząc, że znajdują się oni na pokładzie *Eliasza*.

– To zrozumiałby błąd w przypadku niewiernych. – Adam się waha, podejmuje wątek, dopiero gdy Maska zapewnia go, że żaden z nas nie czuje się urażony. – Przykładacie większą wagę do

materii niż do ducha.

Cóż za festiwal grzeczności! Czy jestem jedynym, który się upewnia w przekonaniu, że za tymi gładkimi słowami musi się kryć bezpardonowa walka?

Pniak swoim zdaniem okazał wystarczająco wiele cierpliwości, nim wtrącił się do litanii wzajemnych przeprosin i zapewnień o dobrej woli, pytając, kim, do diabła, są ludzie, którzy porwali Psa. Do tego właśnie służą żołnierze – ktoś musi podejmować bezpośrednie działania, gdy politycy i dyplomaci zapętłają się w poprawnościowych niemożliwościach.

– Pan jest...?

– Dziesiątnik Pniak, przełożony Psa. Kim są porywacze?

– Niezwykle imiona. Panowie, ludzie, o których pytaacie, to heretycy, piraci i złodzieje. Fanatycy, którzy nazywają siebie „wiernymi”.

Fanatycy? To słowo wydało się Pniakowi interesujące w ustach mężczyzny ubranego na modłę czasów tak starożytnych, że można było wątpić w ich istnienie, podróżującego na przedpotopowy sposób w pielgrzymce podyktowanej sprzeciwem wobec rzeczywistości. Co musieli robić tamci? Biczowali się przed każdym posiłkiem?

– Domyślam się, że ich wierność jest przeciwstawiona reszcie floty – odgadł Maska. – Uważają, że łamią panowie jakieś... nakazy?

– Ci szaleńcy uznali, że Bóg nie życzyłby sobie, byśmy poddawali nasze ciała anabozie. Twierdzą, że to równie nienaturalne jak innergetyka. Że powinniśmy żyć i umierać zgodnie z nakazami Pana, a na Nowe Jeruzalem winni dotrzeć nasi potomkowie, wolni choćby od wspomnienia innergetyki. Szaleńcy!

Pniak postanowił milczeć do końca rozmowy. Nie zrozumiał wiele z przemowy Adama, to jednak, co pojął, sprawiło, że wszyscy ci ludzie wydali mu się jeszcze bardziej szaleni, niż początkowo uważał. Co mogło nimi kierować?

– Chyba rozumiem. – Maska, czy to wyczuwając wątpliwości Pniaka, czy to obawiając się, co by mogło nastąpić, gdyby dziesiątnik znów postanowił wziąć sprawy w swoje ręce, przejął trud prowadzenia rozmowy. – Do czego mogą potrzebować naszych ludzi?

– Żeby wyrzucić na nas presję? Zmusić was do współpracy? – Adam pokręcił bezradnie głową. – Proszę mi wierzyć, nie mam pojęcia. Oni są szaleni!

– Dobrze więc, pozostawimy tę kwestię do czasu nawiązania kontaktu z nimi. Czy mój zastępca, pan Sutanabe, przedstawił panom nasze cele?

– Jesteście poszukiwaczami prawdy, uciekinierami z niewoli demonów?

– Istotnie. Sprawa jest jednak bardziej złożona. Obawiam się, proszę pozwolić, że nieco

wyprzedzę ofertę waszej świątobliwości... Czy mogę używać tego zwrotu?

Po minie Adama Pniak uznał, że Maska nie tylko może, ale nawet powinien. Stojący obok niego oficer *Eliasz* jęknął cicho. Możliwe, że „jego świątobliwość” wymagał podobnego tytułowania od swoich żołnierzy, a ci jakoś się wyłgiwali. Niespodziewanie Pniak poczuł do Rickera odrobinę sympatii.

– ...a zatem wasza świątobliwość – ciągnął Maska jakby ślepy na detale – po rozmowie z oficerami *Eliasz* pozwalam sobie wydedukować, że *Ogród* byłby skłonny, naturalnie przekonawszy się o czystości naszych intencji, udzielić nam azyłu wśród statków floty.

– Musielibyście porzucić wasz przekłety, grzeszny statek!

– Tak podejrzewałem. Wasza świątobliwość, to nadzwyczaj hojna oferta. Niestety, nie możemy tak po prostu na nią przystać. Jakkolwiek bardzo byśmy chcieli.

Pniak by nie chciał, na przykład. Podobnie, miał wrażenie, ten reporter, Kaler jakistam, którego rozbiegane, wytrzeszczone oczy omal nie wyskakiwały z orbit. Wyglądał, jakby był chory. Dopiero po chwili do Pniaka dotarło, że facet musiał przemycić w oku kamerę i teraz filmuje, co się da. Ależ menda! Pozostawało mieć nadzieję, że nie wpakuje ich tym w jakąś kabałę. A skoro wszystko było rejestrowane, tym lepiej było się więcj nie odzywać.

„Jego świątobliwość” nie należał do wybitnych pokerzystów. Rozczarowanie malujące się na jego twarzy było aż nadto widoczne. Opanował się jednak jakoś.

– Ciężko jest zejść z drogi szatana – oznajmił łagodnie. – Jest łatwa i ofiarowuje fałszywe dary. Droga Pana wymaga poświęceń. Ale nagroda, jaka czeka na wiernych... na prawdziwych wiernych, godna jest wysiłku i wyrzeczeń.

– To wszystko prawda, wasza świątobliwość. – Czy Pniakowi się wydawało, czy mag się ukłonił? – I wiem, jak wiele trudu czeka tych, którzy chcą odrzucić fałszywych proroków. Kłopot jednak nie w naszych pragnieniach czy w wytrwałości, a w zaciętości demonów.

– Kuszą was! – domyślił się Adam. – Nawołują! Ukazują złudne cuda!

– Niezupełnie. – Tym razem Pniak by przysiągł, że w głosie maga usłyszał cień bardzo wrednego uśmiechu. – Oczywiście wasza świątobliwość ma rację. Pokusy przekłętego świata są wielkie i trudno stawić im opór. Nie w tym jednak rzecz, że demony nas kuszą, pasterzu. Kłopot w tym, że one nas ścigają.

– Ścigają? – nie zrozumiał Adam. – W jakim sensie?

– W dosłownym, obawiam się. Wasza świątobliwość.

Teraz Pniak był już pewien, że Maska się uśmiechał.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie – oznajmił Pies na pokładzie statku Włodzimierza. Opuścili już jego kabinę i znów szli zaludnianym przez karły korytarzem. Pies rzucił okiem na Irinę, by przekonać się, że wciąż ma ona dość posepny wyraz twarzy. Ani trochę nie podobały jej się pomysły Włodzimierza. – Nie mam żadnych uprawnień. Jestem tylko żołnierzem. Prostym żołnierzem. Porwałeś niewłaściwe osoby.

– Nic to! – Dla odmiany Włodzimierz zdawał się nie tracić dobrego samopoczucia. – Wy przedstawicie moje przesłanie właściwym osobom. Chodzi o to, żebyście przedstawili je odpowiednio. Na pytanie, czy cię przekonałem, możesz chyba odpowiedzieć, nie?

Mógł, to prawda, ale czy powinien? Pomysły Włodzimierza nie wzbudzały zaufania Psa. Nie znaczy to jednak, że nie przemawiały do jego wyobraźni.

Wiedzieli już z Iriną, skąd się wzięli wierni. To też im się nie podobało.

Kiedy ludzie wyznający odchodzące w zapomnienie ziemskie religie zjednoczyli się pod logo XXIV Kompanii Eksploracyjnej, wykupili planetę, zastrzegając przy okazji prawo do pierwosziedlenia w całym jej systemie, po czym rozpoczęli budowę floty, by podjąć najbardziej szaloną wyprawę ery innergetyki, przyłączyli się do nich także ci, którym nie do końca było z nimi po drodze. Radykałowie, zbyt słabi, by podjąć podobną próbę samodzielnie, przekonani jednak o swych racjach i gotowi na chwilowe kompromisy. Przystali na warunki nowej Kompanii, podpisali stosowne umowy, a po cichu szykowali przewrót. I kiedy grafiki dyżurów na kilku statkach zgodnie z ułożonym wieki wcześniej planem zgrały się tak, że służbę pełnili przede wszystkim ich ludzie, opanowali je i wprowadzili własne porządki, rozpoczynając tym samym konflikt w Powolnej Flocie.

– Na początku to była nawet wojna – tłumaczył Włodzimierz. – Bo gdy tamci zorientowali się w końcu, co się dzieje, chcieli odzyskać kontrolę. No, ale przez dłuższy – naprawdę długi – czas nie mieli o niczym pojęcia. Nasza sytuacja jest wprost stworzona do konspiracji. Równie dobrze na pozostałych okrętach mogli przeprowadzić własne przewroty, a nam wciąż wciskają kit przez radio. To by dopiero było coś, nie? – Mrugnął porozumiewawczo.

– *Eliasz i Ogród* sprawiają wrażenie, jakby wszystko na nich było po staremu – ostudził jego zapał Pies.

– Ach, to bastiony ortodoksów! Tam to wiadomo, że nic się nie zmieni. A po prawdzie, to my wiemy, jak tam jest, odwiedzamy ich czasem.

– Odwiedzacie?

– Jak teraz, gdy wpadliśmy po was, przyjaciele! Wiecie, utrzymanie naszej społeczności wiele

kosztuje, nie dalibyśmy rady z własnymi zasobami. Filtry działają u nas na pełnych obrotach. Wody, choć pozostaje w obiegu zamkniętym, też zabraknie, nim dotrzemy do celu. Nawet energii nam nie wystarczy. Dlatego odwiedzamy ich między wachtami i zabieramy to, czego mają w nadmiarze.

– W nadmiarze?

– U nich wszyscy w anabiozie, przyjacielu! Ograniczają pobór energii do minimum, wody, żywności i części zapasowych też mają więcej, niż im potrzeba. Naprawdę olbrzymie rezerwy! I po co im to? Jak doleczą na Nowe Jeruzalem, wszystko już tam będzie, zadba o to demon. A my nie przeżyjemy bez tych ich dobrowolnych darowizn. No i z nimi – Włodzimierz zmarnkował – po prawdzie też nie. Dlatego potrzebna nam wasza pomoc.

Włodzimierz i jego żołnierze stanowili wyjątek wśród wiernych. Oni jedyjni uzyskali dyspensę na używanie anabiozy. Dzięki temu uniknęli degeneracji, jaką dotknęła kolejne pokolenia żyjących na pokładach statków.

Śluchając Włodzimierza, Pies się zastanawiał, na ile anabioza pozwalająca przyglądać się pokoleniom wiernych odmieniła sposób jego myślenia. Zdaniem Psa grupa Włodzimierza mogła mieć już bardzo mało wspólnego z obecnym pokoleniem wiernych. Chętnie porozmawiałby z małymi ludźmi, Włodzimierz bardzo jednak dbał, by nie doszło do mogącego zaowocować dłuższą rozmową spotkania.

– Sami widzicie, jak to wygląda, przyjaciele. – Zaprowadzono ich do hangaru przerobionego na coś w rodzaju pola uprawnego. Psu znów nie udało się rozpoznać rodzaju zboża, które właśnie zbierali rolnicy. – Jak skarleli nasi wierni! Wszyscy mali, pokurczeni. Żyją coraz krócej i mają kości kruche jak zapalki. Wiecie, co to zapalki? Ano właśnie. Nawet jeśli starczyłoby nam zasobów do końca podróży, na Nowe Jeruzalem dotrą same kaleki niezdolne do życia na planecie. I wierni przepadną, nasza wiara przepadnie, wszystko przepadnie.

– Ty dasz sobie radę – zauważył Pies.

– Sam? Z tymi kilkoma ludźmi? Urządzą mi na miejscu pokazowy proces i w najlepszym wypadku spędzę resztę życia w kamieniołomach albo czymś takim. Ale co tam ja, przyjaciele, co tam ja! – Włodzimierz spuścił skromnie oczy i zaraz je otarł, jakby chcąc pozbyć się łez, które tak niemęsko objawiły jego wzruszenie. – Tu naród ginie! Wiara ginie!

Dotarli do dziwnego budynku. Niewielki, przypominający Psu koślawą szopę wzniesioną przez kogoś nieposiadającego najmniejszego choćby pojęcia o podstawach budownictwa, zbudowany był – na pierwszy rzut oka – bez użycia elementów pochodzących z konstrukcji statku.

– To cegły? Zbudowali to z cegieł?

– Nie pytaj mnie, z czego powstawały – znów rozeźbiał się Włodzimierz. – Tam, przyjaciele, czeka na was nasza rada wiernych. Jedyjni ludzie, którzy tu rządzą i władni są podejmować

decyzje. Pamiętajcie, jak się umawialiśmy, prawda? Dla ich dobra.

Pies i Irina wymienili spojrzenia. „Dla ich dobra”.

„Dla dobra wiernych” i przebudzonych kolonistów, którzy do wiernych należeć nie planowali, Włodzimierz i jego towarzysze ogłosili, że większa część floty uległa zagładzie, a pozostali muszą dołożyć wszelkich starań, by utrzymać przy życiu jej resztki. Teraz „dla dobra wiernych” Włodzimierz okłamywał małych ludzi co do rzeczywistego czasu podróży, dzięki czemu wierzyli, że dotrą do celu już niedługo, może nawet w tym pokoleniu.

– Posłuchaj, przyjacielu – tłumaczył Włodzimierz, gdy spotkał się z oporem Psa. – To dla ich dobra. Oni wierzą, że jeśli skorzystają z napędu innergetycznego, splamią nieodwołalnie swoje dusze. Ale w tych warunkach zginą wszyscy. Więc ja, przyjacielu, ja wezmę ten grzech na swoje sumienie, jak wzięłem i poprzedni. A czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Wy ich podrzucicie, oni uwierzą, że lecieli tyle, ile trzeba, a innych nie ma, bo przypadli, jak już im powiedzieliśmy. I nikt nie będzie niezadowolony.

– Poza resztą floty, która dotrze na już zaludnioną planetę – zauważyła Irina.

– A bo to nas tyle, żeby zaludnić cały glob? – Włodzimierz się roześmiał. – Ledwie nas na jaki jeden kontynent starczy! A ludzie przeżyją. I będą niewinni we własnych oczach, a i w oczach Boga także, bo to ja na siebie wezmę. Taką dola, cóż. Taką dola.

Wszystko to nie podobało się Psu. Postanowił jednak poczekać z decyzją do rozmowy z radą wiernych. Zresztą – z jaką decyzją? Co on miał tu do gadania? Mógł jedynie poprzeć prośbę Włodzimierza do Maski lub nie. A mag pewnie i tak podjąłby decyzję zgodnie z własnymi planami.

Musieli się schylić, by zmieścić się w drzwiach chaty rady. Szczególnie dla Iriny było to niewygodne. W ciasnym przejściu oparła się o Psa.

– Nasi już cumują po cichu – szepnęła. – Mogą być tu lada chwila.

– Niech poczekają. Chcę wiedzieć, co tu się dzieje.

4

Rachuba nie mógł sobie znaleźć miejsca na *Merlinie*. Nie ciągnęło go do kundli, odkąd te po bójce zakolegowały się z Psem. Próbował rozmawiać z magiem, ten jednak siedział w swojej kabinie i medytował nie wiadomo nad czym. Rachuba żywił jeszcze nadzieję, że pomoże mu ponownie

skontaktować się z Mają, mag burknął jednak, że i tak już dużo ryzykowali i nie ma sensu narażać się bardziej.

Dla Rachuby jak najbardziej był sens. Ale jego uczucia nie stanowiły argumentu dla maga.

Nie wytrzymał, siedząc w kabinie. Ganiał więc po okręcie i poznawał wszystkie jego dostępne zakamarki, aż wreszcie kundle zwróciły na to uwagę zastępującemu Maskę pierwszemu oficerowi i Rachuba wyładował na dywaniku.

Pierwszy raz znalazł się w oficerskiej kabinie. Odruchowo, lecz dyskretnie rozglądnął się więc, sprawdzając, czy coś w niej nadawałoby się do ewentualnego spieniężenia na czarnym rynku. Ku swemu rozczarowaniu odkrył, że Łuka Grode, pierwszy na *Merlinie*, podobnie jak większość kundli, przejawiał skłonność do przesadnej, surowej wręcz oszczędności. Kabina raniła oczy Rachuby prostotą i zgrzebnością wyposażenia. Nie tak to sobie wyobrażał.

– Myślujecie po moim okręcie – zainicjował rozmowę Grode, nie odrywając wzroku od wyświetlanego wykresu, który obracał w rękach.

Rachuba wolał nie odpowiadać, że robi to z nudów. Z doświadczenia wiedział, że najpewniej skłóczyłoby się to przydzieleniem mu jakiejś roboty.

– Zwiedzam – oświadczył więc buńczucznie. – Podobno mi wolno, nie? – Uznał, że nie zaszkodzi pochlebstwo, dodał więc prędko: – Ten *Merlin* to kawał statku, nie to co te nasze, na których żem latał. Panie kapitanie.

– Okrętu. To okręt, legionisto, nie statek

– A! – zdziwił się demonstracyjnie Rachuba. – No, chyba że tak! Pierwszy raz żem jest na takim pięknym okręcie! Kawał okrętu, panie kapitanie!

– Słuchajcie, Rachuba, tak? Nie zwiedzajcie więcej, dobrze? Znajdźcie sobie coś do roboty albo ja wam coś znajdę. Zrozumieliśmy się?

– A to wolno tak z jeńcami, panie kapitanie? A to nie ma jakich konwencji na to?

– Wy nie jesteście jeńcem, Rachuba. Jesteście gościem, sojusznikiem, tak? Żadna konwencja nie mówi nic o zapraszaniu gości i sojuszników do pomocy przy na przykład sprzątaniu hangaru.

Niespodziewanie dla samego siebie Rachuba uznał, że musi to rozważyć. Normalnie, zgodnie ze swoim zwyczajem i naturą, migałby się od każdej, najdrobniejszej choćby roboty. Tym razem jednak sytuacja była inna. Naprawdę się nudził. Potwornie, okrutnie nudził. I bzikował od samotności i myślenia o Mai. A teraz jeszcze ten kundel chciał mu zakazać ostatniej rozrywki.

– Melduję, panie kapitanie, że bardzo chętnie pomogę swoim gospodarzom i sojusznikom w sprzątaniu hangaru albo co innego pan dla mnie wymyśli, panie kapitanie! – wyrecytował więc i po raz pierwszy skłonił tym Grode'a do oderwania wzroku od wykresu.

Pierwszy przyglądał mu się dłuższą chwilę.

– Wy coś kombinujecie, Rachuba – ocenił wreszcie. – Znam takich jak wy. Nawet wśród nas

znajdzie się taki.

– Melduję, że się nudzę! – wyrzucił z siebie pospiesznie Rachuba, w desperacji chwytając się najostatniejszej deski ratunku, jaką w jego mniemaniu była prawie całkowita szczerłość. – Nudzę się jak cholera, panie kapitanie! Wariuję z nudów! Jakby mi pan kapitan kazał pomalować ten st... okręt, znaczy się, od zewnątrz, to by to dla mnie było lepsze niż ta nuda!

Prawie całkowita szczerłość okazała się skutecznym sposobem. Grode musiał wprawdzie zastanowić się przez chwilę, a potem rzeczywiście przydzielił Rachubę do sprzątnania dwóch hangarów. Oba wiedzieli, że praca ta ma umiarkowany sens i sprowadza się raczej do utrzymywania dyscypliny niż dbania o porządek prawie sterylnych pomieszczeń, jednak Rachuba przyjął ofertę z wdzięcznością.

Wychodząc z kajuty oficera, zastanawiał się przede wszystkim nad tym, kim może być ów „taki jak on” pośród kundli. Dobrze by było nawiązać z takim kontaktem, uznał.

Los albo może któryś z bogów musiał czuwać nad Rachubą, bo mu się udało. Pod koniec „dnia”, gdy ekipy zwiadowcze wciąż przebywały na pokładach Powolnej Floty, co wiązało się z jakimiś komplikacjami, których nikt nie kwapił się Rachubie przybliżyć, znalazł ową czarną owcę wśród kundli.

Najpierw go usłyszał.

Prawdę mówiąc, Rachuby nie powinno już być w hangarze, codzienne sprzątnanie zostało zakończone. Żołnierz, korzystając z nowych uprawnień, które normalnie traktowałby jak przykre obowiązki, został jednak dłużej i choć zgaszono już główne światła, myślał wciąż, usiłując znaleźć coś, co mogłoby mu się przydać. Nagle wyłowił dźwięk otwieranych drzwi. Skulił się i przyczaił zupełnie odruchowo.

Do tej pory wspomagał się niewielką latarką, którą zorganizował sobie kiedyś jeszcze na statku floty Cesarskich, a której kundle mu nie odebrały. Teraz zgasił ją na wszelki wypadek. W mroku nie był w stanie rozpoznać sylwetki. Czy to pieprzony oficer przyszedł go sprawdzić? A może jakieś kundle wybrały sobie akurat jego, Rachuby, hangar na potajemną schadzkę? Mają tu baby w wojsku, to pewnie i coś tam między nimi buzuje, nie może być inaczej.

Rachuba zastanawiał się czasem – odkąd się dowiedział, że u kundli służą kobiety – jak by to było, gdyby dopuścić je do służby w normalnym cesarskim wojsku, i nie mógł się zdecydować, czy byłoby to lepsze, czy gorsze. Z jednej strony pewnie można by poużywać. Z drugiej najpewniej wprowadziłyby w wojsku swoje hyziovate zwyczaje związane ze sprzątnaniem, krzywiłyby się fałszywie na zdrową żołnierską mowę i w ogóle zrobiłyby z siebie pępek świata, stając się nieomal drugimi oficerami. A tak jak Rachuba kobiety lubił, tak za oficerami nie

przepadał.

No i Maja pewnie byłaby zazdrosna, śliczna jego piekielnica! Tak zazdrosna, że pewnie sama by się zaciągnęła, żeby mieć oko na swojego żołnierza. A to by się Rachubie, przy całej do Mai miłości, raczej nie spodobało. Uczucie uczuciem, ale lepiej czasem od siebie nawzajem poodpoczywać. I pewnie liczyłyby mu browary. I prała mundur, a przecież każdy wie, że trochę przybrudzony mundur lepiej chroni niż taki czyściutki, że aż lśniący.

Porzucił te daremne rozważania, tym chętniej, że znów przypomniały mu o Mai. Starając się poruszać bezszelestnie, dotarł do najbliższego kontenera i schował się za nim.

Chwilę później drzwi zazgrzytały ponownie i do hangaru zawitał nowy gość. Jednak Rachuba nie zdążył się jeszcze nacieszyć rolą podglądacza spragnionej intymności parki, gdy przybysze wymienili pozdrowienia i okazało się, że oba głosy należą do mężczyzn.

– Czemu tu? – zapytał ten, który wydał się Rachubie znajomy.

– Nie ma tu nic cennego, nic interesującego. Sprzątają to największe ciamajdy, a oni skończyli pracę pół godziny temu. Nikt tu nie zagładnie.

Nic ciekawego! – powtórzył w duchu Rachuba. Nic cennego! Więc dlatego dostał tu przydział! Największe ciamajdy? Oj, zapamięta sobie pana pierwszego oficera!

Nie żeby mógł mu zrobić więcej, niż obsmarować w pamiętnikach. Gdyby postanowił kiedykolwiek takowe napisać. Rozważał i taką możliwość. „Moje przygody ze Szkarłatną Maską, przeokropnym magikiem i piratem” powinny się nieźle sprzedawać. Mógłby się nawet podzielić zyskiem z Psem, gdyby ten zgodził się zapisywać to, co by mu dyktował. A może ktoś nakręciłby o tym epopeję?

– Zastanowiłeś się? – zapytał znajomy głos.

– Ciągle się zastanawiam, panie magik Czemu ja?

– A ktoś jeszcze jest tu równie przedsiębiorczy?

– No, nie. – Duchowy brat Rachuby uśmiechnął się. – Reszta to raczej wybrakowane egzemplarze.

– Zauważyłem. Więc jak?

– Dostanę boski kredyt, tak?

– Gwarantowałem.

– No to zagwarantuj mi to, magu, czymś więcej niż słowem. Mam tu taki drobiazg, prawnikator. Co na nim zapisane, ma moc prawną. Znasz to, cesarska produkcja. Wahasz się, panie magik?

– Skąd mam wiedzieć, że nie chcesz mieć na mnie haka?

– Haka? Ja? Taki porządny chłopak? Słuchaj, panie magik, wiecie wy, gdzie jesteśmy? Na *Merlinie* jesteśmy, okręcie flagowym Maski, pana naszego i stwórcy. A ja jestem jego dziecko,

kundel. A wy jesteście, panie magik, sługa cesarski, obcy. Ja nie potrzebuję na was haka. Wystarczy, że zamelduję, żeście ze mną rozmawiali i przedstawialiście mi bardzo nieładne propozycje. Wy sobie będziecie mogli zaprzeczać, ale ja jestem kundel, a tutaj to bardzo zaszczytne miano. I tak was, panie magik, nasz pan i stwórca przemagluje, że wam żadne sprytne blokady i zasłony nie pomogą. Będzie wiedział, żeście szpieg i sabotaży sta. Więc na co mi hak? A gwarancja, i owszem, mi się przyda, żebyście mnie, kundla, wyrodka, odmieńca, nie kłpnęli w dupę, jak już będzie po wszystkim. Kumasz pan, panie magik?

– Rozumiem. Dawaj to.

– Bardzo pięknie, uniżenie dziękuję. Teraśmy już przy jaciele. Czego chcecie?

– *Merlin*, jak przyjdzie co do czego, ma być niezdolny do walki. A najlepiej, żebyś mnie wprowadził do silników, żebym je też mógł unieruchomić.

– A sam nie mógłbym tego zrobić? Prościej by było.

– Znasz się na innergetyce?

– Ano nie. Dobra, spróbujemy. Ale tak całkiem bezbronnym to ja *Merlina* nie uczynię. Sam, ani nawet z wami, panie magik, nie podolam. Ci wasi mi nie pomogą?

– Z nich są zaufani sojusznicy Maski, o niczym innym nie wiedzą. Zrobisz, co możesz. Te silniki ważne.

– Da się zrobić, tak myślę. Ile mamy czasu?

– Niewiele. Flota już gotowa, mogą tu być w każdej chwili. Czekamy, co będzie z tym odkryciem Maski. Jaksprawa będzie jasna, uderzymy. I zostaniesz ostatnim z kundli.

– No, nie takim ostatnim! – zachnął się kundel. – Żeście mi kobietę obiecali.

– Z twoimi pieniędzmi będziesz mógł mieć wiele kobiet.

– Tą chcę!

– Dobra. Będzie z was para ostatnich kundli. Zadowolony?

– Jak w niebie, szefie. To dasz mi znać, panie mag?

– Tak będzie.

Gdy wyszli, zachowując kilkunastominutowy odstęp, jak w taniej epopei szpiegowskiej, Rachuba długo jeszcze siedział schowany za kontenerem. Gniew na pierwszego oficera całkiem z niego uszedł. Z Pniakiem i Psem nie było już tak prosto – bardziej mu zawinili. Poczł jednak satysfakcję na myśl, że ci dwaj będą mu winni wdzięczność za ratunek.

Ale przede wszystkim wszelkie inne złości przytłumił gniew na maga. Jakże oszukał go ten lajdak! Szuja! Pewnie nawet nie wysłał wiadomości Mai! Zwodził go od samego początku!

I tak Rachuba spędził jeszcze pół godziny za kontenerem, oddając się czynności, za którą wcale nie przepadał – snuł rozważania nad istotą zdrady, stanowiącej najwyraźniej nieodłączną część polityki. Oraz zastanawiał się, co począć z tą nową wiedzą.

Aż nagle zorientował się, że usiłując podjąć decyzję, nie myśli już tak bardzo o sobie, ale o Mai. Jakby przestał być sam dla siebie najważniejszą osobą; w jego życiu zdanie kogoś innego teraz liczyło się bardziej. Bo najważniejsze kryterium, ważące na wszystkim, wyrażała prosta, trochę niespodziewana, a trochę oczywista myśl: „Co powiedziałyby Maja na moją decyzję?”.

Rozdział 19

1

Zdążyli w ostatniej chwili. Już spadały z nieba posępnie czarne barki desantowe opatrzone krwawoczerwonymi godłami oddziałów zwiadowczych Czarnych. I tak szczelna blokada na orbicie zamykała się ostatecznie, wszystkie nadajniki ponaglały ogłoszeniem stanu ósmego. Stan ósmy! W czasie wojny oznaczał dodatkowe zagrożenie wewnętrzne. Tak można było oznajmić bunt w armii albo wybuch wojny domowej.

Tyle że już trwała wojna domowa. A właściwie dopiero co dobiegła końca. Co się mogło stać?

Szczurzem Zadowi przychodziło do głowy aż nazbyt wiele możliwości. Wolałby jednak, by nie spełniła się żadna z nich. Doszedł do wniosku, że może stanowić jeden z celów dla Czarnych, którzy właśnie wyskakowali ze swoich barek, szybko i pewnie obejmując w posiadanie lądowisko. Setnik uznał, że lepiej nie czekać, aż przyciągnie ich uwagę. Wsiadł na odziedziczoną po detektywie pchełkę i ruszył w kierunku obozu swojego legionu.

Spaszoff zawrócił go o krok przed wolnością. Wsiadł na pokład barki mającej zabrać go z tej przeklętej planety i unieść na poszukiwanie Pniaka, kiedy generał wezwał go przez komunikator.

– Wszystko się zmieniło – warknął. – Jesteś tu niezbędny. Odwołuję wszystkie poprzednie rozkazy. Wracasz.

– Co się zmieniło? – stęknął setnik. Wcale nie miał ochoty zostawać. Wprawdzie nigdy nie kusiły go przestrzenie, dostawał mdłości od innergetyki i lubił czuć grunt pod nogami, jednak akurat planety Irlium miał serdecznie dość.

– Wszystko – powtórzył generał. – Wyjaśnię ci na miejscu. Teraz rusz dupę, póki jeszcze możesz.

Także tajemniczy przewoźnik detektywa musiał o czymś wiedzieć, wyraźnie się niecierpliwił i poganiał setnika.

– Zostaję – ogłosił Szczurzy Zad. – Konieczność. Goryl?

Reporter się zawahał. Wyczuł, że dzieje się coś interesującego, instynkt podpowiadał mu jednak, że niebiosa oferują równie dobry temat. Ostatecznie zdecydowało poczucie obowiązku wobec Mai. Poleciał. A setniksamotnie, wy-ciskając z pchełki, ile się dało, gnał ku obozowi.

Gdy dotarł na miejsce, legionści już prawie skończyli jego demontaż. Wyglądało na to, że Spaszoff zarządził natychmiastową ewakuację. Czyżby Czarni przylecieli ich złuzować, a Obywatelscy mieli zostać wysłani na jakąś inną planetę? Do domu? Takie tłumaczenie byłoby wygodne, ale mało prawdopodobne, zwłaszcza wobec generalskiej gorączki.

Spaszoffa zastał w otoczeniu najbardziej zaufanych oficerów. Brakowało tych pochodzących ze świeżych uzupełnień.

– Jesteś nareszcie – burknął generał przyglądający mu się zza półprzezroczystej mapy jaśniejącej łagodnie w powietrzu. Szczurzy Zad poczuł niepokój, rozpoznając aktualne plany ruin stolicy. – Jedynka i Trójka zajmą dzielnicę czwartą. Jedynka ulokuje się w ruinach katedry, znacie już tamte podziemia. Zwiadowcy meldują, że wybuch nie uszkodził ich zbytnio, w razie czego będziecie mogli się tam zabarykadować i przemieszczać nimi pod prawie całą dzielnicą. Trójka, do was należy kwartał piąty.

– Tamte ulice są wymiecione na gładko – zaprotestował setnik Hollaer, starszy facet o krótkiej, zupełnie siwej bródce. – Nie ma gdzie się kryć, jakby co.

– Okopiecie się. Jakoś. Macie sporo gruzu, z którym możecie coś wykombinować. Pozostali, wyjąwszy spóźnionego Aleborna, znajdują już swoje pozycje. Do roboty, panowie! Za godzinę nie chcę tu widzieć ani jednego człowieka! Aleborn, chodź tu! Dobra, bierzesz to, co zostało z Czwórki... ilu to będzie?

– Czterdziestu dwóch ludzi.

– Nie za dużo. Przemkniesz przez miasto i wycofasz do wzgórza za nim. Znasz je, robiliście tam patrole, nie?

– Taaa... Pniakto robił. I Schellen. Z dziesiątki tego drugiego zostało nawet dwóch chłopaków.

– Dam ci przewodników spośród jeńców. Nie płacz mi tutaj, wszyscy mają tak samo! Idziesz na te wzgórza, możliwie wysoko. Są tam, zdaje się, jakieś jaskinie. Im mniej cię będzie widać, tym lepiej. Masz się tam przyczaić i nosa nie wystawiać. Czekaś na rozkazy. Chyba że nie przyjdą, a robi się gorąco, wtedy sam decydujesz, kto bardziej potrzebuje twojego wsparcia.

– Co się dzieje?

– Zabili Grouchona. Leży w śpiączce i pewnie z niej nie wyjdzie. W dniu triumfu, zaraz po jego zakończeniu, cholera.

– Kto?

– Wychodzi na to, że my. Dosłownie to jego kochana żona, tak mówią. Ale ktoś za nią stał. I tym kimś mogliśmy być my.

– A niby po co?

– Ty się mnie nie pytaj, bo nie wiem. Wiem, co mi powiedzieli w sztabie. A powiedzieli, że mam spieszać na nowe pozycje, zanim Cesarscy nas rozbroją i pozamykają. Więc spieszaj na te wzgórza i siedź tam jak mysz pod miotłą.

– Oleg...

– Weź mi nie Oleguj. Nic ci nie powiem, bo nie wiem! Może to taki chwyt, żeby udupić Legiony Obywatelskie? A może ta cała nasza konspira była bardziej gówniana, niż nam się wydawało? Spieszaj na wzgórza, mówię ci. Oficjalnie szukasz tam niedobitków.

– Będzie następna wojna?

– Nie będzie. Myślisz, że po co przysłali tu połowę Czarnych z całych Przestrzeni? Po co jeszcze domknęli blokadę? Rozwałą nas tu i wyciszą sprawę. Albo przytrzymają, rozwałą generalicję, a nas rozwiążą. Albo cholera wie co. Chcesz jeszcze pofilozofować czy weźmiesz się do roboty?

– Odmeldowuję się, generale. Uważaj na siebie, Oleg. Chciałbym się z tobą upić na emeryturze.

– Spieszaj, Aleborn.

Spieszył. Wsiadł na jeszcze ciepłą pchełkę i pognał do swoich. Na miejscu przekonał się, że już ich uprzedzono, właśnie kończyli składać obóz.

– Szarak! – ryknął. – Znasz rozkazy?

Młody dziesiątnik dotarł do niego w kilku susach.

– Oficjalnie wiemy tylko, że mamy się zbierać. Nieoficjalnie przewodnicy już tu są. Trzech tubylców, jeńcy i jeden ćwok z Perełki. Kurdupel Jo, pewnie go znasz.

– Kurdupel?

– Mówi, że zna te wzgórza jak własną kieszeń.

– Pewnie, że zna. I założył się, że ma tam pochowaną połowę swojej kontrabandy. Zgłosił się na ochotnika, co?

– Tak jest! – Szarak się wyszczerzył, najwyraźniej snując już plany dotyczące zbiorów Kurdupla. – Co teraz?

– Zwołaj mi tu dziesiątników. Reszta niech się uwija z robotą, jakby cały sztab miał tu stanąć na inspekcję.

Zastanawiał się, czy obecność Kurdupła przyniesie im więcej szkody czy pożytku. Pasożyt potrafił być przydatny, jednak równie dobrze mógł ich szpiegować, sprzedałby własne jaja, gdyby udało mu się wytargować za nie dobrą cenę. Niemniej jego kryjówki mogły się okazać więcej niż użyteczne.

– Jest tak – zaczął wyjaśniać swoim dziesiętnikom, ledwie połączył się z nimi na kodowanej wewnętrznej linii – nie wiemy, na czym stoimy. Cesarz przysłał tu Czarnych i chyba ma do nas jakieś pretensje. Dlatego się przenosimy. To decyzja samej góry, nie pytajcie mnie, skąd się wzięła. Chowamy się na wzgórzach i czekamy, aż się powyjaśnią. Mamy czterech przewodników i cztery dziesiątki i tak się porozrzucamy po okolicy. Po drodze zdecydujemy o szczegółach. Wyruszamy natychmiast. Pytania?

– To prawda, że marszałek nie żyje? – zapytał Surewicz z pierwszej dziesiątki.

– Prawda. Stąd zamieszanie.

– Myśla, że to my? – Dziesiętnicy byli wyraźnie zaszokowani samym podejrzeniem.

– Bogowie ich wiedzą, co myśla, żołnierzu. Jeszcze coś?

Nawet jeżeli chcieli coś powiedzieć, zatrzymali to dla siebie. Zwolnił ich i poszedł zebrać swoje rzeczy. Nie było ich wiele – plecak, karabin – tyle. Jego broję załadowano już na transporter. Zastanawiał się, czy nie powinni raczej wyruszyć w pełnym rynsztunku, uznał jednak, że tylko podenerwowałby tym i zmęczył żołnierzy. Gdyby mieli ich zaatakować, Spasoff by go uprzedził. Chyba.

Zresztą nie ma co mnożyć źródeł energii. I tak zbyt łatwo będzie ich znaleźć.

– Gotowi? – ryknął na żołnierzy. – Ruszamy! Szarak, twoja prowadzi! Otto, ubezpieczasz. Kurdupel Jo, przy jacielu, złaż z wojskowego wozu i chodź no do mnie! Pogadamy po drodze!

2

Najpierw ważki przemknęły niemal bezgłośnie nad lasem, prawie niewidoczne na tle nocy, uzbrojone też w instrumenty zabezpieczające je przed radarami. Zatoczyły koło nad polaną, zaraz potem drugie. Wreszcie zanurkowały ku niej, zawisły dwa metry nad ziemią i zaraz wyspały się z nich dziesiątki czarnych postaci. Uwolnione od ciężaru żołnierzy pojazdy uniosły się natychmiast ku niebu, zataczając pod nim kręgi i strzegąc zwiadu.

Czarni, w przeciwieństwie do Legionów – a podobnie jak Służba – zachowali szarżę sprzed

reformy cesarskiej. Początkowo decyzja ta napotkała opór generalicji upatrującej w niej podkreślenia niezależności i tak już drażniącego ich rodzaju wojsk Dowódcy jednostek specjalnych uparli się jednak, argumentując, że specyfika działań Samodzielnych Oddziałów Interwencji, jak oficjalnie się nazywali, jest na tyle różna od legionowej, że wymaga odmiennej struktury i organizacji. Naturalnie jedni i drudzy zdawali sobie sprawę, iż chodzi przede wszystkim o podkreślenie elitarności SOI, oficjalnie liczyły się jednak rzeczowe, nawet jeśli pobrzmiewające fałszem argumenty.

Porucznik Mausen był z takiego układu raczej zadowolony. Początkowo służył w VII Legionie Wspólnych Przestrzeni i do dziś zapamiętał panujący tam bałagan, wynikający jego zdaniem także z niedopasowania szarż do nowoczesnej armii. Cała ta nomenklatura z dziesiątnikami i setnikami zdawała może egzamin w czasach starożytnych, ale nawet w późnym okresie przedinnergetycznym była już przestarzała.

Utrzymywanie armii opartej na licznych legionach wydawało się Mausenowi pozbawione sensu. To nie masy wygrywały wojny, ale małe, za to doskonale wyszkolone i wyekwipowane oddziały wspierane nowoczesnym uzbrojeniem. Przy ostrzale z orbity i wspomaganie floty powietrznej obecność olbrzymich armii była tylko kosztownym kaprysem. I tak, gdy wielkie masy ludzkie w uniformach docierały wreszcie do celów, zwykle się okazało, że teren znajduje się już pod kontrolą jednostek specjalnych i zwiadu oraz wspierających ich stosunkowo niewielkich, ale mobilnych oddziałów. Rozumieli to nawet półamatorzy z Legionów Obywatelskich, którzy pozostając wierni nomenklaturze, opierali jednak działania przede wszystkim na setniach i dziesiątkach. Legiony Cesarskie nadawały się od biedy do odgrywania roli sił okupacyjnych i z pewnością wyglądały imponująco podczas parad, bitwy wygrywali jednak Obywatelscy, a wojny Czarni. I niech otchłań pochłonie duszę Mausena, jeśli było inaczej!

Nawet przekłęty Maska zdawał sobie z tego sprawę, a generałowie cesarza nie.

Oczywiście cały pomysł z legionami był od samego początku poroniony. No, ale przeprowadzający przewrót prezes, który mianował się pierwszym cesarzem, chciał wzmocnić zdobytą władzę odpowiednimi symbolami. Nawet jeśli ich praktyczne zastosowanie było zerowe.

Mausen nie wierzył w symbole. Owszem, nosił na ramieniu znak karmazynowego węża i nieraz obił mordy tym i owym w jego obronie. To jednak było co innego – dotyczyło honoru jednostki. Nie i dawno już nie brał udziału w tego typu rozrywkach, odłąd awansował.

Podczas gdy jego ludzie, posługujący się kodem „Anakondy”, przeczesywali porzucone obozowisko Obywatelskich, oddział „Żmij” szturmował Perełkę. Tam nie obyło się bez walki, ale Mausen nie zazdrościł „Żmijom”. Bo też co to była za walka! Tłumienie oporu bandy dziwek i alfonsów, nic więcej. Ciekawe, czy chłopaki choć wystrzelili? Może na wiwat po zdobyciu

jakiegoś burdelu.

W miasteczku zastali tylko kilkudziesięciu opierdalaczy z Cesarskich. Z Obywatelskich nie było tam nikogo. To potwierdzało, że Obywatelscy byli gotowi, i sprawiało, że Mausen i jego ludzie zaczęli wierzyć, iż generałowie tej zbieraniny muszą mieć coś za uszami. Nie żeby ta wiara lub jej brak przekładały się jakoś na działania SOI. Oficjalną religią Czarnych była wierność rozkazowi, a ten brzmiał jasno – zneutralizować Legiony Obywatelskie, w miarę możliwości tak bezkrwawo jak tylko się da.

Skoro amatorzy w pośpiechu opuścili obóz, szanse na takie rozwiązanie malały.

Przyjął meldunki dowódców grup. Obrócił się ku kapłanowi, którego im przydzielono. Łysy chudzielec, w irytująco kontrastującej kolorom z mundurami i pancerzami pomarańczowej szacie, siedział pochylony nad sprzętem, który obsługiwało dodatkowo dwóch jego asystentów – wszystko razem zbędne obciążenie dla wałek. Chłopcy Mausena poradziliby sobie ze znalezieniem tropów lepiej i szybciej niż to techno czary-mary. Ale wierchuszka koniecznie chciała wypróbować swoją nową zabawkę, więc nie protestował.

– Macie coś? – zapytał, a gdy kapłan zrobił wyjątkowo przemądrzałą minę i zarzucił go potokiem fachowego słownictwa, uznał, że jak zwykle supernowoczesne innergetyczne badziewie nie zdało się na nic i wszystko będą musieli zrobić sami.

I bardzo dobrze, jego zdaniem. Wolał liczyć na własne, choćby i gołe ręce niż na niebiańskie zastępy. Prawdę mówiąc, porucznik Mausen nie bardzo ufał bogom i ich przedstawicielom. Wiara była rzeczą cenną, nie należało jednak przykładąć do niej przesadnej wagi – tak czy owak, każdy trafiał do swojego nieba. W przypadku „Anakondy” wszyscy mieli spotkać się w tym samym miejscu – cała jednostka nawróciła się na tego samego boga.

Życie po śmierci nie stanowiło problemu, kłopotem była sama śmierć. Mausen nie zamierzał tracić żadnego ze swych ludzi – zbyt dużo kosztowało ich wykształcenie, zbyt wiele czasu trzeba było poświęcić na dotarcie się rekrutów z grupą. Bogowie mogliby okazać się przydatni, gdyby zechcieli, z łaski swojej wiekuste, ofiarować śmiertelnikom jakąś innergetyczną pukawkę. Na to jednak się nie zanosilo.

– Szybki! Kaktus! – wywołał dowódców najlepszych drużyn. – Kapłan spartolił. Macie coś?

– Jest ślad transporterów – zameldował Szybki. – Spieszycie im się, nic nie maskowali.

– Może być zmyłka?

– Może. Przysłali mi dane dowódców. Czekajcie, tu był... jakiś Alerbon. Setnik Teryn Alerbon.

Wysyłam wam jego charakterystykę przygotowaną przez nasze wspaniałe programy psychologiczne.

Roześmiali się. Doskonale wiedzieli, ile to warte. Przygotowane przez programy profile wyglądały ładnie tylko podczas narad i prezentacji. W terenie bardziej się liczył nos zwiadowcy.

Ale w przebiegu służby tamtego mogli coś znaleźć – jego ulubione zagrania, doświadczenie. Jest cwany czy tępy? Służbista czy buntownik, znający jednak wagę dyscypliny i wypracowanych przez pokolenia żołnierzy procedur? Odpowiedzi mogły się kryć we wszystkim. Ale to nie magowie i komputery je znajdują.

– Szybki, Kaktus, studiujcie cel. Pół godziny, potem chcę wyników. Reszta dalej czesać teren. Ja zamelduję staremu o kolejnym sukcesie techniki.

– „Anakonda” wywołuje Cichego Patrona – zameldował łącznościowiec i generał Benton, któremu oferowano to miano także by odróżnić go od Głośnego Patrona, pułkownika Fricksa, nieodmiennie drącego się do mikrofonu, jakby nie wierzył w możliwości sprzętu i próbował dotrzeć do żołnierzy, gdziekolwiek by się znajdowali, mocą jedynie własnego głosu, przyjął meldunek Mausena i nawet nie kłął za bardzo. Podobnie jak podwładni, nie cenił sobie nowoczesnych wynalazków, a już niczego dobrego nie spodziewał się po nowince przywiezionej mu w ostatniej chwili prosto z cesarskich laboratoriów.

– To przełom – ekscytował się kapłan odpowiedzialny za sprzęt, który nie robił zresztą specjalnego wrażenia, ot, komputer sprzężony z nadajnikiem uzbrojonym w fikuśną innergetyczną antenę, tonący w płataninie kabli podłączanych do łysej czaszki kapłana. – Przełom, generale! To wszystko zmieni!

Za każdym razem tak mówili. Kapłani z laboratoriów cesarskich żyli z wymyślania mechanizmów innergetycznych i opracowywania zastosowań dla nich. Egzemplarz, którym uszczęśliwiono Bentona, miał pomóc mu w wyłapaniu partyzantów. Opierał się na starym założeniu, że każdy człowiek posiada jednostkową charakterystykę innergetyczną, po której można go nie tylko zidentyfikować, ale i odnaleźć, gdyby na przykład zaginął. Identyfikacja innergetyczna była w założeniach najskuteczniejsza, biła pod tym względem nawet tę opartą na DNA, którą udawało się oszukiwać. A jednak stosowano ją najrzadziej, być może ze względu na koszty.

Nowa zabawka oferowała możliwość wyszukiwania w realnej przestrzeni, a nie tylko w bazach danych, osób, których specyfikację innergetyczną udawało się uzyskać. W przypadku cywilów całą sprawę utrudniały indywidualne umowy ze świątyniami, żołnierze jednak podawali swoje specyfikacje przy rejestracji, tak więc armia dysponowała właściwymi danymi.

Kapłan przybył do Bentona zaopatrzony w dane wszystkich oficerów i podoficerów Legionów Obywatelskich. Teoretycznie zaraz po uruchomieniu kapłan powinien zlokalizować poszukiwanych. W praktyce się okazało, że jakiegokolwiek tropy utonęły w oceanie innergetycznych szumów, a wynalazek kapłanów nie był w stanie wykryć nawet stojących obok

żołnierzy „Anakondy”. To zresztą Bentonowi akurat się podobało, wołał, aby jego ludzie pozostawiali niewykrywalni.

Przyjął meldunek Mausena, zatwierdził jego decyzje i zaraz musiał decydować, co począć z cywilami wziętymi do niewoli w Perelce. Ostatecznie wysłał tam Fricksa, żeby ten zarządzał odsiewaniem ziarna od plew. Dzięki temu nie tylko mógł odpocząć od wrzasków pułkownika, ale też pozbył się na jakiś czas towarzyszącego mu agenta Służby, który zabrał się z pułkownikiem, by wyrwać dla siebie najbardziej obiecujące kąski. Służba zawsze wołała ufać własnym metodom przesłuchań.

Benton zdawał sobie sprawę, że prócz oficjalnego przedstawiciela Służby w jego otoczeniu musiał znajdować się i zachomikowany agent meldujący Kapitulę o każdym postępkach sojusznika. Generał Czarnych był szpiegowany już wcześniej, musiał się z tym pogodzić i przywykł do tego. Tym razem mogło się jednak okazać, że gra idzie o wyższą stawkę. Musiał wiedzieć, komu może, a komu nie wolno mu zaufać.

Grouchon zabity! Nie przyjaźnili się – ba, przez całą wojnę konkurowali, spierając się bez końca o kompetencje. Przy tym jednak Benton marszałka cenił, tak jak jeden fachowiec może cenić drugiego. Tym bardziej że pomimo wszystkich niesnasek jakoś udawało im się działać wspólnie i wygrać tę cholerną wojnę!

Generała niepokoiło też odkrycie, jak łatwo było zamordować kogoś tak znacznego jak Grouchon, przez jakiś czas drugą osobę w państwie. Kto mógł się porwać na taki czyn? Czy Obywatelscy, jak sugerowały wieloznaczne rozkazy, jakie otrzymał bezpośrednio od tego szmciarza Auberta? Nie wydawało mu się to prawdopodobne. Nie tylko obróciliby w ten sposób przeciwko sobie większość społeczeństwa, rozkochanego w zwycięskim marszałku, ale też pozbawiliby się potencjalnego sojusznika. Benton nie znał wprawdzie przekonań politycznych Grouchona, sądził jednak, że marszałek byłby przychylny raczej generałom niż arystokracji, której część uważał za bandę próżniaków i fajtlap.

Zatem kto? Jacyś buntownicy zemścili się na człowieku, który ich pokonał? Byliby do tego zdolni.

Istniał jeszcze jeden podejrzany. Rozważanie takiej możliwości ocierało się jednak o zdradę.

Służba.

Czy cesarz mógłby chcieć usunąć człowieka, który przy określonym rozwoju wypadków byłby w stanie zagrozić jego autorytetowi? Człowieka, z którym od lat się przyjaźnił i który uratował jego tron, a być może nawet życie? Cóż, takie postępowanie należało do charakteru urzędu, ocenił kwaśno Benton.

Nie mógł sobie pozwolić na takie rozważania. Nie mógł sobie jednak pozwolić i na ich porzucenie.

Lecz najbardziej drażniła Bentona myśl, że nic nie wiedział o możliwości zamachu. Jego służby wywiadowcze zawiodły! Był tak wściekły, że użył ścigacza, by dostać się do okrętu sztabowego Służby, dorwać tam Ugrela i oskarżyć go o sabotowanie przymierza i ukrywanie informacji.

Ugrel sprawił na nim wrażenie autentycznie wstrząśniętego.

– Nigdy! – wyduślił z siebie, gdy Benton przerwał na moment litanie zarzutów. – Nigdy nie pozwolilibyśmy sobie na coś takiego!

Nie chodziło o ukrywanie informacji i obaj dobrze o tym wiedzieli.

– Ale żona! – zawołał Benton. – To wygląda jak niemal klasyczna robota Służby!

– Jak niemal klasyczna spartolona akcja Służby. – Ugrel odzyskiwał panowanie nad sobą. – To nie my. Więcej, ktoś chciał nas zrobić.

Może mówił prawdę, może kłamał. Może nie wiedział o wszystkim, nie należał wszak do Kapituły. Benton nie miał możliwości przebadania go, udał więc, że bierze zapewnienia agenta za dobrą monetę.

Niedługo później otrzymał rozkaz powrotu na Irlum i zneutralizowania stacjonujących tam Obywatelskich. Miał zajmować się pierdołami w rodzaju internowania dotychczasowych towarzyszy broni. A może nie? Przecież Obywatelscy pochowali się, jakby oczekiwali takiej akcji. Byli winni? Ale czy on na ich miejscu postąpiłby inaczej?

Zgłosił się Fricks i wyrzeszczał narzekań, że pieprzony agenciak wpierdala mu się do wszystkiego. Spytał, czy może mu oddać wszystkie dziwki, czy powinien się targować. Benton w pierwszej chwili chciał oddać, szybko jednak doszedł do wniosku, że taka uległość mogłaby się wydać podejrzana. No i chłopcy byliby źli, że nic im nie zostawił. Kazał się więc targować i Fricks aż sapnęła, szczęśliwy z okazji do kolejnej awantury.

Benton i łącznościowiec wymienili rozbawione spojrzenia. Pułkownik jednostek specjalnych i agent Służby wadzili się o prosty tutki. Oto, jak wyglądała końcówka największej wojny w historii Wspólnych Przestrzeni.

Zgłosił się Mausen.

– Cichy Patron, „Anakonda 1”, mamy trop. Tamci zaszyli się na wzgórzach. Proszę o wsparcie, potrzeba będzie więcej ludzi.

– „Anakonda 1”, tu Cichy Patron, przyjąłem. Podeślę wam „Boa” i „Kobrę”. Dotrą w ciągu pół godziny. Czekać na nich. „Anakonda 1”, dowodzisz.

– Przyjąłem, Cichy Patronie. Jest prośba, możecie przy okazji zabrać kapłana? Płacze, że mu się w górach sprzęt popsuje.

– Jest zgoda. Kapłan wraca do domu. Jakies inne kłopoty?

– Cicho i spokojnie. Są nowe rozkazy?

Rozkazy, które otrzymał Benton, mówiły o „pejnym otwarciu” w wypadku, gdyby nie udało się internować Obywatelskich. Oznaczało to, że każdy, kto by się znalazł w zasięgu strzału, mógł być traktowany jako wróg. Na szczęście, dowodząc operacją, Benton dysponował pewnym marginesem swobody w kwestii jej przeprowadzenia.

– Rozkazy nie uległy zmianie – powiedział. – Otwierać ogień tylko w obronie.

– Przyjąłem. Ogień tylko w obronie. Tak jest.

– To wszystko. Bez odbioru.

Trochę się narażam, pomyślał Benton. Ale, bogowie, mam dość strzelania do starych kumpli w imię zagrywek polityków.

– Służba, generale – wezwał go łącznościowiec. – Pułkownik Soko.

Soko był szefem wywiadu Czarnych. Nie odzywał się, jeśli nie miał czegoś ważnego do przekazania.

– Przełącz na wewnętrzną.

Zamknął się w kabinie, uruchomił wszystkie systemy zagłuszające i dopiero wtedy przyjął połączenie.

– Cholerne blokady! – wściekał się Soko. – Nałożyli takie zagłuszanie na całą planetę, że sam mam problem z połączeniem! Słuchaj, lecą tam do was trzy legiony Cesarzkich!

– Trzy legiony? Po co?

Z taką siłą można było prowadzić małą wojnę. Albo – jak uświadomił sobie Benton – przegrać małą wojnę. Bo Cesarzcy nie mieliby jego zdaniem wielkich szans z weteranami Obywatelskich. Nie bez jego wsparcia.

– Nie wiem. Dopiero dostałem informację i od razu połączyłem się z tobą.

– Ty nie wiesz?

– Bardzo zabawne. Dowiem się, szybko się dowiem. Pewnie ktoś na górze, jakiś ambitny generał, chce zabłysnąć. Albo Aubert histeryzuje. Dowiem się, dam ci znać. Teraz najważniejsze, żebyś ty dorwał Obywatelskich, zanim tamci to zrobią. Lepiej mieć ich w naszych rękach, nie?

– Lepiej. Mamy przewagę. Dobra, pogonię ludzi.

– Tylko ich wszystkich nie rozwalcie. Potrzebujemy jeńców. Najlepiej oficerów.

– Nie rozwalimy wszystkich. – Benton pozwolił sobie na bezgłośny uśmiech. – Wydałem już odpowiednie rozkazy.

– Bardzo dobrze. Kończę. Lecę badać co i jak

Coś się zaczęło, uznał Benton, przerywając połączenie. Coś więcej niż dotąd. Wydarzenia nabrały tempa. Niedługo trzeba będzie się opowiedzieć, jasno i wyraźnie.

Myśl ta sprawiła mu przyjemność. Miał już dość czajenia się i ukrywania. Był żołnierzem, nie

szpiegiem.

Na wszelki wypadek skontaktował się z najwyższym stopniem rezydentem Służby na planecie. Nie wierzył w zapewnienia Ugrela, że on sam nic nie wie. Służba zawsze wiedziała więcej, niż przyznawała. A jeśli zdecydowała się ukrywać informacje, potwierdzało to tylko ich wagę.

Ktoś tu mógł chcieć bardzo brzydko potraktować Czarnych. Ten stary piernik Grouchon, był przynajmniej uczciwy. Jego następcą, albo ten dupek Aubert, mógł chcieć usunąć niewygodnych. Zaczęli od Obywatelskich, a potem...?

Może chcieli, żeby dwa rodzaje wojsk powyrzynały się nawzajem? Cesarscy przylecieliby posprzątać.

Prawie się uśmiechnął na myśl o tych niedojdach próbujących zaszkodzić jego chłopcom.

Wrócił do łącznościowca.

– Połącz mnie z Mausenem – polecił. – Musi się sprężyć.

4

– Nie sądzę, żeby mi uwierzył – oświadczył Ugrel.

– To bez znaczenia. – Filip Aubert szarpnął niespodziewanie głową w prawo, jakby zauważył coś niezwykłego a groźnego.

Ugrel wiedział, że szambelan miewa takie, zdawałoby się, niekontrolowane odruchy. Był jego kontrolerem z ramienia Służby, nim role się odwróciły i Aubert zaproponował ryzykowny sojusz.

Zdaniem Ugrela szambelan udawał, wykreował własną słabość, a nawet dziwactwo, które miało na celu zmylenie czy to rzeczywistych, czy wyimaginowanych wrogów. Nie zaobserwowano, by podobne tiki zdarzały mu się w oficjalnych okolicznościach.

– To przede wszystkim żołnierz, panie Ugrel. Ambitny, utalentowany, ale tylko żołnierz. On i cała jego zabawna służba wywiadowcza nie są w stanie myśleć w odpowiedni sposób. Brakuje im wyobraźni.

Prawdę mówiąc, Aubert drażnił Ugrela. Nie żałował, że kilka lat wcześniej przyjął jego propozycję i oddał na usługi szambelana, formalnie agenta Służby, sporą część podlegających sobie ludzi. Wpływy Auberta stale rosły. Miał też jasne, klarowne i zbieżne z Ugrelowymi poglądy, z których najbardziej zbliżającym ich było przekonanie, że obaj powinni posiadać więcej władzy.

– A jak z tą... drugą sprawą? – zapytał.

– Drogi panie Ugrel, toczy się, toczy! Zapewniam pana, że pułapka jest już zastawiona i czeka na zatrzaśnięcie.

Ugrel kiwnął głową z udawanym entuzjazmem. Najwyraźniej jego tytułarny wspólnik, a de facto szef, nie zamierzał dzielić się z nim wszystkimi informacjami. Cóż, jeśli pewnego dnia wpadnie w kłopoty, a Ugrel nie będzie w stanie mu pomóc, sam będzie sobie winien.

Nie pierwszy raz się zastanawiał, jak szerokimi kontaktami dysponuje ten człowiek i kto jeszcze dla niego pracuje. Odkąd przystał do Odnowy, Ugrel w nieco innym świetle ujrzał wydarzenia ostatnich lat. To, co dotąd wyglądało na niepowiązane ze sobą przypadki i elementy drobnych walk o wpływy, tworzyło w istocie osobny, pełny obraz, który mógł zatrwożyć, ale i zachwycić fachowca takiego jak on. Z jednej strony nie podobało mu się, że ktoś mógł tak wodzić za nos Służbę, z drugiej nie potrafił oprzeć się fascynacji i podziwowi wobec autorów tak przemyślnego i konsekwentnie, w najmniejszych nawet drobiazgach wprowadzanego planu. No i potwierdzało to tylko jego osobiste przekonanie, że Kapituła nie spełnia już swej funkcji, nie nadąża za zmianami i wydarzeniami, że stała się jeszcze jednym czysto dekoracyjnym elementem. Że Służba działałaby znacznie lepiej, gdyby pokierował nią ktoś kompetentny, obdarzony wizją.

Ktoś taki jak on.

Rozdział 20

1

Gwiazdy wędrowały przez kosmos zgodnie z jego wiekiastą mechaniką, niektóre z nich gasły dostojnie, inne w porywie buntu obracały się w supernowe. Wszechświat rozszerzał się i stygł. Bogowie rośli w siłę, transformując coraz większe ilości innergii. A wśród tych wszystkich ogromów dwie kobiety stały naprzeciw siebie i zgodnie z przewidywaniami Skorona z każdą sekundą znajomości utwierdzały się we wzajemnej niechęci. Tessa nie zwróciła prawie uwagi na Goryla, ale Maja natychmiast stała się dla niej najważniejszą osobą na pokładzie.

– Sprowadziłeś sobie dziewczynę? – zagadnęła Skorona, kiedy zostali sami.

– Ma dojścia. Zna gościa, który przyjaźni się z twoim bratem. I wie, gdzie ten gość jest. A twój brat z nim. Uparła się, żeby lecieć.

– Jak chcesz. – Oparła dłoń o jego pierś i spojrzała mu głęboko w oczy. – Ufam ci. Naprawdę ci ufam.

Uśmiechnął się, pogładził ją po włosach i uciekł do kabiny, żeby popracować nad usprawnianiem swoich systemów obronnych. Najpierw ci goście na planecie potraktowali go porażaczami, wcześniej dał się zagłuszyć sprzętowi armii, a teraz ta dziewczyna prawie go dostała.

Zaledwie zaczął, rozległo się pukanie do drzwi.

Maja.

– Niepokoją mnie ci ludzie – oznajmiła, siadając z braku innych możliwości na łóżku. – Kim

oni w ogóle są? Kim jest ta kobieta?

Skoron przypomniał sobie, że wedle starożytnych podań kobieta na pokładzie przynosi pecha. Uznał, że żeglarze z mitycznej Ziemi mylili się pod tym względem. Dopiero obecność dwóch kobiet rzeczywiście zapowiadała kłopoty.

– Ta kobieta mi płaci. Prawdę mówiąc, opłaca podróż nas wszy stkich. Ten facet umożliwił nam urwanie się z planety. W ostatniej chwili, jak rozumiem. Innymi słowy, to im zawdzięczasz ten lot do ukochanego. Czy to wystarczy, by uciszyć twoje niepokoje?

– Czego ona chce?

– Odnaleźć brata. Rozmawialiśmy o tym, pamiętasz?

Pamiętała, ale nie chciała uwierzyć. Tu akurat się zgadzali, Skoron nie zamierzał jednak szastać swoimi obawami na prawo i lewo. Zbył dziewczynę i próbował wrócić do przerwanej pracy. Daremnie.

Tym razem odwiedził go Goryl.

– Wiesz coś o t-tym, co się d-dzieje? – Łóżko Skorona niebezpiecznie ugięło się pod jego ciężarem. Konstruktorzy jachtu najwyraźniej uważali, że wszyscy milionerzy, których ewentualnie będzie stać na zakup ich cacka, okażą się modnie wysportowanymi facetami z tych, co to spędzają pół życia na siłowni lub na korce, albo filigranowymi lalkami zjadającymi po jednym ziarenku ryżu na śniadanie i obiad. Myśl o kolacji pewnie by je zabiła.

Ewentualnie dranie po prostu oszczędzali na meblach.

Dziewczyny można było spróbować zbyć. Albo napuścić na siebie, ustawić kamery i zacząć przyjmować zakłady. Z dziennikarzem mogło już nie pójść tak łatwo.

– Siedziałem na tym zadupiu razem z tobą, pamiętasz? Blokada informacji mnie nie ominęła.

– Ale teraz już ci nie p-przeszkadza, nie?

– To chyba jest nas dwóch.

Goryl pokręcił głową.

– Ja oficjalnie wciąż siedzę na p-planecie. Mam tam akredytację. Jeśli po-podłączę się d-do sieci, wszystko wyjdzie na jaw. No i firma d-dowie się o mojej p-prywatnej inicjatywie. Wolę uważać. M-mów, co wiesz.

– Co mam wiedzieć, jak ciągle mi ktoś tu włazi – burknął rozeźlony Skoron. – Cztery osoby na pokładzie, a drzwi się nie zamykają. Siedz, właśnie podłączałem się do sieci.

Przejrzał oficjalne serwisy, w nich jednak nie znalazł ani słowa na temat wydarzeń na Irlium. Najwyraźniej blokada informacji w tej sprawie sięgała poza samą planetę. Porzucił sieci Wspólnych Przestrzeni i sprawdził serwisy Rozproszonych i Niezależnych. Tam jednak także nic nie znalazł. Wszyscy za to donosili o zamachu na marszałka Grouchona.

– Myślisz, że to może być to? – zapytał, kłapiąc ekran i wyświetlając go przed Gorylem.

– T-to musi być to – odparł ponuro Goryl. – Co wiesz o t-tarciach między Obywatelskimi a Cesarskimi?

– Nie lubią się. Tyle wiem. Ale oni nigdy się nie lubili.

– Nie siedziałeś za d-długo na wojnie, nie?

– Wolę bardziej kameralne tematy.

– Jasne. – Dziennikarz rzucił mu kąpiące spojrzenie. Wyraźnie coraz mniej wierzył, że są kolegami po fachu. Cóż, Skoron nie oczekiwał, że jego przykrywka utrzyma się wiecznie. – No t-to słuchaj. Konflikt istniał od zawsze, wiesz. Ale im b-bliżej k-końca wojny, t-tym bardziej narastał. Książę Strzępów... Oruzon budował na t-tym swoją siłę. B-był trochę z tymi, t-rochę z tamtymi. Ale zginął w tym dziwnym wybuchu.

– Tym, przez który jest ta cała blokada? Co w nim takiego niezwykłego?

– Nikt nie wie. To b-była jakaś nowa broń. D-dlatego wojsko wszystko zamknęło i szuka jakichkolwiek śladów. Po-podobno była innergetyczna, ale to chyba p-plotki. W każdym razie Oruzon nie żyje, a choć t-trzymał się z cesarzem, to on i Grouchon stanowili zabezpieczenie przed otwartym k-konfliktem. A t-teraz najpierw zginął Oruzon, potem Grouchon. Jakby k-któs eliminował umiarkowanych.

– Syna Oruzona też zabili. – Skoron cały czas szperał w sieci, sprawdzając hasła i nazwiska podawane mu przez Goryla. – Chcą zradkalizować strony? Wywołać nowy konflikt?

– Zabili m-młodego Oruzona? – Goryl aż gwizdnął. – P-przekłeta blokada! Zupełnie nie wiem, co się dzieje na świecie. Szlag! No to K-książę Strzępów miał groźniejszą i lepiej podczepioną opozycję wśród arystokracji, niż sądził. Ale że Jewgienij to przegapił?

– Jewgienij? – Skoronowi nagle zrobiło się gorąco. – Jewgienij Ossobnij? Ten, który opuścił akademię Służby?

– Ten sam. Szef wywiadu księcia, oficjalnie ma-majordomus.

Niech to szlag! Jak mógł o tym zapomnieć! Wiedział przecież, że Jewgienij służył u Oruzonów!

– Dobra, Goryl. Więc ktoś zabija umiarkowanych, ambitnych polityków, tak? Z informacji w sieci wynika, że młody Oruzon zbliżył się do frakcji Obywatelskich, więc ewidentnie chciano osłabić właśnie ją i sprzyjające jej skrzydło arystokracji.

– Wiesz, ten generał zabity z młodym Oruzonem niby b-był z Obywatelskich, też należał do umiarkowanych. B-bo wiesz, są w Obywatelskich tacy, k-którzy chcieliby większej niezależności od cesarza, wzmocnienia praw m-mieszczañstwa i osłabienia roli arystokracji. Twierdzą, że to właśnie Obywatelskie lepiej się sprawdziły podczas wojny. Nie b-bez racji, wiesz. Chodzi o to, że ktoś nie tyle chce osłabić te frakcje – przecież takie podwójne zabójstwo raczej je do siebie zbliży, ile zradkalizować. I teraz masz: Szczurzy zerwał się, jakby go co ukąsiło, i pognął do swoich, chociaż stawał na głowie, żeby załatwić sobie lewe zwolnienie i lecieć z nami. B-bo coś się

zaczęło.

– Ale ty poleciałeś z nami, co? Czemu? Tam na dole miałbyś temat.

– Mam dość wojny, chłopie, wiesz. Dość. Jestem winien Mai opiekę. No i czuję, że prawdziwą bombę znajdę raczej z wami.

– W poszukiwaniach żołnierza?

– Wiesz, zanim ten dziwny koleś nas tu podrzucił, myślałem, że to rzeczywiście zwykłe poszukiwania spadkowe. Ale teraz już nie. Co to za gość? Co tu się dzieje? Kim jest ten facet, że tak go wszyscy szukają? Chyba go kiedyś widziałem, to przeciętniak. A może to tylko pretekst? Ale jeśli tak, co naprawdę się za nim kryje? No i kim ty naprawdę jesteś, chłopie? Bo taki z ciebie dziennikarz jakże mnie dama dworu, wiesz.

– O, przestałeś się jękać.

– W nerwach, norma. No więc?

Skoron potrzebował chwili, by zastanowić się nad odpowiedzią. Normalnie wyłgałby się po prostu, tym razem jednak nabierał przekonania, że ten facet, z całą swoją wiedzą, może mu się przydać. A raczej nie podzieli się nią chętnie, jeśli Skoron nie podzieli się z nim prawdą. Albo nie wymyśli jakiegoś szczególnie dobrego kłamstwa.

– Powiedziałem wam prawdę. Wyjawszy fragment o dziennikarstwie, ale to też nie do końca, bo przyleciałem tu na przepustkę Stacji. Możesz o mnie myśleć jak o śledczym, prywatnym dokumentaliście. Zlecenie jest prawdziwe – o tyle, o ile. To znaczy podałem ci je tak, jak sam je dostałem. Co się za nim kryje, nie wiem. Kim jest tamten gość, też nie wiem. Walka o spadek wydaje się tu całkiem sensownym powodem, jeśli to naprawdę duży spadek. Ty mówisz mi o polityce. Czy na pewno jest taki związek? Na planecie coś się stało, zginęły tuzy stronnictw. Na tej samej planecie był ten Pies, prosty żołnierz. Dostrzegalnego związku nie widać. Chyba że coś przegapiłem.

– Twój nos?

– Mój nos podpowiada, że sprawa śmierdzi. Słuchaj, Goryl, zrobimy tak. Udostępnię ci jeden z moich fałszywych profili, będziesz mógł sobie pod nim szaleć po sieci. Dziwi mnie, że nie masz własnego.

– Wszystkie są znane firmie.

– A tak korporacyjne niewolnictwo. No dobra, już masz. Przeleć swoje źródła, ja przelecę swoje. I – powiedzmy za godzinę – pogadamy.

– Wiesz, godzina to mało – mruknął Goryl, zabierając się do pracy.

– I tak muszę tłumaczyć szefowej, czemu jeszcze nie wyskoczyliśmy w innoświat i nie dokujemy już do statku z jej braciszkiem na pokładzie. Więc godzina. I Goryl, weź ty idź się baw w swojej kabinie. Marzy mi się odrobina prywatności.

Począł, aż Goryl wyjdzie, a wtedy nawiązał kontakt z adresem, którego nie używał od lat, ale którego nie umiał zapomnieć.

– Cześć, Alisa – przywitał kobietę w czerni. – Kopę lat.

– Skoron. – Zawsze uśmiechała się na jego widok Ostrożnie, prawie smutno. – Gdybyś po prostu chciał porozmawiać, odezwałbyś się wcześniej, prawda?

– Prawie codziennie o tym myślę i zawsze dzieje się coś, co mnie odciąga. Ale wiesz, że nie istnieje żadna inna kobieta w moim życiu. Gdyby nie to, że w twoim nie istnieją mężczyźni, już bym śpiewał u ciebie pod oknem.

Kobiety nie zostawały kapłankami. Część wybierała w związku z tym karierę magów niezależnych od przesądów świątyni, nawet im jednak trudno było dostać dobrą pracę we Wspólnych Przestrzeniach. Te obdarzone większymi ambicjami emigrowały więc do Rozproszonych albo ZNS, wiele przyłączyło się do rebelii, choć większość jej przywódców okazała się ostatecznie nie mniejszymi konserwatystami niż Cesarscy. Pozostałe innergetyki znajdowały miejsce w Zakonie. Instytucja ta budziła w Skoronie nieodmiennie zdziwienie połączone z niesmakiem. Mistycyzmem biła na głowę najbardziej nawet zakręcone innergetyczne świątynie, co gorsza, poświęcała się głównie działalności charytatywnej. Oddawanie całych zysków hordom naciągaczy i brak opłat za większość usług nie mieściły się w kanonie Skorona, a wręcz wydawały mu się czymś przeciwnym naturze. Tym bardziej drażniła go przynależność do Zakonu Alisy, którą pamiętał jako pełną życia, inteligentną, wręcz zuchwałą dziewczynę.

No i ten przeklęty celibat!

– Wpakowałeś się w kolejną kabałę – domyśliła się. – I raczej nie potrzebujesz pomocy innergetyka, bo wtedy skorzystałbyś ze swoich kontaktów o wątpliwej uczciwości.

– Zawsze powtarzałem, że się tam marnujesz, Aliso.

– Nie wiem, gdzie jest mój brat, Skoronie. – Jak zwykle trafiała bez pudła.

– Ale wiesz, jak się z nim skontaktować. Zostawiłby ci gorącą linię, nawet gdyby wybierał się na dno piekła.

– I tylko gdyby piekło na nas spadło, skorzystałbym z niej. Wiesz o tym.

– A gdyby tak właśnie się działo? Posłuchaj. Uciekam z planety, na której wojna zdaje się rozpętywać na nowo. Nie sprawdzaj w sieci, wojsko blokuje wszelkie informacje. Pracuję dla dziewczyny, która śmierdzi dworem, i zawarłem porozumienie z koleśkiem wyglądającym, jakby wycięli go z żurnala tajnych służb. I jest to planeta, na której zginął pryncypał twojego brata. Więc?

– Nic nie obiecuję, Skoronie.

– Nigdy nie zależało mi na obietnicach, Aliso.

Związek Niezależnych Światów podlegał mniejszym niż Wspólne Przestrzenie ograniczeniom pod względem rozwoju techniki i ingerencji w organizmy. Dlatego udoskonalony mózg Olgi Mirimor, dowódcy nosiciela *Shere-Khan*, mógł przetwarzać równocześnie dane pobierane za pomocą jej naturalnych receptorów, jak i poprzez receptory uzupełniające, dodane w Otwartej Akademii Oficerskiej, przez czyścioszków ze Wspólnych Przestrzeni nazywanej „Fabryką”. Istotnie, przyszli oficerowie floty poddawani byli w niej daleko posuniętym modyfikacjom mającym dostosować ich do specyfiki kosmicznych podróży i walk. Zmieniało ich to jednak w prawdziwych zawodowców, demony przestrzeni, wolnych i prawie niezależnych. Prawie – bo nie dało się przemierzać kosmosu bez tej cholernej innergetyki, przekleństwa ludzkości!

Mirimor znała takich, którzy próbowali. Roje pirackie czające się na statki towarowe i handlowe w pobliżu pustych planet i wykonujące trwające miesiącami skoki na podkręconym napędzie ku słabo bronionym, peryferyjnym portom, by dopadać konwoje wychodzące z innoświata i rabować je, nim zareaguje ochrona. Piraci w swoich maleńkich stateczkach musieli obywać się bez innergetyki. Nawet najbardziej gardzący prawem mag nie wiązał się z nimi, a o współpracy z kapłanem w ogóle nie mogło być mowy. Bezpieczniejsze od szalonych wypadów na konwoje były rajdy na stacje i miasta kosmiczne lub osiedla ułożone na oszczędzających na ochronie planetoidach – przynosiły one jednak mniejsze zyski. I nie rozpały tak krwi.

Mirimor doskonale o tym wiedziała, na *Shere-Khana* zbierała, uczestnicząc właśnie w takich rajdach, a potem je prowadząc, gdy załogi „wolnych ludzi” doceniły jej umiejętności.

Nie można zapomnieć uczucia towarzyszącego naglemu wybudzeniu po tym, jak bąbel inercyjny wypluwał człowieka, ledwie przerabiane w nielegalnych stocznich ścigacze wyhamowywały do prędkości znośnej dla człowieka po miesiącach pędzenia z prędkością zabójczą dla nieosłoniętych biologicznych organizmów. Czas ten załogi spędzały we śnie, w bezpiecznych objęciach bąbli puchnących od gęstej, galaretowatej mazi redukcyjno-regenerującej. Programy bąbli dbały o dostarczanie poprzez galaretę składników odżywczych, ale i o masaż ciała i stymulację mięśni zapobiegające odleżynom i atrofii.

Piraci budzili się na krótko, zaraz po przybyciu do celu. Wracali do przytomności natychmiast,

dzięki przetworzonym mózgom zestrojonym z kapitanami podłączonymi bezpośrednio do systemów okrętów i w przeciwieństwie do załogi śniącym całą podróż, zdolnym modyfikować prędkość i kurs na podstawie napływających bez ustanku danych wywiadu.

Dla „czyścioszków” ze Wspólnych Przestrzeni coś takiego byłoby nie do wytrzymania, ale oficerowie Otwartej Akademii potrafili poradzić sobie z napływem i przetwarzaniem terabajtów danych. A przede wszystkim ze współczuciem i współmyśleniem z maszyną, tworzącym zupełnie nowe rodzaje wyobcowania i samotności, ale i nową wspólnotę z mechanicznymi i elektronicznymi tworamami.

Słabsi odpadali podczas testów Akademii, nieodwracalnie odkształcając swoje umysły na wzór maszyn bądź popadając w szaleństwo personalizacji komputerów i okrętów. I tacy bywali przydatni, nigdy jednak nie mogli objąć dowodzenia okrętem. Choć kantyny pełne były opowieści o cyborgach z przesterowanymi umysłami kierującymi okrętami, z którymi ich kapitanowie połączyli się w ostateczną jedność, Olga wiedziała, że nic takiego nigdy nie miało miejsca. Umysł, który poddałby się uludzie przetworzenia w czysty mechanizm, nie byłby w stanie dowodzić.

Po przebudzeniu starczało czasu na oddanie jednej salwy.

Piraci uderzali falami. Pierwsza miała uszkadzać napędy innergetyczne statków, by te nie mogły czmychnąć w innoświat. Zadaniem drugiej było ostateczne unieruchomienie ofiar, trzeciej – rozprucie ładowni, a kolejnych przechwytywanie wysysanych w próżnię kontenerów.

Jeśli rój był liczny, przy ostatnich falach do ofiar powracały jednostki pierwszej fali, którym udało się już nawrócić. Ostrzeliwały one ewentualną odsiecz bądź dołączały do rabunku.

Akcja nie trwała dłużej niż kilkanaście minut, potem piraci porzucali ofiary i uciekali, znów uśpieni i prawie bezbronni. Czasem wysyłano za nimi pościg – jeśli zawodziły ich systemy maskujące, prawie zawsze ginęli. W innych wypadkach udawało im się rozproszyć i wciąż zmieniając szaleńczo kursy, uciec ewentualnej pogoni. I znów budzili się po miesiącach, by czekać na spóźnionych i dokonywać bilansu zysków i strat w cieniu jakiejś pustej, zapomnianej planety, by wreszcie dowiec się do punktu Sieci Tuneli Czasoprzestrzennych i w kolejnych miesiącach podróży od tunelu do tunelu i skokami poprzez sieć powracać do cywilizacji.

Na dłuższą metę nie można było tak żyć. Ale przez jakiś czas było to ekscytujące zajęcie.

Mirimir odebrała sygnał od innego kapitana – Jurgi Terella, dowodzącego własnym pancernikiem zdobytym w szaleńczej akcji, o której wciąż śpiewano pieśni wzbudzające zazdrość u pozostałych kapitanów. Terell stanowiłby dla Olgi cenny nabytek, choć nie pracowało się jej z nim lekko.

Wolni od ograniczeń czyścioszków połączyli się bezpośrednio, dostrajając się do siebie. Choć oboje lubili czasem zwyczajnie porozmawiać z przyjaciółmi w knajpie, upić się i pośpiewać

o starych czasach, w interesach preferowali bezpośrednie połączenia, bezpieczne i precyzyjniejsze. Informacje o kontrakcie przepływały do Terella, a on sprawdził je natychmiast u swoich informatorów poprzez jedną z na wpół legalnych oficerskich sieci.

„Dziwny kontrakt” – nadał.

„Drażni cię chronienie statków zamiast rabowania?”

Odebrała wrażenie jego rozbawienia.

„Dziwi mnie ochrona floty we Wspólnych Przestrzeniach”.

„Tam też mają piratów. I szlachtę z ambicjami. I wojnę”.

„I zatrząsienie własnych flot, z których mogą korzystać”.

„Widać jesteście lepsi”.

Znow go rozbawiła. Ale poczuła też i jego dumę. Wszyscy z wolnych flot wiedzieli, że czystości nie dorastają im do pięt. Przy cenie, jaką będą musieli płacić po śmierci za niezależność, dumą stanowiła lichą, ale jedyłą – obok wolności – pociechę.

„Zbierasz sporą flotę, tygrysia panno. Spodziewasz się kłopotów. Wypłata jest duża, ale czuję, że jest w tym coś jeszcze, jakieś szczegóły, których nie ujawniasz”.

„Masz rację. Ale obowiązuje mnie tajemnica”.

„Jestem Jurga Terell, kocico! Chcesz mnie w swojej flocie, musisz mnie traktować lepiej niż resztę ferajny!”

„Nie dostaniesz równych praw, puszkarczy!” – nasy ciła odpowiedź gniewem. – „Ja dowodzę!”

„Nie podgryzam cię, kocico. Nie szarpię się na twój stółek. Ale nie dam sobą pomiatać. Chcesz mnie, musisz dać coś więcej!”

Spodziewała się tego i przygotowała się. Dysponowała informacją, która mogła go przekonać bądź odstraszyć. Opakowała ją płataniną zabezpieczeń, by Terell nie mógł przekazać jej dalej. Sama próba ponownego odtworzenia w myślach nazwiska pracodawcy czy kogoś z jego pseudonimów powinna mu zawiesić system. Olga nie miała powodów, by wątpić w skuteczność programu. Dostała go od samego zleceniodawcy. A on potrafił się zabezpieczać.

Ujawniła Terellowi tożsamość zleceniodawcy.

„Tyle osłon?” – zakpił. – „Samo otwarcie pliku mnie nie zabije?”

Jego rozbawienie zniknęło natychmiast, gdy zapoznał się z danymi.

„Oszalałaś”.

„Wycofujesz się, puszkarczy?”

„Zamknij się, nieznośna kocico! Wycofać się z czegoś takiego? Nigdy! Ale ty oszalałaś. Zabiją nas ci, których on się boi, albo on sam, gdy już nie będziemy mu potrzebni”.

„Przynajmniej będą o nas śpiewać”.

– Za to wypiję – roześmiał się, dosiadając się do jej stolika. – Za to i za twoje szaleństwo,

ty gry sko!

Rozdział 21

1

Musimy go ratować! – ta myśl towarzyszyła Erykowi Oruzonowi od momentu wybudzenia z ułudy snu. Wyciągnąć Karola z tego przekłętą miejsca wysysającego dusze i kradnącego kredyt.

Przyszło mu do głowy, że kapłani to tylko pomocnicy bogów starających się wykręcić z umów zawieranych z ludźmi. Że bogowie, niby respektując kontrakt, celowo odbierają ludziom chęć do życia i wtapiają ich w siebie, wysysając stopniowo indywidualność. Czy utrzymywanie całych tych światów nie wymagało od nich wysiłku? Czy nie woleliby wzrastać w siłę dzięki ludzkim ładunkom i nie ponosić przy tym żadnych kosztów?

Ale czemu wybrali akurat Karola? Czy okazał się taksilny i wartościowy czy też tak naiwny?

A może bóg nie wiedział o całej sprawie? Na ile Eryk się orientował, Pan Ougli należał do bóstw izolacjonistycznych, wykonujących wprawdzie zobowiązania wynikające z umowy, unikających jednak kontaktu z wyznawcami. Może więc całym Domem Ougli rządili tak naprawdę kapłani, urządzający go wedle własnych zamierzeń?

Nieskłonny do głębokich rozmyślań i przyzwyczajony do pośmiertnych wygód księżę Eryk może porzuciłby heretyckie plany i zapomniał o gniewie, wyglądało jednak na to, że los, a może wszechświat, uparł się, by podtrzymać go w buntowniczych nastrojach.

Oto, gdy cieszył się śniadaniem i towarzystwem nowej kochanki, odwiedziła go Eiho, posmutniała aż do z trudem i bez powodzenia powstrzymywanych łez.

– Tęsknię za księciem Karolem, wasza księżęca mość – wyznała, obejmując dłońmi filizankę kawy, skulona, jakby oczekiwała za te słowa ostrej reprimendy i kary. – Księżę Leonard, jego syn, jest bardzo... dobry. Jednak Karol był kimś wyjątkowym. Jedyńm.

– Nie mówiłaś mi o tym wcześniej, Eiho. – Eryk wydawał się zdumiony, czy to bezczelnością dziewczyny, czy też faktem, że okazała się zdolna do wyrażenia własnego zdania, ba – oceny Oruzonów!

I jakże to? Za nim nie tęskniła, gdy ją oddał. Czy powinno go to gniewać? Nie był pewien. Może to ta dziwna, skrywana miękkość Karola ujęła dziewczynę? Ależ, u licha, ukształtował ją wedle własnych potrzeb, chwycił jej wolę i charakter i podporządkował własnym, zmieniając Eiho w oddaną i uległą kochankę! Jak śmiała wychodzić z tej roli! Chyba że to wola Karola odkształciła tak ładnie skonstruowany profil. A może tęsknota dziewczyny stanowiła tylko odbicie prawdziwych uczuć Leonarda, który bał się przyznać do czegoś, co w jego mniemaniu mogło być słabością?

Za dużo tych komplikacji na starą głowę, uznał. Nie poszedł do rajcu, by zadrećać się umysłowy mi łamigłówkami i babskimi nastrojami.

– Nie martw się, Eiho – oznajmił dziarsko. – Spróbujemy jakoś temu zaradzić.

Niedługo później odnalazł Leonarda w pałacu Oruzon. Młody księżę stał w galerii genealogii, przyglądając się portretom przodków.

– Wszystko to najlepsza rajska sztuka, drogi chłopcze! – zawołał Eryk – Dzieła wspaniałych artystów z Domu Ougli. A zaręczam ci, że pokolenia Oruzonów dbały o to, byśmy dysponowali najlepszymi!

Nie zawsze tak było, prawdę mówiąc, Eryk wyznawał jednak zasadę, że odpowiednio skonstruowana propaganda może cieszyć nawet jej autora.

– Wszyscy są tutaj, prawda? I pradziad Fryderyk i legendarny księżę Stefan. Większość z nich żyje w pałacu. Dlaczego?

– Pałac to naturalne środowisko Oruzonów, drogi chłopcze. Kształtowany przez pokolenia naszych szlacheńskich krewnych wedle naszych marzeń i zamierzeń. Jego sercem jest pierwszy księżę. Nawet ściany przenikają rytm, który on właśnie nadaje.

– A jednak ty mieszkasz poza nim.

– Szczerze mówiąc, mnie to miejsce przy pomina mauzoleum. Wolę używać życia.

– Tu byś nie mógł? Niedaleko stąd trwa bał. Widziałem też wiele... bardzo specyficjnie ubranych kobiet. No cóż, przypominało to karnawał. Bardzo dziki karnawał.

– Wieczne bale i niekończące się orgie. – Eryk się skrzywił. – Wizja rajcu wedle niektórych naszych kuzynów. W porównaniu z nimi jestem wręcz pustelnikiem. Nie, chłopcze, tłum mnie drażni. Chodźmy stąd, do diabła! W niczym ci nie pomogą te stare rupiecie, co do jednego

zrobione tak, by przypochlebić się mecenasom. Czy wiesz, że niektórzy z naszych dumnych krewnych byli tak zachwyceni swoimi wizerunkami, że zaczęli się do nich upodabniać? – Roześmiał się, ale urwał, spostrzegłszy, że Leonard nie dołączył do niego. Ten chłopak był stanowczo zbyt poważny. – Chciałbym porozmawiać z tobą o ojcu, drogi chłopcze.

Tym wzbudził wreszcie zainteresowanie.

– Wiele o nim myślę – przyznał Leonard, pozwalając się prowadzić ku wyjściu z pałacu. – Zwłaszcza ostatnio. Czy wiesz, że ta dziewczyna, Eiho, popłakuje za nim? Próbuje to ukrywać, ale nieporadnie.

– Powinieneś się nią solidnie zajmować, chłopcze! – wytknął mu prędko Eryk – Twój ojciec odcisnął na niej własne piętno, jak ja niegdyś. Teraz twoja kolej. To poniekąd twój obowiązek jako księcia.

– Mnóstwo tu ksiąząt. A ona chce spośród nich jednego. Mojego ojca. Który, tak jak ty, wuju, wybrał życie poza pałacem.

– W porównaniu z tym, co wybrał, pałac to świątynia życia i wolności! – zaprotestował Eryk – Musimy go stamtąd wyciągnąć.

– Postąpić wbrew jego woli?

– To kapłani postępują wbrew jego woli! Widziałem go, gdy go pierwszy raz wyciągał z Czyścica. Przyjął to z ulgą! Nie wierzę, by sam zdecydował się na powrót. Pomyśl. – Aż się zatrzymał, gdy nagle nowy koncept przyszedł mu do głowy. – Skoro my potrafimy wpływać na osobowość takiej Eiho, o ileż większe możliwości mają kapłani? Pomyśl, chłopcze, uruchom ten swój chłodny umysł! Czy nie mogą nami manipulować?

– To możliwe – stwierdził Leonard. – Stanowiłoby to poważne naruszenie kontraktu, jak sądzę. Czy jednak byłibyśmy w stanie ich zaskarżyć, gdyby udało nam się ich na tym przyłapać? Musielibyśmy wszak dotrzeć do bóstwa. A oni są naszym jedynym z nim kontaktem.

– Nie dodajesz mi otuchy, chłopcze!

– Staram się ocenić sytuację. A skoro już przy tym jesteśmy – zakładając, że kapłani istotnie dysponują możliwościami pewnego, przyjmijmy, że ograniczonego, modelowania nas – kto wie, czy nie robią tego w tej chwili?

Eryk zaczynał powoli dochodzić do wniosku, że nie będzie w stanie nadążyć za tym dzieciakiem. Świat żywych musiał być obecnie bardziej skomplikowany niż za jego czasów, skoro chłopak został najwyraźniej wychowany tak, by utrudniać najprostsze sprawy i dzielić włos na czworo.

– Co masz na myśli? – poddał się.

– Założyłeś, wuju, że kapłani mogą nami manipulować i w ten sposób skłonili ojca do powrotu do Czyścica. Pytam, czy równie uprawnione nie będzie założenie, iż to nami manipulują w tej

chwili, byśmy go z Czyścica wbrew jego woli wyciągnęli. Pomyśl – ta nagła tęsknota Eiho, twoje wzburzenie, moje wątpliwości – wszystko to mogli zasiał w nas kapłani.

– Ale po co?

– O, to znakomite pytanie wuju! – Leonard się uśmiechnął. – Co takiego jest w moim ojcu, że kapłani chcieliby albo jego zmusić do powrotu do Czyścica, albo nas do wyciągania go z Czyścica?

– Teraz sprawiłeś, że zacząłem się bać.

– Niepotrzebnie, wuju. Ta teoria, choć interesująca, ma jednak słaby punkt. Jeżeli bowiem kapłani potrafiliby manipulować ludźmi wedle własnych zachcianek, nie potrzebowaliby naszej pomocy, by skłonić ojca do opuszczenia Czyścica.

– Chyba że on potrafi się im oprzeć! – zawołał dumny z siebie Eryk

– Albo ktoś mu pomaga. – Leonard skinął głową. – A to, że pozwolę sobie powiedzieć coś, co nareszcie cię ucieszy, wuju, oznaczałoby istnienie jakiegoś konfliktu wśród kapłanów. A zatem szansę dla nas. Tak czy inaczej, sądzę, że powinniśmy się spotkać z ojcem, żeby dowiedzieć się, co może być w nim takiego szczególnego.

Na taki koncept Eryk wciąż jeszcze nieco skonfundowany złożonością rozumowania Leonarda, przystał z ochotą. Tym żwawiej opuścili pałac i ruszyli ku dzielnicom kapłańskim.

– Jeszcze jedno, wuju – odezwał się niespodziewanie Leonard, gdy mijali wielką Fontannę Chwały Oruzonów, ulokowaną przed głównymi wrotami pałacu. – Co do Eiho.

– Tak, mój chłopcze?

– Sądzę, że mylisz się w ocenie relacji łączących ją i ojca. Moim zdaniem po prostu się w nim zakochała.

Eryk roześmiał się głośno i długo jeszcze wykpiwał ten pomysł. Jak dobrze było się przekonać, że chłopak potrafi się zachować jak na młodzieńca przystało i w głębi ducha wierzyć w takie romantyczne dyrdymały!

Zakochała się! Co za pomysł!

Co za niedorzeczny, oburzający pomysł, że jakaś prostytutka w Oruzonie mogłaby się z własnej woli zakochać w innym mężczyźnie niż on!

broniły księciu Karolowi Oruzonowi, obecnie po prostu bratu Karolowi, wyjścia z jego celi. Karol nie opuszczał jej jedynie przez szacunek dla Jana i na jego wyraźną prośbę.

– Muszę to przemyśleć – oświadczył innergetyk, wysłuchawszy opowieści Oruzona. – Że są w tobie pewne zakłócenia, wiedzieliśmy od początku, to dlatego przetrzymywano cię w Czyścicu. Ingerencja Eryka zakłóciła badania, zresztą nasi kapłani uważali, że nietypowe odczyty są efektem użycia broni innergetycznej, podobne zaobserwowano wśród pozostałych ofiar tamtego wybuchu. Tymczasem to wpływ Pana Ton. Interesujące. Być może zbyt lekceważyłem potencjał innych bogów, żyjąc w Domu Pana Ougli.

– Wydaje mi się, że wy dwaj byście do siebie pasowali – zaryzykował Karol.

– Kto wie? Rzeczywiście sprawia wrażenie otwartego umysłu. Niedobrze, że nie wiedziałem o sporze między bogami. Możliwe, że to Pan Ougli starał się nas izolować. On, zdaje się, wciąż ma żal do nas o czasy tresury.

– Żal?

– Niektórzy bogowie nabrali aż nazbyt wielu cech ludzkich. W pierwszych latach kontaktu rządy naciskały raczej na praktykę, nie spieszo się z dofinansowaniem badań teoretycznych. W efekcie wpłynęliśmy na ich rozwój bardziej, niż należało. Ukształtowaliśmy bogów na nasz obraz i podobieństwo. Sądzę, że Gaja to zrozumiała i dlatego ucieka. Ona i ten drugi.

– Drugi?

– Gaja nie jest jedynym bogiem, jaki zniknął z firmamentu. Daj mi trochę czasu na przemyślenie tego wszystkiego. Pozostań w swojej celi. W tej sytuacji lepiej nie prowokować rektora.

Karol został sam z długą listą pytań, czy to dotyczących spraw, o których wcześniej nie miał pojęcia, czy to dylematów, których nie potrafił rozwiązać.

Wspomniał Sargossa i to, co tamten mówił mu o kontaktach buntowników z ich bóstwem. Czyżby przywódcy rebelii opierali się na szerszej perspektywie? Okazywało się, że nawet kapłani, na których za życia zupełnie nie zwracał uwagi, mieli własne spiski i ambicje. A może to teraz dał się uwieść temu światu opartemu przecież na umowności i ułudzie? Na ile jałowe i teoretyczne były pojedynki między Janem a rektorem?

Potrzebował czegoś konkretnego, czego mógłby się chwycić. Jakiejś idei, na której mógłby oprzeć swoje dalsze istnienie. Nie chciał żyć jak Eryk – od jednej ułudy do drugiej. Nie odpowiadał mu też los pierwszego z Oruzonów. Co pozostawało? Zemsta i wojna? Zapalił się do tej myśli. To przynajmniej rozumiał.

Ktoś otworzył drzwi. Stał w nich jeden z braci, którzy, o ile Karol pamiętał, towarzyszyli rektorowi.

– Witaj, bracie Karolu – przywitał się przybyły łagodnym głosem doskonale pasującym do jego postaci – niewysokiego, nieco korpulentnego, na oko jowialnego zakonnika. – Jestem ojciec Sean, nowy opiekun nowicjatu. Przyszedłem porozmawiać z bratem o jego dalszym życiu w Świątyni.

Zamknął za sobą drzwi.

– Niefortunnie rozpoczął się brata nowicjat – kontynuował, uśmiechając się uspokajająco. – Młodzi kapłani nie powinni być wikłani w spory starców.

– Nie czuję się uwikłany w spór. Z trudem rozumiem, o co w nim chodzi.

– To dobrze dla duszy brata. – Choć ojciec Sean wciąż się uśmiechał, tym razem w jego głos wkładły się smutne tony. – Przeglądałem zapisy z przebiegu nowicjatu i ze smutkiem musiałem zauważyć, że prowadzono brata niewłaściwą ścieżką.

– Co?

– Prowadzony jest rejestr sprawozdań z każdego nowicjatu, bracie. Dla dobra naszych młodszych braci, byśmy mogli wiedzieć, jakie błędy popełniamy. Przecież nawet po śmierci jesteśmy, niestety, niedoskonalni.

Usta ojca Seana uśmiechały się niezależnie od oczu, jakby prowadzone własną wolą. O ile wargi układały się wyłącznie w wariacje spokojnych, zachęcających uśmiechów, o tyle oczy kapłana pozostawały smutne i poważne. A przy tym ani kształt ust, ani wyraz oczu nie nosiły znamion fałszu, jakby Sean dzielił oba nastroje. Wydał się przez to księciu niepokojący. Także wzmianka o sprawozdaniach wprawiła go w rozdrażnienie. Nie spodobało mu się, że był szpiegowany. Któż to przygotowywał na niego raporty? Czyżby Jan? Zorientował się, że wzbiera w nim zarzewie złości na starego innergetyka, i zaważał się. Czy nie o to chodziło przybyszowi?

– Błędy? – zapytał więc tylko, powstrzymując gniew.

Czuł pokusę, by dać się ponieść starym odruchom – skłonności do gwałtownych, prędkich postępów.

– Ojciec Jan jest nieco staromodny. W jego wieku można to wybaczyć, kłopot się zaczyna, gdy przenosi swoje małe dziwactwa na nowicjuszy. Musiał brat czytać podręczniki dla dzieci? Sam brat rozumie, że wydało się to nam nieco dziwne.

– Zdaniem ojca Jana miałem podstawowe braki.

– Och, tak – Ojciec Sean przywołał na twarz szczególnie uspokajający, pełen zrozumienia uśmiech, który zaraz przybrał odcień pobłażliwości. – Zdaniem ojca Jana – powtórzył, wdychając smutno. – Nie w samych podręcznikach rzecz, a w wyborze całej drogi. Widzi brat, ojciec Jan to bardzo zasłużony kapłan, jednak urodził się jeszcze na Ziemi i przesiąknięty jest przestarzałym spojrzeniem na świat. Proszę, niech brat postara się zrozumieć, to, czego ojciec Jan trzyma się tak kurczowo – cała ta fizyka, naukowe tytuły – miało kiedyś sens. Ale dziś? Nie

zakrywamy jednego oka, by utrudnić sobie postrzeganie świata, bracie. Innoświat oferuje nam pełnię postrzegania i poznania. Nie obserwowałby brat innych planet przez mikroskop, prawda? A ojciec Jan wciąż próbuje. Tobie jednak, bracie Karolu, oferujemy inną, słusznieszczą ścieżkę.

– Modlitwę?

– Modlitwa, bracie, to rozmowa z bogiem.

– Bardzo się cieszę, że ojciec o tym wspomniał. Zależy mi na takiej rozmowie.

– Oczywiście, bracie. Ale do wszystkiego trzeba być gotowym. Bogowie to byty odmienne od nas, porozumiewają się inaczej i inaczej rozumują.

Księżcia kusilo, by powiedzieć, że wie, ugryzł się jednak w język. Zamiast tego zapytał:

– I do tego ma mnie przygotować nowicjat?

– Przede wszystkim musimy przygotować brata do otwarcia na innoświat. Temu zaś służy i modlitwa pomagająca nam oddać się Panu, i medytacja. Cóż może fizyka w świecie bez ciała, bracie? Gdzie masa, na której mógłby brat oprzeć swoje równania? Nie, bracie, nie fizyka, ale zaufanie Panu poprowadzi ku zrozumieniu. – Uniósł palec wskazujący i podnosząc się z łóżka, nachylił ku księciu, by zawołać w uniesieniu: – Niech mi brat zawierzy! Niech zawierzy i zaufa!

Opadł z powrotem na łóżko, uderzył dłońmi o uda i roześmiał się głośno a serdecznie.

– Ale ja tu gadam i gadam, a to przecież jeszcze nie lekcja! Niechże mi brat wybaczy. Tym bardziej że trzymam tu brata, a czekają na niego goście.

– Goście?

– Wuj i syn. Bardzo podekscytowani, choć starają się to ukryć, jeśli mogą zauważyć. Niechże brat idzie do nich, niech się nie niecierpliwią.

– Mogę więc opuścić celę?

– Albo to więzienie? Gdy ojciec kardynał nakazywał bratu pozostać w celi, było to raczej nauczycielskie napomnienie, wskazówka. Aleśmy już porozmawiali, brat pomedytował trochę w samotności, ochłonął i wszystko będzie dobrze, prawda?

Nagle, po raz pierwszy, spojrzenie i uśmiech ojca Seana zsynchronizowały się – oba stały się wyczekujące, chciwe twierdzącej odpowiedzi. Uśmiech zamarł w rozkwicie ku satysfakcji, a spojrzenie nabrało niepokojącej ostrości.

– Prawda?

– Prawda – odpowiedział więc książe.

Dawno nikt nie naciskał na niego w ten sposób. Dawno nikt nie próbował go... indoktrynować?

Zarazem nie potrafił odmówić rozsądku, przynajmniej w części, argumentom kapłana. Rzeczywiście – jakże to, poznawać innergetykę nieinnergetycznymi narzędziami? Może rzeczywiście Jan był tylko dziwakiem i szarlatanem?

Stanowczo zbyt mało jeszcze wiedział, zbyt mało tu rozumiał.

Eryk i Leonard spierali się o coś, gdy znalazł ich w świetlicy. Eryk gestykułował przy tym żywiolowo, często unosił oczy ku niebu albo kręcił z niedowierzaniem głową. Karol uśmiechnął się mimowolnie, obserwując ten spektakł, stary książę grał wszystkimi posiadany mi kartami. Nie onieśmielił jednak Leonarda, chłopak został zbyt dobrze wykształony.

Przyglądając się synowi, Karol czuł jednocześnie dumę i smutek. Tak wiele zostało zmarnowane! Być może ostatecznie? Cóż mógł począć ze swoimi talentami Leonard po tej stronie życia? Życie poza Świątynią było tak... pozbawione znaczenia.

To, co im oferowano, było jedynie wygodną wegetacją. Właściwie sprowadzono Oruzonów do nieco lepiej karmionego pospółstwa, do roli, z jakiej z trudem podźwignęli się po cielesnej stronie życia.

Ta myśl wzbudziła w nim gniew. Stary, dobry gniew Oruzonów, podkarmiany rodową ambicją i napelniający energią. To, co uczynił Eryk tam, on może powtórzyć tutaj! Z bogami i kapłanami lub przeciw nim!

Wysłuchał cierpliwie teorii, jakie rozsuwali przed nim ci dwaj – przodek i syn. Słuchał ich, a przecież jego myśli krążyły raczej wokół własnych niepokojów i planów, wokół własnych pytań, na które pomysły tych dwóch nie podsuwały mu odpowiedzi.

Nie wierzył w innergetyczną manipulację wymyśloną przez syna. Może nie chciał wierzyć? Gdyby wszyscy okazali się bezwolnymi marionetkami bogów, co mógłby uczynić? Buntować się? A jaką miałby pewność, że jego bunt nie jest tylko kolejną zaprogramowaną rozrywką boga? Nic w takiej sytuacji nie miałoby sensu i dlatego odrzucił taką teorię.

Nie wierzył też, by manipulacji dopuszczano się na niższym szczeblu, że to kapłani dysponujący niebagatelną mocą kształtowali umarłych wedle własnych chęci. Przecież ojciec Sean nie starałby się przekonywać Karola, gdyby mógł odrobiną innergetycznego wysiłku przerobić go wedle własnych życzeń.

A może wstąpiwszy do stanu kapłańskiego, książę podlegał jakiejś ochronie? Może chronił go Jan? Odrzucił i tę myśl. Jak Jan, choćby nie wiadomo jak doświadczony i uczony, mógłby stawić czoło całej potędze woli Świątyni?

– Lepiej porzućmy teorię o braku wolnej woli – odezwał się wreszcie, przerywając

przeradzającą się niemal w kłótnię dyskusję między tamtymi. – Jeślibyśmy ją przyjęli, nic nie byłoby możliwe.

– Może tak mówisz, bo oni ci tak każą, chłopcze? – próbował Eryk, którego, zdaje się, bardziej cieszyła jałowa szermierka słowna, mogąca co najwyżej poprowadzić go ku kolejnemu retorycznemu zwycięstwu niż osiągnięciu jakiegoś mniej widowiskowego celu.

– Mówię tak, bo w innym przypadku cokolwiek zrobimy, będzie pozbawione sensu. Przyjmijmy więc, że nikt nami innergetycznie nie manipuluje.

– A jak wtedy wytłumaczyć twą przemianę? – nie poddawał się Eryk – Jak wyjaśnić to, iż się przemienił z mężczyzny pełnego życia, za którym wyplakują sobie oczy tutejsze dziewczęta, w tego zasuszonego kapłana?

– Zasuszonego kapłana?

– Zeszczuplałeś, ojczu – wyjaśnił Leonard, czym zaskoczył Karola. – Zmizerniałeś wręcz. Wydaje mi się, wybaczone, proszę, że siwiejesz.

W pierwszej chwili Karol się przestraszył, zaraz jednak przypomniał sobie nauki Jana i zamiast zasmucić się dodatkowo, roześmiał się głośno. Urwał, widząc, że tylko przestraszył tym towarzyszy. Nie zdawali sobie zapewne sprawy, że widzą Karola tak, jak dyktują to ich obawy. Spróbował im to wytłumaczyć.

– To mogłoby znaczyć, że nie panujemy nad kredytem tak bardzo, jak sądzimy – zadumał się Leonard. – Innoświat może okazać się bardziej niebezpieczny, niż uważaliśmy.

– Co masz na myśli?

– Księżę Eryk uczył nas, że wykorzystujemy kredyt do kształtowania swojego raj, Oruzonu. Co jednak, jeśli nas samych kształtują nasze lęki, ojczu? Albo niechby nawet i popędy, wszystko to, co decyduje o naszym postępowaniu, a czego sobie nie uświadamiamy.

– W takim razie lepiej, że trenuję w Świątyni, prawda? Tutaj wszyscy skupiają się na panowaniu nad sobą.

– Pojąłem tyle, że im prędzej cię stąd wydostaniemy, tym lepiej – wtrącił się Eryk czy to nie rozumiejąc, o czym rozmawiają, czy też nie chcąc zrozumieć.

Karolowi przypomniało się, co Jan mówił o przodku. Jeśli Leonard miał rację, Eryk był w istocie niewolnikiem własnych popędów, człowiekiem uzależnionym od spełnienia. Sądził, że dysponuje siłą i władzą, w rzeczywistości zaś był tylko uciekinierem niezdolnym zapanować nawet nad sobą. Jako sojusznik niemal przestawał się liczyć.

– Powinienem więc do ciebie dołączyć, ojczu – zaproponował najmłodszy z martwych Oruzonów.

Karol zaprotestował gwałtownie. To nie było miejsce dla Leonarda. Jeszcze nie. Zbyt szybko umarł, za mało znał życie.

Poza tym Karol potrzebował kogoś w Oruzonie, Erykowi nie mógł już w pełni ufać.

– Jeszcze nie, synu. Musisz lepiej poznać Oruzon. Zapewne i tam dzieje się więcej, niż sądzimy. Jest wiele rzeczy, o których jeszcze porozmawiamy. Ale teraz, proszę, wysłuchajcie mnie. Nie przerywajcie.

Szybko opowiedział, o czym dowiedział się w Świątyni. O konflikcie pomiędzy tradycjonalistami a dewotami. Przyznał, że brakowało mu pewności, czyją stronę wybrać. Opowiedział, czym jest Świątynia i co się szykuje. Przemilczał tylko swoją rozmowę z bogiem buntowników.

Eryk wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale tym razem uprzedził go Leonard.

– Czego więc oczekujecie od nas?

– Wsparcia. Udajcie się do pałacu. Przygotujcie i siebie, i cały ród na to, co może nastąpić. Spróbujcie nawiązać kontakt z pierwszym księciem. Może to coś da? Mnie odrzucił, ale może któryś z was do niego dotrze? A gdy przyjdzie czas, jeśli będzie okazja, odwołam się do Oruzonów. Może uda nam się zbudować ważne stronnictwo, z którym i bóg, i kapłani będą musieli wreszcie się liczyć.

Zapalił się do tej koncepcji. Oznaczałoby to powrót do początków jego pracy ze świata żywych. Czemu nie miałyby powtórzyć tej ścieżki? Czemu nie zbudować potężnego stronnictwa, które wykorzystałoby moc kredytu do czegoś istotniejszego niż tylko tworzenie komfortowych iluzji.

– Zrobimy, jak sobie życzysz – Leonard odpowiedział za obu. Zmitygował się prędko. – To znaczy ja postąpię według twego życzenia. Dziękuję za rozmowę, ojczu. Dobrze widzieć, że się nie zmieniłeś, że wciąż walczysz. Takim cię pamiętałem.

– Takim jestem, synu.

– Albo takim cię nam i tobie samemu ukazują! – Eryk nie omieszczał mrugnąć porozumiewawczo przy pożegnaniu. – Ale niech ci będzie, chłopcze! Zawsze to jakaś afera, która pozwoli mi rozruszać stare kości. Masz rację czy jej nie masz, niechże coś się dzieje!

4

– Nie powiedziałaś ojcu o Eiho – nie umknęło uwagi Eryka.

Wychodzili z budynku poczekalni Czyścica. Stary ksiązę obracał się co chwilę, próbując

dostrzec tę Świątynię, o której tyle mówił Karol. Nie widział jej jednak i tylko utwierdzał się w przekonaniu, że młodego całkiem już tam otumanili. – O tym, że go kocha, jak uważasz.

– Albo to ojciec chciał rozmawiać o miłości. – Leonard machnął ręką. – On już myśli o czymś wielkim, jak to on. Jak przy stało głowie Oruzonów.

– Jeszcze mu to nie wywietrzało, co? – Eryk się uśmiechnął. – Byłem taki sam. Może udawać, może mówić, co chce, ale ciągle mu się zdaje, że żyje, że jest głową rodu. Tylko że ja nie poszedłem się umartwiać do tych przekłetych kapłanów! Biorę tyle życia, ile można, ot co!

– Ojciec postąpił tak, jak postąpiłby za życia. Ruszył tam, gdzie jego zdaniem dzieje się najwięcej, gdzie toczy się gra o najwyższą stawkę. Może mieć rację.

– Może, he? Ale nie musi? Coś mi się widzi, chłopcze, że ty masz inne zdanie!

– Wuj, nie dostrzegam luk w rozumowaniu ojca.

– W rozumowaniu może i nie. Ale w postępowaniu już tak, nieprawdaż?

– Istotnie, sądzę, że lepiej by było, gdyby ojciec wrócił do Oruzonu. Ma tu pewne zobowiązania. Niemniej jego strategia wydaje się mieć sens. Pomogę mu. Wracam do pałacu. Będziesz mi towarzyszył, wuju?

– Bez obiadu?

– W takim razie pójdę sam. Liczę, że dołączysz do mnie później.

– Popelniasz błąd, chłopcze! Ruszać do walki o pustym brzuchu jest rzeczą godną pospólstwa, bo ono przywykło nie dojadac. My, Oruzonowie, powinniśmy dbać o siebie. No chodźże ze mną! Porozmawiamy, jak przystoi rozmawiać księżetom – przy sutym posiłku i winie. Będą kobiety, chłopcze! Będzie Eiho, bardzo ciekawa, co też masz jej do przekazania o ojcu.

Słyszac imię dziewczyny, Leonard wzdrygnął się lekko. Aha, trafiłem! – pomyślał Eryk, bardzo zadowolony, że coś wreszcie mu się tego dnia udało. Ech, głupi ci młodzi, głupi!

– Wybacz, wuju, ale nie mam czasu na zabawę. Jestem zresztą ciekaw pierwszego księcia. Ledwie mu się przyjrzałem podczas poprzednich wizyt w pałacu. Nie ośmieliłem się podejść bliżej czy spróbować nawiązać kontaktu. Czas to nadrobić.

– Tym bardziej powinieneś coś zjeść, chłopcze. Wybierasz się rozmawiać z człowiekiem, który prawie całkiem oddał się bogu. On już nawet człowiekiem do końca nie jest, a życia chyba nie pamięta wcale. Musisz być gotów stawić mu czoło. Wzmocnić w sobie życie, cielesność, nasyć ciałem posiłkiem, a oczy widokiem kobiety.

Leonard zdawał się rozważać to przez chwilę. Wreszcie pokręcił głową.

– Ta cielesność, demonstracyjne przywiązanie do życia mogłoby odstręczać pierwszego księcia. Sam mówiłeś mi, że nie przepada za tobą, że odrzucał twoje próby nawiązania kontaktu. Lepiej, jeśli pójdę tam już teraz, tak, jaki jestem.

– Więc może powinieneś pościć przed tym spotkaniem, umartwiać się? – zawołał Eryk niby to

zartobliwie, w rzeczy wistości z trudem opanowując złość.

Co się dzieje z tymi młodymi? Zaslugują na wszystko, co ich spotka, skoro nie chcą słuchać jego dobrych rad!

Leonard zdał sobie sprawę, że rozgniewał przodka. Spróbował się usprawiedliwiać, ale stary książę machnął tylko ręką, mruknął coś na pożegnanie, odwrócił się i odszedł.

Najmłodszy z martwych Oruzonów odprowadzał go wzrokiem, zastanawiając się, czy nie spróbować jednak udobruchać staruszką, przyłączając się do niego. Oznaczałoby to konfrontację z Eiho, nieznośnie pełną uczuć chwilę, kiedy musiałby jakoś przed nią ukryć, że ojciec nie myślał o niej wcale, że nic ona dla niego nie znaczy wobec kolejnej walki. Nie postępowanie ojca jednak gniewało Leonarda, ale żal, jaki czuł, wyobrażając sobie rozczarowanie dziewczyny.

Nie powinien tak wiązać się emocjonalnie, najwyraźniej śmierć osłabiła jego dyscyplinę.

Przypominał sobie swój lament – wielki żal z powodu braku prawdziwie własnego życia, tego wszystkiego, co sobie po nim obiecywał, gdy tylko upora się z grubsza ze spełnianiem wizji ojca. Zginął, nim zdążył choćby przejść od marzeń do planów.

A po śmierci – proszę, znów szedł ścieżką wytyczaną przez ojca. Jak za życia, tak i po śmierci! Czy był, niczym Eiho, jedynie formą kształtowaną przez silniejsze charaktery? A może lepiej zawrócić, pójść do starego Oruzona, wyrwać z jego bagna Eiho, porwać ją tylko dla siebie i przebudzić, by ukazała mu się sobą. I niech to, co wtedy zobaczy, stanie się podstawą jego decyzji! Ją uczyni wolną, niech będzie to jego własny gest, przejaw jego mocy. A potem... Potem?

Westchnął i porzucił bunt. Ze smutną akceptacją własnego miejsca w wielkiej wojnie niekończących się spisków ruszył ku pałacowi. Ojciec miał rację. Jeśli ich istnienie – wzbraniał się przed słowem „życie” – miało cokolwiek znaczyć, musieli podjąć walkę. Czyż nie byli Oruzonami? Walka stanowiła ich sposób istnienia.

No i – musiał to przyznać – jego kredyt był mizernutki, nawet biorąc pod uwagę boskie ubezpieczenie od przedwczesnej śmierci. Jeśli nie doprowadzą z ojcem do ponownego wyniesienia Oruzonów, będzie musiał zadowolić się bardzo skromnym życiem pośmiertnym. Kto wie, może z czasem zaczęłyby ulegać wpływowi Eryka albo dołączył do karnawału cieni pierwszego księcia w pałacu? Czy nie lepiej pozostać pod wpływem ojca? Ten wydawał się przy najmniej swojski, stanowił coś, do czego Leonard przywykł za życia.

W pałacu jak zwykle nikt nie zwrócił na niego uwagi. Budowla tak się rozrosła, że stanowiła właściwie odrębne miasto złożone tak z mniejszych, całkiem zwyczajnych, jak i olbrzymich, fałszywie niebosiężnych budynków, skrzydeł i wież. Tłumy zmarłych Oruzonów i ich sług niknęły w cieniu pałacu, wędrując jego unikającymi kątów prostych, wijącymi się niczym beładnie spleciona sieć korytarzami.

Leonard z rzadka mijał zmarłych krewnych. Nie rozpoznawał większości z nich. Gdyby zapragnął odwiedzić kogoś, kogo znał, wystarczyło, by o tym pomyślał; pałac poprowadziłby go ku miejscu, gdzie akurat przebywały wybrany krewniak. Co więcej – mógłby uczynić to w mgnieniu oka. Wszystko zależało od woli Oruzona – jeśli był tradycjonalistą, mógł wędrować w to samo miejsce choćby i przez godzinę, pałac dostosowałby czas trwania spaceru do odległości świata żywych. Tę opcję wybrał. Wciąż jeszcze trzymał się przyzwyczajień poprzedniego życia, potrzebował też czasu, by przygotować się na rozmowę z pierwszym księciem. Jak się nazywał? „Filip” – odpowiedział jego myślom uczynny pałac. A zatem Filip – niegdyś wiceprezes VII Kompanii Eksploracyjnej, potem członek Rady Wszechkompanii, wreszcie senator Izby Miecza i książe, pierwszy z Oruzonów. Król pośmiertnego Oruzonu, serce pałacu – człowiek, który postanowił zjednoczyć się z bogiem.

5

W swojej celi Karol zastał niespodziewanie Jana.

- Naruszyłem twoją prywatność, wiem – usprawiedliwił się innergetyk, wstając z łóżka. – Z drugiej strony, co to za prywatność?
- Z pewnością naruszyłeś warunki aresztu domowego.
- Aresztu domowego? – Jan wzruszył ramionami. – Nie żartuj. Odkąd to rektor uczelni ma prawo nakładać areszt na jednego ze swoich pracowników?
- On, zdaje się, patrzy na to inaczej.
- Och, naturalnie. – Jan uśmiechnął się łobuzersko. – Nie wiem jednak, dlaczego miałbym się kierować jego – dodajmy błędnym – postrzeganiem świata.
- Będziesz miał nieprzyjemności?
- Nieprzyjemności to smakołyki idealnego świata – roześmiał się Jan. – Jeszcze zdążysz się o tym przekonać, młody przyjacielu! Chyba że mój malowany zastępca, ojciec Sean, zdoła cię zwerbować w swoje szeregi trapistów. Odniósł jakiś sukces?
- Trapistów?
- Na nasze potrzeby przetłumaczmy to jako umartwiaczy. Więc jak, przemówił do twojego sumienia? Nawróciłeś się, posypałeś głowę popiołem i kłęczysz teraz na grochu w zgrzebnej szacie?

– Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz – przyznał Karol, uśmiechając się mimowolnie. Kpiąca pogoda ducha Jana odpowiadała mu znacznie bardziej niż naznaczone fałszem uśmiechy Seana.

– Stare słowa ze starego świata. Zwroty na bardziej eleganckie czasy. A zatem jak? Wstąpiłeś w szeregi papistów?

– Kolejne obce słowo, Janie. Igrasz ze mną.

– Zaledwie lekko pokpiwam. Przecież wiem, że cię nie kupili, za mądry jesteś na to. I zbyt żakniony życia. Chodź, połóż ci to i owo. Przyłącz się do mojej zbrodni porzucenia celi, opowiedz się po stronie buntu i nauki! Gotowyś na takie poświęcenie?

Opuścili celę i ruszyli korytarzem ku nieznanemu księciu części Świątyni. Zaraz też otworzyły się za nimi drzwi sąsiedniej celi i w ślad za nimi podążył kapłan o twarzy zakrytej kapturem. Rozbawił Karola tą konspiracją.

– Śledzą nas – poinformował Jana. – Prawdziwy mistrz w swoim fachu.

– Braciszek Mursa – rozszyfrował tożsamość szpiega Jan. – Bardzo oddany sprawie. Myślę, że czasem żałuje, iż samobiczowanie nigdy nie stało się powszechną praktyką w innoświecie. Prosty umysł, z tych, jakie ceni sobie nasz rektor. Zdradź mi więc, drogi uczniu, co też naopowiadał ci Sean.

– Nie można poznawać innoświata pozainnoświatowymi narzędziami – wyrecytował książę. – I powiem, że brzmi to wcale rozsądnie.

– Twierdzenie, że Słońce kręci się wokół Ziemi, też przez całe wieki brzmiało rozsądnie! – prychnął Jan. – Jak, na wszystkich bogów, możemy badać innoświat bez narzędzi pochodzących z naszego świata? Przecież całe nasze postrzeganie z niego pochodzi, mój nieszczęsny tępy uczniu! A czym jest postrzeganie, jeśli nie narzędziem, którym możesz nauczyć się posługiwać, jeśliś wykształcony?

– Niespecjalnie mnie przekonałeś.

– To ja cię jeszcze muszę przekonywać? Czy po śmierci wszystkim ubywa inteligencji, czy tylko ja trafiłem do nieba dla kretynów? Posłuchaj, chłopcze, wszystko, czym dysponujemy tutaj, w tym nieszczęsnym, tetryczającym raj, to nasze postrzeganie. I ono jest podstawowym, jeśli nie jedynym narzędziem. Możemy je stępić jak ta banda dewotów, paść na kolana i klepać modlitwy, nie dowiadując się o innoświecie niczego, a jedynie zafalszowując nasz sposób pobierania i analizowania danych. Istnieje też ścieżka medytacji. Jeśli uwolnisz się od wyobrażeń, oczyścisz umysł, możesz medytować nad innoświatem. Tak robi znaczna część tych, którzy stapiają się z bóstwem. To ryzykowna droga i trzeba być silnym, by nie poddać się boskiemu postrzeganu i nie zagubić siebie. Niemniej warto jej spróbować, pod warunkiem że się wcześniej do niej przygotowało.

– To twój sposób?

– Widzę, że otepienie Seana okazuje się zaraźliwe! Ten facet w ciągu jednego spotkania zniweczył większość mojej pracy. Oczywiście, że nie, na wszystkie demony umysłu! Co próbowałem ci wbić do głowy przez cały ten czas? Nauka, chłopcze, nauka! Instrumenty innergetyczne, phi! Sean nie wspominał przy padkiem jakie?

– Wspominał właśnie o medytacji.

– Która nie jest, ściśle rzecz biorąc, instrumentem innergetycznym, naturalnie. Cóż, jak na niego to i tak dość błyskotliwe. Posłuchaj, młody przyjacielu, nie mógł powiedzieć nic o instrumentach innergetycznych, bo takowe nie istnieją. Nie dla nas. Aby poznawać innergetycznie, musiałbyś być bytem innergetycznym, inaczej każda próba będzie ograniczona, zafalszowana.

– To nie jestem bytem innergetycznym? Sądziłem, że wszystko tu jest innergią.

– Ależ oczywiście, że wszystko jest innergią! Ale ty jesteś bytem postcielesnym. Czy drepcesz tu obok mnie i generujesz te wszystkie irytujące brednie w postaci innergetycznych kodów? Czy jesteś bytem o wyłącznie innergetycznych kształtach, które ludzki mózg musi tłumaczyć ludzkiemu oku na kształty znane ze świata śmiertelników, by było w stanie je dojrzeć, a on przyswoić? Czy też dysponujesz pozorem ciała przebijającego pozorem nóg i wydającego pozory dźwięków układających się w przekaz językowy, za którego pomocą robisz z siebie całkiem prawdziwego głupca?

– Posiadam pozór ciała. – Ku własnemu zdziwieniu książę nie gniewał się na innergetyka za te wszystkie połajanki. Wydały mu się odświeżające po przy miłności Seana. Nie pojmował, jak Jan zmienił się z sympatycznego kapłana w złośliwego despotę, uznał jednak, że odpowiada mu ta przemiana. Była ożywcza.

– Tak jest! Ciało ukształtowało twój sposób postrzegania, do niego odnosiłeś się najpierw, gdyż jeszcze nawet nie potrafił mówić, do niego odnosiłeś się koniec końców, gdy zawiodło wszelkie inne zaufanie wobec rzeczywistości. Ciało jest tym, od czego wychodzisz i do czego wracasz w postrzeganiu. Jest alfabetem postrzegania. I poza ten alfabet, poza naukę, u której podstaw ono stoi, już nie wyjdiesz! Ktokolwiek twierdzi, że tylko dlatego, iż umarłeś, mógłbyś nagle zmienić cały swój system postrzegania świata, kłamie. Chce ci zrobić wodę z tych nędznych namiastek mózgu, jakimi się posługiwałeś. Krótko mówiąc, dąży do ubezwłasnowolnienia cię. Bardzo miłego ubezwłasnowolnienia, pewnie nawet czułbyś się szczęśliwy i spełniony. Ale byłbyś jak ci skopcowie!

– Kto?

– Ludzie odcięci od świata, którym nie pozostało już nic prócz własnego szaleństwa. Rozumiesz mnie?

Karol przytaknął tylko, obawiając się, że jeśli powie choć słowo, Jan wykorzysta je, by popaść w kolejne dywagacje pozwalające mu posługiwać się słownictwem pochodzącym z prastarych epok

– Pamiętaj zatem, że masz tylko siebie oraz to, czego się ode mnie nauczysz. Nie będziesz bogiem, choć niektórym tak się zdaje. Jesteś człowiekiem i postrzegasz jak człowiek. Innoświat zawsze będzie dla ciebie obcy. Możesz najwyżej spróbować go oswoić i może nawet ci się uda.

– A kapłani?

– Co „kapłani”? Czy mógłbyś, z łaski swojej, nie zakładać istnienia innergetycznej telepatii i wyrażać się jaśniej?

– Czemu kapłani, ci, którzy zdecydowali się poświęcić religii, starają się jednak działać tak, jak działają?

– O ile dobrze rozumiem ten bełkot, chodzi ci o ich metodykę i wynikającą z jej przyjęcia filozofię. To proste, Karolu. Oni zamiast oswajać innoświat, sami dają się mu oswoić.

– Mam wrażenie, że bliżej ci do magów niż do kapłanów.

– Magowie to technicy, my byliśmy naukowcami – warknął Jan. – Potem, gdy wszystko się pochrzańiło od tego nadmiaru boskości, część z nich zapragnęła niezależności. Zamiast oddać się konkretnemu bogu, nauczyli się podkraść i filtrować innergę. To dobra metoda na krótką metę, nie pomoże jednak w zbadaniu innoświata. Dlatego wciąż pozostali tylko technikami. Zauważ jednak, młody przyjacielu, że wymawiam to „tylko” z szacunkiem. Bo najlepsi z nich zasługują na szacunek

– Jak Szkarłatna Maską?

– On akurat nie. To hochszapler! No, dotarliśmy na miejsce.

Pchnął mizernie wyglądające drzwi, a gdy tylko książkę przekroczył próg, zatrzasnął je i zasunął potrójne zasuwę.

– I niech teraz kombinuje! – mruknął mściwie. – Proszę, wasza książęca mość, witaj w moim królestwie!

Pomieszczenie nawet jak na standardy Świątyni wyglądało skromnie. Właściwie sprawiało wrażenie zaniedbanego. Małe i ciasne, wypełnione głównie poniewierającymi się śmieciami nie wydało się Karolowi godne uwagi.

– A jest to...?

– Komórka na rupiecie – wyjaśnił beztrząsło Jan, siadając na trójnogiej ruinie krzesła. – Wymogłem jej powstanie przy budowaniu Świątyni, argumentując, że starożytne świątynie i klasztory zawsze zawierały podobne zakamarki, jeśli więc chcemy dochować wierności tradycji, powinniśmy zadbać o stworzenie choćby jednego takiego. Uznali to za dziwactwo, ale byłem wtedy dość znaczną postacią, więc projekt przeszedł. Czy podziwiasz mój geniusz

i przemysłowość?

– Mam wrażenie, że zmieniłeś się od spotkania z kard... z rektorem. Jakbym rozmawiał z inną osobą, twoje słownictwo, sposób bycia...

– Zerwałem z księżulkowaniem – odpowiedział kompletnie niezrozumiale Jan. – Przez jakiś czas musiałem być czułym ojcem Janem, pochylającym głowę przed autorytetem świątobliwej wiekistości, skoro jednak otwarcie rzuciliśmy wyzwanie jego eminencji, nie widzę powodu, by dalej się ograniczać. Więc jak, podziwiasz geniusz, który kazał mi przygotować tę komórkę, czy nie?

– Nikt tu nie zagłada? – zaryzykował książe. – Ignorują to miejsce? Masz tu spokój?

– Na szczęście nie zrobili z ciebie ostatniego idioty! – zawołał z wyraźną radością Jan. – Prawie masz rację, młody przyjacielu! Istotnie, zostawili mi ten załatek, zapomnieli o nim. Mogę być tu z sobą. Ale, co najważniejsze, prowadzić badania, przerobić komórkę na obserwatorium.

– Obserwatorium?

– Stoisz w teleskopie, chłopcze. Innergetycznym teleskopie. I zaraz go uruchomimy, byś mógł popatrzeć sobie na innoświat, podobnie jak patrzą na niego ci wszyscy rozpuszczający się w Panu mistycy. Z tą różnicą, że ty zachowasz wolność. Siadaj.

Podsunał księciu dość podejrzanie wyglądający fotel.

– Pochodzi jeszcze z Ziemi?

– Wszystko tu pochodzi jeszcze z Ziemi, młody przyjacielu. Przechowałem o tutaj – Jan uderzył palcem wskazującym w czoło – wszystko, czego nie odebrała nam Gaja, gdy wymazywała koordynaty Ziemi z naszej pamięci. Odpręż się, zamknij oczy.

Karol poczuł jakby dotknięcie wewnątrz głowy. Powróciła rozmowa z synem i wyrażone przezeń obawy.

– Opierasz się! – warknął Jan.

– Może włożysz mi do głowy jakieś własne wizje? Oczywiście, że się opieram!

– Muszę trochę przestroić twoją percepcję, głupcze! Albo się poddaj, albo zaczniemy wdrażać program medytacji. Tyle że to potrwa kilka pseudolat. Nie mogę tak po prostu rozproszyć iluzji czasu, nie poradziłbyś sobie z tym. A i Otwarcie Święty ni bardzo by to utrudniło.

Karol zaklął. Więc wszystkie te podchody, zabezpieczenia, uniki prowadziły tak czy owak do tej jednej chwili, w której musi zdecydować, czy zaufać prawie obcemu człowiekowi. Ale czy mogło być inaczej? Czy nie tak – jak podpowiadało mu doświadczenie – kończyła się większość planów i spisków? Czy podobne chwile nie następowały podczas bitew, kiedy musiał zaufać żołnierzom, których wiódł? I czy – koniec końców – nie dla takich chwil żył?

Ale, na bogów, w poprzednim życiu ryzykował tylko nim! A teraz?

– Dobra, dawaj – warknął.

– Już dałem – odpowiedział Jan. – Uspokoileś się, więc zrobiłem, co trzeba.

Na pozór nic się nie zmieniło. Obskurne wnętrze wyglądało równie odstręczająco jak przed chwilą. Niemniej pełen satysfakcji uśmiech na twarzy Jana świadczył o tym, że innergetykowi udało się czegoś dokonać. Czego?

– Jeszcze niedosterowany – mamrotał do siebie Jan, nachylając się nad księciem, patrząc mu w oczy.

– Wielkie dzięki – parsknął Karol.

– Nie narzekaj. By świadomie operować innergią, potrzeba wielu lat studiów. Staram się ci ich oszczędzić. Na razie umożliwiłem ci postrzeganie innergetycznych instrumentów, którymi tu dysponuję, bez tego nie dostroiłbym cię do teleskopu. Widzisz już?

– Nie widzę. To nie wymaga jakichś przyrządów? Lunety?

– Nazwa „teleskop” nie jest dosłowna, głupcze! Używam jej ze względu na twoje przyzwyczajenia. Poczekaj, będą i przyrządy. – Jan wykonał kilka dziwacznie dla księcia wyglądających gestów.

Nagle Karol dostrzegł kątem oka błękitny błysk. Obrócił się ku niemu odruchowo, ale poblask uciekł mu, drażniąc lokując się gdzieś z boku, zaraz na krawędzi widzenia.

– Nie wierzga! – warknął Jan. – Już prawie dostroiłem!

Ledwie sekundę później przed oczami księcia otworzył się zupełnie nowy świat.

Spadła na niego czern – głęboka, dojmująca. Aż krzyknął. Znajomy błękitny błysk jakby zareagował na jego strach, urósł i nagle eksplodował setkami symboli.

– Załadowałem ci podstawowy interfejs, bardzo klasyczny. – Księżę szarpnął głowę w kierunku, z którego, jak mu się zdawało, dochodził znajomy głos. – Na razie się ładuje, to może potrwać chwilę. Musi najpierw zespolić się z twoim umysłem. Mogą temu towarzyszyć trochę nieprzyjemne efekty.

– Dzięki, że uprzedziłeś – burknął księżę, z trudem hamując złość. – Najpierw mnie osłepiłeś, a teraz próbujesz doprowadzić do szaleństwa! Te wszystkie migające znaczki...!

– Normalnie innergetycy absorbują takie programy powoli, stopniowo. Nie ładują ich sobie do głowy z zewnątrz, jak ty, ale sami je w sobie wykształcają podczas studiów. Ty dostałeś wszystko naraz, w dodatku za moim pośrednictwem. Program jest kompatybilny z moim wzorcem umysłowym, musi teraz dostosować się do twojego. I tak musiałem stworzyć emulator mojego umysłu. Jak teraz? Nabiera to sensu?

– Znaczkę zwalniam.

Bołała go głowa od tego chaosu. Poczł młodości. Czy w innoświecie można zwymiotować? Czy nie powinien umieć nad tym zapanować? Na przykład wyobrazić sobie, że jest zadowolony i syty, i urzeczywistnić to?

– Skup się! – krzyknął Jan. – Nie myśl o dyrdymałach! Skup się na systemie!

– Czytasz w moich myślach?

– Mam podgląd. Myśli nie widzę, dostrzegam zaburzenia systemu świadczące o tym, że się rozpraszasz. Wybierz jeden z symboli i spróbuj go zatrzymać. Gdy go złapiesz, zatrzymają się także inne i ustabilizujesz system.

Złapać znaczek. No dobrze. Karol wybrał ten, który był akurat położony centralnie. Spróbował po niego sięgnąć... ale jak? Wyciągnął rękę, choć jej nie widział i ledwie miał świadomość jej istnienia. Czy powinien wyobrazić sobie klawiaturę? I własną rękę też powinien sobie wyobrazić?

– Wzrokiem! – warknął Jan. – Skup na którymś spojrzenie! Użyj swojej woli, głupcze! Chciej go zatrzymać, chciej go przyciągnąć, a nie machaj rękami przed twarzą!

A zatem wzrokiem. Symbole wciąż krążyły wokół niego w chaotycznej chmurze. Wyłowił jeden nieróżniący się niczym od innych, skupił na nim. Wyobraził sobie, że próbuje go przyciągać. Ku jego radości znaczek zwolnił, a wraz z nim cała chmura.

– Dobra – odezwał się Jan. – Teraz przyciągnij go do siebie. Dobrze. Teraz słuchaj, normalnie ludzie uczą się tego za życia. System zgrywa się z ich mózgiem podczas nauki, ale opiera się na strunie innergetycznej powszechnie zwanej duszą. Bywa to uciążliwe, ale jest bezpieczniejsze od tego, co tutaj robimy, bo tu dusza to wszystko, co masz. Oznacza to, że musisz być ostrożny, zachować dyscyplinę umysłu. Destabilizacja systemu za życia kończy się zwykle najwyższej nieprzyjemnościami żołądkowymi, tutaj moglibyśmy cię trochę zgubić. Czy mnie rozumiesz?

– Zgubić? – powtórzył książę, skupiony głównie na układaniu poddających mu się już całkowicie symboli w portret swojej pierwszej żony. Nawet nie podejrzewał się o takie zdolności plastyczne! A także o to, że to właśnie ona przyjdzie mu do głowy.

Nagle cała mozaika się rozsypała.

– Dureń! – zawołał gniewnie Jan. – Dureń! Właśnie o tym mówiłem! Słuchaj, tępa, jesteś teraz tylko konsekwencją pewnego szczególnego uporządkowania inergii. Nie różnisz się więc wiele od systemu, który ci zaimplantowałem. Możesz i musisz na niego wpływać, przekształcać go, ale, u licha, nie możesz siebie nim przekształcać, rozumiesz? Mógłbyś przebudować się teraz, jakbyś chciał – zrobić z siebie herosa, obdarzyć się talentem plastycznym czy muzycznym, zmienić w kobietę albo w zwierzę – to proste, wymaga tylko odpowiedniej modyfikacji danych. Ale to destabilizuje system i w konsekwencji destabilizuje ciebie. Zaniechaj tych zabaw, chyba że chcesz się zatracić, stać się kimś innym. Bo bardzo możliwe, że już nie wrócisz do wyjściowej formy! Rozumiesz mnie?

– Rozumiem. – Książę niechętnie porzucił obraz.

– Dobrze!

– Czy to, że nagle przypomniała mi się pierwsza żona, ma znaczenie?

– A jesteś do niej jakoś szczególnie przywiązany?

– Ani trochę. To było małżeństwo ustawione przez moją rodzinę i nigdy...

– Wystarczy! – przerwał mu niecierpliwie Jan. – Nie interesują mnie twoje małżeńskie historie. Wpisywałeś sobie uzdolnienia plastyczne, więc system nadbudował to odpowiednią wrażliwością. Jedno jest związane z drugim – bycie artystą to nie tylko techniczna umiejętność takiego poruszania pędzlem, by namalowany przez ciebie portret przypominał modela. To także pewien sposób postrzegania rzeczywistości. Ty dopiszesz sobie talent i nie przejmujesz się resztą, ale system jest rozbudowany, dba o całość i przyda ci odpowiednie cechy. W ten sposób możesz się przemienić, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Ja umiem przygotować odpowiedni program całościowo, sam programuję jego konsekwencje – ty nie! Na szczęście tym razem zdążyłem cię powstrzymać! Rób dokładnie to, co mówię, i tylko to. A teraz skup się na jednym symbolu. Tylko jednym!

– A czy cały ten świat nie jest takim programem? Na przykład Oruzon...

– Symbol! – Przerwał mu brutalnie Jan. – Symbol, do diabła! Nawet tego nie potrafisz? Skupić się na jednym małym symbolu?

– Tak jest – poddał się książę. – Jeden symbol.

Wybrał jeden zupełnie nieróżniący się od reszty. Powiększył go sobie tak, że większość postrzeganego świata stała się błękitna.

– Zobacz mnie przez niego.

– Jak...?

– Skup się na moim głosie, wyobraź mnie sobie poprzez niego. Masz?

Miał. Błękit przeobraził się, nabrał kształtu twarzy Jana. I nagle przez ten obraz Karol znów widział obskurne wnętrza komórki. Jednocześnie towarzyszyła mu obecność czerni i milionów błękitnych symboli, tylko czekających, by nadał sens ich potencjałowi.

– No i masz połączenie ze światem zewnętrznym. – Jan uśmiechnął się zadowolony. – Odczuwam pewną satysfakcję na myśl, że będziesz się nań przełączał poprzez moją podobiznę.

– A nie mogę tego zmienić?

– Jeśli chcesz mnie urazić, oczywiście możesz. Nie zatrzymujmy się jednak na tym. Uczę cię kodu obrazkowego, bo taki jest najprostszy, jednak innergetyczny interfejs opiera się tak naprawdę na skojarzeniach – to może być dźwięk, emocja, cokolwiek. Z czasem dopasujecie się do siebie nawzajem, a wtedy sam go sobie ukształtujesz. Byłeś pamiętała, że wszelkie te działania polegają na pozyskiwaniu i modyfikowaniu innergii i mogą być niebezpieczne, bo ty sam jesteś teraz innergią.

– Modyfikuję innergię? – zdumiał się książę. – Jak bóg?

– Widzę, że pozostałeś prawdziwym arystokratą. – Jan się skrzywił. – Cóż za nieuleczalna

pycha! Nie, kretynie, nie jesteś jak bóg i nie modyfikujesz innergii. Pan Ougli modyfikuje ją dla nas, na podstawie naszych planów i podań. Ty jedynie korzystasz z tych modyfikacji. Poprzez interfejs zyskujesz kontakt do już zmodyfikowanych form innergii i narzędzi, jakie dzięki nim zbudowaliśmy. Gdybyś był wykształconym innergetykiem, mógłbyś wykorzystywać te formy na przykład do tworzenia takiego systemu, jaki ci teraz zaszczepiłem. Ale nie traćmy już czasu na teorię. Wybierz następny symbol i przypisz go do teleskopu.

– Jak?

– Tak jak wybrałeś mnie.

– Ale ciebie znam, a teleskopu nie.

– Otworzyłem ci już dośście, musisz je tylko uaktywnić. Pomyśl o tym, co ci mówiłem, o teleskopie pozwalającym spoglądać na czysty innoświat. System odnajdzie połączenie i szczepi je z symbolem. To dobre, rozbudowane narzędzie, w sam raz na początek. No już! Masz?

– Mam.

– Uruchom go.

– Jak?

– Skup się na nim i poczuj chęć uruchomienia go albo po prostu pomyśl, że chciałbyś go uruchomić. System dostosuje się do ciebie. Tylko pamiętaj, że gdy wybierzesz już jeden sposób i będziesz go używał, system uzna go za właściwy.

– I nie będzie reagował na inny rodzaj poleceń?

– Z czasem coraz oporniej.

– A jakty robisz?

– Ja opieram się na muzyce i pragnieniach, ale odradzam ci to. W przeciwieństwie do ciebie umiem nad nimi doskonale panować.

W konsekwencji książę postanowił także oprzeć swój system na pragnieniach. „W przeciwieństwie do ciebie”, pomyślał. Dobre sobie!

Całe cholerne życie spędził, panując nad pragnieniami!

Zdał sobie sprawę, że postępuje nieco dziecinnie, zaczął jednak powoli mieć dość traktowania go jak gówniarza.

Uruchomił teleskop i aż krzyknął ty leż z przestachu, ile z zachwytu.

Znajdowali się pośrodku wielości doznań. Struny tysięcy kolorów, spośród których garstkę zaledwie książę potrafił nazwać, rozciągały się we wszystkich kierunkach, napięte bądź wiotkie, drząc, kołysząc się i prężąc od nieskończoności ku nieskończoności.

Barwy stanowiły jedynie jeden z elementów. Łagodnie otaczały ich echa dźwięków, które

powinny potężnieć w zgiełk nie do zniesienia, lecz wydawały się bezpiecznie tłumione, jakby Karol postrzegał każdy z nich z osobna. Były i zapachy, i uczucia, a nawet doznania, których nie potrafił nazwać, przypominające mu utraconą cielesność znacznie bardziej niż wszystkie pseudoorgazmy, jakich doświadczył dzięki oddaniu i kunsztowi Eiho.

– To jest innoświat? – zawołał zdumiony. – Tak wy gląda?

– Bynajmniej. – Zwrócił się w kierunku, z którego dobiegał głos Jana, wyraźniejszy i donośniejszy od wszystkich otaczających go dźwięków. – A zarazem oczywiście, tak wy gląda.

Jan zachował swój kształt, jednocześnie jednak emanował czymś, co Karol odbierał jako pewnego rodzaju swojskość, prawie powinowactwo. Gdy patrzył na Jana, ten wydawał mu się znajomy, bliski bardziej niż mógłby o tym świadczyć rodzaj ich kontaktów. Jakby łączyła ich więź.

– Oczywiście – odparł Jan, gdy go o to zapytał. – Obaj jesteśmy naznaczeni wzorcem Pana Ougli. Patrząc poprzez właściwy innoświat, poczujesz taki sam związek z wszelkimi formami innergii pochodzącymi od Pana Ougli. To wygodne. Wracając do twojego pytania o innoświat, on oczywiście nie wygląda w ten sposób. Prawdę mówiąc, nie mamy pojęcia, jak naprawdę wygląda ani czy w ogóle wygląda.

– To zabrzmiało dziwnie.

– Wzrok nie był potrzebny bóstwom postrzegającym świat poprzez doznania i wrażenia, których bładym odbiciem jest choćby ta więź, jaką czujesz w tej chwili ze mną. A innoświat jest subiektywny, to oni go kształtują.

– To co ja widzę teraz?

– Transkrypcję innoświata na język postrzegania dostępny dla naszych umysłów. Potrzebowaliśmy języka, w którym moglibyśmy pojąć innoświat, narzędzi, by w ogóle móc go postrzegać. Każde doznanie, jakie jesteś w stanie zaobserwować, to pewna forma przetworzonej innergii. Te, z którymi czujesz pokrewieństwo, pochodzą od Pana Ougli, stanowią obecnie część naszego świata. Gdy nabierzesz wprawy, będziesz mógł z nich odpowiednio korzystać. Czy jesteś w stanie wyczuć coś szczególnie ci bliskiego? Coś, co wyjątkowo ci pociąga, co budzi twoją tęsknotę?

– Tam. – Księżę wskazał odruchowo kierunek, który budził w nim pragnienie, by w nim zmierzać, aż połączyły się z czymś nawołującym jego duszę.

– To Oruzon, miasto, a zwłaszcza pałac. Jest ukształtowane poprzez wzorce Oruzonów, więc szczególnie ci bliskie. Ja tak odczuwam Świątynię.

– A bóg? Mogę tu zobaczyć Pana Ougli?

– Jeszcze nie. Nasz patron jest raczej samotnikiem, osłania się przed wzrokiem takich jak my, by nie musieć się użerać z niekończącą się kolejką petentów.

– Ale ty go widzisz?

– „Widzę” to nieodpowiednie słowo, młody przyjacielu. Ale jest mi dostępny, tak

– Zaprowadź mnie do niego.

– Żebyś mógł mu opowiedzieć swoją historię? To nierozsądne, Karolu. Nie jesteś jeszcze gotów, by stanąć przed bogiem.

– Stałem już przed jednym!

– Tak, przed przyjaznym ci, pragnącym twojej pomocy i to jeszcze mocno zhumanizowanym bogiem. Nie licz na to, że Pan Ougli przemówi do ciebie przez umysł innego człowieka. Nasz bóg porozumiewa się niemal wyłącznie innergetycznie, a tego języka jeszcze nie pojmiesz. Sam ledwie go rozumiem.

– Więc po co to wszystko? Po co mnie tu przy prowadziłeś?

– Żebyś zobaczył, o czym mówimy. Czym jest innergia i jak bardzo jesteśmy ograniczeni w jej postrzeganiu. Ale także żebyś zobaczył, że nie ma to nic, zupełnie nic wspólnego z religią i mistyką. Żebyś nie dał się otumanić.

– Oruzon – szepnęła księżę, bo coś nagle przyciągnęło jego uwagę.

I już tam był. Jednocześnie stał pośrodku pałacu i widział siebie stojącego tam, otoczonego przez pseudościany z innergii, będące teraz dla niego zarazem białymi murami, jak i jednorodnymi formami innergii, wśród których przemieszczały się odcienie iskier, wszystkich podobnych do siebie i do niego. Widział je też jako ludzi, Oruzonów i ich przyjaciół. Jedna spośród nich wydała mu się szczególnie bliska, kłęczała teraz pod dziwnym płomieniem pozbawionym ludzkich kształtów, a przecież pokrewnym w jakiś sposób Karolowi.

– Uff, nie uciekaj mi tak! – zgañił go Jan, pojawiając się obok – Musisz być ostrożny, młody przyjacielu! Tu nie istnieją odległości, a w każdym razie nie tak, jak my je postrzegamy. Wystarczy pragnienie, byś trafił tam, dokąd poniesie cię przelotna ochota. To może być niebezpieczne, jesteś dość podatny na wpływy zewnętrzne.

– Co to jest? – Księżę wskazał płomień.

– Wasz praszczur, pierwszy z Oruzonów. Wyjątkowo parszywa postać, jeśli mam być szczery.

– Mówisz o założycielu rodu!

– Mówię o szurze, który całe życie płaszczył się przed tymi, których uważał za potężniejszy ch od siebie, i nic a nic nie zmienił się po śmierci.

– Masz na myśli oddanie bogu?

– Oddanie bogu! – parsknął Jan. – Tak, ten łajdak roztopia się w Panu, jak to nazywa. W rzeczy wistości ubzdurał sobie, że zwiększył w ten sposób swoją potęgę, że dozna transcendencji! Musisz wiedzieć, że była to bardzo modna hipoteza w jego czasach i niektórzy durnie pozostali jej wierni po śmierci.

– Jaka hipoteza?

– Możliwość zamiany w boga. Czy jesteś w stanie zrozumieć, jakim głupcem trzeba być, żeby uwierzyć w coś tak niedorzecznego?

– Właściwie – zastanowił się książę – sam mi dopiero co powiedziałaś, że mogę kształtować swoją formę, jak zechcę. Czy nie oznacza to, że mógłbym transformować się w boga? Czy bóg nie jest tylko innym rodzajem formy innergetycznej?

– Uściskałbym cię za to, że myślisz, młody przyjacielu, nawet jeśli myślisz głupio. Twoja koncepcja ma sens, tylko jeśli ktoś jest na tyle tępą, by zapomnieć, że bóstwa są swoistymi formami innergetycznymi, w stosunku do nas tutaj pierwotnymi. Ty nie jesteś swoisty, Karolu. Posiadasz cechy indywidualne zapewniane ci przez swoistą w istocie duszę, jednak jest ona wzmocniana przez wzorzec innergetyczny Pana Ougli. Bez niego nie zachowałbyś zapisu swojej świadomości, byłbyś tylko pustą iskierką innergii w innergetycznym wszechocenie. Nie możesz nabrać swoistości, bo zginiesz. I jakniby chciałbyś się zmienić w coś, czego nie pojmujesz, czego nawet nie jesteś w stanie w pełni postrzegać? Wszystko, co ewentualnie udało ci się osiągnąć, to wcielenie się we własne oszustwo. Lub w cudze. Twój praszczur jest idiotą największym z możliwych, sądząc, że mu się to uda. Zresztą to nie do końca jego wina. To ci zdewociali głupcy podtrzymują go w tym przekonaniu.

– Kapłani? Pierwszy książę z nimi współpracuje?

– Są prawie jednym ciałem. Używają go, by wywierać wpływ na Oruzon i Oruzonów, a on oddaje im się całym sobą. I – jak to nazwałeś – roztopia się w Panu. W rezultacie dewocjeje całe miasto, na które ma niebagatelny wpływ, dewocjeje cały ród, a ja mam coraz mniej do powiedzenia w Świątyni, bo wpływy tych idiotów rosną. Ich marzeniem jest przekształcenie całego Domu w zastygłe sople podobne twemu praprzodkowi. Możesz właśnie zaobserwować, jak absorbują kolejnego nieszczęśnika. To ta iskra przed płomieniem. Twój przodek zainfekuje go teraz lekko swoim wzorcem. Wie, jak to robić. Jak wirus będzie się rozwijać w nieszczęśniku, aż ten w końcu będzie całym sobą wierzył we wszystko, co mu podsuną.

– To dopuszczalne? Nie łamie umowy?

– Nie jest to zabronione. Formalnie oni tylko wymieniają informacje, rozmawiają. Rozmowa, młody przyjacielu, jak wszystko tutaj, jest innergetyczna, można ją zatruć w dowolny sposób, jeśli się chce. Słowo i czyn to tylko pewna forma innergii.

– I dopiero teraz mi to mówisz?

– Jesteś bezpieczny. Bóg, z którym rozmawiałeś, zostawił w tobie coś w rodzaju przeciwciała, a i ja cię wzmocniłem. Zresztą nie mogę mówić ci wszystkiego, do diabła! Wiesz, ile tematów pominęliśmy dotąd? Musimy się skupiać na tym, co najważniejsze, a to – z racji posiadanej przez ciebie ochrony – najważniejsze nie jest!

– Ale tam! – zawołał książe, wskazując postać kłęczącą przed płomieniem. – Tam jest mój syn! Którego sam wysłałem, by wybadał pierwszego księcia! Czy on ma te przeciwności?

– Prawdę mówiąc, nie.

– Musimy mu pomóc! – wykrzyknął książe, rzucając się ku płomieniowi. – Powstrzymać tamtego sukiny na!

– Czekaj! – spróbował Jan. – Nie możesz tak po prostu go zaatakować! On jest tu od stuleci!

Ale Karol dopadł już płomienia i uderzył weń, starając się odtrącić odeń syna. Nie myślał w tej chwili ani o braku doświadczenia, ani o kontraktach i zasadach panujących w Domu Pana Ougli, ani o tym, że właśnie rzucił wyzwanie pierwszemu z Oruzonów, który spędził wieki na roztapianiu się w bogu, studiowaniu innergii i pobieraniu nauk od kapłanów. Który dysponował wiedzą i doświadczeniem, jakich Karol nie był w stanie nawet sobie wyobrazić.

Który dostrzegł właśnie atakującego, rozpoznał go, zrozumiał jego zamiary i zwrócił przeciw niemu całą swą potęgę.

Rozdział 22

1

Trzech mężczyzn i tyleż kobiet liczyła Rada Wiernych. Psu z trudem przychodziło rozróżnienie w półmroku płci sześciu niewielkich postaci opatulonych w niezgrabnie grube stroje, bez wyjątku pomarszczonych, łysych i cuchnących. Decydujący o losie wiernych pomrukiwali coś długo między sobą, nim zdecydowali się odezwać do gości.

Translator radził sobie z tłumaczeniem ich słów, jednak wyraźnie mylił czasem znaczenia. Prezentowana przezeń składnia także wydała się Psu dziwaczna. Sprzęt pomagał sobie tworzeniem dziwnych neologizmów opartych na znanych mu językach, nie brzmiących jednak ani dobrze, ani zrozumiale. Pies mógł tylko żywić nadzieję, że maszynka rozkręci się, gdy zdobędzie więcej danych.

– Przestrzewielkie, wyście, powitanie – dukał tłumacz. – Obcy, nadwielcy, poddemoni, bezśmiertni biedacy. Nasaczyć, podgównić was, jałowcowców ku naszglebie, o jakże, jakże!

Włodzimierz starał się ich na to przygotować.

– Ze mną wam łatwiej – wyjaśniał. – Ja jeszcze mówię klasycznie, to i wasze translatory dają radę, bo pewnie mają ten język w swojej bazie danych. Ale oni! O, oni ewoluują, przyjaciele, a ich język razem z nimi. Nawet ja czasem z trudem ich rozumiem. Oj, czeka was z nimi przeprawa!

Roześmiał i zaproponował, by wypili jeszcze, tłumacząc, że po alkoholu człowiekowi zawsze łatwiej zrozumieć obcy język. Pies, który doświadczenia posiadał dokładnie przeciwne, odmówił.

Teraz żałował. Smród znosił bez trudu, przy wykład do niego podczas wojny. Jednak ten język trudno mu było przeniknąć.

„Jesteśmy zaszczyceni, mogąc gościć u was, rado” – ułożył zdanie, a przełączony na funkcję aktywną translator zmusił jego usta do wypowiedzenia słów, które zabrzmiały dla niego koślawie i obco.

Potrzebowali kolejnej chwili, by podebatować nad jego powitaniem. Miał nadzieję, że zrozumie z jego więcej niż on z ich słów.

– Marność – podjął rozmowę inny wierny. – Marność was. Straszność jest wielkości, używamy tego i wzrasta u nas. Wy pusto, strasznie, wasze ziarna na zmarnowaniu. Wzrasta to w nas, sięgamy w to. Godzimy na pragnienie, czule. Wy w ucieczce, tak?

Musiał to przemyśleć. Uciekali? Tak to mogło wyglądać, jeśli sądzili, że ludzi Pniała łączy coś z Maską. A czy łączyło?

– To nie ucieczka – odpowiedział. – Nie do końca. My ... – Spojrzał pytająco na Irinę, ale tylko potrząsnęła głową. Czy nie chciała mówić o planach Maski, czy też skupiała się na łączności z zespołem ratowniczym, dość, że pozostawiała rozmowę Psu. Nie pierwszy raz zastanowił się, wbrew nawet własnym chęciom i zamiarom, nad tą kobietą, która uparła się mu towarzyszyć, nie tylko tutaj, ale i wcześniej, jeszcze na pokładzie *Merlina*. Nie unikał jej, choć wolałby, by nie okazywała mu zainteresowania. Łatwiej wtedy przyszedłoby mu walczyć z własnym. Spróbował przegonić te myśli, nie był to czas na nie. – My raczej szukamy innej drogi. Wspólne Przestrzenie podlegają obecnie gwałtownym zmianom, możecie znaleźć w nich miejsce dla siebie. Pytanie, czy chcecie.

Pięciu pogrążyło się w mrużanej dyskusji nad jego słowami, z których sam nic nie rozumiał, gdy wypowiedziały je jego kierowane translatoem usta. Szósty przysunął się bliżej Psa – radni wiernych zdawali się nie chodzić, ale przesuwac przy użyciu rąk na podkurczonych, jakby sparaliżowanych nogach – i unosząc głowę, by spojrzeć mu w oczy, powiedział cicho, a przecież jakos mocno i dobitnie:

– Bóg.

Psem aż zatrzęsło.

– Bóg? – zapytał, trochę zły, że wypłynął ten temat. – Bóg?

– Bóg. – Wierny pokłwał z ukontentowaniem głową. – Bóg! Bóg! Bóg! Wy do Boga wznastacie, tak? Piąć się? Użyć ńnić się Bogiem, ku Bogu, tak? Wy ku wiernym?

– Nie chcecie naszej pomocy? – powtórzył Pies, by uciec od tematu, na którym ani się nie znał, ani znać nie chciał.

Móglbym się tu ukryć, ta myśl powróciła niespodziewanie, napłynęła jakby od kogoś ukrytego w nim, starannie planującego mu życie, wewnętrznego, niezależnego systemu wskazującego mu

kierunki, nieustannie przetwarzającego dane i dokonującego najistotniejszych wyborów. Pies czuł się już zmęczony tak bezustanną ucieczką, jak i podporządkowaniem jej życia. Służba w wojsku oferowała mu chwilę wytchnienia, gnębiło go jednak przecucie, że ten okres dobiega końca. Zbyt blisko znalazł się kluczowych dla Wspólnych Przestrzeni wydarzeń. Wolał nie ryzykować przyciągania uwagi. Może ukrycie się tutaj byłoby dobrym rozwiązaniem?

– Pomoc w Bogu – odpowiedział z satysfakcją wierny i wycofał się do swoich, by dołączyć do ich narady.

Wreszcie któryś z nich odpowiedział Psu:

– My ku zbiorom. Sami zbierzemy. Jeśli wy chcecie żyć z tych dusz, możecie zostać, tak zasiano.

Mógłbym im teraz powiedzieć, pomyślał Pies. Zdradzić im, jak oszukał ich Włodzimierz, jak chce ich oszukać jeszcze bardziej. Tylko czy zrozumieliby coś z tego? Czy oni w ogóle rozumieją, co do nich mówię?

Wydawało mu się, że tak, że rozmowa miała jakiś sens. A jeśli tak było, to może mógłby opowiedzieć im o kłamstwach Włodzimierza, o jego szalonym niebezpiecznym idealizmie? O tym, jak pod pozorem jowialnego, serdecznego przywódcy kryje się zręczny oszust starający się wodzić wszystkich za nos. Ale czy powinien to zrobić? Ci tutaj wprost powiedzieli mu, że nie potrzebują i nie chcą jego pomocy. Tak ich rozumiał. Siedzieli teraz, patrzyli na niego bez słowa, ale chyba i bez oczekiwań. Czy na pewno? Czy mógł dobrze odczytywać ich mimikę, postawy, skoro nie rozumiał słów? Chcieli pomocy? Nie chcieli? Miał im ją narzucić? Nawet jeśli mu odmówili, nic tak naprawdę nie wiedząc o świecie? Czy brak wiedzy, brak danych nie wyklucza prawdziwej wolności decyzji? Co znaczy wola tych karzełków, co znaczą ich pragnienia, skoro znają tylko jedną, fałszywą wizję świata?

Spojrzał bezradnie na Irinę. Wzruszyła ramionami. Była urodzonym żołnierzem, interesowała ją rozkazy, nie rozterki.

Uklonił się wiernym, wygłosił jakieś patetyczne pożegnanie i opuścił ich lichy pałac. Niech sobie żyją, jak chcą albo jak Włodzimierz zechce, albo Cesarstwo, bogowie, ich bóg czy choćby przyodek. On, Pies, też jest tylko żołnierzem. Nie będzie nikogo zbawiał. Nie bez rozkazu.

Włodzimierz oczywiście na nich czekał.

– I jak? – zapytał niby wesoło, ale, jak zdało się Psu, z niepokojem.

– W bogu nadzieja – odparł więc Pies. – W tym waszym bogu.

Odwrócił się ku wychodzącej się z budynekku Irinie.

– Już czas – powiedział.

Energia ładunków skierowana została do wewnątrz. Eksplozja wyrwała dziurę w pancerzu, węgła

do środka jego krawędzie. Nie dało się inaczej, nie mieli czasu na przeniknięcie obcych systemów.

Grupa kundli wraz z kawalerzystą potrzebowała szesnastu sekund, by dostać się do środka. Alarm popiskiwał cicho, nie mieli jednak wątpliwości, że czujniki statku wykryły naruszenie kadłuba i komputer odcinał już najpewniej sekcję, alarmując równocześnie załogę.

Trzy kundle podpięły przenośną służę abordażową, by powstrzymać ucieczkę powietrza, zapanować nad szalejącym ciśnieniem i przekonać komputer, że sytuacja została unormowana. Gdyby znali język, w jakim został zaprogramowany, mogliby się włamać do systemu. Nie zaryzykowali jednak zainfekowania systemów okrętu – zbyt mało o nich wiedzieli.

Maska zabronił im ryzykować poważnych uszkodzeń.

Gdy Sylwian zameldował, że lądowanie kadłuba dobiegło końca, Soruz kończył już otwieranie drzwi hangaru. Wskoczyli na korytarz, Soruz i Mallek jako pierwsi. Tym razem byli uzbrojeni. Małokalibrowe pociski karabinów szturmowych skonstruowanych specjalnie do walki na pokładach okrętów kosmicznych nie powinny spowodować nieodwracalnych szkód wewnątrz, nie dałyby rady przebić kadłuba. Nie poradziłyby sobie też z pancierzami bojowymi wysokiej klasy, kundle nie spodziewały się jednak znaleźć tutaj niczego takiego.

– Ochrona powinna już tu być – zauważył Sylwian.

– Na okręcie Cesarzkich owszem. Diabli wiedzą, jakie tutaj mają procedury – odparł Soruz. – Kawalerzysto, nie rwij się tak naprzód! Ubezpieczasz tyły!

– Tak jest! – mruknął Kostek nadzwyczaj niezadowolony, że wciąż nie oddano mu pancerza, ucieszony jednak z powrotu kombinezonu.

Posuwali się dość ciemnym korytarzem, ostrożnie stawiając stopy na miękkiej, pokrytej karłowatą roślinnością podłodze. Kombinezony chroniły ich przed ewentualnymi toksynami, ale Soruz przypomniał na wszelki wypadek pozostałym, by niczego nie dotykać.

Co za dziwny okręt!

Przypominał żywą istotę. Podłoga, ściany, a nawet sufit były porośnięte ubogą, skarlałą roślinnością, pośród której uwijały się małe istoty. Owady? A może dostosowane do potrzeb okrętu symbioty?

Soruz próbował przypomnieć sobie wszystko, czego o cywilizacji wczesnej innergetyki dowiedział się od Maski. Wspecjalizowany umysł podpowiadał mu dane dotyczące potencjalnych broni i zagrożeń. Gdy rodziła się innergetyka, ludzkość eksperymentowała z biocybernetyką i biotechnologiami, próbowała dostosować do siebie świat, zmuszając nawet bakterie i wirusy, by dla niej pracowały. Przekształcano układy nerwowe mrówek i termitów, programując całe owadzie społeczności tak, by służyły człowiekowi. Czy mogły być groźne? Nawet gdyby rój przetworzonych pszczół lub wytresowana mrówcza horda zaatakowały teraz

grupę Soruza, nie pokonałyby kombinezonów.

A wirusy? Na wszelki wypadek nie podnosili osłon hełmów.

Wiele wskazywało na to, że tutejszej fauny i flory nie przekształcono w modele bojowe, stosując raczej programy pionierskie i dostosowując życie, by radziło sobie w skrajnie trudnych warunkach. Soruz wolał jednak nie ryzykować. Równie dobrze jak wojskowy rój mogły zabić ich obce bakterie służące tu wzmocnieniu odporności roślin albo uzdatnianiu powietrza. Tubylcy Powolnej Floty ostrzegli Maskę, że wierni to swoista grupa, która zdążyła już ewoluować na własny sposób. Mogli nawet oddychać jakimiś toksynami.

Pierwszy opór napotkali po pięciu minutach za kolejnymi wrotami. Korytarz był już tam jaśniej oświetlony, a roślinność bujniejsza. Ktoś, kogo w pierwszej chwili wzięli za dziecko, za pomocą prymitywnego narzędzia kosił wyrosłe na około pół metra zboże. Widząc piątkę opancerzonych olbrzymów, rolnik wyprostował się powoli, chyba nie bardzo wierząc własnym oczom. Wreszcie zaczął krzyczeć, cisnął w nich swoim prymitywnym narzędziem i rzucił się do ucieczki. Soruz uchylił się, odruchowo dopadł malca jednym susem, przyciągnął do siebie i uwolnił poprzez rękawicę środek usypiający do jego organizmu.

– To nie dziecko – zaskoczony odczytał meldunek medyczny, jak kombinezon przekazał mu bezpośrednio do mózgu. – To dorosły. Oni tu są tacy maleńcy. Oj! I krusi! Złamałem mu rękę i żebra!

– I to by było tyle, jeśli chodzi o nierobienie im krzywdy. – Mallek się skrzywił. – Cholera, pozabijamy ich byle dmuchnięciem!

2

Maska przyglądał się wszechświatowi ze świątyni *Ogrodu*. Przeznaczono na nią pokład widokowy, specjalnie zbudowany dla tego jednego okrętu. Dzięki temu, jak wytłumaczył mu pasterz, można tu było szczególnie kontemplować piękno i wielkość Boga.

Siedzieli na niezbyt wygodnych matach w niemal całkowitych ciemnościach rozpraszanych jedynie mizernym blaskiem mrowia gwiazd, z których żadna nie znajdowała się na tyle blisko floty, by oferować im coś więcej. Trasę przelotu specjalnie dobrano tak by omijać układy, które planowano wówczas zasiedlać przez dysponujących innergią niewiernych. Dodatkowo wydłużyło to i tak niekrótką podróż. Wyznawcy Boga zdawali się tym jednak nie przejmować.

Masce także było wszystko jedno, kiedy dotrą do swego celu, byle nawiązali kontakt ze Wspólnymi Przestrzeniami, upomnieli się o swoje prawa, a najlepiej pozwolili mu na ich reprezentowanie.

– Kosmos, ostatnia granica – odezwał się pasterz *Ogrodu* i ku zaskoczeniu Maski zachichotał.

– Nie rozumiem, wasza świątobliwość.

– Och, to taki prywatny żart, jeszcze ze starej Ziemi. – Adam się uśmiechnął. – Trudno będzie go panu zrozumieć. Zawsze przy przebudzeniu staram się znaleźć chwilę, by tu posiedzieć. W imię wspomnień z dzieciństwa. Bo wie pan, też kiedyś byłem dzieckiem. Trudno w to uwierzyć, prawda?

– Stara Ziemia – skorzystał z okazji Maska. – Wasza świątobliwość dobrze ją pamięta?

– Dla mnie to ledwie kilkanaście lat, zagubiony synu. Czy bardzo się zmieniła?

– Nie wiem, wasza świątobliwość. Nikt tego nie wie. Ziemia została... ukryta.

– Ukryta? – Reakcja pasterza wydała się Masce osobliwa. Kapłan jedynie uśmiechnął się lekko, jakby ta wiadomość nie stanowiła dla niego zaskoczenia. Wiedział? A jeśli tak, to skąd? A może wszystko to było jednym wielkim oszustwem? Ale po co? – Jakże to, ukryta?

– Wszystkie zapisy dotyczące umiejscowienia Ziemi, całego Układu Słonecznego, zostały zniszczone. Nie pamiętają ich nawet zmarli, którzy przenieśli się już całkiem do innoświata. To jedyny przejaw ingerencji bóstw w świat ludzi, jaki znamy. Bardzo niepokojący.

– I nie próbowaliście jej szukać? Jestem pewien, że to możliwe.

– Traktat z bóstwami przewiduje uszanowanie woli Gai, a to ona najpewniej stoi za tym wszystkim. Ja... – Maska udał wahanie – ...staralem się szukać Ziemi. Jednak moje środki są na to zbyt skromne. Istnieją pewne tropy, ale nie można dotrzeć do Ziemi przez innoświat. A nie znając dokładnych koordynatów, przy użyciu konwencjonalnych silników podróżowałbym nawet dłużej niż wy.

– I przybył pan tu, licząc, że zdradzę mu lokalizację?

– Była to jedna z możliwości. Wasza świątobliwość musi pamiętać, że nie wiedziałem prawie nic o was i waszej religii.

– Tak, tak.. Wszystko o nas jest ukryte, utajone. Boją się nas ci wasi bogowie. Oj, boją! Dam panu te namiary, nam one na nic. Nie moglibyśmy teraz ich wykorzystać, nawet gdybyśmy chcieli. Nalegam jednak, byście przyłączyli się do nas. Nasze życie może teraz wydawać się panu puste, pozbawione celu. A i ci heretycy nie przyczyniają się do poprawienia naszego obrazu. Zapewniam jednak, że to tylko pozory. Materialne pozory. Dla pańskiej duszy najważniejsze są pokora, pokój. Oddanie się Panu, zaufanie Mu. Ta podróż to tylko chwila. Przybędziemy do nowego świata i wzniesiemy Nowe Jeruzalem. I będziemy żyć dla chwały Pana i dobra naszych nieśmiertelnych dusz, prawdziwych dusz, nie tych jarmarcznych oszustw.

– Innergetyczne dusze nie są prawdziwe?

– Dusza nie jest czymś mierzalnym, możliwym do kopiowania czy zapisania. To tchnienie Boga, prawdziwa iskra życia w człowieku. Więcej niż jakaś tam energia z innego wszechświata. Wie pan, gdy odkryto innergię i zaczęło się całe to kłamstwo, teologowie całego świata zastanawiali się, czy istoty, które nazywacie „bogami”, nie są przejawem działania diabła kradnącego sprytnie ludzkie dusze. Takie raczej folklorystyczne myślenie, ale przez niektórych brane całkiem na poważnie. Na szczęście szybko zdano sobie sprawę, że samo takie myślenie umniejsza Boga. Jakżeby to – dusza miałaby być czymś niemal materialnym, zdolnym do zaprogramowania? Nie, diabeł, i owszem, działa przez waszych bogów, ale subtelniej. Zwodzi, ma obietnicą fałszywego wiecznego życia, zafalszowuje definicje duszy i wieczności. Tak mało i tak wiele.

– Jesteśmy ścigani – przypomniał Maska, którego nie interesowały problemy teotechniczne. Odrzucił kapłaństwo właśnie dlatego, że cenił konkret i prostotę działania. Magowie nie musieli się wikać w ideologie i przykazania, po prostu robili swoje. – Nawet jeśli ukryjemy się u was, nasi potężni wrogowie zażądają wydania nas.

Pasterz westchnął głęboko, ciężko.

– Jakimż próbom poddajesz nas, Panie! – Uniósł ręce w teatralnym geście. I zaraz potem ponownie zaskoczył Maskę kolejnym uśmiechem. – A myśleliśmy, że wystarczy zamknąć się w tych latających katakumbach i uciec. Teraz widzę, że w istocie Bóg cię nam przysłał, zagubiony bracie. Gdy byłem dzieckiem, uczono mnie, że ścieżka szatana jest prosta i przyjemna, ścieżka Boga zaś najeżona trudnościami i wyzwaniem. Uświadomiłeś mi, że próbowaliśmy wykiwać i Boga, i diabła. A teraz ty przynosisz nam błogosławieństwo wyzwania. Dobrze więc, przyjmijmy je. Słyszałeś o prawie azylu, zagubiony bracie?

Maska pokręcił głową.

– W dawnych, naprawdę dawnych czasach człowiek, który uciekł przed prześladowaniem, a choćby i przed prawem, do świątyni, mógł w niej pozostać bezpieczny. Nie wolno było go tam ścigać. I oto teraz ty powołałeś się na to starożytne prawo. Myślę, że powinniśmy dochować mu wierności.

– Ci, którzy mnie ścigają, raczej się nim nie przejmą, wasza świątobliwość.

– Dlatego twoja wizyta jest błogosławieństwem, zagubiony bracie! – zawołał pasterz, wstając.

– Ścieżka Pańska nie może być łatwa. Chodź, pozwólmy odpocząć Bogu i zburzmy fałszywy spokój moich braci. Jestem pewien, że wpłynie to na nich oczyszczająco.

05:49:56:12

Co za okręt! Co za ludzie!

Istnieje najwyraźniej jakieś pokrewieństwo pomiędzy żołnierzami wszystkich czasów i światów. Drugi oficer *Eliasa*, Ricker, jak się dowiedziałem, niegdyś, jeszcze na Ziemi, pilot wojskowy, szybko znalazł wspólny język z Pniakiem.

Podczas gdy ja trzymam się ich, starając się pogłębiać kontakt, ci dwaj dogadują się niczym starzy znajomi. Ricker jest wyższy stopniem od Pniaka, ale zdaje się, że nie robi mu to żadnej różnicy.

Przez chwilę przysłuchiwałem się ich rozmowie – krążyła wyłącznie wokół służby, skupiała się na porównywaniu doświadczeń, także bojowych – Ricker brał udział w jakichś starożytnych wojnach.

Najpierw Pniak chciał się upewnić, czy jego człowiek uprowadzony przez fanatyków będzie bezpieczny. Odpowiedź chyba go uspokoiła, choć wcześniej Masce z trudem przyszło przekonanie go, by nie brał udziału w akcji ratunkowej.

W pewnym momencie Pniak zapytał o kobiety, chciał wiedzieć, czy służyły także w regularnej armii czy tylko we flocie.

– Służyły, gdzie tylko chciały – odpowiedział, uśmiechając się Ricker. – U was tak nie ma?

Pniak pokręcił głową.

Ja mógłbym opowiedzieć Rickerowi o przyczynach tak wyrazistych podziałów społecznych, o tym, jak pod wpływem rewolucji innergetycznej odżył i klasyczny patriarchy, bowiem istnienie bóstw przewartościowało sposób postrzegania świata i modeli społecznych.

Przeprowadzałem kiedyś wywiad z socjologiem zaśmiewającym się z żartu, jaki sami sobie zrobiliśmy, i z mocy nomenklatury. Gdybyśmy nie nazwali innergetycznych istot „bogami”, nie wracając do klasycznie centralizowanych małych grup społecznych, rozwój społeczny mógłby potoczyć się inaczej. Okazaliśmy się jednak szalenie podatni na magię nazw i powróciliśmy do obyczajów sprzed rewolucji przemysłowej. Wydaje się to tym zabawniejsze, że nawiązanie kontaktu z pierwszą boginią, Gają, wywołało eksplozję popularności ruchów matriarchalnych.

Nie odzywam się jednak. Wolę pozostać milczącym obserwatorem, niech ci dwaj sami budują porozumienie.

– Byli dobrymi żołnierzami? – dociekał Pniak.

– Zazwyczaj. Lepsze i gorsze, tak jak my. Może trochę bardziej niezależne od mężczyzn, lepsze jako oficerowie niż szeregowcy. U was naprawdę nie służą?

– Nie wyobrażam sobie baby w mojej dziesiątce – parsknął Pniak – Choć mam takiego jednego, nazywamy go Rachuba, który jest tak rozkapryszony i niesubordynowany, że czasem się czuję, jakby jednak służyła pode mną kobieta!

Uśmiechnął się wtedy, ale Ricker chyba nie zrozumiał żartu.

Może w jego czasach nie istniał stereotyp kapryśnych, niepoważnych kobiet? A może kieruje nim lojalność wobec koleżanek?

– Tyle lat! – zmienił pospiesznie temat Pniak – Nie żal ci?

– Dla mnie to ledwie osiem lat. Nawet nie całe. – Tym razem Ricker się uśmiechnął. – Wybudzają nas co dziesięć lat, dyżur trwa dziesięć dni, chyba że zdarzają się alarmowe wybudzenia. Jak startowaliśmy miałem dwadzieścia osiem lat, teraz mam trzydzieści sześć. Dotrę na miejsce lekko po czterdziestce.

Porzucam ich dla Józefa, kapłana, którego przydzielono nam do pomocy. To zabawny człowiek. Nakazano mu chyba zachowywać dystans i milczeć tajemniczo a podniósł, tymczasem z trudem hamuje ciekawość. Podслуhuje ukradkiem rozmowę żołnierzy, zerka też niby ostrożnie na mnie. ~~Nie wolno mi przegapić takiej okazji.~~ Pytam, czy pamięta Ziemię.

Oczywiście, że pamięta! Ziemia to... Przez chwilę brakuje mu słów, potem wzdycha, wznosi oczy ku górze, wiedziony planetarnym odruchem szukania tam tego, co teraz rozpościera się wszędzie wokół.

– Ziemia – odzywa się po chwili – to dziwne miejsce. Święte i zwyczajne zarazem. Myśl o niej dodaje mi sił, bo widzę, że jest tak jak w naukach świętego Pawła, że świętość może wyrastać ze zwyczajności, że można być świętym i zwyczajnym jednocześnie.

Nie jestem pewien, czy rozumiem, co to znaczy „być świętym”. Pytam go o to, a on patrzy na mnie zdumiony

– Nie macie świętych?

– Mamy święta. Takie specjalne dni. „Święty” może być spokój i „świętymi” nazywamy ludzi o niewyczerpywalnej cierpliwości. Mamy „świętych obcowanie”, ale to przywilej cesarza, który czasem umożliwia rozmowę ze zmarłymi. Czy wasi „święci” to zmarli?

Może to mój translator nawala? Może kapłan używa zupełnie innego słowa, a ja otrzymuję jedynie najbardziej zbliżone tłumaczenie? Co za nieznośne ograniczenie! Jak mam pokazać innego człowieka, skoro nie mogę go poznać? Przepelnia mnie odwieczne, podstawowe pragnienie reportera – pokazać innego. Tak naprawdę nie potrzeba do tego zrozumienia, wystarczy odpowiednia obserwacja i opis, który powie coś odbiorcom. Ale ja, prywatny ja, nie reporter Stacji, ja chciałbym choć trochę pojąć tych ludzi!

– Niewyczerpywalna cierpliwość – powtarza brat Józef. – Zatem coś zapamiętaliście. „Święty” to człowiek powołany do specjalnych relacji z Bogiem. Tak, o którym wiemy, że z pewnością

odejście do Boga.

Powstrzymuję żart, że w takim razie u nas wszyscy są święci, ~~bo każdy w naszym świecie ma taką pewność.~~ Odważam się za to zapytać go, jak to jest: żyć w cieniu świadomości śmierci.

Odpowiada długo i zagmatwanie.

Rozumem z tego tyle, że uważa, iż umrze tylko jego ciało, a oczyszczona dusza będzie żyć wiecznie. Różnic między nami nie dostrzegam i mówię mu o tym, cały czas się obawiając, że mogę go rozgniewać.

Tłumaczy, że jego Bóg jest jedyny i wszechmocny, nieograniczony. ~~Taki nadbóg, który nie potrzebuje dowodów swego istnienia, bo ważniejsze są dlań wiara i zaufanie. Trudno mi to pojąć, wtedy on tłumaczy, że wiara to łaska, a zaufanie to stopień do przekroczenia. Bardzo to wszystko skomplikowane i zbyt trudne dla większości odbiorców, realizatorzy Stacji i tak wycięliby te fragmenty~~

Wracam do pytania o Ziemię.

– Tęsknię za nią – przyznaje. – To zabawne, bo przecież nie mam czasu, żeby tak tęsknić. Obsługa techniczna jest budzona na dość częste dyżury, ale ja? To moje piąte wybudzenie. Mojej służby na *Ogrodzie* nie zebrałyby się nawet dwa miesiące. Nie minęło więc dla mnie wiele czasu, a jednak tęsknię. Może dlatego, że wiem, iż nigdy na nią nie wrócę?

– Ma brat coś, za czym tęskni szczególnie? Może za rodziną?

– Cała moja rodzina leci razem ze mną. Prawie cała, ci najbliżsi w każdym razie. Nie rozmawiałem z nimi, oczywiście, od chwili startu, nie budzimy kolonistów. Ale to na razie tylko te niepełne dwa miesiące rozstania. Nie, jeśli za czymś tęsknię, to za drobiazgami. Wie pan, nagle codzienna, nudna i niezauważalna wcześniej droga do pracy stała się czymś niesłychanie ważnym, pełnym szczegółów. Jestem w stanie wymienić wszystkie budynki, jakie mijalem, jadąc do niej, choć wydawało się, że nawet na nie nie patrzyłem. Taka zwyczajność stała się symbolem mojej Ziemi. Jaktam jest teraz?

– Nie wiem, nigdy na niej nie byłem – odpowiadam, uświadamiając sobie, jak bardzo oni są odcięci od świata.

Czy mu powiedzieć? Jak?

– Ziemia to pewnie teraz peryferie waszego świata? Nie ma na niej nic interesującego? – patrzy na mnie z zaciekawieniem.

Szok, zdumienie, pewnie będą nieźle wyglądały w materiale. To dobry punkt na uderzenie. Potrzebuję czegoś takiego po tej chwili oddechu, jaka nastąpiła po porwaniu drugiej klipy. Powiem mu, że nikt nie wie, gdzie jest Ziemia, i że nikt z żywych ludzi nigdy na niej nie był. Część wręcz zapomniała, że ta planeta, kołyska ludzkości, którą on opuścił wedle własnego poczucia czasu niespełna dwa miesiące temu, kiedykolwiek istniała. Wielu ma ją za mit. Powiem to i skupię

Tak, to będzie dobry moment na cięcie.

4

Kiedy kundły wpadły ich ratować, Pies i Irina bawili się z dziećmi pod okiem Włodzimierza. A właściwie pozwalali dzieciom wchodzić sobie na głowę – tyleż w przenośni, ile dosłownie.

Gromada dzieciaków, po początkowym onieśmieleniu, zachęcana tak przez Włodzimierza, jak i przez jego gości, oddała się zabawie z już bardziej śmieszącymi je niż groźnymi wielkoludami. Przybysze przykłęki, by nie onieśmielać dzieciaków wzrostem.

Pierwszy odważył się szczupły chłopiec o szarym meszku zastępującym bujną czuprynę. Pies nawet nie próbował zgadywać, ile mógł mieć lat. Podszedł ostrożnie i z możliwie bezpiecznej odległości wyciągnął rękę, by dotknąć palcem twarzy Psa. Kontakt trwał ledwie pół sekundy, bo chłopczyk zaraz uciekł, ni to śmiejąc się, ni krzycząc.

Reszta dzieciarni w pierwszym odruchu odskoczyła od niego i rozproszyła się, by zaraz powrócić, otoczyć bohatera i pogrzyźć się w szeptanych dyskusjach.

Wreszcie znów wypchnęli go przed siebie. Obrócił się jeszcze, popatrzył na nich, czy to z politowaniem, czy z urazą, i ponownie podszedł do Psa, wyciągając dłoń. Pies też ostrożnie wyciągnął ku niemu rękę.

Brakowało mu doświadczenia z dziećmi.

Gdyby tu był Rachuba, pewnie już by się tarzał z tą zgrają niczym z najlepszymi kumplami, a one traktowałyby go jak swojego. Rachuba potrafił takie rzeczy – nie tylko odnajdywał się szybko w każdym towarzystwie, ale i wszędzie znajdował jeśli nie przyjaciół, to kompanów i współników. Miał też podejście do dzieci. Pies niejednokrotnie obserwował, jak mały żołnierz odnajdywał urwisów w wiosłach i miastach, przez które przechodzili lub które zdobywali, i błyskawicznie znajdował z dziećmi wspólny język. Nie chodziło tu tylko o czekoladę, którą obdarowywał, Pies przecież też miał czekoladę i też nie żałował jej maluchom. Nie, Rachuba po prostu umiał nawiązać kontakt, rozmawiać swobodnie i – koniec końców – wyciągać od nich informacje, na których mu zależało. Nie po raz pierwszy Pies przyłapał się na pełnej zazdrości myśli, że prostym ludziom żyje się też znacznie prościej.

Chłopiec przejął inicjatywę. Po chwili wahania ujął dłoń Psa, choć jego małe rączka

zdolna była objąć jedynie dwa palce żołnierza. Zamarli tak na moment, który trwał, aż Włodzimierz roześmiał się wesoło, zawołał coś do dzieci i na Psa i Irinę spadła rozkrzyczana radośnie chmara.

Gdy kundle wpadły ich ratować, Pies spod bezpiecznej, chaotycznej osłony rozwrzeszczanej dzieciarni obserwował ukradkiem Irinę.

Wysoka i muskularna zachowała jednak zwinność i urodę ruchów. Ciemniejące ku barwie kasztanów włosy przycinała krótko, choć nie przy samej skórze, jak męskie kundle. Dzięki temu stać ją było nawet na coś w rodzaju grzywki nad czołem, która, gdyby Pies wysilił wyobraźnię do granic możliwości, mogłaby pokusić się nawet o pewną niesforność.

Wyraziste kości policzkowe przydawały twarzy Iriny pozoru dzikości. Pies patrzył z przyjemnością na jej mocno, jak na kobietę, zarysowaną szczękę i niewielkie, acz wydatne usta, długą zgrabną szyję i wąskie, ale wcale nie małe oczy.

Śmiała się przekomarzała z dziećmi, jak Pies nigdy by nie potrafił. Wydawała się poświęcać brzdącom całą uwagę, zdołała jednak pochwycić spojrzenie Psa, co go zmieszalo, może i spodziewanie, ale i tak ponad miarę. Ona się roześmiała, a on chwycił jakiegoś chłopca i uniósł w górę, zataczając nim krąg ponad głowami pozostałych. Dziecko popiskiwalo z uciechy, a jego koledzy wyciągnęli do Psa ręce, wołając coś, co musiało oznaczać: „Mnie też! Mnie też!”.

Zanim kundle wpadły ich ratować, Włodzimierz zdążył już wygłosić kwestię, dla której zorganizował to spotkanie.

– Te dzieci – zawołał do Psa – nie mają przyszłości! Dojrzeją zbyt szybko i zbyt szybko się zestarzeją i umrą, zostawiając po sobie potomków jeszcze bardziej odwykłych od życia w normalnym świecie. Ich wnuki albo prawnuki już w ogóle nie będą zdolne do życia na planecie. Całe pokolenia będą zmuszone żyć w środowisku statku, który będzie się przecież starzał, zużywał. Korodował i rozpadał. Te dzieci stanowią część upośledzonej ewolucji, ślepej uliczki. Ewolucja ku zagładzie, sły szaleś kiedyś o czymś takim, przyjacielu?

Pies nie słyszał. Zdążył jeszcze pomyśleć: Ty cwany skurwielu, i uciec od ponurych myśli ku widokowi Iriny okraszonemu radością dzieci.

Kiedy więc kundle wpadły ich ratować, zastały Psa i Irinę w śmiechu i radosnym zamieszaniu. Pies wciąż jeszcze czuł się zakłopotany, Irina wyglądała na zadowoloną, wręcz szczęśliwą – wszyscy krzy czeli wesoło i śmiali się głośno. Cały ten harmider ucihł w jednym momencie, tak wielkie wrażenie zrobiło przybycie olbrzymów w hełmach o ciemnych okularach i kombinezonach dostosowujących ich kolorom do tła otoczenia, najeżonych zabójczą aparaturą.

Potem dzieci znów zaczęły krzy czeć.

I chować się za Psem i Iriną, którzy zareagowali odruchowo – zasłaniaли je. Nie z obawy przed napastnikami, oboje przecież rozpoznali kombinezony żołnierzy Maski, Irina mogła pewnie nawet

powiedzieć, kto kryje się pod hełmami. Nie, chcieli choć trochę uspokoić dzieci, nagle poczuli się do tego zobowiązani.

Ty skurwielu, pomyślał znów Pies.

Dzieci wciąż kulily się za nim. Część z nich nie zdążyła się już tak schować, te zostały z przodu, wtulając się jednak w Psa i Irinę.

Kundle zatrzymały się, niepewne, co robić. Nie przybyły tu walczyć z dziećmi, a tymczasem ci, którzy miały ratować, byli teraz otoczeni zgrają tulących się do nich żywych tarcz.

– Soruz, spokojnie – uratowała ich wszystkich Irina. – Nic tu nikomu nie grozi. A straszysz dzieci. Wycofaj się ostrożnie. Dołączymy do was. Prawda, Włodzimierzu?

Wstrząśnięty wierny przytaknął gorączkowo. Już się nie uśmiechał.

– Pójdiesz z nami! – warknął Pies. – Będziesz miał okazję porozmawiać z tym, kto rzeczywiście podejmuje decyzje.

– Kaler, masz łączność z szefem? – Irina uwalniała się ostrożnie od dzieci, głaszcząc je wciąż po głowach. – Daj mi go! Jest coś, o czym musi usłyszeć jak najszybciej!

Kiedy już uratowani przez kundle wycofywali się z korytarza, dzieci wciąż płakały. Pies odwrócił się jeszcze i pomachał im, mając nadzieję, że może uspokoi je ten gest. I tam właśnie, w ciemnym korytarzu, pod eskortą opancerzonych olbrzymów, wciąż składając meldunek Masce, Irina ujęła jego dłoń w swoją rękę, większą i kryjącą obce, zakazane technologie. Bardziej miękka niż się spodziewał. Ciepła.

Powiniem się był z nią wtedy bić, pomyślał. Lepiej byśmy oboje na tym wyszli, gdyby spuściła mi manto!

5

Maska przytknął oczy, gdy oddział ratowniczy nawiązał z nim kontakt. Siedział na zebraniu pasterzy i wysłuchiwał ich sporu. Większość patrzyła na niego wrogo, także ze strachem. Zagrożenie, które na nich sprowadził, tylko Adamowi wydało się okazją do oczyszczenia. Pozostali najchętniej pozbyliby się maga z okrętu, wykłeli go i z powrotem dali się pozamarać.

Prawdę mówiąc, cały ten projekt wydawał się Masce od samego początku utopijny. Nie wierzył, by przebudzone, nawet nie w pełni i za pomocą prymitywnej techniki, bóstwo terraformujące Nowe Jeruzalem mogło wiecznie pozostawać na poziomie sługi. Jeśli nie

przebudzi się ostatecznie samo, nauczywszy się myśleć na podobieństwo ludzi, obserwując, jak żyją, jeśli nawet nie ujmie się za nim żaden ze starszych braci, kiedyś w końcu jakiś człowiek dotrze wreszcie do niego i odda mu się, skuszony wizją wiecznej szczęśliwości. I cały plan weźmie w łeb, chyba że znowu dokąds uciekną.

Zastanawiał się, czy mógłby im przedstawić jeszcze jedną możliwość. Sam jednak nie był jej pewien, w dodatku mogliby zareagować w sposób, jakiego nie mógł przewidzieć. Nie, zdecydowanie lepiej będzie trzymać się pierwotnego planu. Zachowywanie asów w rękawie i planów awaryjnych zawsze dotąd wychodziło mu na dobre. A za stary już był na zmienianie zwyczajów.

– Tu Irina. – Słowa żołnierki rozbrzmiały mu w głowie. – Jest coś, o czym muszę zameldować.

– Coś z Psem? – zaniepokoił się.

– Nie... – Nie kłamała, jednak jej głos wydał się magowi nieco dziwny. – Akcja przebiegła bez strat. Chodzi o przywódcę wiernych, Włodzimierza. Porwał nas, żeby przekazać własną propozycję.

– I dysponować monetą przetargową, nie zapominajmy o tym. Mam nadzieję, że nie poczułaś sympatii do porywacza? Dokonaj samooceny!

– Zagrożenie nie istnieje. Pies twierdzi, że to kawał cwane go drania, i moim zdaniem to właściwa ocena.

Ach, Pies! – zrozumiał nareszcie Maska.

– Jakie są propozycje tego Włodzimierza?

– Poparcie, jakiego zechcemy, w zamian za udział w jego przekręcie. Chce, żebyśmy przerzucili okręty wiernych do celu, jak szybko się da. Oni się tu degenerują, za kilka pokoleń nie będą zdolni do życia na powierzchni.

– Rozumiem. I chciałby zapewne utrzymać to w tajemnicy przed resztą floty?

– Chciałby to utrzymać w tajemnicy nawet przed własnymi ludźmi.

– Nie rozumiem.

– Włodzimierz oszukał część z nich, mówiąc, że żyją tak, jak żyją, bo reszta floty uległa zniszczeniu. Utrzymuje ich też w przekonaniu, że podróż zbliża się do końca. W przeciwieństwie do nich poddaje się, wraz z kilkunastoma ochroniarzami, zamrażaniu i tylko wizytuje swoje królestwo od czasu do czasu. To głębszy spisek. Opiszę wszystko w raporcie, teraz chciałam jedynie, żeby znał pan jego propozycję.

– Rozumiem. Jakty ją oceniasz?

– Będzie zdany na naszą łaskę i niełaskę. Ale to przebiegły drań, będzie coś knuł.

– Rozumiem. Jest z wami?

– Tak

– Trzymajcie go na razie na pokładzie barki. W razie czego wezwę was z nim tutaj.

– Tak jest.

– Coś jeszcze?

– To wszystko.

Pasterze wciąż się spierali. Dla Maski zaskakujące było, jak nieistotne kwestie poruszali. Kilku upierało się przy jakichś niezrozumiałych dla niego dogmatach teologicznych, Adam przeskakiwał z tematu sumienia na konieczność apostołstwa i wciąż powracał do swojej „czystej ciernistej drogi”. Chudzielec o imieniu Piotr co chwilę zabierał głos, by przypominać starożytne legendy, a to o męczennikach, a to o krucjatach.

W jakim świecie żyli ci ludzie? Jakim światem musiała być Ziemia, skoro te wszystkie brednie wydawały im się tak ważne? Czy z tym Włodzimierzem dałoby się łatwiej porozumieć? Sprawiał wrażenie człowieka czynu i najwyraźniej wiedział, czego chce. Ci tutaj dysponowali jednak większymi aktywami, gdyby doszło do podziału firmy, Włodzimierz przedstawiałby oczywiście pewną wartość jako partner, wciąż jednak poparcie tych tutaj byłoby kluczowe.

– Sumienie! – zawołał pasterz o imieniu Sulejman. – Wciąż mówisz nam o sumieniu, ojczu Adamie! A czy on – wskazał maga – nie powinien kierować się sumieniem i pomyśleć o tym, że nie wolno mu ściągać niebezpieczeństwa na sługi Pana?

Nie można było przegapić takiej okazji. Maska podniósł się z twardego, chyba naprawdę drewnianego krzesła i zabrał głos, nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać.

– Szlachetni świętobliwi ojcowie! – Ukłonił się głęboko i wytrwał w tej pozycji przez kilka sekund. Naturalnie w ukłonie nie przeszkadzał mu nikł. Milczeli. – Przyjmijcie, proszę, moje najszersze podziękowania za to, że zgodziliście się mnie przyjąć i wysłuchać. Ileż radości sprawia mi spotkanie z wami! Jak dobrze jest cieszyć się surowym pięknem waszej wiary! Wiary, która w pozostałej części wszechświata została już zupełnie zapomniana!

– Nie naszą rzeczą jest apostołstwo! – zaprotestował Sulejman, szybko jednak poprawił się, gdy wielu pasterzy spojrzało na niego z oburzeniem. – To znaczy nie w tej chwili! Gdy zbudujemy Nowe Jeruzalem, wtedy tak! Ale teraz jeden powinniśmy mieć cel!

– Możliwe, że to prawda, ojczu – nie pozwolił odebrać sobie inicjatywy Maska. – Czy jednak wasza misja nie jest zagrożona? Powiesz: „Jest tak, bo ty się tu znalazłeś!”. To tylko po części racja. Bas skoro odnalazłem was ja, czemu nie mogą zrobić tego inni? Nic nie wiecie o tym, jak zmienił się świat, nic nie wiecie o ludziach i bóstwach, które na nich paszą tutaj.

– Pasoży tutaj? – powtórzył Adam.

– A tak! Czy wiecie, jak nazywają między sobą relacje z ludźmi? „Ucztą”, świętobliwi ojcowie, „uczta”! To już nie są te prawie zwierzęta, które pozostawały sługami ludzi za waszych czasów. Dziś to one dyktują warunki. Zbudowały nam komfortowe klatki, to prawda. Niemniej to

wciąż klatki! A mnie, ponieważ o tym mówiłem, ponieważ sprzeciwiłem się niewoli, ściga się teraz, by uciszyć na zawsze.

Wzbudził w nich przynajmniej zainteresowanie. Inaczej na niego popatrzeli. Jedni ze współczuciem, inni jak na świętego wojownika.

Zamierzał wykorzystać jednych i drugich.

– To bardzo ważne, co nam pan mówi – nie poddawał się Sulejman, wyraźnie ani nie współczując Masce, ani go nie podziwiając. – Cóż jednak my możemy z tym zrobić? Teraz jesteśmy słabi, nie stawimy czoła legionom szatana. Nie może pan tego od nas wymagać. Potem, gdy zbudujemy Nowe Jeruzalem, wyruszymy na misje i odzyskamy wszechświat dla Pana. Teraz po prostu brakuje nam ku temu środków.

– Tu się mylicie, ojczu. Wasza siła jest większa, niż sądzicie. Ale wraz z siłą przychodzi też obowiązek o czym za chwilę. Pozwólcie, że opowiem wam o potędze, jaką dysponujecie.

Przybliżył im zasady funkcjonowania Wspólnych Przestrzeni i przedstawił ich potencjalne w nich miejsce. To zrobiło na nich wrażenie, przynajmniej na tych, którzy zrozumieli, jak bardzo zmienił się świat. Gdy uciekali z Ziemi, byli nikim, śmiesznymi i fanatykami. Niespodziewanie dla siebie stali się istotną siłą.

– Ale musielibyśmy oddać się we władanie bóstw, czyż nie? – Sulejman pozostawał nieprzejednany.

– Niekoniecznie, wasze świątobliwości. Wystarczy, byście aktywizowali swoją siłę polityczną, żeby Wspólne Przestrzenie zaczęły się z wami liczyć. Ba, wystarczy to już, by nie odważyły się was w żaden sposób zaatakować! Jakie wy będziecie mieć z tego korzyści? Przede wszystkim bezpieczeństwo. Pozostając w ukryciu, nie możecie liczyć choćby na ochronę Wspólnych Przestrzeni, a piractwo, zwłaszcza pod koniec wojny domowej, wciąż pozostaje problemem. Druga, ważniejsza dla was rzecz, to możliwość działalności misyjnej. Bo, choć przykro mi to mówić, świątobliwi ojcowie, ale zaniedbaliście to! Czy to nie czas na powrót? Nie czas na misję? Na apostołstwo? Mówicie, że zachowaliście wiarę i wierność Bogu. Ale, świątobliwi ojcowie, porzuciliście jego dzieci!

Udało mu się ich zawstydzić. Gdyby poświęcali życiu nieco więcej czasu, może nabraliby doświadczenia i cynizmu i stawili mu opór. Ale oni wciąż byli tymi samymi idealistami, którzy porwali się na tę szaleńczą wyprawę. Dla większości z nich minęło ledwie kilka, kilkanaście miesięcy, odkąd wystartowali.

Jeden Sulejman wciąż próbował się stawiać.

– Wszystko to bardzo pięknie – oświadczył. – Ale czy aby to zrobić, nie musielibyśmy upaść w innergię? Czy nie zaryzykowałibyśmy dobra naszych nieśmiertelnych dusz?

– Święci misjonarze, męczennicy ryzykowali życie, niosąc wiarę poganom! – oburzył się

Adam.

– W każdej chwili jestem gotów oddać swe życie w imię Pana! – zawołał z uniesieniem Sulejman. – Ale duszę? Duszę, moi bracia? Duszę!

– Nie będzie takiej potrzeby – pospieszył z uspokajaniem ich Maska. – Świętobliwi ojcowie, czyż musicie opuszczać swoje arki, by nauczać? Czy nie moglibyście zamiast tego pozwolić naszym uczniom przyjść do was? Otworzyć misję tutaj? Nauczać chętnych? Niech przylatują, uczą się i roznoszą wasze słowa. Niech dołączają do was. Jakże dusze wasze mogą być zagrożone, gdy będziecie nieść słowo boże?

Adamowi wyraźnie się to spodobało. Także inni zaczęli na poważnie rozważać propozycję Maski.

– To wymagałoby częstszego i długotrwałego wychodzenia z kriogenii – spróbował jeszcze podjąć próbę ugaszenia narastającego entuzjazmu Sulejman, zyskując sobie uznanie Maski tymi resztkami rozsądku. – A w konsekwencji ryzyko starzenia się i śmierci, nim dotrzemy na Nowe Jeruzalem!

– Ale dotarłoby tam więcej pielgrzymów! – zawołał radośnie Adam. – A starość i śmierć? Czyż nie zapewniałeś nas przed chwilą, bracie, że gotów byłbyś oddać życie dla Pana?

Sulejman otworzył usta, by odpowiedzieć, zrezygnował jednak.

Reszta spotkania upłynęła już raczej na ustalaniu szczegółów niż na negocjacjach.

Maska mógł być zadowolony – nie tylko zyskał sojuszników, ale prawdopodobnie i wyłączość na reprezentowanie Powolnej Floty we Wspólnych Przestrzeniach. To oznaczało bezpieczeństwo, a także nowe wpływy, w obrotnych rękach zaś i stały dopływ gotówki. Jego pozycja została ugruntowana, mógł wreszcie odetchnąć – będzie bezpieczny! O ile jakiś rozczarowany przeciwnik nie zrobi czegoś głupiego, oczywiście. Przed tym jednak także postarał się zabezpieczyć. Wszczęświat był pełen naiwniaków. Wystarczyło tylko nauczyć się nimi grać.

– Kapitanie? – Połączenie z *Merlinem* nadeszło w odpowiedniej chwili.

– Słucham, panie Grode.

– Chyba mamy problem. Zgłosił się do mnie jeden z naszych gości. Ten Rachuba. Jest tu ze mną.

– Czy to coś ważnego? Załatwiam tu dość istotne sprawy.

– Mamy na pokładzie sabotażystę. I zdrajcę. Nie chciałem podejmować decyzji bez pana.

– Dobrze pan zrobił, Grode – zaczął Maska, urwał jednak, słysząc, jak jego pierwszy knie nagle.

– Kapitanie! Nowy problem! Mały statek wyskoczył z innoświata dość blisko was! Leci na was!

– Mały statek?

– Chyba jacht. Wzywamy go do identyfikacji.

– Jacht?

To nie mógł być przypadek. Oczywiście Maska zdawał sobie sprawę, że będą go śledzić i w końcu się ujawnią. Ale już? Za wcześnie, za wcześnie! I dlaczego jakaś mała jednostka, a nie któraś z przyzwoitych w innoświecie flot?

– Jacht, kapitanie. Prawie nieuzbrojony, ale leci prosto na was. O, do diabła! Zaczęło się! Już wyskakują i lecą, na razie za nim. Flota cesarza!

Szlag! Teraz już na nic nie było czasu.

– Grode! Proszę podać komputerowi kod: „cyberjada”! Zaczynamy! Jakszybko tu przyłecą?

Wysłuchał meldunku i zwrócił się ku pielgrzymom.

– Świętobliwi ojcowie! – zawołał dramatycznym głosem. – Otrzymałem właśnie meldunek, że flota Wspólnych Przestrzeni zmierza w naszym kierunku! Okręty dotrą tu w ciągu dwudziestu minut. Czas podjąć decyzję, by ją im ogłosić!

W ostatniej chwili, cholera! Zdążył w ostatniej chwili!

Rozdział 23

1

Nosiciel klasy Legat, okręt flagowy II Floty Wspólnych Przestrzeni *Swarożyc*, tkwił zawieszony w innoświecie wraz z dwoma nosicielami klasy Konsul, sześcioma krążownikami, pancernikiem i dziewięcioma ścigaczami klasy A.

Osiemnastu kapłanów wspomaganych przez dwudziestu magów starało się uchronić załogę przed efektami ubocznymi dłuższego przebywania w innoświecie. Nie potrafili zapanować nad nimi całkowicie, część żołnierzy, zwłaszcza tych pochodzących z uzupełnień, cierpiała na poważne mdłości, stanowiące konsekwencję zaburzeń indywidualnego postrzegania świata. Tam, gdzie nie radzili sobie innergetycy, wkraczali lekarze – podawali żołnierzom łagodne, przeważnie ziołowe środki uspokajające, a nawet, na rozkaz admirała, eksperymentalny lek mający łagodzić objawy zaburzeń innoświatowych, przygotowany za pomocą jeszcze niedawno nielegalnych technik

Dowódca floty, admirał August Sertemp, od kilku godzin odpoczywał w swojej kabinie, pozwalając się niepokoić jedynie adiutantowi i pełniącym wachtę oficerom łączności. Wysłuchiwał ich meldunków, po czym wracał do przeglądania sieci, starając się znaleźć w niej coś na własną rękę. Tym bardziej niezwykle mogło się wydawać, że bez względných ceregieli kazał wpuścić do siebie przybyłego gościa, ledwie ten wszedł na pokład *Swarożyc*a.

Wysłuchał jego fałszywego meldunku, wskazał przeznaczony dla gości fotel, zaproponował coś do picia i nawet – zwolniwszy zaskoczzonego adiutanta – sam napełnił kieliszek odrobiną koniaku.

– Jesteś pan oficerem Służby – odezwał się po chwili milczenia. – Twierdzisz jednak, że reprezentujesz marszałka?

– Tak jest. Rozmawiałem z nim niedługo przed zamachem.

– Czy marszałek żyje? Nic pewnego nie wynika z informacji w sieci. Także moi ludzie nie dostarczyli mi ostatecznej odpowiedzi.

– Kiedy opuściłem dwór, marszałek żył, ale pozostawał w śpiączce. Zginęła natomiast jego żona. Pospólstwo domaga się poddania jej sądowi bożemu i pozbawienia kredytu, może nawet ostatecznemu uśmierceniu. Cesarz wydaje się sprzyjać przynajmniej temu pierwszemu, trwającą negocjacje z bogami.

– O tym nie wiedziałem.

– Niedługo po moim wylocie wybuchły zamieszki. Marszałek okazał się bardzo popularny.

– Zamieszki? Przeciw cesarzowi?

– Skądże. To po prostu eskalacja gniewu. Ludzie są zmęczeni wojną. Myśleli, że mają ją za sobą, tymczasem przydarzyło się coś takiego. Dali upust frustracji i znaleźli kozła ofiarnego, to wszystko.

– Nic o tym nie ma w sieciach. Nawet w sieci floty. – Admirał upił łyk wody, która musiała mu zastąpić alkohol podczas służby. Namyślał się chwilę. – Pan mówisz, jakbyś nie do końca był przekonany o winie tej kobiety.

– Wcale w nią nie wierzę.

– Czy to oficjalne stanowisko Służby?

– Służba nie zajęła stanowiska, panie admirale.

– Oczywiście. Pytam więc o pana zdanie.

– Admirał. – Berak odstawił kieliszek, z którego upił ledwie łyk, a i to dopiero, gdy upewnił się, że alkohol nie zawiera żadnych środków mających oszukać czy przytępić jego umysł lub zabezpieczenia, żadnych wirusów czy nanosond. – Przybyłem do pana, ponieważ niedługo przed zamachem marszałek Grouchon rozmawiał z panem i przedstawił panu pewne propozycje. Rozkazy, a może raczej sugestie. Możemy nazywać to wedle pańskiej woli. Ktoś dokonał zamachu na marszałka, nie wiem kto. Ktoś przedtem dokonał serii zamachów – dokonywał ich przez całą wojnę, może także przed nią. Ten ktoś może stać nawet za wybuchem wojny. Chciałbym wiedzieć, jakie dyspozycje przekazał panu marszałek, musi pan jednak wiedzieć, że podobnie jak pańska, w innoświecie czają się zamaskowane Trzecia i Piąta Flota, tym razem z rozkazu cesarza. Tajnego rozkazu, którego ujawnienie panu jest sprzeczne z wszelkimi dyspozycjami, jakie mógłbym posiadać jako oficer Służby, gdyby informacje o nich dotarły do mnie formalną drogą. Rozumiem, że ma pan pojęcie, admirale, jak wielkiego wysiłku wymaga dłuższe utrzymanie tyłu okrętów w innoświecie?

– Mam pojęcie – odpowiedział głucho admirał. Poczł nagłą suchość w gardle, opróżnił szklankę i natychmiast napełnił ją ponownie. – Co jeszcze pan wie?

– Dwie trzecie Czarnych zostały skierowane na Merkul, ze wsparciem dwóch legionów Cesarzkich. Tamtejsi dowódcy Obywatelskich zachowują się, jakby mieli do czynienia z wrogiem inwazją. Część ich żołnierzy ufortyfikowała się na swoich pozycjach, inni jakby się zapadli pod ziemię. Nieliczni zaskoczeni to niemal wyłącznie świeżo powołani. Przy okazji, wie pan, że na tej planecie doszło do użycia broni innergetycznej?

– Broni innergetycznej? – Admirał sprawiał wrażenie autentycznie wstrząśniętego. – Powstało coś takiego? Kto śmiał?

– Buntownicy, a konkretniej jedna z ich pań generałów, we współpracy z ich bogiem, jak przypuszczamy. Z tego, co wiem, ów bóg odmawia wydania jej duszy, pomimo nacisków, jakie wywierają nań inni bogowie. Wygląda na to, że znajdujemy się na granicy nowej wojny domowej, generale. Jakie dyspozycje pan otrzymał?

– Przecenia pan moje znaczenie...

– Dysponuje pan flotą! Doprawdy trudno to przeceniać.

– Marszałek zwrócił się do mnie jedynie z prośbą, bym się ukrył i obserwował wydarzenia. Miałem czekać, to wszystko. Tylko czekać, aż znów się ze mną skontaktuje. Nie planuję przewrotu i jestem pewien, że Franciszek także go nie planował! Jeśli sądzisz pan, że spiskowaliśmy przeciw Cesarstwu, możesz pan to natychmiast wybić sobie z głowy. Jeśli nie, zrobią to za pana moi prawnicy. Na bogów, nawet Służba nie może być tak bezczelna, by wygłaszać podobne oskarżenia! Zdajesz pan sobie sprawę, że już teraz mógłbym wnieść pozew przeciwko panu i pańskim przełożonym?

– Proszę dać spokój. Nic nie sugerowałem. Przypominam, że rozmawiałem z marszałkiem. Zostaliśmy sprzymierzeńcami. Zechce pan wysłuchać mnie do końca?

2

Jego wysokość Ludwik III, cesarz Wspólnych Przestrzeni, człowiek, na którego barkach spoczywały losy imperium gromadzącego, jak wskazywały ostatnie badania, ponad siedemdziesiąt sześć procent ludzkości, co oznaczało największy i najbogatszy rynek konsumencki w historii, imperator zarządzający niemal całkowicie szczerlnym monopolem innergetycznym,

potomek prezesów i inwestorów, rodów zdobywców przestrzeni, prawodawca, tytularny Pierwszy Innergetyk, reprezentant ludzi na Uczcie, czuł się zaniedbany, oszukany i odsuwany na boczny tor.

Umacniał się w przekonaniu, że idea Odnowy, której pozwolił się uwieść kilka lat wcześniej, sięgała głębiej, niż mu to przedstawiono, i że – być może – długo dawał się wyprowadzać w pole. I to komu! Temu naiwnemu idealście Aubertowi!

Nie doceniał go czy przeceniał? A może zwiedli go starsi cesarze, którzy wydawali się tak skupieni na innoświecie. Czy w rzeczywistości przeniknęli jego plany i knuli przeciw niemu? Z Aubertem? Och, to byłoby nieważne, przeznaczył wszak Auberta na straty. Nigdy jednak nie sądził, że szambelan odważy się otwarcie postąpić wbrew jego poleceniom.

Cesarz został sam. Odchodzili kolejni ludzie, których znał od tak dawna, że mógł żywić nadzieję, iż choć w części go rozumieją, gdy wojna i reforma, nad którą pracował, dobiegną końca. Nie idealści, nie zwykli nudni obywatele uwikłani w ciułanie kredytów, ale podobni mu giganci doceniający to, co osiągnęła ludzkość. Jak Grouchon, pragnący przede wszystkim zachowania stabilności.

– Wyraźnie powiedzieliśmy, że ma pozostać przy życiu! – wrzeszczał na szambelana. – Żywy! Coście narobili, durnie! Głupcy!

Filip Aubert przygryzał przez chwilę górną wargę. Z tak mocnym atakiem ze strony władcy dotąd się nie spotkał. Nawet wtedy, gdy przed laty przedstawiał mu plan oparty na założeniach Odnowy. Pamiętał, jak z trudem panował wtedy nad głosem. Pamiętał własne przerażenie. Był prawie pewien, że cesarz każe go aresztować i postawić przed sądem. Albo może nawet nakaze zabić go po cichu, uprzedziwszy jego boskiego patrona, że przysyła na tamten świat człowieka, którego kredytowi należy się uważnie przyjrzeć. Może nawet skasować. Cesarz posiadał taką władzę – jako jedyny z ludzi mógł sam, bez nakazu sądu, wystąpić do dowolnego z bogów o kasację kredytu. Był to jeden z tych przywilejów, na jakich opierała się jego władza.

Obecnego szambelana od tamtego przerażonego mężczyzny dzieliły dziesięciolecia. Wówczas był nikim, jednym z rzeszy urzędników, ostatnim informatorem Służby. Z czasem stał się jedną z najbardziej znaczących osób we Wspólnych Przestrzeniach, a co za tym idzie, i we wszechświecie.

A jednak kulił się przed rozgniewanym cesarzem.

Bardziej niż strach przepełniał go gniew. Czy po to zrobił to wszystko, by doznawać takiego upokorzenia? Kimże był ten krzyczący na niego mężczyzna? Czy kimś więcej niż tylko spadkobiercą większych od siebie?

Aubert zdawał sobie sprawę, jak bardzo przewyższa władcę. Świadomość ta czyniła obecną sytuację jeszcze bardziej nieznośną. Głowę trzymał więc opuszczoną, jakby było mu wstyd, jakby lękał się cesarskiego gniewu. Wreszcie wykorzystał moment, w którym cesarzowi

najwyraźniej zabrakło słów, by wtrącić:

– Wasza wysokość, ośmielię się zauważyć, że marszałek wciąż żyje.

– Żyje?! – ryknął cesarz, pochylając się nad szambelanem. Miał twarz czerwoną od gniewu i oczy pełne furii. Za wściekłością kryło się w nich jednak coś jeszcze – jakaś niepewność, może strach? – Jest pograżony w śpiączce, na otchłanie! Masz nas za durnia, Aubert? Z takiego stanu się nie wychodzi!

– Zapewniam waszą cesarską mość, że dla współczesnej medycyny jest to możliwe. Utrzymanie marszałka w tym stanie to najlepsze, co można było zrobić. Nie umarł, ale nie może podjąć żadnych działań. Lud jest wzburzony zamachem, możemy więc łatwo podsunąć mu winnego i zyskać miłość ludu, rozprawiając się z nim.

– A jak zyskamy miłość Grouchona, gdy oprzytomnieje i dowie się, że zabito mu żonę? – zawarczał Ludwik III, siadając na powrót w fotelu. – To też wymyśliłeś? Milczysz, Aubert! Nie dziwię się, że milczysz. Bo Franciszek, gdy się obudzi – jeśli się obudzi! – poruszy nieba i ziemię, by znaleźć zabójcę. Prawdziwego zabójcę, Aubert, nie tego nieszczęśnika, którego wybrałeś na ofiarę!

– Wasza cesarska mość mnie nie docenia – odpowiedział Aubert. – Istotnie, śledztwo wykaże, że zabójstwa dokonał adiutant marszałka, Tie, nie zaś jego żona. Lud pograży się w rozpacz i przywdzieje żalobę po niej, tym bardziej że tak chętnie ogłosił ją winną. Co się tyczy adiutanta, śledztwo wykaże, że stanowił narzędzie zemsty generałów. To zaś sprzyja planom waszej wysokości. Akcja na Merkulu napotyka pewne trudności, mogą one jednak co najwyżej opóźnić nasz sukces. Generałowie będą nie tylko pokonani, ale i skompromitowani. Skończeni. Marszałek, gdy wróci do zdrowia, otrzyma niepodważalne dowody i sam będzie domagał się dla nich najwyższej kary. Zapewniam waszą cesarską mość, że wszystko układa się wedle naszych planów. Sam marszałek będzie wdzięczny waszej cesarskiej mości!

– Możliwe, że jest, jak mówisz – zdołał zapanować nad sobą cesarz. – Nie zmienia to faktu, że postąpiłeś wedle własnej woli, nie naszej! Aubert, zastanawiamy się, czy nie urosłeś nadto we własnych oczach.

– Wszystko, co robię, robię dla mego pana. – Szambelan skłonił się głęboko. – Wedle planu, który wasza wysokość raczył przyjąć lata temu i który z takim oddaniem wcieliłem w życie.

– Zejdź nam z oczu, Aubert!

– Jak wasza wysokość sobie życzy. Proszę mi jednak pozwolić wspomnieć o jeszcze jednej, ostatniej sprawie. Ten sługa Oruzonów, Jewgienij.

– Co z nim?

– Przysłuży się nam swym niezależnym śledztwem dowodzącym winy generałów. Można by go wykorzystać i później, zyskując przychylność ostatniego z Oruzonów, zamiast go usuwać.

– Z ulgą przyjmujemy każdy twój pomysł, który ograniczy zabijanie, Aubert. Zajmij się tym i odejdz stąd wreszcie, na bogów!

– Zgodnie z życzeniem waszej wysokości.

Sam! Ludwik III opadł na oparcie fotela, przymknął oczy. Nareszcie sam! Przeklinał porozumienie, które zawarł z tym wężem, Aubertem, ich pakt dający tak wiele władzy tamtemu.

Czy jednak mógł postąpić inaczej? Potrzebował kogoś takiego jak on – przebiegłego a bezwzględniego gracza, jakim był Aubert, urzędnicza szuja, karierowicz bez przeszłości. Podrzednemu szlachetce starczyło przebiegłości i tupetu, by omotać na wpół tajne bractwo podobnych mu szaraków i osiągnąć pozycję dającą pewną władzę. Kto inny może na tym by poprzestał, Aubert jednak wciąż piął się w górę. Jego nieopanowana ambicja niepokoiła władcę od początku, od pierwszego spotkania, gdy dostrzegł szaleństwo w oczach tamtego. To jednak, co czyniło szambelana niebezpiecznym, sprawiło, że stał się idealnym kandydatem do odegrania głównej roli w cesarskim planie.

Reforma Wspólnych Przestrzeni stanowiła konieczność, choć ci nieszczęśni buntownicy sądzili, że cesarz tego nie zauważa. Biedni durnie, którym nie starczyło odwagi, by choć pomyśleć o porządnym załatwieniu sprawy. Tutaj on i Aubert myśleli podobnie. Jeśli reformować, to do końca! Byli sobie niezbędni – Aubert, przy wszystkich swoich zdolnościach, nie dokonałby niczego bez wsparcia cesarza. Ludwikowi III potrzebny był prywatny fanatyk, oszalały rewolucjonista, taki jak Aubert. Połączyła ich konieczność.

A teraz, o krok przed triumfem, zaczęli grać każdy na własną rękę. Kolejne poczynania szambelana, jego arogancja, przeinaczanie poleceń bądź niemal otwarte ich ignorowanie dowodziły tylko rosnącej bezczelności wynikającej najpewniej z przekonania o własnej potędze.

Oczywiście o ile to wszystko będzie miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie, gdy znajdzie uciekiniera.

Otworzył oczy, by spojrzeć na portrety poprzedników. Pochodził z wielkiego rodu urodzonych władców. Jeszcze się od nich nie uwolnił, wciąż czuł tysiącletnie korzenie wrosnięte w duszę, obecne w każdej myśli i decyzji. Czy którykolwiek z nich stał wobec wyzwań, z jakimi jemu przyszło się mierzyć? Może pierwszy, ten, który przygotowywał nowy traktat czyniący cesarza niemal równym bogom. Długo nie pojawił się nikt, kto mógłby się z nim równać.

Aż do dziś.

Wśród wielu rzeczy, jakie nie podobały się Jewgienijowi, jedną z pierwszych stanowiła nieznośna tendencja przeszłości do urządzania mniej lub bardziej spektakularnych powrotów i gryzienia Jewgienija w jego obolałą dupę. Jak to możliwe, że właśnie teraz ten drań, Skoron, wypłynął z dawno zapomnianej przeszłości, kiedy to obaj studiowali w Akademii Służby? Wspólnie podjęli decyzję o jej opuszczeniu. Podczas jednak gdy Skoron wolał zajmować się drobiazgami, Jewgienij wybrał służbę u arystokratów.

Z rzadka kontaktowali się przez ostatnie lata. Czasem Jewgienij dawał dawnemu znajomemu liche zlecenia. Gdy wybuchła wojna, majordomus Oruzonów skupił się tylko na jednej sprawie i odciął od kontaktów z płótkami pokroju Skorona.

A teraz ten pozbawiony ambicji sukсын dotarł do Jewgienija przez Alisę. I w dodatku zdawał się siedzieć w samym środku całej afery!

Jewgienij wysłuchał niecierpliwie relacji siostry. W co ten drań znów się wpakował? Jewgienij nie lubił zbiegów okoliczności nawet wtedy, gdy zdawały się mu sprzyjać. Zbyt często wszystko, co nie zostało zaplanowane, okazywało się niebezpieczne.

Potrzebował czasu, by rozważyć, co wnosi ta nowa zmienna. Ale akurat czasem nie dysponował. Starał się dotrzeć do Igora Tie, wymyślając się przy okazji próbującym dopaść go agentem tego, co z Berakiem nazwali „trzecią siłą”. Po tym, jak zginęło dwóch jego pryncypałów, bał się korzystać z siatki Oruzonów, na niewiele mogły mu się też zdać niepewne kontakty Beraka. Był więc zdany na siebie. A teraz jeszcze to!

– Czy on wie? – upewnił się.

– Nie.

Rozmawiali z siostrą za pośrednictwem publicznego innkomu. Sprzętu i umiejętności wystarczyło, by oszukać wszelkie programy starające się odnaleźć go poprzez łącza komunikacyjne, w każdym razie taką miał nadzieję. Zapisy połączeń z klasztorem miały wykazać, że bliżej nieznanemu Jewgienijowi Ucho Tobak, prosty rolnik z planety Seres, odbył rozmowę ze swoją córką Ludmiłą. Nie było to rozwiązanie idealne, ale chyba lepsze od kanałów komunikacyjnych Oruzonów, do których nie można było już mieć zaufania.

Książę, ostatni z Oruzonów, na razie był bezpieczny, jednak Skoron mógł podsunąć komuś trop. Niewiele osób wiedziało o siostrze Jewgienija i miejscu jej pobytu. Majordomus starał się chronić ją przez wszystkie lata, jak się okazało – nie dość skutecznie. Nie pierwszy raz starzy przyjaciele okazali się niezawodni.

– Skontaktujesz się z nim? – zapytała.

Skinął głową. Chyba nie miał innego wyjścia.

– Konieczne są pewne zmiany – oznajmił. – Zbyt wiele się tu dzieje, zbyt wiele ruchu wokół

ciebie. Zrób, jaksię umawialiśmy.

Książę zostanie przeniesiony z klasztoru do innej kryjówki. Znow będzie względnie bezpieczny. Jak to znosił? Z relacji siostry Jewgienij wywnioskował, że młody Oruzon mógł popaść w depresję.

Nie podobało mu się to, nie podobała mu się też bierność młodego księcia. Czyżby zadanie go przerastało? Może śmierć ojca, a następnie – zbyt szybko – brata go złamały? Jewgienij czuł, że powinien być przy nim, tak bardzo brakowało mu jednak na to czasu! Mógł też ściągnąć zagrożenie na swego pana samą swoją obecnością. Skoro zabijali książąt, czemu mieliby zaniechać usunięcia ich sług? Poszukiwano go, tego był pewien.

– Zaczęłam już przy gotowania.

– Dziękuję. Jak zawsze mogę na ciebie liczyć.

– Od tego są siostry. Uważaj na siebie, braciszku. I skontaktuj się ze Skoronem.

– Tak zrobię. Do zobaczenia.

Rozłączył się. I tak zbyt wiele czasu poświęcił tej rozmowie. Wyszedł z kabiny, rozejrzał się dyskretnie. Oczywiście otaczał go tłum ludzi – idealna kryjówka dla uciekiniera, ale i dla łowcy. W tłumie może stać się cokolwiek, można dokonać zabójstwa, kradzieży, porwania i zniknąć. Czy ktoś tutaj zajął się na niego? Chyba nie. Nie sądził, by chcieli zabić go ot, tak. Woleliby go porwać i wcześniej przesłuchać.

Z pewnością nie wysłaliby przeciwko niemu jednego człowieka. Wyszkolony zabójca, jak ten, który zabił młodego księcia, może i dałby mu radę, samotny porywacz na pewno jednak by sobie z nim nie poradził.

Badał tłum, wyszukując wzoru świadczącego o przyszykowanej zasadzce. Tłum to tylko pozorny chaos – masy ludzkie podlegają określonym dynamikom, zawierają konkretne wzory. Gdy pojawia się coś nowego, wspomagane odpowiednimi systemami oko jest w stanie to dostrzec. Jeden człowiek może potrafiłby się ukryć, nie zaburzając dynamiki tłumy. Grupa porywaczy nie miałaby na to szans.

Ruszył przez plac ku hotelowi, w którym mógł skorzystać z kolejnej kabiny inkomu.

Skoron! Co za drań! Co zagnało go w ten konkretny punkt wszechświata, w którym krzyżowało się tak wiele ścieżek? Jakby cała wojna służyła spędzeniu określonych osób w to jedno miejsce. Co to było? A może wszystko to stanowiło jeden wielki przypadek, skutek stawianych po omacku kroków, strzałów na oślep? Jeśli wszyscy wiedzieli zbyt mało i sztykowali własne zasady w obawie przed spiskami innych i w ten sposób nakręcili całą tę aferę, nad którą nikt już nie panował?

– Chciałem rozmawiać z panem Cornellem – oznajmił zgodnie ze wskazówkami siostry, gdy tylko połączenie rozkwitło wokół niego błękitem oznaczającym nie tylko nawiązanie kontaktu, ale i izolację od świata zewnętrznego. Inkom nie zapewniał rzeczywistego przeniesienia się

w innoświat – do tego potrzebne były komory innergetyczne działające na zasadzie podobnej do innergetycznych silników. Obsługiwane przez wykwalifikowanych innergotekników były także kosztowne. Kabina innkomu zapewniała jednak wizualne złudzenia. – Ja w sprawie ogłoszenia. Chodzi o to szkolenie z technik medytacji innergetycznej.

Błękit zafalował przed jego twarzą. Nabral kolorów i głębi, by wreszcie uformować się w obraz kompletnie nieznanego Jewgienijowi mężczyzny. No tak, Skoron też używał pełnego szyfrowania. Wyglądał niczym własny pradziadek owinięty w granatowy szlafrok mający zapewne przypominać szatę starożytnego maga. Detekty w stworzył obraz klasy cznego naciągacza.

– Publiczne łącze? – jęknął fałszywy mag, unosząc ręce nad głowę w dramatycznym geście. – Mój potencjalny wielce szacowny kliencie, czyżbyś ogłupiał na stare lata?

Kłopot z pełnym szyfrowaniem polegał na tym, że obejmowało nie tylko wygląd i głos rozmówcy, ale również specjalnie zaprogramowaną gestykulację, a nawet dobór słów i sposób mówienia. Mogło to prowadzić do nieporozumień, jeśli uczestnicy rozmowy nie przygotowali wcześniej wspólnego kodu. Jewgienij i Skoron posiadali kiedyś taki, ale czy jeszcze działał? Jewgienij odnalazł go w swojej bazie danych, dziwiąc się przypadkowi, a może cudowi, który sprawił, że go zachował. Pozostawało mieć nadzieję, że Skoron okazał się równie głupio sentymentalny. Wpisał kod w swoje postrzeżenie. Ku jego rozczarowaniu obraz się nie zmienił. Albo Skoron jednak był trzeźwiej rozumującym sukinsynem niż on, albo zastosował podwójne, może nawet zwielokrotnione szyfrowanie. Ewentualnie rzeczywiście teraz tak wyglądał.

– Publiczne łącza mają swoje zalety, szacowny panie magu – powiedział. – Na przykład mrowie danych, którymi odpowiednia osoba może właściwie się posługiwać.

– Mówisz jak haker, a nie porządny lokaj – roześmiał się fałszywy mag, a Jewgienij odetchnął z ulgą. Pomimo zachowania iluzji wrokowej głos Skorona zabrzmiał jak za starych czasów. – Zszedłeś na złą ścieżkę, co?

– Nie mam wiele czasu. Mów, jak trafiłeś tam, gdzie jesteś.

– Konkretny i zręczliwy jak zawsze, co? Dobra, bracie. Błąkam się luksusowym jachtem w towarzystwie dwóch ślicznotek, z których jedna jest moją zakłamaną, wodzącą mnie za nos klientką, damą dworu, a druga to takie zakochane biedactwo. Na Merkurzu, wiesz, tej planecie, na której straciłeś pracodawcę, dopadł mnie większy cwaniak, za którym stoi banda jeszcze większych cwaniaków. Bardzo poważny koleś, ewidentne specjalne szkolenie i porządne wzmocnienia.

– Służba?

– Wydaje mi się, że nie. Słuchaj dalej. Ten koleś szuka dokładnie tego samego gościa co moja szefowa, prześliczna damulka, która właśnie odziedzyczyła spadek i bardzo chce odnaleźć swojego zaginionego brata.

– Ten brat to kto?

– Taki nikt. Ostatnio nazywał się Pies, służył w Legionie Urmieńskim, legionista drugiego stopnia, nikt. Cała jego dziesiątka zginęła podczas tajemniczej katastrofy, w której padł i twój książę. I tu niespodzianka: poszukiwany braciszek jakoś się stamtąd urwał.

– Skąd wiesz?

– Z Psem zdezerterował kochaś tej drugiej ślicznotki, która ze mną leci. No i widzisz, przyśnił się jej ostatnio.

– Skoron...

– Nie, czekaj! To był zakamuflowany przekaz innergetyczny. Kochaś nadał, że żyje i tęskni, takie tam. Ale zbadaliśmy dziewczynę i okazało się, że w całym tym miłosnym tekście ukryty był dodatkowy przekaz – koordynaty nadawcy. Zdaje się, że nie do nas adresowane, ale ktoś, kto je nadał, był słabszym mistrzem szyfrowania, niż mu się wydawało.

– Albo chciał was podpuścić.

– Albo to. W każdym razie lecimy. I teraz pomyśl – jakiś nikt, byle żołnierzyna, skupia na sobie uwagę dworu, pewnie nie byle jakiego, oraz tajemniczych fachowców. A do tego ktoś w jego otoczeniu nadaje innergetycznymi kanałami, bogowie wiedzą dokąd, zaszyfrowane dane dotyczące ich położenia. Nie było to adresowane do fachury, który się ze mną skontaktował, bo ten beze mnie nic nie wie.

– Albo tak tobą kręci.

– Albo to, marudo. W każdym razie siedzę w środku czegoś dużego, w co zamieszani są przynajmniej dwaj poważni gracze, a jak na mój nos to i trzej. No to do kogo miałem zagadać, jak nie do mojego starego kumpla, dla którego polityka to chleb powszedni?

– Po przyjacielsku ci powiem: spadaj stamtąd, chłopie.

– A nie po przyjacielsku?

– Mógłbyś mi się przydać.

– To stoisz w kolejce. Ale po starej znajomości mogę cię przesunąć o parę miejsc do przodu.

Mów, o co chodzi.

Po rozmowie z Jewgienijem Skoron przez chwilę się zastanawiał, czy nie nawiązać jednak kontaktu ze swoim nowym zleceniodawcą. Ale co miał mu powiedzieć? „Zbliżyliśmy się do celu, ale po drodze rozmawiałem z paroma osobami, które ukazały mi wszystko w nowym świetle, więc nie jestem pewien, czy w ogóle mam ochotę na dalszą współpracę”?

Życie nie było tak proste.

Na szczęście nie dane mu było myśleć zbyt długo. Luksusowy czy nie, jacht dysponował

ograniczoną ilością miejsca i jak Skoron odkrył, zaskakująco szybko robiło się na nim ciasno.

– Jestem cierpliwa – oznajmiła mu Tessa tonem, w którym można było usłyszeć wiele, tylko nie cierpliwość. – Jestem też wyrozumiała. Ale nie potrafię pojąć, czemu, dysponując konkretnymi danymi, wciąż wisimy w samym środku niczego, zamiast skorzystać z informacji.

– Wejdz, proszę. – Oczywiście nie przejmowała się pukaniem, teraz jednak uznała, że stosownie będzie się zaczerwienić, a jemu posłać przepraszający uśmiech. – Ten twój brat to jakiś innergetyk?

– Oczywiście, że nie! To znaczy nie był nim, kiedy widzieliśmy się ostatnio. A twoje śledztwo też na to nie wskazuje.

– Ano właśnie. Ale Maja otrzymała przekaz innergetyczny. A to oznacza, że braciszek skumał się z jakimś magiem. Potencjalnie niebezpiecznym.

– Nie boję się magów. – Wydęła śliczne usteczka.

– A ja tak. Ja w ogóle wszystkiego się boję, zwłaszcza tego, czego nie znam. Sprawdzam możliwości.

– Zwlekasz. Moglibyśmy czekać w innoświecie, poza czasem, nie tutaj.

– Tutejsze autonomiczne układy innergetyczne wystarczają na skoki po innergetycznych liniach, ale żeby utrzymać nawet taką łupinę jak nasza w innoświecie, potrzebny byłby kapłan albo mag. Do tego jacht nie dysponuje sprzętem, który umożliwiłby mi stałą łączność z innoświata. I pewnie oszalelibyśmy, siedząc tam dłużej bez maga potrafiącego nas osłaniać. Czyli w sumie trzech magów. Nie mamy nawet jednego. A muszę sprawdzać to i owo. Dużo się dzieje.

– No dobrze. – Westchnęła bardzo demonstracyjnie i bardzo zrezygnowanie. Usiadła stanowczo zbyt blisko niego i położyła mu dłoń na ramieniu. – Przepraszam, Skoron. Też się tym wszystkim martwię. A w dodatku wydaje się, że jesteśmy tak blisko!

Znowu próbowała złamać mu serce. Musiał przyznać, że ta dziewczyna nie poddaje się łatwo.

– Wygląda na to, że twój brat wpakował się w niezłą kabałę. Tam, doład chcesz polecieć, zebrało się spore towarzystwo i w każdej chwili może zacząć imprezować.

– Skoron, przez ciebie zaczynam się bać. Co się dzieje?

Powiedział jej o przyczajonych w innoświecie flotach.

– W takim razie musimy lecieć tam natychmiast! Wyciągnąć go z tego, zanim zacznie się jakaś bitwa! Natychmiast, Skoron!

– Wolałbym...

– Natychmiast! Proszę...

Wzruszył ramionami.

– Ty tu płacisz. Spotkamy się w kółpicie, dołączę, tylko ściągnę jeszcze trochę danych.

– Dziękuję, Skoron. Naprawdę dziękuję.

Gdy wyszła, nie sięgnął do komputera, tylko posiedział trochę w ciszy, ciesząc się być może ostatnimi chwilami spokoju.

To, co wymyślili z Jewgienijem, wydawało się szaleństwem nawet im obu. Z drugiej strony – czy mieli jakieś inne możliwości, poza podkuleniem ogona i ucieczką? On jeszcze mógłby spróbować choćby ukrywać się do końca życia przed tyłkiem z Merkuła i jego mocodawcami. Jewgienij nie dysponował nawet takim luksusem.

Oparł się o ścianę i przymknął oczy. A zatem za kilkanaście minut wyznaczy kurs, przeskoczy w innoświat, gdzie innergetyczne prądy poniosą go wszechświatem, w którym nie istnieją odległości – a jeśli nawet, to pod inną, niepojętą dlań postacią – a czas to tylko subiektywny wymysł człowieka. Choć jacht posiadał znakomite osłony, innergia dobierze się do nich i tak. Znowu poczuje tę niepokojącą łączność z innoświatem, jakby stał obnażony przed kolegium bogów. Wrażenie minie wraz z powrotem do zwykłego ludzkiego świata.

Czy bogini-patronka widzi go podczas takich podróży? Teoretycznie pozostawał z nią w stałej łączności poprzez duszę. Mogła w każdej chwili opaść na niego, zstąpić na świat za pośrednictwem jego ciała, nie słyszał jednak – pomijając legendy – by bogowie kiedykolwiek skorzy stali z takiej możliwości. Wystarczali im chętnie zmieniający swe ciała w boskie naczynia kapłani. Ale jeśli gdy przechodzi w innoświat, jego innergetyczne znamię wysyła do bogini jakiś sygnał, a ona kieruje spojrzenie ku swemu wyznawcy, to czy nie oznacza to zwiększonego ryzyka? Bo przecież uwikłał się w wielką politykę, a taka przyciąga spojrzenia bogów. Czy bogini mogła mieć coś przeciwko jego misji? A jeśli tak, to której?

Roześmiał się. Nawet bogowie mogliby mieć problem w połapaniu się, dla kogo właściwie obecnie pracuje. Prawdę mówiąc, sam nie miał co do tego pewności.

Zmierzając ku kłokitowi, myślał jeszcze o Psie. Facet wyraźnie się ukrywał – zmieniał nazwiska, przyskał z planety na planetę. Dlaczego? Skoron nie znalazł żadnych poszlak wskazujących na to, by brat Tessy wpakował się wcześniej w jakąś kabałę wymagającą opuszczenia planety. Owszem, pojawiały się historie o jakichś zatargach z lokalnymi gangami, aby jednak takim uciec, wystarczyło zmienić miasto. Nie ściagała go policja, urząd podatkowy, firmy windykacyjne czy gangi operujące na większym obszarze.

Właściwie jedyną osobą, która coś do niego miała, była rodzona siostra. Czy to przed nią się ukrywał? Z drugiej strony, tajemniczy konkurent Tessy do ręki Skorona też chciał czegoś od tego nieszczęsnego Psa. Więc jednak w coś się „najspokojniejszy człowiek we wszechświecie” wpakował. W co?

Tesę Skoron sprawdził na samym początku. Rzeczywiście służyła na dworze lokalnego księcia, ostatnio otrzymała spory spadek – wszystko się zgadzało. Niemniej takie historie można

spreparować, a jemu zabrakło czasu, by osobiście przeprowadzić dokładniejsze śledztwo. Mogła więc być osobą, za jaką się podawała, mogła być i kimś więcej. Co ukrywa? Co ukrywa ten cholerny Pies, że nie tylko ścigają go tajemnicze siły, ale jeszcze wyłudował właśnie w środku awantury, która sprawiała wrażenie największej w okolicy?

Ciekawość to kłopotliwa cecha, korzystanie z niej stanowi nie lada sztukę. Skoron wielokrotnie się już przekonał, że warto nauczyć się trzymać ją na wodzy – nieopanowana potrafiła okazać się zabójcza. Z drugiej strony, w jego zawodzie przesadne ograniczanie jej także prowadziło do kłopotów, bywało, że śmiertelnych. Tym razem Skoron jednocześnie czuł chęć, by dowiedzieć się, o co chodzi, jak i pokusę, by zawrócić do najdalszego portu i zapomnieć o wszystkim.

W kłopcice czekała już na niego cała załoga. Uśmiechnął się do nich niby to nonszalancko, wprowadził w pamięci osobistego komputera dane do nawigacji, ostrzegł wszystkich i uwolnił moc innergetycznych silników jachtu. Tym razem obliczenia potrwały nieco dłużej. Komputer nie mógł już zastosować standardowej techniki – wyszukać poprzez innoświat boi innergetycznej umożliwiającej pozbawionym kapłanów bądź magów jednostkom podróż przez innoświat. Tam, dokąd zmierzali, nie było żadnych boi.

Posiadali jednak namiary w realnej przestrzeni. Komputer łączył się więc z najbliższą im boją i wspólnie wyznaczali kurs. Wymagało to nie tylko nieco większego wysiłku od procesorów, ale też sporej gotówki. System łączności Wspólnych Przestrzeni poważnie obciążył kredyt Tessy.

Nie zabrakło jej jednak środków.

Świat zamigotał przed oczami detektywa i znikł, ustępując czerni, która rozbłysła zaraz orgią kolorów, aż musieli zamknąć oczy.

Skoron specjalnie osłabił bariery jachtu. Wiedział to i owo o podróżach innergetycznych, zdarzało mu się odbywać je w znacznie mniej komfortowych warunkach. Musiał nauczyć się stawiać opór napływowi cudzych osobowości – skrywanych pragnień i obaw, wszystkiego tego, co poprzez innergetyczne unerwienie spływa do duszy, kształtując ją we wzorzec, na którym zbudowany zostanie pośmiertny człowiek. Poddanie się temu wszystkiemu bywało paskudne, jeśli podróżującemu brakowało wprawy. Można jednak przygotować się na niechciane doznania i stawić im opór, choć nigdy całkowicie skuteczny. Można też – i była to jedna z najcenniejszych rzeczy, jakich nauczył się Skoron o innergii i innoświecie – wykorzystać okazję.

Otworzył oczy. Tak naprawdę nie było to konieczne, trudno jednak zwalczyć cielesne przyzwyczajenia.

Goryl aż kipił z ciekawości. Wyływały z niego plany i zamierzenia. Dokładne ich odczytanie wymagałoby wprawy większej, niż posiadał Skoron, nie był nimi zresztą zainteresowany. Maja okazała się mieszaniną rozpaczki i determinacji. Co zaskakujące, zabrakło w niej miejsca na nadzieję, dziewczyna wiedziała, co i jak chce osiągnąć, nie miała ochoty na złudzenia. Twardo

stąpiła po ziemi i nawet jej miłość do Rachuby opierała się na kalkulacjach zabarwionych emocjami.

Z Tessy natomiast nie dało się wyczytać nic. Była zimna i martwa jak skała, niczym bezbarwny sopel lodu pośród gorącej feerii barw, źródło bez wody. Nie dostrzegł najmniejszej emanacji – żadnych uczuć, planów, obaw – nic. Jakby nie była człowiekiem albo ktoś odebrał jej duszę.

Wyczuła, że się jej przygląda. Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Uśmiechnęła się.

Mógł mieć tylko nadzieję, że potrafi się maskować równie dobrze jak ona.

Podróż innoświatem może trwać sekundę, może trwać wieczność. Wszystko zależy od podróżników, którzy przynoszą w ten obcy sobie świat swoje subiektywności, wyznaczając, jeśli potrafią, własne zasady w obrębie obszaru, na jaki mają wpływ. Jeśli są wykształconymi innergetykami, potrafią kształtować innergię wokół siebie świadomie, zdarzają się jednak i samorodne, nieokresane talenty. Czasem narzucają swój odbiór rzeczywistości mimochodem, nieświadomie, czasem doskonale wiedzą, co robią.

Niezbędne do nawiązania kontaktu z innergetycznymi odpowiednikami boi kontaktowych sekundy, które jacht spędzał w innoświecie, dla Tessy i Skorona mogły trwać i subiektywny dla tych dwojga rok, gdyby oboje tak zdecydowali i posiadali odpowiednie umiejętności.

– Jest coś, na co od dawna miałam ochotę – oznajmiła Tessa, podchodząc do Skorona i obejmując go. – Tu, w tym miejscu i momencie, zupełnie nie potrafię się jej oprzeć.

– Spieszmy się – spróbował ją powstrzymać.

– Nie teraz i nie tu – odpowiedziała i pocałowała go.

I Skoron, który bronił się przed takim właśnie wydarzeniem, odkład się poznali, tym razem nie stawiał oporu.

A potem, dużo później albo wcale nie, wrócili do materialnego wszechświata. Pozostała dwójka się ocknęła i Goryl aż krzyknął ze zdziwienia.

Przed nimi przestrzeń przecinały okręty, dziesiątki okrętów. Dziwnych, srebrnawych wrzecion nieprzypominających nic, co widzieli dotąd. Jakby stworzonych obcą ręką.

– Co to jest? – zawołał Goryl, gorączkowo uruchamiając cały sprzęt, jak i czuwał przycupnięty na jego kombinezonie. – Obcy? Jakaś nowa technologia spoza Wspólnych Przestrzeni? Tajna broń Maski? Stanęliśmy oko w oko z nieznanym! Odkryliśmy, że w świecie, który wydawał nam się w pełni poznany, wręcz oswojony, mogą jeszcze istnieć tajemnice!

– Wszedł w rolę. – Maja mrugnęła do Skorona. Szybko spoważniała. – Czy tam właśnie jest mój Rachuba? Na jednym z tych statków?

Skoron mógł tylko pokręcić bezradnie głową. Skąd miał wiedzieć? Bez ponownego przekazu od Rachuby byli skazani na dłuższe poszukiwania. Oczywiście pod warunkiem że właściciele tej

dziwnej floty na nie zezwola. I że ich na przykład nie zabijają, że w ogóle będą skłonni do nawiązania kontaktu.

Uświadomił sobie, że powinien zawiadomić o flocie swojego nowego zleceniodawcę. I natychmiast zrozumiał, że tego nie robi, że jakkolwiek umowę z nim podpisał, nie dotrzyma jej. Przestraszony zerknął na Tessę. Co ona mu zrobiła? Uśmiechnęła się i skinęła głową. Szczytała go? Pokonała jego bariery? Kim, na bogów, była ta dziewczyna? Innergety człą?

I wtedy zawył system alarmowy, ekrany rozbłysły niepokojąco, głosząc nadciągające zagrożenie, a problemy Skorona uległy przewartościowaniu.

Przestrzeń wokół nich zaroila się od nowych okrętów. Wypływały z innoświata dostojnie i pewnie, bez widowiskowych efektów świetlnych, groźne i uzbrojone. Co najmniej jedna pełna flota cesarska z dziobami skierowanymi ku tajemniczemu okrętowi zdającym się ignorować tak maleńki jacht Skorona, jak i okręty wojenne. A one przybywały i przybywały. To już nie była jedna flota, co najmniej dwie. I część jej działa, jak meldował komputer jachtu, wycelowana została w tę mizerną lupinkę, na której pokładzie właśnie się znajdowali.

Komunikator błyszczał ponagląjąco. Skoron uruchomił go.

– ...albo zmuszeni będziemy otworzyć ogień. *Grzeszny Krąg*, powtarzam, natychmiast odpowiedzcie i wyjaśnijcie, co tu robicie. Mówi dowódca Czwartej Floty Wspólnych Przestrzeni, admirał Chou. Wtargnęliście w obszar operacji floty. Macie dziesięć sekund na odpowiedź, w przeciwnym wypadku otworzymy ogień.

Skoron nie czekał dłużej. Gorączkowo zastanawiając się, co powiedzieć, zameldował się jako kapitan jachtu.

Raczej nie uwierzą, że trafiliśmy tu przez przypadek, pomyślał, rozważając, której ze swych licznych fałszywych osobowości najlepiej będzie użyć.

4

Aubert nie pofatygował się osobiście do cesarza, by poinformować go o rozpoczęciu akcji. Przesłał jedynie meldunek „Ruszyli, wasza wysokość!”.

Ruszyli! Dwie floty Wspólnych Przestrzeni dopadły uciekającego Maskę ukrywającego się wśród okrętów tajemniczej floty, której pochodzenie Aubert daremnie starał się ustalić. Zapewne mimo braku czasu udałoby mu się to, gdyby nie mały sabotaż cesarza, który polecił

zaufanym ludziom ukryć część danych.

Władza polegała na kontrolowaniu wszystkich, którzy mają znaczenie, umiejętnym rozgrywaniu ich ambicji i takim ich karmieniu, by nigdy do końca nie zostały zaspokojone, ale też dbaniu, by nikt nie poczuł się odsuwany i wzgardzony. Dynastia wywodząca się od Pierwszej Kompanii Eksploracyjnej rządziła z powodzeniem dzięki wierności tym zasadom przez całe stulecia. Problem polegał na opanowaniu własnych ambicji.

Ludwik III otrzymywał duży, wręcz kolosalny kredyt, już z racji urodzenia. Zarówno w tym, jak i w tamtym życiu mógł być pewien wysokiej pozycji. Co jednak zrobić, gdy ten wspaniały układ wydaje się komuś pułapką, niemal bez wyjścia?

– Wasza wysokość? – Serwiliusz z Osmullarów, piąty tego imienia, był jednym z adiutantów generała Hellbrechta zarządzającego osobistą strażą cesarza, składającą się ze starannie wyselekcjonowanych gwardzistów. Nawet Służba, ku frustracji Kapituły, nie miała do nich dostępu. Aubert dokładał starań, by rozszerzyć swoje wpływy także na tych żołnierzy, po tym jak bezsprzecznie zapanował nad gwardią. Hellbrechtowi udało się temu zapobiec, choć na polecenie władcy rozkazał kilku żołnierzom odgrywać rolę podwójnych agentów. Aubert dał się nabrać, czym wzbudził tylko większą pogardę cesarza. Ktoś, kto ma wielkie ambicje, nie powinien tak łatwo dać się wyprowadzać w pole. W istocie tak znaczna przewaga Auberta nad większością jego przeciwników nie wynikała wcale z wielkiej przebiegłości szambelana, uznał Ludwik III. Na atuty Auberta składały się: niebagatelny tupet, umiejętność konstruowania planów o rozmachu, jaki mógłby przerazić roztropniejszych, oraz refleks.

Przecież nawet sama idea Odnowy nie pochodziła od niego, narodziła się w środowiskach, z których potem wywodziła się większość buntowników. Aubert w przeciwieństwie do nich potrafił sprawniej przeprowadzić swoją reformę. Zamiast ukrywać zamiary przed władcą, udał się bezpośrednio do niego.

Tupet i refleks mogły uczynić tego człowieka wielkim. Ale nie przemyślność, choć nie można było odmówić mu sprytu. Zbyt łatwo poczuł się bezpieczny. I – co może najbardziej gniewało Ludwika III – wyraźnie nie doceniał swego władcy.

Cóż, jego postawa okazała się koniec końców pomocna. Rozbudzony gniew pomógł cesarzowi wyzwolić się z ukrytego marazmu towarzyszącego mu od dzieciństwa. Pomiędzy kolejnymi nic nieznaczącymi ceremoniami i rutyną utrzymywania porządku we Wspólnych Przestrzeniach Ludwik III znalazł czas na własny spiszek I pułapka, w jaką Aubert zagnał Maskę, zatrząskiwiała się teraz właśnie także dla niego samego.

– Mów, Serwiliuszu.

– Nie możemy nawiązać kontaktu z flotą, wasza wysokość. Zaraz po rozpoczęciu akcji nakazano ciszę komunikacyjną. Floty Trzecia i Czwarta nałożyły też całkowitą blokadę, nasi

innergytycy nie przedarli się przez nią.

Dało się w tym posunięciu wyczuć łąpsko Auberta. Łajdak! Sabotażysta! Czyżby jednak przewidział, że cesarz może zagrać przeciw niemu? Ale może nakazał całkowitą blokadę tylko ze względu na wyjątkową tajność całej operacji? To nie mogło się tak skończyć! Jeśli Aubert zniszczy tamtych...

– Wezwij do mnie Auberta, Serwiliuszu.

– Obawiam się, że szambelan opuścił pałac, wasza wysokość. O ile wiem, dołączył do flot.

Blokada obejmuje także jego.

– Wezwij inne floty, natychmiast!

– Wasza wysokość?

– Mów!

– Podróż przez innoświat to chwila, ale zanim floty porzucą obecne zadania, skupią się, przygotowują choćby wstępnie taktykę... Tam może być już po bitwie.

– Mimo to spróbuj. Natychmiast!

– Tak jest.

– Jeszcze jedno! Chcę mieć wszystkie informacje o sytuacji na Merkurze. Jak najszybciej!

– Tak jest.

Powolna Flota! Cesarz ukrył jej istnienie przed Aubertem. Teraz mogło się okazać, że źle zrobił.

Nie można było dopuścić do jej zniszczenia. Konsekwencje zamachu na jedną z Kompanii Eksploracyjnych, właściwie ostatnią z istniejących, byłyby zbyt poważne. Opozycja z pewnością użyłaby tej katastrofy dla ograniczenia władzy cesarskiej. Choć plan przewidywał atak, który cesarz osobiście by powstrzymał w ostatniej chwili, blokada utrudniała jego wykonanie.

Jednak nawet załoga Powolnej Floty nie stanowiłaby dla cesarza takiego ciosu, jak śmierć jego agenta. Nie po to podjął tak wielkie ryzyko, by przegrać na samym końcu, teraz, gdy udało mu się osiągnąć wszystkie cele, poza tym ostatnim – najważniejszym.

Pozornie nic by się nie stało. Załagodziłby kryzys i żył jak dawniej, jak wszyscy ci zniewoleni etykietą i ceremoniałem cesarze przed nim. Może nawet wcieliłby w życie część założeń Odnowy i odbudował tym kredyt. Wiedział, że jeśli obecne plany zawiodą, bogowie nie będą z niego zadowoleni. Jednak jeśli zreformuje imperium i wynegocjuje nowy traktat z bogami, zrównoważy aktywa.

Zresztą dysponował zabezpieczeniem i przed boską niełaską. Ten młody ambitny bóg, z którym skontaktował się za pośrednictwem swoich magów, cały czas czekał, by Ludwik III się nań nawrócił. Razem zbudowałiby nowe pośmiertne imperium.

Ale nie o to chodziło, na otchłanie! Jak miałby teraz ostudzić tak rozbudzone ambicje

i nadzieje? Powrócić do tego, przed czym uciekał? Zostać jeszcze jednym z cesarzy, choćby i pierwszym w Domu, w przekłetej, nużącej nieśmiertelności, gdy istniała szansa na coś więcej?

Jak można zyskać wielkość w unormowanym, wyzbytym lęku przed śmiercią świecie? Jedyne burząc jego podstawy.

A zatem teraz cała nadzieja w tym przekętym magu, Masce, uznał Ludwik III. Może zdoła obronić Powolną Flotę do czasu przybycia odsieczy. A jeśli nie, lepiej niech zginie, żeby sprawa się nie wydała.

Być może będzie sam musiał udać się na miejsce, by zadać ostateczny cios zdradzieckiemu słudze i upadłemu magowi. Spodobała mu się ta myśl. Wspaniale by to wyglądało w epopiejach.

Mógłby też znaleźć się bliżej tamtego. Kto wie, co nastąpi, jeśli rozpęta się bitwa?

Skontaktował się z Serwiliuszem i wydał mu nowe rozkazy.

Berak wysłuchał meldunku Jewgienija w towarzystwie admirała Sertempa. Uznał, że tak może dodatkowo zyskać jego zaufanie. Dowódca II Floty wydawał się oszołomiony wszystkimi informacjami, jakie nań zrzucano.

– Nic już nie rozumiem – wyszeptał, patrząc na agenta Służby. – Jestem tylko prostym żołnierzem! Nigdy nie pchałem się do polityki! Kto w końcu próbował zabić Grouchona? Służba? Ktoś jeszcze? Kim jest ten człowiek, za którym wszyscy najwyraźniej – kimkolwiek są – się uganiają? Co to za okręty, na których schronił się Maska? Znasz pan odpowiedź choć na jedno z tych pytań?

– Niestety, admirale. Jedno, co mogę powiedzieć z pewnością, to że Służba nie dokonałaby zamachu na marszałka bez bezpośredniego rozkazu jego cesarskiej mości. A cesarz nie miał powodu, by go zabijać. To musi być ta inna siła, o której już panu mówiłem.

– A Trzecia i Czwarta Flota? To też „inna siła”? Czy pan aby nie mącisz?

– Marszałek się jej obawiał, admirale. Dlatego poprosił pana o przybycie na miejsce.

– Marszałek to, marszałek tamto! – zdenerwował się Sertemp. – Kapitanie, ja tu mam osiemnaście okrętów zdolnych w razie potrzeby do obrócenia w perzynę całej planety! Moglibyśmy samodzielnie prowadzić małą wojnę! Czy mam się połączyć z jego cesarską mością i osobiście zadać mu pytania, które zadałem panu?

– Może to byłoby najprostsze wyjście, admirale? Jedyne, co mogę panu doradzić, to zachowanie ostrożności. Przyjmowanie rozkazów wyłącznie od cesarza z pewnością wiele by ułatwiło.

– Bo nie ufasz pan nikomu z jego otoczenia, co? Właściwie mam wrażenie, że nawet własnym ludziom pan nie ufasz!

Berak rozważał wybór między odpowiedzią pełną oburzenia a próbą pozorną szczerości obliczonej na pozyskanie zaufania. Nim dokonał wyboru, w kajucie zameldował się drugi oficer Swarżyca.

– Panie admirale, nieznany statek wtargnął do strefy objętej ochroną!

– Ekran! – warknął Sertemp, wyraźnie zadowolony, że może się zająć konkretną robotą, zamiast tracić czas na gierki różnej maści spiskowców. – Toż to zwykła łódeczka! – zawołał, widząc dane na temat jachtu. – Panie agent, wiesz pan coś o tym?

– To mogą być ludzie, o których wspominał Jewgienij.

– Tak, to możliwe. Wyskoczyli w bardzo odpowiednim momencie, hę? Albo i nieodpowiednim.

Na wiszący przed ich twarzami ekran wpłynęły kolejne dane. Admirał zaklął.

– Panie Smith! – Połączył się z pełniącym służbę na mostku pierwszym oficerem. – Natychmiast przygotować się do ostrożnego wyjścia w świat. Ostrożnego, powiadam, w bezpiecznym oddaleniu, niech nasi koledzy nie myślą, że się na nich szykujemy!

– Co się stało? – Dane wyświetlane na ekranie pozostawały zaszyfrowane i Berak nie potrafił ich odczytać. Orientował się z grubsza w kodach flot, tym razem jednak, zapewne na jego cześć, użył to wewnętrzznego szyfru okrętowego, którego nie znał.

– Trzecia i Czwarta weszły w nasz świat. I nadają do tych pańskich koleżków, żeby się poddali. A masz pan, posłuchaj sam! Ja idę na mostek. Możesz pan iść ze mną, może się na coś przydasz.

Ekran towarzyszył im w drodze. Za jego pośrednictwem Berak mógł wysłuchać odpowiedzi Skorona:

– Nazywam się Sebastian Ture, należę do ekipy Samuela Bosh, producenta Stacji. Przylecieliśmy tu w celu nakręcenia epopei, on posiada wszelkie upoważnienia. Jeżeli pan sobie życzy, admirale, poda panu wszelkie dane identyfikacyjne.

Admirał Chou jak najbardziej sobie tego życzył. Sertemp polecił sprawdzić je także na własny użytek.

– Wszystko się zgadza, panie admirale! – zameldował po chwili drugi oficer. – Ten Bosh to nawet spora szucha w Stacji. Taki książę mediów.

– Panie agent?

– Moim zdaniem przykrywka, admirale. Ale dość skuteczna. Wątpię, by flota ostrzelała okręt Stacji.

– No, ja na pewno bym nie wydał takiego rozkazu – mruknął Sertemp. – Choć słowo daję, często mam na to ochotę.

Na mostku pierwszy oficer chętnie ustąpił miejsca dowódcy.

Chou nakazał dziennikarzom trzymać się tak daleko od możliwej walki, jak tylko się da. Zaraz potem jego okręty ruszyły ku tajemniczej flocie.

– Rozwijają szybkojowy! – zawołał kapitan. – Panie admirale, będą ich atakować!

– Tylko obserwujemy! – przy pomnił mu Sertemp. – Żadnych ruchów!

– Jeśli nie zamierza się pan wtrącać, proszę pozwolić mi na powrót na mój statek – zdecydował Berak – Na tych zaatakowanych okrętach mogą znajdować się odpowiedzi na większość naszych pytań.

– I co? Powstrzymasz pan dwie floty swoim ścigaczem? – Admirał uśmiechnął się kąpiąco. – Siedz pan tutaj, to może uratujesz skórę.

– Nie zależy panu na odpowiedziach?

– Żołnierz, panie agent, niezależnie od rangi, nie jest od stawiania pytań i domagania się odpowiedzi. Zresztą, patrz pan – nie strzelają, prawda? Tylko otaczają tamtych. Może jedyne, czego chcą, to wydanie im Maski? Tamci, jeśli nie są głupi albo nie dysponują jakąś superbronią, powinni się poddać. Duzi są, to prawda, ale chyba słabo uzbrojeni, tak mi podpowiada zwiad. Więc siedz pan tutaj.

– Admirale, tamci nadają!

– Daj pan na ogólną, panie drugi, niech cały mosteksłysz.

„Tu Dwudziesta Pierwsza Kompania Eksploracyjna – usłyszeli. – Lecimy z Ziemi. Powołujemy się na Kartę Kompanii Eksploracyjnych z 2123 roku przed innergetyką, inaczej zwanego 28 rokiem innergetyki. Odwołujemy się do Przywilejów Kompanijnych, w szczególności Specjalnego Przywileju Dwudziestej Pierwszej Kompanii Eksploracyjnej. Zawróćcie okręty! Jakakolwiek ingerencja w kurs naszej floty czy też wtargnięcie w naszą przestrzeń i dalej na pokłady okrętów wchodzących w skład floty Dwudziestej Pierwszej Kompanii stanowić będzie naruszenie przywołanych praw. W celu prowadzenia rozmów nawiążcie łączność i przyślijcie delegację, z którą uzgodnimy dalsze warunki, zgodnie z Kartą Kompanii Eksploracyjnych”.

Jeden z nawigatorów wyraził uczucia wszystkich prostym a mocnym przekleństwem. Sertemp spojrział na Beraka tyleż zdziwiony, ile bezradny. Agent wzruszył ramionami.

Kompania Eksploracyjna! Co za drań z tego Maski! Wyciągnąć coś takiego! A jeśli to tylko jego kolejne oszustwo?

„Nieznane okręty! – odezwała się ponownie tajemnicza flota. – Przesyłamy wam wszelkie kody, dane, dokumenty i upoważnienia świadczące o naszym statusie. Powtarzam, natychmiast zawróćcie albo odpowiecie przed Radą Kompanii Eksploracyjnych!”

– Co on mówi? – zdziwił się kapitan Swaróżyca. – Rada nie istnieje od stuleci!

– Poniekąd istnieje, przekształciła się w Senat – poprawił go Berak – Jeśli ci tutaj nie kontaktowali się ze Wspólnymi Przestrzeniami, odłąd opuścili Ziemię, mogą o tym nie wiedzieć. Niemniej prawa Kompanii wciąż obowiązują.

– Ich kody i dokumenty wyglądają na autentyczne, panie admirale. Są dość archaiczne, ale bazy danych Wspólnych Przestrzeni potwierdzają ich status. – Drugi oficer wydawał się wstrząśnięty. – Admirał Chou musi uznać ich prawa.

Lecz w tym właśnie momencie, jakby dla zaprzeczenia temu twierdzeniu, krążowniki i ścigacze III i IV Floty rozpoczęły atak. Z gardzieli ich nosicieli wysypały się dziesiątki myśliwców, które pomknęły ku flocie Kompanii Eksploracyjnej.

– Dobrzy bogowie! – zawołał jeden z pilotów. – Nie patyczkują się!

– Teraz musi pan coś zrobić! – Berak zwrócił się do admirała. – Chou złamał właśnie najważniejsze prawa Wspólnych Przestrzeni!

Rozdział 24

1

Na początku pomyślał: „To wszystko iluzja” i omal nie przegrał przez takie założenie.

Pierwszy chętnie przyjął go u siebie. Nim Karol Oruzon zdążył zareagować, stał pośrodku jasnego pola, a wokół niego wyrastał świat. Ujrzał wysokie, białe kolumny pnące się ku świetlistemu niebu, na którym gwiazdy zlewały się w jedną jasność. Nad kolumnami wykwitła marmurowa kopyła. Znów rozległ się śpiew, pompatycznie monotony, hipnotyzujący i osłabiający wolę.

To wszystko iluzja! – pomyślał znów książę i znów się pomylił i oddał pole przeciwnikowi, który porywał jego syna, nasycał go sobą, demorfował jego innergetyczne struktury, urabiał wedle swoich życzeń i planów.

Karol opadł na kolana i zaraz potem niżej, dłońmi oparł się o zimną marmurową podłogę. Aż przymknął powieki od oślepiającej go bieli. Zacisnął zęby, unióśł głowę i spodziewając się bolesnej jasności, otworzył oczy.

To wszystko iluzja! – przeklął sam siebie i zaraz zatrząśł się od świętej grozy na widok postaci spoglądającej nań spod kopyły. Choć patrzył na nią, uparcie powstrzymując powieki przed opadnięciem, choć ucieczka od tego widoku przyniosłaby mu ukojenie, nie potrafiłby jej opisać. Była tą grozą i świętością, jaka zmusza człowieka do ugięcia kolan, miesza mu zmysły i napełnia wiarą, że oto przyszło mu się zetknąć z potęgą, wobec której można tylko uznać swą małość.

– To wszystko iluzja! – zawołał w desperackiej próbie obrony, zerwał się na nogi i przez wciąż ten sam błąd przegrał ponownie i upadł.

Nie widział, jak emanujący świętością kształt pochyła się nad nim, poczuł jednak jego dotknięcie. Cokolwiek miało z nim uczynić, chybiło, bo otarło się o zainstalowany weń przez Jana interfejs.

System rozbłysł gotowością. Karol zdał sobie sprawę, że ktoś próbuje majstrować przy jego kodzie innergetycznym, przekształcić go na swój obraz i podobieństwo, przebudować wzór innergetyczny wedle własnego wzoru, uczynić niemal częścią siebie, jedynie cieniem, odbiciem innego bytu.

Pierwszy!

By stawić mu czoło, Karol odrzucił teorię iluzji przyносяcą dotąd klęskę za klęską. To działo się naprawdę. To już nie był żaden zewnętrzny innergetyczny twór, żadna budowla wzniesiona siłą boskiego kredytu. To był on sam, prawdziwy i jedyny, i właśnie jego starano się umniejszyć, zniszczyć i poniżyć podłą próbą przemienienia.

Przywołał symbole, spróbował stworzyć nowe. Nie było to proste, zamiast idealnych warunków odosobnienia sytuacja rzuciła go na pole bitwy.

Coraz bardziej przerażony sięgnął po najbardziej podstawowe doświadczenie instynktów walki. Zbudował prostacki, toporny symbol oparty na pragnieniu przetrwania i gniewie, na wspomnieniu siebie pędzącego na czele szturm, siebie rozdającego ciosy w niezliczonych pojedynkach, kiedy wściekłość rzucała go do ataku za atakiem; oparty na pięści i broni, na uniesieniu zabijania, na radości planowania, gdy widziało się już nieuchronną klęskę przeciwnika.

Przyjął na siebie ten symbol i nie zastanawiając się nad potencjalną nieodwracalnością tego przemienienia, modyfikował się w kogoś, kim bywał jedynie czasami za życia – w rozpędzoną śmierć, w demona walki, dla którego zabijanie stanowiło najwyższą, jeśli nie jedyną formę istnienia.

Uderzył i próbujący wchłonąć go potwór zawył, bardziej ze zdumienia niż rzeczywiście zraniony. Wypuścił go jednak.

A zatem nie było iluzji! Wszystko, cokolwiek się działo, działo się naprawdę. Wszechświat innergetyczny na mocy kredytu i umiejętności walczących pozwalał na modyfikowanie siebie i innych!

Książę wstał i wyprostował się, by spojrzeć na przeciwnika. W tej chwili nie myślał o tym, że porwał się na najpotężniejszego z Oruzonów, stwórcę ich potęgi, założyciela rodu. Niósł go jedynie gniew.

– Oddaj mi syna! – wrzasnął na pierwszego. – Oddaj mi syna!

Świętość wzbogaciła się o pogardę i pierwszy znów zaatakował.

Karol mylił się, sądząc, że jest gotów. Pierwszy, który początkowo go nie docenił, nie popełnił drugi raz tego samego błędu. Teraz uderzył z całą mocą i zmiotł linie obronne Karola, prawie ich nie zauważając. Zgasił jego gniew, zmiądzzył dumę, wyrwał uniesienie walką i znów powalił Karola na kolana, pustego i sparaliżowanego.

– Oto, czym jesteś, Karolu z Oruzonów! – zawołał kpiąco. – Pyłem u stóp swego pana!

Już ty lko upór pozostał księciu.

– Nie jesteś moim panem – wymamrotał, daremnie próbując wstać. Starał się uruchomić swój system, wykrzesać nieco swoistej innergii, jednak wszystko przesłaniała mu świętość pierwszego wlewająca się w niego, napełniająca go i powoli przekształcająca bezbronną ofiarę wedle woli zwycięzcy.

– Już jestem, nieszczęsna pchło. – Pierwszy się rozeźmiał. – Chciałeś stawić czoło bogu?

Bogu?

– Tak, bogu, nędzniku! – Teraz pierwszy znał już jego myśli. Przełamywał ostatnie opory. Świętość traciła na grozie, zyskiwała na pięknie. Opór księcia gasł, pojawiała się wiara, że ta istota, na którą się porwał, nie tylko jest potężniejsza od niego, ale też godna tej potęgi. – Jam jest pierwszy, który był, który zstąpił w boga i zasiał go w sobie! Jam jest, który świata nie morfuje, ale stwarza! Który czyni innych podobnymi sobie!

Zstępował coraz mocniej i głębiej w księcia, zdobywał go i przeinaczał. Upór poległ, zniknął, została już tylko rozpacz po Karolu Oruzonie, wszystkich jego aspiracjach i planach, które zniknęły bezpowrotnie, które wydawały mu się już tylko wspomnieniem innej, coraz bardziej obcej mu osoby. Już nawet nie takiej, którą sam był, ale o której słyszał kiedyś, dawno temu.

Rozpacz osłabła, zmieniła się w żal. Zrozumiał, że już po nim, że choć nie umrze, to jednak nie będzie też sobą, a jedynie żalonym cieniem pierwszego, żerującym na resztkach niegdyś dumnego Karola Oruzona.

I wtedy pierwszy wrzasnął, tym razem naprawdę zraniony.

Jego wrzask pełen był tyleż bólu, ile przerażenia. Gwałtownie, panicznie wręcz wycofywał się, uciekał z Karola, cały czas krzycząc, tracąc nie tylko siły, ale i aurę potęgi i świętości.

System Karola znów rozbłysł, symbole zagrały przed jego oczami – dziesiątki, setki, wreszcie tysiące symboli. Większości nie rozumiał, niosły jakiś obcy posmak, i jemu niemal sprawiający ból.

– Otrułeś mnie! – wrzeszczał pierwszy. – Ośmieliłeś się otruć swego pana i boga! Czulem to, czulem to wcześniej! O zdrajco...!

Uciekł zupełnie z księcia, nie pozostawiając w nim choćby śladu siebie. A wtedy coś z księcia sięgnęło poprzez niego ku pierwszemu, pochwytiło go i przyciągnęło ku sobie. Pierwszy miał się, ale nie był w stanie wyzwoić się z uścisku. Teraz on stawał daremny opór, aż wreszcie zaczął

wzywać pomocy prawdziwego boga.

Bóg jednak nie ingerował, za to Jan przybył do świata, w którym dwóch Oruzonów toczyło swój pojedynek

– Dość! – zawołał. – Zakończcie to obaj! Natychmiast!

– Nic nie robię! – zaprotestował Karol.

Sił ledwie starczało mu na szept.

– Nie do ciebie mówię! Obaj, powiedziałem! Dość!

– Nie masz prawa! – Pierwszy rzucił się ku niemu.

– Mam wszelkie prawa, Filipie z Oruzonów, pierwszy z książąt tego miana, prezesie Spółki Oruzon, należącej do Trzeciej Kompanii Eksploracyjnej! Mam wszelkie prawa! Przypomnij sobie, jak byłem pilotem twego okrętu flagowego, jak wprowadzałem go w innoświat, jak tresowałem dla ciebie boga!

– Jam twym bogiem! – zaskowyczał pierwszy.

Jan tylko wzruszył ramionami. Pochylił się nad Karolem i pomógł mu wstać.

– Mój syn... – przypomniał książę.

– Jest wolny. Będzie potrzebował pomocy, by poradzić sobie z infekcją, ale jest wolny.

Odesłałem go do Świątyni.

– Dziękuję. Za pomoc Leonardowi i mnie.

– To nie ja. To obcy bóg w tobie, Karolu. – Zachichotał. – Ten tutaj naźarł się go i omal od tego nie zdechł. Och, masz wiele szczęścia, głupcze! Chodź, musisz rychło wrócić do sił! Przydacie mi się – ty i bóg, którego w sobie nosisz.

– Bóg?

– A myślałeś, że zainteresowałem się tobą dla ciebie samego, chłopcze? Na Przestrzenie! Kryłem tę twoją infekcję, odkądżeś się tu pojawił! No i widzisz, uratowała ci skórę! Niech i mnie się wreszcie na coś przyda. Otworzyliśmy Świątynię!

Odeszli, nie zważając na krzyki już nie człowieka, ale też na pewno nie boga, który wołał za nimi ni to gniewnie, ni prosząco jeszcze długo po tym, jak zniknęli z jego wycinka świata. Gdy wreszcie uspokoił się nieco, ponownie wezwał boga, którego pragnął pokonać i uwięzić. A bóg znów wzgardził jego wołaniem.

Pałacem Oruzon i wszyscy stłkami jego mieszkańcami i wstrząsnął zloch.

– Niewielu jest takich jak twój praprzodek, ale czasem się zdarzają – tłumaczył Jan, prowadząc księcia korytarzami Świątyni.

Karol wciąż czuł się osłabiony, obolały, a nawet z lekką oglupiały. Niepokoiło go to, co usłyszał o infekcji. Pan Ton zaraził go jakąś częścią siebie? A może zrobił z nim to, co próbował zrobić pierwszy książę? Może Karol był tylko wirusem, a nie człowiekiem? Żywą bombą – narzędziem zemsty pokonanego boga?

– Co masz na myśli?

– Co pewien czas ktoś wpada na pomysł, by pozornie roztopiając się w bogu, w istocie przejąć nad nim kontrolę. U was, Oruzonów, pycha i głupota muszą być cechami rodowymi!

– Chciał kontrolować boga?

– Chce zostać bogiem! – zawołał Jan, potrząsając głową i śmiejąc się. – Rozumiesz, zdominować boga, jak zdominował ciebie, i go przejąć! Głupiec!

– To niemożliwe?

– Nie myśl o tym, chłopcze! Nie myśl choćby o takiej możliwości! Może kiedyś, na początku, byłoby to możliwe. Pod warunkiem że wiedzielibyśmy o innergii to, co wiemy o niej teraz. Ale dziś? Dzisiejsi bogowie to nie te naiwne stworzonka, które ufały nam bezgranicznie i pozwalały się wykorzystywać w roli zwierząt pociągowych! Nie, dziś są ostrożniejsi. Wasz pierwszy książę tkwi w kwarantannie, którą stworzyliśmy dla niego z Panem Ougli. Jest przekonany, że mu się udaje, że zasysa boga, jego kredytu wystarcza na stworzenie takiej subswistości innergetycznej. Mówię ci to wszystko, chłopcze, byś wiedział, że nie możesz nie doceniać bogów. Już nie. To ważne, żebyś to rozumiał w świetle tego, co będzie się działo już niedługo. Doceniaj bogów, traktuj ich jak partnerów!

Książę skupił się na innym znaczeniu wypowiedzi innergetyka.

– Powiedziałeś, że tę kwarantannę stworzyłeś razem z Panem Ougli?

– Tak jest! Jesteśmy, można rzec, starymi znajomymi.

– Razem z nim? Ty współpracujesz z bogami?

– Do ciężkiej cholery! – Jan aż się zatrzymał, chwycił księcia za ramiona i pchnął go na ścianę. – Zapamiętaj, że my, niegdy siejsi boscy treserzy, będziemy przez wieczność spłacać dług wobec nich. Nic nie złamie naszej lojalności. Mogę czasem naśmiewać się z Pana Ougli, ale nie pozwolę znowu go skrzywdzić. Wybij sobie z głowy wojnę z bogami, głupcze! Współpraca, do diabła! Tylko ona pozwoli na rozwój nam i im!

– Myślałem, że jesteś po stronie ludzi!

– Jestem po stronie rozwoju, ty tępy, ograniczony pyszałku! Uważasz, że rozwój szkodzi ludziom? Że jeśli będziemy więcej wiedzieć, to od tego pomrzemy?

– A może to bóg cię przerobił? – zawołał zagniewany wciąż książę. – Może każe ci tak myśleć i działać na niekorzyść własnej rasy? Albo wykorzystuje twoje przywiązanie, wszystkie uczucia, jakimi go darzysz – zaczął mówić szybciej i głośniejszym głosem, by nie pozwolić przemówić innergetykowi – żeby skłonić cię do pomagania mu?

– Może być i tak – zgodził się dziwnie spokojnie Jan. – Nie mogę z całą pewnością wykluczyć takiej możliwości. Ale teraz ty skup się i pomyśl. Nie wymagam wiele, wystarczy nawet twój żalony intelekt. To, co robię, służy zdobywaniu wiedzy, pomnażaniu jej. Budowaniu mądrości. Słyszałeś kiedy o takim tyranie, który cieszyłby się, że jego poddani robią się coraz mądrzejsi? Ba – pomagał im w tym?

– Może ty robisz się coraz mądrzejszy – bąknął książę, trochę zły na siebie. – Ale tylko ty. Bo tam, na stronie życia, my nic naprawdę nie wiemy o innergetyce i o bogach!

– Wy, szlachta i żołnierze, pewnie nie – przytaknął Jan i znów pociągnął księcia korytarzem. – Ale i dla ciebie jest nadzieja.

Dopiero teraz Karol się zorientował, że tak korytarz, jak i wszystkie sale, jakie mijali w Świątyni, są puste. Czyżby wszyscy już pospieszyli na Otwarcie? Rozumiał, czemu jest tak ważne, po raz pierwszy jednak zaczął się zastanawiać nad swoją w nim rolą.

Co szykował dla niego Jan?

– Skoro wiedziałeś o Panu Ton we mnie – odezwał się, korzystając z czasu, jakim dysponował, nim dotarli na Otwarcie – a jesteś tak wierny Panu Ougli, czemu milczałeś?

– Najgorszy sługa albo sprzymierzeniec to taki, który nie myśli. Czy twoi oficerowie informowali cię o każdej intrydze, planie czy tylko o ich wynikach?

– To się jednak wydaje dość poważne.

– Jest poważne. Ale nie traktuj mnie jak sługi boga, chłopcze. Jestem jego sprzymierzeńcem, najlepszym, jakiego ma. A ty i twoja infekcja przydadzie mi się tu i teraz. Dość już gadania, spójrz!

Pchnął jedno z wielu drzwi w korytarzu. Książę pomyślał nagle, że być może Jan znowu wodzi go za nos, może cały ten spacer nie był potrzebny? Odległości były równie umowne w innoświecie jak pozory materii, którymi się otaczali. Może wystarczyło pchnąć dowolne z dziesiątków drzwi, jakie mijali? Wtedy cała ich wędrówka służyłaby tylko rozmowie, jaką odbyli. Znowu Jan wyprzedził go o całe wieki doświadczenia i planowania!

Jeśli miał wyjść z tego cało, jeśli miał cokolwiek znaczyć w tej rozgrywce, musiał nadrobić przynajmniej część tych zaległości.

Przekroczył próg, by wkroczyć w Otwarcie Świątyni. Zamiast tego stanął twarzą w twarz ze swoim bogiem.

W świecie, którego podstawowe prawa, a nawet budowa, są tak obce ludzkim zmysłom, że niemal wykluczają niezapośredniczone postrzeżenie, wizualizacja jest wszystkim.

Sala Otwarcia jawiła się ogromną. Sklepienie niknące na niedosiężnych wysokościach podierały niemal zupełnie przezroczyste świetliste kolumny. Nim Karol zdołał zobaczyć coś więcej, bóg porwał go w czystą światłość – wszystko poza nią zniknęło.

Na początek zesłał na księcia paraliżujący ból. Człowiek niezdolny był stawić czoła nagłemu, potężnemu atakowi, wobec którego pojedynek z pierwszym księciem zdawał się pozbawionym znaczenia spotkaniem. Cały innergetyczny system zaimplementowany w Karolu Oruzonie zamarł, a innergetyczne ciało księcia stanęło w płomieniach.

Niepomny na dumę i pochodzenie chciał krzyczeć, nie umiał jednak, zabrakło w nim systemów umożliwiających krzyk. Cała pamięć, innergetyczna specyfika księcia stopniała w ogniu potęgi Pana Ougli i księżę Karol Oruzon prawie przestał istnieć. Nie myślał już, nie bał się, nie pożył niczego – jedynie czuł ból.

Nieokreślone później odrodził się.

Pierwszą myśl przepełniał lęk. Czy pozostał sobą? Czy bóg przebudował go na własną modłę?

Obecność Pana Ougli wciąż go otaczała. Poza nią było jednak coś jeszcze.

„Podziękowanie ograniczoną formą wdzięczności” – głos generała buntowników rozbrzmiał w księżęcej głowie. Nim zdążył na nie odpowiedzieć, Pan Ougli zareagował i fałszywa obecność Pana Ton zniknęła.

„Brak skazy” – przemówił bóg Oruzonów. – „Ty wolny”.

Słowo stało się innergetycznym ciałem. Poczucie obecności Pana Ougli zniknęło, a Karol znalazł się w Świątyni, u stóp Jana.

Czy bóg mógł zrobić coś takiego – wyrwać z Karola Pana Ton? Czy ból stanowił rodzaj kary? Czy obaj nie naruszyli kontraktu?

Cokolwiek się stało, księżę zrozumiał, że odebrano mu rolę boskiego emisariusza. Znów stał się sobą, czyli – w innergetycznym wszechświecie – nikim.

Niespodziewanie dodało mu to otuchy.

Jan pomógł mu wstać.

– I jak spotkanie z patronem? – zapytał, uśmiechając się cierpko.

– Odświeżające. – Karol chciał to powiedzieć kpiąco, jednak wy dobył z siebie tylko słaby pisk. Zamrugał i ponownie rozejrzał się po Świątyni.

Daleko przed nim na jaśniejącym tronie rozsiadł się kardynał w biało-złotej szacie. Otoczyli go przywdziani w światło dostojnicy. Kardynał także podkreślił swoje znaczenie nadnaturalnym blaskiem emanującym z niego i z tronu, a jednak nie zdołał wybić się ponad innych zarządców Świątyni, przybywających z kolejnych bożych światów.

Część z nich go przypominała – wyraźnie podkreślali swoje religijne funkcje, otaczali się świętymi symbolami, niektórzy starali się wzmacniać swoje postaci aureolami, anielskimi skrzydłami, a nawet rogami.

W oczach księcia wyglądali komicznie, a także trochę żałośnie. Zastanawiał się, na ile Jan ma wpływ na jego postrzeżenie. Czy za życia sam nie wykorzystywał wszelkiej sposobności, każdego dostępnego atrybutu dla podkreślenia swojej władzy i pozycji? Czy nie przypominał tych tutaj? A może wszystkie te symbole miały jakieś konkretne znaczenie osadzone w niebiańskiej ikonografii, której nie zdążył jeszcze poznać?

Opanował rozbawienie, rozszluszczony i rozczarowany, że znów wie zbyt mało.

Inni przybysze przypominali Jana. Wyglądali jak pewni siebie intelektualści albo sędziwi starcy przyglądający się światu oczami pełnymi dobrotliwej ironii i zadumy. Jeszcze inni przybrali postawy i postacie wodzów lub przewodniczących rad zarządczych. Ci, jak zgadywał książę, byli pragmatykami – nie interesowała ich ani religia, ani nauka. Ich świątynie musiały przypominać raczej pałace lub biurowce. Czy czułby się lepiej w takim świecie?

Zmierzało ku nim kilku kapłanów, na których widok Jan się rozpromienił. I oni uśmiechali się, wyraźnie radzi ze spotkania. Wykrzykiwali jakieś absurdalne hasła, rzucali się sobie w ramiona i poklepywali wzajemnie po plecach. Jan przedstawił im księcia, a ten starał się zapamiętywać imiona i funkcje, próbując jednocześnie opanować oszołomienie. Wszyscy pochodzili z zamierzchłych czasów, byli wykwalifikowanymi innergetykami, część z nich, podobnie jak Jan, pełniła niegdyś funkcję treserów bogów. Jana traktowali nie tylko z serdecznością, ale i szacunkiem. Bardziej jak lidera niż przywódcę, jednak ich wzajemne relacje wyraźnie wskazywały, kto jest tu szefem.

– Skoro zebrał się wszyscy, czas przerwać tę komedię – oznajmił Jan. – Zajmijmy się wreszcie poważnymi sprawami. Pozwól z nami, chłopcze, to narobi trochę zamieszania i niezmiernie skonfunduje naszych drogich kardynałów, którym się zdaje, że przybyli tu na jakiś synod!

Poprowadził swoją partię ku centrum sali. Książę wyłowił poblask uruchomionego przez Jana interfejsu, najwyraźniej pozostawali w jakiś sposób sprzężeni.

Nieoczekiwanie uspokoiło go to. Pozostając zależny od sędziwego innergetyka, jednocześnie

korzystał z jego ochrony. Kto wie, do czego mogło tutaj dojść? Może kapłani i naukowcy rzucają się na siebie w jakiejś innergetycznej batalii? Posmakował już takiej walki i wciąż drżał na jej wspomnienie. W materialnym wszechświecie przegrany mógł co najwyżej zginąć, tutaj groziło mu zatracenie siebie, przekształcenie w odzwierciedlenie przeciwnika, w jego marionetkę.

Manipulacje innergetyczne Jana sprawiły, że podłoga wokół nich się uniosła i przekształciła w rodzaj podniesienia z mównicą. Jan, nie zwlekając, podszedł do stworzonego przez siebie mikrofonu. Nie oparł się pokusie kłyny, bo postukał weń palcem, oguszając wszystkich w sali hukiem natychmiast rozniesionym za pośrednictwem fachowo rozmieszczonych głośników. Dla księcia, choć wiedział już co nieco o innergetyce, wszystko to wyglądało jak magia. Przekonanie to musiało widać odbić się jakoś na jego twarzy. Jeden z innergetyków uśmiechnął się i zniżając głos, wyjaśnił:

– To wszystko zostało przygotowane wieki temu, młody przyjacielu. Zbudowaliśmy salę Otwarcia ze wszystkimi szczegółami, gdy jeszcze pracowaliśmy razem i gdy jeszcze nam się chciało robić takie rzeczy. Jan jedynie to uruchamia. To jakbyś włączał światło po wejściu do dawno nieodwiedzanego pomieszczenia.

A więc znów dał się nabrać niczym jakiś prostaczek! Mimo wszystko, czego się dowiedział, czego był świadkiem i czego się nauczył.

– Raz, dwa trzy, próba mikrofonu – bawił się nadal Jan, szczerząc się beczelnie do kardynała. – Proszę mi wybaczyć taki początek, nie używaliśmy tego sprzętu od bardzo dawna. Proszę, usiądźcie. Witam szanownych państwa na największym zgromadzeniu innergetycznym w historii obu wszechświatów, na pierwszym Otwarcium Świętyni! Cieszę się, że przybyli państwo tak licznie.

Kardynał próbował protestować, przypomnieć o swojej roli gospodarza. Jan przeprosił go nadzwyczaj uprzejmie, podkreślił jednak, że to on dokonał Otwarcia i dlatego przewodniczy zebraniu.

Potem rozpoczął przemowę, powtarzając ku niezadowoleniu kardynała tezy, które przedstawił już wcześniej księciu.

Znając je, Karol skupił się na obserwowaniu zebranych, starając się zapamiętywać reakcje, zwłaszcza osób, które wydawały mu się w tym wszystkim najważniejsze, wokół których gromadziły się grupy wyznawców bądź uczniów.

Zakładał, że i tu wolność przekonań i idei jest ograniczona, może nawet bardziej niż w świecie żywych. Sam przecież podlegał wpływowi Jana, nieopierającego się bynajmniej wyłącznie na sile argumentów i charyzmie. Przyjął więc, że uczniowie otaczający swych innergetycznych mistrzów mogli ulegać ich manipulacji bądź nawet sami poddawali się modyfikacjom mającym upodobnić ich do nauczycieli.

Zrozumiał, w każdym razie tak mu się wydawało, pułapkę kryjącą się w innergetycznym

nauczaniu. Gdy był jeszcze dzieckiem, buntował się przeciw większości nauczycieli, jakich sprowadzał mu ojciec, aż wreszcie księżę Mirksim Oruzon, zirytowany tępym uporem syna, by nauczyć go życia, wysłał go do Szkoły Kadetów Floty. Matka i ciotki młodego Karolcia załamywały ręce, księżę Mirksim pozostawał jednak nieublagany. I właśnie w Szkole Kadetów Karol spotkał pierwszego nauczyciela, któremu nie tylko uwierzył i zaufał, który wzbudził jego zapal, ale i którym fascynacji uległ. W rezultacie, gdy rodzice przybyli po trzech miesiącach odwiedzić syna, zamiast chłopca, którego pamiętali, ujrzeli młodszą wersję dziesiętnika drużyny abordażowej. Księciu się to spodobało, księżnej mniej.

W innoświecie zapatrzeni w swoich mistrzów innergetycy podlegali jeszcze gruntowniejszym przemianom. Obserwując ich, księżę widział, jak odwzorowują mimikę i gesty swoich mistrzów. Gdzieś w tym wszystkim gubiła się cząstka indywidualizmu.

Karol uznał, że woli być swoiście niedoskonały niż prawie że perfekcyjnym klonem ze skopiowaną percepcją i charakterem. Tym bardziej musiał uważać na Jana, na bogów, którzy potrafili ingerować we wzorce, i na wszystkich tych starszych od siebie, potężnych umarłych.

Raj był pełen pułapek, jak się okazało. To dawało do myślenia.

Jan jeszcze nie skończył, a kardynał już wspinał się na mównicę, by jak najszybciej zatrzeć wrażenie jego wystąpienia.

– Umiłowani nieśmiertelni w bogach! – rozpoczął przemowę.

Zaraz rozległo się buczenie od strony naukowców, za to kapłani kiwali z ukontentowaniem głowami. Kardynał kontynuował w podobnym stylu, zachwalając doskonałość symbiozy z bogami i grząc na heretyków, którzy chcieliby się na nią porwać. Przeciągał przemówienie, jakby próbował na wieczność zapanować nad trybuną, tym samym uniemożliwiając debatę. Przerwał, gdy zorientował się, że nawet jego zwolennicy popadają w znużenie.

Mikrofon przejął ponownie Jan.

– Możemy tak bez końca, przyjaciele – oznajmił. – Ale to nie przyniesie rozwiązania. Proponuję współpracę w grupach, ich schematy otrzymacie zaraz, wstępne założenia opracowaliśmy, już wnosząc Świątynię. Zestawy tematyczne są te same dla wszystkich grup, od was zależy, jak rozłożycie akcenty. Grupy dysponować będą wrażeniem trzech standardowych dni ziemskich na opracowanie materiału, potem ich przewodniczący przedstawią swoje wnioski podczas dyskusji plenarnej. Proszę się uspokoić. – Uniósł dłonie, by uciszyć szmer, jaki narodził się między kapłanami. – Tak zmodyfikowaliśmy pierwotny plan, by na czele grup stali zarówno kapłani, jak i naukowcy. Same składy będą mieszane. Panowie, panie, spotykamy się tu za trzy dni. Proszę uważać na subiektywizm czasu. Dziękuję.

W grupie Jana znalazło się trzydziestu innergetyków, wśród nich naukowcy przypominający nieco swego lidera, sprawiający wrażenie oddanych kardynałom kapłani oraz Karol Oruzon.

Książę szybko się zorientował, że nikt nie trafił tu przypadkowo. Zebrani nie planowali snuć teoretycznych dysput nad istotą innergetycznego wszechświata. Zajęli miejsca przy długim, przygotowanym specjalnie na tego rodzaju narady stole, na którym, ku rozbawieniu księcia, ktoś porozstawiał butelki z wodą mineralną, a nawet talerze z kruchymi ciastkami.

Jan, nie tracąc czasu na fałszywą skromność, usiadł u szczytu stołu. Księcia posadził obok siebie.

– Witajcie – rozpoczął. – Ten tu młody umarły to książę Karol Oruzon, pierwszy spośród Oruzonów, który z własnej woli porzucił enklawę Oruzon i zgłosił się do Świątyni. Już tylko z tego powodu byłby wart naszej uwagi. Jednak ten młodzieniec skrywa jeszcze jedną tajemnicę: nosił w sobie iskrę boga, Pana Ton. Pan Ougli wezwał ją do siebie i to wszystko, co wiemy o niej na razie. Będziesz musiał opowiedzieć nam o tym, chłopcze.

Księcia zaskoczyła aż nazbyt spokojna reakcja zebranych. Przyglądali mu się z zaciekawieniem, nie wyglądali jednak na zadziwionych. Mężczyzna siedzący po jego prawej stronie, ostrzyżony na wzór zwolenników kardynałów, uśmiechnął się do niego i wyjaśnił:

– Oczekiwaliśmy czegoś takiego. Żaden bóg nie lubi odosobnienia, a Pan Ton należał do najaktywniejszych zwolenników Odnowy. Wybacz, książę, nie przedstawiłem się. Jestem Moran, biskup prowincji Grouchon i Nogaret u Pana Rasee.

– Oczekiwaliście – powtórzył Karol. – Czy myślę się, zakładając, że mam do czynienia ze spiskiem?

Rozbawił ich wyraźnie, a to go rozzłościło. Znów odsuwali go na bok, traktowali jak pionka! Miał być jedynie posłańcem Pana Ton? Niesiony złością poczuł chęć zrobienia czegoś, co radykalnie odmieniłoby sytuację. Opanował się jednak. Przyjdzie jeszcze czas na działanie, na razie wciąż zbyt mało wiedział, zbyt mało rozumiał.

– Istotnie, masz do czynienia z czymś w rodzaju spisku – zawołał Jan, wciąż się śmiejąc. – Wybacz jednak, jeśli nie zacznę teraz wyjaśniać ci wszystkich jego zawiłości. Panowie, pani. Proszę o meldunki.

Rozpoczął Moran z Domu Pana Rasee, po nim głos zabrał jego sąsiad, profesor Vaulkned z Domu Pani Mie i następni. Zdawali relacje z przemian, jakie zaszły w Domach, z których pochodzili, w trakcie minionych stuleci, z ewolucji ludzi innergetycznych i bóstw. Opowiadali o niepokojach związanych z wielką wojną żywych, o Odnowie i oporze wobec niej.

Rozmaitość Domów zdumiewała księcia. Okazało się, że nie wszyscy wybrali drogę wiekustego trwania i bierności. Niektórzy umarli ściśle współpracowali z bogami przy budowie Domów, bywały też Domy o bardzo restrykcyjnych ustrojach.

Innergetycy opowiadali o milionach umarłych oddających się całkowicie swoim bogom, rozplywających w ich istnieniu, podobnie jak pierwszy książę, pozbawionych jednak ambicji Oruzona. Rezygnujący z indywidualności uważali najwyraźniej, iż dostępują specjalnego błogosławieństwa. Księciu wydawało się, że raczej szukali ostatecznej śmierci.

Co się z nimi działo, gdy odrzucali wszelkie pozory życia? Na ile zachowywali świadomość, odształconą przez odrzucenie cielesności i jej potrzeb? Czy byli jeszcze ludźmi albo choćby samodzielnymi bytami, czy też stanowili jedynie cząstki wzrastających poprzez ich doznania bóstw?

Przez moment bogowie jawili mu się nie jak istoty symbiotyczne, ale jako potężne pasożyty karmiące się milionami ludzkich osobowości i pomnażające poprzez nie swoje doświadczenia. Wyobraził ich sobie jako ogromne istoty pasące się na obsianych ludźmi pastwiskach. Pamiętał, że za życia uczestniczył w dyspacie, w której ktoś przedstawiał relacje z bogami w podobny sposób. Czy to nie ten chytry szambelan, Aubert? Żałował teraz, że nie poświęcił wówczas większej uwagi jego słowom.

– Czy bogowie – wtrącił, korzystając z chwili przerwy między kolejnymi meldunkami – mogą celowo wpływać na świadomość ludzi, zmuszając ich do poświęcenia siebie?

Innergetycy wymienili spojrzenia. Jan się skrzywił i już otwierał usta, kiedy wyprzedziła go jedyna w towarzystwie kobieta, Karia Tokodes z Domu Pani Tsilli.

– Nasz drogi Jan nie chce przystać na taką teorię – przemówiła łagodnym, głębokim głosem.

Książę nie dał mu się zwieść, znał kobiety takie jak ona – za ich pozorną łagodnością kryła się żelazna wola.

– A jednak wiele wskazuje – kontynuowała – że przynajmniej część bóstw przyjmuje właśnie takie założenie. Świadczą o tym meldunki z Domu Pana Ren.

– Tamtejsza totalitarna quasi-utopia jest dziełem ludzi! – zaprotestował Jan. – Moja droga, nie powinniśmy przypisywać bogom naszych słabości.

– Nie powinniśmy też zakładać, że nie przejęli od nas żadnej z nich, przyjacielu – napomniała go. – Jeśli już o tym mówimy, to od początku niepokoiło mnie, jak nazwali swoje udziały w rynku innergetycznym. „Uczta”! Czy ta nazwa was nie przeraża? Nie czujecie się innergetycznym mięsem?

– Nie popadajmy w teologię. – Ręce Jana uniosły się, jakby innergetyk próbował rzucić zaklęcie. – To, co mówisz, brzmi prawie jak brednie dewotów! Oni widzą w bytach innergetycznych prawdziwych bogów, ty przypisujesz im cechy diabelskie. Jesteśmy

naukowcami, zachowujemy się, jak przystało ludziom nauki! Jeśli popadniemy w dewocję, wszystko będzie stracone.

– Jesteśmy więźniami subiektywności – nie ustępowała. – Język determinuje nasze postrzeganie, a ono decyduje o kształtach tego świata. Jeśli nazywają korzystanie z indywidualnych ludzkich wzorów innergetycznych „uczta”, to wiąże się to z bardzo konkretnymi relacjami. Używają naszego języka, a on ich kształtuje. A to oznacza, że mogą przejmować i nasze wady.

– Popelniasz błąd, Kario, przekładając nasz sposób pojmowania na rozumowanie bogów. Toż oni są obcy! Stanowią obcą formę istnienia, jaka wykształciła się w innym wszechświecie, którego zasad do dziś w pełni nie pojmujemy!

– Kiedyś może byli obcy, ale już podczas pierwszego kontaktu zainfekowały ich ludzkie sposoby myślenia i postrzegania – zaprotestowała. – Oni już nie rozumują jak obcy! Nie dokładnie tak jak my, ale jednak podobnie, bo zaraziliśmy ich sobą. Janie, kocham cię jak brata! Wiem, ile ci zawdzięczamy. Wiem, że bez ciebie mogłoby nawet nie być naszego ruchu. Ale nie mogę być ślepa na to, jak bardzo twoje poczucie winy cię ogranicza, jak wpływa na twoje rozumowanie.

– Moje poczucie winy? – zawołał Jan. – Karia!

– Przepraszam. – Pokręciła głową. – Przykro mi, Janie. Ale tak jest. Wiesz o tym.

– Nie mam żadnego poczucia winy – oświadczył stanowczo, a jednak, jak wydawało się księżu, zdenerwowany tonem. – To tylko świadomość własnych czynów i odpowiedzialności za nie.

Przez chwilę panowała cisza. Księżę gorączkowo zastanawiał się nad implikacjami tego, co usłyszał. Opozycja wobec teologów okazywała się mniej jednolita, niż wydawało się początkowo. Musiał też przemyśleć swoje relacje z Janem. Sojusz z nim zdawał się koniecznością, ale czy mógłby jakoś wzmocnić swoją w nim pozycję przy pomocy tej Karii?

– Zgłodniałem – przerwał niezręczne milczenie Moran. – Możemy zrobić przerwę na obiad?

– Zgłodniałeś? – Karia wyglądała, jakby nie wierzyła własnym uszom. – Moran, na bogów, to tylko kwestia konfiguracji systemu! Jak możesz zajmować się takimi drobiazgami w takiej chwili?

– Drobiazgi budują nasze człowieczeństwo, moja droga. – Uśmiechnął się do niej. – To jak, na pewno macie tu jakąś jadłodajnię?

W jadalni, gdzie spotkali też i członków innych zespołów, Karol postarał się usiąść naprzeciw Karii. Nie było mowy o jakiegokolwiek intymności, tuż przy nim wepchnął się na ławę grubas o ponurym spojrzeniu i ogromnym apetycie.

– Długo znacie się z Janem? – zagaił księżę, starając się ignorować sąsiada.

– Jeszcze za życia – odpowiedziała. – Był moim profesorem... Nauczyłem ciebie na studiach.

Chętnie dowiedziała się, czy łączyło ich coś więcej, zamiast tego zapytał, czy bardzo się zmienił po śmierci.

– Tak i nie. Dla niego śmierć stanowiła okazję, pozwoliła mu przekonfigurować się ku doskonałości, tak ją rozumiał. Pozbyć się ograniczeń słabego cielesnego umysłu.

– Ograniczeń cielesności, tak? – Księżę spojrział wymownie w stronę Jana zjadającego z apetytem obiad. – Jesteś pewna?

– To przyszło z czasem. – Uśmiechnęła się. – Ta obsesja cielesności jako korzeni człowieczeństwa. On obyłby się bez tego znakomicie, jest wystarczająco silny, by oprzeć się pokusom ułudy. Wszystko to robi na pokaz, dla słabszych. Zawsze był przede wszystkim przywódcą i opiekunem. Bardziej nawet niż naukowcem.

– A to, co mówiłaś o jego poczuciu winy?

– Bardzo się przejął swoim udziałem w tym, jak ludzkość potraktowała obcych. Jego reakcja jest tym silniejsza, że sam był treserem bogów. Tresował Pana Ougli, w którego Domu teraz żyje. Codziennie patrzy na boga, oddycha nim i widzi wszystkie swoje słabości, jakie w niego zaklął, każdą swoją niegodziwość. Nic dziwnego, że to wypiera.

– Wypiera?

– Udaje, że bogowie muszą być idealni, że nie potrafią kierować się niskimi pobudkami, ulegać słabościom. Księżę, wiesz, czemu w ogóle z tobą o tym rozmawiam?

– Zastanawiam się.

– Może się okazać, że wiele będzie od ciebie zależeć. Niekoniecznie teraz. Chcę, żebyś miał jak najlepszy, najszerszy obraz sytuacji.

– Miałem nadzieję, że powiesz coś o moim nieodpartym uroku.

Roześmiała się.

– Niech cię nie zmyli nasz spór i to, co ci tu powiedziałam. – Odsunęła talerz, z którego ledwie uszczknęła kaszy ze skwarkami. – Jesteśmy z Janem przyjaciółmi i w razie czego stanę za nim murem. On nie myli się w ocenie tego świata i zmian, jakie w nim zachodzą. Albo przypominaj sobie, jacy byliśmy, gdy to wszystko się zaczynało, albo upadniemy. Pamiętaj o tym, księżę. I o tym, że niezależnie od bogów jedynym prawdziwym zbawieniem jest to, które niesiemy sobie sami. Gdy ktoś zaczyna decydować o tym, co dla ciebie dobre, przepadłeś. Ale sądzę, że tego akurat nie muszę ci mówić.

Odeszła, by usiąść bliżej Jana. Mężczyźni chętnie robili jej miejsce między sobą. Może i twierdziła, że przykłada mniejsze znaczenie do cielesności, zadbała jednak, by jej ciało robiło wrażenie.

– Heretyczka – mruknął siedzący obok księcia grubas, sięgając po kolejną dokładkę. – Uważaj na nią, bracie. Uważaj na takich jakona!

– Słucham? – Karol obrócił się ku niemu zaskoczony. Zdawał sobie sprawę, że rozmowa nie mogła umknąć uwagi sąsiadów, dlatego starał się ostrożnie dobierać słowa.

– Ta czarownica Karia. Co ona w ogóle tu robi? Masz pojęcie, bracie? W dawnych wiekach kobiety nie zajmowały się innergetyką! – Pokręcił wielkim łebkiem ni to w zdziwieniu, ni zatrwożeniu. – Przynajmniej za życia mamy to już z głowy. Pech, że zachowały się relikty takie jakona.

– Wydaje mi się dość inteligentna – mruknął książę. – By waj, bracie. Smacznego.

– A czy ja jej odmawiam inteligencji? – zawołał grubas, unosząc ręce w wyrazie protestu i zaraz kładąc jedną z nich na ramieniu księcia i zmuszając go do ponownego kłapania na ławę.

– Czy ja odmawiam mądrości jakiegokolwiek kobiecie? Skądże! Chętnie przyznam, bracie, że ta heretyczka jest inteligentniejsza ode mnie! Ale czemu nie wykorzystuje swej inteligencji, jak przystoi kobiecie? Urządzać dom i dbając o niego, opiekując się dziećmi i czuwając nad finansami domowego ogniska? Czemu nie szuka wyzwań artystycznych? Ach, widzisz sam, że inteligencja, którą tak chętnie pyszni się rodzaj ludzki, to pożywka dla herezji!

– Wielkie dzięki za naukę, bracie. Teraz, jeśli pozwolisz...

– Siadaj, posiedź ze mną jeszcze chwilkę! Toć nie usiadłem obok ciebie przypadkowo. Chyba tak nie sądziłeś, nie?

– Zastanawiałem się nad tym. Nie należysz do towarzyszy Jana.

– Widzę, co ci chodzi po głowie. – Każde słowo grubasa przeplatało się z głośnym młaskaniem. Ponad kolejnymi porcjami kaszy grubas przyglądał się intensywnie swojej ofierze i książę się przestraszył, że tamten może rzeczywiście znać jego myśli, mieć do nich dostęp poprzez jakąś sprytną sztuczkę albo innergetycznego wirusa. – Jesteś zagubiony w tych wszyśkich knowaniach. Myślałeś, że trafisz do nieba, by spokojnie paść się na jego pastwiskach, prawda? A tu takie samo zamieszanie jak na dole! Nawet gorzej, bo ciągną cię ku sobie ci heretycy krętacze, mieszają ci w głowie!

– Nie usiadł tu brat przypadkiem – przy pomniął książę.

– A, przywołujesz mnie do porządku! – Grubas uśmiechnął się tak szeroko, że część kaszy, której nie zdążył jeszcze połknąć, wy dostała się na zewnątrz i spadła na stół. – Bardzo dobrze! Nie godzi się nam zapominać o naszych misjach, sensie naszego istnienia! Otóż, słuchaj, młody bracie. Wysłał mnie do ciebie jego eminencja, on sam! – unosił przybrudzony sosem palec – bardzo troszczący się o nowicjuszy, takich jak ty. Widzi, że ojciec Jan zagarnął cię dla siebie. Stary treser przedstawia ci tylko jeden punkt widzenia. Nie mówi wiele o świętości istnienia, prawda? O świętym porządku, który połączył nas z bogami, ofiarowując spokój i zbawienie i im,

i nam? O tym, żeśmy byli samotnymi połówkami pomarańczy, oni i my, nimeśmy się spotkali i połączyli?

– Połówkami pomarańczy?

– To taka metafora. Starożytna. Człowiek zawsze czuł się samotny, niepełny. Szukał czegoś, co mogłoby uzupełnić pustkę w nim samym, wymyślał ideologie i religie. Zatracał się w wojnach, miłościach cielesnych, sądząc, że ukojenie może znaleźć w związkach z innymi ludźmi. Wszystko to na próżno, bo to nasze wybrakowanie wynikało z przecucia istnienia innych samotnych jak my. Całe te dwa wszechświaty, cały cud stworzenia, istniał po to, byśmy się wreszcie spotkali i uzupełnili. Czy teraz rozumiesz?

– To bardzo poetyckie.

– Ach, widać nieszczęsny wpływ ojca Jana!

– A jeśli powiem, że nie tylko poetyckie, ale i przemawiające do wyobraźni, wręcz kuszące? – Książę uśmiechnął się, miał nadzieję, porozumiewawczo. Jeśli miał wyjść wreszcie z roli pionka, musiał podjąć jakieś działania, a nie tylko dawać się nieść wydarzeniom. Sądził, że przyjdzie do Świątyni będzie takim przełomowym czynem, tymczasem uwikłał się tylko w kolejne intrygi i jeszcze bardziej ograniczył.

– To ja zawołam: Alleluja! Jest jeszcze dla ciebie nadzieja, bracie! Słuchaj więc mnie dalej. Ojciec Jan jest zbyt przywiązany do swej sławy za życia, zbyt ogranicza go poczucie winy, które tak bystrze dostrzegłeś. Dlatego nie potrafi wyzwoić się z pęt przyziemności i popada w herezję.

– Sądziłem, że jego przeszłość przybliży go raczej do Pana Ougli.

– Ach, gdzieżby tam, bracie! Z jednej strony stary czuje wyrzuty sumienia i dąży do zbliżenia z Panem, z drugiej nie może zapomnieć, że stał kiedyś ponad nim, ponad bogiem! Tak, tak, nieszczęsny ojciec Jan, jaka szkoda, że nie pozwala sobie pomóc. No, ale jego to woła. Czemu jednak ma ciągnąć za sobą innych?

– Chcecie, bym od niego odszedł?

– Ależ czemu tak nagle, czemu tak raptownie? Och, to pewnie przyzwyczajenie ze starego życia, prawda? Takie przywiązanie do pośpiechu? A może druga natura żołnierza? Byłeś wszak żołnierzem, bracie?

– Byłem dowódcą! – warknął książę, udając pychę i gniew.

– Tak! Tak! – ucieszył się grubas. – To zdecydowanie! Tak, chcielibyśmy, jego eminencja by pragnął, byś zstąpił ze ścieżki zguby. Pomyśl jednak nie tylko o sobie! Pomyśl o innych, których możesz uratować!

– Przejdź, proszę, do konkretów, bracie. Co masz na myśli?

– Otwarcie zakończy się wielką debatą. Ojciec Jan i jego eminencja zetrą się ze sobą, nie da się tego uniknąć. Ojciec Jan to człowiek obdarzony charyzmą, potrafi pociągnąć za sobą innych.

Oczywiście prawdziwie wiernych nie przekona, istnieją jednak niestety wahający się, prawda?

– Czego ode mnie oczekuje jego eminencja?

– W kluczowym momencie debaty poproś o głos. Ojciec Jan z pewnością ci go udzieli. Ty wtedy wyznasz ze skruchą swe błędy i odstąpisz od niego. Gdy ty, którego tak starał się indoktrynować, który masz świeże spojrzenie, odstąpisz od niego, będzie to wyraźnym znakiem świętej opatrności dla wszystkich wątpiących.

– I z pewnością potężnym ciosem dla Jana?

– Czasem trzeba upaść, żeby przejrzeć na oczy, bracie. Tak naprawdę mu pomagasz. Może nawet zdołasz go uratować?

– No dobrze. – Książe uśmiechnął się raz jeszcze. – Wszystko to bardzo pięknie, bracie. Ale powiedz mi, proszę, co ja będę z tego miał.

Grubas zakrzusił się kaszą, rozkładał gwałtownie. Wreszcie wyprostował się, otarł rękawem usta i roześmiał serdecznie.

Jan dopadł go, gdy wracali na obrady.

– Czego chciała od ciebie ta tłusta wesz?

– Przesłał go rektor. Chciał, żebym szpiegował dla niego, zdawał mu relację z waszych rozmów. W zamian obiecał wielkie zbawienie.

– I co? Zgodziłeś się? – Jan mrugnął do niego filuternie.

– Mam swój honor.

– A, czyli odmówiłeś! Żle, źle! Ten dewot mógł myśleć, że ma kogoś u nas, dałoby się to wygrać! No ale trudno, masz honor! Ech, wy, szlachta! Czy wy w ogóle pamiętacie, że wywodzicie się ze sklepikarzy?

– Wydaje mi się, że nie doceniasz Kompanii Eksploracyjnych.

– A tam, nie doceniam! Uczestniczyłem w nich, pamiętasz? No trudno, stało się. Ale pomyśl, czy nie mógłbyś jednak lekko nagiąć honoru, jeśli on albo jakiś mniej obleśny emisariusz dewotów przysiadzie się do ciebie podczas kolacji?

– Nie mogę tego obiecać.

– Będziemy musieli trochę nad tobą popracować.

Książę przysłuchiwał się debacie, starał się jednak nie zabierać już w niej głosu. Zapamiętywał dyskusje i padające w nich argumenty. Jak wtedy, gdy Jan starał się przekonać Karię, że nie istnieją pasożytnicze bóstwa, bo gdyby istniały, wyszłoby to na jaw przy okazji ostatniej wojny, kiedy bogowie opowiedzieli się po różnych stronach. Karia odpowiedziała na to, że pasożyty także mogły opowiedzieć się po różnych stronach, w związku z czym każda miałaby interes w ukrywaniu prawdy.

Wreszcie zapętlili się w pojedynku na argumenty do tego stopnia, że Moran musiał przypomnieć im o temacie zebrania. Oboje spojrzeli na niego równie gniewnie, ale posłuchali.

Wysłuchując kolejnych sprawozdań, książę przekonywał się, jak różnorodne były Domy i społeczności, które światu żywych wydawały się monolitem. Znowu wychodziło na jaw, jak mało uwagi żywi poświęcali światu pośmiertnemu. Ludzie używali innergii, dbali o wypełnianie kontraktów, nie zastanawiali się jednak wiele nad swoim przyszłym życiem. A przecież w porównaniu z nim okres istnienia cielesnego był tak krótki! Jak mogło dojść do takiego zachwiania proporcji?

– Po co w ogóle bogom kontrakty? – zapytał Morana podczas kolacji. – Rozumiem, że nasze ładunki innergetyczne jakoś ich wzbogacają, ale przecież to, jak żyjemy, zupełnie na nie nie wpływa.

– Trochę jednak wpływa – odpowiedział innergetyk – Dusza pozostaje w relacji z ciałem, a styl twojego życia może ją modyfikować. Jeśli na przykład upchasz w swoje ciało zbyt wiele sztucznych ulepszeń, wpłynie to na twój wzór innergetyczny. Twoje modyfikacje wzmacniające i zastępujące pewne funkcje organizmu odkształca go, a poprzez niego twoją duszę. Co więcej, w innoświecie odwołujesz się do wspomnienia siebie, na jego podstawie budujesz ciało. Gdybyś spędził życie jako cyborg, starałbyś się odtworzyć siebie w takiej postaci. Ale bogowie nie pozwalają na używanie tu takiej technologii.

– Właściwie dlaczego?

– Prawdę mówiąc, nie wiemy. Karia uważa, że to dlatego, że sami są częścią wyłącznie naturalnego innoświata. Boją się technologii, bo jest dla nich obca nawet bardziej niż my. Z kolei Jan sądzi, że technologie nas odkształcają i podporządkowują sobie. Tak ponoć było na przedinnergetycznej Ziemi, gdzie ludzie zmienili się w niewolników swoich narzędzi. Tak czy owak w rajku nie ma wysokich technologii. Domy wnosimy myślą i uczuciem, prawda? Jeśli więc za życia przebudowałbyś technologicznie ciało, to tutaj odrodziłbyś się jako kaleka albo musiałbyś poświęcić wiele wysiłku na odbudowywanie siebie, jakiego nie pamiętasz. To zaś oznacza, że musiałbyś się oddać wizji kogoś innego i – nawet przy najlepszych chęciach tamtej osoby – zafałszowałbyś siebie. Ale masz też rację, kontrakty bardziej potrzebne są nam niż

bogom, głównie ze względów psychologicznych. Lubimy mieć gwarancję, poczucie bezpieczeństwa.

– A to nie jest iluzoryczne?

– Powiedziałbym, że to kwestia pewnej umowy. Życie w ogóle opiera się na umowach. Tutaj po prostu szczególnie to widać.

Przy każdym posiłku dosiadali się do księcia przedstawiciele kardynała. Czasem był to grubas, który rozmawiał z nim jako pierwszy, pojawiali się jednak także inni. Księżę nie odmawiał im wprost, starał się raczej wypytać o jak najwięcej, by poznać także ich punkt widzenia. Zastanawiał się, czy jego nieufność wobec ich wizji światów nie wynika z ukrytego wpływu starego innergetyka. Dla własnego dobra odrzucał jednak tę teorię.

Drugiego dnia sprawozdania dobiegły końca.

– Wszędzie widać zastój – podsumował Jan. – Stulecia upłynęły nam na stagnacji. Reformatorzy przegrali wojnę w cielesnym świecie, jednak – teraz widać to wyraźnie – Odnowa, ponowne otwarcie, jest nam potrzebne. Może jak nigdy dotąd.

– Czemu właśnie teraz? – zapytał jeden z biskupów.

– Ponieważ po kłęsce ludzich reformatorów sprzyjające reformom bóstwa znajdują się w mniejszości, niektóre wręcz są izolowane. Jeśli nie opowiemy się za nimi teraz, na długo – a wiecie, że w tym świecie „długo” to więcej niż marne kilkadziesiąt lat czy nawet stulecia – stracimy okazję do przeprowadzenia zmian. A ona może się nie powtórzyć. Teraz mamy szansę, bo ten wyraźny podział sprawia, że nawet bóstwa przeciwne zmianom czują się niekomfortowo w wyniku podziału. Możemy je przekonać do kompromisu, przy najmniej tyle.

– A czy to w ogóle jest konieczne? – dopytywał się ten sam biskup. – Wiem, że takie jest stanowisko naszej grupy, rozumiem konieczność zmian. Ale czy to na pewno dobry moment? Obu światom zadano tyle ran. A ty zdajesz się proponować kolejną rewolucję!

– Proponuję radykalną reformę, to nie to samo, przyjacielu. Chcesz czekać? Kto może powiedzieć, jak bardzo wpłynęliśmy na wzorce bogów? Wspominała o tym Karia i nie jest to zupełnie pozbawione sensu. A jeśli one uległy znaczącym odkształceniom, ryzyko naszego nieprzewidzianego wpływu na środowisko innoświata staje się znacznie większe. Wciąż nie jest wielkie – bóstw nieprzebudzonych, niezainfekowanych naszymi wzorcami jest zdecydowanie więcej niż tych, które przebudziliśmy. Jaki jednak jest nasz wpływ na innoświat, nie dowiemy się, jeśli nie podejmiemy badań. A tych nie da się podjąć przy obecnym rozdrobnieniu i postępującej izolacji Domów. Jest gorzej, narasta dewocja, która w ogóle nie sprzyja badaniom. Kto wie, ilu z nas, nawet tu obecnych, będzie jeszcze w stanie normalnie rozumować przy następnym spotkaniu? Może będziemy już zdolni tylko do klepania paciorków?

Podczas kolejnego posiłku do księcia przysiadła się smukła innergetyczka, jak już wiedział,

jedna z niedawno umarłych, choć i tak starsza w innergii od niego. Robiła szybką karierę w Domu Pani Saeko. Nie zapytała Karola o rozmowy, jakie prowadzili zwolennicy reform, jakby w ogóle nie interesowała jej polityka. Wypytywała za to o świat żywych i jego własne życie.

– I jak twoje plany, Karolu? Wiesz już, za kim się opowiesz? – zapytała wreszcie kobieta, która przedstawiła się jako Dirka Bładawic.

– Zdumiewa mnie waga, jaką do mnie przywiązujecie.

– Ale i ci pochlebia. – Uśmiechnęła się prawie filuternie. – Byłeś nosicielem boga, wręcz przemysłowcem boga. Wybrał cię z jakiegoś powodu. Nie jesteś taki jak inni.

– To wszystko minęło. Pan Ougli wyrwał ze mnie Pana Ton, a mój status za życia nie ma tak naprawdę znaczenia tutaj.

– Masz rację, to nieważne. Liczy się co innego – furia, jaką wciąż w sobie nosisz. W przeciwieństwie do nas wszystkich jesteś szczerze pełen życia, Karolu. Śmierć nie schwytała cię na lep samozadowolenia, nie poddałeś się także ślepej wierze i – jestem o tym przekonana – nie ufasz w pełni swemu mentorowi. Wszyscy tutaj, czy to kapłani, czy naukowcy, są tak naprawdę ślepcami, trupami. Zauważyłeś, że nikt z nas się nie waha? Śmierć odebrała nam zdziwienie i niepewność.

– A mnie nie?

– Ty wciąż się dziwisz.

– Mówisz raczej jak Jan niż jak agentka kardyńska. Kim ty właściwie jesteś?

Roześmiała się.

– Jestem kimś, kto ma rozbudzać w tobie wątpliwości, książe. Posłuchaj, komunikacja to dominacja. Bez dominacji nie ma mowy o porozumieniu, istnieje tylko spór. W komunikacji jedna strona musi uznać wyższość drugiej, podporządkować się jej definicjom. Dopóki tak się nie stanie, trwa spór, walka o uznanie wyższości konkretnego paradygmatu. Ale trwa także szczególna równowaga, w której nikt nie dominuje.

– Twierdzisz, że jesteś neutralna?

– Och, mój biedny książe, nie istnieje neutralność w świecie, w którym nie istnieje obiektywizm. Póki to my dominowaliśmy, bogowie pojmowali, a zatem kształtowali świat, na nasz sposób. Teraz to się zmieniło, ale przecież ów boski język, który nas kształtuje, wywodzi się z okresu naszej dominacji, z czasów, kiedy bogowie starali się patrzeć naszymi oczami. Wiesz, co to oznacza? Że wszyscy jesteśmy kalecy. I bogowie, i ludzie błądzą w ciemnościach.

– Kim ty jesteś?

– Jeżeli wygrają kapłani, ten wszechświat zmieni się w jedną wielką modlitwę. Jeżeli naukowcy prowadzeni przez Jana, zmienimy się w bandę ekologów chuchających na każdy boski krzaczek i ograniczających wolność ludzi na własny sposób. Ja reprezentuję tych, którzy wolą

tego uniknąć.

– Co na tym zyskujecie?

– Istnieją różne Domy i różni bogowie, Karolu. Niektórzy wciąż uznają wyższość ludzi. Chciałbyś znaczyć coś w Domu Pana Ougli, książę? Zastanów się nad karierą boskiego tresera.

Rozdział 25

1

Ci, którzy dopadli Jewgienija, musieli przejść szkolenie Służby i dysponować najnowocześniejszymi systemami wspomagającymi.

Wyłonili się jakby znikąd.

Jeden był wcześniej tą staruszką pochyloną nad lalką udającą kilkuletniego brzdąca. Gdy „babcia” puściła bachora, zeszywniał z pustym wzrokiem utkwionym w otchłani bezświadomości.

Drugi był tym okularnikiem mizdrzącym się do smukłej, choć może nieco zbyt wysokiej dziewczyny o szkarłatnych ustach, dużych i zmysłowych. Niby się do niego uśmiechała, traktowała go jednak bardziej z politowaniem niż sympatią.

Ot, zwyczajna niedobrana para, jakich wiele można było znaleźć w Parku Księcia Buchmanna. I fałszywa, jak wielu innych agentów przy czajonych w zasadzce.

Jewgienij spodziewał się pułapki i przygotował na nią.

Ledwie dwanaście metrów dalej jego sobowtór skradał się ku Szaremu Pawilonowi, gdzie Igor Tie miał wygłaszać przemowę na cześć marszałka. Po raz pierwszy wypuszczono go, by wystąpił publicznie, i Jewgienij doskonale wiedział, że w ten sposób zastawiano pułapkę na niego i jemu podobnych.

Sobowtór stanowił tylko jeden z elementów mających wyabić przy czajonych. Wynajęta przez Jewgienija banda złodziei podjęła próbę okradzenia odzianego jak na ważną uroczystość

państwową sekretarza księżnej Buchmann. Pośledni zabójca wpadł, przedzierając się ku Igorowi Tie, na drugim końcu parku z hukiem eksplodowały petardy. Trzy łatwe do wyśledzenia i powstrzymania wirusy próbowały infiltrować sieć Służby, osłaniając swoimi działaniami ławicę innych, lepiej zakamuflowanych.

Wszystkie te działania zdały egzamin – ujawniły policyjnych tajniaków i ochroniarzy oraz zakamuflowanych agentów Służby. Ci jednak, którzy naprawdę polowali na jedną jedyną osobę, pozostali czujni i ukryci.

Ale nawet ich Jewgienij wyprowadziłby w pole, gdyby nie zdradził go własny wspomagany umysł.

Po zamachu, w którym zginął młody książę Oruzon, Jewgienij nie tylko dziesiątki razy odtwarzał wszelkie zapisy kamer, jakim udało się zarejestrować zabójcę, oraz pościagał zapisy tych spośród ochroniarzy i gości, których mózgi zaopatrzone w systemy zapisu, ale też zakodował w plusmysle podświadomą reakcję wywołaną przez którąś spośród sporządzonych po analizach zabójcy charakterystykę.

Dzięki temu miał być gotowy do działania z szybkością przekraczającą możliwości świadomych reakcji, gdy tylko potencjalny zabójca pojawi się w pobliżu. Oczywiście system mógł też zareagować na innego, podobnie wyszkolonego człowieka, ale nawet to najprawdopodobniej okazałoby się przydatne. Każda szkoła odciskała piętno na agentach, których wypuszczała. Zatem także inny zabójca mógł doprowadzić Jewgienija do człowieka, który zamordował jego pryncypała.

Tym razem system zadziałał na szkodę swego nosiciela. Zarejestrował odpowiadający zapisanej charakterystyce wzór i zareagował alarmem. Nim Jewgienij to sobie uświadomił, plusmysł już pobudził jego ciało do działania, ruchy się zmieniły, wzrok wyostrzył i skupił na podejrzanym. Agent zmienił się w łowcę.

Teraz jednak łowca otoczony był przez stado zdeterminowanych drapieżników, a przemiana zrujnowała jego kamuflaż.

Plusmysł dostrzegł podobne przemiany i rozkwitające osobowości drapieżcze wśród ludzi sprytnie poukrywanych w tłumie, było już jednak za późno na ucieczkę.

Co nie przeszkadzało Jewgienijowi spróbować. Choć plusmysł błyskawicznie przeliczył wszelkie możliwości i wyeliminował jakiegokolwiek szanse powodzenia, Jewgienij ruszył ku najbliższemu przeciwnikowi. Udało mu się zabić trzech, nim fałszywa staruszka pozbawiła go w końcu przytomności ładunkiem paralizatora.

Gdy się ocknął, był ściśle owinięty w uniemożliwiający mu najmniejszy ruch kłosa blokujący jednocześnie jakąkolwiek transmisję, w tym inneretyczną. Plusmysł milczał, izolowany bądź wyłączony. Ktokolwiek porwał majordomusa, zabezpieczył się na każdy sposób.

Trzymali go w jakimś ciemnym pomieszczeniu pozbawionym okien. Mrok pozostawał nieprzenikniony i równie dobrze Jewgienij mógłby mieć zamknięte oczy. Albo kokon izolował go tak dobrze, że nawet nie potrafił wyczuć, na czym go położono, albo zawiesili go w powietrzu w jakimś rodzaju hamaku, może liny.

Wiedział, że Służba robi tak czasem, by dodatkowo oszukać zmysły więźniów, zwykle jednak spece od przesłuchań woleli ingerować bezpośrednio w mózg. Możliwe, że w jego przypadku obawiali się zabezpieczeń. A może plusmysł naprawdę zareagował i zesłał na niego ułudę, która miała mu pomóc oprzeć się przesłuchaniu? Nie przypominał sobie, by kórakółwiek z wizualizacji takiego programu przypominała tę drażniącą ciemność, ingerencja napastników mogła jednak wywołać zakłócenia.

A może po prostu umarł? Nie wiedział przecież, jak wygląda innergetyczne niebo. Może śmierć to ciemność?

– Chcę wiedzieć jedno – odezwał się, nim kórakółwiek zadał mu pytanie, w odruchu zyskania przewagi nawet w tak kiepskiej sytuacji, ale także po to, by przełamać blokadę bodźców, choćby poprzez własny głos. – Czy to ty?

Nie trafił do raj. Gdy się odezwał, pomieszczenie wypełniło łagodne światło, w którym ukazał mu się Filip Aubert.

– To ja – odpowiedział. – Ja sam. Tak jak oczekiwałeś.

– Do diabła, nie o ciebie pytam, panie pyszałku! – Nawet tak drobna możliwość utarcia nosa temu lajdakowi prawie poprawiła Jewgienijowi humor. – Pytam o zabójcę! Czy to ten sam, który zabił mojego księcia?

– Ach, to. – Aubert także się uśmiechnął. – Uparty i nieprzejednany! Prawie pana podziwiam, Jewgieniju. Tak to on. Nasz najlepszy człowiek Mam go zawołać? Chciałby pan z nim porozmawiać?

– Niech mu pan powie, że go dorwę. Po tej lub po tamtej stronie.

– Och, kodeks rodu Oruzonów! Zemsta ponad śmierć! Naturalnie. Proszę mi wierzyć, jestem pod wrażeniem. Czy zechciałby pan w zamian za to pośrednictwo przekazać nam kody do swojego systemu? Moi technicy mają pewne problemy z dostępem.

– Nie powinien pan być gdzie indziej? Uczestniczyć w jakiejś bitwie czy coś w tym stylu?

– Istotnie. Proszę sobie jednak wyobrazić, że w zamian za pomoc w ugaszeniu zbrodniczego buntu, w którym miał pan swój udział – o czym łada chwila dowie się całe imperium – Czwórka przyznała nam specjalne uprawnienia. I ja na ten przykład uzyskałem specjalną boską pomoc umożliwiającą mi natychmiastowe przeniesienie tutaj. Wyobraża pan to sobie? Żadnych silników, żadnych statków! Sam bóg niósł mnie przez innoświat!

– Głupi i ślepi! – warknął Jewgienij, którego zaczynała już męczyć ta wystudiowana

uprzejmość. Nagle z całą jasnością zdał sobie sprawę, że umrze tutaj. A jeśli ci dranie naprawdę zyskali specjalne wsparcie bogów wykraczające poza wszystko, co miało miejsce dotychczas, może nawet wymażą jego duszę? Umrze tu naprawdę i ostatecznie. Berak! Berak dorwie tego lajdaka Auberta i jego cyngla! Ale Berak chciał pomścić swoją kobietę, nie Oruzonów. To nie będzie właściwy rodzaj sprawiedliwości.

Czy mógłbym współpracować?

Przez chwilę myślał, że to Aubert zadał pytanie, potem zrozumiał, że wygenerował je jego własny umysł.

Czy na pewno? Może już się do niego dobrali?

Raz rozbudzona nadzieja nie dawała się jednak uspić. Mógłby pójść z nimi na współpracę, w każdym razie przekonać ich, że tak właśnie zdecydował. A potem uderzyć w stosownej chwili.

Dokonałby zemsty. Zmazał hańbę.

– Przybyłem tu, by na własne oczy zobaczyć pański upadek, Jewgieniju – ponaglił go Aubert. – Wciąż jeszcze może pan jednak coś dla siebie utargować.

– Życie? Pracę dla was? – Więc jednak mną manipulują!

– Och, nie. – Aubert uniósł dłonie i potrząsnął głową. – Przykro mi, jeśli daremnie rozbudziłem pańskie nadzieje. Pan musi umrzeć. Uczestniczył pan w największej zbrodni w historii. Wspólnie z generalicją i częścią szlachty, na której czele stał książę Karol Oruzon, spiskował pan przeciw cesarzowi. Rozpętaście wojnę w imię szalonej idei przekształcenia Wspólnych Przestrzeni. Wspólnie z Igorem Tie zamordowaliście marszałka i – jak się okaże – jego niesłusznie oskarżaną małżonkę. A pan został schwytyany podczas próby zamordowania skruszonego Tie, który zbierał się, by wyznać nam prawdę. Zostanie pan ukarany w tym i tamtym życiu. Może pan jednak utargować życie dla ostatniego z synów pańskiego księcia. Proszę dać nam swoje kody, odkryć, gdzie ukrywa się książę Michał Oruzon, a zostanie on oszczędzony. Więcej, całą rzecz ułożymy tak, że okaże się, że o niczym nie wiedział.

– Musiałby wyrzec się ojca i brata!

– Ale przeżyje. A ród ponownie wzrośnie za kilka pokoleń. Oruzonowie już tak mają, wiecznie wznoszą się i upadają. Jeśli jednak książę Michał zostanie wplątany w aferę, upadek tej gałęzi rodu może okazać się ostateczny. Jedyne, czego od pana chcę, to by dochował pan wierności rodowi, nic więcej. I proszę się spieszyć, bo rzeczywiście mam łowy do zakończenia. To, co pan dowcipnie nazwał bitwą.

Nawet nie proponował mu łaski, choćby najmniejszej. Jewgienij prawie się uśmiechnął. Był pionkiem przez całe życie i umrzeć miał także w roli pionka.

Przynajmniej sam sobie wybrał taki los.

Szukał właściwych słów. Najlepsze byłyby jakieś dumne i wzgardliwe. Albo niosące obietnicę

zemsty i odpłaty.

Zamiast tego powiedział tylko:

– Nie zgodzę się z panem. I chyba poprzestaję wam, jak tylko będę w stanie.

– Przecież i tak złamiemy pańskie systemy! Szkodzi pan swojemu księciu!

– Niech osobiście przedstawi mu pan ofertę zdrady. Pozwoli pan, że zachowam dla siebie rolę oddanego sługi.

– Zły to sługa... – rozpoczął jeszcze Aubert, najwyraźniej nieprzywykły do choćby najmniejszych porażek, jednak tym razem Jewgienij nie pozwolił mu dokończyć.

– Niechże pan idzie w otchłanie! – zawołał. – Przecież obaj wiemy, że przegracie! Po prostu ustawiam się po właściwej stronie.

To nie było dumne ani wielkie, uznał, gdy szambelan odszedł, śmiejąc się głośno, być może wcale nie na pokaz. To było głupie, szczeniackie. Ale moje.

2

Aubert, choć szczerze wyśmiał złudzenia nieszczęsnego majordomusa, biednego, ślepego durnia, niegdyś może i sprawnego agenta, obecnie otumanionego rozpaczą strzępu człowieka, nie był zadowolony z przebiegu spotkania. Wiele sobie po nim obiecywał, to miała być jedna z nielicznych chwil otwartego triumfu, na jakie mógł sobie pozwolić.

Zawsze przebywający w cieniu, zmuszony ukrywać swoją prawdziwą rolę tak rzadko miał okazję do ukazania się w pełni chwały. Gdy dowiedział się, że schwytano Jewgienija, miał nadzieję, że uda im się porozmawiać, że przekáže mu wizję prawdziwej Odnowy, powrotu do ideałów z czasów Pierwszego Porozumienia. I nawet – pozwalał sobie czasem na takie marzenia – że tamten przyzna mu rację! Czy arystokracja, rozbudzone aspiracje wojskowych i gubernatorów – czy to wszystko naprawdę nie psuło świata? Czy ludzie nie zapomnieli, czym był człowiek? Czym były pierwsze Kompanie Eksploracyjne i co napędzało podbój przestrzeni?

A ten nieszczęśnik, ten nikł, sługa wyrosły ponad miarę, oszalał.

Jaka szkoda!

Poniekąd łączyło ich podobieństwo. Obaj byli sługami, którzy wzrosli przy swoich patronach. O ile jednak Aubert wybrał dobrze, poświęcając się wielkiej idei, o tyle Jewgienij wszystkie zdolności złożył na ołtarzu wierności rodowi pyszałkowatych, zadufanych w sobie arystokratów,

pragnących tylko większej władzy dla siebie. Cóż to za życie, coż to za służba?

Głupiec!

Dość już myśli o przegranych durniu.

Zabójca czekał na niego. Czego chciał?

– Nie powinieneś zostać przy Jewgieniju? – zapytał, starając się go minąć.

– Proszę wybaczyć, panie Aubert, ale ani pielęgnowanie kalek, ani przesłuchiwanie nie jest moją robotą. – Derwan się skrzywił. – Z pewnością znajdzie pan dla mnie coś użytecznego.

– Możesz szukać księcia Michała.

– Nie jestem także śledczym.

Co za gbur!

– Możesz lecieć ze mną. Kto wie, czy się tam nie przydasz? Nie wiem tylko, czy mój... czy ten, kto umożliwi mi podróż, zabierze i ciebie.

– Mam własny statek

– Dobrze więc! Znasz kody? Nie byłoby dobrze, gdyby cię zestrzelili nasi ludzie.

Podał zabójcy kody i koordynaty, dzięki czemu wreszcie uwolnił się od niego.

Derwan coraz bardziej go drażnił swoją beczelnością. Jak zwykle, gdy latami opracowywane plany i prowadzone wedle nich działania zbliżały się do momentu zwieńczenia, Auberta ogarniała większa nerwowość. Na więcej szczegółów zwracał uwagę, irytowały go nawet drobne wady współpracowników. Co gorsza, właśnie teraz każdy przykładał większą wagę do własnych ambicji. To, że Derwan dawał do zrozumienia, iż oczekuje nagrody, można było przeboleć. Niestety, także cesarz zaczynał coraz wyraźniej grać na własną rękę.

Na szczęście szambelan zabezpieczył się i przed tym. Ludwikowi III, w zbyt wielu sprawach zdającym się na sługi, brakowało inicjatywy. Nawet część kontaktów z bogami przekazał szambelanowi. Gdy wszystko się skończy, cesarz będzie musiał pogodzić się ze światem, jaki zaprojektował Aubert.

Niemal wolny od trosk Filip Aubert wkroczył do pomieszczenia, w którym czekał jego przewoźnik. Wbrew temu, co powiedział Jewgienijowi, nie był to bóg, a jedynie umarły kapłan, który opętał jednego z kapłanów wspierających szambelana. Na pozór nie różnił się niczym od najzwyczajniejszego z ludzi, jednak dysponował prawie nieograniczonymi możliwościami. Pewnie dałby radę unieść i zabójcę, ale Aubert nie chciał się dzielić z nikim wyjątkowym przywilejem bezpośredniego podróżowania przez innoświat. Tak wędrowali bogowie! Nawet cesarz nie dostał dotąd takiego zaszczytu. Choć bogowie ofiarowali ludzkości możliwości innergii, sami niechętnie wspierali technologie innergetyczne, wyjąwszy kilka podstawowych. Aubertowi odpowiadał taki podział, należało oddawać co cesarskie cesarzowi, a co boskie bogom, pod warunkiem że bogowie stosowali tę samą zasadę i pamiętali, kto kogo ucywilizował, wręcz

stworzył.

– Na okręt – polecił kapłanowi i rzeczywiście wokół niego zawirowała.

Podróż trwała ledwie мгновение oka. To było coś! Żadne tam powolne rozgrzewanie silników pod opieką kapłanów i magów. Tylko hop – i proszę – prosto ze stolicy na pokład flagowego okrętu, wprawdzie nie na mostek, a do przydzielonej mu prywatnej kajuty, gdyż admirał Chou nie życzył sobie żadnych efektownych pokazów mocy. Ale może to nawet lepiej? Na wszelki wypadek, zmierzając na mostek, Aubert zabrał opętanego kapłana ze sobą.

– Co tam słychać w innoświecie? – zagaił, czując, że tu, na pokładzie *Tianlonga*, okrętu flagowego IV Floty, powraca mu dobry nastrój.

Potężny nosiciel klasy Legat+, jeden z największych okrętów flot Wspólnych Przestrzeni, przypominał szambelanowi o jego własnej sile. A przecież nie tylko ten jeden okręt był teraz na jego zawołanie.

– Otworzono Świątynię – odparł zduszonym głosem kapłan potrzebujący chwili, by nawiązać kontakt z innoświatem. – Jestem tam potrzebny!

– Jesteś potrzebny mnie! – oświadczył stanowczo Aubert. – Pani Maleri wyraziła się chyba jasno?

Kapłan podniósł głowę pochyloną niemal nieustannie, odkład poddał się opętaniu, i przez kilka chwil przyglądał się Aubertowi jakoś dziwnie. Szambelan odniósł wrażenie, jakby w tym krótkim czasie patrzyli nań obaj kapłani – i nosiciel, i duch – i obaj czuli rozbawienie. No dobrze, nie rozmawiał z boginią osobiście. Czy miał się od tego czuć gorszy? Z tego, co wiedział, nawet cesarz rozmawiał z bogami przez pośredników.

– Pani Maleri nie pozostawiła nam wątpliwości. – Trudno było ocenić, czy odpowiedzi udziela jeden z kapłanów czy obaj. – Mamy udzielać ci pomocy, jakiej nie otrzymał dotąd żaden śmiertelnik Buntownicy muszą upaść.

I o to chodziło! Na mostek Aubert wkroczył nie tylko w doskonałym nastroju, ale też pełen pewności siebie. Teraz nic nie mogło mu przeszkodzić.

– Pojawiły się pewne komplikacje – przywitał go admirał, nie odrywając wzroku od wielkiego ekranu ukazującego przestrzeń przed nimi. Roilo się na nim od wskaźników ukazujących wrogie i sojusznicze okręty. – Z innoświata wysłakuje właśnie jakaś obca flota i jeszcze Sertemp się tu przyplątał. Nie zostałem o nim uprzedzony.

– Mamy przekaz od anonimowych, admirałe! – zameldował nieznanemu Aubertowi oficer.

Sertemp? II Flota? Skąd tu się wziął i po co przybył? Czyżby wysłał go cesarz, by kontrolować poczynania Auberta? A może... Sertemp był przyjacielem Grouchona! Czy to właściwy trop? Jeśli tak, szambelan miał dla niego nowe wiadomości.

– Admirale! – zawołał. – Niech pan natychmiast połączy mnie z admirałem Sertempem!

– Momencik – Chou uniósł dłoń, powstrzymując szambelana. – Może najpierw niech posłucha pan tego... Panie Lohan, proszę przełączyć na cały mostek

– ...atak! – rozległo się z głośników. – Powtarzam, tu komandor Olga Mirimor z *Shere-Khana*, okrętu flagowego Samodzielnej Floty Tygryziej. Eskortujemy flotę, którą zaatakowaliście. Natychmiast przerwijcie atak!

– Samodzielna Flota Tygrysia? – zawołał zdumiony Aubert. – Dowodzi nimi kobieta? Co to jest?

– Dwa nosiciele, pięć ścigaczy i jeden pancernik – wyliczył Chou. – Sądząc z charakterystyk, część z nich wyprodukowano w stoczniach ZNŚ. Fakt, że zatrudniają kobiety we flocie, też wskazuje na nich. Panie Lohan, ma pan coś więcej?

– Tak jest, admirale! Ta Mirimor rzeczywiście służyła trzydzieści lat we flotach ZNŚ. Trzy lata temu usamodzielniała się i założyła własną firmę. Skądś znalazła pieniądze na nosiciel, potem skupowała uszkodzone statki od nas i od buntowników. Ta cała Tygrysia Flota to jednak przede wszystkim zbieranina niezależnych kapitanów. Papiery mają w porządku. I faktycznie wynajął ją Maska.

– *Shere-Khan!* – odpowiedział Chou, po raz kolejny uniesieniem dłoni powstrzymując Auberta.

– Człowiek, którego ścigacie, jest poszukiwanym przez Cesarstwo Wspólnych Przestrzeni zbiegiem. Jest zbrodniarzem. Występując w jego obronie, opowiadacie się przeciw Wspólnym Przestrzeniom po stronie upadłej rebelii. Umowy pomiędzy Cesarstwem a ZNŚ są w tym względzie jasne, nie znajdziecie schronienia w swojej ojczyźnie. Zawróćcie. Nie sprostacie sile naszej floty, a tym bardziej siłom dwóch połączonych flot Wspólnych Przestrzeni.

Aubert odwrócił się ku swojemu kapłanowi.

– Natychmiast połącz mnie z admirałem Sertempem!

Kapłan skinął głową i na szambelana spłynęła jasność innergetycznej izolacji. Połączenie przypominało to, jakie nawiązywał za pomocą instrumentów innergetycznych w pałacu. Znów pomyślał o tym, jak ludzkość przez całe wieki się ograniczała, nie wymuszając na bogach poważniejszego zaangażowania. Ileż stracili w imię czuwania nad iluzoryczną niezmiennością ludzkości!

Sertempa zastał na mostku. Przyglądał się sytuacji na ekranie identycznym jak ten rozwinięty na mostku *Tianlonga*. Na widok Auberta wyprostował się zaskoczony. Szambelan nie dał mu ochłonąć.

– Co pan tu robi, admirale?

– Otrzymałem informacje, że mogę być przydatny, panie Aubert.

– Można spytać od kogo?

Sertempa zastanawiał się przez chwilę. Zerknął w lewo na kogoś pozostającego poza zasięgiem wzroku Auberta.

– Zasugerował mi to marszałek Grouchon – odpowiedział wreszcie. – Jeszcze przed zamachem. Przed złożeniem dowództwa, kiedy podlegałem jego zwierzchnictwu.

– Ach, marszałek! – zawołał szambelan uradowany.

Znów wszystko układało się po jego myśli. Zerknął za siebie, gdzie Chou wciąż oczekiwał odpowiedzi najemników.

– Mam dla pana znakomite wieści, admirale! Udało nam się oczyścić z podejrzeń małżonkę marszałka. Zabójcą okazał się Igor Tie, który przedstawiał się jako mściciel. Nie działał sam, na szczęście schwytaliśmy już jego najgroźniejszego współnika, gdy starał się go uciszyć.

– To w istocie znakomita wiadomość. – Sertemp skinął głową. – Czy mogę spytać, kto...

– Majordomus Oruzonów, którzy sprzyjali skrycie rebelii – odpowiedział szybko Aubert. – Proszę mi wybaczyć, że panu przerwałem, admirale, ale sytuacja nas ponagla! Może się okazać, że będziemy potrzebowali pomocy, by uporać się z tą śmieszną Tygrysią Flotą. Posiadam odpowiednie pełnomocnictwa cesarskie, tak więc nie musi się pan obawiać o kwestie formalne.

– Admirał Chou stara się zwrócić pana uwagę – wtrącił się utrzymujący innergetyczną łączność kapłan. – Wydaje mi się, że to ważne.

– Proszę wybaczyć mi na moment, admirale Sertemp! – zirytowany Aubert prawie zasyczał.

– W czym problem, admirale Chou?

– Odpowiadają. – Twarz dowódcy IV Floty, na co dzień nieprzenikniona, tym razem wydała się Aubertowi zaniepokojona. – Myślę, że powinien ich pan posłuchać.

– ...tak więc wedle naszych informacji, admirale, nasz klient pozostaje obecnie pod ochroną Dwudziestej Pierwszej Kompanii Eksploracyjnej. Co więcej, wszczęte zostało już postępowanie wyjaśniające w sprawie powództwa naszego klienta przeciw rządowi Wspólnych Przestrzeni. Pozwoli pan, admirale, że nie będziemy wyliczać wszystkich punktów oskarżenia.

– To jakiś absurd! – zawołał Aubert.

– To prawo – odparł Chou. – Możemy mieć z tym problem.

– Maska jest oskarżony o przestępstwa przeciw Wspólnym Przestrzeniom – warknął Aubert. – Został przeciw niemu wniesiony akt oskarżenia! Ma pan prawo go zatrzymać!

Chou skinął głową i powtórzył dowódcy *Shere-Khana* słowa szambelana.

– Przyjęłam, *Tianlong*. Dziękuję za wstrzymanie waszego ataku. Zauważam jednak, że nie wycofaliście ścigaczy. Nie przyjmujemy waszej wykładni, uznaję, że kontrakt nadal zobowiązuje nas do eskortowania. Przypominam też, że atak na Kompanię Eksploracyjną stanowić będzie złamanie Konstytucji Wspólnych Przestrzeni.

– No i jesteśmy w kropce – mruknął Chou. – Możemy jedynie apelować do Dwudziestej Pierwszej KE o wydanie nam Maski.

– Nic z tego – warknął Aubert. – Na mocy specjalnych pełnomocnictw przyznanych mi przez

władcę Wspólnych Przestrzeni upoważniam pana, admirała Chou, do rozpoczęcia ataku!

– Panie Aubert, nie możemy atakować floty Kompanii Eksploracyjnej!

– Myli się pan, admirałe. Może pan sprawdzić moje upoważnienia. Wciąż trwa wojna i zwyczajne prawa są zawieszane. Zarządzenie cesarza o Specjalnych Ograniczeniach Konstytucji na Czas Wojny z Rebelią wciąż pozostaje w mocy.

– Nie sądzę, by w tym zarządzeniu cesarz przewidywał atak na Kompanię Eksploracyjną – powiedział ostrożnie Chou.

– Takie spory proponuję zostawić prawnikom, admirałe. Zarządzenie nie wylicza wszystkich możliwych wydarzeń, pozostawia nam w tym względzie pewną dowolność. A oficjalnym przedstawicielem cesarza Ludwika III na pokładzie pańskiego okrętu jestem ja. Jeżeli pan chce, może próbować nawiązać łączność z cesarzem. A na razie proszę wykonać rozkaz!

W spojrzeniu, jakim obdarzył go Chou, nie było śladu sympatii. Aubert zmusił go do podjęcia decyzji politycznej, a tego nie lubił żaden wojskowy. Admirał milczał przez chwilę, wreszcie jednak podjął decyzję i wydał rozkaz ponownego rozpoczęcia ataku. Jednocześnie jednak nakazał podjęcie próby połączenia się z cesarzem. Na wszelki wypadek Aubert kazał wcześniej swojemu kapłanowi blokować wszelkie takie poczynania.

– Admirałe Sertemp! – Szambelan wrócił do przerwanej rozmowy. – Jak pan widzi, przystępujemy do akcji. Kruczki prawne nie ochronią zbrodniarzy!

Dopadli Jewgienija! Czy jeszcze żył? Czy to miało znaczenie? Czy Aubert ujawnił się, sądząc, że pokonał ostatniego z przeciwników, czy też dla chwały zadania ostatniego ciosu Masce?

W pewien sposób neutralizacja Jewgienija otwierała Berakowi drogę do samodzielnej zemsty. Już nie musiał się przejmować zobowiązaniami wobec Oruzonów. Czy będzie musiał zabić Auberta? Czy będzie mógł to zrobić? Zemsta! Cóż to jest? Przyniesie mu satysfakcję?

– Działam dla cesarza i w jego imieniu – szepnął.

Sertemp spojrział ku niemu wyraźnie zaniepokojony i Berak zrozumiał, że admirał nie wie, co robić, i szuka jego rady. Aubert powołał się na pełnomocnictwa cesarza, nie istniała wyższa instancja. Kapłani *Swarożyca* próbowali połączyć się z cesarzem, jednak ktoś bardzo starannie blokował wszelkie innergetyczne kanały.

– Ten facet powołał się na specjalne uprawnienia, ale nawet cesarz nie może łamać prawa. – Berak zastanawiał się gorączkowo, jak wyglądałaby wykładnia Służby. Oczywiście nic nie obchodziło ich prawo, jeśli stawało na drodze interesów Cesarstwa, Kapituła powinna go więc obedrzeć za takie słowa ze skóry. Ale Aubert stał za zabiciem... Temine.

Przymknął oczy. Temine. Gdy umarła, mógł myśleć o niej poprzez imię. To sprawiało, że

łatwiej mu było zagrać na własnych osobistych tonach, pobudzać gniew i żal tłumiące uwarunkowania – korzystać z tych broni, które nawet nie powinny zaistnieć. To wszystko zmieniało go w zdrajcę. Czy potrzebował usprawiedliwienia, jednego z oszustw, za którymi chowali się słabi głupcy?

– Admirale – kontynuował – zarządzenie, na które powołuje się Aubert, nie może naruszać Konstytucji Wspólnych Przestrzeni gwarantującej prawa Kompanii Eksploracyjnych. Atak na Kompanię to jakatakna najświętsze podstawy Wspólnych Przestrzeni. Nie może się pan do niego przyłączyć i nie może się pan temu biernie przyglądać.

– Admirał Chou interpretuje to inaczej.

– Admirał Chou nie wie o spisku.

– Powiem mu!

– A może się pan z nim połączyć?

Nie mogli. Aubert zabezpieczył się i zablokował ich łączność.

– Admirale Sertemp? – Szambelan tracił cierpliwość.

– Panie Aubert. – Admirał przełączył dźwięk z mostka na cały okręt, zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. – Powołuje się pan na pełnomocnictwa, występuje jednak przeciw podstawom ustroju Wspólnych Przestrzeni. Nawet cesarz, i to podczas wojny, nie ma takiego prawa. Na podstawie posiadanych przeze mnie informacji jestem zmuszony podjąć wszelkie kroki, by przeszkodzić panu w złamaniu prawa. Apeluję do pana, by zaprzestał pan ataku.

– To zdrada! – zawołał Aubert. – Ty głupcze! Ktoś tam jest przy tobie, ktoś ci doradza! Kto to jest?

– Dostać. Decyzja należy do pana. Ja nie mam panu już nic do powiedzenia.

Aubert zniknął. Sertemp milczał przez chwilę. Wszyscy na mostku patrzyli na niego w milczeniu. Berak był pewien, że na całym okręcie panuje podobna cisza.

– Żołnierze Wspólnych Przestrzeni – odezwał się admirał. Mówił zaskakująco cicho, spokojnie, ale z pewnością w głosie. – Wojna domowa niesie najstraszniejsze wyzwania i naraża na szwank wierność nawet największych. Zostałem poinformowany o spisku mającym na celu zamordowanie marszałka Grouchona, spisku uderzającym w samego cesarza, w samą istotę Wspólnych Przestrzeni. Działania szambelana Auberta upewniają mnie, że spisek ten jest faktem. Nie będziemy stać biernie. To trudna decyzja, ale musimy wystąpić przeciwko naszym braciom z floty, którzy zostali oszukani. Wiem, że mogę na was liczyć. W imię cesarza, w imię Wspólnych Przestrzeni, nie zawiedzemy zaufania, jakie w nas pokładają!

Berak nie wiedział, czy admirałowi udało się przekonać swoich ludzi, niemniej ci na mostku jakby się ocknęli i wrócili do swoich zajęć. Nikt nie próbował przejąć dowodzenia. Ile by mówiono o wierności cesarzowi, załogi okrętów pozostawały lojalne przede wszystkim wobec

swoich dowódców.

– Admirale! – zawołał pierwszy oficer. – Czwarta Flota kontynuuje uderzenie. Nie zwracają na nas uwagi.

– *Perun* i *Wilkołak*, kurs przechwytyjący! Od teraz ich podstawowym zadaniem jest ochrona Dwudziestej pierwszej KE. Pozostali, szyk delta. Cel: Czwarta Flota.

– Dalej nic! Zachowują się, jakby nas tu wcale nie było!

– Może nie wierzą, że ich zaatakujemy. Niech *Żmij* odda ostrzegawczą salwę. Eskadry *Żmija Złota* i *Czerwona*, zajęć pozycje.

– Admirale! – Tym razem w głosie pierwszego pojawił się strach. – Dwie nowe floty! Pierwsza i Siódma!

– Łączność?

– Brak Siódma kieruje się ku KE. I na nas.

– No to już wiemy, czemu mieli nas gdzieś. Spróbujcie wywoływać ich łącznościowców na wszystkich pasmach, może Aubert coś przegapił. Podtrzymuję rozkazy dla *Peruna* i *Wilkołaka*. *Żmij* niech kontynuuje atak Mają do niego dołączyć *Weles* i *Chors*. Niech skupią atak na *Tianlongu*. Pozostali w szyku lambda ku Pierwszej Flocie. Panie Berak?

– Tak jest, admirale?

– Sugeruję, że powinieneś pan opuścić pokład. Tu nie przydasz się pan na nic, a najpewniej zginiesz.

– Admirale, od *Tianlonga* odłączył się niewielki ścigacz. Kieruje się na KE. Zestrzelić?

– Wiemy coś o nim?

– To prywatna jednostka, z demobilu. Nie należy do floty, niewiele mamy na jej temat danych w bazie. Dwadzieścia lat służby w Trzeciej Flocie, właścicielem jest spółka „Poncjusz”, nowoczesne systemy czy szczące. Pewnie to przykry wół albo sprzęt jest kradziony.

– Panie Berak?

– Wygląda na to, że mogę mieć zajęcie. Panie admirale, dziękuję. Niech bogowie pana wspierają.

– Niech pan przeżyje. I obyśmy się nie mylili.

Cztery floty! Na bogów! Cztery floty wyskoczyły, niemal bez efektów świetlnych, w przestrzeń wokół tych dziwnie wyglądających statków! Same okręty bojowe, jeszcze ociekające innością, już ustawiały się w formacje zwiastujące rychłą bitwą. A oprócz tego jakaś piąta flota ustawiała się pomiędzy nimi a ociążałymi, nieuzbrojonymi, jak się wydawało, okrętami o nieznanym, obcych sylwetkach. Co tu się działo?

Na pokładzie jachtu wysłuchali wymiany zdań pomiędzy nadającym na otwartym kanale *Shere-Khanem* a *Tianlongiem*. Kompania Eksploracyjna? Skoronowi trudno było w to uwierzyć – ostatnie Kompanie rozwiązano przed wielami. Wywodzące się z nich rody do dziś obnosiły się z odziedziczonymi kompanijnymi herbami, to prawda. Ale jakim cudem jakaś Kompania mogła przetrwać? Do tego w ukryciu?

Sądząc po wyrazach twarzy, pozostali byli równie zdumieni.

A Tessa, ta niezwykła kobieta, która utrzymała jacht w inności dla nich dwojga? Wydawała się zaniepokojona. Studiowała ekran, czy to szukając słabych stron przybyłych flot, czy może analizując sytuację. Znała się na taktyce? Skoron był gotów uwierzyć we wszystko.

– To Pierwsza, Druga, Czwarta i Siódma! – mamrotał Goryl, w którym odruchy zawodowe przewyciężyły w końcu zdumienie. – Cztery floty Wspólnych Przestrzeni kierują się ku jednej jedynej, słabszej od każdej z nich z osobna najemniczej flocie! Trudno nie czuć szacunku dla tych straceńców, nawet jeśli służą złej sprawie.

On już nagrywa, uświadomił sobie Skoron. Nadawać nie mógł, ktoś – zapewne flota – skutecznie blokował łączność innergetyczną. Tradycyjnymi metodami Goryl przesyłałby relację przez stulecia. Skoro zaś dołożono tylu starań, by zapewnić pełną blokadę informacyjną, agent wątpił, żeby Gorylowi udało się przemycić zapisy.

Jeśli natychmiast nie uciekną, okręty floty przechwycą zapewne ich jacht, a im wyczyszczą pamięć. Tyle by w tym było dobrego, że taki zabieg ze strony sił rządowych wiązał się z automatycznym zwiększeniem kredytu ofiary. Właściwie nawet gdyby ich po prostu zabili, musieliby nie tylko zrekompensować im kredyt, ale też zapewnić odpowiednie odszkodowanie.

Nie żeby Skoron spieszył się do nawet tak atrakcyjnej kredytowo śmierci.

– Powinniśmy się stąd zabierać, zanim nas rozwalą – zaproponował i natychmiast zrozumiał, że nikt się z nim nie zgodzi.

Goryl w ogóle nie przerwał swojego monologu. Za to Maja skoczyła ku Skoronowi, starając się odepchnąć go od panelu sterowania.

– Tam jest Rachuba! – zawołała. – Tam jest mój Rachuba!

– No, ba. – Skoron przesadnie dramatycznym gestem wskazał ekran. – Masz tam ponad sto okrętów. Czy twój informator ze snów powiedział ci, na którym siedzi twój chłoptaş?

– Mamy umowę – przypomniała lodowatym tonem Tessa. – A tam gdzieś jest mój brat.

Żaden okręt nie kieruje się w naszą stronę, zresztą sytuacja się zmieniła. Popatrzcie.

– Druga Flota! – zawołał z zawodowym przejęciem Goryl. – Druga Flota, dowodzona przez admirała Augusta Sertempa, weterana kampanii przeciw archipelagom piratów sprzed dwudziestu lat, przyjaciela marszałka Grouchona, człowieka, który samodzielnie, z pomocą jedynie dwóch nosicieli, powstrzymał rajd buntowników ku układowi Celeste, ona właśnie teraz wydaje się atakować pozostałe floty Cesarstwa! Co tam się stało? Czy to bunt na okręcie, czy admirał mógł dołączyć do rebelii? Jak? Dlaczego? To o tym człowieku mówiono, że należy do najbardziej oddanych, najodważniejszych sług cesarza!

– Tam! – Tessa wskazała niewielki błękitny punkcik oddzielający się od symboli przedstawiających okręty IV Floty.

Skoron nakazał ekranowi zbliżenie i zobaczyli niewielki ścigacz uciekający z przestrzeni bitwy. Obliczenia wskazywały, że zamierza ominąć okręty najemników i kierować się prosto ku flocie uzurpującej sobie prawo do miana Kompanii Eksploracyjnej.

Był i następny! W ślad za ścigaczem oddalającym się od IV Floty ruszył podobny doń statek opuszczający hangar *Swarożyca*. Ktoś podległy Sertempowi rozpoczął pościg za cesarskim!

– Powinniśmy lecieć za nimi – oznajmiła Tessa.

Mają tylko przytaknęła gorączkowo.

– To szaleństwo – ocenił Skoron. – Wyślą ze dwa ścigacze, które rozwalą i ich, i nas.

– Będą zajęci – zaprotestowała Tessa. – To jedyny trop, jaki mamy. Jedyna niepasująca do całości sprawa. Oni coś wiedzą! Czegoś szukają!

– Twojego brata? – parsknęła. – Może ci wszyscy przylecieli tu z powodu twojego brata?

Kpił jednak bez przekonania. Wiedział przecież, że tamtym facetem rzeczywiście interesowało się wielu ludzi. Kim on był? Nieślubnym synem cesarza?

– Skoron, proszę.

Pozostawało mu wzruszyć ramionami i liczyć na naprawdę porządne odszkodowanie.

– Lepiej usiądźcie – polecił. – Jak zaczną w nas walić, fotele będą was chronić. Przynajmniej trochę.

Nakazał komputerowi wytyczyć kurs pościgowy za ścigaczem, który opuścił IV Flotę. Jednocześnie polecił mu obliczyć potencjalny kurs docelowy pierwszego z uciekinierów.

Sam też ukrył się w objęciach fotela. Mógł go uchronić przed zwykłymi urazami, a w razie zniszczenia jachtu, przy odrobieniu szczęścia, utrzymać nawet przy życiu, otoczywszy kokonem. Nie na wiele by się to zdało – po bitwie przestrzeń będzie tak pełna rozbitków należących do flot, że nikt nie przejmie się przybyszami, których nikt tu nie zapraszał.

Śladem tych, których ścigali, oddalali się nieznacznie od flot. Obserwowali jednak wypadki na ekranach i nie przegapili momentu, w którym zaczęła się bitwa. Ekran y ścigały z bazy danych

nazwy okrętów, a nawet nazwiska dowódców.

Nosiciele IV Floty wyrzeliły z siebie eskadry ścigaczy otoczone rojami robotów szturmowych i obronnych. Te pierwsze odłączyły się prędko od ścigaczy, kierowane własnymi programami bojowymi. Stanowiły najzwrotniejsze jednostki, jakimi dysponowały floty – kilkanaście otaczających korpus robota dysz silnika pozwalało mu stosunkowo szybko i dowolnie zmieniać kierunek lotu, w razie potrzeby gwałtownie, jak na warunki kosmiczne, hamować i przyspieszać.

Piloci ścigaczy nie mieli już tak łatwo. Utrzymywali kurs, wyznaczony nim jeszcze wystartowali z pokładów okrętów, obliczony przez strategów przewidujących miejsce pojawienia się przeciwnika. Jeśli ich dowódcy się pomylili, mogli chybić i mozolnie korygować kurs wedle nowych koordynatów, podobnie niepewnych jak stare. I byłoby to najlepsze, co mogło ich spotkać, bo przecież zdarzało się, że ścigacze wpadały w roje robotów albo zderzały się z nagle wyskakującymi z innoświata okrętami.

Większe jednostki zniknęły ze wszechświata, zdawało się, w jednej chwili, jakby dowódcy walczących flot umówili się ze sobą. Poniekąd rzeczywiście tak było, to zagrały procedury flot Wspólnych Przestrzeni.

Goryl nawet z fotela nie przestawał nagrywać komentarza.

00:12:34:63

Gdybym mógł teraz znaleźć się na mostku któregoś z okrętów flagowych! Spojrzeć w twarze oficerów i ich dowódców! Wyczuć panujące tam napięcie! Zamiast tego obserwuję różnobarwne punkty na ekranie. Pionki w grze, sploty skojarzeń. Fałszywa jest ich pozorna bezosobowość, bo przecież znam część tych okrętów i ludzi. Inaczej niż sztabowcy powtarzam sobie, by nie zapomnieć: „Ludzie, ludzie, ludzie!”. To nie pionki na tablicach taktycznych, nie herosi epepei, to ludzie zaraz złączną umierać.

Znów opętało nas szaleństwo, które zdawało się dobiegać końca.

Mniejsze znaki w kolorach flot i eskadr to ścigacze. Otaczają je ledwie widoczne roboty bojowe – maszyny do przechwytywania wrogich pocisków. Mkną ku reprezentowanym na ekranie smugami w obcych barwach pociskom wystrzelonym wedle obliczeń dowódców okrętów. Systemy „swój – obcy” musiały zostać przekalibrowane. Tutaj walczą przede wszystkim „swoi”.

Ale to na razie tylko symulacja tego, co może nastąpić.

Tu, gdzie jeszcze przed chwilą roiło się od okrętów, teraz jest pusto. Większość jednostek zniknęła. To tylko pozór pustki, bo przecież w innoświecie przeciwnicy gotują się do walki. Tam oficerowie przeprowadzają gorączkowe obliczenia, zastanawiają się, jak przechrzyć

przeciwnika. Kiedy wrócić do naszego świata? W którym uczynić to punkcie? Analizy psychologiczne przeciwników, znajomość ich biografii, historii bitew – wszystko to stanowi tło dla jednej decyzji. Czy zostanie oparta na przeblysku intuicji? Genialnym talencie taktycznym? Obliczeniach komputerów?

Wszystko sprowadza się do tej jednej decyzji – gdzie i kiedy wyskoczyć. Nie za szybko, by nie wykryli tego przeciwnicy, nie za późno, by nie zajęli lepszych pozycji, nie przygotowali zasadzek z min i robotów.

Prowadzony jest nasłuch. Anteny wycelowane w naszą przestrzeń starają się wykryć najmniejsze nawet zmiany. Innergetycy skanują innoświat w poszukiwaniu fal pochodzących od okrętów przeciwników.

Nie da się toczyć tam bitwy, można jednak starać się zdobyć informacje. Jeśli zawiodą blokady, przeciwnik może zinfiltrować okręt, zdobyć dane umożliwiające dokładniejsze poznanie czasu i miejsca powrotu.

A wtedy wystarczy wyskoczyć ułamki sekund wcześniej, wystrzelić pociski i uciec z powrotem w innoświat. Wymaga to nadludzko wręcz precyzyjnych obliczeń i dlatego nawigatorzy sprzężeni z pokładowymi komputerami, wspomagani przez innergonawigatorów, obliczają setki możliwości, by być gotowym na rozkaz dowódcy, by go przewidzieć i wyprzedzić.

Ale wszystko sprowadza się do myśli tego jednego człowieka, do jego rozkazu.

Dowódca floty zadecyduje o losie tysięcy ludzi, a wszystko rozstrzygnie się w kilkanaście sekund.

Floty wymienia ciosy, odskoczą w innoświat i zaczną planować następny ruch. Równie dobrze można by to rozegrać partią szachów.

Ale figury nie mają wagi ludzkiej śmierci, nikt nie przyjąłby takiego rozstrzygnięcia. Ile wieków by upłynęło, jak bardzo rozwinęłaby się cywilizacja, zawsze wszystko sprowadza się do wagi życia i śmierci. Nasze ciała i krew, spełnione i niespełnione biografie ważą się na szalach, gdy księgowi obu stron wojny podliczają straty i zyski. Wojna, jak powiadają, nigdy się nie zmienia. Triumf zawsze wymaga ofiary z ludzi.

Tyle razy byłem na pokładach okrętów podczas bitew, że jestem w stanie to sobie wyobrazić. Miotającego się po mostku admirała Sertempa – wyrzuca potoki słów. Nasłuchuje odpowiedzi, plusmylem oblicza potencjalności. Dodaje otuchy podwładnym.

I skupionego admirała Chou siedzącego z pozornym spokojem w fotelu, z przymkniętymi oczyma wysłuchującego meldunków. Wyobrażającego sobie potencjalny przebieg bitwy.

Równie dobrze mógłbym tam być!

Ułożyło się inaczej. Los rzucił mnie na pokład niewielkiego jachtu ścigającego teraz dwie inne jednostki.

Och, jak gna ta nasza śmigła łódeczka! Przed nami dwa ścigacze, które dopiero co umknęły z pokładów wrogich sobie nosicieli, nim te uskoczyły w innoświat. Nie wiem, kto jest na ich pokładach. Jeśli jednak znajduje się tam kompania choć w części tak barwna jak nasza, możliwe, że stanę się uczestnikiem wydarzeń, przy których zblednie nawet rozpoczęta już bitwa.

Zaraz okręty wystrzelą z innoświata, jedno w majestatycznym bezdźwięku i bezblasku, inne przez minimalne nawet błędy nawigatorów bądź pilotów w feerii barw i głosów – ech innoświata, nie rozchodzących się w próżni, ale przemawiających do naszych dusz, których nie ograniczają prawa fizyki. Głosów brzmiących może jak jęki potępionych, może jak pieśni raj. Może nieśmiertelne dusze zachowują się jak membrany, gdy w ich pobliżu otwiera się innoświat?

Pamiętam, jak kiedyś, po zagładzie transportowca rozstrzelanego raketami rajderów rebelii, przez trzy godziny unosiłem się w przestrzeni wśród strzępów okrętu i ludzi, unieruchomiony w szczelnie okrywającym moje ciało skafandrze. Gdy kierowane niepewnymi umiejętnościami kadetów statki ratunkowe przybyły wreszcie z pomocą, usłyszałem ów przeciągły, przerażający jęk, jakby zawodzenie banshee przychodzącej po mnie wprost ze starożytnych legend. Ci, którzy choć raz usłyszeli ten głos, nie potrafią w pełni powrócić do świata żywych. Mrozące krew w żyłach wycie wyparła zaraz pieśń, której melodii nie umiem powtórzyć, pozostaje dla mnie jedynie wrażeniem niezemskiego piękna, do którego już zawsze będę tęsknił.

Zalogi okrętów kosmicznych nazywają ją „syrenią pieśnią”. Ci, którzy ją słyszeli, nie potrafią zdecydować, czy zostali pobłogosławieni czy przekłęci. Wszyscy za nią tęsknimy, choć obawiamy się usłyszeć ją ponownie. Może przecież wiązać się z naszą śmiercią.

Wyobrażam sobie przebitki w poświęconym mojej śmierci reportażu jakiegoś młodego, ambitnego rzykanta. Nagle zatrzymane ujęcie śmiejącego się mnie, kilka ujęć z pola walki. Na koniec jedno, jak wchodzę na pokład okrętu, zatrzymuję się jeszcze na trapie, obracam i macham kamerzyście. Standard, banal. Mam nadzieję, że zrobią to inaczej.

Swarożyc pojawił się dziko, szalenie, wbrew wszelkim regułom i mozolnie wypracowywanym taktykom.

Brawura przeciwnika aż wywołała uśmiech na twarzy admirała Chou, choć przecież ten ruch Sertempa musiał zadać mu straty. Aubert aż krzyknął, widząc, jak potężny nosiciel pojawił się na dwie sekundy pomiędzy nosicielem klasy Konsul *Chu-zung* i krążownikiem *Su Wukong*. Ktokolwiek obliczał koordynaty przeniknięcia, musiał być szalonym geniuszem, bo *Swarożyc*, zaistniały we wszechświecie z ledwie półsekundowym opóźnieniem w stosunku do floty Chou, wyszedł z innoświata niespełna kilometr od *Chu-zunga*.

Załoga mniejszego nosiciela nie miała najmniejszej szansy zareagować na pełną salwę z lewej burty *Swarożyc*. Dwanaście dział plunęło plazmą, rozpalając do białości pancierz trafionego okrętu. To była pierwsza sekunda. W drugiej uderzyły dwie rakiety z głowicami termojądrowymi. Osłabiony kadłub nie wytrzymał i zabójczy ogień wtargnął do środka, niszcząc okręt wraz z większością ścigaczy, których ten nie zdążył jeszcze wystrzelić. Ich piloci szykowali się już do startu, ledwie sekundy dzieliły część z nich od ucieczki w przestrzeń.

Nie ocalał nikt.

Najpierw dwie równoczesne eksplozje wstrząsnęły rannym okrętem, potem dwie rozrastające się w zawrotnym tempie kule ognia stopiły go od środka. Gdy fale płomieni dotarły do pokładów zbrojeniowych, konający okręt dobiły kolejne eksplozje. Wystarczyło pięć sekund od początku ataku, by zmienił się w białą kulę energii, która pożarłaby i przeciwnika, gdyby ten nie umknął już w innoświat.

Znajdujący się po prawej burcie *Swarożyc*, odległy odeń o trzydzieści kilometrów *Su Wukong* miał więcej szczęścia. Nie zdołał wprawdzie uniknąć pierwszej salwy, jego przeciwrakiety zdążyły jednak zestrzelić pociski termojądrowe.

– Prawdziwy mistrz. – Admirał Chou westchnął, odpowiadając na pełne niepokoju spojrzenie Auberta. – Mistrz nad mistrzami.

– Jak on to zrobił?! – krzyknął szambelan.

– Mistrz – powtórzył Chou. – Proszę nie krzyczeć. Zakłóca pan harmonię.

Dopiero teraz Aubert spostrzegł, że tylko on zareagował tak nerwowo – oficerowie na mostku wydawali się niewzruszeni. Wykonywali obowiązki bez słowa, jakby nic się nie stało.

– Admirał Sertemp – kontynuował Chou – zasłużył na najwyższy podziw tym manewrem. Genialnie przewidział nasze posunięcia. Ale proszę zobaczyć, nie wszędzie odniósł podobny sukces, a za ten atak zapłacił opóźnieniem wystrzelenia swoich szturmowców i ścigaczy. Improwizuje. Genialnie, wspaniale, to prawda! Ale spowalnia to jego obliczenia.

– W innoświecie czas jest względny! – przypomniał wciąż zdenerwowany utratą jednostki Aubert.

– Tak nie. A bitwa toczy się tutaj. Zyskałiśmy przewagę. Proszę usiąść i zachować spokój.

Gdy rozmawiali, eskadry *Żmija* ostrzeliwały zawzięcie nosiciel *Mazu*, który pojawił się

dokładnie między nimi. Szturmowce i ścigacze nie dysponowały siłą ognia choćby porównywalną z potęgą nosicieli, mogły jednak zadać okrętowi straty większe niż on im. Dlatego z pokładów prowadzącego ostrzał *Mazu* wylatywały kolejne eskadry, by podejmować równorzędną walkę, roboty bojowe i pociski przechwytyjące zaś rzucały się już na rakiety przeciwnika.

Praca pilotów ścigaczy była szczególnie niewdzięczna i niebezpieczna. Nie dysponując w większości silnikami innergetycznymi, nie były w stanie ani uciec w innoświat, ani manewrować równie łatwo jak okręty bojowe. Gdy raz przyjęły kurs, musiały trzymać się go przynajmniej do momentu oddania salwy, chyba że założenia taktyczne okazały się do tego stopnia chybione, iż wymagały gwałtownej zmiany planów.

Ścigacze zostały dostosowane do stosunkowo gwałtownej korekty kursu, ale wymagało to błyskawicznych obliczeń i narażało pilotów na dodatkowe przeciążenia. Podczas gdy okręty wojenne toczyły bitwę, wyskakując w innoświat i powracając zeń wedle założeń taktycznych, opracowanych czasem setki lat wcześniej, ścigacze i szturmowce nie dysponowały taką możliwością i pozostawały w przestrzeni bitwy przez cały czas jej trwania.

Złota z eskadry *Żmija* trafiła lepiej. Ścigacze zbliżyły się do *Mazu* w chwili, gdy ta wyskakiwała we wszechświat, wypływając z siebie pierwsze własne ścigacze. Dlatego salwy *Złotej* trafiły pechowców z *Mazu*, uszkadzając ich pojazdy bądź je niszcząc. Także jej rakietom udało się unieszkodliwić dwa tory startowe.

Spóźniona w stosunku do *Złotej* *Czerwona* natrafiła już na zaporę ogniową z *Mazu*, musiała także nawiązać walkę z częścią jej ścigaczy. Rakiety *Czerwonej* zostały przechwyczone niemal co do jednej.

Wszystkie ścigacze opuściły *Tianlonga* i nosiciel umknął w innoświat. Ledwie sekundy później trzy rakiety wystrzelone ze ścigaczy *Peruna* przecięły osieroconą przez nosiciel przestrzeń. Ich systemy zagrały skonstruowane zniknięciem celu, przeskanowały przestrzeń znajdującą się w ich zasięgu i pomknęły ku najbliższej ofierze, uzgadniając cele z oficerami na mostku.

W innoświecie nie istniały pęd czy przyspieszenie, nie istniała konieczność wytracania prędkości, nie trzeba było manewrować. Gdy okręty IV Floty przeniknęły w innoświat, zwalniały stopniowo wyłącznie ze względu na dobro ludzi, którym natychmiastowe wytrącenie z pędu mogłoby zaszkodzić. Prędko zastygły wśród innergetycznych wirów i prądów.

– Analiza – rozkazał Chou.

Aubert z trudem zapanował nad pokusą opuszczenia fotela. Zagłada *Chu-zunga* zatrwożyła go. Jak łatwo było zginąć podczas bitwy! Gdyby *Tianlong* został poważnie uszkodzony w walce, a szambelan znajdował się poza fotelem zdolnym w razie czego otoczyć go zapewniającym względne bezpieczeństwo ochronnym bąblem, mógłby nie przeżyć zwyczajnej dekompresji.

Chyba że kapłan, kórego mu przydzielono, przeniósłby go wystarczająco szybko na pokład innego okrętu. O ile sam by nie zginął.

Gdyby nie ta obawa, dołączyłby do Chou, próbując doradzić mu strategię. Zamiast tego wysłuchał raportu z pierwszego etapu bitwy, nazywanego przez doradców Chou „ruchem”.

Oprócz *Chu-zunga* także *Wei* i *Yên Ti*, dwa ścigacze klasy A, zostały zniszczone. Uszkodzenia *Su Wukonga* niemal uniemożliwiały mu udział w następnym ruchu i Chou po krótkim zastanowieniu zwolnił czasowo krążownik z uczestnictwa w bitwie.

Sterowane umysłami przystosowanych techników nanoplaszczyny starały się łączyć dziury w poszyciu i wzmacniać je, możliwe więc było dołączenie *Su Wukonga* do późniejszej fazy bitwy. A dzięki zaangażowaniu VII Floty Cesarscy wciąż dysponowali przewagą nad przeciwnikiem.

Sytuacja wyglądała, zdaniem Auberta, nieźle. VII nie poniosła poważniejszych strat, a ścigacze IV związały walką jednostki przeciwnika.

– Sertemp zaatakował przede wszystkim nas – meldował pierwszy oficer *Tianlonga*. – Zapewne dlatego, że kierowaliśmy się ku chronionej przez niego flocie.

– Kontynuujemy atak – zdecydował Chou. – Ściągniemy na siebie uwagę wroga, kórego będzie mogła bezpiecznie atakować Siódma. Niech *Ta Feng* i *Kuei Ku* zwiążą walką Tygrysią Flotę. Wracamy z zachowaniem pierwszego szyku. Tym razem dajmy sobie dwie sekundy opóźnienia w stosunku do tempa Drugiej Floty.

Powrócili do wszechświata prosto w ogień *Wilkołaka* i *Chorsa*. Chou tylko zmrużył oczy, gdy pokład *Tianlonga* zatrzęsł się od uderzeń, a ekrany rozbłysły oślepiającą bielą. Na dwie sekundy na mostku zgasło światło i wtedy właśnie Aubert zaczął się domagać, krzycząc, by kapłan ewakuował ich obu na mostek *Acoluahualta* – okrętu flagowego III Floty, wciąż wraz z V ukrywającej się w innoświecie.

Ciężko ranny *Tianlong* mknął bezwładnie przez przestrzeń bitwy. Atak uszkodził nie tylko konwencjonalne silniki, ale i napęd innergetyczny i okręt flagowy IV Floty nie mógł już uciec w innoświat.

Szara eskadra ścigaczy *Swarożycy* ruszyła ku niemu, by dobić okręt.

Krążownik *Nu Wa*, nie tracąc czasu na przeszkoki i obliczenia innergetycznych kursów, zagrał silnikami i zaczął mozolnie zmieniać kurs, by pospieszyć na ratunek swemu okrętowi flagowemu. Sertemp wykorzystał okazję i nakazał wystrzelić weń całą salwę rakiet, gdy *Nu Wa* był zbyt zajęty korektą, by być zdolnym do prędkiego manewru uniku. Ktokolwiek dowodził krążownikiem, nie poddawał się łatwo. Nie uciekł przed rakietami, aż dwie z nich przedarły się przez jego

zaporowy ostrzał i osłony pocisków przechwytyjących i uszkodziły mu pancierz. Jeszcze wtedy *Nu Wa* zdołał oddać trzy salwy, nim czmychnął w innoświat.

Ścigaczom *Szarej* nie trzeba było wiele czasu. Gdy *Nu Wa* przyjął straceńczą walkę ze *Swarożycem*, ich eskadra przemknęła nad słabo ostrzeliwującym je *Tianlongiem*, bombardując go nanozercami wgryzającymi się w poharatany kadłub okrętu i korodującymi go ostatecznie, a także utrudniającymi prace naprawcze nanoplaszczynom. Ostatnie ścigacze dorzuciły do tego wiązki wirusowe, które przebiły się przez osłony osłabionego okrętu i zainfekowały jego komputery, z których część działała odtąd na szkodę *Tianlonga*.

– Ewakuują się – zameldował pierwszy *Swarożycza*, widząc żółte flary wystrzeliwane z okaleczonego okrętu. – *Tianlong* wyłączony!

– Uskok i przeniesienie wspomagające Tygrysią! – rozkazał Sertemp. – S43!

Przeniknęli i na niezbędny do uruchomienia zapisanych przedtem protokołów czas zawiśli w innoświecie.

– Admirale! – meldował pierwszy. – Zarejestrowaliśmy przybycie dwóch flot! To Trzecia i Piąta! Atakują Tygrysią i nasze ścigacze!

– No, tośmy powalczyli – mruknął ktoś.

– Wstrzymać manewry! – polecił Sertemp. Komputer podsyłał mu poprzez plusmysł najnowsze raporty na temat stanu floty. Nie wyglądało to dobrze. Zamiast z dwiema miał teraz walczyć z czterema flotami. Oparł się panice. Czy mógł teraz uciec? Zrobił, co się dało. I niech bogowie nie ważą się zaprzeczać, pokazał im!

A obecnie nie miał pomysłu, jak wyjść z tego cała. Pomysł z ucieczką nie podobał mu się po tym, gdy tak dobrze wykonał pierwsze dwa ruchy. Niemniej w zwykłej bitwie tak właśnie by postąpił – zadał przeciwnikowi znaczne straty, to wystarczyło.

Nie tym razem.

Zgodnie z harmonogramem bitwy pozostałe okręty II Floty pojawiały się w innoświecie. Fakt, że niewiele z nich doznało naprawdę poważnych uszkodzeń, napawał Sertempa dumą. Wiedział jednak, że cenę za to zapłaciły – i wciąż płaciły w tym czasie, gdy okręty ukrywały się w bezpiecznym innoświecie – załogi ścigaczy. Im, wobec ataku III i V Floty, prawie wcale nie mogli już pomóc.

I chyba to zdecydowało. Sertemp podniósł się z fotela, by stojąc, oznajmić załogom swoich okrętów decyzję.

Rozdział 26

1

– Muszę wrócić do Oruzonu. – Karol dopadł Jana między kolejnymi zebraniem. – Choćby na chwilę.

– Jesteś mi potrzebny.

– Po co? Nawet nie noszę już w sobie boga. Co ze mnie za pożytek?

– Jest w tobie więcej życia niż w nas wszystkich razem wziętych, chłopcze. I jesteś Oruzonem. Wierz mi, twój głos zabrmi potężnie, gdy nadejdzie właściwy moment.

– Ale nie teraz! Dyskutujecie o sprawach, o których nic nie wiem. Co mogę wam powiedzieć? Muszę wrócić do Oruzonu, porozmawiać z synem! Odesłaliście go tam już, prawda?

– Dobrze. – Jan tarł intensywnie czoło, wydawał się zmęczony. Nie wszystko przebiegało tak, jak zaplanował, nawet jego stronnicy potrafili podważać jego słowa. Wciąż był przywódcą, ale nie słuchano go już tak bezkrytycznie jak przed wiekami. – Masz pięć godzin. Nie manipuluj czasem. Teraz, podczas Otwarcia, byłoby to niestosowne. I mogłoby sprowadzić na ciebie kłopoty. Idź, odetchnij tym swoim Oruzonem.

Tak naprawdę Karol użył Oruzonu jako pretekstu; przede wszystkim chciał opuścić Świątynię, uwolnić się od jej spisków i sporów. Tak niedawno wydawała mu się monolitem, teraz znał już trzy zwaśnione ze sobą frakcje. Ile jeszcze ich było?

Potrzebował chwili spokoju, może nawet spotkania z synem i przodkiem, którzy odwróciliby jego uwagę od świątynnych niesnasek.

Oruzon go zaskoczyło. Zmieniło się, odłąd je opuścił. Domy wydały mu się mniejsze, jakby starsze, podniszczone. Nawet w samym centrum ściany częściowo blakły. Wszechobecną w dominium Eryka Oruzona zabawę zastąpiła ponura cisza.

Czy to mógł być skutek jego odejścia? A może pojedynku z pierwszym księciem i osłabienia najpotężniejszego z Oruzonów? A może rozwścieczony pierwszy książę, nie mogąc osiągnąć Karola, postanowił zemścić się na jego mieście?

Musiał odnaleźć Eryka. Zaniepokojony pierwsze kroki skierował jednak do mieszkania, które pozostawił synowi.

Zastał w nim tylko Eiho. Zaskoczyła go radosnym powitaniem. Całowała go, płakała, śmiała się, powtarzała, że wiedziała, iż wróci do niej. Karol czuł zażenowanie, nikt jeszcze nie okazywał mu uczuć tak otwarcie. Rzeczywiście, przypomniał sobie, Leonard wspominał, że dziewczyna przywiązała się raczej do ojca niż do syna. Jak miał zapanować nad jej uczuciami?

– Eiho, maleńka, już dobrze. – Przytulił ją i pogłaskał po włosach. – Powiedz, co tu się dzieje. Czemu miasto wygląda tak kiepsko? Gdzie jest mój syn?

– Miałam do ciebie iść. – Wychlipała mu w pierś. – Wiesz? Pójść do ciebie, do Świątyni, choćbym miała zostać w niej ostatnią posługaczką.

– To nie będzie konieczne, kruszy no. Leonard, Eiho. Gdzie on jest?

– Wzniósł własny dom, nie chciał mieszkać ze mną. Powiedział, że mogę korzystać z jego kredytu, ale należę do ciebie. Ja... nie widziałam się z nim już od jakiegoś czasu. On mnie nie odwiedza, a ja boję się wychodzić z domu. Tu jeszcze jakoś wszystko się trzyma, ale na ulicach... Oruzon zrobiło się straszne, książę. Jeżeli nie zamierzasz tu zostać, zabierz mnie ze sobą, nie chcę zwiędnąć.

– Zwiędnąć?

– Jak inni. Widziałeś ludzi na ulicach?

Nie zwrócił na to wcześniej uwagi, ale wyglądało na to, że mieszkanie Eiho ominął upadek, jaki stał się udziałem miasta. Dlaczego? Jaką siłę skrywa w sobie ta kobieta? Czy było więcej takich jak ona?

– Wiesz, gdzie jest ten jego dom?

– Wiem. Zaprowadzić cię?

Uświadomił sobie, że nie potrzebuje jej pomocy. Wystarczyło, by skupił się na swoim synu, a innoświat sam by go doń zaprowadził. Wolał jednak zrobić to w tradycyjny sposób. I zależało mu, by ta pełna życia i uczuć kobieta towarzyszyła mu w drodze przez wędną miasto.

We dwoje stanowili barwne żywe plamy na tle wyblakłych budynków i ulic. Eiho zatrzymała się w bramie wyraźnie przestraszona. Pociągnął ją za sobą, wymówił jej imię z uśmiechem, z czułością. Przytuliła się do niego i pozwoliła prowadzić.

Nieliczni mijani przechodnie, mamroczący niewyraźnie coś przywołującego brzmieniem modlitwę, zatrzymywali się na ich widok. Wpatrywali się ze zdumieniem w tę dziwną, niepasującą do świata parę i aż cofali się o krok, gdy Karol na przekór dominującej pośpiechności witał się z nimi, udając wesołość.

Czuł drżenie Eiho, a i w nim wzbierały niepokój i gniew. Uśmiechał się jednak wbrew sobie, by dodać otuchy dziewczynie, ale też dlatego, że wyczuwał, iż jego niechby i sztucznie okazywany nastrój może wpływać na miasto, powstrzymać jego upadek.

I wydawało się, że uśmiech działa. Z ulicy, którą szli, zaczęły znikać dziury. Kilku przechodniów się wyprostowało, ich twarze nabrały barw. Ruszyli tropem księcia i gdy Karol z Eiho stanęli pod domem Leonarda, prowadzili za sobą już kilkanaście osób.

– Inaczej to wyglądało – wyszeptła Eiho, patrząc na budynek.

Przywoływał najgorsze skojarzenia – wyglądał jak miniatura pałacu Oruzonów skrzyżowana z karykaturą Świątyni, tak jak mogli ją sobie wyobrazić prostaczkowie.

Otoczało go kilkadziesiąt mieszkańców Oruzonu. Część wtulała się w jego ściany, szepcząc coś do nich, inni okupowali chodnik, starając się siedzieć jak najbliżej domu.

Spoglądali na Karola ze złością, gdy przepychał się między nimi ku drzwiom. Żaden jednak nie próbował go powstrzymać. Także drzwi ustąpiły bez oporu, gdy pchnął je, zniecierpliwiony brakiem odpowiedzi na coraz bardziej stanowcze pukanie. Tłum zamruczał, reagując na ten postępek, kilka osób nawet wstało i ruszyło za nim. Zatrzasnął im drzwi przed nosem.

Z zewnątrz dobiegły go krzyki i odgłosy walki. To ci, którzy przyszli śladem Karola, starli się z otaczającymi dom jego syna.

Czy powinien ich wesprzeć? Doszedł do wniosku, że problemem może być stan Leonarda. Jeśli pomoże synowi, rozwiąże konflikt na ulicy.

W środku było zaskakująco jasno, zważywszy na to, że okna zostały szczelnie zasłonięte. Wnętrze domu Leonarda, podobnie jak mieszkanie Eiho, stawiało czoło przemianom dotyczącym Oruzonu. W przeciwieństwie jednak do dziewczyny Leonard wyraźnie przegrywał, a z nim i jego dom. Ściana wokół drzwi korodowała, znaczyły ją głębokie pęknięcia, farba się łuszczyła i opadała, barwy traciły nasycenie.

Leonarda znaleźli w sypialni. Płonęły w niej dziesiątki świec, unosił się zapach kadzideł. Młody książę siedział na łóżku, z przykniętymi oczami, pogrążony we śnie, a może medytacji. Nie zareagował, gdy ojciec zwołał go po imieniu. Dopiero potrząśnięty za ramię uniósł powieki, odsłaniając oczy o blade, wodniste tęczówki starca.

– Ojczce. – Uśmiechnął się słabo. – I ty, Eiho.

Na więcej nie starczyło mu sił, a może ochoty. Znowu zamknął oczy.

Ponowne potrząsanie nie przyniosło już żadnych efektów.

– Co tu się dzieje, do diabła?! – krzyknął Karol. Pchnął syna tak mocno, że ten przewrócił się na łóżku, nie ocknął się jednak

Usiadł obok niego. Czy cały świat tak wygląda?

Raz jeszcze spróbował przepytac Eiho, ona jednak nie potrafiła mu wiele powiedzieć. Dostrzegła zachodzące zmiany. I na jej duszę przypuściły szturm smuteki zwątpienie, przeczcucie, że w życiu po śmierci brakuje jakiegokolwiek celu i sensu. Że potrzeba jej przewodnika zdolnego ukazać nowe cele. Widziała, jak w marazm popadają jej sąsiedzi i znajomi, a za nimi całe miasto. Kiedy jeszcze inni ludzie rozmawiali z nią, wyapytywali o sens jej życia i potrząsali tylko głowami, gdy odpowiadała, że czeka na swojego księcia, którego musi nauczyć zwyczajnej, ludzkiej, a nie dworskiej miłości. Który kocha ją, nawet jeśli sam tego nie wie. Wyczuła, że żal im jej, że współczują jej naiwności.

Ale to ona przetrwała.

– Zostań tu – polecił Eiho. Przestraszona, że chce ją opuścić, przywarła do niego całym ciałem, błagała, by jej nie zostawiał. Znow ją przytulił, głaskał, uspokajał zapewnieniami o oddaniu. Wreszcie, zniecierpliwiony, wtargnął w nią i przekonfigurował jej oddanie, wzbogacając je o pewność, że jej nie zostawi.

Tak przestraszył się tego, co zrobił, że porzucił tradycyjne sposoby i po prostu zniknął z sypialni syna, skupiając się na sygnaturze Eryka Oruzona i przenosząc się do niego w jednej chwili.

Eiho płakała, ale już się nie bała. Wiedziała, że może zaufać swemu księciu.

2

– Wasza cesarska mość?

Gromowładny, potężny nosiciel buńczucznie gardzący klasycznymi barwami flot, lśniący tak w przestrzeni, jak i w innoświecie cesarskim złotem, unosił się na prądach innoświata w towarzystwie okrętów eskorty.

To wojna domowa była matką *Gromowładnego*. Przestraszony buntem Ludwik III nakazał zbudowanie floty pozostającej wyłącznie do jego dyspozycji. Sam wybierał jej kapitanów pełniących równocześnie obowiązki oficerów Służby. *Gromowładny* dysponował nie tylko fanatycznie oddaną cesarzowi załogą, ale też najnowocześniejszym uzbrojeniem, systemami obronnymi tak wspomagany mi innergetycznie, że niemal naruszało to boskie przykazania, i pełną

świętynią kapłanów oddanych przysięgomu nowemu Gospodarzowi Uczy. Żaden poprzedni władca Wspólnych Przestrzeni nie posiadał podobnej siły. Istnienie Złotej Floty przyniosło Ludwikowi III spokój, upewniło go też, że przeznaczona mu jest specjalna rola.

Cóż z tego, gdy jego wzniosłe plany mogły pokrzyżować czyny umarłych!

Przez całą wojnę obserwował z ukrycia postępkę Auberta, gotów wkroczyć, jeśli zajdzie potrzeba. Ślepa buta tamtego sprawiała mu satysfakcję. Podsycił jego pychę latami, obserwując, jak jego sługa rośnie w siłę i we własnym przekonaniu przerasta nawet swego pana. I oto Aubert, pewny swej potęgi, pogwałcił najważniejsze prawa Wspólnych Przestrzeni, atakując statki Kompanii Eksploracyjnej. Przy okazji zapewnił cesarzowi alibi, odcinając całą łączność dzięki uprawnieniom otrzymanym od obdarzającego go niesłusznie wielkim zaufaniem władcy.

Ludwik III wciąż jeszcze mógł wkroczyć w ostatniej chwili, powstrzymać szambelana przed zniszczeniem starożytnych okrętów. Bawił się wyobrażaniem sobie siebie w roli zbawcy, przyjmującego hołdy od uratowanych przybyszów z przeszłości. Tłumy wiwatowałyby na jego cześć. Zyskałby miłość ludu zatrwożonego, że taka bestia jak Aubert mogła obalić ład Wspólnych Przestrzeni, i wdzięcznego cesarzowi za to, że go powstrzymał.

Czy jednak to naprawdę by się opłacało? Czy nie lepiej było pozwolić Aubertowi zniszczyć Powolną Flotę, by dogłębniej wstrząsnąć imperium?

– Wasza cesarska mość?

Wszystko popsuli mu umarli.

Otwarcie Świątyni! Zdażył już zapomnieć o istnieniu takiej procedury. Nikt nigdy nie traktował jej poważnie – ani bogowie, ani kapłani, ani dawni cesarze, którzy teraz miotali się w raj, żądając, by oddał im całą swą uwagę.

Czuł obrzydzenie na samą myśl o tym, przepełniał go wstręt do armii trupów żądnych jego ciała, umysłu i duszy. Ale musiał uczestniczyć w Otwarcu Świątyni, jedyny spośród żyjących.

Czy to musiało nastąpić właśnie teraz? Czemu umarli nie wezwali bogów na spotkanie, gdy wybuchła wojna? Co takiego nastąpiło w obu wszechświatach, że obudziło mieszkańców raju? Czy atak na Kompanię Eksploracyjną mógł mieć z tym coś wspólnego? A może istniała we wszechświatach jakaś siła determinująca wydarzenia, wiążąca ze sobą przełomowe chwile w obu rzeczy wistościach? Skoro świat i innoświat wpływały na siebie nawzajem na innych poziomach, czemu nie miałyby tak być i pod względem dynamiki historii, o ile jakaś istniała?

Niechętnie zanurzył się głębiej w świętych obcowaniu. Nie mógł zjawić się w cielesnej postaci na Otwarcu Świątyni, groziło to naruszeniem integralności jego innergetycznych sygnatur. Musiał się zdać na pośredników, tak jak bogowie zdawali się na nich w kontaktach z ludźmi. Tyle że oni nad swoimi panowali, a na cesarza czekał tłum wygłodniałych cesarskich

trupów. Rzucili się na niego chciwie, z tym większym zapałem, że tak długo ich od siebie odcinał. Bał się, że mogli rozdrzeć jego zasłony, poznać plany i dołożyć wszelkich starań, by im zapobiec. Musiał być czujny i silny.

– Wasza cesarska mość?

Porwał go prąd dusz. Patrzył oczami wielu. Dziesiątki umysłów podpowiadały mu postrzeganie świata, starając się narzucić własny punkt widzenia. Uczyniony wspólnym wysiłkiem pokoleń władców Wspólnych Przestrzeni Majestat – awatar cesarza w innoświecie – zasiadł w przeznaczony dla niego łożo Świątyni, w pobliżu kardynała, ale nad nim.

Majestat nie brał udziału w obradach, choć się im przyglądał. Zmarli cesarze podglądali posiedzenia wszystkich komisji, analizowali je i tworzyli dziesiątki uzupełniających się teorii i strategii. Byli jak jedna istota o dziesiątkach umysłów, a Ludwik III przeglądał się w nich wszystkich.

Nikogo tu nie obchodziła Kompania Eksploracyjna. Wojna domowa rozgrzała umysły umarłych, traktowali ją jednak jako jeden z argumentów potwierdzających ich teorie. Wszystkich, niezależnie od przekonań, dotknęła słaba idealizmu odrywającego ich od rzeczywistości i od tego, co naprawdę ważne w obu wszechświatach. Tak jak w świecie żywych, taki w innoświecie panował chaos, a bogowie nie umieli sobie z nim poradzić.

Będzie musiał coś z tym zrobić, gdy uporządkuje sprawy w swoim świecie.

Czy wśród umarłych przybyłych na Otwarcie Świątyni nie mignęła mu twarz Karola Oruzona? Cesarza nie zaskoczyłaby obecność Księcia Strzępów, ten zawsze potrafił się znaleźć w centrum ważnych wydarzeń. Śmierć najwyraźniej nie utemperowała jego ambicji.

– Wasza cesarska mość?

Z ulgą oderwał się od świętych obcowania i utworzył oczy.

– Mów, Ressewitz, słuchamy.

– Admirał Sertemp radzi sobie nad podziw dobrze. Jednak z pewnością przegra. Wasza cesarska mość raczył wyrazić życzenie, by informować go o sytuacji na bieżąco.

– Dziękuję, Ressewitz.

Sertemp. Jeszcze jeden stary, wierny żołnierz, którego trzeba będzie poświęcić w imię interesu imperium. Grouchon, Sertemp – lista ofiar Auberta rosła. Ludzie będą wściekli.

Na razie Ludwik III czuł wzburzoną niecierpliwość porzuconych zmarłych cesarzy. Co było ważniejsze? Otwarcie czy bitwa?

– Przywołaj nas, gdy bitwa zostanie rozstrzygnięta – polecił. – Teraz musimy stanąć przed bogami. Ressewitz, przywołaj nas także, gdyby zaszło coś niespodziewanego.

– Niespodziewanego, wasza cesarska mość?

Grał tak wieloma kartami! Któryś z jego atutów musiał wreszcie przebić inne. Czy będzie to

nowy bóg, wdzięczność ludu za pokój, ofiara z Auberta czy młody bóg pragnący zostać jego nowym patronem. Coś musiało przynieść mu sukces.

– Zorientujesz się, Ressewitz.

Niechętnie powrócił do Majestatu. Niech zmarli załatwiają swoje sprawy. Przyjdzie czas i na nich.

3

Sygnatura innergetyczna Eiho jaśniała w miły dla spojrzenia Karola sposób. Dostrzegł w niej ślady wpływu Eryka i Leonarda, lecz przede wszystkim swoje. Zaskoczyło go, że okazały się słabsze, niż sądził. Był przekonany, że uczucia Eiho wynikały z jego mimowolnego wpływu innergetycznego, tymczasem nieszczęsna kobieta najwyraźniej rzeczywiście się w nim zakochała.

Tym większe czuł obrzydzenie do siebie za to, co jej zrobił. W jakiś sposób przypominało to gwałt. Wtargnął w strukturę dziewczyny i odmienił ją, zapewne bezpowrotnie – nie posiadał przecież zapisu jej pierwotnego stanu. Gdybyż jeszcze jego ingerencja była niezbędna! Ale dokonał jej w chwili gniewu, przestraszony stanem, w jakim znalazł syna.

Wynagrodzi jej to. Jeszcze nie wiedział jak, ale nagrodzi ją. Uczyni ją swą oficjalną faworytą i nawet gdy Anastazja-Jeltanella, księżna Oruzon, oficjalna żona i matka jego dzieci, której nie widział od lat, umrze i przybędzie do Oruzonu, będzie musiała się z tym pogodzić. Jak ją znał, przyjmie to bez mrugnięcia okiem i wykroi dla siebie własne królestwo. Jako w życiu, tak i w niebie.

Eiho oparła się zmianie, która spadła na miasto, a on ją zdeformował!

Wstręt do siebie tylko napędzał jego gniew. Wszystkie te uczucia eksplodowały, gdy pojawił się we wnętrzu knajpy, w której Eryk najwyraźniej postanowił zamieszkać. Siedział przy stole, na którego blacie poniewierały się dziesiątki opróżnionych butelek Wiły się pomiędzy nimi rozchichotane pijacko trzy nagie piękności. Dwie kolejne siedziały na kolanach półnagiego Eryka, pieszcząc go namiętnie. Stary książe odchylił głowę i jęczał w ekstazie.

Nic nie wskazywało na to, by degeneracja trawiąca miasto dotarła tutaj. W innej sytuacji Karol może by się roześmiał, widząc, jak Eryk marnotrawi swoją potęgę, teraz jednak nie było mu do śmiechu.

Wizualizacja stołu eksplodowała. Odłamki szkła pocięły skórę kobiet, które przez kilka sekund siedziały otumanione na podłodze, a potem, gdy dotarł do nich ból poharatanej skóry, zaczęły krzyczeć. Eryk jeszcze nie otworzył oczu. Karol strącił z jego kolan dziewczyny, chwycił swego przodka za ramiona i cisnął go na podłogę, pomiędzy resztki stołu, trunków i potraw.

– Bawisz się! – ryknął. – Bawisz się, gdy Oruzon umiera!

– Karol? – bąknął Eryk, niemrawo próbując wstać. – Już się nie modlisz?

– Widziałeś miasto? Widziałeś mojego syna?

– Pewnie się chłopakbawi. Polecilem mu kilka dziewczynek...

Zniecierpliwiony Karol wtargnął w sygnaturę Eryka. Stary książe, być może przez alkohol, nie poczuł nic, w każdym razie nie zareagował.

Prócz charakterystyki Eryka Karol odnalazł obecność jeszcze jednej sygnatury. Omal jej nie przegapił. Ktokolwiek wpływał na Eryka, nie zaatakował go otwarcie, ale lekko wzmocnił pewne cechy księcia, sprawiając, że niesforny starzec chętniej oddawał się pijaństwu i rozpucie, którym przecież już wcześniej ochoczo folgował.

Ktoś niedysponujący innergetycznymi narzędziami i wiedzą kapłanów uznałby najprawdopodobniej, że Eryk tylko konsekwentnie, choć nie do końca świadomie modyfikuje sam siebie, ewoluując innergetycznie ku kilku prostym, określonym cechom. Nawet wykształcony innergetyk mógłby nie zauważyć obcej ingerencji.

Karol jednak rozpoznał charakterystykę innergetyczną tego, kto w sprytny sposób postanowił unieszkodliwić Eryka.

Poderwał przodka z podłogi i nie zważając na jego opór, porwał go ze sobą.

– Pokażę ci, jak wygląda twój ogród – oznajmił.

Pośród wszystkich zmarłych Oruzonów to właśnie Eryk stawiał największy opór pałacowi i wywierał znaczący wpływ tak na miasto, jak i na krewnych. Inni decydowali się na zamieszkanie w pałacu albo ograniczali do zbudowania własnych posiadłości pomiędzy nim a miastem. Eryk na tym nie poprzestawał. Propagował filozofię przywiązania do życia, wyklócał się z kapłanami i modyfikował miasto, przy garniając wielu zmarłych, zwłaszcza kobiety, pod skrzydła swojego kredytu, wzmacniając go przy okazji.

Reprezentując skrajnie odmienne od pierwszego księcia poglądy, mógłby okazać się niebezpiecznym przeciwnikiem, gdyby zależało mu na rywalizacji. Nie sądził jednak, że toczy się jakakolwiek wojna.

Bo też się nie toczyła, póki do innoświata nie przybył Karol.

Spoglądali w milczeniu na ruinę ogrodu.

Trawniki pokrywała bura masa zgniłej roślinności. Wyzbyte żywych barw kwiaty zalegały wplątane w brunatne krzewy między kikutami egzotycznych drzewek. Stawy wyschły, a altanka

zmieniła się w zbutwiały szkielet pozbawiony życia. Nikt nie spacerował alejkami, nawet wiatr nie zbliżał się do tego miejsca.

Erykowi trzęsła się pijana głowa, gdy rozglądał się po zgłiszczach swojego najambitniejszego projektu. Odbiło mu się.

– To nie ja to zrobiłem. – Głos miał słaby, drżący. – Nie wiem kto, ale nie ja. Kapłani?

– Pierwszy książe.

– On? Dlaczego?

– Nie spodobało mu się nasze Oruzon, osłabiało go. Przerabia je po swojemu. Całe miasto jest teraz pod jego wpływem. Nadweręza przywiązanie do życia i przyciąga Oruzonów i oruzończyków do pałacu, byśmy go wzmocnili. Zniszczy miasto, ale siebie uczyni potężniejszym.

– Muszę się napić – stęknął Eryk – Chodźmy stąd. Zostało mi jeszcze trochę...

– Nie.

– Co mówisz, chłopcze! Muszę się napić! Jaknie chcesz, pójdę sam.

– On zmodyfikował twoją strukturę innergetyczną.

– Bzdury opowiadasz!

– Uwierz mi. Próbował tego ze mną. Ale miałem... miałem osłonę. Z tobą zrobił to subtelniej, wzmocnił twoją chęć rozpusty, picia. Ty jeden w całym mieście mogłeś mu stawić czoło, więc cię wyeliminował. On przejmował miasto, a ty całą potęgą swojego kredytu zbudowałeś sobie sanktuarium warcholstwa.

– Ranisz mnie, chłopcze.

– Popatrz na siebie. Wpadłeś we wściekłość, gdy kapłani zbyt długo przetrzymywali mnie w Czyścju. Przyszedeś mnie wyrwać ze Świątyni, gotów stawić czoło choćby bogu. To, co pierwszy zrobił z twoim ogrodem, powinno wywołać w tobie furię. Powiniennem powstrzymać cię przed próbą zabicia księcia za to, że cię zgwałcił, bo to jest gwałt, Eryku. A ciebie to nic nie obchodzi.

– Posłuchaj, Karolu, sam widzisz, że nic nie zrobimy. Możemy cieszyć się swoimi enklawami. Czy to mało? Odrobina rozrywki, zabawy czyni nas ludźmi. Chodźmy się napić, alkohol rozjaśni mi umysł.

– Mogę to odwrócić.

– Słucham?

– Mogę usunąć jego modyfikacje.

– Zrobić mnie takim, jakim byłem?

– Nie do końca. Nie takim samym. Ale podobnym. Takim, jakim wydawało mi się, że jesteś.

– Czemu po prostu tego nie zrobisz? Bez tego całego gadania z pijanym starcem.

– Potrzebuję twojej zgody. Chcę jej.

Eryk potarł czoło. Myślenie przychodziło mu z trudem. Tak bardzo chciał się napić i zabawić z dziewczynami, odsunąć od siebie cały ten trud i wyzwania, na zmierzenie z którymi należał Karol. Czego chciał od niego ten dzieciak? A może poprzez niego manipulowała nim Świątynia?

– Wybacz, chłopcze, ale jestem już stary. Jak ten ogród. Był i nie ma, może kiedyś go odbuduję. A teraz wybacz, ale muszę się napić.

Karol skinał głową, jakby rozumiał. A potem wtargnął w struktury innergetyczne przodka i dokonał w nich własnych modyfikacji. Najpewniej łamał umowy z bogami, być może zmieniał Eryka w marionetkę, może nawet okaleczał. To nie miało już znaczenia. Eryk nie był pierwszy i nie będzie ostatni.

Kredyt starego księcia był potrzebny Karolowi, jeśli ponownie miał stawić czoło pierwszemu.

– Mój ogród! – zawołał Eryk Oruzon. Ogień rozbłysł w jego oczach. – Kto śmiał?!

4

Mój syn, krew z mojej krwi, kość z kości, dusza z duszy. Mój najbliższy sojusznik, moja nadzieja na przyszłość. Mój cień, cień moich ambicji, moich planów. Skrzywdziłem kobietę, która mnie kocha, przodka, który mnie uratował, i syna, którego nie dało się uratować inaczej.

Choć kapłani usunęli z Leonarda wpływy pierwszego księcia, ten odnalazł go w Oruzonie i zaatakował, jak całe miasto. Gdy Eryk uciekał w rozpustę, Leonard sam siebie uwięził w medytacji mającej chronić go przed wpływami pierwszego. W rzeczywistości zapadał się w kolejnej ułudzie, powoli tracąc oryginalną sygnaturę na rzecz modyfikacji pierwszego.

Karol, nie widząc innego wyjścia, przestroił i jego.

Młody książę uśmiechnął się do ojca.

Nie ma dla mnie usprawiedliwienia, pomyślał Karol, spoglądając na swych towarzyszy.

W każdym z nich widział ślad siebie, bo w każdym z nich coś z siebie zostawił. Choć starał się postępować ostrożnie, zdawał sobie sprawę, że każda obserwacja, a za nią każda modyfikacja, jaką ich obciążył, skazona jest jego subiektywnością. Gdy przenikał przez systemy syna, by oczyścić je z wpływów pierwszego i przebudzić, postępował już z całą ponurą premedytacją, świadom zbrodni, jaką popełnia. To nie był czas ani świat na półśrodki. Syn musiał stać się wojownikiem, jak on.

Wojownik – oto, kim był Karol Oruzon! Nie urodził się na bawidamka, posłańca boga, naukowca, kapłana, nawet nie na przywódcę. Próbował wszystkich tych ról i w żadnej się nie odnalazł. Spiskowiec także był zeń kiepski, tak za życia, jak i po śmierci.

Wcześniej wszystkim zajmował się za niego Jewgienij, gdy przyszło stanąć na własnych nogach, Karol pogubił się w sieci spisków, nie umiał za nimi nadążyć.

Zbyt długo już błdził.

Przyznawał to – zgrzeszył, modyfikując najbliższych sobie po śmierci ludzi. Będzie musiał z tym żyć, póki nie przyjdą po niego kapłani, by wyznaczyć pokutę. Sam jednak się do nich nie pofatyguje. Wyzaczył już sobie karę. Jan załamie ręce, gdy go zobaczy. Mógł sobie wyobrazić jego reakcję. Zwyzwa go od durniów marnujących własny potencjał i – co gorsza – czas i energię, jakie włożył w jego edukację.

Niezaprzeczalnie się na coś przydały.

Stali na równinie między Oruzonem a pałacem. Za ich plecami drżało miasto opuszczone tłumnie przez niepewnych swego losu oruzończyków, którzy zdecydowali się pójść za swoimi mecenesami. Eiho trzymała Karola za rękę, jaśniała jego blaskiem.

Eryk odmienił swój strój na elegancki frak starego kroju. Zwizualizował cylinder i nałożył go sobie na głowę. Uzbroił się tylko w elegancką laskę, Karol miał jednak pewność, że w tym delikatnym na oko przedmiocie kryje się potęga furii zrodzonej z urażonej ambicji starego Oruzona.

Leonard ubrał się jak jego ojciec, w mundur w barwach Oruzonów.

Przed nimi pałac wzrastał pychą i gniewem pierwszego księcia.

Karol postąpił krok naprzód. Wykrzyczał swoje oskarżenie. Wezwał Oruzonów do odstąpienia od pierwszego księcia. Zapowiedział zemstę. Wykrzyczał wyzwanie.

Nie liczył na to, że wielu odpowie. Zbyt byli już przenikliwsi pałacem, a pierwszy na pewno zadbał o odpowiednie zmodyfikowanie swoich najbardziej buntowniczych potomków.

Nie dbał o to. Jeśli trzeba, będzie musiało wystarczyć ich czworo.

Być może w sprawę wmiecha się Pan Ougli. Zapewne miał wiele powodów, by gniewać się na Karola Oruzona.

I o to nie dbał. Gotów był stawić czoło i bogu.

Był tym, kim sam siebie uczynił, najpierw za życia, potem po śmierci. Wojownikiem, dla którego wojna stanowi podstawowy sens świata.

Gdy odmienił syna, przysiągł sobie, że siebie ukarze w ten sam sposób.

Wywołał system obrazem Jana. Przyglądał się chwilę ikonie, a potem poprzez nią otworzył obraz własnej sygnatury innergetycznej, całego siebie zakłętego w innergetycznych kodach.

Przeszedł przez życie i śmierć, próbował różnych ról i w żadnej się nie sprawdził. Najwyższy

czas, by podjąć decyzję i przyjąć konsekwencje.

Gdy zaczął pracę, wiedział, że bezpowrotnie się okałeczka. Był to jednak winien Leonardowi, Eiho i Erykowi.

Do diabła z Otwarcie Świątyni, Cesarstwem i buntownikami. Niech piekła pochłoną Pana Ton i Pana Ougli. On, Karol Oruzon, teraz i na zawsze zostanie wojownikiem i będzie szerzył wojnę w niebie, aż jego przeciwnik padnie. A wtedy Karol Oruzon, wówczas pierwszy z Oruzonów, zmodyfikuje go wedle własnych chęci.

A potem zastanowi się, co robić dalej.

Na początek dobrze by było odnaleźć Jewgienija i wyrzucić go bogu, z którymkolwiek podpisał kontrakt.

Uśmiechnął się do tej myśli. Nie był to dobry uśmiech, lecz taki, od którego za jego plecami zdrząło miasto, a oruzonczy cy powstałi, warcząc jak wilki.

Karol Oruzon odnalazł wreszcie siebie.

Rozdział 27

1

Czasami, niespodziewanie, spadało na Psa wrażenie, że obserwuje sytuacje, w których uczestniczy, z boku, jakby patrzył na osobę trzecią, wolną od wpływu wydarzeń, czy niosły okazy, czy niebezpieczeństwa. Nie dbał o to, co mogło się z nim stać, jak w niektórych chwilach walki, gdy świat stawał się czymś na kształt sceny, od której on pozostawał oderwany, jakby nic, co się tam działo, nie mogło mieć na niego wpływu. Dopuszczał do siebie myśli bardziej widza niż uczestnika.

Na przykład, gdy przywołane ku oburzeniu pasterzy ekrany ukazały okręty Wspólnych Przestrzeni sunące niczym pociski ku Powolnej Flocie, gdy bezinnergetyczni zaczęli krzyczeć ze strachu i oburzenia, Maska wydawał rozkazy, a kundle przyjęły formację obronną wokół swojego szefa na wypadek abordażu, Pies spoglądał na linie wyznaczające dokonane i przewidywane kursy napastników i myślał o fragmencie wspomnień, które odnalazł kiedyś w bibliotece niewielkiego miasteczka na rolniczej planecie, gdzie ukrywał się przez jakiś czas.

Sam fakt, że znalazł tam bibliotekę, zaskoczył go. Stosunkowo późno nauczył się czytać – jedynie mieszkańcy prowincji i arystokraci pozwalali sobie na takie ekstrawagancje.

Choć bogowie nalegali na ograniczenia w przetwarzaniu ludzkich ciał, nie mieli nic przeciwko innym aspektom nowoczesności. A pismo było tak przestarzałe i nieekonomiczne. Zbyt wolno przelazywało informację, którą prosty pod- lub nadsymbol ukazywał w jednej chwili. Zmuszało do wysiłku tam, gdzie obraz i dźwięk ofiarowały ułatwienia, a sygnały i symbole

preskojarzeniowe odwoływały się bezpośrednio do właściwych czynności mózgu, pomijając zbyt dużą drogę tłumaczenia języka symboli, obciążonego dodatkowo zakłóceniami jednostkowych biografii. Nawet tresura mózgu, jakiej od dziecka poddawani byli obywatele Wspólnych Przestrzeni, nie potrafiła ich wykluczać.

Może właśnie dlatego Pies tak bardzo polubił czytanie – dzięki jego ograniczeniom i wysiłkowi, do jakiego zmuszało. A także dlatego, że wbrew państwowym tendencjom prowadziło do wzmocnienia indywidualności jego skojarzeń i myślenia.

Odnaleziona przezeń biblioteka nie cieszyła się powodzeniem, nigdy nie spotkał w niej innego klienta. Jedyne pani Buttery, stara już, w dodatku kulawa i z tego powodu zatrudniona w bibliotece, siedziała tam całymi dniami, przeglądając ilustracje w atlasach.

Bardzo irytowały ją coraz częstsze odwiedziny Psa, zakłócającego spokój przytulnego budynku i wybudzającego ją z marzeń. Celowo starała się być wobec niego opryskliwa i wyraźnie ją złościło, że w przeciwieństwie do niej potrafi czytać.

Książki zaopatrzone w ikonogramy, dzięki którym radziła sobie z katalogowaniem i bez trudu odnajdywała wśród nich te z ilustracjami. Po latach pracy poznała też dokładnie położenie każdej z nich i umiała wyszukiwać je znacznie lepiej niż dysponujący mało popularną umiejętnością czytania Pies. Niechętnie jednakmu pomagała.

Psu to odpowiadało. Włóczył się sam między regałami i ignorując katalogi, wyszukiwał kolejne pozycje bez planu. Przy okazji się dowiedział, że bibliotekę ufundował miasteczku jakiś postrzelony arystokrata, ofiarowując nie tylko pieniądze na budynek, ale i kolekcję książek. Wedle lokalnych legend uczynił tak, by pozbyć się całego majątku, którego części rozdawał losowo wybranym społecznościom, i by nie zostawić nic nieulubianym spadkobiercom. Jakkolwiek jego potomkowie podjęli zapewne trud odzyskania części majątku, o bibliotekę nie upomniał się nikt.

Któregoś dnia, pośród książek zebranych w katalogu „Varia” i upchniętych na dwóch regałach w najbardziej zapuszczonym kącie biblioteki, do którego trafiały książki bez ikonogramów i ilustracji, Pies odnalazł wspomnienia inżyniera biorącego udział w którejś z lokalnych wojen sprzed czterystu lat.

Gdy wspiął się na wzgórze, z którego rozpościerał się widok na całą dolinę, poprzecinaną naszymi archaicznymi liniami kolejowymi, tak dobrze sprawdzającymi się teraz, gdy toczy my tę przedziwną wojnę, stojąc jedną nogą w nowoczesnym innergetycznym świecie, a drugą w przedinnergetycznej prehistorii, ujrzałem wojnę w przebogatej jej panoramie.

Noc była bezchmurna, gwiazdzista, powietrze czyste i przejrzyste. Obejrzałem się na swych towarzyszy, oni jednak woleli trwać skuleni przy ziemi w obawie, że wypatrzą ich jakieś satelity albo

wróg przyczajony a uzbrojony w nowoczesny karabin snajperski, zdolny posłać pocisk nawet tak daleko, przez kilometry oddzielające nas od pola walki.

Nie braliśmy udziału w bitwie na sposób zwyczajnych żołnierzy, choć ubrano nas w oficerskie mundury, oznaczone tylko dodatkowo czerwonymi przepaskami znamionującymi ochotników przybyłych tu, by walczyć w imię Sprawy. Nie, byliśmy technikami, naukowcami bądź amatorami spragnionymi praktyki i doświadczenia. Walczyliśmy z nie mniejszym oddaniem, ale naszym orężem uczyniliśmy te linie kolejowe, improwizowane trasy zaopatrzeniowe, wnoszone naprędce mosty pontonowe czy polowe szpitale. Jeśli jednak ktoś mógł czuć się osobistym zwycięzcą zmagania, to właśnie my, bo czasem jedna linia wykreślona naszym piórem i przemieniona czynem ludzkim w dzieło więcej znaczyła dla wyniku wojny niż i dziesięć szturmów. Nie bez przyczyny czuliśmy się więc kimś więcej, innego rodzaju wojownikami Sprawy. Ale i nas mogła dosięgnąć kula i śmierć nią niesiona. I my nauczyliśmy się drzeć o życie.

Tamtego wieczoru jednak zapomniałem o tym, oszołomiony i wstrząśnięty pięknem wojny.

Nie mogłem kulić się jak moi towarzysze, by nie stracić choćby fragmentu tego zapierającego dech w piersiach widowiska, jakie rozgrywało się u moich stóp. Wszystko tam było głównie grą ciemności i światła. Odgłosy rozpoczynającego się właśnie szturm docierały do nas przytłumione, czasem nawet z fałszem ech. Ale światło – je widziałem wyraźnie!

Pociski rodziły się w migotliwych chmurach ognia. Niosły za sobą piękne, świetliste linie, by opadać i kończyć żywot w rozbłyskach, dogasających zbyt szybko czerwonym, stygnącym blaskiem. Gdy były salwami, wzbudzały też drżenie, docierające nawet do nas. Wtedy i błysk równoczesnej salwy był jak uderzenie gniewu starożytnego boga, jego odbłask pozostawał przez chwilę na siatkówce oka, sprawiając, że czas jakby rozdawał się dla mnie – poprzez obecny jeszcze w oku zapis przeszłości przebijała się już teraźniejszość eksplodująca poszarpanym, rozstrzelanym światłem.

Na tym tle rozkwitały na mgnienie oka błyski pojedynczych wystrzałów karabinowych. Wkrótce cała dolina rozmigotała się od nich, jakby rój świetlików wybrał jeden moment na wysłanie swojego świetlistego sygnału.

Krzyknąłem z zachwytu i zacząłem przywoływać swych przestraszonych towarzyszy. Oni jednak nie spieszyli się do mnie, a nawet nazywali „szalonym głupcem” i nawoływali mnie, bym ukrył się za ich przykładem. Jakże mogłem usłuchać?

Światła wciąż tańczyły w dolinie, zaskakując mnie i zachwycając bogactwem tego spektaklu, czasem trwających jedno mgnienie oka fantastycznych, budzących trwogę, ale i uniesienie scen, jakich nie byłby w stanie zaplanować żaden artysta. Ale to wszystko wydało mi się później niczym, zaledwie preludium do prawdziwie cudownego dzieła, które narodziło się, gdy zaczęły spadać gwiazdy.

Zaiste wojna była wtedy piękna!

Pies często myślał o autorze tych wspomnień, gdy stygły kolejne bitwy, które udało mu się przeżyć. Gdy czołgał się w śmierdzącym błocie bądź przedzierał się przez pustynną burzę ciskającą mu w twarz chmury pyłu. Gdy pomagał nieść lub opatrywać rannych, albo gdy pociski grzechotały o kamień, za którym się ukrył.

Kiedyś opowiedział chłopakom o opisie. Śmiali się wszyscy, nawet Pniak. A Rachuba podszedł do niego kilka dni później, gdy szykowali się do szturm na jakieś wzgórze.

– Dureń! – prychnął. – Co za dureń z tego twojego inżyniera!

Pies zgadzał się z nim całkowicie. Głupiec i pięknoduch, wytyczający linie archaicznych kolej na jakiejś zapomnianej przez bogów planecie i podziwiający bitwę z wysokości bezpiecznego wzgórza.

A jednak, gdy jako jedyny zachował spokój wśród chaosu panującego po rozpoczęciu ataku flot Wspólnych Przestrzeni, przypatrując się wielobarwnym krzywym na ekranie, uznał, że inżynier sprzed wieków miał trochę racji – bitwa, oglądana z daleka, potrafiła być piękna.

Oczywiście tylko do momentu, gdy przypomniał sobie, że dla znacznej części pocisków to on jest celem.

Otrzeźwiał dość gwałtownie. Zdał sobie sprawę, że Pniak szarpie go za ramię i krzyczy coś do niego.

– ...w jeden z tych twoich letargów! – krzyczał dziesiętnik – Będziemy tu potrzebni, Pies! Na wypadek, gdyby ci tutaj zaczęli się nagle wahać! Maską przejmuje dowodzenie! Trzymaj się mnie i kawalerzysty!

Skłinał głową, ponieważ jednak Pniak nie przestawał krzyzczeć, dał znać prostym „tajes!”, że świat znów ma do niego dostęp. Pniak puścił go natychmiast i pobiegł ku Masce.

– Kostek! – zawołał Pies. – Do mnie! Co jest?

– Nie mam swojego pancerza – mruknął kawalerzysta, wyraźnie zmartwiony. – Został na *Merlinie*.

– Jakoś sobie poradzisz. Trzymamy się razem i czekamy na polecenia Pniaka. Rozumiesz? Nie Maski, tylko Pniaka!

– Tak jest.

– Planujecie bunt? – To Irina podeszła do nich. – Jakby co, dostałam rozkaz, by się wami zaopiekować, gdyby coś zaczęło się dziać.

– Gdyby co zaczęło się dziać, Irina? Co planuje twój szef?

– Mamy bitwę, jak widzisz. *Merlin* stawia opór, ale musimy się przygotować na abordaż. Szef

leci na mostek, my zostajemy tutaj. Na razie jedyne, co możemy robić, to czekać.

Pozostawiono im zawieszony w powietrzu ekran, mogli więc podziwiać bitwę. Gdy okręty flot Cesarstwa zniknęły w innoświecie, program analizował ich kursy i starał się przewidzieć dalsze ruchy.

– Wygląda na to, że twoi walczą między sobą. – Irina oparła dłoń na ramieniu Psa.

Nie przegonił jej stamtąd.

– To pewnie kolejny popis talentu twojego szefa?

– Chyba nie. Zapewnił sobie pomoc najemników, ale raczej nie przygotował nowego buntu.

Ale wiesz, z nim nigdy nic nie wiadomo.

– Nie jesteś już tym zmęczona?

– Ufam mu. On nas stworzył.

– Do walki.

– Jesteś żołnierzem, Pies, powinieneś zrozumieć.

– Ja miałem wybór.

– Naprawdę? Jaki wybór mają ludzie w tym nudnym wszechświecie, w którym wszyscy mają przypisane role – za życia i po śmierci? Jaki mogłeś mieć wybór? Wstąpić do wojska albo spędzić całe życie, tyrając w polu lub kopalni? Gwiazdy świeciły nad tobą, a ty nigdy nie poleciałbyś do żadnej. Moje życie to walka, Piesie, ale to wspaniałe życie!

– Łatwo o śmierć w tym twoim wspaniałym życiu.

– Lepsze to niż żyć byle jak w twoim świecie, który skazałby mnie na rolę maszyny do rodzenia.

– To nie jest mój świat – zaprotestował. – Ja go nie urządziłem!

– Ale możesz spróbować go przebudować!

Prawie powiedział jej, że to naiwna wiara, ale ugryzł się w język. Po co ją ranić? Po co się kłócić? Miała zresztą wiele racji. Sytuacja kobiet nie była wcale taka zła, jak ją przedstawiała, choć we Wspólnych Przestrzeniach rzeczywiście kariera w wojsku pozostawała dla nich zamknięta. Najcelniej jednak przedstawiła sytuację zwyczajnych ludzi.

– Gdy odkryto innergetykę – powiedział spokojniej – wszyscy ludzie myśleli pewnie, że teraz wszechświat staje przed nimi otworem. Tak mi się wydaje. Że rwali się do lotów do gwiazd, do zdobywania planet. A okazało się, że innergetyka tak naprawdę nic nie zmieniła, że kosmos jest dla nas zamknięty, tak jak wcześniej. Że zginamy larki i zasuwamy aż do śmierci, a gwiazdy to tylko punkty na niebie. Masz rację.

– Dwie nowe floty! – zawołał Kostek – Bogowie! Dwie nowe floty!

– I lecą na nas. – Głos Iriny zadrżał, gdy przytuliła mocniej Psa.

Bała się? Spojrzał na nią zdziwiony.

– To straszne móc tylko patrzeć – wyjaśniła. – Czełać. Stać tu, patrzeć i nie móc nic zrobić.
– Może nie będzie tak źle. – Wskazał jej dwa punkty na ekranie. – Te rwą prosto na nas. To, zdaje się, barki, nie nadają się do prowadzenia ostrzału. Może będziesz miała ten swój abordaż?
– Oby – szepnęła, a on aż się roześmiał, znów spoglądając na sytuację trochę z bólu i dziwiąc się tej nietypowej kobiecie bardziej bojącej się bezczynności niż walki i tulącej go do siebie raczej jak dziecko niż kochanką.

2

Berak wyciskał z barki, ile się dało, w pościgu za człowiekiem, który mógł go zaprowadzić do rozwiązania zagadki. Dziękował wszystkim znanym bogom, że walczące ze sobą floty nie zainteresowały się nim jeszcze. Przeskanowały go na pewno i odkrywszy, że jest pozbawiony znaczącego uzbrojenia, zostawiły go w spokoju. I tylko ten uparty reporterski jacht wciąż go ścigał. O co im chodziło? Szukali tematu? Czy naprawdę byli dziennikarzami, czy tylko kamuflowali się w ten sposób? Najwyraźniej także nie byli uzbrojeni, bo i ich nie ostrzelano.

Zapewne byłoby inaczej, gdyby obrońcy tej zapomnianej floty dysponowali większymi siłami. Mierząc się jednak z dwiema flotami Wspólnych Przestrzeni, musieli zaangażować w walkę łączy ze swoich ścigaczy. Poprawka, z czterema flotami Wspólnych Przestrzeni.

Nie mogli już wygrać. Nie z takim przeciwnikiem. Może rajd Beraka nie miał sensu? Ledwie dotrze do floty KE, i tak zginie, jeśli Aubert rzeczywiście zdecyduje się na zniszczenie okrętów.

Aubert! Jak można było do tego dopuścić! Był przecież skanowany przez Służbę! Jak zdołał ich oszukać? Jak Kapituła przegapiła jego działania?

A może wcale ich nie przegapiła?

Kapituła przejmowała Beraka trwogą. Uwięzione za pomocą nielegalnej dla innych technologii pośmiertne osobowości sprzężono z elektronicznym, acz wspomaganym innergetycznie mauzoleum, w którym spoczywać miały do końca świata. Wszyscy wielcy agenci służby trafiali do tego małego rajdu, gdzie ich osobowości wzbogacały wieloumysł Kapituły przeczący wszystkiemu, o czym nauczali kapłani. Ale cesarz, będący wszak arcykapłanem i dysponujący stałym połączeniem z bogami, się na to zgodził. A zatem i bogowie musieli to zaakceptować. Może zostali postawieni przed faktem dokonanym? A brzydząc się tak odkształconych dusz, wciąż przywiązanych do osobowości nosicieli, z ulgą przyjęli rozwiązanie

uwalniające ich od konieczności przebywania z nimi?

Berak tylko czterokrotnie obcował z Kapitułą i za każdym razem odchorowywał te spotkania. To, co wślizgiwało mu się do głowy, by przetrząsać jego myśli w poszukiwaniu odpowiedzi, jakich sam nie byłby w stanie wymyślić, nie miało w sobie nic ludzkiego.

Może Kapituła stała za Aubertem albo przynajmniej się nim posługiwała? Ale Kapituła nie mogła wystąpić przeciwko cesarzowi – tylko on zabezpieczał ją przed skasowaniem przez bogów, gdyby ci zmienili zdanie.

Jeżeli jednak Kapituła współpracowała z Aubertem, to Berak, stając przeciwko niemu, buntował się przeciw samej Kapitulie. To nie powinno być możliwe.

Jednakten skurwiel zabił Temine!

Jakkolwiek skończy się ta szalona bitwa wokół niego, Berak najprawdopodobniej umrze. Jeśli wygra Aubert, to on go zabije, jeśli nie – Beraka dopadnie Kapituła. Albo cesarz.

Pozostawała mu tylko nadzieja, że sam zdąży przedtem zabić kilka innych osób. I dowiedzieć się, czym naprawdę była tak widowiskowo kończąca się za jego plecami wojna.

Dolatywali już do okrętów floty KE. Minęli okręty Tygryskiej Floty rozpaczliwie starające się przechwytywać wystrzeliwane ku bezbronnym statkom pociski, minęli nawet *Merlina* stanowiącego ostatnią linię obrony. Okręt Maski pruł ze wszystkich luf, migotał na pograniczu dwóch wszechświatów, wykonując szalone skoki, na jakie nie powazyliby się piloci żadnej innej jednostki. Maską przelatał nie tylko kundle, ale i swoich pilotów i nawigatorów, tworząc z nich istoty niepodobne do innych ludzi.

Tak czy owak przy całym oporze bogów jednak ewoluujemy innergetycznie, uznał Berak Kapituła, żołnierze i piloci Maski, nawet zwyczajni agenci Służby, jak ja – wszyscy podlegamy mniejszym lub większym modyfikacjom innergetycznym i technicznym. To raczej niepowstrzymany proces, będzie tylko narastać. Wojna złamała bariery. Może jeszcze tego nie widać, ale tak właśnie się stanie.

Nie pierwszy raz zastanawiał się nad dziwnym oporem bogów surowo strzegących, by ludzie nie tylko nie udoskonalali się innergetycznie, ale dbających, by nawet modyfikacje przy użyciu klasycznej technologii odbijały się negatywnie na pośmiertnym kredycie. Nieodmiennie dochodził do wniosku, że innergetyczne istoty obawiały się, że udoskonalona ludzkość mogłaby spróbować dominacji w ich wszechświecie. Znając ludzi, Berak nie mógł odmówić słuszności boskim obawom.

Barka, którą ścigał, minęła pierwszy z majestaty cznych statków KE. Agent wykorzystał okazję, by przyjrzeć mu się z bliska. Kto i po co budował takie potwory? Niemal bezbronne, pozbawione też możliwości szybkiej ucieczki mogły paść łupem nawet najędźniejszej pirackiej bandy. Fakt, że było ich tak wiele, w niczym by nie pomógł nieruchawej flocie. Nawet nieliczne uzbrojone

statki nie sprostałyby atakowi piratów zaopatrzonych w napęd innergetyczny. Być może kiedyś, gdy podbój kosmosu dopiero się rozpoczynał, istniały strategie, w których te jednostki spisywały się znakomicie. Jednak innergia wszystko zmieniła. Teraz walka sprowadzała się do szeregu skoków z wszechświata do wszechświata i umiejętnego przewidywania ruchów przeciwnika.

Niemniej statek KE robił wrażenie. Było coś monumentalnego w tym olbrzymie sunącym przez przestrzeń od stuleci, może nawet tysiącleci. Berak nie potrafił wyobrazić sobie motywów ludzi, którzy skazali się na taką podróż.

Rozsądek, jak sam tego doświadczał, usuwał się jednak czasem w cień, oddając stery innym kapitanom.

3

Derwan kierował się koordynatami przekazany mi mu przez kapłana Auberta. Bogowie raz jeszcze uchylili zasłony i wskazali miejsce pobytu Szkarłatnej Maski. Mag zamiast na pokładzie *Merlina* schronił się na jednym ze statków prehistorycznej floty. Choć z pewnością i tam towarzyszyły mu kundle, zabójca uznał, że dla niego ta sytuacja okaże się korzystniejsza. Z kundlami sobie poradzi, jeśli nie będzie ich zbyt wiele. Na *Merlinie* musiałyby walczyć z całą załogą.

Starożytni nie powinni sprawić mu problemu.

Zagadką pozostawał sam Maska. Czy dysponował jakimś rodzajem innergetycznej broni? A może, jak ostatnio Aubert, mógł się przenosić do innoświata bez pomocy technologii? Tam nie można by go ścigać. Jednak Aubert otrzymał specjalną pomoc bogów, podczas gdy Maska niemal otwarcie przeciwko bogom występował.

Zdawał sobie sprawę, że ktoś go ściga. Kto i po co – nie wiedział. Kolejne niewiadome, które mogły zagrozić jego misji, przydawały zarazem całej sprawie smaczku.

Jeszcze raz sprawdził swoje systemy. Tym razem nie bawił się w dyskrecję i włożył stworzony specjalnie dla niego kombinezon bojowy, wzorowany na kombinezonach jednostek specjalnych, dostosowany jednak do specyfiki działań zabójcy. Sprzężony z plusmysłem Derwana nie współpracował z nosicielem równie skutecznie jak kombinezony kawalerii uczące się ludzkiego ciała całymimi latami. Umiał jednak zgrać się z plusmysłowymi systemami i współdziałać nawet z odruchowymi reakcjami nosiciela.

Kundle Maski dysponowały prawdopodobnie podobnym sprzętem, choć chronione przez

cięższe pancernie traciły na szybkości i zwinności. Zabójca korzystał też z arsenału wirusów, które powinny być zdolne zainfekować ich systemy i uczynić bezbronnymi na jakiś czas bądź przynajmniej ograniczyć ich sprawność bojową. Oczywiście w założeniach technologia, jaką posługiwał się Maska, wciąż była zbyt mało znana. I nawet dane wywiadu, którymi obdarował zabójcę Aubert, mogły okazać się niewystarczające.

Niemniej z tymi, którzy go ścigali, Derwan powinien poradzić sobie bez trudu.

Gdy mijał pierwszy ze statków archaicznej floty, za nim ponownie eksplodowała bitwa.

Wielu jego kolegów po fachu zaopatrzyło swoje plusmysły w programy umożliwiające wyłączenie emocji. Doktryna utrzymująca, że profesjonalne zabójstwa powinny być dokonywane na zimno, wciąż uważana była za słuszną.

Derwan się z nią nie zgadzał. Żył przekonanie, że emocje go uskrzydłają i wzmacniają. Potrafił cieszyć się walką dla niej samej, każdą misję traktował jak wyzwanie, pełne okazji do mniejszych lub większych radości. Uniesienie wywołane przez konkretne zadanie pozwalało mu odpocząć od wielkiej sprawy, której służył.

Gdy więc w przestrzeni za nim rozbłysły dziesiątki ogników świadczących o pierwszych trafieniach i gdy wzrosły one w rozkwitające płomienie eksplozji żyjące ledwie kilka chwil, gdy dźwięk zginających okrętów wrywał się przez pękające kadłuby, Derwan śmiał się i pokrzykiwał wesoło, dopingując swoich faworytów. Zwyczajem wielu ludzi kibicował w tej rozgrywce słabszej stronie, ciesząc się z każdego sukcesu floty Sertempa. To, że pracował dla przeciwnej strony, nie miało znaczenia. Przewaga liczebna Auberta sprawiała, iż szambelan nie mógł przegrać.

Wobec przesądanego triumfu tocząca się bitwa była dla zabójcy niczym zmagania sportowców, w których z czystym sercem mógł kibicować słabszej stronie i cieszyć się jej małymi sukcesami, nie mogącymi wszakże odmienić ostatecznego wyniku.

Śmiejąc się i pokrzykując, mknął ku statkowi, na który miał dopaść Maskę.

Pierwszy ruch w bitwie dobiegł końca i duże okręty uskokczyły w innoświat, pozostawiając przestrzeń walki ścigaczom. Choć następny ruch był kwestią sekund, zabójca skupił się już na swoim celu, porzucając obserwację walczących. Pomimo początkowych sukcesów Sertemp nie mógł wygrać, kolejne ruchy musiały przynieść zagładę jego floty. A statek będący celem Derwana stanie się też celem ataku, gdy zabraknie jego obrońców.

Wyhamował brawurowo, ledwie dwanaście metrów od kadłuba statku. Wedle wyliczeń komputera ci, którzy go ścigali, mieli dotrzeć na miejsce za niespełna dziesięć minut.

Kombinezon miał już na sobie. Wyskoczył ze słuzy, a dziesięć sekund później, gdy on na ciągu silniczków kombinezonu gnał ku statkowi, jego barka uciekła zgodnie z programem w przestrzeń. Nie chciał ryzykować, że prześladowcy ją zniszczą, pozostawiając go bez środków ucieczki ze

słazanego na zagładę statku.

Nie przejmował się subtelnosciami. Ładunkami wybuchowymi wywalił wyrwę w poszy ciu.

Gdy zabójca wracał na pokład, przestrzeń za nim wypełniła się okrętami trzeciego ruchu bitwy. Resztki II Floty przeprowadziły rozpaczliwą szarżę na dwie świeże floty Cesarstwa, wyrzeliwując z innoświata pomiędzy nimi z niemal samobójczą brawurą, jaką z pewnością wywołałaby zachwyty Derwana. On jednak, porzuciwszy desantowy kombinezon, biegł już chłodnymi, ciemnymi korytarzami, kierując się w stronę mostka, na którym spodziewał się znaleźć Maskę i zakończyć ostatecznie historię ostatniego przywódcy rebelii.

4

06:25:13:01

Chcielibyśmy wierzyć, że zawsze będzie nam się udawało. Że szlaki cudów krzyżują się z naszymi ścieżkami życia. Że spotkamy te jedyne, stworzone specjalnie dla nas kobiety, że przyjaciele nigdy o nas nie zapomną i że śmierć przyjdzie po nas dopiero wtedy, gdy będziemy na nią gotowi.

I zawsze nas dziwi, gdy dzieje się inaczej.

Wiedziałem to zdziwienie na twarzach ginących żołnierzy. Mieszało się z bólem, czasem ze złością. To nic, że nie umrzemy naprawdę, że nie pożegnamy się z naszymi bliskimi na długo, o ile nasze kontrakty małżeńskie zaopatrzone w klauzurę konwersji. Wieczne życie i zdobycze innergetyki tracą na wartości w tych dziwnych chwilach, gdy jak prymitywni, przedinnergetyczni barbarzyńcy zaczynamy bać się śmierci.

Może to tylko atawizm, a może wciąż użyteczny pomagający nam przetrwać mechanizm? Czy byłibyśmy w stanie istnieć, gdybyśmy przestali się bać?

To zaskakujące, że myślę o takich rzeczach, gdy lecą ku nam zwycięzcy tej bitwy – okręty Wspólnych Przestrzeni. Nasze okręty! Nasze okręty, które chcą nas zniszczyć!

Jeszcze broni nas to, co pozostało z Floty Tygrysyj. Jeszcze poraniony Swarożyc, który powinien już kilka razy zginąć, przypuszcza desperackie szarże z innoświata, wciąż zaskakując przeciwników swymi posunięciami.

Jak udaje się to admirałowi Sertempowi, nie mam pojęcia i jestem przekonany, że dowódcy flot Wspólnych Przestrzeni także muszą być zdumieni. A jednak Swarożyc – nosiciel, któremu nie

pozostały już żadne ścigacze, pozbawiony osłony choćby barki, znów wyskakuje z innoświata.

Jakże niewprawnie przybywa! Jeszcze ciągnie za sobą innergetyczny bąbel, który eksploduje dziko feerią barw, dla których nie potrafię znaleźć nazw. Wiem, że rozbitkowie w przestrzeni słyszą teraz dzikie wycie – ryk innoświata. Jego osłabione echo dociera i do nas, jakby innoświat był żywą istotą odnoszącą rany i cierpiącą za każdym razem, gdy przekraczamy jego granice. Ale ryk przeradza się w zawodzenie, a zaraz po nim śpiew. Podobno potrafi on hipnotyzować konających w przestrzeni, ułatwia im wędrówkę na tamtą stronę życia.

Swarożyc ocieka innergią. Na ekranie widzimy pęknięcia w jego kadlubie, widzimy wydobywający się przez nie dym i bąble powietrza barwione ognikami gasnącymi zaraz w próżni.

Okręt nie ma wiele czasu. Znowu zaskoczył przeciwników, ale już namierzają go ich systemy celownicze, już kierują się ku niemu działa, już wyskakują z sykiem torpedy, huczą silniki wystrzeliwanych rakiet.

Sertemp oddaje salwę i znów znika. Osiągnął swój cel, powstrzymał pęd flot Wspólnych Przestrzeni ku nam.

Admirałowie cesarza są tak wściekli, że skupiają się na próbach przewidzenia jego następnego ruchu. Część znika w innoświecie, część pozostaje na swoich miejscach. Zastawiają pułapkę.

Ale nie jest to proste zadanie. Bo przecież Flota Tygrysia nie próżnuje. Muszą pamiętać o niej, unikać jej pocisków i salw. Nauczyli się już, że nie powinni lekceważyć kobiety-dowódcy, ale wciąż skupiają się przede wszystkim na swoim byłym koledze.

A jest jeszcze i *Merlin*.

„Powinniśmy tam być” – szepce Sutanabe przez zaciśnięte, pobielale wargi.

Są, w pewien sposób. Maską wzrok ma nieobecny, nie zwraca uwagi na krzyki tubylców. Pozostaje w łączności ze swoimi ludźmi, stąd steruje *Merlinem*.

Wiemy już, że nie uda mu się tym razem.

Zawiodły wszelkie jego atuty. Wspólne Przestrzenie nie przejęły się starym prawem i zaatakowały Flotę Kompanii Eksploracyjnej, a floty Sertempa i Tygrysia nie były w stanie stawić im czoła.

Determinacja cesarza musi być ogromna. Czy jednak nie obserwujemy właśnie końca imperium? Jeśli Senat dowie się o tym, co się tu stało, może się to skończyć następnym rozłamem, następną wojną domową, a tej już Wspólne Przestrzenie by nie zniosły.

Znów patrzę na Maskę, zastygłego, mamroczącego pod nosem komendy, które wydaje myślami załodze okrętu walczącego teraz w bitwie toczącej się tysiące kilometrów od nas.

A jeśli od początku taki był jego plan? Jeśli gotów był poświęcić siebie i swoich ludzi, byle tylko zniszczyć zniechęcone imperium?

Niedawno przysłuchiwałem się rozmowie jego i setnika Pniaka.

– Rozpętał pan wojnę domową, profesorze. Po co? Żeby nas tu doprowadzić? Mógł pan to osiągnąć pokojowo.

– To nie ja rozpocząłem wojnę. Najpewniej to ten pański cesarz. On zyskał na niej najwięcej.

– Nie wierzę!

– Zniszczył opozycję, zламаł potęgę generalicji i jedność stronnictwa arystokratycznego. Ponadto przez lata wojny korzystał z praw, jakich nie mógłby narzucić w czasie pokoju. A jeszcze do tego utarł nosa Niezależnym i Rozproszonym, tak ograniczając im dostawy przetworzonej inergii, że muszą z pocałowaniem ręki przyjmować wszystko, co im daje.

– Po prostu umie wykorzystać okazję.

– Zdumiewa mnie pańska wiara w niego. Miałem pana za rozsądniejszego.

– I przedtem dysponował niemal nieograniczoną władzą. A przecież po śmierci osiągnie jeszcze większą potęgę.

– Po śmierci! – roześmiał się mag. – A komu tam spieszyłoby się do śmierci i tego, co przynosi? Pan, panie żołnierzu, choć wydajesz się sobie takim twardym indywidualistą, jesteś jednak straszliwie ograniczony przez wszystkie te zasady, które ci wpojono! I przez nie wierzysz, że wszyscy inni są tacy sami!

– A pan pewnie nie ma zasad?

– Nie mam. I cesarz także ich nie ma. Zasady to coś, czym sami siebie wiążemy, ograniczamy. Nie ma wielkości bez ich przewyżczenia. I dlatego mówię panu, pański cesarz sam zniszczył swoją planetę, zranił swojego boga i zabił miliony swoich obywateli, łącznie z własnymi dziećmi. A zrobił to choćby tylko po to, by udowodnić sobie, że może!

– Jednak jest pan szalony

Jak wszyscy wielcy w oczach małych.

Wspominam tamtą rozmowę i znów inaczej przyglądam się Masce.

Pod iloma postaciami już go widziałem! Łotra, naukowca, przebiegłego złoczyńcy zdolnego polityka, wielkiego przywódcy. A teraz widzę go tak, jak widzi go Pniak – jako szaleńca, który sprowadza zgubę na nas wszystkich. Choćby po to, by udowodnić sobie, że może.

Jeśli tak jest, nie ma dla nas ratunku. Chyba wszyscy to zrozumieli. Pasterze już nie protestują, nie miotają się, rzucając chaotyczne rozkazy, już nie próbują ratować sytuacji.

Teraz tylko się modlą. Jeden z nich padł na twarz i w języku, którego nie umie przetłumaczyć mój translator, recytuje śpiewną modlitwę. Drugi wznosił dłonie ku niebu i w innym jeszcze języku coś śpiewa.

– To psalmy – wyjaśnia mi pasterz o imieniu Adam.

Gromadzi ludzi wokół siebie i razem zaczynają śpiewać w jeszcze innym języku.

Pod wpływem śpiewów i modlitw tubylcy się uspokajają. Już tylko nas, obcych, trawi gorączka, jaką zawsze sprowadza na nas walka. A przecież to my przeżyjemy a oni umrą! Nie spotkałem się dotąd z podobnym fanatyzmem, choć widziałem już żołnierzy ogarniętych szałem bojowym.

– Prawie im zazdroszczę. – To Anna Soulise, oficer *Eliasa*, stanęła przy mnie. Nie pochyliła głowy w modlitwie, wpatruje się w ekran, a oczy błyszczą jej od fascynacji bitwą. – Wojna widziana w ten sposób wydaje się taka piękna, niezwykła. Pełna chwały

Nie ma piękna w zabijaniu i umieraniu. Tam, w przestrzeni, ludzie duszą się w kombinezonach albo umierają w cierpieniu wystawieni na działanie próżni. Niektórzy spłonęli żywcem na trafionych pokładach albo zginęli w eksplozjach. Nic w tym pięknego.

– A jednak – Uśmiecha się. – Spójrz na ten wyłaniający się znikąd okręt. Jak wciąż powraca, by walczyć o ludzi, których nie zna, jak wciąż wygrywa mimo wszystko. To piękne. Nawet jeśli zginie, taka śmierć jest piękniejsza niż gnicie na statkach uwięzionych w czasie.

Nie rozumiem, jak możesz być taka spokojna! Ty i pozostali! Wszyscy zaraz możecie zginąć!

– A ty nie?

– Ja mam kontrakt innergetyczny!

– W takim razie, naszym zdaniem, to ty umrzesz, a my będziemy żyć wiecznie.

A zatem liczy na cud. Jak my wszyscy zawsze.

Nagle dociera do mnie, że jedni i drudzy gramy o wieczność, jakby tutejsze, materialne życie znaczyło mniej niż w istocie.

Czy o to chodzi Masce i buntownikom? Że bliżsi staliśmy się innoświatu i oddaliśmy się od człowieczeństwa, stając się bardziej istotami innergii, jak bogowie, ale bez ich mocy i umiejętności?

Czy tego obawiali się fundatorzy Powolnej Floty już tysiące lat temu?

Spoglądałam na Soulise zafascynowaną obrazem bitwy ale spokojną. Chciałbym zapytać ją o pobudki i tę dziwną, nierealistyczną wiarę, ale w tej chwili przyciąga mnie do siebie i nagle zdaję sobie sprawę, że właśnie teraz, tuż przed prawdopodobną śmiercią, wszystko byłoby możliwe między mną i tą niezwykłą kobietą.

Jakkolwiek zabawni byśmy byli, myśląc, że to właśnie to drugie może zaraz umrzeć na zawsze.

Ona zrozumiała to przede mną. I kto wie, może odnaleźlibyśmy coś więcej, nim ostrzelają nas działa i zabiją rakiety ale Swarozyc miesza szyki nam wszystkim.

Znów wyłania się z innoświata, ale tym razem opuszcza go szczęście. Wyskakuje dokładnie tam, gdzie oczekiwali go wrogowie.

Zbyt długo kpił sobie z nich, ranił i zabijał. Nadwerężył swoje szczęście albo po prostu, po tylu

próbach, przeciwnicy rozszyfrowali wreszcie szalone algorytmy jego strategii.

Nawet nie ma czasu oddać salwy. Przyczajone miny dopadają go i rwą jego kadłub na strzępy. Widzimy ogień wystrzelujący ze zbyt wielu wyrw naraz. Szybko gaśnie.

Ciężko ranny okręt nie ma już sił, by uciec w innoświat. Zastyga. Nawet jego konwencjonalne silniki milczą.

Wtedy wszystkie ocalałe okręty Wspólnych Przestrzeni, którym sprawił tyle kłopotu, wystrzelują w niego rakietę, a my na pokładzie *Eliasa* rozumiemy, że to cios łaski, oddanie honoru wielkiemu dowódcy, jego załodze i okrętowi.

Nie będzie sądu nad Sertempem i jego ludźmi, a jedynie śmierć w chwale, którą kroniki ukryją przed obywatelami imperium. Już żaden okręt nie zostanie nazwany tak jak ten, a imię zdrajcy Wspólnych Przestrzeni historycy wymażą z zapisów. Może nawet sprawiedliwość cesarza dopadnie Sertempa po tamtej stronie życia? Ale wszyscy, którzy przeżyli tę bitwę, będą o niej rozmawiać między sobą.

Skoro nie ma już *Swarożyca*, także nasz los jest przypieczętowany.

I wtedy Maska znów do nas wraca.

– Pies! – krzyczy – Pniak, przyrowadź mi Psa! Szybciej, człowieku, to nasza jedyna nadzieja! Pies?

5

Włodzimierz uparł się wracać do swoich ludzi. Na próżno mu tłumaczyli, że naokoło szaleje bitwa i że nawet jakaś przypadkowa salwa albo zagubiony pocisk mogą go zabić, nim dotrze na miejsce.

– Raz matka rodziła! – upierał się, uśmiechając po swojemu. – Jeśli mam umrzeć, to ze swoimi.

Pies chciał Włodzimierza odprowadzić. Po trosze dlatego, że nie zależało mu już na oglądaniu „pięknej” bitwy, po trosze zaś ponieważ wbrew sobie go polubił.

Miał go wprowadzić za łajdaka i oszusta, sympatia okazała się jednak nieujarzmionym, niepoddającym się rozsądkowi uczuciem.

Irina zaprotestowała. Wiedzieli już, że trzy nieuzbrojone jednostki, które oderwały się od walczących flot, kierują się prosto na nich. Nie warto było ryzykować, włączając się po korytarzach. Próbowwała to wyperswadować również Włodzimierzowi, pozostał jednak odporny

na jej argumenty.

– Jak planujesz się stąd wy dostać? – spytała zrezygnowana.

– Każdy z tych statków jest zaopatrzony w barki, przy jacie. Pożyćcie sobie jedną.

– Będą na chodzie? Zdaje się, że nie używają ich zbyt często.

– Dokonują przeglądu przy każdym przebudzeniu. A kiedy śpią, my także przyglądamy się im czasem. Najgorsze, czego możemy się obawiać, to że moi niesforni wierni doszczętnie rozkradli z nich sprzęt. – Mrugnął. – To wątpliwe, bo zwykle staramy się nie być tak ostentacyjni.

– Czy wasze statki są zaopatrzone w jakieś systemy ewakuacji?

– A dokąd mielibyśmy uciekać? – Włodzimierz wzruszył ramionami. – Moja droga, owszem, statki są skonstruowane tak, by w razie katastrofy rozdzielić segmenty. Każdy jest do pewnego stopnia samowystarczalny. Ale co z tego, jeśli zginie cała flota? Nie będzie miał kto zbierać rozbitków. Nie, nie, wygląda na to, że wszyscy spotkamy się niedługo przy stole Pańskim. To znaczy my, bo wy, nieszczeni niewierni, będziecie się męczyć w piekle tych waszych bożków.

Znów mrugnął i Pies nie miał pewności, czy żartował, czy rzeczywiście dał się ponieść fanatyzmowi.

Wierny zgodził się przy najmniej na tyle, by utrzymać z nimi łączność, zanim dotrze na miejsce.

Wrota prowadzące do wybranego przez Włodzimierza hangaru okazały się zamknięte.

– Systemy zgłaszają tam nieszczelność kadłuba – przekazał Włodzimierzowi Pies. – Lepiej nie próbuj przebijać się do środka.

– Ta nieszczelność może oznaczać, że mamy desant na pokładzie – przypomniała im Irina. – Wszystkie trzy jednostki powinny już tu być. Niech szlag trafi te przestarzałe systemy! Nic na nich nie widać.

– Nikogo nie spotkałem po drodze – pocieszył ich Włodzimierz. – Ale też mogli iść innym korytarzem. Mamy ich tu trochę. O, do diabła!

6

Nikt nie słuchał nalegań Skorona, by choć jedna osoba pozostała na pokładzie jachtu, podczas gdy on spenetruje wnętrze kolosa, przy którym przy cumowali.

Skorzy stali z wybitej przez kogoś dziury i bezpieczni w kombinezonach wlecieli do wnętrza. Mai

spieszyło się do kochasia, dziennikarz za nic nie przepuściłby okazji zwiedzenia obcego okrętu, a Tessa się uparła, że musi mieć oko na wszystko. Wzdychając ciężko a demonstracyjnie, Skoron uzbroił ich wszystkich, nie zważając nawet na protesty Goryla. Niech sobie wsadzi dziennikarską neutralność! Wojna toczyła się za ich plecami. Tu mogły czyhać na nich choćby znutowane robale z tanich horrorów.

Podczas gdy Goryl biegał po całym hangarze, starając się zarejestrować najmniejszy nawet drobiazg, Skoron z dziewczynami przycupniętymi tuż za jego plecami skierował się do wrót. Pojęcia nie miał, czy będzie w stanie je otworzyć. Równie dobrze mogła to być jakaś obca technologia. W życiu nie widział takich statków – wielkich i niezgrabnych, choć posiadających pewien nieokreślony urok A w środku ciemnych i zimnych. Może trafili na flotyllę ekscentrycznych grobowców jakichś bogatych świrów?

– Wygląda to na prymitywne systemy – zameldował, sprawdzwszy mechanizm zamka. – Skądkolwiek pochodzą te statki, musi to być straszne zadupie.

– Mogą mieć kilkaset lat – przypomniała mu Maja. – Albo i więcej.

– No to miejmy nadzieję, że nie rozsypią się ze starości, zanim je opuścimy. Goryl! Chodźże tu! Musimy szybko przejść przez wrota i zamknąć je po drugiej stronie. Jak rozhermetyzujemy ten segment statku, pewnie odetnie nas od pozostałych! No! To teraz na trzy!

Wyskoczyli w miarę sprawnie, choć dziennikarz upierał się opuszczać hangar na końcu, by nakręcić pozostałych, i zmitrzążył kilka sekund.

Niemal wpadli na faceta w dziwnym, przywodzącym na myśl żebracze lachmany stroju. Gość krzyknął coś niezrozumiale i rzucił się do ucieczki, więc Skoron na wszelki wypadek ruszył za nim. Dopadł uciekiniera i uciszył go jednym ciosem.

– Nie za szybko? – Tessa pochyliła się nad leżącym. – Mogliśmy się czegoś od niego dowiedzieć.

– Jeszcze się dowiemy – mruknął, przeszukując ubranie leżącego. – Szlag by! Sam złom i jakieś śmieci! Nawet broni nie ma!

Szukał na ciele śladów świadczących o tym, że mężczyzna został poddany jakimś modyfikacjom, nie znalazł ich jednak. Jedyne, co wskazywało na to, że miał jakikolwiek kontakt z nowoczesną technologią, to komunikator przypięty na kołnierzu czegoś, co od biedy można było uznać za kurtkę. Przy pominał sprzęt powszechnie używany we Wspólnych Przestrzeniach. Skoron wyłączył go pospiesznie.

– Jacyś nasi tu są. I ten tutaj albo ich okradł, albo z nimi współpracował. Tyle wiemy.

– Możemy go ocucić? – Goryl chętnie porozmawiałby z tubylcem.

– Chcesz, to siedź i cuć. A potem z nim pogadaj. Reszcie pewnie się spieszy!

Dziennikarz ustąpił niechętnie. Skoron wstrzyknął tubylcowi dodatkowo środek odurzający, po

kórym miał się on obudzić dopiero po trzech godzinach. O ile do tej pory statek będzie istniał.

Ledwie po kilku minutach dotarli do rozwidlenia.

– Co to jest? Labirynt? – jęknął Goryl. – Kto buduje takie rzeczy?

Rzeczywiście, nowoczesne statki budowano prosto i możliwie oszczędnie. Nikt nie wpadłby na to, by wypełniać je płataninami korytarzy. Z drugiej strony, nikt już nie robił aż tak dużych statków.

Zbliżając się do statku, spróbowali go przeskanować i stworzyć choć przybliżony jego plan. Rozwidlenia, przed którymi stali, uświadomiły im, jak daremny był to wysiłek. Skoron, nie tracąc czasu, zdał się na los, wskazał przypadkowo wybrany korytarz i ruszył nim, mając nadzieję, że nikt nie spyta go o przyczyny takiej, a nie innej decyzji.

I tak właśnie, prowadzeni przez los, dotarli do Psa i jego towarzyszy szybciej niż kierujący się niedoskonałymi mapami i polujący na siebie nawzajem Beraki Derwan.

7

Pniak pędem opuścił mostek w towarzystwie dwóch kundli Maski. Do czego temu stukniętemu magikowi mógł być potrzebny Pies? Ostatnia nadzieja? Ktoś tu zdecydowanie oszalał.

Inna sprawa, że co on właściwie wiedział o Psie?

Facet dołączył do jego dziesiątki trzy lata wcześniej. Od początku był milczący, jakby psychiatry armii wyłączyli mu część mózgu. Przeszedł jakąś traumę? W dokumentacji, do której dziesiątnik zażądał na wszelki wypadek dostępu, nic nie było na ten temat. Niechętnie skupił się także na materiałach pisanych, a nie tylko kodowanym zapisie, który za pomocą kilkunastu symboli potrafił przedstawić przebieg służby każdego żołnierza. Jako podoficer nauczył się czytać na wojskowym kursie, choć nigdy tego nie polubił. Od śledzenia liter bolały go oczy i głowa. Co gorsza, nawet tam nic nie znalazł. Facet był czysty.

Okazał się dobrym żołnierzem. Miał dryg do radzenia sobie z elektroniką, znakomicie strzelał. Nie komentował rozkazów, nie był przesadnie bezczelny wobec przełożonych i nie częściej niż inni wdawał się w bójki. Do tego bogowie musieli obdarzyć go szczególną intuicją, która nieraz pozwoliła dziesiątce unikać pułapek i zasadzek. Chodzący, niech go cholera, ideał.

Tylko gębę otwierał niechętnie. Może dlatego, że ilekroć to robił, wychodziło na jaw jego lepsze pochodzenie? Choć taki Rachuba wypowiadał trzydzieści słów na jedno Psa, zasób słownika, którym dysponował milkiwy żołnierz, był zdecydowanie większy.

A pewnego dnia Pniak odkrył, że Pies umie czytać! Przyłapał go na ściąganiu z zasobów wojskowej sieci całych ksiązek W dodatku powieści. Pniak czytał dla przyjemności. Pniak miał nadzieję, że to choć jakieś snobistyczne pornosy, Pies jednak go rozczarował – ściągał preininnergetyczne powieści przygodowe i wspomnienia. Ostatecznie dziesiętnik pogodził się z tym dziwactwem, zastanawiając się tylko, jakim cudem coś tak nieprzydatnego trafiło do zbiorów armii.

Pies nie utrzymywał też kontaktu z nikim poza wojskiem. Zapytany, odparł, że nie ma rodziny ani żadnej przyjaciółki. Nie odpowiadało to prawdzie – w dokumentacji Psa Pniak odnalazł jego rodziców. Nie naciskał jednak. Może chłopak pokłócił się z rodziną? Może go wygnano? Legiony Obywatelskie pełne były ludzi obciążonych podobnymi historiami. I jeśli żołnierze nie chcieli opowiadać o sobie, nikt ich do tego nie zmuszał. Chyba że wywiad odkrył coś podejrzanego w życiorysie.

A teraz Maska ogłosił, że Pies może być ich ostatnią nadzieją! Na co?

I nagle Pniak uświadomił sobie, że magikowi od początku mogło chodzić przede wszystkim o Psa.

Że cały ten dziwny spisek, owo tajne porozumienie zawarte między magiem a generalicją i dalej – wysłanie z nim nic nieznaczących żołnierzy – wszystko to prowadziło do ściągnięcia Psa na pokład archaicznego statku. I może Murłatt i jego ludzie, niby to pierwsi wyznaczeni do tej roboty, stanowili kolejną zasłonę i zginęli też tylko dla obecności Psa tutaj?

Wszystko to wydawało się Pniakowi zbyt szalone, ale czy Maska nie był szaleńcem? Czy taka nie była też cała polityka? I wojna?

Aż zatrzymał się na moment. Oparł o ścianę. Bo jeśli tak było, to z tego samego powodu zginęli jego ludzie! Przez Psa!

Potrząsnął głową. Co Pies był winny? Nie odpowiadał za szaleństwo przywódców.

Powinien był biec, spieszyć do Psa, choćby po to, by wyciągnąć go z tego okrętu, nawet i po trupach kundli. Zabrać Psa i tego kawalerzystę, a potem wspólnie z Rachubą uciec na jakiejś barce i wzywając na wszystkich częstotliwościach pomocy, lecieć ku triumfującym, jak się wydawało, okrętom Wspólnych Przestrzeni.

Tyle że w ten sposób zdradziłby Legiony Obywatelskie.

– Jestem tylko prostym dziesiętnikiem! – zawołał.

Odetchnął głęboko i zaczął biec. Wykona rozkaz. Znajdzie Psa. A potem się zobaczy.

Odnalazł ich – Psa, kawalerzystę i Irinę stojących naprzeciw czworga obcych ludzi. Wśród nich rozpoznawał – bogowie! – dziewczynę Rachuby. I jeszcze tego wielkoluda chyba gdzieś widział.

Ale to nie on przyciągał wzrok. To Pies stojący ze spuszczoną głową naprzeciw pięknej kobiety,

kórej postawa i makijaż wydawały się w tej sytuacji jakoś niestosowne. Spod kombinezonu wystawał jej kołnierzyk wyglądający na część niezwykle eleganckiego stroju.

Wszyscy milczeli i tylko ona mówiła coś podniesionym głosem.

Podszedł bliżej, by usłyszeć co. I przerwać to, na wszystkich bogów! Miał zadanie do wykonania!

Tylko jeszcze nie miał pewności jakie.

8

– A więc znalazłaś mnie wreszcie – powiedział Pies, gdy grupa Tessy wypadła na nich z korytarza, którym wcześniej oddalił się Włodzimierz.

Rozpoznał ją natychmiast, choć minęły lata, odkąd się widzieli, a ona tak bardzo zmieniła się przez ten czas.

Pies nigdy jednak nie miał problemu z rozpoznawaniem ludzi. Każdy z nich posiadał charakterystyczną aurę – nie światło widziane wokół ciała, o jakim pisali czasem starożytni preinnergetycy – ale coś znacznie bardziej nieokreślonego, czego nie dało się zobaczyć, ale co można było wyczuć.

Nie padli sobie w ramiona. Stanęli naprzeciw siebie, a wraz z nimi zamarli pozostali.

Nawet Irina wyczuła, że stało się coś nadzwyczajnego, i poniechała ataku. Zresztą obcy nie wyglądali groźnie – wydelikaccona na oko elegantka, drobna dziewczyna Rachuby miotana emocjami, wielkolud, w którym na pierwszy rzut oka można było rozpoznać dziennikarza, i wysoki mężczyzna o twarzy przywodzącej na myśl lisa.

Prawie wszyscy uzbrojeni, ale niegroźni – raczej zaskoczeni.

– To on – odezwał się lisi mężczyzna najniebezpieczniejszy chyba z nich wszystkich.

Elegantka skinęła głową.

– Długo cię szukałam, braciszku – powiedziała łagodnie. – Och, jak długo! Czas, byś wrócił do domu.

– Nie mam domu! – warknął.

Nie słuchała go. Podchodziła bliżej, aż stanęła na wyciągnięcie ręki. Nie odrywała od niego spojrzenia dużych, pięknych oczu, które wydały mu się tak znajome, ale w których pojawiła się siła, jakiej nie rozpoznawał. I mówiła wciąż tym łagodnym, pełnym miłości i tęsknoty głosem, aż

Pies zdał sobie sprawę, że ta kobieta próbuje go zaczarować.

Zamknął oczy i uciekł w to, co zawsze – w litanie swoich wspomnień, które pomagały mu zachować prawdziwego siebie wśród kolejnych zmian tożsamości.

Gdy byli mali – on i Tessa – matka prowadziła ich do świątyni, gdzie słuchali edukacyjnych opowieści uśmiechniętych, miłych kapłanów. Zapalali świece pod ołtarzami Pana Mess, do którego Domu należała ich rodzina. Potem, gdy uciekł i przyłączył się do pary starych rolników, których dzieci dawno już pozakładały własne rodziny, gdy został przez tych dwoje usynowiony, chodził wraz z nimi do świątyni Pana Ougli. Okłamał kapłana, że należy do tego boga. Nikomu nie chciało się sprawdzać jego znamienia innergetycznego. Zapalał posłusznie świece pod posągiem przedstawiającym boga i wysłuchiwał kolejnych pogadanek, choć ten kapłan nie uśmiechał się już tak często. A kiedy jego przybrani rodzice umarli, wyprawili im pogrzeb, na którym nie zjawili się nikt prócz niego i kapłana. A potem uciekł na kolejną planetę, w kolejne fałszywe nazwisko.

– Powinieneś w końcu to przyjąć – usłyszał siostrę przybyłą z legendarnej przeszłości, którą zapewne zapamiętali inaczej.

Przedarła się przez jego bariery może dzięki nowej sile, a może dlatego, że użyła tych samych słów, co przy pożegnaniu? Wtedy, gdy usłyszał, że przenoszą się do nowego domu, do nowego ojca.

Pokręcił głową, zupełnie jak wtedy.

– Braciszku, braciszku! – szepnęła z żalem. – Nie możesz wciąż uciekać. Musisz przyjąć to, co zostawił nam ojciec.

– „Nam” – powtórzył nagle rozzłoszczony. – Nam?

– I we mnie to jest. Poprzez ciebie, poprzez matkę. Nie tak jak w tobie, ale w jakiś sposób też. Wszyscy nosimy tę świętość.

– Skazę, chciałaś powiedzieć.

– Błogosławieństwo.

– Dałaś się omotać, siostrzy czko. Komu? Kapłani ofiarowali ci lepszy kredyt?

– Ranisz mnie, bracie. I nie doceniasz. Siebie, mnie, swojego daru. A także konieczności jego przyjęcia. Wszechświat jest pełen wrogów, niektórzy już tu dotarli. Ty tego nie rozumiesz, prawda? Uciekłeś, nim ktokolwiek zdołał ci wytłumaczyć, czym jest twoje przeznaczenie.

Oczywiście to Irina jako pierwsza dostrzegła Pniaka. Jego przybycie złamało chwiejną równowagę zapewnianą przez dziwną, niepokojącą rozmowę Psa i tej obcej kobiety. Jego siostry?

– Pniak! – zawołała brunetka, tak drobna, że aż wydała się Irinie śmieszna, nieracjonalna. Tak delikatni ludzie nie powinni istnieć, wszechświat nie stanowił bezpiecznego miejsca dla nich.

Brunetka minęła Psa i jego siostrę, a ci nawet jej nie zauważyli, pochłonięci rozmową.

Dopadła Pniaka i rzuciła się na niego. Krzyczała coś o Rachubie, tym cwany kurduplu o oczach pełnych złości. Chytry i złośliwy – Irina nie cierpiała takich ludzi. Nie zdziwiło jej jednak, że ktoś mógł go kochać. Wszechświat był miejscem niebezpiecznym, ale i niezwykłym, pełnym niezrozumiałych dla niej ludzi. Brunetka uderzała drobnymi rączkami o pierś dziesiętnika, a ten nie bronił się zupełnie. Wreszcie objął dziewczynę i przytulił ją, a ona całkiem pokonana tym zwyczajnym, ciepłym gestem, poddała się, rozplakała i wtuliła twarz w jego pierś.

Niespodziewanie Irina poczuła, że zazdrości jej tej chwili. Jakże irracjonalne uczucie!

Olbrzymi mężczyzna otoczony rojem mikrokamer najwyraźniej kręcił materiał. Broń trzymał niezgrabnie, z obawą. Zdaniem Iriny nie stanowił zagrożenia. Za to ten drugi, niższy, cały czas jakby przy czajony do skoku, mógł okazać się niebezpieczny.

Miała co do niego złe przeczucia. Dałaby głowę, że jest napakowany systemami wspomagającymi. Słabszymi naturalnie od jej przystosowania bojowego – słudzy bogów podlegali wszaktylu niepotrzebnym ograniczeniom. Musiała jednak mieć go na oku.

Ustawiła się tak, by móc obserwować jednocześnie jego i Psa z siostrą.

A oni mówili o tak dziwnych rzeczach! Właściwie głównie ona mówiła, nieprzyjemnie spokojnym, dalekim od szczerości głosem.

Irina wyczuła zagrożenie w jej sposobie prowadzenia rozmowy. Maska przygotował ich na istnienie ludzi, którzy potrafią oczarowywać innych gestami, zachowaniem i głosem. Kobieta najwyraźniej przeszła szkolenie w tym zakresie. Ku zaskoczeniu Iriny Pies potrafił się przed tym obronić. Odpowiedział coś, czego nie dosłyszała.

Siostra Psa nie rezygnowała. Opowiadała o kimś, kto był jego ojcem i pozostawił mu – jak rozumiała Irina – wspaniałe dziedzictwo, na które Pies nie miał najmniejszej ochoty. Im bardziej Pies się bronił, tym bardziej jego siostra nalegała. Kusila, prosiła, by pomyślał także o niej, z którą mógłby dzielić niezrozumiałą dla Iriny chwałę.

Instykt podpowiadał Irinie, że niebezpieczeństwo rośnie.

Połączył się z nią Maska. Był wściekły.

– Przyrowadź mi natychmiast Psa! Wysłałem Pniaka, ale...

– Obaj są tutaj.

– Macie natychmiast dołączyć do nas na mostku!

– Coś się stało.

– Co?

Irina opowiedziała mu o przybyszach. I o kobiecie – siostrze Psa. Reakcja Maski nią wstrząsnęła.

– Natychmiast ją zabij! – wrzasnął. – I wszystkich, którzy przybyli wraz z nią!

Słowa Tessy napływały do umysłu Psa i burzyły jego spokój. To, o czym mówiła, tylko częściowo stanowiło dla niego niespodziankę. Odkrył, że nie tyle poznaje nowe informacje, ile je sobie przypomina, a właściwie nadaje im nazwy. Do tej pory istniały w postaci przecucia, irracjonalnego lęku popychającego go do kolejnych ucieczek. Teraz nabierały kształtów, a im robiły się wyraźniejsze, tym bardziej się ich bał. Obejrzał się na Irinę, szukając pomocy w samej jej obecności. Ona jednak przyglądała mu się zmieszana i chyba – tak! – przestraszona. Co się dzieje? Czy odbierała jakieś wiadomości od Maski? Czy okręty Wspólnych Przestrzeni już w nich wystrzeliły? Ile w takim razie pozostało im życia?

Ile by to było, nie chciał go marnować.

Nie na jakieś szalone marzenia o wszechwładzy i obalaniu ładu wszechświata.

By wają chwilę, kiedy nie pozostaje nic poza ucieczką.

Skoron wiedział o tym aż nazbyt dobrze. I nie podobało mu się ogarniające go coraz mocniej przecucie, że jedna z nich właśnie zbliża się w szaleńczym tempie. A jeszcze bardziej mu się nie podobało, że nie ma dołąć uciekać.

Poniekąd mógł uważać sprawę za zakończoną. Tessa znalazła brata, prawda? Powinien wprawdzie nawiązać teraz kontakt ze zleceniodawcami, których porzucił, jednak to uniemożliwiła mu blokada nałożona przez floty. Cholerna wojna domowa dostarczyła mu alibi!

Mógłby się więc po prostu odwrócić, wsiąść na jacht i pozostawić całą tę zgraję wycelowanym w nich rakietom i działom. Byłaby to kradzież, wątpił jednak, by Tessa zdołała kiedykolwiek ją zgłosić. Chyba że uparłaby się ścigać go po śmierci, po tym jak dziesiątki, jeśli nie setki pocisków rozbiłyby ją i brata na atomy wraz z resztą statków archaicznej floty.

Szybko zrozumiał, że nic by mu to nie dało. Załogom okrętów zostaną najpewniej wyczyszczone wspomnienia, ale jego – nic nieznaczącego łapsa – po prostu się zabije. Czy zostanie na pokładzie statków skazanych na śmierć, czy będzie uciekał kradzionym jachtem.

Tutaj przynajmniej mógł się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodziło.

Po śmierci cholerni bogowie pewnie ukryją wszystko w imię zachowania ładu.

– Nie – powiedział Pies.

– Dość tego! Ucieknij ze mną! Tutaj wszyscy zginiemy!

Pies się zawahał. I zaraz pokręcił głową. Co za głupiec!

I wtedy Tessa, kompletnie zaskakując tym Skorona, uniosła broń, którą sam jej dał, gdy opuszczali jacht. Zrozumiał, co się stanie, i ruszył w jej kierunku. A właściwie – chciał ruszyć. Ciało nie posłuchało jednak impulsu wysłanego przez mózg.

Zhakowała mnie! – zrozumiał wstrząśnięty. Wtedy w innoświecie!

Irina także spostrzegła, co się dzieje. Ciało Skorona, kierowane teraz wolą Tessy, skoczyło ku kundlicy.

Pniak krzyknął i odepchnął Maję. Kostek był szybszy, ale nawet on nie zdążył.

Przez chwilę się wydawało, że Pies nawet nie poczuł pierwszego strzału. Ułamek sekundy, dwa, całą sekundę stał w miejscu. Otwierał usta, by jeszcze coś powiedzieć. I nagle buchnęła z nich krew. Pochylił się.

– Nie dopuszczę do tego – powiedziała Tessa tak spokojnie, że aż przeraziła Skorona. I strzeliła jeszcze raz. I ponownie.

Irina uniknęła ataku Skorona. Nawet gdyby się kontrolował, nie miałby z nią szans. A wiedziony przez Tessę działał wolniej.

Tessa strzeliła do Psa jeszcze raz, tym razem w głowę. Jej pistolet nie miał zbyt wielkiego kalibru – Skoron się bał, że mniej wprawni strzelcy mogliby podziurawić starożytne kadłuby, gdyby zaopatrzył ich w coś solidniejszego – nie dokonywała więc widowiskowych zniszczeń. W niczym nie umniejszało to jednak jej skuteczności na tak krótki dystans.

Wyczuła Irinę, a może widziała ją oczami Skorona. Odwróciła się z szybkością, o jaką nie podejrzewały jej ani on, ani żaden z kundli. Strzeliła raz jeszcze, a gdy Irina dopadła jej samą siłą rozpędu, uderzyła ją pistoletem w głowę, zdążyła się jeszcze odchylić i chwytem, jakiego na pewno nie nauczono jej na dworze, przerzuciła potężną żołnierkę.

Teraz zajęła się kawalerzystą. Musiała odskoczyć, bo już prawie ją miał. Jego pięść minęła ją o włos, jego zabójczy kopniak przeciął powietrze w miejscu, z którego nie zdołałby wycofać się żaden normalny człowiek. Tessa strzeliła do kawalerzysty, ale na nim wydawało się to nie robić wrażenia. Obrócił się błyskawicznie, by wyprowadzić kolejne ciosy. Udało mu się tylko podbić uzbrojoną rękę dziewczyny i kolejna wystrzelona kula uderzyła w sufit. Tessa odskoczyła, nim dosięgły jej kolejne ciosy.

Skoron, stawiając rozpaczliwy opór własnemu ciału, zbliżał się do Iriny podnoszącej się z podłogi. Zaczynała nad sobą panować. Słumiła gniew i żal i zamiast starać się rozszarpać Tessę własny mi rękoma, sięgnęła po pistolet przy pasie.

Kostek, krzycząc, rzucił się na Tessę z szybkością przekraczającą możliwości zwykłego

człowieka. Jego kombinezon, który przyniosły mu kundle, zgrał się z nosicielem i wspólnie z jego ciałem tańczył walkę.

Tessa zabiła go z bolesną, okrutną niedbałością. Prawie nie poświęciła temu uwagi, posyłając trzy kule prosto w czoło kawalerzysty. Uchyliła się przed rozpędzonym jeszcze umiერającym ciałem, którego nie mogły uratować nawet starania kombinezonu. Jeszcze grały impulsy nerwowe pobudzone rozpacziwą reanimacją jedynego prawdziwego brata, jakiego Kostek kiedykolwiek kochał. Ale stygły już i stygło serce, i stygł mózg, a kombinezon zaczynał to rozumieć.

Pniak biegł na pomoc kawalerzyście. Skoron zastąpił mu drogę.

Starając się odzyskać władzę nad ciałem, generując sekwencje kodów alarmowych, poszukując gorączkowo protokołów, które pomogłyby mu się wyzwolić, uderzył żołnierza. Pniak uchylił się w ostatniej chwili, zwrócił ku napastnikowi. Wtedy Skoron wykrzyczał hasło, jakie otrzymał dawno temu od Szczurzego Zada, a jednocześnie rzucił się na zaskoczonego dziesiętnika, obalając go na podłogę.

Za nimi krzyczał Goryl i umierała Irina. Nawet przetworzenie i wyszkolenie kundli nie mogło uczynić z niej przeciwnika równego Tessie, w której ciele Kapituła Służby zgromadziła doświadczenie pokoleń agentów. Wytrzymałość i refleks specjalnych żołnierzy starły się z kimś, komu odebrano człowieczeństwo, w zamian za to oferując bogactwo katalogów Służby. Nawet nosiciele woli nie dysponowali tak bogatym doświadczeniem i tak przetworzonym ciałem. Tessa stanowiła eksperyment, prototyp nowego modelu agentów. Za zgodą cesarza złamano wszelkie ustalenia z bogami, przekroczono granice, o jakich nie wolno było nawet śnić.

Irina zdołała oddać tylko jeden strzał, nim Tessa ją dopadła. Nie rozpoczął się epicki pojedynek – wystarczył jeden cios produktu Kapituły, by produkt Maski osunął się martwy na ziemię.

I nagle było po wszystkim. Przygniatany przez Skrona Pniak zamarł po tym pokazie potęgi. Maja, szlochając, podnosiła się z podłogi. Goryl nadal krzyczał bez słów, nie przestając jednak filmować wszystkiego.

Tessa uśmiechnęła się do nich wszystkich i mrugnęła do wstrząśniętego, wciąż związanego jej wolą Skrona. Nie wiedział, czy odruchowo, czy wyrachowanie poprawiła fryzurę.

Pierwsza kula trafiła ją pod obojczyk. Druga strzaskała lewe kolano. Trzecia uderzyła w tył głowy, nadwerężając wzmocnienia czaszki. Czwarta chybiła kręgosłupa, bo Tessa obracała się już ku strzelcowi. Jej mimika nie nadążała za systemami obronnymi. Wciąż się uśmiechała, gdy jej ciało już rozpędzało się ku napastnikowi, już komponowało sekwencje zabójczych ciosów, już układało się w drapieźną formę. Jakby wszystkie pociski, które przyjęła, wcale jej nie zaszkodziły.

Ten, kto ją zaatakował, kompletnie nieznanego mężczyzna, nie cofnął się przed nią. Spokojnie strzelał – dwa razy w prawą nogę, potem trzy w pierś i jeszcze trzy razy w głowę.

Dopadła go, nim oddał kolejny strzał. Podbiła uzbrojoną rękę i wyprowadziła własny cios.

Nie była już ani tak sprawna, ani szybka jak przed chwilą. Umierała.

Mężczyzna z łatwością uniknął jej ataku i wyprowadził kontrę, która odrzuciła ją i powaliła. Próbowwała wstać, a wtedy on znów zaczął do niej strzelać. Krzyknęła. Nie poddawała się. A on strzelał i strzelał, metodycznie, spokojnie. Znalazł czas, by zmienić magazynkę, choć musiał się cofnąć, gdy zaczęła pełznąć w jego kierunku. Skowyczała i warczała na przemian.

Skoron zorientował się, że woła go na pomoc. I dopiero wtedy spostrzegł, że jest znów wolny. Kimkolwiek był napastnik, uszkodził systemy odpowiedzialne za kontrolowanie detektywa.

Wstał, ale nie ruszył z pomocą Tessie. Złościło go, że wciąż czuje się zobowiązany wobec niej, gryzło go paskudne poczucie łamanej lojalności. Nie wiedział jednak, co by z nim zrobiła, gdyby wygrała. I wciąż był na nią wściekły za chwilową niewolę.

Zresztą nie było już dla niej nadziei, pocieszał się.

Część trzecia

Rozdział 28

1

Wszystkie minęły. I już ich nie ma. Tylko moje wyobrażenia. Jakbym nigdy nie istniał tak naprawdę. Jakby istniały tylko opowieści snute przez obecnego mnie na temat jakiejś postaci z baśni, z legend.

Co łączy mnie z tym chłopcem biegnącym przez łąkę ku stojącej na niej świątyni, gdzie kapłan rozdawał po nabożeństwie ciastka w kształcie zwierząt? Chłopiec biegł nie dla tych ciastek, ale dla widoku Joali, która tego dnia miała po raz pierwszy zaśpiewać w chórze. Piękna, starsza o trzy lata dziewczyna nawet mnie nie zauważała. Ale widziałem ją każdego dnia w szkole i rankiem, gdy otwierałem oczy, i wieczorem, gdy je zamykałem, i chciałem zobaczyć, utrwalić w pamięci tę chwilę, gdy promieniejąc, otworzy usta, by po raz pierwszy zaśpiewać hymn wraz z innymi kobietami z chóru.

Ja? Naprawdę ja? Nawet nie pamiętam, jak wyglądała. Jedyne ten bieg i towarzyszącą mu radość pamiętam.

Cudze słowa, pochodzące z jednej z tysięcy przeczytanych książek przyniosły Psu ukojenie.

Tym razem było w nich coś więcej. Przebudziły go. Niesiony nimi przypomniał sobie siebie jako chłopca. Pozbawiony ojca, wychowywany przez matkę obserwował, jak rozkwitała pod spojrzeniem nowego mężczyzny. Nie była byle kim – wdowa po oficerze Legionów Obywatelskich mogła liczyć na przyzwoite życie. Potrzebowała w nim jednak nieco radości, a tę

przyniósł jej tamten obcy. Kim był? Kimś znacznym niewątpliwie, ale to okazało się później, gdy i matka umarła, a mężczyzna przysłał służę po swoją nieślubną córkę i jej brata.

Uciekał, jak całe życie potem uciekał, jak kazało mu coś więcej niż tylko intuicja. Dar, który odrzucał, o którym starał się zapomnieć, ale któremu ufał.

Udało mu się wreszcie oszukać samego siebie, wytłumaczyć wspomnienia, wmówić sobie, że to instynkt, druga natura skazała go na los tułacza.

„Myślę, że wasz syn ma zdolności innergetyczne – oznajmił kapłan jego przybranym rodzicom. – Mógłby zostać kapłanem”.

Przybrany ojciec roześmiał się tylko. Ogień w oczach chłopca stanowił wystarczającą odpowiedź.

„On, kapłanem? – zawołała ze śmiechem przybrana matka. – To płomień nie dziecko! Rozniósłby wam świątynię na strzępy!”

„Świątynia potrafi temperować charakter”. – Głos kapłana był pełen spokoju, a uśmiech łagodności, ale chłopiec odruchowo zacisnął pięści.

Czujny przybrany ojciec oparł mu ręce na ramionach.

„Nikt nie będzie temperował charakteru mojego syna – oznajmił stanowczo. – Pozostanie sobą”.

Sobą? Co to znaczy: „pozostać sobą”, gdy jest się tylko mieszaniną wspomnień w krainie śmierci i ciemności?

Uświadomił sobie, że może otworzyć oczy.

Wahał się przez chwilę, ale wreszcie ciekawość zwyciężyła.

A wtedy zobaczył wokół siebie jasność. I tłum ludzi.

I bogów.

2

Bogowie spływali na swoich nosicieli, a ci otwierali się na nich z radością i szczęściem malującymi się na twarzach. Wokół kapłani śpiewali hymny.

– Oto prawdziwe Otwarcie! – zawołał z triumfem kardynał. – Przybyli bogowie! Kimże wobec nich jesteśmy, ojczy Janie?

Innergetyk wzruszył ramionami.

– Bogowie – mruknął. – Kim są wobec nas?

Ledwie bogowie oswajali się z formami swoich nosicieli, ledwie zapisywali się na nich, nie naruszając zarazem swoistości ich struktur, ich spojrzenia kierowały się ku Panu Ton ukrytemu w innergetycznym ciele generała Sargassa, na którego obecność przystał Pan Ougli.

Bogowie nie spodziewali się go tu zastać.

To, co pozostawało ukryte przed spojrzeniami ludzi, nie mogło umknąć bogom, gdy już zadali sobie trud popatrzenia na Sargassa. Ruszyli ku niemu.

Ponieważ stał w pobliżu mównicy, kardynał sądził, że to w jego kierunku zmierzają. Rozłożył ramiona i witał ich śpiewem, jakąś specjalnie na tę okazję przygotowaną pieśnią. Nie zapanował nad sobą i rzucił Janowi triumfujące spojrzenie. Zwycięski uśmiech ozdobił mu twarz. Im bliżej jednak podchodzili bogowie, tym bardziej się orientował, że coś jest nie tak. A gdy pierwsi z nich go minęli, by – jak mu się zdawało – zmierzać ku Janowi, pobladł i przerwał pieśń.

Teraz nie zapanował nad sobą Jan i to on się uśmiechnął.

Z wysokości swojej łoży spoglądał na nich Majestat, nieświadom wzburzenia bogów. Czasem przebywał w nim obecny cesarz, czasem kipiał tłum jego umarłych poprzedników. Żywego nie interesowało tak naprawdę, co działo się na Otwarcium, martwi nie pojmowali go w pełni, walcząc o dominację. Bogowie i kapłani dostrzegali to zamieszanie, starali się jednak je ignorować.

Pan Ougli przyjął rolę gospodarza. Biło od niego oburzenie na postępek Pana Ton, który posunął się do zbrodni skłania cudzego wyznawcy.

– Nie tak – przemówił bóg ustami Sargassa. – Jak ludzie.

Pan Ougli nie chciał się na to zgodzić. Jeszcze potężniejsze emocje spadły na zebranych.

Zbuntowany bóg nie ustępował. Cały czas posługując się zapożyczonym ludzkim językiem, oznajmił, że Świątynia należy do wszystkich, a jej Otwarcie wykracza poza wszelkie nowe prawa. Tym samym nie obowiązuje go areszt nałożony przez bogów. Kpiąco napomniał Pana Ougli, by nie wcielał się w gospodarza Świątyni, ta bowiem nie należy do nikogo.

Oburzenie Pana Ougli nie miało granic. Wydawało się, że podziela je większość bogów.

Pana Ton nie pozostawiono jednak samego.

– Jak ludzie – oświadczyła Pani Tsi'Tsilli ustami Karii Tokodes, stając pomiędzy nosicielami obu bogów. – Oto zasady Otwarcia.

– Ograniczenia zasad. Ograniczenia samych siebie – odpowiedział po chwili Pan Ougli ustami jednego z biskupów. – Rozpoznanie ograniczeń. Ja jestem ograniczeniem siebie i nie ma ograniczeń dla mnie poza mną. Nie we mnie. A ów zakrada się jak szpieg, zakrada się we mnie, w przebraniu zastygłowca. Rani mnie, podtruwa. Budzi bunt w moim Domu. Ten, którego więzimy, łamie wszelkie zasady, ucieka ograniczeniom. Dlaczego ja mam im podlegać?

– Bo nie jesteś nim?

– Człowiek dostrzega twój uśmiech, bóg widzi twoje samoograniczenie, Tsi'Tsilli. Jak bardzo stajesz się tym, który cię niesie?

– Bogowie! – wtrącił się Jan. – Jesteście w Świątyni! To nie jest Dom Pana Ougli ani żadnego z was. Tu obowiązują inne zasady.

– Świątynia Domem nas wszystkich – odparł Pan Ougli. – My ją budujemy. Częścią mnie i częścią Tsi'Tsilli, i częścią każdego innego z przebudzonych.

– Zatem część Pana Ton także?

– Zamilcz wreszcie, krętażu! – zawołał z wysokości mównicy kardynał.

Po minie nosiciela Pana Ougli można było poznać, że bóg zgadza się ze swym najbardziej oddanym sługą.

– Ogłosiłem Otwarcie Świątyni! – odpowiedział mu Jan. – Wy, bogowie, i my, ludzie, znaleźliśmy się w impasie, na który solidnie sobie zapracowaliśmy. Degenerujemy się, zamiast rozwijać! Mieliśmy rozbudowywać kontakt, a zamiast tego wnosimy oparte na ułudach getta. Wszyscy sami się oszukujemy.

– Potrzeba zmian? – Nosiciel Pana Ougli podszedł do Jana. – Oto zmiany!

Ukazał im Oruzon, na którego polach Oruzonowie zwarli się ze sobą.

– Oto skażenie Pana Ton – oznajmił Pan Ougli. – Oto skażenie zmian, skażenie niestałości. Oto skażenie człowieczeństwem.

– Twoje skażenie to coś, czego pragnęliśmy od początku – powiedział ktoś, kogo wcześniej nie dostrzegli. Przemówił głosem cichym, a zarazem tak potężnym, że przebił się przez gwar Świątyni.

Bogowie i ludzie obrócili się ku mówiącemu i zobaczyli żołnierza w poszarpanym, zakrwawionym mundurze. Chwiał się na nogach. Jego twarz szpeciły straszliwe rany – ktoś strzelał do niego z bliska.

– Kim jesteś? – zapytał kardynał, gdy zorientował się, że żaden z bogów nie zamierza zabrać głosu.

Ponieważ nie należał swego czasu do bożych treserów, nie zauważył tego, co natychmiast dostrzegł Jan.

Jak bardzo zatrwożyło bogów pojawienie się przybyśza przebranego za konającego żołnierza.

To lament – niespodziewana myśl należała i nie należała do Psa. Oczyszczył cię i poprowadził ku Panu. Ku tobie.

Wyczuł innego w sobie i poczuł wściekłość. To, przed czym uciekał przez całe życie, dopadło go po śmierci. Spodziewał się tego, ale nie tak szybko!

Najbardziej go gniewało, że ten drugi nie był nawet obcy. Przeciwnie – promieniał wręcz swojskością i to swojskością niedostępną Psu za życia.

– Odejdź.

Najpierw otworzę cię na świat. I nie bój się, jestem tylko cieniem, informacją czekającą na hasło otwierające dostęp do niej. Ty jesteś hasłem.

Nie wierzył mu, ale pozostawał niemal bezwolny. Cóż mógł zrobić bez ciała, uwięziony w pustce, niepewny nawet formy własnego istnienia?

Ale czy miał tak trwać w pustce bez nadziei na zmianę? Stał pomiędzy bogami i ludźmi, a jednocześnie unosił się w świecie bez doznań. Tamten powiedział coś poprzez niego i teraz wszyscy zamarli. Jakiś zmarły napęczniały od pychy pytał go o coś. Pies rozumiał pytanie, ale nie miał pewności, jak na nie odpowiedzieć.

Czy tak miało być już zawsze?

Raj, niech to szlag. Nawet w raju od razu wpałował się w środek jakiejś awantury.

O, ta myśl na pewno należała do niego.

Zaryzykował. Otworzył się na innego.

I zaczęła krzyczeć, gdy cały wszechświat wlał się w niego wraz ze wszystkimi swoimi brakami i tęsknotami.

Rozdział 29

1

Ich chwilowi sprzymierzeńcy ze zbuntowanej floty Wspólnych Przestrzeni przegrywali doszczętnie. Może poradziliby sobie z dwiema flotami, ale nie z czterema. Przekłęci bogowie! I takim pokazał ten purytański admirał. Dobrze by było mieć takiego u siebie.

„Wynośmy się stąd, Tygrysko!” – sygnał Terella przebił się do Olgi poprzez bitewną euforię załogi przenikającą kadłub całego *Shere-Khana*. Uważnie dobierała swoich ludzi. Dla takich właśnie chwil żyli. „Niczego tu już nie dokonamy!”

Ech, Jurgo, jak zawsze taki ostrożny, taki rozsądny!

Miał jednak rację. Już tylko pojedyncze ścigacze buntowników kontynuowały beznadziejną walkę. Potrząskane kadłuby dużych okrętów dryfowały martwe w przestrzeni. Nieliczne, ciężko ranne niedobitki, sparaliżowane, mogły tylko obserwować bezsilnie, jak floty Wspólnych Przestrzeni organizowały pułapkę na ostatniego z walczących – *Swarożyca* i jak oddały mu ostatni hold.

Przyglądając się, jak kłona, poczuła coś, czego nie czuła już dawno. Może od czasu pierwszego rajdu? A może od chwili, gdy Ludwik, którego świat znał pod imieniem Szkarłatnej Maski, przyszedł do niej, by opowiedzieć jej, jak naprawdę zginęła jej siostra?

– Mówiłam jej, żeby z tobą nie leciała – powiedziała wtedy, zbyt wściekła, by płakać. – A ty nic nie zrobiłeś?

– Byłyby dwa trupy – odparł. Może kłamał, może nie. – Dwa trupy i nikt, kto zdołałby ich

powstrzymać.

– Prawdziwy z siebie bohater – prychnęła.

– Ja? – Uśmiechnął się smutno. – Ja nie. Ja to wszystko robię i będę robił ze strachu. Dlatego ty musisz być silna.

I była, niech to szlag. Czy nie przyleciała tutaj?

Wszystkie okręty wroga skierowały się ku bezbronnej flocie. Mogły po prostu przeskoczyć do niej przez innoświat, wypaść na nią z rzeczywistości, do której archaiczne statki nie miały dostępu, ale dowodzący flotami chciał najwyraźniej załatwić to pokazowo. A może dowodził nimi sadysta delektujący się tą chwilą?

„Uwaga, Samodzielna Flota Tygrysa – nadała. – Zwalniam wszystkich. Rozproszyc się i działać wedle własnej woli. Nie damy im rady, nie wypełnimy warunków kontraktu. Przekażę to naszemu zleceniodawcy Przykro mi, dzieciaki. Zrobiliście, co mogliście”.

„Ty durna kocico! – nadał Terell, szyfrując przekaz tak, by inni nie mogli go odczytać. Olgę rozbawiło, ale i ujęło to, że użył zmodyfikowanego szyfru z ich pierwszej wspólnej akcji. – Znam cię! Zamierzasz tu zostać!”

Autonomiczne systemy jej mózgu już współtętały z okrętem nowy kurs. Poczciwy *Shere-Khan* jakby rwał się do walki. Zasilany mocami obliczeniowymi mózgowi załogi komputer wyznaczał najbardziej szalone koordynaty ataków. Chwilę zajęło jej zrozumienie, że wszystkim udzieliły się jej wzruszenie i szaleństwo. Czuła się, jakby miała zrobić psikusa komuś niewymownie potężnemu. Pacnąć w nos olbrzyma.

Być może tak właśnie było.

„Wynoś się stąd, Jurgo”.

„Ani myślę zostawać, ty sentymentalna świrusko!”

Odebrała pożegnania od dowódców okrętów, a potem w jednej chwili wszyscy zniknęli. Została sama naprzeciw poszarpanych, bo poszarpanych, ale czterech flot Wspólnych Przestrzeni.

Cały okręt zaniósł się jej śmiechem, nim zniknął w innoświecie, by niemal natychmiast wyskoczyć pomiędzy okrętami tamtych, zdumionymi i zaskoczonymi.

Miała nadzieję, że choć jedna salwa dosięgnie ich okrętów, że zada im straty, które docenią. I że jej także w końcu oddadzą hołd, nawet jeśli nie była im równie bliska jak tamten, którego zabili.

No to patrz, Fiolka, w jakimkolwiek niebie jesteś, mam nadzieję, że patrzysz.

To za ciebie, siostra.

Głupcy! Wszystko to głupcy!

Maska gnał ku hangarowi, przy którym przycumowała barka. Gdy tylko odebrał sygnał o śmierci Iriny, zorientował się, że nowy przeciwnik musiał pojawić się na pokładzie. Nie miał już czasu na przekonywanie pasterzy. Czy i Pies zginął wraz z Iriną? Czy przegrał i tu? Ileż planów runęło!

Czy to tamci? Derwan i Sven? Ktoś inny? Popy chadła tego durnia, Auberta, którym kręcili, jak chcieli? Agent cesarza?

Pamiętał, jak stał, jeszcze z całą trójką, na pokładzie znalezionej okrętu i ze zdumieniem przysłuchiwał się ich rozmowie. Tak łatwo podejmowali decyzję o zabiciu – nazwali je „usunięciem” – Fiolki i poświęceniem kóregoś z nich, gdy osiadzie we Wspólnych Przestrzeniach, nawróci się i na tyle wzbogaci kredyt, by zyskać znaczne możliwości po śmierci.

Zastanawiał się, czy zostali opętani. Jeśli tak, to czemu sam nie czuł żadnego demona kierującego nim z duszy?

A może też został opętany? Nie zaprotestował przecież.

Otoczony kundlami wbiegł na pobjowisko. Ten żołnierz, Pniak, pochylał się nad ciałem Psa, a jakiś obcy nad ciałem nieznanego magowi kobiety. Za nimi stały jeszcze dwie nieznanne osoby, kobieta i mężczyzna. Irina i kawalerzysta nie żyli.

Nie Derwan i nie Sven. Kim mogła być ta kobieta, która zabiła Irinę?

Maska dysponował stałym połączeniem z każdym z kundli. Rejestrował każdą ich śmierć, sam nie wiedział, czy w geście solidarności wobec nich, czy jako pokutę za to, co im zrobił. Na własny użytek tłumaczył sobie, że takie połączenie jest użyteczne podczas bitwy.

– Goryl! – zawołał towarzyszący mu Kaler Bahnian, reporter, którego Pniak uparł się zabrać. – Co ty tu robisz?

Nazwany „Gorylem” olbrzymi, siwiejący mężczyzna milczał, wyraźnie zaskoczony.

– K-kaler? – odezwał się wreszcie. – Ty t-tut-taj?

– Pniak! – Maska dopadł dziesiętnika. – Co tu się stało, człowieku?

– Jego niech pan pyta. – Pniak wskazał mężczyznę pochylonego nad ciałem nieznanego kobiety.

– Przyszli tu z Mają, tą dziewczyną, i zaczęła się jatka. Ta blondynka rozniosła pańską Irinę i naszego kawalerzystę. I Psa. A potem pojawił się jeszcze jeden facet, zabił ją i pognał dalej. A na koniec przyleciał następny, zapytał o tamtego i ruszył za nim. Cyrk. Tylko jakiś mało śmieszny.

– Zabierzcie ciała – polecił kundlom Maska.

Oslaniany przez Soruza zbliżył się do wskazanego przez Pniaka mężczyzny.

– Nie wiem, kim pan jest i co tu robi, ale pan i pańscy ludzie leccie ze mną. Wyjaśnimy wszystko po drodze.

– Właściwie jestem bezrobotny – odparł Skoron.

Podchodząc bliżej, Maska zorientował się, że mężczyzna tkwi przy kobiecie, by podłączyć się do jej systemów. Majstrował coś przy nich. Mag kazał mu natychmiast przestać. Musiał wiedzieć wszystko o tej kobiecie, która pokonała jego Irinę!

– Zabieram się i lecę – powiedział Skoron, przypatrując się, jak kundle podnoszą ciało Tessy. – Zawsze byłem neutralny, panie... oficerze. Wasza wojna mnie nie interesuje.

– Nasza wojna zaraz rozwali te statki w drobny mak. Zabiera się pan z nami albo ginie tutaj. Decyzję zostawiam panu.

Wywołał Sylwiana.

– Masz tego Włodzimierza?

„Poharatany, ale żywy”.

– Bierz go na barkę. Jak najszybciej. Zaraz nas dopadną.

Nie wiedział, czy przywódca wiernych będzie mu jeszcze potrzebny. Gdyby jednak choć jeden ich statek jakimś cudem ocalał, Włodzimierz mógłby nadal stanowić atut. A w obecnej sytuacji Maska nie miał ochoty rezygnować z żadnej, nawet najmniejszej przewagi.

Pasterze pogodzili się już ze śmiercią, choć załogi ich okrętów dysponujących jakimkolwiek uzbrojeniem gotowe były walczyć. Włodzimierz przynajmniej dysponował wolą życia. Jeśli ocaleje, będzie mógł reprezentować zniszczoną flotę i domagać się od Wspólnych Przestrzeni odszkodowania.

3

Dwaj mężczyźni, w tej konkretnej chwili bardziej maszyny wojenne niż ludzie, o krok od wyćnięcia, stali naprzeciwko siebie.

Gdyby żyli zgodnie z nakazami katechizmów, któryś z nich już padłby martwy. Ale jedyne, co zostało w nich z człowieczeństwa na czas walki, to zacięta nienawiść jednego i rozkoszowanie się walką, o jakiej marzył, drugiego.

Ich plumyśły pracowały na pełnych obrotach. Aktualizując pozyskiwane podczas wymiany

ciosów dane o przeciwniku, obliczały prawdopodobieństwo ataków, odpierały wirusowe szturm i przeprowadzały własne. Sterowały organizmami, dbając o ich chemiczną równowagę i pompując z pseudogruzołów produkowane w nich syntetyki maksymalizujące refleks, zwiększające siłę ciosów i odporność na ból. Nanity wspomagały naturalne układy tam, gdzie walczący odnosili rany, ale i poprzez powierzchnię skóry próbowały przypuścić inwazję do organizmu przeciwnika i go zainfekować.

A wszystko to pomiędzy kolejnymi błyskawicznymi wymianami ciosów, zbyt szybkimi dla ludzkich oczu, na pozór szalonymi i pełnymi furii. Ci dwaj wiedzieli, że w walce nie ma nic spontanicznego, że to nauka ścisła. Jeden starał się więc panować nad żądzą zemsty, a drugi nie dać się ponieść radości.

To tylko narzędzie, pamiętał Berak. Zgodziłby się może nawet pozostawić go przy życiu – na jakiś czas – gdyby przeciwnik doprowadził go do swoich mocodawców. Ale tamten musiał być szalony! Zdawał się czerpać radość z walki, a nawet traktować ją jak zabawę. Agent nie mógł nie doceniać umiejętności zabójcy, miał przy tym nadzieję, że szaleństwo sprowadzi na tamtego zgubę.

Unióśł dłoń, gdy odskoczyli od siebie. Potrzebował czasu, by zapanować nad zniszczeniami, jakie sprowadziło nań potężne kopnięcie w udo, którego nie zdołał powstrzymać.

Oparł się na prawej nodze, by choć trochę odciążyc lewą. Ryzyko prawdopodobnie się opłacało – uszkodzenia w udzie stanowiły cenę za unieruchomienie prawej ręki tamtego. Zwiśla teraz bezwładnie wzdłuż ciała i Berak wiedział, że przeciwnik zgodzi się na krótką przerwę, by samemu ocenić i starać się naprawić uszkodzenia.

– To niepotrzebne – powiedział. – Chcę tylko wiedzieć, kto cię wynajął.

Derwan uśmiechnął się w odpowiedzi. Niepotrzebne! Cóż za ślepiec z tego agenta! Ograniczany szkoleniem Służby przegapiał w walce to, co w niej najważniejsze. Cholerni niewolnicy nie potrafili cieszyć się życiem.

Między innymi dlatego wybrał niezależność tam, na statku znalezionym lata wcześniej w przestrzeni. Choć wychował się poza Cesarstwem i był nauczony nie ufać istotom, jakie naiwniacy nazywali bogami, bał się przecież śmierci. Sądził, że kiedyś zdecyduje się wreszcie na implementację duszy. Chciał jednak wejść do raju na własnych warunkach. Do tego potrzebował majątku.

Dlatego zgodził się na udział w szalonej wyprawie Ludwika.

To, co znaleźli, związało go w końcu z bogiem, ale też dało wolność, jakiej nie otrzymałby we Wspólnych Przestrzeniach.

Nikt nie majstrował mu w systemach i nie profilował wedle rozporządzeń urzędników znających wprowadzić schematy wyprowadzania ciosów, samą walkę oglądających jednak co

najwyżej w epopejach albo zasyłających ją w programach nasenny ch.

Nie był jednak nierozsądny, a w każdym razie nie uważał się za takiego. Zdawał sobie sprawę, że naokoło nich trwa bitwa. I że strona, do której należał statek, gdzie się znajdowali, już przegrała. Nie udało mu się wprawdzie złamać archaicznych systemów statku, którego programy pisane były w jakimś topornym, pozbawionym postinnergetycznych niuansów języku, częścią plusmysłu pozostawał jednak cały czas w kontakcie z komputerem własnej barki. Zablokował do nich częściowo dostęp, by nie rozprasały go w walce. Ale pozostawił sobie możliwość wysłania sygnału alarmowego, gdyby zaczęła się robić niebezpiecznie.

Co właśnie nastąpiło.

– Umówmy się, że jak wy grasz, to ci powiem – zawołał ze śmiechem.

– To nie ma sensu. Już wygrywam. A to wszystko zaraz eksploduje.

– Więc masz kłopot, bracie. Prawda? A przy okazji, nie jesteś czasem ze Służby? Pewnie znalazłbyś mojego szefa i bez mojej pomocy? Albo wyciągnął informację z mojego ducha? Skoro tu jesteś, musi chodzić o coś więcej, panie agencie.

To analiza plusmysłu odpowiedziała mu, że trafił i że rozbudził wściekłość w agencie, być może wyrównując na powrót szanse. Podobało mu się jednak, że wyczuwa narastającą furję tamtego.

Nie tracąc już czasu na dalsze rozmowy, rzucili się na siebie.

4

Ledwie Maska dotarł na *Merlina*, kundle poniosły ciała zabitych w milczącej procesji, a Maja rzuciła się biegiem po pokładach, krzycząc: „Rachuba! Rachuba!”.

On jej nie słyszał. Trwał przy magu, który w towarzystwie zdrajcy biegł ku maszynowni. Porzucili pomysł zepsucia systemów obronnych. Tylko ujawniliby ich to przedwcześnie. Teraz chodziło o to, by jednym ciosem zniszczyć Maskę, uniemożliwiając mu ucieczkę.

Głupiec! Głupiec! – przeklinał się w myślach mały żołnierz. Bo jak to niby miało służyć Obywatelskim, że schwytano by buntowniczego maga? Co by przyszło z ujawnienia spisku? Spróbował zapytać o to Kraszińskiego, ale ten zbył go machnięciem ręki. No tak, za głupim!

Jedna myśl sprawiała mu satysfakcję – on wiedział, że są pilnie śledzeni. Że wszystkie zabiegi maga i zdrajcy nie zdadzą się na nic, bo i oni zostali zdradzeni. Gorzka jednak była to satysfakcja,

psuta świadomością, że jego zdrada wynikała z odruchu i nie stały za nią żadne strategie, żadne przemyślenia, poza tymi poświęconymi Mai. Znow zadziałał odruchowo, znow poniosły go emocje i tak naprawdę nie wiedział już, kogo zdradza, a komu pozostaje wierny.

Bo czy zdradzając maga, służył cesarzowi? Legionom? Dziesiątce? Nie wiedział, kto po czyjej stoi teraz stronie. Ostatnie, co mu pozostało, to dochować wierności sobie, a to oznaczało, że musiał być wierny Mai, w każdym razie temu, jak ją sobie wyobrażał. Postąpił więc w sposób, który, jak sądził, ona mogłaby pochwalić.

Zdrajca oszukał systemy wartownicze i wkroczył do innergetycznej maszynowni. Nie wyglądała tak, jak wyobrażał sobie Rachuba. Nie był nigdy wcześniej w podobnym miejscu, ale odwiedził kiedyś maszynownię statku pływającego ku ucieście turystów pomiędzy wyspami archipelagu jednej z planet, na które się udał w poszukiwaniu godziwej pracy. Spodobało mu się na morzu. Uznał, że mógłby zostać marynarzem.

Maszynownia morskiego statku wyleczyła go z tego przekonania. Panujące w niej duchota i smród zmęczyły go i zniechęciły. Rozgrzane maszyny sprawiały, że gorąco robiło się nie do wytrzymania. Profesjonalny kombinezon ogłuszał Rachubę mnogością podawanych dźwiękowo i świetlnie informacji, a hełm z wąskim wizjerem ograniczającym pole widzenia dodatkowo wzmacniał poczucie wyobcowania.

Tu było inaczej.

Owszem, grube kable odchodzące od sześciu innergetycznych akumulatorów brzęczały pozornie cicho, ale w sposób, który po dłuższym czasie musiał zacząć drażnić, a w końcu doprowadzać ludzi takich jak Rachuba do szału. I dosłownie wszędzie jaśniały ekrany – unosiły się wzdłuż ścian, spływały nad akumulatory w kształcie dzwonów, owijały się wokół kabli, czuwając nad ich stanem i o nim informując. Transformatory innergetyczne bzyczały miarowo. Niewielkie roje nanitów naprawczych unosiły się w oddaleniu od ludzi, ale trzej przybysze i tak na wszelki wypadek założyli maski, by przypadkiem nie połączyć któregoś z małych urządzeń. Istniały zabezpieczenia, które powinny chronić organizmy, mało kto jednak zdawał się na ich łaskę i niełaskę. No i połykanie nanomechaników uszczuplałoby ich zapasy, a pechowy żarłok musiałby pokryć straty z własnej kieszeni.

– Popatrz! – Zdrajca wskazał magowi ekrany połyskujące na akumulatorach. – Nagrzewają się! Za trzydzieści sekund skoczmy!

Mag tylko skinął głową i ruszył ku akumulatorom.

Było tak jak mu powiedziano. Pośród urządzeń unosił się kłęb innergetycznej obecności, strzęp innergii o swoistości nieznannej cesarskim kapłanom, a nawet magom. Coś, co Maska ukradł dawno temu prosto z trzewi boga, a co pomagało mu zbudować potęgę.

Teraz ta dziwna innergia, której zwyczajni śmiertelnicy nie potrafili zobaczyć bez

innergetycznych instrumentów, a której bogowie nie wyczuwali, znajdowała się w zasięgu rąk Krasieńskiego.

Chętnie by ją sobie przywłaszczył, ostrzeżono go jednak, że mogłaby sprowadzić na niego skażenie.

I że taki postępek uznano by za zdradę.

Musiał więc tylko ją uwolnić, by Maska nie mógł za pośrednictwem tego połączenia kraść dłużej innergii bogu, którego porzucił.

Dłonie maga zalsniły od nanourządzeń, których fragmenty pozostawały dotąd ukryte w organizmie. Krasieński uruchomił procesy produkcyjne zaledwie przed kwadransem, a teraz dysponował już armią dywersantów gotowych roznieść całą tę maszynię w drobny mak.

Potem będzie musiał tylko popracować, czerpiąc innergię z pakietu, jaki otrzymał od agenta Auberta.

Rachuba nie zdawał sobie sprawy z innergetycznych uwarunkowań, ale dostrzegł dziwne lśnienie na dłoniach maga. Jeśli miał coś zrobić, to teraz. Ale co? Rzucić się na maga? Nawet by do tego nie dobiegł.

Gdzie byli tamci? Czemu nikt nie przychodził mu z pomocą? Gdzie kundle?

A może zostawili go samego? Może nie potraktowali go poważnie albo walka zaabsorbowała ich do tego stopnia, że zapomnieli o nim i niebezpieczeństwie?

Poczuł ulgę. Teraz już nic od niego nie zależało. Ta myśl niosła też smutek, ale zdanie się na los przyniosło Rachubie spokój. Nie zamierzał bawić się w bohatera i porywać na niemożliwe. Będzie, co ma być.

I wtedy mag i zdrajca zaczęli potwornie, nieludzko krzyczeć.

W pierwszej chwili Rachuba nie zrozumiał, co się stało. Dwaj mężczyźni miotali się po całej maszynowni, wyjąc potępieńczo, machając rękami, otrzepując się, jakby starali się strącić coś z siebie. Ich twarze spływały krwią, skórę znaczyły coraz większe i głębsze rany.

Dopiero po chwili Rachuba, który daremnie rzucił się ku zablokowanym drzwiom, dostrzegł coś przypominającego ciemną parę, delikatne chmurki, a może dym otaczające teraz już tarzających się po podłodze nieszczęśników. I zrozumiał, że nanomechaników można przecież przeprogramować, by pełnili funkcję zabójczo skutecznych stróżów.

Shere-Khan z nadwerżonym, popękany pancerzem dymił z dziesiątek ran. Okręt krzychał głosami załogi.

Olga przyjmowała litanie raportów, ale nie poświęcała im uwagi. Jej okręt, jej dziki, drapieżny kocur, uniósł się naprzeciw dziesiątkom wrogów, samotny pomiędzy nimi a statkami, których już nie mógł obronić.

Mogła tylko mieć nadzieję, że Ludwikowi się udało. Że dopadł tamtych dwoje i pokrzyżował ich plany.

Dostrzegła trzy ścigacze lecące prosto na nią. Zdała sobie sprawę, że brakuje jej już sił i środków, by powstrzymać ich rajd. Przymknęła oczy, ale meldunki wciąż przepływały wielobarwnie przez jej mózg.

Przepraszam, kochanie. Pogłaskała poręcz fotela, jakby pieściła grzbiet wielkiego kota.

Przestrzeń rozbyła się szybko gasnącymi płomieniami.

Ale to nie *Shere-Khan* zginął.

„Cześć, Tygrysko! Zabieraj się stamtąd, do cholery! Przysięgam, że drugi raz po ciebie nie wrócę!”

Uśmiechnęła się przez łzy. Przez łzy? Płacze? Jak jakaś łajza!

„Tygłupku!”

„Potem podziękujesz. Teraz zabieraj stąd dupę, idiotko! Nic tu już nie zmienisz! Zrobiłaś więcej, niż przewidywał kontrakt!”

„Uciekaj, ty tępy...”

„Tygrysko! Spieprzaj, mówię!”

„Nie mogę. Nie mam jak. Systemy padły, silniki zniszczone. Uciekaj. Idź już. Żegnaj”.

Jurgo zaklął szpetnie. Posłała mu uśmiech, którego tamten nie mógł zobaczyć, ale który mógł wy czuć.

Co, do diabła, znaleźliście, Fiono? Co to było, że doprowadziło do tego wszystkiego? Ludwik nigdy jej tego nie powiedział.

Okręt Jurgi zniknął i znów została sama. Poczula niesprawiedliwy cień żalu.

A wtedy on pojawił się między Cesarskimi, ostrzelując ich jak szalony. I zniknął, i znów się pojawił. Strzelał ze wszystkiego, co miał.

„Nie tylko twoja chwała!”

Olga śmiała się i otwarcie już płakała. Przeklinała Jurgę, kazała mu się wynosić. Nie zważając, że słyszą ją obie załogi, wypowiedziała słowa, dla których właściwe byłyby inne miejsca i sytuacje. Intymniejsze, gdzieś w ciszy i półmroku. Klęła, na czym świat stoi, i Jurgo też klął. I śmiali się, i płakali.

Setki pocisków ich namierzyły. A oni nie mieli już ani jaksię bronić, ani jak uciec.

Rozdział 30

1

Czas może stać się względny w raju.

Stało się tak, jak Pies się obawiał – ten inny on rozsiał się w nim, przemienił każdą myśl. A przecież teraz myśli były – jak sądził – odpowiednikami dawnych komórek ciała. Gdy je przemienił, gdy przemienił Psa w siebie, niegdyś uciekinierowi, niegdyś żołnierzowi, niegdyś człowiekowi po prostu, wszystko objawiło się innym.

Wciąż czuł żal po sobie i wciąż jeszcze się bronił.

Choć rozumiał już, że nie było żadnej istoty czyhającej na jego jestestwo – nikt tu nie pragnął dopaść jego swoistości innergetycznej, przypuścić inwazji na jego istnienie.

Był, jak sobie przypomniał i jak rozumiał, kiedyś bóg, jeden z pierwszych bogów, który wraz z innymi obawiał się, że dzieci dwojga wszechświatów tylko pozornie się porozumiały. Że ten język, który wypracowały, był pełen błędów i niedomówień, że brakowało mu precyzji i wszystkie tłumaczenia, jakich dokonano, okazały się niedoładne, a wszystkie umowy i porozumienia – zafalszowane.

Jak wieczna istota innergetyczna narodzona w subiektywnym wszechświecie mogła zrozumieć więźnia wszechświata czasu i przestrzeni, skazanego na indywidualne subiektywizmy? Jak ci, którzy nie mieli ciała, mogli pojąć tych, którzy ciała posiadali? Tysiące lat prób okazały się – jak sądzili nieliczni ludzie i bogowie – dreptaniem w ślepej uliczce.

Początkowo wydawało się, że pobłogosławienie ludzkości innergią stanowiło krok w dobrym

kierunku.

Wybyci ciał innergetyczni przybyše z materialnego wszechświata zaludniali innergetyczne enklawy, ucząc się innego świata i innego języka. Bogowie obserwowali ich z uwagą i także się uczyli.

Z żalem odkrywali, że ludzie pozostawali sobą. Albo tworzyli iluzje materii, albo próbowali przekształcać się w bogów i gubili swoje osobowości, na koniec pozostając już prawie tylko sygnaturami innergetycznymi. Nowy język się nie narodził. Nadal ludzie i byty innergetyczne nie rozumieli się nawzajem. Jedni się poddali, przyjęli rolę bogów, by wzbogacać samych siebie ludzkimi indywiduałnościami, inni próbowali dalej szukać prawdziwego porozumienia.

Wtedy znalazł się bóg, który poprowadził eksperyment dalej – skoro ludzie nie potrafili nauczyć się języka bogów, może bogowie nauczą się języka ludzi?

Pies uciekał przed nim przez całe życie. A teraz odkrył, że jego najgorszego wroga, tego, który ścigał go w każdej sekundzie, który chciał go dopaść i odmienić, już od dawna nie było.

Tak bardzo zatracił się w studiowaniu człowieczeństwa, że zawędrował dalej niż jakkolwiek człowiek od ty sięcleci. W śmierć.

2

Nawet Kurdupel Jo strzelał. Zapytał tylko, czy to ci sami, którzy zajęli i – jak wieść niosła – zniszczyli Perełkę, po czym skoczył w wyjątkowo ciemny zakątek swojej kryjówki i wytaszczył zeń tasmana jeszcze w fabrycznej folii.

Szczurzy Zad nie zapytał, skąd go ma ani czy potrafi go obsługiwać. Wskazał tylko stanowisko niespełna metr od swojego i nie poświęcał już więcej uwagi niespodziewanemu towarzyszowi broni. Nie minęła minuta i dobiegło go miarowe dudnienie ciężkiego karabinu.

Co też się porobiło! Razem ze złodziejem, szabrownikiem, oszustem, naciągaczem czy też, jak Kurdupel sam siebie nazywał – „człowiekiem okazji”, walczył przeciwko swoim. Przeciwko ludziom cesarza, którzy przybyli go zabić.

Ledwie zdążyli się z lekka okopać na wzgórzu. Mieli sporo szczęścia, bo kryjówki Kurdupla Jo okazały się przygotowanymi na wszelki wypadek stanowiskami obronnymi buntowników. Gdyby nie to, tamci pewnie już by ich zmiażdżyli.

Setnik nie zdziwił się, widząc, że obok regularnych oddziałów cesarskich atakowały ich jednostki

specjalne. Podczas wojny Obywatelscy dowiedli swoich umiejętności i generałowie cesarza nauczyli się ich doceniać.

– Wycofujom siem! – rozkrzyczał się triumfalnie Kurdupel Jo. – Cofajom! Ha! Pierdykajcie predemnom, francowate tchórze! Widziałeś setnik, jak pierdykajom przede Wielkim Jo?

Brakowało tylko, żeby niesiony zapałem pognał za tamty mi.

– Widzę – mruknął Szczurzy Zad i splunął. – To znaczy tyle, że zaraz przywali nam artyleria. A może i lotnictwo. Przygotowałeś tu sobie jakąś drogę ucieczki, prawda, Jo?

– Przeszykowałem se, a jak! – odpowiedział odruchowo Kurdupel Jo, po czym przerwał radosne poklepywanie po plecach „towarzyszy broni”, by odwrócić się do setnika i wyrazić pełne niedowierzania zdziwienie: – Że jak, hę?

– Prysnęli – zameldował Szybki, uśmiechając się nie wiadomo czemu. Po ostrzale mózdzierzy przeczesywali stanowiska, na których bronili się Obywatelscy. Nie znaleźli nic. – Na moje oko jeszcze przed ostrzałem. Cwaniaki.

– Weterani – przypomniał mu Mausen. – Nie lekceważ ich, Szybki.

Obaj woleliby walczyć raczej po stronie Obywatelskich. Polityka ich nie obchodziła, ale lepiej byłoby mieć po swojej stronie cwaniaków niż regularne ofermę.

– Mam za nimi iść?

– Czekaj. Łapie mnie szef.

„Cichy Patron do Anakondy 1” – rozbrzyczał się w głowie Mausena głos generała.

– Jestem, Cichy Patronie. Przeciwnik wycofał się w głąb wzgórz jeszcze przed ostrzałem. Tam dalej robi się trochę stromo. Najpewniej mieli przyżykowaną drogę ucieczki. Ale jeśli był jakiś wąwóz, tośmy go sami zasypali.

„Przyjąłem. Od tej pory stanowicie tylko wsparcie dla regularnych. Nie chcę was widzieć na głównej linii. Nie przyjmujecie rozkazów od ich oficerów. Zabezpieczacie teren. Zrozumiano?”

– Tak jest. Czy wolno mi spytać, co się zmieniło?

„Później wszystkiego się dowiecie. Macie trzymać się z tyłu. To wszystko. Meldujcie o każdej zmianie”.

– Tak jest.

– Przetasowania. – Szybki pokiwał głową, gdy Mausen przekazał mu słowa generała. – Polityka, panie poruczniku.

– Nie filozuj, Szybki. Cichy Patron kazał, Anakonda wykona. Ale weź trzech ludzi i dyskretnie ruszcie tropem tamtych. Nie nawiązuj kontaktu ogniowego. Jakby strzelali, przypadnij, cofnij się nawet, ale milcz. I nie trać ich z oczu.

Przekazując swoim ludziom rozkazy generała, Mausen zastanawiał się, do czego mogło dojść gdzieś tam na górze, że nagle nałożono mu kaganiec i skrócono smycz. Przyglądał się uwijającym się wokół regularnym. Czy lada moment każą mu do nich strzelać?

– Nadal ma pan status jeńca wojennego – przypomniał Spaszoffowi Benton.

Siedzieli w niewielkiej kabinie na pokładzie jednego z przypisanych do jednostki Bentona okrętów. Czarni przechwycili Spaszoffa, gdy próbował wymknąć się z blokady na pokładzie barki medycznej. Abordaż okazał się nieprzyjemny, ale stosunkowo bezkrwawy i skuteczny.

Z wiszącego w powietrzu ekranu wpatrywała się w nich wielkooka dziewczynka. Miała może siedem lat, jednak jej spojrzenie było o wiele starsze. Nosicielka woli Kapituły przekazała im bezpośrednie polecenia cesarza. Zaskoczyły ich obu. Spaszoffowi niesły nadzieję, może nawet amnestię.

– Rozumiem. – Obywatelski generał z trudem zapanował nad chęcią, by ukryć twarz w dłoniach. – Nie ma pan czegoś mocniejszego dla jeńca, generale?

– Alkohol na mnie nie działa – odparł Benton. – Nieważne. Każę adiutantowi coś znaleźć.

– Dziękuję. Czy ogarnia pan to wszystko?

– Nie moją rzeczą jest ogarniać.

– Na bogów, generale Benton, niech pan nie udaje maszyny do wypełniania rozkazów! Mam wydać moim ludziom rozkaz poddania się. Skąd mogę wiedzieć, czy to nie podstęp?

– Generale Spaszoff – wtrąciło się dziecko, nim Benton zdążył znaleźć właściwą odpowiedź. – Pańscy ludzie i tak nie mają szans. Nie muszą umierać. Mogą się poddać. Instytucja Legionów Obywatelskich może ocaleć. Ludzie, których wysłał pan z Maską, najprawdopodobniej już nie żyją. Proces wykaże, że istnieją okoliczności łagodzące. Zresztą może nie będzie żadnego procesu? Aubert i – przyznajemy to z żalem – Ugrel winni są zdrady. Wy byliście tylko ich ofiarami. Ale wojna na dole musi się skończyć.

– I tak to się potoczy? Usuniemy winnych i udamy, że nic się nie stało?

– Zawsze tak się dzieje – odpowiedziało mu dziecko starczym, znużonym głosem.

– Oruzon. – Biskup, w którego wcieliła się Pan Ougli, odwrócił na chwilę spojrzenie od kłęczącego żołnierza, wciąż pogrążonego w lamencie. Spojrzał na Jana. – Burza. Walka. Oruzon.

Staremu innergetykowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

– Karol! – sapnął Jan. – Wiedziałem, że powinienem był go zatrzymać przy sobie!

– Powstrzymaj – polecił bóg i znów skupił się na żołnierzu.

– Moran! – Jan przywołał biskupa Pana Rasee. – Będziesz nas reprezentował! Ja muszę zająć się awanturą rozpętaną przez mojego, niestety, ucznia.

– Tak jest. Ale... Czy wiesz, co tu się właściwie dzieje? Kim jest ten żołnierz?

– Nie wiem, choć... Zauważyłeś, że zamknął wokół siebie czas i odizolował się od czasu Świątyni?

– Zauważyłem. Nie dopuszcza nawet bogów.

– Umiałbyś tak?

– Może, z twoją pomocą?

– To znaczy, że byś nie umiał.

– Chcesz powiedzieć, że to on?

– To by nawet pasowało, nie? Pojawić się tak w samym środku największego zamieszania. Spróbuj do niego dotrzeć. Może być albo największym zagrożeniem, jakie kiedykolwiek na nas spadło, albo szansą.

Jan odwrócił się, by odejść. Wtedy dopadła go ta młoda ambitna dziewczyna, Dirka Bładawić.

– Chcę pójść z panem! – zawołała.

– Po co? Tu dzieją się ciekawsze rzeczy. A ja opuszczam Świątynię, wchodzę w Dom Pana Ougli. Nie możesz tam wejść ze swoją sygnaturą.

I zniknął.

Dirka stała przez chwilę bez ruchu. Pochyliła głowę w modlitwie, a potem także zniknęła.

Pałac Oruzon utracił wiele ze swej dumy. Upadły wieże wznoszone przez pokolenia zmarłych, strzaskano mury. W ruinach biegali ludzie oszalali ze zgrozy, tak Oruzonowie, jak i słudzy ich kredytów. Jedni sprawiali wrażenie pozbawionych zmysłów – ci poruszali się jak we śnie, dotykając nielicznych ocalałych ścian, albo biegli na oslepek przez szczątki niedgdyś bogatych korytarzy. Inni próbowali się opędzać od coraz natarczywszych szaraczków, z których część wpadła na pomysł, że może ukraść kredyty bogatszych.

Wiedzeni przez drobnego mężczyźnię w jaskrawo kolorowym stroju rzucali się na osłabionych arystokratów. Nie bawiąc się w subtelności, a może nie znając innego sposobu, wgryzali się w ich ciała, zarszarpując je na strzępy. Zaatakowani skowycieli z bólu, upadali, ale nie umierali – ich

kredyty wciąż ich odbudowywały, nawet jeśli oni sami modlili się o ostateczną śmierć.

Bóg nie słuchał w tej chwili ich modlitw. Miał własne problemy.

Może zresztą był ciekaw doznań, jakie przyniosła wojna w Oruzonie?

Ta myśl sprawiła, że Jan aż zatrzymał się w cieniu ruiny jednej z piękniejszych niegdyś bram pałacu, stanowiącej jeszcze niedawno wejście do wschodniego skrzydła.

Czy ta przerażająca, pełna bólu rewolta nie była dla Pana Ougli jeszcze jednym smakiem istnienia do kolekcji?

Na ile niegdyśeszyszy treser rozumiał bogów, smaki bytu były dla nich niemal wszystkim. Powstali jako samotne byty, niezdolne do bezpośredniego kontaktu z innymi innergetycznymi istnieniami – póki nie wkroczyli ludzie – bogowie pragnęli przede wszystkim uczyć się nieinnergetycznego świata i doświadczać doznań jego mieszkańców. Nie zdobyli się na to, by ich dręczyć, nie stawali jednak na przeszkodzie tym zmarłym, którzy przekształcali raj w piekło.

Dotąd Jan uznawał, że robią to przez szacunek dla umowy, która nakazywała bogom respektować ludzką wolną wolę. Teraz jednak zaczął się zastanawiać, czy nie czerpali przyjemności z takiej różnorodności zdarzeń.

A jeśli tak, to czy nie zostali skażeni ludzkim okrucieństwem?

To zaś mogłoby znaczyć, że ich udział w wojnie był znaczniejszy, niż Jan chciałby przyznać.

Otrząsnął się ze złych myśli.

Jeden problem do rozwiązania naraz. Należało odnaleźć Karola i powstrzymać to szaleństwo.

Jaskrawo przyodziały mężczyzna dostrzegł Jana i wskazał swoim zmarłym. Najwyraźniej dysponował umiejętnością dostrzegania wysokiego kredytu i uznał innergetyka za owoc wart zerwania.

Kilkunastu spragnionych cudzego kredytu rzuciło się na Jana.

Zrobiło mu się ich żal. Chudzi, niemal przezroczyści w poszarpanych ubraniach, o oczach pozbawionych tęczówek, rzeczywiście przypominali trupy. Mimo to poruszali się szybko i mogli być groźni dla niewprawnych zmarłych.

Oruzonowie z pałacu, utuczeni na pierwszym księciu, bardziej by dło hodowlane niż ludzie, byli dla nich idealnymi ofiarami.

Jan roztrzącił napastników, nawet się nie zatrzymując. Nie miał czasu na takie drobiazgi. Potem trzeba będzie posprzątać w Oruzonie. Uśmiechnął się mściwie na myśl o tym, komu wyznaczy to zadanie. O tak, Karol wypije piwo, którego nawarzył. Do ostatniej kropelki.

Nagle spadło na niego uczucie zwątpienia i strach. Dołączyło do nich poczucie kłęski i pragnienie, żeby to wszystko skończyło się nareszcie, nieważne w jaki sposób. Byleby odpocząć, nawet jeśli prowadziły do tego ścieżka bólu.

Zmarli, których odepchnął, znów podnosili się z ziemi wokół niego. Obnażali zęby

w drapieżnych uśmiechach.

Prawie sam się uśmiechnął. Jakiś dureń naprawdę próbował go zaatakować. Ciekawe.

Uspłił zmarłych i odwrócił się ku ich pasterzowi.

Jaskrawo przyodziany mężczyzna zrozumiał, że popełnił błąd, i rzucił się do ucieczki.

– Nie tak sztybko, gołąbeczku – zatrzymał go Jan.

Rozdarł warstwy ochronne, jakimi otoczył się tamten.

Okazało się, że mężczyzna spijał cudze kredyty od wieków. Ślady sygnatur całych pokoleń tak Oruzonów, jak i zmarłych o mniejszych kredytach odkładały się na pasożytniczymi warstwami.

Za życia nazywał się Hans Blachter, zarabiał, prowadząc mały cyrk, w którym zabawiał szaraczków innergetycznymi sztuczkami. Był drobnym magiem, innergetykiem, samoukiem o szczątkowej wiedzy i mizernych umiejętnościach.

Po śmierci odkrył, że wciąż mogą mu się przydać. Podczepiał się do cudzych kredytów w zamian za stwarzanie iluzji na życzenie. Potrafił wyczarowywać istne cuda, mamił więc prostaczków (także tych z tytułami), wmawiając im, że potrafi wzmacniać ich kredyty. W rzeczywistości, gdy już raz podpiął się do cudzej innergii, nigdy nie zrywał połączenia.

Dotąd był ostrożny, rewolta Karola Oruzona go rozszalała.

„Wampir” – przypomniał sobie stare słowo Jan. A potem złośliwa pamięć podpowiedziała mu inne, gorsze: „Bankier”.

Pasożyt skomlał o litość, jednocześnie starając się tkać wiązanki innergii, które pozwoliłyby mu się uwolnić.

Jan uspił i jego. Mógłby przemodelować sygnatury jeńca, zmienić go w pokornego sługę Świątyni, to jednak stanowiłoby naruszenie zapisów dotyczących wolnej woli. Może i Pan Ougli potrafił wykorzystywać je do własnych celów, Jan traktował je poważnie.

Co nie znaczy, że nie trzeba będzie pomyśleć nad jakimś rodzajem pokuty dla wampira.

Gdy tylko upora się z tym nierozważnym Karolem i bałaganem, jakiego narobił młody książę.

Znalazł go, a jakże, w gruzach najwyższej z wież, gdzie zwiarał się w innergetycznych zapasach z pierwszym księciem.

Ci dwaj wyglądali jak śpiące olbrzymy z bajek, jakie Jan zapamiętał z dzieciństwa. Otoczyli się ramionami i wsparli o siebie nawzajem niczym zapaśnicy, którzy zasnęli w trakcie walki. Trwali bez ruchu, ale Jan dostrzegał huragany innergetyczne zmagające się pod osłoną ciała. Kredytu pierwszego księcia nie wystarczyło, by zgnieść bardziej doświadczonego już Karola. Tym bardziej że młody Oruzon obnażył przed swoim przodkiem prawdę o iluzji, w jakiej zamknął go Pan Ougli. To osłabiło niedosłęgo boga.

Poza tym, Jan dostrzegł to dopiero po chwili, Karol się przemienił. Użył wiedzy zdobytej w Świątyni, by przebudować swoje struktury i przekształcić się w byt, który bardziej niż

człowiekiem był innergetyczną machiną bojową. Pierwszy księżę, choć wciąż dysponował potężnym kredytem – acz słabnącym w miarę pogłębiania się chaosu w Oruzonie – nie przeszedł innergetycznego szkolenia, choćby tak podstawowego jak Karol.

Ten jeden raz Jan dopuścił do siebie myśl, że powinien złamać zasadę wolnej woli i odbudować pierwotną formę Karola nawet wbrew niemu. Jeśli szczeniak pozostanie w postaci, jaką sobie narzucił, trzeba będzie zbudować dla niego specjalną dzielnicę w raju, by toczył w niej niekończące się iluzje bitew. Inaczej nie znajdzie choćby cienia spokoju.

Przyszedłem w samą porę! – ocenił Jan, dostrzegając cień, który wplatał się między walczących, by zaatakować zdradziecko Karola. Napaści z tej strony uczeń Jana nie mógł się spodziewać.

Rozprawienie się ze zdrajcą zajęłoby Janowi chwilę. Wystarczyło skupić się na jego sygnaturze i uśpić go, jak uśpił jaskrawego pasożyta i jego niewolników.

Błahostka. Każdy wykształcony zmarły innergetyk potrafiłby zrobić coś takiego.

Pod warunkiem że sam nie padłby ofiarą zdrady.

Uderzony niespodziewanie w tył głowy Jan osunął się na kolana.

Co to było, na bogów?

Uderzono go – czymś ciężkim i twardym – po raz drugi, gdy próbował wstać.

Przyszło mu na myśl, że tylko kardynał byłby w stanie porwać się na taki atak. Przyszedł tu za nim?

Próbował skupić się na sygnaturze atakującego. Wtedy uderzono go po raz trzeci.

– Kurczowe trzymanie się cielesności ma swoje minusy – oświadczyła Dirka Bładawic, po raz czwarty opuszczając ciężki odłamek kolumny na głowę starego zmarłego. – Kiedy staje się to twoim odruchem, robisz się podatny na zupełnie zwyczajne ataki.

4

Istota, która wciąż się upierała, by pozostać człowiekiem, choć jedyne, co jej z człowieczeństwa pozostało, to właśnie ów upór i wspomnienia, których nawet nie była do końca pewna, miotała się w inności porażona jego ogromem i odmiennością od wszechświata materialnego.

Ale jeszcze bardziej ją przerażało, jak wszystko tu okazywało się swojskie, bliskie jej i znajome. Jak łatwo odnajdywała się wśród innergetycznych struktur, wśród mrowia

innergetyczny ch wichrów, ławic dusz i martwych sygnatur innergetycznych.

Wstrząsało nią, jak łatwo przychodziło jej rozpoznawać tych, których wzdragała się nazywać braćmi i siostrami. Przytłaczał ją ogrom nieprzebudzonych potencjałów i dziwne istnienia, na które nawet brakowało jej nazw.

Innoświat okazywał się dziki, nieoswojony, zamknięty nie tylko na ludzi, ale i na bóstwa zbyt skupione na sobie i ludzkości.

Bogowie nigdy nie czuli potrzeby eksploracji swojego świata. Wystarczała im różnorodność dostarczana przez ludzi, nie opuszczali więc swoich pastwisk, a jedynie transformowali przepływającą przez nich innergię i wzrastali w różnorodności naznaczonych przez siebie dusz.

Nie było wśród nich odkrywców.

Zabrał ich także wśród zmarłych. Ludzkość, owinięta w innergetyczne kokony, zatraciła ciekawość świata. Poddawała się subiektywnej rzeczywistości i zamiast odkrywać, kreowała i poddawała się kreacjom. Duch, który napędzał podbój Ziemi, a potem wszechświata, gasł. Dotknęła go śmierć, nawet jeśli osobowości ludzi osiągnęły nieśmiertelność.

To sprawiło, że istota poczuła się obca i tutaj.

Uchwyliła się tego uczucia, najbardziej jej znajomego spośród wszystkich.

Jakobca była w materialnym wszechświecie, takobca mogła być tutaj.

Tam, gdzie zastygający w materii bóg odkrył, że niewiele mu pomogło całkowite zstąpienie na człowieka, bo nigdy człowiekiem nie będzie. Tu, bo nie była ani człowiekiem, ani bóstwem. Już potrafiła przetwarzać innergię, choć wciąż broniła się przed tym z lęku, że jeśli otworzy się na niekończące się prądy innergetyczne, może całkowicie się w nich zatracić.

A jednocześnie czuła tęsknotę za spadkiem, który jej pozostawiono, opuszczonym dominium czekającym na przybycie gospodarza.

Wszystkimi zgromadzonymi w niej wcześniej duszami zaopiekowali się inni bogowie, nikt już tam nie mieszkał. Bóg, który zastygł w materię, nie uczestniczył już w Uczcie, nikt nie nawracał się na niego.

I dlatego istota tak się zdziwiła, gdy poprzez innoświat dobiegł do niej lament duszy żegnającej się z życiem. A po nim drugi. I trzeci.

Nie powinno tak być. Nikt w nią nie wierzył i z żadnym śmiertelnikiem nie wiązały jej kontrakty. A jednak lament niósł znajome nuty.

Sięgnęła ku nim. Z ciekawością, ale i obawą, że znów oddaje tym gestem część tego, kim była. Bo sięgała jak bóg, nie jak człowiek.

Rozdział 31

1

Kundle wpadły do maszynowni, gdy Rachuba sądził, że nie ma już dla niego nadziei.

Krasiński zdołał jakoś przetrwać atak nanitów. Choć krwawił z dziesiątek ran i chyba stracił oko – w lewym oczodole ziała wielka, krwawa dziura – wstał. Przekroczył drżące jeszcze ciało konającego zdrajcy i powoli, z wysiłkiem ruszył w kierunku niewielkich drzwi na drugim końcu maszynowni.

Nie zwracał uwagi na Rachubę, więc mały żołnierz uznał, że nie warto mu o sobie przypominać.

Było coś dziwnego w magu. Już sam fakt, że przeżył atak nanitów, wydał się Rachubie wystarczająco podejrzany. Ale dodatkowo gnębiło żołnierza przekonanie, że coś było bardzo nie w porządku z Krasińskim.

Na przykład niespecjalnie przypominał człowieka.

Rachuba napatrzył się na rannych i umierających. Widział i takich, którzy biegli nawet po tym, jak wybuch miny urwał im obie nogi w kolanach. Czasem drobna rana potrafiła przyprowadzić kogoś o histerię, czasem ktoś, kto wyglądał jak strzęp człowieka, upierał się, że nic się nie stało. Bywało, że w szturmach uczestniczyli tacy, którzy jedną nogą stali już w raju.

Krasiński, zdaniem Rachuby, należał do tych rannych, którzy do raju już trafili. Ale najwyraźniej nie spodobało mu się tam, bo wrócił.

Poruszał się sztywno, jakby ciało stawiało mu opór. Nie panował nad oddawaniem moczu

i kału, zupełnie jak część umierających, których Rachuba miał pecha oglądać, gdy konali obok niego w okopach. Nie tyle mamrotał, ile rzeźił coś przez zaciśnięte zęby. Nawet nie zauważył, że odgryzł sobie czubek języka.

I cały czas szedł ku niewielkim drzwiom nieopisanym żadnym nadsymbolem.

Porzucił próbę zepsucia silnika. Widać to, co kryło się na drugim końcu maszynowni, było dla niego ważniejsze.

Rachuba czuł, że powinien wykorzystać okazję i uciec. Nie potrafił jednak oderwać wzroku od makabrycznej pielgrzymki Krasińskiego odmawiającego śmierci prawa do siebie.

Pożałował swojej ciekawości, gdy Krasiński dotarł wreszcie do upragnionego celu i po prostu wyrwał drzwi ze ściany.

Mały żołnierz musiał wyjść ze swojej kryjówki, by zobaczyć, co się za nimi kryło.

Nie powinien był tego robić. Zdawał sobie sprawę, że postępuje głupio. Ale być na miejscu i nie poznać tajemnicy byłoby wbrew jego naturze.

Niestety, przy pomniął o sobie magowi.

Krasiński oderwał spojrzenie od tego, co znajdowało się w niechronionym już drzwiami pomieszczeniu, i odwrócił się ku Rachubie. Żołnierz dopiero teraz dostrzegł, że nanity wciąż atakowały maga. Wgryzały się w jego ciało, przepalały na wylot czaszkę i wyżerały drugie oko. Krasiński zdawał się tym nie przejmować.

Oto serce okrętu. – Głos, który usłyszał Rachuba, tylko pozornie należał do Krasińskiego. Choć go przypominał, zawierał obce tony. – Oto prawdziwy Maska!

Dopiero po chwili Rachuba uświadomił sobie, że Krasiński nie otwiera ust, gdy mówi, a on słyszy jego głos bezpośrednio w mózgu.

Zanim to do niego dotarło, Rachuba zachwiał się na nogach i poznał nareszcie tajemnicę skrywaną przez wyrwane drzwi.

Nagi, chudy niczym śmierć człowiek zwiślał na setkach kabli wpinających się w jego ciało. Długie, siwe włosy sięgały mu do pasa. Cały aż lśnił od innergii. Wyglądał na niewiele bardziej żywego od Krasińskiego.

Tajemnica statku Maski – roześmiał się głos w głowie Rachuby.

Gdy oplątane kablami ciało podniosło głowę i otworzyło oczy, Rachuba omal nie zemdleł. Ten człowiek był przytomny?

– A więc przyszedłeś pod tą postacią – szepnął.

Czas umierać, złodzieju! – ryknął mag, unosząc trupio sztywne ręce do ciosu.

I wtedy właśnie do środka wpadły kundle.

Nie bawiły się w ceregiele.

Pierwszy strzelił magowi w łeb, a gdy to nie poskutkowało, strzelił po raz drugi.

Mimo to nic się nie zmieniło. Pozbawiony głowy trup stał i uparcie, choć powoli, opuszczał ręce ku blademu ciału, niezdolnemu do jakiegokolwiek ruchu przez oplatające je ściśle kable.

Któryś z kundli zorientował się wreszcie, że ostrzał nie zda się na nic, i rzucił się biegiem ku Krasińskiemu.

Miał do pokonania całą maszynownię. Niewiele, ale jednak za dużo. Nawet on nie mógł zdążyć.

Rachuba skoczył i uderzył rozpędem w trupa, wytrącając go z równowagi. Trupie dłonie ześlizgnęły się po ciele chudzielca, ale go nie zraniły. Zdołały jednak zacisnąć się na kablach. I powoli, nie zważając na starającego się ze wszystkich sił odciągać trupa, ciało Krasińskiego zaczęło wspinać się po kablach ku uwieczonemu w nich człowiekowi.

Rachuba kłął na głos ze strachu. Co tu się, do cholery, dzieło?

2

Kapitan Piotr Berak, być może wierny do końca Służbie, a być może zdrajca, zdołał zmobilizować się na tyle, by pojękując z bólu, podnieść się na jedynej sprawnej nodze i oprzeć o ścianę.

Dzięki temu mógł lepiej widzieć, jak jego przeciwnik czołga się w głąb korytarza.

Tamten zachował ty lko jedną sprawną rękę, ale najwyraźniej to wystarczyło.

Plusmysł podpowiadał Berakowi, że walczyli całe dwadzieścia minut. Dwadzieścia minut na przyspieszeniu! Powinni leżeć teraz w szpitalu, podpięci do innergetycznych instrumentów starających się ratować ich organy.

Był pełen podziwu dla swojego biednego serca, że zdołało wytrzymać cały pojedynek

I bardzo żałował tego, co musiał mu zrobić.

Zaparł się nogą.

Ponieważ stękał z wysiłku i bólu, przyciągnął uwagę tamtego. Zabójca nie tracił czasu na oglądanie się za siebie, po prostu zaczął czołgać się szybciej.

– I tak nie mamy szans! – zawołał za nim Berak – Nie wydostaniemy się stąd! Rozwali nas flota! Powiedz, czemu ją zabiłeś, do cholery! Kim, u diabła, jesteś?

Tamten, gdyby był prawdziwym profesjonalistą, nie powinien był się zatrzymywać. Ale może w obliczu śmierci pękają wszelkie więzy?

– Taki był plan, ty durniu – wyrzęził.

– Plan? Żeby zabić faworytę księcia? Ona nic nie znaczyła!

– Za życia nie. – Berak przysięgłby, że tamten się uśmiechał. – Ale po śmierci... Nie tylko ty do niej dotarłeś, agencie.

– Kłamiesz! – wrzasnął Berak

– Zawiodła się na tobie – judził zabójca. – Marzyła o czymś więcej. I otrzymała ofertę większą niż cokolwiek, co mogliście jej dać. Wieczne życie z ogromnym kredytem u nowego boga. Tylko w zamian za to, że nie opuści swojego księcia po śmierci.

– Kłamiesz! – ryczał Berak, za nic mając szkody, jakie wyrządzał własnemu ciału, gdy podpierając się złamaną ręką o ścianę, kuśtykał ku zabójcy. – Kłamiesz, skurwielu! Ona... łączyło nas coś!

– Właśnie dlatego! – Zabójca śmiał się w głos. Teraz obrócił się ku Berakowi i również próbował wstać. – Ugrel wiedział o tym waszym śmiesznym związku, więc ja wiedziałem, jak uderzyć. Słyszałeś kiedyś o furii odrąconej kobiety, agencie?

Berak rzucił się na niego, nie myśląc o niczym, skupiony tylko na pragnieniu, by za wszelką cenę zabić tego kłamliwego sukiny na.

3

Karol Oruzon triumfował.

Wzmocniony tysiącami dusz mieszkańców Oruzonu zniszczył pałac. Obalił nawet wieżę pierwszego księcia, a jego samego wyciągnął z iluzji, w jakiej uwięzili go Jan z bogiem.

– Tym właśnie jesteś! – krzyczał, zadając mu cios za ciosem. – Głupcem w piaskownicy! Gówniarzem w pokoju zabaw, w którym zamknęli go dorośli!

Wbijał się w struktury pierwszego, starając się je osłabiać, przekształcać wedle własnej woli. Dał się ponieść pasji i uderzał chaotycznie, bez planu. Chciał zadać pierwszemu jak najwięcej bólu, nim przemieli go we własną kukiełkę.

Przez to dał przeciwnikowi czas na zebranie myśli.

Zaszokowany zdradą Pana Ougli pierwszy książę przyjmował razy, aż wreszcie odnalazł własną wściekłość. Być może stanowiła ona echo furii Karola Oruzona, być może wspomnienie tego, kim pierwszy był niegdyś.

Wystarczyła, by stawić opór.

Innergia zagrała wokół pierwszego z Oruzonów, gdy prostował się naprzeciw uzurpatora, wprowadzając ład w strukturach własnego kredytu. Choć pałacowi Oruzonowie miotali się wśród ruin, bezsilni i przerażeni, pierwszy książę dysponował jeszcze zapasami setek dusz, które gromadził w sobie w trakcie swego panowania.

Sięgnął do tych rezerw i z całej siły uderzył w Karola.

Ten nawet nie drgnął. Jakby nie poczuł ciosu.

Tym razem pierwszy książę nie zdołał wnikać w innergetyczną istotę przeciwnika. Karol nauczył się manipulować innergią, otoczył się skutecznymi osłonami. Ale, co odkrył pierwszy książę, zmienił się gwałtowniej i dogłębniej. Przekształcił w coś nowego, w wojownika, dla którego nie istniało nic prócz walki i zemsty.

To już nie był człowiek, ale ukierunkowana, obdarzona świadomością furia.

Nie sposób było wygrać z kimś takim.

Pierwszy książę skupił się na obronie. Przecież ktoś musi mu przyjść z pomocą! Bóg nie może ignorować chaosu, jaki tamten szaleniec sprowadził na raj!

Trzeba tylko wytrwać do czasu, aż nadejdą posiłki.

Nadzieja dodała mu sił i pozwoliła uporządkować strategię. Już nie atakował. Budował własne osłony, wzmacniał swoistość własnych sygnatur. I udało mu się spowolnić napastnika!

Mimo to wciąż przegrywał. Ze wszystkich sił wzywał Pana Ougli, a słyszący te litanie Karol Oruzon śmiał się z niego.

Niesłusznie, bo bóg wysłuchał swego wiernego sługi.

Ktoś nowy przyłączył się do pojedynku. Wkradł się między walczących.

Pierwszy książę krzyknął z rozpacz, widząc, że przybył stanął po stronie Karola.

– Mój syn! – ryknął triumfująco Karol, puszczając jeszcze gwałtowniejszy atak.

A wtedy syn ze wszystkich sił uderzył w ojca, rozrywając jego osłony na strzępy od środka.

Karol wrzasnął bardziej ze zdumienia niż z bólu.

„Tak właśnie trzeba” – szeptała hrabina Karim Saveroli u boku Leonarda Oruzona zabijającego wszelkie nadzieje swojego ojca. „Tak trzeba dla dobra świata”.

Wcale nie była tego pewna, ale takiej właśnie okazji nakazał jej wypatrywać człowiek, który najpierw obiecał jej tak wiele, a potem ją zabił, by dotrzymać obietnic.

Odnaleźć księcia po śmierci, trzymać się go i uczynić najpotężniejszym z Oruzonów w raj. I dbać o to, by wsparł nowy ład.

Nawróciła się potajemnie na Pana Ougli, a potem spędziła długie tygodnie w Czyścicu, nim usatyfakcjonowani kapłani wypuścili ją nareszcie. Przedarła się do Oruzonu przez miasta innych istniejących w Panu Ougli zmarłych arystokratów i wszędzie widziała to samo – pławienie się

bogaczy w iluzjach i setki tysięcy biedaków zebrzących o wzmocnienie własnych kredytów.

Nie mogła pozwolić, by Piotr trafił w takie miejsce. Przez przebudowę ciała, jaką wymusiła na nim Służba, byłby pariasem wśród pariasów.

O ile w ogóle trafiłby do raju, a nie został uwięziony w Kapitule i odebrany jej na zawsze.

Człowiek, który ją zabił, miał rację, świat należało zmienić. Dla dobra Piotra.

„Tak właśnie trzeba” – tłumaczyła Leonardowi, gdy odnalazła go w Oruzonie, zagubionego, przestraszonego, rozpaczliwie szukającego kogoś, na kim mógłby się oprzeć. Zainfekowanego przez pierwszego księcia i nienawidzącego go.

Potem Karol Oruzon, jak zwykle brutalny, egoistyczny i bezwzględny, sięgnął po Leonarda i zmienił go na swoje podobieństwo.

Ale ona ciągle była blisko. Czuwała. Odmieniony czy nie, Leonard należał do niej.

Aż nazbyt łatwo przyszło jej go przekonać, by zaatakował ojca, który przecież go zdradził.

„Tak trzeba, to dla jego dobra” – mówiła, a on niszczył marzenia ojca, osłabiał go i pozwalał pierwszemu księciu cieszyć się fałszywą nadzieją na wygraną.

Za ich plecami Dirka Bładawic rozprawiła się z Janem, który leżał teraz nieprzytomny u jej stóp.

Tak jak zaplanowano, Oruzon ogarniał chaos. Jeśli dobrze pójdzie, rozniesie się on na cały Dom Pana Ougli, jednego z najsilniejszych bogów Uczty.

Dirka, zupełnie nie przejmując się faktem, że jej sygnatura powinna rozplnąć się w swojej inergii obcego boga, ruszyła ku walczącym, by wesprzeć hrabinę i Leonarda.

Wszystko układało się po myśli spiskowców niosących nowy ład, tak w niebie, jak i we Wspólnych Przestrzeniach.

I wtedy na polu bitwy pojawił się ktoś, o kim większość zdążyła zapomnieć.

4

– Braciszku?

Dusza kobiety zadziwiła istotę. Jakże naznaczyło ją materialne życie! Wyraźnie odcisnęły się na innergetycznej strukturze ślady ingerencji w ciało i umysł. Z trudem dostrzegała w niej ślady człowieczeństwa.

A jednak, gdy sięgała głębiej, odnajdywała zapisy dziecka, które było jej znajome i bliskie.

Dusza też sięgnęła do ich wspólnych doświadczeń z dzieciństwa. Ich? Swoich i kogoś, kogo ślad istota odnajdywała w sobie.

– Braciszku, wiem, że to ty.

Echa lamentu wciąż otaczały kobietę. Ileż w nim było żalu, ileż strachu! A jednak nawet tutaj, po śmierci, można było wy czuć w niej żelazną wolę.

Co dziwiło istotę, bo sytuacja tak poddającej się za życia odkształceniom kobiety była niewesoła. Żaden bóg nie przyjąłby łaskawie takiej duszy. Kobietę czekał los pariasa.

Resztki człowieka w istocie targnęły się ku kobiecie.

– Tessa?

– Wiedziała, że to ty!

– Coś ty zrobiła, dziewczyno?

– Uratowałam cię, braciszku.

Istota przysłuchiwała się rozmowie umarłej z człowiekiem, który istniał już tylko jako uparte wspomnienie. Wyczuwała niebezpieczeństwo tego spotkania, ale pociągały ją i ryzyko, i ciekawość. Chciała dowiedzieć się o sobie jaknajwięcej, nim podejmie decyzję, kim się stanie.

Uparty człowiek ją intrygował. Rozumiała, że jest skazany na klęskę, jednak czuła szacunek dla jego uporów i przywiązanie do niego samego.

– Zabiłaś mnie. Zabiłaś... Irinę!

Istota drgnęła na to wspomnienie. A inny lament uderzył w nią i pociągnął ku kolejnej duszy.

– Uratowałam nas! – krzyczała za istotą Tessa. – Odnalazłam i uratowałam! Im bardziej się oddalałeś od swojej mocy, tym bardziej rosło ryzyko, że po śmierci się w niej zatracisz! Musiałam cię zabić! Oni chcieli cię dla siebie! Chcieli cię dopaść i przekształcić! Myśleli, że im służę, ale ja chciałam tylko cię uratować. Za wszelką cenę! A to znaczyło, że musiałam cię zabić. Jaknajszybciej! By ocalić z ciebie jaknajwięcej!

To powstrzymało istotę. Choć ten drugi lament tak bardzo ją przyciągał, wywołując dziwne, trudne do pojęcia tęsknoty, poddała się ciekawości resztek człowieka w sobie.

– Nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie rozumiesz! Uciekałeś tak szybko. Nikt ci nic nie wytłumaczył. Twój ojciec...

– Wiem, czym był mój ojciec. Czym było to, co go przekształciło. I pojmuję jego motywy.

– Sam cesarz wszystko mi wyjaśnił, braciszku! Byłeś kluczem, potencjałem. Jedynym człowiekiem, który mógł sięgnąć boskości. Ale im bardziej przed tym uciekałeś, tym mniejsze były twoje szanse w konfrontacji z bytem innergetycznym. Umarłbyś gdzieś ze starości albo w jakiejś bitwie i nie byłoby przy tobie nikogo, kto by cię poprowadził. Stałbyś się jeszcze jednym, może nieco ułomnym bogiem. A na dodatek tamci... Nie mogłam do tego dopuścić!

– Tamci?

– Dotarli do mnie niedługo po agentach cesarza. Służą jakiemuś nowemu bogu, który chce wszystko wyrzucić do góry nogami. Ale jest słaby. Chciał cię dorwać, braciszku, zmienić we własne magazyny mocy.

– Więc mnie zabiłaś.

– I zaraz zabiłabym siebie, by być przy tobie i cię poprowadzić.

– Zabiłaś się? Dla mnie?

– Ktoś inny to zrobił. Ale tak chciałam. Bylibyśmy tu razem, a ja bym cię poprowadziła. Ty i ja. Na zawsze.

– Zabiłaś Irinę.

– Zaatakowała mnie. A kiedy włączyły się programy bojowe, nie panowałam już nad nimi w pełni.

– Zabiłaś Irinę – powtórzył i pozwolił istocie podążyć ku drugiej lamentującej duszy.

A jednak wrócił, chwycił Tessę i pociągnął za sobą. Nie cyborga, w którego się zmieniała, być może rzeczywiście po to, by mu pomóc, ale dziewczynkę, którą kiedyś się opiekował.

Istota obserwowała uważnie ich oboje.

5

Aubert wydał kapłanowi rozkaz, by ten zabrał go do domu. Były ważniejsze rzeczy do zrobienia niż przyglądanie się zagładzie ostatniej nadziei Maski. Teraz, gdy buntowniczy mag i jego as w rękawie przestali się liczyć, należało się zająć porządkowaniem innych spraw.

Kapłan skinął głową.

Czy się uśmiechał?

Świat zawirował i nagle Aubert znów był w swoim gabinecie.

– Teraz muszę odejść – oznajmił kapłan i obecność innergetycznego ducha zeń zniknęła.

Nosiciel jęknął, zemdlał.

Zniesmaczony Aubert odwrócił się od niego, usiadł za biurkiem i wezwał służbę, by zajęła się mięczakiem.

Nikt nie przyszedł.

Aubert zadzwonił raz i drugi. Wreszcie rozłoszczony wyszedł z gabinetu, by oznajmić tym

łażęgom, że mogą sobie szukać nowej pracy.

Zatrzymał się w progu.

Nikt nie siedział przy biurku sekretarza. Żaden z lokajów nie przeżył się przy ścianach.

Tylko jakiś dzieciak siedział na blacie biurka i machał nogami.

Zaraz, nie *jakiś* dzieciak

– Filipie Aubert, jesteś aresztowany – oznajmiła nosicielka Kapituły, na oko może siedmioletnia dziewczynka o pyzatej twarzy czcze okólonej blond włosami, przez które prześwitywały wszczępy Kapituły. Długie, wąskie i pomalowane na barwę blond loczków kable spleciono w dwa warłoczce opadające dziewczynce na plecy. – W imieniu jego cesarskiej mości. Za zdradę, spiskowanie przeciw Wspólnym Przestrzeniom i co tam jeszcze chcesz. Za złamanie umowy ze Służbą także.

– Ugrel... – stęknął Aubert.

– Ugrel już siedzi. – Przerwała mu wesoło dziewczynka. – Kto wie, może spotkacie się w tym samym piekle?

– Piekło? – jęknął.

– Kapituła ma kilka sugestii odnośnie do życia pozagrobowego zbrodniarzy. Wiesz, tych szczególnie wrednych. Na przykład takich, którzy zabijają marszałków.

– Grouchon żyje!

– Już nie. Okazało się, że poczynił stosowne zapisy na taką okazję. A gdy trafił do raju, miał wiele do powiedzenia. Chodźmy prędeż. Nudzisz mnie.

Pierwszy szok minął i Aubert zebrał się w sobie.

– Nie macie prawa! – oświadczył dużo spokojniej. – Wszystko, co robiłem, robiłem w imieniu cesarza. Mam jego pełnomocnictwa. Chcecie kogoś sądzić? Będziecie musieli wysoko sięgać.

Dziewczynka zachichotała zupełnie jak dziecko.

– Ale jesteś zabawny, Aubert! Rozpętałeś wojnę domową, uknułeś spisek mający osłabić cesarza, rozkazałeś ostrzelać i zniszczyć ostatnią Kompanię Eksploracyjną, napuściłeś na siebie nawzajem floty Wspólnych Przestrzeni, doprowadzając do strat, jakich nie poniosły przez całą wojnę. I sądzisz, że po tym wszystkim staniesz przed sądem?

– Istnieją prawa! Cesarz i bogowie są ich rękojmnią!

– Rozpętałeś chaos, Aubert. Nikt nawet nie zauważy twojego zniknięcia.

– No, nie tak zupełnie nikt – odezwał się ktoś za plecami małej.

Aż podskoczyła. Nosicielka Kapituły czy nie, ktoś postanowił w niej zachować kilka dziecięcych odruchów. Zapewne po to, by wzbudzać większą grozę wśród maluczkich.

– Sven Elmson – pisnęła, rozpoznając przybysza. I znów zachichotała. – Wiemy o was, o waszych spiskach. W końcu was rozgryźliśmy. Nie trzeba było zatrudniać Phipple'a, Sven. Kto raz był w Służbie... – Wzruszyła ramionami.

– Zabij ją, Sven – warknął Aubert. – Zabij ją, a przysięgam ci...

– Nie masz już nic do zaoferowania – znów mu przerwała. – Ty biedny durniu, nie rozumiesz nawet połowy spraw, w które się wplątałeś. No, ale ja nie jestem tu po to, żeby ci coś wyjaśniać. Elmsen, Kapituła ma dla was ofertę. Dla was wszystkich. Przegraliście. Możecie tylko negocjować warunki kapitulacji. Masz padł. Cesarz lada moment dowie się o wszystkim.

– Nie wie? – Aubert znalazł swoją szansę. – Cesarz jest ciągle w raju, prawda? O niczym mu nie powiedzieliście! Jesteś tu bezprawnie, do diabła! Sven, zabij ją albo przynajmniej zwiąż i zamknij gdzieś! Jeśli dotrę do cesarza przed nimi, wszystko się ułoży!

– Aubert to karta bita. – Dziewczynka nawet nie zwróciła na niego uwagi. – Teraz, gdy o was wiemy, także bogowie będą ostrożniejsi. Nie macie nic.

– Nie szkodzi. – Elmsen także nie zwracał uwagi na Auberta. – Tak zaczęliśmy. Nie mając nic.

– Nieprawda. Mieliliście sekret. Teraz, gdy już o was wiemy, naprawdę nie macie nic. Prócz szansy. Kapituła nie kocha Uczt, Elmsen. Znajdzie miejsce na nowego boskiego sojusznika. Idź stąd i zastanów się nad tym. Przekaż ofertę swoim, przekaż ją swojemu patronowi. Wiemy, że docieraliście do cesarza, że negocjowaliście objęcie go patronatem. Zapomnijcie o tym. Cesarz zresztą też wam nie ufał, szukał alternatywy. I chyba znalazł ją przed wami.

– To się jeszcze okaże – warknął Elmsen.

– Nie oddamy wam cesarza. Ale możemy zaoferować współpracę. I miejsce w panteonie. To albo wojna i wygnanie, Elmsen. A może nawet śmierć. Idź, rozważ to.

– Masz i Phipple muszą umrzeć, to pierwsze warunki. Znak dobrej woli z waszej strony – zaproponował Elmsen.

– Maszkę już chyba sami dopadliście. A Phipple... – Dziewczynka przekrzywiła głowę, jakby taka poza pomagała jej skupić się na głosach, z którymi pozostawała w stałym kontakcie. – On nie jest pod naszą opieką. Odszedł z Akademii. Nawet pomagał nam nieświadomie.

Uśmiechnęła się niewinnie.

– Róbcie z nim, co chcecie.

– Elmsen! – wrzasnął z rozpaczą i wściekłością Aubert. – Stój!

Sven wyszedł, nawet nie oglądając się na niego.

– Wracając do rzeczy. – Spojrzenie lodowato błękitnych oczu spoczęło na szambelanie. – Jesteś aresztowany, Aubert. Pójdiesz ze mną od razu czy mam najpierw zadać ci ból? Nic już nie masz. Nikt ci nie pomoże. A mnie nie będzie cię żal, jeśli cię ukażę. To jak, stary, głupi przegrany człowieku?

Zrozumiał, że przegrał.

Co mógł zrobić?

Zaatakował ją, w nadziei, że uda mu się zyskać przy najmniej szybką śmierć.

Rozdział 32

1

Pies i istota, istota i Pies, po tym, jak wyodrębnili się z Psa, teraz zaczęli się zbliżać ku sobie na powrót. Być może przychyliła się do tego uczepiona ich Tessa, być może odkryli wspólnotę obaw i niepewności.

Dotykali Iriny.

Istota spijała jej lament, a Pies czytał go jak książkę, jednocześnie starając się przebić do pozostającej w szoku pośmiertnym kobiety, przebudzić ją i utulić.

Biegniemy, zmagamy się ze sobą, z takimi samymi, z uczuciem do ojca. Ojciec pochyla się, głaszcze po głowie, każde dziecko w szeregu. Potem gromadzi nas wszystkich, by opowiadać nam o nas, o naszych ciałach i wolności, jaką dają. Nie ukrywa nic, mówi, że wolność niesie przekleństwo, że gdy inni, umierając, odchodzą w ramiona bogów, my umrzemy inaczej. Umrzeć! Stoimy jedno obok drugiego, identyczne, krótkowłose, z ogniem w oczach i sercach; z ciałami, z którymi potrafimy rozmawiać, których słuchamy i które słuchają nas dzięki Ojcu.

...

Pierwsza śmierć uderza w nas jednakowo, jakby każde z nas umarło. Widzimy po twarzy Ojca, że z nim jest tak samo, i kochamy go jeszcze mocniej, bo wiemy, że mógłby być wolny od tego, że urodził się inaczej niż my i inaczej od nas żyje. Że jego ciało jest inne, że nie musiałby wcale

współczuć z nami. Choć nawet współczuje na swój sposób. Bo my rozumiemy się tak, jak rozumiemy nasze ciała.

Patrzemy na siebie nawzajem i widzimy jakby pomnożonych siebie samych. Każde nasze uczucie, każda myśl, każdy przyrodzony i wyuczony gest są wspólne. Ojciec jest inny, samotny, aż nam go żal. Boli nas ta jego ułomność sprawiająca, że nie może stać się mnogością, jak my. Wiemy, że jest od nas większy, mądrzejszy, potężniejszy, ale wiemy też, jak bardzo niedostępna jest dlań nasza wspólnota. I on pozostaje dla nas niedostępny – nie dzielimy jego gestów i grymasów. Uczymy się ich, wiemy, jak wywołać jego uśmiech, ale nie pojmujemy go tak, jak pojmujemy wszystko, co nasze. Tym bardziej kochamy go za to, że bierze na siebie nasz ból. Choć nawet tu nie jest w stanie przyjąć go w tak pełny sposób jak my.

Coraz bardziej podziwiamy Ojca. Jakże ciężko musi mu się żyć, w obawie przed śmiercią, skoro nigdy jej nie doświadcza!

...

Oh, co za rozpacz! Jakie okrutne uczucie! Co za niesprawiedliwość! Jakie to podłe! Dlaczego, Ojciec? Dlaczego? Czy ty tak chciałeś, czy to ponad tobą? Ale czemu mnie nie ostrzegłeś? Czy nie wiedziałeś, że to się stanie? Musiałeś wiedzieć! Jaka straszna, niesprawiedliwa, podła pułapka! Nigdy byśmy nie pomyśleli, że tak podstępnie możemy zostać skrzywdzeni! I ta nieznośna myśl, że wszyscy tego doświadczają. Że Diamit i Marika wpadli w tę pułapkę wcześniej, ale nie ostrzegli innych. Ale jak mieli ostrzec? Jak to powiedzieć? Czy też doznali wszystkich tych pojęć, dotąd odnoszących się do każdego, tylko nie do nas? Czy byśmy to zrozumieli?

Mikon, miły Mikon szlocha teraz skulony, po raz pierwszy samotny. Czytam jego ciało, rozumiem każde drgnięcie, każdą łzę. Czemu nie mogę płakać? Czy to musiało się stać? A może musiało? Może to jest droga każdego z dzieci? Może tak stajemy się bliżsi Ojcu w jego samotności? Nigdy nie będziemy tak samotni jak on, choć teraz już będę pewnie częściej myśleć „ja”, będę widzieć, jak różnię się od moich braci, a nawet od moich sióstr. Mielibyśmy być sobie jeszcze bliżsi, a staliśmy się tak okrutnie, boleśnie jednostkowi. Patrzę w przeszłość i wiem, że choć zawsze będę dzieckiem, to teraz już będę widzieć i kobiety, i mężczyzn, i Mikonów, i Diamitów, i Mariki, a oni wszyscy będą widzieć Irinę. Będziemy mieli coraz bardziej własne cechy, coraz częściej będziemy myśleć „ja” i „oni”, nie „my”. I pewnie musi tak być.

Jestem silna. Poczuję Mikona, utulę. Spróbuję uspokoić go dotykiem, pocałunkami. To, co nas zniszczyło, może nas scalić? Choć trochę?

...

W walce znów i zawsze jesteśmy sobą. Nawet teraz to my walczymy z tym człowiekiem, który niebacznie, a może odważnie rzucił nam wyzwanie. „Ja-Irina” myśli, że może nawet dobrze by było, gdyby wygrał i gdybym ja mogła stanąć naprzeciw niego i walczyć, ale to cicha myśl, bo

przecież my walczymy. To powinna być prosta walka, choć w ruchach obcego jest coś, co nas niepokoi. Jego gracja niesie zagrożenie, jego pozorna powolność to pułapka, a oczy są jak pełen napięcia spokój przed lawiną – ta sekunda, kiedy już pomruk ton śniegu zacznie zaraz narastać w huk, ale jeszcze nie runęła biała fala, dopiero spręży się do skoku. Takie są jego oczy – tylko pozornie zimne. To oszustwo, to oszust. Wiemy o tym i będziemy się strzec.

Ale ja, tylko ja, dostrzegam w nim potencjał rozkoszy innego rodzaju zmagani. To niebezpieczny typ, ten oszust. Mój cukiereczek. Czuję, jak narasta we mnie apetyt, jak zaczyna drażnić mnie niecierpliwość. Walczymy z nim i wbrew pozorom nie jest to prosta walka, a ja już nie mogę się doczekać, by wziąć go tylko dla siebie.

Jak śmiesznie go nazywają!

„Pies”.

Powtarzam to imię w myślach jak obietnicę.

I może to imię, to wspomnienie sprawiło, że Irina ocknęła się wreszcie.

Aż krzyknęła, bo pierwszym, co zobaczyła, był uśmiechający się do niej łagodnie Pies.

Nawet nie była w stanie dostrzec istoty.

2

Kapłani zniknęli niczym zdmuchnięci, a wraz z nimi zniknęły i ściany Czyścica.

W każdym razie dla tego mężczyzny, który czuł się w tej przechowalni dusz niczym w więzieniu. Inni mogli reagować inaczej. Wielu zmarłych zachowywało się tak, jakby kapłani wciąż czuwali nad nimi, a drzwi do wolności pozostawały zamknięte.

Jewgienij nie zamierzał się nimi przejmować.

Ruszył długim korytarzem, który ku jego zaskoczeniu zakończył się od razu wejściem do zapuszczonego ogrodu, noszącego ślady dawno minionej świetności. Droga, która wiodła zeń, także najlepsze czasy miała już za sobą.

Prowadziła do zapuszczonego miasta, na które składały się głównie rozpadające się rudery niezamieszkałe przez nikogo. Zwrot „miasto duchów” sam przychodził na myśl. Trudno jednak było się nie uśmiechnąć, przecież w raj u wszyscy byli właśnie duchami.

O ile to był raj.

Umierając, Jewgienij obawiał się, że Aubert wykorzystał swoje kontakty, by uniemożliwić mu życie po śmierci. Teraz zaczynał dochodzić do wniosku, że zesłano go na jakieś boskie zadupie, być może coś w rodzaju piekła, by uniemożliwić mu dotarcie do księcia.

Wstępując na służbę do Oruzonów, Jewgienij nawrócił się, jak mieli to w zwyczaju ludzie przyjmujący dożywotnio służbę u jakiegoś rodu, na boga swego pryncypała. Zyskiwał tym samym nie tylko większe wpływy na dworze księcia oraz okazję do szybszego awansu, ale też powiązanie ze znaczącym kredytem po śmierci.

Jewgienij spodziewał się, że jego pan nie zazna spokoju w raj. W związku z czym śmierć, choć uniemożliwiła mu dokonanie zemsty, stanowiła zarazem okazję do wsparcia przedwcześnie zmarłego księcia. Gdy Jewgienij obudził się w Czyścicu, początkowo odetchnął z ulgą. Żył. Aubert nie zdobył się na ostateczne zabicie go.

Później zaczął się zastanawiać, czy nie umieszczono go w jakimś więzieniu. Choć kapłani zapewniali, że to tylko rodzaj hospicjum przygotowującego do śmierci, nie ufał im. Bał się, że będą próbowali innergetycznej indoktrynacji. Że nawet mając najlepsze chęci, spróbują odebrać mu przywiązanie do wartości, jakie wyznawał za życia, i zmienią w nic niewartego anioła bez aspiracji.

A kiedy odeszli, nie tłumacząc wcale, co się stało, został sam z wątpliwościami.

Nawet nie wiedział, dokąd trafił.

Pośród dziesiątek przykurzonych parterowych ruin wypatrzył dwupiętrowy budynek. Stawał czoło entropii. Zachowywał prostą linię, jego ściany, choć pokryte niepokojącą siatką pęknięć, wciąż trzymały pion.

A na piętrze świeciło się światło.

Drzwi ustąpiły bez trudu. Jewgienij wspiął się solidnymi, choć dawno niezamiatanymi schodami. Stał w progu mieszkania i zawahał się.

Nim zdążył zapukać, ktoś otworzył drzwi do wewnątrz.

Śliczna blondyneczka, zarumieniona od biegu i nadziei, spojrzała na niego, sospępniała i westchnęła:

– Och, to nie ty ...

– Poniekąd ja właśnie – odparł Jewgienij.

Uklonił się elegancko, jak przed wielką damą, i przedstawił.

– Sługa księcia Karola Oruzona? – powtórzyła.

– Zna go pani?

– Czy znam? To mój ... – Przerwała i znów się zarumieniła.

A zatem i w niebie książkę zachowywał się po swojemu.

Dobra nasza! – uznał Jewgienij. Nie wszystko stracone.

– Szukam go – wyjaśnił szybko. – Śmierć nie zwalnia od służby. Czy może mi pani wskazać drogę, panno...

– Eiho. – Dygnęła, prosto, po mieszczańsku. – Obawiam się, że przybył pan za późno. On...

I rozpląkała się, a Jewgienij poznał pośmiertną historię księcia. Zrozumiał z niej tyle, że gdzieś daleko, albo wcale nie, toczyła się bitwa, a jego pan był, jak to miał w zwyczaju, w samym jej środku.

Krótko mówiąc, oznaczało to, że Jewgienij ciągle był potrzebny.

Eiho, choć Karol kazał jej czekać w domu, aż walka dobiegnie końca, nie trzeba było długo namawiać, by zaprowadziła Jewgienija do pałacu Oruzon.

– Dawniej trafili by pan tam sam. Bez trudu – tłumaczyła mu, gdy pospiesznie szli brzydkimi, zniszczonymi ulicami. – Ale ostatnio wszystko zaczęło się psuć. To miasto jeszcze wczoraj było piękne, pełne życia. A dziś... – Chlipnęła.

Naprawdę rozpląkała się, dopiero gdy dotarli na pobojowisko.

– Te zgłiszczą to pałac? – domyślił się Jewgienij. – Poczekaj tu na mnie.

Ruszył, kierując się ku rozbłyskom światła i odgłosom walki dobiegającym spod kikutu wieży stojącej pośrodku ruin. Jeśli gdzieś tu przebywał Karol, to musiało być właśnie tam.

Minął pojękującego, próbującego wstać starca, z którego rozbitej głowy sączyła się ciemna krew. Kiedy indziej pomógłby mu może, ale teraz nie miał na to czasu. Wojna to wojna, należy liczyć się ze stratami. A starszuczkowie bez wprawy w wojowaniu powinni trzymać się z daleka, bo mogą oberwać. Jak na przykład ta grupa patałachów, której się zdawało, że może potraktować Jewgienija jakbyle ofiarę.

Czaili się za jedyną ocalałą ścianą czegoś, co kiedyś mogło być kapliczką. Wypadli zza niej, wrzeszcząc coś nieskładnie. Jewgienij uznał ich intencje za oczywiste. Uchylił się przed pierwszym ciosem i solidnym kopniakiem odrzucił wysokiego mężczyznę w resztkach całkiem eleganckiego niegdyś fraka. Gdy ten upadł bezwładnie na ziemię, Jewgienij zajął się pozostałymi.

Nie stanowili dla niego wyzwania, choć po śmierci nie mógł korzystać ze wsparcia plusmysłu. Bogowie nie pozwalali na takie zabawki w raju.

Czy korzystał teraz ze swojego kredytu, czy z kredytu Oruzonów? Nie był pewien. W każdym razie wystarczyło go, żeby pokonać bandę obszarpańców, zapewne jakichś żebraków, którzy przybyli złupić pałac.

Cały ten raj wydawał się Jewgienijowi niepokojąco materialny i podobny do ludzkiej rzeczy wistości z jej najgorszych okresów.

Kiedyś będzie musiał się dowiedzieć, o co właściwie chodzi w życiu po śmierci.

Kiedyś. Teraz nie miał na to czasu.

Dostrzegł Karola, oczywiście w bojowym kombinezonie.

Książę leżał bez sił, a dwóch mężczyzn, w jednym z nich Jewgienij rozpoznał Leonarda Oruzona, i dwie kobiety pochylały się nad ciałem. Leonard starał się powstrzymać wielkoluda w dziwnych, przypominających kapłańskie szatach. Kobieta – Jewgienij poznał hrabinę Karim Saveroli – pomagała mu. Druga, której Jewgienij nie znał, tylko przyglądała się całej trójce.

Ruszył ku nim biegiem.

– Hola! – zawołał. – Co tu się dzieje?

– Jewgienij! – Hrabina pobladła.

– Mój ojciec... – Leonard zawahał się, a wielkolud wykorzystał okazję i rzucił mu się do gardła.

Jewgienij skoczył pomiędzy nich. Odrzucił osłabionego Leonarda, a wielkoluda poczęstował serią ciosów w korpus. Mężczyzna zachwiał się. Zaryczał wściekle. Spojrzał gniewnie na Jewgienija, chciał chyba coś powiedzieć, ale majordomus Oruzonów nie zamierzał dać mu na to szansy. Kopnięciem w twarz posłał tamtego na ziemię.

– Leż tu! – warknął, widząc, że tamten próbuje wstać.

Trochę go to zdziwiło. Po takim kopniaku powinien paść nieprzytomny. Możliwe, że w raju działało to jakoś inaczej.

I wtedy hrabina spróbowała uderzyć Jewgienija wyciągniętym spośród gruzów kawałkiem drąga.

Uchylił się odruchowo, wiedziony przecuciem.

– Co jest?! – krzyknął. – Pani!

Ustępował jej pola. Szarżowała na niego, machając drągiem zupełnie bez szermierczej wprawy, ale zawzięcie. Powinien był rozbroić ją bez trudu, ale nagle poczuł się dziwnie słaby. Opanowało go poczucie, że cała ta walka nie ma wielkiego sensu. Że zaplątał się w nią przypadkowo, nie wiedząc, ani o co toczy się gra, ani kto po czyjej stronie bierze w niej udział.

Kątem oka zobaczył, że Leonard znów pochylił się nad ojcem. Położył dłonie na jego piersi, a potem nacisnął i dłonie zaczęły zapadać się w klatce piersiowej Karola, wnikać w nią.

Karol jęknął, drgnął, ale nie odzyskał przytomności.

Jewgienij poczuł smutek. Zdrada! Zdrada z tak bliskiej, nieoczekiwanej strony.

Nie miał już po co żyć.

Zatrzymał się, oczekując ciosu.

I wtedy na hrabinę wpadła Eiho, która najwyraźniej nie zamierzała już słuchać ani Karola, ani Jewgienija. Krzyżąc, powaliła kobietę na ziemię i zaczęła okładać ją pięściami.

Jewgienij przyglądała się temu bez słowa. Nic nie obchodziła go już cała ta walka. Pragnął tylko uklęknąć i odpocząć w blasku swego jedyne go prawdziwego pana, wielkiego pierwszego księcia

z Oruzonów, który w pełni swej chwały wybaczył mu atak i teraz opierał się na swym nowym słudze, spijając z niego rejestry innergetyczne i transformując go w siebie.

W pewien sposób majordomus rozumiał, co się działo. Tracił siebie, jakim był, na zawsze. To, czego nie dokonał Aubert, uczynił pierwszy z Oruzonów. Leonard zdradził, hrabina zdradziła, wszyscy przegrali.

Będzie, co ma być. On jest zbyt słaby, by to zmienić, podobnie jak zbyt słaby był Karol i zbyt słaba była ta pocieszna dziewczyna, Eiho, która nie wiedzieć skąd brała jeszcze siły, by walczyć. I dwóch starców, którzy zmiierzali ku nim, wspierając się na sobie nawzajem, też było zbyt słabych, cokolwiek zamierzali. Jeden wciąż krwawił z rozbitej głowy, a drugiego Jewgienij widział chyba na jakichś portretach.

Wyglądali na zagniewanych.

Zabawni staruszkowie.

3

Berakumierał.

Nie udało mu się dokonać zemsty. Zabójca okazał się zbyt silny. Skądkolwiek czerpał wspomaganie, okazał się za dobry dla agenta Służby.

Wymienili dwa ostatnie ciosy i tamten zostawił Berakę. Nie zamierzał tracić na niego czasu i sił. Zaczął uparcie czołgać się ku ocaleniu. Zapewne miał gdzieś w pobliżu barkę, którą spodziewał się uciec ze statku, nim ten zostanie zniszczony przez flotę.

Co przy pomniało Berakowi o flocie.

Powinna już ich dopaść, rozerwać na strzępy.

Co tam się wyprawiało, do cholery?

Zresztą, jakie to miało znaczenie. Jeśli zabójca nie kłamał, hrabina wystrychnęła go na dudka. Sprzedała za lepszą nieśmiertelność. Należała do agentów tej tajemniczej siły, która rozgrywała Wspólne Przestrzenie wedle własnych zachcianek

Nie potrafił się na nią gniewać. Jeśli coś naprawdę go złościło, to myśl o tym, że umrze w niewiedzy.

Zmobilizował resztki sił i spróbował poczołgać się za zabójcą.

Umierający czy nie, wciąż dysponuje wewnętrznymi mechanizmami, które powinny jakiś

czas utrzymać go przy życiu. Prawie czuł, jak wewnątrz jego ciała wspomagacze immubiologiczne Służby i nanonity medyczne uwijają się w rozpaczliwym pośpiechu starając się ratować, co się da.

Zmusi je do jeszcze odrobiny wysiłku.

Wysłannicy wiernych szukający Włodzimierza znaleźli go w kałuży krwi ledwie kilka metrów od hangaru, do którego doprowadziły go ślady krwi zabójcy.

Sprawdzili puls. Zmartwieni pokręcili głowami.

Potem jeden z nich wypowiedział serię słów, których translator Beraka nie umiałby przetłumaczyć, nawet gdyby miał komu. Wyłowił tylko jedno znajome słowo: „Maska”.

4

Odrąbali potworowi ramiona. Najpierw jedno, potem drugie.

Ponieważ wciąż pełził ku mężczyźnie w kablach, posiekali go na kawałki.

Rachuba przyglądał się temu oparty o ścianę. Nie miał sił się ruszyć. Dziwnie huczało mu w głowie.

Patrzył to na chuderlaka w kablach, to na Maskę, który przybiegł w otoczeniu kundli.

Mieli prawie identyczne twarze.

Bracia?

Nie bracia.

Coś jakby klony (skąd znał to słowo? Samo wypłynęło z głębi jego pamięci).

– A więc to tak – odezwał się, bo tak kazał mu szum w głowie. – Słynny Maska. Jeden i drugi.

Ukradłeś mi innergię i sam z siebie zrobiłeś silnik swojego statku. Nawet zachowałeś nazwę starego.

O czym on, do cholery, mówił?

Szkarłatna Maska, którego znał, spojrział na niego przy mrużonymi oczami.

– Ty? – zapytał.

– Ja – odpowiedział Rachuba, choć, do wszystkich diabłów, to wcale nie był on. – Dopadliśmy cię wreszcie.

– Wszystko po to, by mnie dopaść? Cała ta wojna?

– Wiesz, że nie.

– Wiem – odpowiedział teraz Maska z łabli, człowiek-silnik innergetyczny.

– Jesteś prawie bogiem – odezwał się do niego Rachuba. – Ale tylko dzięki mojej innergii. Umrzesz, a ten twój kłon nawet nie jest prawdziwym innergetykiem. Wygrałem. Nie powstrzymałeś mnie.

– Powstrzymałem. Powolna Flota wciąż istnieje. Odnajdziemy Ziemię i Gaję. I wszyscy już wiedzą o tobie. Koniec kłucia w ciemności. Będziesz musiał stawić czoło ludziom i bogom.

– Naiwny głupiec!

– Zabij cie go – polecił kłon, wskazując Rachubę kundlom. – Jest opętany!

Rachuba poczuł, jak szum w jego głowie próbuje stawić opór, przejść na któregoś z kundli. Wszystkie jednak chroniły usprawienia Maski.

Czemu, do cholery, mag nie osłonił jego?

Niech to szlag. Nie wróci już do Mai.

Musiał mieć halucynacje, bo wydawało mu się, że wbiegła do maszynowni.

5

To, co było jeszcze Psem, nie słuchało napomnień Tessy, by zajęli się wreszcie poważnymi sprawami, nie przyjmowało do wiadomości, że czas przecież płynie.

Istota natomiast śmiała się z tego. „Czas! Czas!” – powtarzała. Jakby miał jakiegokolwiek znaczenie, ten czas.

Dotykał trzeciego lamentu.

Zdziwili się jego melodią. Właściwie nawet nie melodią, a pojedynczą nutą.

Kostek tęsknił za swoim jedynym przyjacielem, prawie bratem, niemal częścią siebie.

– On tam umrze. Nieszczęśliwy i samotny.

To poprzez Irinę, wtuloną w to, co uważała za duszę Psa, zrozumieli, że miał na myśli swój kombinezon. Ten dziwny sztuczny twór stanowiący drugą skórę kawalerzysty. Coś, co on sam uważał za żyjącą istotę.

Nie było dla niej miejsca w innoświecie. Nie tylko dlatego, że bogowie nie lubili sztucznych ulepszczy ludzi, lecz także dlatego, że przedmioty nie miały dusz.

Przenoszono w innoświat całe floty, czemu więc nie można by przenieść jednego kombinezonu? – upierał się Kostek, gdy zrozumiął, że jakiś bóg pochyla się nad nim i rozumie

jego lament.

Kombinezon nie mógłby się stać częścią boga, jak ludzie, wyjaśniła istota. Poczula niepokój, dostrzegając współczucie Psa. Należało interweniować, inaczej wszystko pójdzie na marne. Dość już tego mazgajstwa! Sięgnęła ku niemu, by roztopili się w sobie ostatecznie.

I nagle Pies znów poczuł, jak innoświat napiera na niego i zmusza do otwarcia się na siebie. Zabrakło mu sił do stawienia oporu. Znajoma innergia, która czekała na niego tak długo, wdarła się weń, napełniając nowym rodzajem świadomości. Przerażającym i pełnym.

Dotykał całego innoświata. Czuł prądy i fale innergii i przekształcał je poprzez samo to, że je wyczuwał. Stawały się podobne jemu, a on był już czymś innym niż potencjałem.

Teraz stawał się twórczym światem w bezkresie istnienia.

To było zbyt wiele dla Psa, zbyt wiele dla każdego człowieka.

Jego ładunek innergetyczny rósł i przemieniał się pod wpływem potęgi, która usadowiła się w nim. Wobec niewyczerpalnego właściwie potencjału Pies gasł z wolna, rozpraszając się w ogromie innergetycznej swoistości.

Bronił się jeszcze.

– Dlaczego? – pytał. – Dlaczego nie zostawił mi jakiejś instrukcji obsługi? Jakiegoś przesłania?

– Bo w subiektywnym wszechświecie nawet proste słowo od niego wpłynęłoby na mnie, wypaczając tworzące się istnienie – odpowiedział sobie. – To nie miał być on, to miało być coś nowego, czystego. Od niego dostaję całą innergetyczną potencjalność, od Psa ludzką otwartość na różnorodność i jej zrozumienie. To, co powstaje, będzie potrafiło zrozumieć i połączyć oba światy, jak nic i nikt wcześniej. Nie jestem prostym przepisaniem informacji zawartej w duszy ani przebudzonym bytem innergetycznym. Staję się czymś pomiędzy.

Ostatkiem sił Pies pomyślał, że to jest coś, z czym mógłby się pogodzić, co przyjąłby wręcz z ulgą. Nowe istnienie, szansa, jakiej nikt nie dostawał. Jeszcze ciągle rozumując jak człowiek, pomyślał, że to coś obudzi się wolne od ludzkich ciężarów i boskich ograniczeń. Ta myśl sprawiła mu przyjemność.

I gdy już gasł, gdy już prawie go nie było, a nowe istnienie wykuwało się z popiołów po nim, to, co przemijało, i to, co się zaczynało, uświadomiło sobie, że pomimo wszystkich starań i zabezpieczeń umarłego boga nie udało mu się przekazać swemu następcy nieskalanego spadku.

Trzy dusze, których nie powinno tu być, bo przypisano je innym bogom, trwały przy Psie zdumione i przestraszone.

Nie zamierzały go opuszczać.

Rozdział 33

1

Krzyczeli na siebie. Wszyscy. Bogowie w nosicielach i nosiciele poprzez i pomimo bogów. Ci, którzy w pełni pozostawali sobą i zgadzali się z kapłanami, oraz zwolennicy Jana. Uwalniali gniew, oburzenie i nadzieje.

– To przez takich jak wy wybuchła wojna! – Może człowiek to krzyczał, może bóg, a może obaj?

– Wojna z powodu ideologii to tylko pewien rodzaj dyskusji – odpowiedział, uśmiechając się, Jan.

Pozostawił sobie ranę głowy, choć zatamował krwawienie. Niech inni zobaczą, co się stało.

Przyciągnął za sobą i Karola, i Eryka, i Leonarda, Eiho, pierwszego księcia i tego nowego, Jewgienija.

I Dirkę Bładawić, którą pokazał im wszystkim wraz z innergetycznym łańcem, które pozwalało jej dowolnie wędrować między Domami dzięki wstawiennictwu boga, o którym nie wiedzieli.

Część z nich pomyślała, że ów bóg to Gaja w przebraniu.

To nie postęпки Oruzonów tak oburzyły ich wszystkich. One uwolniły tylko obawy i gniew Pana Ougli i jego zwolenników. Dla Pana Ton to, co wydarzyło się w Oruzonie, dowodziło nieskuteczności dotychczasowych metod kontaktu między ludźmi i bogami.

Jan przyglądał się temu zarazem zasmucony i rozbawiony. Oto bogowie, próbując zrozumieć ludzi, poróżnili się między sobą. Czy dotknięcie chaosu mogło stanowić dobry początek

prawdziwej komunikacji? Czy z emocji mogło wyrastać zrozumienie? Nie po raz pierwszy pomyślał, że brakuje im wszystkim pasterza, i jak zwykle uciekł od tej myśli.

Pasterze zbytnio kojarzyli mu się z treserami. Jeżeli jacyś ludzie mogli popełnić kiedyś błąd prowadzący do nędzy obecnej sytuacji, on z pewnością do nich należał.

Pan Ton opowiadał o samotności i ślepotcie. O tym, jak czuł się coraz bardziej wyobcowany, jak zaczął rozumieć, iż oba światy potrzebują czegoś więcej niż tylko prowizorki początkowych umów. Opowiadał o potrzebie zmiany, jakby nie przegrał wojny, jakby wcale jej nie było i znów można było zacząć rozważać możliwości, które tak krwawo zostały odrzucone.

– Czym jest wojna? – zapytała Pani Tsi*Tsilli ustami i słowami swojej nosicielki. – Czy nie toczymy jej teraz?

Sargass musiał przypomnieć sobie uniesienie i upojenie walką, bo Pan Ton przejął jego odczucia i oddał je po swojemu, w sposób dla Jana niedostępny. Mnogość i intensywność wrażeń przyciągnęła do buntowników kilkanaście bóstw.

Nie poprzestali na tym. Buntowniczy generał opowiadał o intrygach jako o wciągającej grze stającej się z czasem celem samym w sobie. Opowiadał o nocach poświęconych na układanie strategii, o żołnierzach, którzy w bitwie stawali się najbliższymi mu ludźmi, i o tym, że w pełni był sobą właśnie podczas walki. Wciąż wskazywał bitwę na przedpolach Oruzonu, wykorzystując ją jak ilustrację dla swej przemowy.

– Po co jest wojna? – zapytała Pani Tsi*Tsilli.

Sargass się zawahał. Nie oddał jednak głosu Panu Ton, by znów podjął się niedoskonałego tłumaczenia. Obaj się zgodzili, że bogowie powinni podjąć trud zrozumienia ludzi na ich własny sposób. Spróbował odpowiedzieć innymi słowami, ale wtedy nosicielka bogini położyła mu palec na ustach. Przez chwilę milczeli w czwórkę w oceanie rozognionych dyskusji.

– Wojna jest sposobem komunikowania się, jedną z metod językowych – powiedziała kobieta, a może bogini. – A język jest formą istnienia świata. To, co bogów w wojnie fascynuje, to że nigdy jej nie doświadczyli. Czy wiecie, ludzie, czym jest samotność bogów?

Nie zabierała palca z jego warg. Pokręcił więc tylko głową.

– Ludzie są podobni do siebie. Bogowie się różnią. To przekleństwo subiektywnego wszechświata. Każdy nie tylko rozwija się samoistnie, ale i sam wedle siebie przekształca swoje postrzeganie i nazywanie wszechświata. Każdy jest inny w innym wszechświecie, inaczej nazywanym. Tysiące, setki tysięcy, miliardy wręcz innych istot trwały tu, nawet nie będąc w stanie dostrzegać się nawzajem. Ludzie uważają, że byliśmy pozbawieni świadomości i języka. To nieprawda. Mieliliśmy je, ale każdy jednostkowy i każdy inny. Nawet nie mieliśmy jak ujrzeć innych, tak bylibyśmy różni. To jest właśnie samotność bogów, ludzie. A czy wiesz, generale, czym jest ludzkość?

Znów pokręcił głową. Jan także zachował milczenie. Miał swoje teorie i odpowiedzi, żadna z nich nie mogła być prawidłowa. Nie tu i nie teraz.

– Ludzkość jest jedynym wspólnym językiem bogów – odpowiedziała. – Jest podobieństwem, poprzez które możemy kontaktować się między różnościami. Podobieństwem, którego rozpaczliwie pragniemy i potrzebujemy. Spotykamy się i porozumiewamy wyłącznie poprzez was. A wy także okazujecie się tak różni, co odkrywamy. Ileż komplikacji to wprowadza! Spójrzcie! Wy widzicie tu spory, które złością was i smucą. Ja widzę możliwość prowadzenia sporu, a nawet kłótni, co bezgranicznie mnie raduje, bo to więcej niż miałam przez całe samotne życie.

– Ale w ten sposób do niczego nie dojdziemy! – zaprotestowali generał i bóg, którego nosił.

– Tak My, bogowie, musimy w końcu przestać się bawić i wreszcie dorosnąć. Panie Ton, i ty musisz to zrozumieć. Walka o zmianę była tylko jeszcze jednym rodzajem zabawy. Skończmy to.

– Jak? – zapytali.

To Dirka im odpowiedziała.

– Reprezentuję kogoś, kto ma doświadczenie w kontaktach z istotami czasu i obiektywności – oznajmiła. – On może wam pomóc, jeśli mu zaufacie. Spędził tysiące lat, żyjąc wspólnie z całą cywilizacją. Nauczyciel was.

– Tamta cywilizacja umarła – wtrącił się Jan, który zdążył już przejrzeć rejestry Dirki i odnalazł w nich historię załogi niewielkiego statku *Merlin*, która odkryła w pustych, dalekich przestrzeniach stary okręt, jak mylnie sądzili, pochodzący z Ziemi.

A na nim spotkała cień zrozpaczonego, samotnego boga, który od blisko trzech tysięcy lat nie miał kontaktu z nikim żywym. Jedyne boga istot, które umarły dla niego, nim zdążyły napotkać ludzkość.

– Dlatego on zna już swoje błędy – odparła Dirka. – I widzi, jak je powtarzacie.

– Powtarzamy? – zapytał Jan. – Przyszykowaliście spisek opętaliście ludzi. Kłamaliście, doprowadziliście do wybuchu wojny. To wy ściągnęliście z obcych przestrzeni starożytne okręty, którymi zniszczyliście Cesarzkę. Przyprawiliście o szałość Unrę, która wysadziła Merkul. Zainfekowaliście Domy. I śmiecie mówić o naszych błędach?

– Tak. Bo tylko opieraliśmy się na słabościach ludzi i bogów. Nasz pan jest stary. Starszy nawet od Gai. Nie chcecie skorzystać z jego doświadczenia?

Chcieli. Jan widział to w twarzach ludzi, czuł fale ciekawości płynące od bogów.

Obcy bóg. Stary.

Cóż za okazja do poszerzenia wrażeń i doznań.

Jan sam cieszyłby się na taką okazję.

Gdyby nie zobaczył ruin Oruzonu i Dirki czerpiącej radość ze zniszczenia.

Obcy, jak zrozumiał, nie chciał nikomu pomagać. Chciał świata dla siebie.

– Jest jeszcze ktoś – przy pomniął zebrany m.

– Istotnie – odezwał się Majestat głosem, w którym pobrzmiwało echo głosów wszystkich cesarzy. – Jesteśmy jeszcze my. Nie zdecydujecie o kontrakcie z nowym bogiem, póki nie wyrazimy na to zgody.

Pan Ougli poruszył się niespokojnie. Pan Ton posmutniał. Dirka uśmiechnęła się triumfująco.

Majestat podniósł się z tronu.

– My, cesarz Wspólnych Przestrzeni, Ludwik III w świętych obcowaniu, ogniwo w łańcuchu wszystkich cesarzy, postanawiamy ...

– Chwilunia. – Przerwał mu ktoś stojący między ludźmi i nosicielami bogów. – Jestem nowy i nic nie rozumiem, ale coś mi mówi, że mam trochę do dodania.

Część zebranych prawie zdążyła zapomnieć o żołnierzu, który jeszcze nie tak dawno znajdował się w centrum uwagi.

Innergetycy i nosiciele bogów aż cofnęli się od uczuć, jakie od niego były. Pan Ougli jęknął rozziewając, a Pan Ton zapłakał.

Dirka warknęła.

Majestat, jeśli nawet coś poczuł, postanowił zignorować język bogów, którego i tak nie pojmował.

– Nie przyszliśmy tu, aby rozmawiać z byle kim ...

– Ja nie jestem byle kto – przerwał mu żołnierz, co było tak nie do pomyślenia, że Majestatowi zabrakło słów, by protestować. – Zapytaj bogów. Należę do nich. I zbieram nawrócenia na mnie. Pokażę wam moich przysiężonych wiernych.

2

Okręty w przestrzeni. Płynąc wśród dogasających strzępów i potrząskanych kadłubów, kierując ogień ku bezbronnym podróżnikom z innych czasów, otrzymują rozkaz od cesarza, który łamie wreszcie blokadę i nakazuje im przerwanie akcji. Zbyt późno. Wystrzelone rakiety już prawie dotykają starożytnych kadłubów, już zaczynają się eksplozje.

Żołnierze brną pod górę nieświadomi, że zostali wysłedzeni i otoczeni. Cesarscy sarkają na ociągających się żołnierzy generała Bentona. Nie czekając na nich, otwierają ogień. Szczurzy Zad klnie. Pada, pociągając za sobą Kurdupła Jo, ostrzeliwują się zawzięcie. Wciąż mają szansę, ale nie wiedzą, gdzie jeszcze może czyhać wróg.

I do nich cesarski rozkaz wstrzymania ognia dociera zbyt późno.

Mausen wrzeszczy na Cesarskich, pyta Bentona, czy ma teraz ich ostrzelać. Benton zwleka z odpowiedzią. Patrzy bezradnie na Spasoffa, ten zaciska usta w gniewie i rozpaczy.

Tej walki nie da się już powstrzymać.

Kule uderzają coraz bliżej setnika. Kurdupel Jo nie wytrzymuje, podrywa się, by uciec stamtąd jak najszybciej. Dokądkolwiek. Seria pocisków zaraz go złamie, ciśnie na ziemię, potrąskanego i zakrwawionego.

*

Drobna brunetka zasłania własnym ciałem niewielkiego, leżącego bez sił żołnierza, do którego celują kundle Szkarłatnej Maski.

Są dwie Maski i kłócą się między sobą.

Mały żołnierz, co widzą i rozumieją wszyscy bogowie w Świątyni, został opętany przez obcego boga. Jego swoista dusza jest przy tłumiona, umysł na wpół uśpiony.

I nagle bóg zaczyna tracić opętanego nosiciela. Coś go zeń wypycha.

Bóg się miota. Nie rozumie.

Aż znika.

Rachuba budzi się i widzi Maję.

3

Cesarz opuścił Majestat wściekły.

Nie udało się! Agentka zawiodła i ten przekłety bóg-człowiek się usamodzielił. Jak mogło do tego dojść?

Nic nie wyjdzie też raczej z nowego boga. Czwórka go dostrzegła i nie przyjęła do Uczy na

znaczącym miejscu. Tu przynajmniej wszystko można było jeszcze rozstrzygnąć.

Szybko wydał rozkaz zaprzestania ataku na Powolną Flotę. Odwołał wszystkie rozkazy Auberta i wydał nakaz aresztowania szambelana.

Skoro nic nie wyjdzie z zakładania nowego Cesarstwa po śmierci, może przynajmniej uda mu się przeprowadzić prawdziwą reformę Wspólnych Przestrzeni? Bez knucia Auberta były jakieś szanse powodzenia.

Ludwik III wściekle potrzebował sukcesu. Odkąd poprzedni cesarze dowiedzieli się o bogu obcych i o tym, że Ludwik z nimi knuł, zapalali wściekłością, która prawie ściągnęła ich do świata żywych.

Będą czekać na niego na tamtym świecie i obrzydzą mu wieczne życie do cna. O ile jakoś się od nich nie odetnie.

Czy przynajmniej zdążył uratować zaginioną Kompanię Eksploracyjną?

Ciągle nie mógł się przyzwyczaić do tego, że czas Świątyni biegł niezależnie od czasu we Wspólnych Przestrzeniach. Wydawało mu się, że spędził tam wiele godzin, podczas gdy tu minęły ledwie minuty.

Starczyło ich na niezłą bitwę.

Ale zdążył.

Będzie musiał jakoś się dogadać z tym przeklętym Maską, teraz reprezentantem KE.

Tylko z którym, skoro było ich dwóch?

Zachichotał nerwowo.

Przynajmniej bogowie też mieli twarde orzech do zgryzienia. Klonowanie połączone ze sztucznym multiplikowaniem duszy. Bóg obcych. Wojna w raj. Reformy i przybycie bogatymacza, który miał w nowy sposób nauczyć ludzi i bogów porozumiewać się ze sobą.

Przypomniał sobie, jak zaczęli nagle znikać ze Świątyni. Jeden po drugim bogowie opuszczali największe zgromadzenie w historii, tracąc zainteresowanie sprawami zmarłych.

Wszystko przez to, co pokazał i powiedział im ten przebudzony bóg, który też zniknął, ledwie skończył swoją przemowę.

„Znajdziecie mnie, jeśli zechcecie” – powiedział im.

Przyjemniaczek. Może warto bliżej się z nim zapoznać? Poniekąd był podwładnym cesarza, skoro wciąż służył w jego armii. Ciekawe. Czy dałoby się to jakoś wykorzystać?

Mieli o czym myśleć.

Przy odrobinie szczęścia może zapomną o jego grzeszkach.

Może uznają, że wystarczającą karą będzie klęska wszystkich jego planów?

Na jakiś czas lepiej dla niego będzie zapomnieć o boskich sprawach i zająć się doczesnością.

Będzie musiał zastąpić kims Auberta. Przyda mu się nowe stronnictwo w Senacie. Zaraz, jak

się nazywał ten mało znaczący głupiec, który jako pierwszy zaczął szerzyć plotki o tym, że na Auberta spłynęła cesarska niełaska?

Rozdział 34

Najpierw przybyli do znanego sobie, porzuczonego dominium. Obserwowali odmienione struktury i komentowali zmiany w ograniczonych językach zapożyczonych od ludzi i poprzez wrażenia, których nazwy też znali dzięki istotom z materialnego wszechświata.

Potem zaczęli szukać Pana odmienionego Domu, zaniepokojeni i zaciękawieni tymi zmianami.

Odnaleźli go pochylonego nad jakimś przedmiotem, wokół którego tłał innergetyczne linie przy użyciu tak własnych zapisów, jak i sygnatur człowieka.

Jeden z bogów zaprotestował, rozpoznając swojego wiernego. Pozostali go uciszeli, zafascynowani dziełem nowego boga. Już widzieli, że nie jest to ich stary brat.

Kolejne protesty się odezwały, gdy bogowie zorientowali się, co robi nowe bóstwo. Tak nie wolno! Co to znaczy – dawać duszę przedmiotowi!

Bóg skończył pracę i wyciągnął przed siebie swoje dzieło. Wtedy dusza kawalerzysty przyjęła coś, co się stało duszą kombinezonu, i połączyła się z nią.

– Czy to naprawdę on? – spróbował upewnić się nieśmiało Kostek

– Jak ci się wydaje?

– Czuję, jakby to był on. Ale może to ułuda?

– Zrobiłem, co mogłem – odpowiedział bóg. – Przebudowałem innergetycznie jego systemy, dodałem mu część siebie i część ciebie. Musiał... – zawahał się.

– Umrzeć? – odpowiedział Kostek

– Musiał tam umrzeć – przytaknął bóg. – Myślę, że to prawdziwy on.

– Dziękuję.

– Proszę. Możesz wrócić do swojego boga. Stoi tu bardzo zdenerwowany.

– Jest tu? – Kostek rozejrzał się zakłopotany. Z jego punktu widzenia siedzieli we czwórce

w warsztacie kawalerii.

– Wszyscy tu są. – Nowy bóg wyprostował się i zwrócił do bogów: – Hej, kuzyni i kuzynki! Widzę was! Może ukązecie się moim przyjaciołom? Najlepiej pod postaciami ludzi, bo oni nie widzą innergetycznych splotów. I spróbujcie, z łaski swojej boskiej, mówić po ludzku.

– Mógłbyś uczynić ich takimi, żeby widzieli. – To, co nie jest Psem, nowy bóg, odbiera przełaz Pana Ougli spełniającego, jak pozostali, życzenie nowego towarzysza. To napełnia go satysfakcją, posiada przecież wspomnienie zapisane w zachowanym dlań wzorcu innergetycznym, mówiące, że po to właśnie umarli tamci dwaj – bóg i Pies, by mogło narodzić się coś rozumiejącego język bogów i język ludzi.

Panu Ougli bardzo nie spodobał się ten nowy bóg. Było w nim coś niepokojąco obcego. Zamiast jaśnieć w inności, wolał przebywać ze zmarłymi w ułudzie materialności. Miał na razie trzech wyznawców – tego kawalerzystę i dwie kobiety, związane z nim jak żaden człowiek nie był nigdy związany z bogiem.

Wszystkich ukradziono innym bogom, Pan Ougli nie sądził jednak, by ktokolwiek wniósł skargę. Kobiety były nieczyste. Jedną obrzydliwie przekształcił Maska, drugą przebudowano technicznie w takim stopniu, że pozostawiło to nieusuwalne – gdyby mieli zachować osobowość – ślady w duszy. Kawalerzystę okaleczono podobnie, choć w mniejszym stopniu.

– Mógłbym – zgodziło się nowe bóstwo. – Ale nie chcę. Wystarczy już, że ten, którym byłem, musiał... – Zawahała się i obejrzała na kobiety. – Musiał prawie że zniknąć.

– Co teraz? – zapytał Pan Ougli, ale Pani Tsi-Tsilli nie pozwoliła nowemu bogu udzielić odpowiedzi.

– To złe pytanie! – wtrąciła się. – Powiedz nam, jak masz na imię. Jak mamy cię nazywać?

Widzieli go w innergii, ale jego nowa sygnatura im się wymykała. Trudno im było znaleźć na nią właściwe określenie. Należało też do etykiety, że nowo przebudzone bóstwa, po przysposobieniu, same wybierały sobie imiona. Intuicja podpowiadała bogini, że ten dzieciak nie będzie potrzebował szkolenia.

– Pies – odpowiedział nowy bóg po chwili zastanowienia. Napięcie, z jakim wpatrywały się weń dwie kobiety, wyraźnie opadło. – Myślę, że to dobre imię.

– Pan Pies – oznajmił więc Pan Ougli, promieniejąc zdegustowaniem.

– Po prostu Pies – sprostowało nowe bóstwo. – Myślę, że tak będzie dobrze. A jeśli chodzi o to, co zamierzam, drogie kuzynki i kuzyni, to planuję się uczyć. Wiele tu dla mnie jest jeszcze zagadkowe. A kiedy będę gotowy, zaproszę was wszystkich na rozmowę.

– A my tak po prostu skorzystamy z zaproszenia?

– Tak Pozwólcie, że wyjaśnię, by was uspokoić. Nie jestem taki jak wy. Nie jestem człowiekiem, którego sygnaturę nosiłem, ani bogiem, którego sygnatura na mnie czekała. Jestem

czyś pomiędzy. Jestem mniej niż wami i mniej niż człowiekiem. Ale jestem tym, czego oczekiwaliście. Tłumaczem. Więc owszem, sądzę, że przyjdziecie, gdy was zaproszę, i wspólnie postaramy się posprzątać ten bałagan. A teraz wybaczcze, proszę, ale mam wiele do nadrobienia. Do zobaczenia.

To nie on odszedł, to inni bogowie zostali wyproszeni z jego domeny. Gdy zniknęli, Tessa i Irina podeszły do niego.

– Powiedziałeś, że nie jesteś Psem – odezwała się Irina.

– Przykro mi, Irino. Nie jestem. Żaden człowiek nie pojąłby i nie objął boskiej domeny.

– Ale przybrałeś jego imię – wytknęła mu Tessa.

– Bo tak chciałem. Dziewczyny, nie jestem Psem, ale to nie znaczy, że przestałem nim być. Jestem czymś ponad nim, ale on też tu jest. Nie tak miało się stać, ale wprowadziliście we trójkę małe zamieszanie do boskich planów. – Roześmiał się. – I sądzę, że nadal to robicie. Póki przy mnie jesteście, Pies rośnie we mnie w siłę.

– W takim razie nie pozbędziesz się mnie – odparła Tessa. – Mam wobec nas plany, braciszku.

– Będą musiały ustąpić moim – wtrąciła się Irina i obie kobiety zmierzyły się wzrokiem, by zaraz wybuchnąć śmiechem.

Pies śmiał się wraz z nimi. Odrobina innergii przybrana w kształt, który znały, zachowywała się wedle zapisów i wzorów w swojej, teraz już olbrzymiej, pamięci. To, co wyrastało poza materialną ułudę, pięło się od postaci wysokiego mężczyzny jako coś, co kobiety mogłyby sobie wyobrazić jako linię światła prowadzącą ku ogromnej świetlistej kuli. Innergia napływała w nią, a bóstwo, wciąż nie przestając się śmiać, drobną wypustką, w której zamknęło wspomnienia charakteru człowieka i załączki swej nowej natury, przetwarzało bezimienną innergię i pod własną sygnaturą odbudowywało stare, porzucone imperium.

Nowy rodzaj innergii popłynął przez innoświat. Magowie i kapłani wykryli go szybko i rozpoczęli badania. Bóg wspierał ich w tym, hojnie dzieląc się innergią. Dotykał tych, których pamiętał z życia człowieka, którego imię przybrał, tropił ich, obserwował. Budował zarysy planów wobec nich.

Kiedyś, niedługo, jego wierni wzniosą mu świątynie. Przygarnie tam wszystkich odształconych, w niczym nie ograniczając ich kredytów. To będzie mogło odmienić wszechświat. Ludzie już bez lęku wyciągną ręce po technikę, będą się przemieniać, wzmacniać, ulepszać. I inne bóstwa nie będą miały wyjścia, jak tylko to zaakceptować. Prawa rynku dotkną innoświat i odmienią go także.

Pompując ze wszystkich sił swoistą innergię w innoświat, sięgnął ku kalekiemu starszemu kuzynowi, tak bezwzględnie wykorzystywanemu dotąd przez Maskę. Niech go diabli, jeśli pozostanie samotnym dziwadłem w innoświecie! Skoro żyje tu jeszcze jeden odmieniec,

zaopiekuje się nim. Właściwie czemu by nie przebudzić wszystkich bóstw, czy ludzie ich potrzebują czy nie?

Trzeba też będzie pogadać z tym obcym. I może nakłaskać mu po mordzie, jeśli będzie podsłakiwał. Kolejna nowa rzecz w innoświecie.

Skoro przypomniał sobie Maskę, zerknął ku niemu. Maleńka cząstka boga roześmiała się, widząc radość Rachuby i Mai. Śmiała się też z maga, który znów wymyślał się pościgowi. Miał nowy cel. Bóg uznał go za interesujący i postanowił przyjrzeć mu się bliżej.

Odczytawszy koordynaty Ziemi z komputera Maski, zrozumiał, że nie zdadzą się one na nic żadnemu z nich. Gaja nie tyle ukryła Ziemię, ile odcięła wszelki innergetyczny dostęp do niej. Nawet znając koordynaty, musieliby lecieć tam kilkaset lat. A bogowie w ogóle nie mieli dostępu do starej bogini. To ograniczenie obejmowało teraz także Psa.

Nie przejął się tym. Maską był sprytnym i cierpliwym człowiekiem. Na pewno coś wymyśli, a nowy bóg, który chętnie porozmawiałby z Gają, skorzysta z jego pomysłowości; porozmawia z Maską i zaproponuje mu układ. Wszak kundlom przyda się raj, którego dotąd im odmawiano. Na razie jednak niech mag pozna własne ograniczenia.

Ktoś dobijał się do drzwi jego Domu. Już?

Książę Karol z Oruzonów w towarzystwie dwóch kobiet oraz swojego przodka i swojego syna. Zdaje się – barwna kompania, której marzyło się, by wyjść ze stagnacji Pana Ougli.

Chyba wyjdzie im naprzeciw. Ale niech sobie jeszcze poczekają. Irina i Tessa powinny ich przyjąć jako gospodynie tego zakątka innoświata.

Tak naprawdę przydadzą się odkrywcy pełni energii. Innoświat jest tak wielki, a ludzie i bogowie porzucili odkrywanie go, zadowolając się niemałym, ale jednak ciasnym więzieniem, jakie dla siebie nawzajem zbudowali.

Być może to właśnie ciekawość powinna stanowić podstawę nowego języka, jaki musi dla nich opracować, by nie zawracali mu ciągle głowy dopominaniem się o tłumaczenie. Wścibska, pełna wiary i nadziei ciekawość.

Jeszcze się nad tym zastanowi.

Znów skupił się na postaci Psa. Polubił tę cząstkę siebie.

Epilog

Ciasna, ciemna i zadymiona knajpa, tani gimlet przygotowany przez barmana, który nigdy na oczy nie widział ani prawdziwego ginu, ani cytryny, schrypięty do granic zdercia głos pianisty płynący z jakiegoś starożytnego odtwarzacza wymagającego zewnętrznych nośników danych – oto przyjemności, jakie nie mogły zatrzeć wspomnień z niedawno minionej przeszłości i obaw o nadchodzące dni.

Z ekranu niusownika, który w ramach unowocześniania lokalu zawisł nad barem, płynęła przemowa nowego, jak mówiono, faworyta cesarza, Sarenima Korowiewa, posła Rady Wspólnych Przestrzeni z ramienia jakiegoś klubu reprezentującego maluczkich.

Skoron postawił na stole dwa gimlety. Jego towarzysz skrzywił się, skosztowawszy łyk
– Piłem rozpuszczalniki smaczniejsze niż to. – Pokręcił głową.

– Mogę zamówić ci i rozpuszczalnik

Stara Nu przy swoim stoliku wróżyła ponuremu barczystemu brunetowi wielką przyszłość i straszną śmierć. Kiwał głową, ale się nie odzywał. Milczał, odkład przy szedł. Usiadł od razu przy Starej Nu i wyciągnął ku niej dłoń.

Tacy jak on nie podobali się Kotokowi, więc kłął bruneta najobelźwiej, jak potrafił, choć milkł, ilekroć mijala go nowa kelnerka. Coś w tej kruszy nie podpowiadało Kotokowi, że lepiej z nią nie dyskutować. A kiedy skłął ją na dzień dobry, tylko się nad nim nachyliła, opierając mu dłonie na udach, i coś tam wyszeptała do ucha.

Odtąd Kotok milkł, ilekroć go mijala.

Odbijał to sobie na jej chłopaku – prawdziwym kurduplu, który wpadał co wieczór, żeby wypić piwko i poopowiadać, jak bardzo do dupy jest w jego nowej pracy, której, doprawdy, nie wyobrażał sobie w ten sposób.

– Długo jeszcze będziemy czekać? – zapytał nieprzyjemnie ochryplym głosem facet, któremu

nie smakował gimlet.

– Ty dzień? Dwa? – Skoron wzruszył ramionami. – Całe życie?

Sarenim Korowiew przestał snuć plany wielkiej reformy mającej odmienić Wspólne Przestrzenie. W jego miejsce ekran niusownika rozświetliły trailery nowych epepei. Producent nazywany „Gorylem” opowiadał o okropnościach wojny toczonej przez partyzantów na jakimś zadupiu. Z kolei Kaler jakiś tam nadawał z pokładu *Merlina* – statku Szkarłatnej Maski, który, jak się okazało, nie był wcale buntownikiem, wręcz przeciwnie, agentem cesarza – informacje na temat Powolnej Floty, której życie miało zostać ukazane w serii epepei. Jedna skupiała się na wyprawie niejakiego Włodzimierza, króla karłów. Inne przedstawiały życie załogi statków, które wyznawały odmienną od Włodzimierzowej filozofię.

W pewnym momencie kamera ukazała wysokiego żołnierza dyskutującego gorąco z Maską na jakiś temat.

– Zdrowie starego druha – huknął wielki, naprawdę wielki facet siedzący samotnie przy stoliku w rogu.

– Zdrowie – zgodził się towarzysz Skorona, upijając kolejny łyk gimletu, i nawet kelnerka ukradła Kotokowi kieliszek i wypiła do dna.

– Przybywają – oznajmiła Stara Nu, a Skoron jak zwykle uwierzył jej wróżbie. – Ośmioro.

Kotok przeklął świat, który ściągał do jego najmniej znieawidzonej knajpy tylu nowych klientów. Bękart Tai ścisnął w rękach kij od szczotki, w którym zamontował po poprzedniej burdzie wysuwane ostrze. Wszyscy stali klienci spowaźnieli.

Kotok nie przestawał kłąć, a Stara Nu uśmiechała się po swojemu, łagodnie a mądrze.

Skoronowi udało się przesiedzieć tu większą część zamieszania. Ściągał plusmystem wiadomości ze świata – o ostatecznym końcu wojny i ciągnących się bez końca procesach buntowników. O zdradzie szambelana cesarskiego Auberta, o tajemniczym nowym bogu ułomnych, przyciągającym dusze przekształconych ludzi, niemogących liczyć na wysoki kredyt u tradycyjnie nastawionych bóstw. W związku z tym kusiło go, by pójść do świątyni Pani Lilli i poszantażować kapłanów groźbą przeniesienia duszy do tego nowego. Niechby się zastanowiła stara złoźnica, czy chce się pozbyć duszy Skorona, czy też wolałaby zaoferować mu trochę lepsze warunki.

Weszli jedno po drugim.

Najpierw dwóch niewysokich, ale solidnie zbudowanych mężczyzn, niby to turystów szukających klimatu lokalnych knajp. Ustawili się tak, by móc szybko zneutralizować Kotoka i Lennox.

Ledwie minutę później wtoczyła się roześmiana para – ona wyglądająca jak dziwka za dychę i on, pierwszy naiwny, łysawy urzędniczyzna. Siedli przy pierwszym wolnym stoliku. Ona nie

spuszczała wzroku z Bękartu Tai.

Dwóch głównych aktorów też weszło razem. Od razu skierowali się ku stolikowi Skorona.

Dwóch wielkich facetów z tylnej straży przekroczyło próg Srebrnej Zjawy, nim za ich szefami zamknęły się drzwi.

Poculi, że coś jest nie w porządku, gdy stanęli przed nim.

– Hej, znam tego faceta – mruknął Sven Elmson, patrząc na gościa, który nie lubił gimletu.

Jego towarzyszu, Derwan, już wchodził w tryb bojowy.

Nikt nie cackał się tym razem.

Para niby to zakochanych nie zdążyła wstać, bo Worejło poderwał się na swoich młodych nogach znad stolika w kącie, dopadł ich jednym susem i przygniótł do blatu ciężarem ciała. Stolik nie wytrzymał. Trzy z czterech nóg ugięły się i pękły i cała trójka poleciała na podłogę.

Choć Worejło był na górze, kobiecie udało się jakimś cudem wy dostać i sięgnąć po broń do torebki.

Przyczajona za nią Maja wypaliła jej w tył głowy.

Skoron z przy czepionego pod blatem pistoletu strzelił cztery razy do Derwana, odrzucając go na stolik Kotoka, który jednym szybkim ruchem wbił zabójcy w ramię wielki kizior.

Derwan wrzasnął.

Zamierzył się na starucha wolną ręką, ale wtedy Berak przestał wysłuchiwać wróżb Starej Nu i wpałował w głowę zabójcy całą zawartość magazynka swojej spluwy. Równie niehonorowo, jak skutecznie.

Para „tury stów” przy barze nie zdołała mu przeszkodzić. Lenox wywalił jednemu z zabytkowej dwururki w twarz. Drugiemu Bękart Tai wbił ostrze w kark.

Dwóch wielkoludów zareagowało tak szybko, że nikt wewnątrz knajpy nie zdołałby ich powstrzymać. Wyjęli spod kurtek pistolety maszynowe i szybko wybrali najniebezpieczniejsze cele.

Rachuba, który przy czaił się na zewnątrz, zdjął obu jedną wredną serią.

A potem poprawił, gdy leżeli.

Worejło zakończył smutne życie swojej ofiary, skręcając facetowi kark.

Sven zamarł.

– Możemy się jakoś dogadać – powiedział powoli. – Mam wy soko postawionych patronów.

– Tak sły szałem – mruknął Szczurzy Zad, wstając.

Dopił resztkę gimletu, znowu się skrzywił.

– Zdaje się, że odpowiadają za śmierć moich chłopaków – powiedział.

Sven szarpnął się, jeszcze zdążył wyjąć spluwę z kabury i umarł z wielką dziurą w miejscu twarzy.

– Wojskowa broń. – Skoron pokiwał z podziwem głową. – Oficerski kaliber.

– Eee, nawet nie. – Szczurzy Zad przyglądał się trupowi Svena, jakby spodziewając się, że sługa obcego boga i niegdy siejszy agent szambelana może jeszcze wstać. – Kupiłem od Kurdupla Jo. Jakaś samoróbka na specjalne okazje. To co, myślisz, że już po wszystkich?

Gdy uprzątęli ciała na zaplecze, gdzie Lennox z Kotokiem poddali je solidnej obróbce, usiedli przy jednym stoliku. Maja przyniosła im butelkę podrabianej „prawdziwej whisky wedle ziemskich przepisów”. Uprowadziła Rachubę, co mu robi, jeśli znowu się upije, i poszła pomóc Bękartowi Tai zmywać krew.

– Pantoflarz. – Szczurzy Zad mrugnął do małego żołnierza, rozlewając whisky po szeleczkach.

– Teraz już dziesiętnik pantoflarz – poprawił go Rachuba.

– W stanie spoczynku – przy pomniął Worejło.

– To nazywasz spoczynkiem? – Rachuba łyknęła na niego.

– Albo my ich, albo oni nas – wznosił toast Skoron.

Wypili.

Szczurzy Zad oznajmił, że pił rozpuszczalniki lepsze niż to coś. A potem ponowił pytanie.

– Nigdy nie będzie naprawdę „po wszystkich” – odparł Skoron. – Nie w tym życiu.

– Ze strony Służby macie spokój – zapewnił ich Berak

– Powiedział renegeat – prychnął Skoron.

– Kto raz w Służbie, ten na zawsze w Służbie, kładecie. – Agent mrugnął do niego i uśmiechnęła się tak, że Skoron aż się zatrząsł. – W ten czy inny sposób. Dostałeś ostrzeżenie, nie?

– Dostałem – zgodził się Skoron. – Czyli co, nie przyjmiesz mojej propozycji?

– Miałbyś przez nią same kłopoty. Ale jeszcze pomyślę. Masz ten swój jacht?

– Sprzedałem. – Skoron się skrzywił. – Konta Tessy zostały zablokowane, nikt nie kwapił się, żeby mi zapłacić, a kasy nie przybywało.

– Szkoda. Mógłby się czasem przydać.

– Skoro już tak sobie rozmawiamy – odezwał się przy drugiej kolejce Rachuba – to co właściwie planujemy?

– A ty nie chciałeś zostać rolnikiem? – prychnął Worejło.

– Jak ty lko się uspokoł – zapewnił go Rachuba.

Co, zdaniem Skorona, znaczyło, że nigdy.

Przyglądał się swoim nowym współnikom, zastanawiając się, czy stać go na utrzymanie prywatnej agencji. Zwłaszcza z takimi moczymordami. Niby na razie posypały się zamówienia rządowe, ale przecież kiedyś w końcu wyłapią wszystkich tych maruderów i watażków, którym nazbyt posmakowała wojna. Morderców niezdolnych wyleczyć się z zabijania, którego nagle im zakazano, agentów obu stron pragnących nadal żyć z przekrętów na dużą skalę, handlarzy bronią,

arystokratów uwikłanych w korupcję i agentów obcego boga, którym nie spodobał się nowy układ ich patrona.

I jeszcze dawnych ludzi Auberta, ściganych, bo ktoś musiał zapłacić za grzechy popełnione podczas wojny. A że z Maski zrobiono cesarskiego agenta, istnienie obcego boga zatajono, a połowę buntowników uniewinniono, szambelan i jego ludzie posłużyli za kózły ofiarne.

Wiem, jak się to skończy, pomyślał. Dorwiemy drani i ich załatwimy. Pewnie z hukiem. Będzie zabawa, trochę nas zaboli, ale ich bardziej. Nie ma o czym mówić.

– Wynająłem dla nas pół piętra w takiej jednej ruderze – oznajmił. – Chcecie zobaczyć?

Stara Nu rzuciła za nimi wyjątkowo uprzejmą wróżbę, gdy wychodzili. Po drodze nowi wspólnicy Skorona głośno omawiali honoraria agencji „Phipple i Partnerzy”.

Skoron ich nie słuchał. Dawał się hipnotyzować harmidrowi ulicy pełnej ludzi przekonanych, że czekają na nich w życiu same dobre okazyje.

Teraz to już naprawdę wszystko, uznał. Męty spłynęły na dno, nie licząc największych drani, którym zawsze wszystko uchodzi na sucho. Ja znowu przeżyłem, żeby wpakować się w jakąś aferę za rogiem. Jak się zaczęło, tak się i kończy.

Spis treści

NIEBIAŃSKIE PASTWISKA

Prolog

Część pierwsza

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Część druga

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Część trzecia](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Epilog](#)

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

Text copy right © by Paweł Majka 2015
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usunięcie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Tomasz Maroński

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Niebiańskie pastwiska, wyd. I, Poznań 2015)

ISBN 978-83-7818-931-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book Sławomir Folkman / www.kaladan.pl